
3 1761 07038000 1

JENERAŁ ZAMOYSKI

JENERAŁ ZAMOYSKI

1803—1868

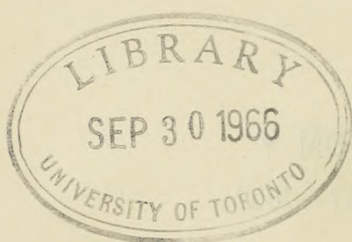
TOM V

1847—1852

POZNAŃ

NAKŁADEM BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

1922



Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego

Wspomnienia przez jenerała Zamoyskiego dyktowane lub spisywane w latach 1858—1867 oznaczone są, jak w tomach poprzednich, cudzysłowem «...».

I

STAMBUŁ. — ATENY

CZERWIEC — LISTOPAD 1847

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Stambuł, 25 czerwca 1847.

Przybyłem tu wczoraj prosto ze Smyrny. Zastałem Czaykowskiego w dobrem zdrowiu, utył trochę i dobrze wygląda, choć, słyszę, chwilami zapada, oczywiście wskutek pracy i zawodnej często pracy. Dotychczas rozmowy nasze we wszystkiem są zgodne. Jest on zarówno gorliwy, niezmordowanej wytrwałości i roztropny, na konieczność wyrozumiały.»

《[1]) Pierwsze słowo Czaykowskiego przy mojem wylądowaniu w Stambule było, że poseł francuski, baron de Bourqueney, prosi mnie, bym u niego zamieszkał. Pana Bourqueney znałem od lat wielu, kiedy był sekretarzem przy poselstwie francuskiem w Londynie; nim zaś wstąpił do ministerstwa spraw zagranicznych, pisywał do «Journal des Débats». Żonę (p. Juigné) wziął z rodziny dobrze widzianej u Orleanów, osobę zacną i przyjemną. Przyjęli mnie oboje

[1]) Cudzysłowem 《...》 oznaczone są wspomnienia jenerała Zamoyskiego, przez niego dyktowane lub spisywane w latach 1858—1867.

w gościnę najuprzejmiej, a, łatwo się domyśleć, ile korzystałem z codziennych rozmów poufnych z posłem, który już od lat kilku przebywał w Stambule. Wiedziałem, że cenił wysoko Czaykowskiego dla ciągłych wiadomości, których mu tenże udzielał o różnych częściach państwa ottomańskiego. Wiadomości tych w głównej części dostarczali nasi ajenci: Zwierkowski, zwany Lenoir, z Belgradu, Iliński, później sturczony a znamienitej odwagi Skinder bej z Dobrudży i inni przyjeżdżający z Wołoszczyzny, Bułgaryi, z Azyi Mniejszej i granicy polskiej. Krótkie, treściwe memoryały o stanie tych rozmaitych okolic, a przedewszystkiem o szerzonych między ludnością intrygach moskiewskich, cenił poseł wysoko. Że zaś kopię tych memoryałów przysyłał nam Czaykowski do Paryża, wiedziałem, ile zawierały wiadomości ważnych i ciekawych, ale wiedziałem i o wielkiej ich niedoskonałości co do języka francuskiego, w którym były pisane. Gdym nadmieniał o tych pismach w jego ręce składanych, p. Bourqueney z przyciskiem przyznawał ich wartość niepospolitą. A gdym zapytał, czy go nie rażą niedoskonałą francuszczyzną, odpowiedział z zapałem: « Nie chciałbym w żaden sposób, żeby mu kto je poprawiał, straciłyby połowę wartości w moich oczach, tak są oryginalne, tak rzeczy malują doskonale. »

Ale najwięcej był ceniony Czaykowski przez Turków, przez samychże ministrów sułtana i wyższych urzędników; przekonywałem się o tem co dnia, wszystkich z Czaykowskim odwiedzając. Wielkim wezyrem był podówczas sławny, jeden z najświatlejszych i najzacniejszych między Turkami, Reszyd basza. Do rzędu ministrów zaliczał się i Mehemed-Ali basza[1]), człowiek młody, przystojny, a dla Czaykowskiego i dla mnie niezmiernie uprzejmy. Poznałem także synów Reszyda, właśnie w życie publiczne

[1]) Mehemed-Ali, szwagier ówczesnego sułtana Abd-ul-Medżyda, sprawował urząd kapudana tj. ministra marynarki.

wstępujących, szczególnie Mehemeda-Dżemil baszę, którego nieraz później, czy zagranicą, czy w Paryżu, spotykałem i podobnie jak ojca ceniłem. Ale celującym między Turkami przez wychowanie i bystrość w ocenianiu rzeczy politycznych wydał mi się młody Ahmed effendi, później Ahmed bej, jeden z pierwszych drogmanów (tłomaczy) Porty. Nieraz w życiu, przypominając sobie jego wyjątkową zdolność polityczną, dziwiłem się, że, prócz krótkiej ambasady na Zachodzie, nie przyszedł w kraju swoim do żadnego wyższego urzędu i zastanawiałem się nad tem, czy nie stała mu na przeszkodzie prawość właśnie, której nie umiał nagiąć do chwilowych żądań, czyto najwyższej władzy, czy współubiegających się o jej zaufanie.

Czaykowski, jako mający paszport gabinetowy francuski, używał w Turcyi protekcyi francuskiej; używali tej protekcyi podobnie wszyscy ajenci polscy na Wschodzie, a nawet i osadnicy polscy na osadzie Adampol, dlatego że założoną była na własności, którą na azyatyckim brzegu Bosforu posiadał zakon francuskich Lazarystów. Przełożonym ich w Stambule był ksiądz Boré, który zmłodu, jako świecki, odbywając podróże po Azyi i Palestynie, pisywał do dzienników listy ciekawe i już natchnione gorącym duchem chrześcijańskim. Głównie go zajmowały różne w tamtych stronach odszczepieństwa; poznał język ormiański, grecki i słowiańskiego trochę, a wszedłszy do zakonu, pisał i drukował odezwy do tych różnych ludów, przekładając im błędy, w jakie ich przeciwnicy wciągnęli, kreśląc drogi, jakiemi wrócić mają do jedności z Kościołem. Z nim to, gdy został przełożonym w Stambule, przyszedł Czaykowski w imieniu xięcia do ugody w sprawie polskiej osady (1842). Na mocy tej ugody zakon Lazarystów odstąpił część znaczną ziemi swojej nieuprawnej i krzakami tylko zarosłej na własność xięcia pod warunkiem, że ziemi xiążę użyje na osiedlanie Polaków, błąkających się na Wschodzie. Niektórzy z nich zostawali nawet w stanie niewoli, bo, dostawszy się w ręce Czerkiesów w spotka-

niach z Moskalami, albo przez ucieczkę z szeregów moskiewskich, bywali z rąk do rąk sprzedawani. Kilkunastu Polaków na wstępie znalazło się w samymże Stambule i okolicy; ci byli wolni, a tylko w nędzy. Za staraniem naszem ogłosił rząd turecki w całem państwie swojem wolność dla Polaków, posiadanych na jakiejkolwiek zasadzie jako niewolników, co też nastąpiło. Wszystkim zarazem dano wiedzieć, że pod Stambułem mogą być przyjęci do osady polskiej; przybyło kilkunastu. Aby zostać osadnikiem i zyskać zapomogę na zabudowanie i pierwsze potrzebne narzędzia, wystarczało być Polakiem. Osadnik miał sobie wydzielony obszar krzakami okryty, musiał więc najprzód karczować. Nim przyszło do orania, do siania i zbioru, miał zapomogę na życie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Stambuł, 2 lipca 1847.

W piątek przeszły udaliśmy się do kolonii. Płynie się ku niej godzinę Bosforem do Giok-Su — Słodkie Wody. Tam zastaliśmy najęte dla nas od kolonistów naszych ich własne konie. W trzy godziny stępa stanęliśmy. Kraj gęsto poprzerzynany pagórkami, całkiem w młody las zarośnięty. W blizkości góra Alemdagh. Z niej widać trzy morza[1]), Bosfor i Dardanelle. Nie dojechawszy jeszcze o pół mili do kolonii polskiej, minęliśmy czyflik (folwark) księży Lazarystów, bardzo ładnie położony i zabudowany i już znacznemi łanami otoczony. Rzeczka tu płynie. Kolonia nasza Adam-Kiej (wioska Adama) jest w dzikszem miejscu, nie ma rzeczki, ma źródło obfite i doskonałe. Z poblizkich wzgórz postrzegają się kawałki pola przez naszych wiarusów wykarczowanego, a na nich wcale piękne plony zboża, ziemniaki etc. Tudzież ogrody i winnice. Domów nie widać prawie aż zblizka, bo postawione między wysokiemi kasztanami. Na widoku, bo

[1]) Egejskie, Marmara i Czarne.

na cyplu jednego z niższych wzgórz, acz między drzewami, stoją dwa porządne domki murowane pod dachówką. Jeden służy przełożonemu kolonii, Żukowskiemu, który bardzo dobrze swoje funkcye sprawować się zdaje, drugi jest własnem mieszkaniem Franciszkanów bośniackich, w którem jest i kaplica. Księża ci, przemieszkując w Stambule dla interesów prowincyi swojej z rządem tureckim, radzi byli połączyć z zatrudnieniem półpolitycznem ten obowiązek dobrych księży. Nasi ludzie wybornie się z nimi rozumieją. Domy kolonistów niektóre są już bardzo porządne, jest nadzieja, że wszystkie takiemi będą. Drzewo i kamień są pod ręką na gruncie. Dachówkę, nim się cegielnię da postawić, dostają koloniści darmo od księży Lazarystów z poblizkiego miejsca. Pięciu kolonistów jest żonatych. Żony podobierali sobie rozmaitego pochodzenia, ale wszystkie dobrze się prowadzą, niektóre i ładne wcale; po większej części wychowanki instytutu założonego w Stambule przez Siostry Miłosierdzia; jedna dopiero ma dziecko. Dwoje zaś dzieci po zmarłym koloniście inni sobie przybrać chcą za własne. Widok tej osady polskiej ma coś szczególnie zajmującego. Kilku cudzoziemców, których Czaykowski zaprowadził do niej, wspominało mi o niej z zachwyceniem. Francuzi i Anglicy mówili mi: «c'est superbe, c'est admirable». — Wyznaję, iż zrazu pojąć nie umiałem, coby im się tak pięknem w tej naszej biednej osadzie wydać mogło. Zrozumiałem dopiero, będąc na miejscu. Musi wistocie zająć najobojętniejszego widok pomyślnego nader osiedlania się ludzi, z których każdy, nim tu przybył, przechodził przez męczarnie, przez bicia, przez ręce różnych panów, którzy po ich ucieczce z Moskwy sprzedawali ich sobie za niewolników, a gdy najłaskawszymi dla nich byli, wtenczas najsilniej nastawali, aby ich od wiary ojców na wiarę nowych panów przeciągnąć lub do przyjęcia tej wiary zmusić. Widzieć tych ludzi dziś w stanie rolników dostatnich byłoby już miłym dla poczciwej duszy widokiem. Ale wzruszenie

wzmagać się musi, gdy się pomni, że ten przytułek stworzony dla nich został przez połączenie w jedno trzech odrębnych wpływów tj. ojcowskiej nad nimi opieki tego, który w ten sposób zastępuje dla nich miejsce własnej ojczyzny, tudzież miłości chrześcijańskiej zgromadzenia Lazarystów, najgorliwiej po dziś dzień popierających ten zakład, a nakoniec braterskiej ku Polsce życzliwości Turków. Gdy się widzi przytem jeszcze tych zacnych, poważnych i bardzo światłych księży bośniackich, zastępujących miejsce proboszcza Polaka i świadczących w tak jawny sposób o uczuciach, które nas z ich rodakami, braćmi Słowianami, łączą, już się natenczas dziwować nie można, że widok ten na ludziach myślących niezwyczajne sprawia wrażenie. Przez całą sobotę zwiedzałem wszystkie domy i wszystkie pola. Każdego z kolonistów badałem, skąd i jak się dostał i cieszyłem się niewymownie, widząc ich po większej części czerstwymi jeszcze i z niezłamanym duchem. Mniejwięcej każdy za drugim lub za trzecim dopiero razem zdołał uciec od Moskali, był przeto bity okropnie. Cesarz Mikołaj, zwiedzając na Kaukazie szpital, pytał jednego, na co chory i ten mu odrzekł śmiało: «na tysiąc pałek za ucieczkę», a Mikołaj na to: «to mało, to mało». Uciekł przecież i szczęśliwie tu doszedł, a, jak każdy, na jedno słowo gotów znowu wszystko rzucić, gdyby tylko zajaśniała pora. W niedzielę msza była o ósmej. Pierwszy raz do tej mszy użyto ornatu świeżo od cioci Wirtemberskiej przysłanego. Przełożony Lazarystów wraz z prokuratorem przybyli bardzo uprzejmie umyślnie, by mnie spotkać na kolonii. Ksiądz Doumercq miał mszę. Kaplica już się okazuje za ciasną. Było przeszło czterdziestu obecnych. Bośniacy poczciwie zapowiadają, iż swoim zachodem w Bośnii wystawią nam niedługo kościół. Był potem wczesny obiad dla wszystkich. Zaprosiłem osadników na barana z ryżem. Było i wino i zdrowie Wuja było pite i inne. Na noc wróciliśmy do domu.

Zapisałem się i ja do osadników. Nabyłem kawał ziemi, a rządca podjął się najemnikiem wykarczować go i uprawić. Najem miał służyć osadnikom za zapomogę. Wistocie znalazłem między nimi kilku towarzyszów broni z wojny 1831. Jeden się przyznawał do udziału ze mną w szarży 4 pułku ułanów. Inni przytaczali drobne szczegóły mnie dotyczące, o których i ja pamiętałem.

Z wielką bardzo przyjemnością widziałem, że osada ta już ma istnienie zapewnione. Są osadnicy, którzy mają już po dwanaście sztuk bydła. Przy nich łatwość jest wielka dla przybywających. Zaraz znajdują zarobek i przytułek, a przy ułatwieniach i pomocy od władzy prędko zabudować się mogą. Na początku liczono po 2000 fr. na założenie jednej osady, dziś nie potrzeba i połowy tego. Ks. Doumercq zgadza się na plan nowej umowy między nimi a nami. Więc tu zredagujemy tę rzecz i do potwierdzenia poślemy. Dla władzy polskiej prawo wiecznej dzierżawy na całym odgraniczonym gruncie, dla osadników własność na dziesięciu dylomach gruntu, ograniczona: 1. obowiązkiem płacenia dziesięciny ze zbioru po opłaceniu podatków i po dziesięciu dopiero latach używania; 2. możnością puszczania w dzierżawę lub sprzedawania gruntu i domu swego tylko za uprzedniem przyjęciem nabywcy lub dzierżawcy przez władzę polską; 3. sześć dni szarwarkowych na rok na potrzeby ogólne osady. Mają przytem możność brania w dzierżawę, za osobną umową, większej ilości gruntów prócz tej, która im jest przyznana na własność. Co się dalej z tą osadą stanie i czy Bóg poszczęści temu dziełu, trudno powiedzieć. Dzisiaj osadnicy mają przy rolnej pracy dostatek i swobodę, którejby im wielu na emigracyi pozazdrościć mogło i oficerów i sztabsoficerów i innych.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Stambuł, Terapia, 16 lipca 1847.

Reszyd basza (w. wezyr) i Ali (min. spraw zagranicz.) oświadczają ciągle chęć widzenia mnie, ale i nie nazna-

czają chwili, przeto czas upływa daremnie[1]). Rzecz dziwna, że bali się mego przybycia, a sami teraz przedłużają pobyt niepotrzebnie. Jeden Mehemed-Ali (min. marynarki) z przesadzoną prawie otwartością objawia swoją dla mnie uprzejmość. Proszony przez Ahmeda effendi o pozwolenie zwiedzenia floty dla podróżnego, odmówił. Gdy zaś się dowiedział, że pozwolenie to miało być dla mnie, przeznaczył własnego drogmana, by mnie oprowadził, a na okrętach z polecenia jego przyjmowano mnie z honorami. Już nawet rzecz doszła do obojętnych i sprawia gadanie o tem niepożyteczne. Co większa, dnia wczorajszego dał mi wiedzieć, że sam na swoim okręcie przyjąć mnie chce i da wiedzieć kiedy.

Od kilku dni mieszkam wraz z Czayką w ambasadzie francuskiej. P. Bourqueney jest bardzo serdeczny i wszyscy jego podwładni podobnież. Wywnętrzał mi się obszernie. Najżywszem pragnieniem jego jest przyczynić się do dźwignienia Turcyi. Zrażony niemało nierozumną obojętnością, z jaką przedstawienia jego o tym kraju są w Paryżu słuchane, zrażony niedorzeczną lekkomyślnością mów i czynności, któremi rząd ten niszczy własny tutaj wpływ. Te rozmowy dają mu często okazyę nadmienienia o Czaykowskim i o ważnej pomocy, jaką ciągle odbiera od niego. Oświadcza podobnież chęć pomagania nam, w czem tylko może. Młody p. Ernest Barante, przybyły ostatnim statkiem na pierwszego sekretarza, zaczął także od dobrego kroku. W kilka dni po przybyciu, dowiedziawszy się, że jesteśmy na kolonii, przybył tam wraz z dwoma kolegami nas odwiedzić. Ze strony syna posła petersburskiego było to nadspodziewanie grzecznie. Jest także przy poselstwie zastępujący drugiego sekretarza, młody p. Lallemand, pełen dobrego ducha i zdolności.

[1]) Głównym celem pobytu Zamoyskiego w Stambule było zdobycie od Porty funduszów na utrzymanie i rozszerzenie ajencyi polskich w słowiańskich krajach Turcyi i na wysłanie polskiej wyprawy wojskowej na Kaukaz, dla wsparcia tamecznej ludności w jej bohaterskich walkach przeciw Mikołajowi.

Donosiłem podobno, że mi się p. Liszt, pianista, zaprosił na zwiedzenie kolonii. Do tej małej wyprawy przyłączyła się kompania Anglików i Francuzów, do dziesięciu osób. Między niemi lady Harriet Kavanagh, córka lorda Clancarty[1]), z córką. Poczciwy Żukowski i Bośniacy przyjmowali nas, jak mogli, na jeden nocleg. Wszyscy odjechali uradowani i wzruszeni tym widokiem; wszyscy obiecali pamiętać i dary zebrane przysyłać. Niejaki dr Burns, Szkot z Glasgow, szczególnie się zapalił. Chce zostać członkiem Assocyacyi i Dudleyowi pomagać.

Sarym basza ma mi dać wnijście do mennicy. Mehemed-Ali zaś, pokazawszy swoją siłę, chce teraz, aby mi seraskier (min. wojny) pokazał, co tu ma wojska.

17 lipca. — Ali napisał nakoniec do mnie, zapraszając do siebie na jutro rano. Przy niepospolitem zaufaniu, jakie posiada Czaykowski, może potrafię w Alego wpoić korzyści zaprowadzenia szerokiej ajencyi polskiej po całej Turcyi europejskiej. Przekładając pożytki ajencyi takiej, bynajmniej nie dopuszczam, aby mogła być wprost płacona przez Turcyę. Toby niszczyło stanowisko i niepodległość Czaykowskiego. Tu, jak wszędzie, trzeba, żebyśmy działali na własną odpowiedzialność, ale potrzeba, aby nam tj. naczelnikowi naszemu dostarczone były środki działania. To samo w stosunku z krajem. A czynię tę uwagę z powodu danej nadziei, że Galicyanie zbiorą się na utrzymanie ajencyi w Mołdawii. Skądkolwiek pochodzi fundusz, powinien iść do władzy i pod jej rozporządzenie.

Jeślibyśmy nie otrzymali tu funduszu na wielką skalę, tak na Kaukaz jak na ajencye, byłoby zaiste bardzo źle. Mianowicie przyszłoby żałować ruszenia i przysłania tu dwóch nowych ludzi. Przysłanie to zdaje mi się wczesne, skoro fundusz na nich nie istnieje jeszcze. Poznaję w tem naleganie o pospiech najzacniejszych towarzyszy moich w służbie. Błagam drogiego Wuja, aby się

---

[1]) Ryszard hr. Clancarty (1767—1837), były ambasador w Hadze.

opierał takim naleganiom. Pospiech w czynnościach tak drobnych w sobie nie poratuje sprawy, a obarcza nas ciężarami coraz większemi, Wuja samego nabawia okrutnego udręczenia. Nie zdążyłem dotąd przejrzeć budżetu tutejszej służby. Wyznaję, iż i ja ociągam się przed bolesnem rozpoznaniem. Nie zaniedbam przecież tego.

Lord Cowley[1]), zastępujący sir Stratford Canninga, bardzo uprzejmie wraz z żoną zapraszają mnie, abym przybył do ich domu, tu obok, na mieszkanie na dni kilka. Politycznej z nim rozmowy nie miałem dotąd, nawet chroniłem się jej, aby zbliżyć do niego Czaykę.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 19 lipca 1847.

Rozmowa z Alim była taką, jakiej sobie życzyłem. Niechaj to doniesienie zaniesie drogiemu Wujowi choć chwilową ulgę w udręczeniu trawiącem duszę, które w listach jego ostatnich się maluje. Przyjął mnie serdecznie, a razem z względami. Wychodził aż do przedpokoju na przyjęcie i pożegnanie, co tu i na jego stanowisku wiele znaczy. Nastąpił krótki przegląd stanu prowincyi słowiańskich. Tu najmocniej przyznawał przysługi nasze. Powiedziałem o potrzebie nadania dziedziczności xięciu (serbskiemu) z wyraźnem naznaczeniem syna jego, celem zasłonienia Serbii od chowanego przez Moskwę pretendenta, synowca xięcia. O gabinetach i posłach Francyi i Anglii była mowa, o sułtanie, którego charakter arcyszlachetny wszyscy głoszą, a o którym Ali mówił, że pracowity i o wszystkiem chce wiedzieć i wie. To wszystko krótko było dotknięte, gdyż, widząc wyborne usposobienie jego, postanowiłem obrócić całą uwagę jego na przedmiot najważniejszy. Doprowadziwszy go więc do ponownego przyznania ważnych przysług, jakie im czynimy, oświadczyłem wprost, iż możność dalszego ich świadczenia

[1]) Henr. Rysz. Karol bar. Cowley, od 1857 pierwszy hr. Cowley (1804—1884), bratanek Wellingtona, posłował w Wiedniu, Stambule, Szwajcaryi, przy Związku Niemieckim i w Paryżu.

zagrożona jest brakiem funduszu. Skreśliłem w krótkości obraz środków, za pomocą których mogliśmy do tej pory, przy natężeniu sił i niepospolitem poświęceniu ajentów, prowadzić tę czynność. Oświadczyłem zaś, że źródła tych środków chwilowo się zamknęły. Nie taiłem boleści, pod jaką z tego poczęści powodu upadamy. Przekładałem, że, gdyby nie znalazł się fundusz, musielibyśmy ten rodzaj czynności zaniechać zupełnie. Dodałem, że jednak mogą brak ten zastąpić, że forma ich rządu, brak kontroli nad wydatkami, ułatwia rzecz, że i u nas dochody są sekretem zamkniętym między mną a xięciem dla niewydania źródeł krajowych, skąd płyną. Ali słuchał i potakiwał. Okazywał współczucie, gdym malował nasze z tego powodu cierpienia. Mówił, że to żądanie słuszne, a z ich strony powinność, obiecał natychmiast mówić z Reszydem, pytał o ilość potrzebną. Powiedziałem, że wydatek publiczny xięcia wynosił około stu tysięcy fr. rocznie, i że takim zasiłkiem mogą nas postawić w możności utrzymania pozycyi dzisiejszej. Dla posunięcia się dalej, co jest nieodzownem, aby się nie cofać, potrzebaby więcej. Ali uznał ją za małą rzecz dla ich skarbu. Gdy powtórnie cieszyłem się, że takiego mają sułtana i życzyłem, aby mógł wiedzieć o mnie i o mojem dla niego uczuciu, Ali mnie zapewniał, że mu to oświadczy, że mnie zna i że o wszystkiem wie.

20 lipca. — Dziś przychodzi mi donieść o destytucyi kapudana (Mehemeda-Ali) i o zastąpieniu miejsca jego przez Halil baszę, ze wszystkich tu figur najpowszechniej pogardzonego i za moskiewskiego sługę mianego! Kapudan został destytuowany bez wiedzy Reszyda! To mu oczywiście nie zostawia długiego życia u steru. Tak więc promień nadziei, jaki tu nam zabłysnął przez dobrą wolę Turcyi, blednieje i może nas w przydłużonej zostawić niepewności. Niepewność przywiązana do spraw tutejszych musi wchodzić do rachub naszych, abyśmy się nie zawodzili. Żałuję, że list mój nie poszedł wczoraj. Byłby przyniósł Wujowi drogiemu choć kilka chwil pociechy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 25 lipca 1847.

Niestety, choć zgadzam się na zdanie Wuja o potrzebach sprawy, to jednak nie zniewala tutejszych do wzięcia się takiego, jakie jest potrzebne. Dobre ich nawet chęci nie przezwyciężają nałogu robienia wszystkiego tak powoli i tak nieśmiało, że niczego z nimi pewnym być nie można. Wartość czasu mianowicie nieznana jest u nich.

I tak czekałem trzy tygodnie na widzenie się z Alim, a dziś mija tydzień, odkąd Ali obiecał zamówić mi widzenie się z Reszydem.

Zrzucenie kapudana przybiera mniej nieco srogie znaczenie, niż się zdawało zrazu. Dekret sułtana chwali jego wierność i zdolność. Reszyd zaś opowiada, że sułtan dawno się jemu zwierzał z niezadowolenia swego z powodu, że Mehemed-Ali pozwalał sobie przybierać tony niewłaściwe i że od roku zapowiadał, iż będzie zmuszony dać mu naukę. Wybór nowego kapudana pozostaje najgorszym co do osoby i co do lekceważenia Reszyda przez narzucenie mu tego kolegi bez porady żadnej. P. Bourqueney, idąc za radą Czaykowskiego, napisał surowe zdanie do Porty o tej nominacyi.

Tymczasem niepomyślne tu dochodzą wiadomości o stopniu uważania, jakiego Bourqueney używa u własnego rządu. To, co my w nim uważamy za zaletę, stawia go w Paryżu w podejrzenie, że nie popiera wpływu i przewagi Francyi. Byłoby to śmiesznością, gdyby nie zagrażało cofnięciem jego i zastąpieniem przez jakiego znowu nieuka. Trzeba nam się zajmować podnoszeniem zalet i zdatności p. Bourqueney. Trzebaby np. pana Montalembert ostrzedz i zapewnić, że on lepiej reprezentuje Francyę, niż sobie wyobrażają, tj. z lepszym skutkiem dla samejże Porty, której dodaje siły wewnętrznej i zewnętrznej, skłaniając ją do postanowień, które zdołają przywiązać do niej owych poddanych chrześcijan, których po dziś dzień

wpływ Francyi pobudzał do wybuchów, ale nie obronił nigdy przeciwko obudzonej zemście.

Rozprawa w izbie deputowanych o Syryi[1]), wczoraj odebrana, obudziła w nas te uwagi, które dopiero przedstawiłem. P. Guizot ubliżył prawie p. Bourqueney, mówiąc głośno, iż jego zdanie o Syryi mu nie wystarcza. To potwierdza inne doniesienia o zachwianym wpływie jego (p. Bourqueney) w Paryżu. Wątpić nie można, że Moskale starać się o to muszą. My bronić go, ile możemy, powinniśmy, a możemy, kiedy rozumiemy wagę Turcyi i pragniemy nie poniżenia jej, ale owszem dźwignienia czyli raczej zasłaniania od ciosów, któreby mogły przeszkodzić własnemu jej dźwiganiu się. Że Turcya posiada tę moc i zdolność, o tem każdy dzień silniej mnie przekonywa. Z prawdziwą też radością słucham p. Bourqueney, gdy mówi o osłabiających ją w każdej okoliczności wpływach dyplomatycznych i o potrzebie zaniechania onych ile możności. To mi przypomina, że 1843 roku, gdy lord Aberdeen nie mógł wierzyć, by się Serbowie oprzeć stanowczo mieli, wtenczas gdy Porta przed groźbą Moskwy i przed obojętnością Europy już uległa, tłomacząc mu jakby to być mogło, rzekłem: «Ich siła polega na tem, że nie mają, jak Konstantynopol, ciała dyplomatycznego u siebie.»

---

[1]) Mieszkańcy Libanu dzielą się na chrześcijan Maronitów i muzułmańskich Druzów. Aż do zajęcia Syryi przez wojska egipskiego wicekróla Mehemeda-Alego (1831) na czele Libanu stał Maronita, płacący daninę sułtanowi. Mehemed-Ali zniósł samorząd Libanu i wprowadził tam własną, nader uciążliwą administracyę. Gdy Turcya rządy nad Syryą na nowo objęła (1840), korzystając ze zmian poczynionych, narzuciła mieszkańcom tureckiego baszę. Wobec oporu Maronitów, popartych przez Anglię, Austryę i Francyę, przyrzekła podzielić administracyę Libanu, ale nie dotrzymała przyrzeczenia. W r. 1845 wybuchła wojna między Druzami i Maronitami. Maronici okrutnie zgnębieni udali się o pomoc do państw europejskich, mianowicie Francyi.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 2 sierpnia 1847.

Wczoraj wieczór w niedzielę, po kilkakrotnem odroczeniu, widziałem nakoniec Reszyda. Przyjmował mnie po obiedzie w salonie przy kilku gościach. To zmitrężyło półtrzeciej godziny na potocznej rozmowie. Powiedziało się w niej wzajemnie kilka rzeczy, które mogły być dobrym wstępem do poufnej rozmowy, na którą czekać postanowiłem choćby do rana. Przetrzymałem tak wszystkich i przypatrzyłem się ciekawym dość ceremoniom, jakiemi się wielkie figury nawzajem traktują, albo jakie mali dla takiego pana zachowują, wchodząc i odchodząc i w ciągu rozmowy. Gdy już jedenasta biła, a Reszyd basza ziewać poczynał, poznał się nakoniec ostatni już z gości na mojem postanowieniu przeczekania wszystkich i odszedł. W pierwszej zaraz chwili po mojem przybyciu, Reszyd odzywał się do mnie po cichu z zapytaniem, czy widywałem Mehemeda-Alego, żałował jego upadku. Wyznawał podobnież niegodziwość jego następcy, żal z całego wypadku, niepewność własnego położenia, złe rady, którym ulega sułtan itp. W tem i we wszystkiem, co później zaszło, były dwie główne cechy jego osoby, dobre chęci i nieśmiałość. Skoro zostałem sam z nim, zapytałem, czy mu Ali mówił o interesie, który mu przełożyłem. Reszyd powiedział, że mówił. Powtórzyłem więc w krótkich słowach rzecz o funduszu, ale w najdobitniejszych. Przekładałem bez ogródki stan rzeczy, a w następstwie konieczne przez nas odstąpienie onej, jeśli nam środków zbraknie. Przyznawał, iżby to było dla nich źle. O ilości funduszu była wzmianka, pokazał, iż ma ją za nieznaczącą. Ale — do sułtana się odnosił, oświadczył, iż jemu rzecz przedstawić musi i to uczyni. Przechodziłem pokrótce rozmaite czynności, jakiemibyśmy mogli im przynosić pomoc, skoroby było o czem, ajencye różne, a dziś mianowicie w Albanii dla gruntownego rozpoznania kraju, co nam łatwiej, jak ich ajentom. Reszyd potakiwał i wchodził

w rzecz uprzejmie i serdecznie, ale z wyraźną cechą niemocy i nieśmiałości. Z kolei przystąpiłem do Kaukazu. Wyznawałem, iż nam potrzebne są gwarancye, że przedsięwzięcie nie robi się lekko. My ani dziesięciu wyborowych ludzi, ani nawet jednego nadal posyłać nie możemy bez jakiej pewności. Pewność byłaby w funduszach znacznych z góry na to zapewnionych. Na pożegnanie i kilkakrotnie w ciągu rozmowy Reszyd oświadczał się najżyczliwiej, zawsze jednak z widoczną nieśmiałością. O Wuju wspominał najlepiej. O osobach niegodnych, które otaczają sułtana, z ubolewaniem mówił. Ja wmawiałem w niego, że powinien te wyrostki z podłych niewolników rozpędzić, a zastąpić synami z dobrych domów etc. Ale nie wiem, czy się kiedy w nim rozwinie śmiałość i energia.»

Władysław Zamoyski do ojca:

«Stambuł, Terapia, 4 sierpnia 1847.

Jestem kontent z pobytu mego. Natrafiłem na kilku znajomych bardzo przyjemnych. Przepędzam cały czas, mieszkając koleją to u jednego, to u drugiego. P. Bourqueney i młoda a nader miła żona są szczególniej przyjacielscy. Lord Cowley jestto wyborny typ uczciwego Anglika, ale nic nie rozumie z tego, co mnie obchodzi. Żona jego, niegdyś piękność, dziś bardzo przyjemna i naturalna.

Bosfor jest rzeczą jedyną, nie mogę się piękności jego nadziwić. Jestto jakby potężna rzeka. Przy samej wodzie najczęściej jest miejsce na jeden tylko rząd domów; tuż za niemi wznoszą się wzgórza, na których ogrody w terasach i pyszne na nich drzewa. Wyżej znowu piętrami wznoszą się domy, wioski, jedna niemal przy drugiej bez przerwy, a tak gustownie stawiane, tak lekko, tak nadzwyczaj czysto, tak zielonością otoczone, że nic podobnego nie widziałem nigdzie. Co mnie uderza i cieszy może najwięcej w tym widoku, to oczywisty dostatek mieszkańców, a w tem oznaka rządu, który musi być

dobry, kiedy pod nim rodzi się pomyślność rządzonych. Jestto dla mnie powodem do nieustannego zadziwienia, że Europa chrześcijańska tak potrafiła ogadać i oszpecić kraj ten, w którym, obok niezaprzeczonych niedostatków i niedoskonałości, nie umiano lub nie chciano dostrzedz wyraźnej w niejednym względzie wyższości nad urządzeniami, pod któremi chrześcijańska Europa wszędzie mniejwięcej dochodzi do ubóstwa klas najliczniejszych i przedstawia powszednio więcej ruin i nieochędóstwa, jak mieszkań dostatnich i czystych. Prawda, że w głębi kraju o wiele mniej jest tych oznak szczęśliwości mieszkańców, niż tu w okolicach stolicy. Ale żadna stolica nie posiada takiej ilości i tak szczęśliwie rzędem na parę mil długości nad wodą stojących mieszkań, z których każde niemal bez wyjątku posiada wdzięk i pozór dostatku. Widok ten cieszy mnie, bo Turków dawno przeczuciem ceniłem, a oczywisty dowód żywotności tego państwa odpowiada wszelkim życzeniom moim, świadcząc o zdrowiu, jakie dotąd panuje w tem ciele i o jego wielkiej sile materyalnej pomimo nizkości umysłowej osób u steru stojących. Nizkość ta w niejednym razie sowicie jest zastępowana niezaprzeczoną jakąś w pewnych przynajmniej osobach wyższością moralną. Miło jest nader słyszeć jednomyślne świadectwo wszystkich tu zamieszkujących o zmianie na lepsze objawionej w tym kraju od lat kilkunastu, zmianie, której początek wyszedł od tronu i od kilku ludzi stanu, między którymi dzisiejszy w. wezyr zajmuje miejsce pierwsze. Młody Turek, mogący się po francusku rozmówić, mówiąc ze mną o podniesieniu w państwie ottomańskiem stanu ludności chrześcijańskiej, wyznawał przecież, iż w tem leży niebezpieczeństwo, aby chrześcijanie, liczniejsi od muzułmanów w niektórych prowincyach, nie podnieśli z czasem buntu i zapytywał mnie, jak trzeba zaradzić grożącej tego rodzaju rewolucyi. Odpowiedziałem, że innego niema sposobu, jak przez rozszerzanie ciągłe dobrodziejstw sprawiedliwego i życzliwego rządu, a dodałem:

«Gdyby się zjawiały głowy niespokojne i buntownicze, to kilka głów takich czasem poświęcić przychodzi.» Na to mój Turek z zapałem: «Tak, ale jak poradzić bez ścinania głów?» Te słowa malują dzisiejszy stan powszechnej opinii w tem państwie. Ja prawie zawstydzony się czułem tem odezwaniem się młodego urzędnika, ale mocno uradowany takiem już zakorzenieniem się zasad ludzkości. Choćby dzisiaj Reszyd basza został chwilowo usunięty, co łatwo nastąpić może, bo władza tu jeszcze bywa po dawnemu popychana i porywana wpływami dość nierozumnemi i niepoczciwemi, to przecież pewna, że jakiekolwiekby ręce sprawowały władzę, musiałaby koniecznie trzymać się zasad przyjętych szanowania życia, a nawet ogólnie mówiąc, wolności i majątku wszystkich mieszkańców. Wyznać przecież trzeba, że gwarancya po dziś dzień najsilniejsza tych usposobień spoczywa w charakterze samegoż sułtana. Nie taję sobie licznych zapór, które tamują i długo tamować będą rozwinięcie tak dobrych podstaw i początków. Ale gdzież jest doskonałość? Przytem nie mogę być obojętny na uderzającą «życzliwość», jaką tu zachowują powszechnie nam, «Lechom». Życzliwość ta zdradza się w tysiąc sposobów. Ze wszystkich np. chrześcijan tu przebywających, a których Frankami z pogardą nazywają, jedne Lechy stanowią wyjątek, do Franków nie są liczeni. Nazywają ich bracią, przyjaciółmi Turków, połączonymi jedną niedolą itp. Rzewnie nas witają, chociaż dla politycznej ostrożności granice w oznakach tych uczuć zachowują.

Instytut Sióstr Miłosierdzia należy do pięknych rzeczy, które tu pod opieką rządu tego, tyle nieraz okrzyczanego, stanęły. Jest przy nim szkoła chłopców kierowana przez «les Frères de la doctrine chrétienne», kongregacya, która i we Francyi ogromnie się do wychowania klas ubogich przykłada; podobno do dwustu tysięcy dzieci uczy. Nakoniec jest jeszcze szkoła wyższa przez księży Lazarystów prowadzona. W tych trzech zakładach

tysiąc dwieście dzieci tu w Stambule bez żadnego rządowego nakładu odbiera wychowanie. Księża Lazaryści, i Siostry i Bracia, mają jeszcze kilka zakładów podobnych w państwie tureckiem. Jestto piękne dzieło miłości chrześcijańskiej, ale rząd turecki czyż nie zasługuje na zaszczytną z tego powodu wzmiankę i czy go taka tolerancya nie stawia wyżej wszystkich niemal rządów Europy, tyle zazdrosnych i drażliwych na wychowanie, któreby nie wychodziło wprost z poręki i (nie zostawało) pod najściślejszą kontrolą rządu?

W Bosforze stoi na wylocie flota z dwudziestu dwóch okrętów złożona. Okręty pyszne, utrzymanie na nich wykwintne co do pozoru. O wartości jej do boju sądzić nie umiem. Ale w przymierzu z państwem, mającem marynarkę, te okręty mogłyby liczyć się na równi z innemi. Na rewii odbytej przed sułtanem widziałem kilka tysięcy wojska. Piechota mało zostawia do życzenia. Jazda po europejsku, ale bardzo niedoskonale ekwipowana, manewruje wcale nieźle. Artylerya, acz przez pruskich urządzona oficerów, wiele zostawia do życzenia. Cierpi mianowicie na tem, że samaż pruska artylerya dla oszczędności skarbowej pozostała w tyle ulepszeń powszechnie przyjętych, a Turcy niepotrzebnie zaprowadzają dziś u siebie uzbrojenie zestarzałe i od ogółu państw zreformowane. Turcy są jeszcze na dyskrecyi obcych tego rodzaju wpływów. Liczba przecież ludzi pomiędzy nimi, zdolnych oceniać różne tego rodzaju przedmioty, wzmaga się widocznie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«7 sierpnia 1847.

Pierwszy tłomacz poselstwa angielskiego, w którem dziś mieszkam, ze zdolności swoich powszechnie chwalony, p. Alison[1]), przyznaje poprawę wielką w tym kraju

[1]) Karol Alison, znakomity znawca Wschodu, prawa ręka «wielkiego ambasadora» lorda Stratfort Canninga w jego niezmordowanych

i różne zalety Turków, uważał przecież, ze mną o tem mówiąc, że Turcy mają nałogi tak przeciwne wszelkiej czynności wytrwałej i energicznej, że przewidzieć nie można, jak, ani kiedyby je przezwyciężyć zdołali. «Ile razy», mówił «napotykają na trudności lub na kwestye zawiłe, zastanowienie się nad niemi i wahanie, w które wpadają z powodu niemocy rozwiązania trudności, doprowadza ich niechybnie do znużenia i do zasypiania! Przyczynia się do tego nałóg ciągłego palenia tytoniu mocnego, sprawiającego rodzaj opiłości. Niejeden i mocnemi trunkami do reszty się pogrąża.» Z takimi ludźmi pospiech niepodobny. Trzeba to sobie zapisać do rachub swoich, nawet gdy oni najlepsze chęci dowodami stwierdzają.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 23 sierpnia 1847.

Najprzód proszę o cierpliwość i o wzniesienie duszy, bo już podobno zgruntowałem to, czegoby się stąd spodziewać można dla blizkich widoków naszych, — a exploracya ta zawodną się okazała! Pocieszające oznaki skończyły się zakończeniem tragi-komicznem. Mehemed-Ali oświadczył, iż po naradzie między nim, Reszydem i Alim i po zasięgniętej przez Reszyda woli sułtana, stanęło, iż wyprawa na Kaukaz odracza się do dwóch lub trzech miesięcy! — dodał, iż to jest odroczenie, nie odstąpienie od zamiaru. Nalegał nawet kilkakrotnie na to, abyśmy im wierzyli, że nie zarzucają tej myśli, że dlatego zawieszają, iż mają dziś kolegów niepewnych, którzyby zdradzili, — że po ramazanie nastąpi zmiana w składzie Porty — i dopieroż — wezmą się seryo do rzeczy. Udałem, że

---

usiłowaniach nad zeuropeizowaniem Turcyi. Otrzymał w 1844 swem staraniem zniesienie kary śmierci na tzw. chrześcijańskich renegatów tj. chrześcijan, którzy po przyjęciu islamizmu wracali do dawnej wiary. Z Koranem w ręku przekonał ministrów tureckich, że Mahomet grozi odstępcom karą śmierci wiecznej, nie zaś doczesnej (The life of Stratford Canning. T. II. str. 89—114)

mnie to nie zraża, powiedziałem, że takie opóźnienie może być nawet z pożytkiem, jeżeli użyjemy wspólnie tego czasu i choć zdziwiony, że on sam nie zaczyna o funduszu, dodałem: «Lecz na to środki od was pójść muszą, my ich nie posiadamy.» Mehemed zapytał, czy chcę mówić o przedstawionem żądaniu stu tysięcy fr. Odpowiedziałem: «Tak.» Na to powiada, że i to odłożone, ale że sułtan ofiaruje xięciu, na opłacenie podróży do Turcyi dwóch ajentów, 25.000 piastrów. Przyjąłem to cierpliwie. Silnie jednak dałem mu poznać, że nie taką mi dali nadzieję Reszyd i Ali. Bardzo był zmieszany. Prosił, aby nie odmawiać daru sułtana. Zapewniałem, że xiążę nie obrazi się tem, ale że rok rocznie o mało nie cztery razy tyle sam składa do kasy publicznej, lecz że główna w tem, że jak sułtan nie rozumie potrzeby funduszu, to x. Czartoryski zmuszony będzie, nie czekając i trzech miesięcy, zaniechać dalszej w działaniu wspólności. Mehemed radził widzieć znowu Reszyda albo pisać do niego. Podjął się sam wręczyć mu pismo, a razem poprzeć. Napisałem obszerny list i nazajutrz Mehemedowi odesłałem. Napisałem tak, jakby potrzeba było dla sułtana i zakończyłem, prosząc, aby list mój został temuż przedstawiony. Zrobiłem to, jak wszystko robimy, by nie zaniechać żadnej rzeczy, żeby nie zerwać z nimi. Rzecz zdaje się oczywista. Niema tu głowy, ani śmiałości potrzebnej, by się chwycić wspólnie z nami drogi wskazanej. Jeżeli się okaże rzeczą podobną utrzymać tu nadal Czaykowskiego, okoliczności mogą zrodzić nowe chęci i rozwinąć stanowczą energię. Ale dziś już na nic nie możemy rachować! Dodać trzeba może na uniewinnienie ich po części, że bardzo mają tępe rozumy i liche w prowadzeniu spraw takich nałogi. Miałem sposobność przekonać się skądinąd, że oni tu są bardzo nieskorzy do wydatków grubszych, gdzie o rzecz publiczną, nie o gratyfikacye chodzi. Rząd obecny zaniedbuje wojsko, obrony krajowe itp. Bosfor nie jest obronny, choć parę milionów zrobiłoby go niedostępnym! Plany

od lat wielu przez pruskich oficerów podane. Ale oni cierpliwi, nie naprzykrzają się.

Reszyd dał mi wiedzieć, że list mój jest pod okiem sułtana. Muszę doczekać się jakiejśkolwiek odpowiedzi. Potem odjadę.»

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«(z Londynu), 29 sierpnia 1847.

Nalegasz, żebym się tu starał nie o jałmużnę, ale o pożyczkę. Zapewne byłoby to pożądanem, ale czy jest możliwem? Nikt nie wyłoży pieniędzy bez nadziei zysku. Anglik obawia się ośmieszenia. Wie, że łatwo go w pole wyciągnąć, to też trzyma się na ostrożności, ale proś go o datek, a, jeśli jest szczodry lub choćby tylko próżny, może ci da. Tutaj nikt nie wierzy w możność odrodzenia Polski. Napróżno usiłuję ludzi natchnąć tą wiarą. Co do mnie osobiście, w miarę jak zyskuję pochwały za dobre serce, odsądzają mnie od zdrowego sądu. Litość bierze, jak mało dotąd zdobyłem. Zaledwie kilka osób podpisało się na roczną składkę. Przykro mi posyłać ci tak zniechęcające wiadomości, gdy oczekujesz czegoś wręcz innego. Tyle tylko dodać mogę, że twój list będę miał stale w pamięci, a jeśli znajdę jakikolwiek sposób spełnienia twych życzeń, zastosuję się do nich.

Wiem, że się ucieszysz świetnem mojem zwycięstwem w Marylebone, po dwumiesięcznej walce wyborczej, mimo intryg wszelkiego rodzaju. W czasie tym byłem naprzemian przedmiotem nienawiści i uwielbienia tłumów. Teraz gdy zostałem członkiem parlamentu z jednego z najważniejszych okręgów londyńskich, wiem że wiele odemnie żądać będą. Czy potrafię okolicznościom sprostać? Nie wiem, a zwłaszcza czy zdołam oddać istotne przysługi naszej sprawie. Wybory dużo mnie kosztowały, gotówką 3.000 f. szt. Sam siebie pytam, czy nie można było lepiej użyć tych pieniędzy? Ale, bądź co bądź, teraz w parlamencie W. Brytanii będzie zawsze choć jeden głos gotów do obrony Polski.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 7 września 1847.

List mój pisany 19 jest pod okiem sułtana. Napisałem drugi z objaśnieniami i uwagami. Stosunki Czaykowskiego z Reszydem utrzymują się poufne. Nadzieja, która dziwnym sposobem coraz to upada, to znów pobłyskuje, która wreszcie tak koniecznie z obowiązku naszego wypływa, trzyma nas znowu dziś w oczekiwaniu i mnie o wyjeździe i myśleć nie pozwala. Czaykowski przynosi w tej chwili odpowiedź Reszyda przez zwykłego pośrednika. Odpowiedź ta potwierdza, co wyżej pisałem, że nie zrywają ani w jednej ani w drugiej rzeczy, ale żądają cierpliwości.

Cieszę się niewymownie lepszem zdrowiem cioci Anny (x. Ad. Czartoryskiej). Czytałem z rozrzewnieniem i najczulszą wdzięcznością słowa jej na popisie (szkoły hotelu Lambert). Miałżeby Bóg tyle cnoty i poświęcenia zostawić bez nagrody? Nie miałżeby w łasce swojej policzyć czyny i ofiary dobrych za tyle niedorzecznych i złym namiętnościom hołdujących? Nie. Ja temu nigdy nie uwierzę. Choć może przyjdzie dobrym i wiernym życiem okupić to zbawienie powszechne, a nie doczekać się tryumfu, tylko przed Bogiem. Gdyby tak być miało, któżby się z dobrych i wiernych użalał i ktoby nie przyjął z radością tej kolei?

Wizyta p. Liszta na osadzie przynosi skutek. Mówił widać na Podolu; o tem donosi Czaykowski.

Z tej biednej Francyi każda poczta przynosi coraz okropniejsze oznaki głębokiego zepsucia! skutków odstąpienia od wiary! Zabójstwo xiężny Praslin jakżeż okropne[1])!

---

[1]) Xiężna de Praslin, córka marszałka Sebastiani, wzorowa żona, matka kilku dorastających córek, zamordowaną została przez własnego męża, członka izby parów, 17 sierpnia 1847. To morderstwo i odkrycie w tymże czasie nadużyć, jakich się dopuścili za swego urzędowania dwaj byli ministrowie, Cubières i Teste, przyczyniło się niemało do wybuchu rewolucyi lutowej, przez pogardę i nienawiść, jakie ściągnęło na wyższe warstwy społeczeństwa.

Słyszę od znającego ich bliżej pana Bourqueney, że w tej rodzinie nie było religii, choć pozory zewnętrzne surowości obyczajów były, a kryły dawny i głęboki domowy nierząd! Czy się przecie upamiętają, czy powrócą do Boga choć ze strachu?»

Montalembert do Władysława Zamoyskiego:

«La Roche en Breny, 12 września 1847.

Rocznica oswobodzenia Wiednia przez Sobieskiego i święto imienia Maryi.

Otóż i jestem znów na wsi na wypoczynku i przy pracy, po ukończeniu obrad parlamentarnych, równie nużących jak daremnych, choć dla mnie zajmujących, a dla parów zaszczytnych. Ale rząd i kraj się obniżają, stopniowo siły tracą — i słusznie. Kto odrzuca wszelką zasadę wzniosłą i wszelką wiarę, z konieczności co dnia głębiej brnie w błoto. Bóg nigdy nie dozwolił, by naród jaki pozbawiony wiary dokonywał przez czas dłuższy rzeczy wielkich. Dawny Rzym i dzisiejsza Anglia zaczerpnęły niewątpliwie w religii pierwiastki swej wielkości. Obaczymy dokąd systematyczne tępienie wszelkiej wiary wśród ludu doprowadzi tę Francyę, której miejsce było na czele Europy chrześcijańskiej. Oby Polska, zmartwychwstawszy, skorzystała z tej strasznej nauki.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Adam-Kiej, 16 września 1847.

List Wuja tu mnie doszedł, gdziem przyjechał na dni kilka z pp. de Barante i Lallemand z poselstwa francuskiego. Chcieliśmy ich ubawić polowaniem na sarny i dziki, których jest niemało. Polowanie nie udało się, bo nie ma osada potrzebnych myśliwskich porządków. Zwierzyna przecież się okazała dość liczna, a goście uprzejmie zadowolili się dobrą chęcią. Teraz bawię tu jeszcze dni kilka dla przygotowania Anglikowi, p. Glascott, inżynierowi, wszystkiego, coby mu ułatwiło prędkie zdjęcie mapy posiadłości naszej, co ma niebawem przed-

sięwziąć. Przedłużam tak pobyt swój. Czekam końca świąt, które czynności rządowe przerywają. Niestety, listy Wuja nie naglą też mego powrotu. Smutne są aż się dusza z ciała wyrywa. Dotknięty w ostatnim liście stosunek z najbliższymi, ich niewiara w prace nasze, niepojęcie, że ta wiara, ta ufność nie z rachuby, ale z obowiązku pochodzi, zarażanie się tą niewiarą młodego pokolenia, chęć spoczynku po tylu trudach i ofiarach, chęć dla dzieci przynajmniej upatrzenia czegoś spokojnego i bezpiecznego, a zaniechanie walki i ofiar, których pożytku nawet dla sprawy niedość się widzi. To wszystko jakoś wyradza się naturalnie z położenia, tak, iż nawet nie wolno już tego i karcić i potępiać surowo. Przychodzi patrzeć na to, jak umierającym w boju, a patrzącym na pierzchających, którzy przed chwilą walczyli mężnie. Słabnienie ducha, który nas jeszcze ożywia, w kobietach i dzieciach naszych, jest nader bolesne. Przecież, jak mówię, nie gniew i zgrozę obudza, ale smutek głęboki, a we mnie odnawia uczucie nieraz już wyrażane, że nam trzeba zastanowić się na nowo nad położeniem i bodaj czy nie przedsięwziąć nowych środków.

Czaykowski odebrał tymczasem od Mehemed-Alego owe 25.000 t(ureckich) p(iastrów), które dla mnie obiecał. Tak więc Czaykowskiego wydatki zapewnione do końca roku.

Ministeryum tutejsze jest niedołężne, nie wiem, jak inne bywały [1]). Ale o teraźniejszem nędzne wyobrażenie się zblizka bierze. Same dobre chęci, ale najwięcej w teoryach. Czy to nie zgroza naprzykład, że dziś zapomnieli jakby o Serbii i środkach, jakiemi ją Moskwie wydrzeć, a do siebie przywiązać mogą i nic potemu nie czynią, ani też dla Bułgarów, a już tylko słuchają da-

---

[1]) Ówczesny w. wezyr, Reszyd basza, był wistocie jedynym mężem stanu i najzacniejszym człowiekiem publicznym, jakiego Turcya wydała w XIX wieku.

wnego instynktu, który im radzi nie ułatwiać Słowianom nabycia samoistności! Nie pamiętają, że, jak jej nie dostaną od Porty, to przez Moskwę i dla niej obróceni będą przeciw Porcie. Już też i postępy Moskwy w Serbii są widoczne. Trzebaby nam Turków w tej mierze opamiętywać nie przez sympatyę dla Serbów, której niebardzo warci, ale przez troskliwość o zachowanie Turcyi.

Ta nasza osada tak mi się podoba, że nieraz marzę o szukaniu na niej Inwalidów dla siebie. Marzyłem dawniej o takowych przy Lipie pod Krakowem! Gby mi się to jedno ziściło w życiu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Stambuł, 27 września 1847.

Kochany i drogi Wuju, czem dalej w życie i smutniej, tem droższy! Oj bardzo smutno, bardzo nas Bóg próbuje! Wytrzymajmyż próbę, choćby i paść ofiarą, byle zawsze chwaląc go i ufając w niego. Cóż możemy świętszego uczynić, jak trwać, a nie rwać się, ani opuszczać. Opuszcza nas wielu, to boli i odejmuje możność osiągnienia blizkich skutków. Bóg przecież inaczej sprawy ludzkie prowadzi, nie tak, jak my, i dziwnym jakimś sposobem zbawia sprawy przez ofiarę pojedyńczych. Jeżeliby nam było dane takiemi być ofiarami dla tej jednej sprawy, której na ziemi służyć usiłujemy, nie byłożby to dla nas najwyższem szczęściem, choćby nie dożyć, nie doczekać się owego zbawienia, byle je z jakąś pełnością duszy i pewnością wiary przeczuć. Tak jest. Na tem dziś i cała nadzieja moja i najwyższe pragnienie, aby się ostatecznie przywiązać do tego, co zdrowe i zbawienne i w tem resztę sił zużyć, aby tę naukę i dążenie przekazać następnym, jeśliby Bóg już nam innej nie dozwolił pociechy. Ależ błagam Boga, żeby mi to zbawienie objawił łaskawie, a zresztą, aby, póki nie odbierze życia, dał moc, to jest wiarę potrzebną, żeby wytrwać.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 27 września 1847.

Poseł moskiewski komunikował Alemu depeszę pana Nesselrode, w której w imieniu samego cara i w wyrazach nader żywych czynione są wyrzuty Porcie z powodu tu obecności mojej. Pan Nesselrode przypomina jakiś traktat z roku, jak mi mówiono, 1780, na mocy którego zapewnione ma być obu mocarstwom prawo domagania się wzajemnie extradycyi pewnych przestępców. Nie zdaje się, aby na tej zasadzie domagano się mojej extradycyi, ale żądają wydalenia mnie z kraju niezwłocznie. Ali odpowiedział, że p. Zamoyski jest gościem posła francuskiego, a zresztą wziął rzecz na rozwagę. P. Cor (pierwszy drogman) dał o tem wiedzieć oficyalnie. P. Bourqueney udzielił mi dziś wieczór tej wiadomości, zaczynając od słów: «Otóż, to dowodzi, jak dobrze zrobiłeś, żeś u mnie zamieszkał.» Dalej rozwodził się nad oczywistością przysług, jakie czynimy Turcyi, kiedy im Moskwa takie daje przyznanie. Uważał, że od serbskiej sprawy nie było ze strony Moskwy kroku podobnego. Jest przekonany, że Moskwa nie ustąpi i że cokolwiekby Porta odpowiedzieć chciała, czy to sama z siebie, czy nawet poparta od niego, Moskwa przy swojem się uprze. Gdym przyrównywał krok ten Moskwy do poprzednich przeciwko Czayce czynionych, p. Bourqueney twierdził, że ton dzisiejszego jest nierównie więcej natarczywy, że przeto przewiduje, że Moskwa posunie się dalej, jeżeliby na opór trafiła. Nim jeszcze to powiedział, skoro tylko miałem sposobność odezwania się, jużem oświadczył, że ja przecie wyjeżdżam. Na co p. de Bourqueney: «To dobrze, ale trzeba wyjechać nie inaczej, jak z honorami wojskowemi.» Nalegał przeto, abym odbył zamierzoną do Brussy podróż, wrócił tu i swobodnie się potem pakował. Ja z mojej strony nalegałem na to, iż nie o mnie idzie, ale że trzeba podeprzeć Portę, aby ona dała Moskwie odpowiedź godną i odparła choć w jakiejś mierze pretensyę Moskwy z okazyi

mojej wniesioną, ale oczywiście dążącą do obalenia całego naszego tu stanowiska, do wydalenia mianowicie Czayki, a potem wszystkich naszych. Mówił: «Biorę to na siebie, szczególniej kiedy chodzi o Czaykę, który tak doskonale umie zachować właściwą miarę i zastosować się do chwilowej potrzeby; nie obawiam się ani o niego, ani o innych.»

Posłowi angielskiemu (Ali) mówił ze zgrozą, że depesza cesarska wymawia mu przyjęcie mnie u siebie i że odpowiedział wprost na to, że, znając mnie i widując w najpierwszych towarzystwach Londynu i Paryża, nie mógł i nie chciałby nigdy zaprzeć się tu mojej znajomości. Pan Bourqueney przy tej okazyi kilkakrotnie wyrażał, że pobyt mój u niego był im nader przyjemnym i że nieraz, przewidując mój wyjazd, nie wiedzieli, mąż i żona, jakby im w domu było beze mnie i tym podobne grzeczności. Nie taił przecie, że przez mój pobyt u niego Moskale «skazali go na kwarantannę». «Tytow», (poseł moskiewski), o którym zawsze mawia z szacunkiem i przyjaźnią nawet osobistą, «już nie był u mnie od przeszło miesiąca, poseł austryacki od tygodnia wchodzi w jego ślady.» A tego pana Stürmer kocha! i miewał go u siebie niemal codnia rano. To jednak powiedziawszy, nie chciał słyszeć żadnych moich z tego powodu żalów.

Jutro jest wielki obiad dyplomatyczny w obozie pod Skutari, gdzie sułtan od dni kilku fetuje jakby cały lud swój z powodu obrzezania syna swego. Poseł płynie do tego obozu statkiem parowym, a posłowa niezaproszonych na ten obiad traktuje obiadem na tymże statku. Miałem płynąć z nią i Czayka był proszony. Ale po tej komunikacyi mnie dotyczącej, wymówię im się i Czaykę uprzedzam, żeby nie zjeżdżał. Choć oni oboje, a ona jeszcze bardziej, są niby odważni, sądzę, że im się jutro narzucać nie należy. Pojutrze pojadę do Brussy, za dni osiem wrócę. P. Barante, umówiwszy się ze mną, by tę podróż odbyć razem, trwa z bohaterską odwagą przy tym

zamiarze. Ani znaku nie daje wahania, choć dość jest uderzony tym krokiem Moskwy. Ja go nie upamiętuję. Niech się młody choć trochę okaże niepodległym. Ma czas na wiele jeszcze kroków innego rodzaju, jeżeli się do nich poczuwać będzie. Są w nim niezaprzeczone szlachetne popędy, ale niema zapału.

P. Tytow musiał pana Bourqueney uprzedzić, że jego zastępca, Ustynow, przed powrotem jego napisał ognisty o mnie raport do cara, bo p. Bourqueney mówi, że p. Tytow ganił ton tego raportu i ubolewał nad nim.

28 września. — Intrygi w Porcie niesłychane. Trudno przewidzieć, co nastąpi i kto kogo zrzuci i zastąpi.

P. S. Pobyt mój w Rzymie zapewne będzie mógł mieć swoją użyteczność, kto wie czy zimy całej nie zajmie. I byłoby to z wielu miar przyjemnie, gdyby to nie przedłużało mego oddalenia od Wuja. Boli mnie, że nie jestem mu pomocą, a czasem jakąś pociechą. Boli nie być blizko tych dzieci, które tak kocham, a widzę, iż im moje kochanie tak mało przydatne.

Zdaje się, iż niezręczne wkroczenie Austryaków do Ferrary [1]) dało popęd silniejszy i pewniejszy ruchowi Włoch. Gdyby była Giovine Italia (Młode Włochy) podobnie wybuchła, byłaby dała Austryi korzyści, które dziś rządom i roztropnej większości Włoch służą. Dobrze jest pojedyńczym Polakom oświadczać gotowość służenia stolicy świętej. Ale papież tego ani potrzebuje, ani zwłaszcza korpusem, legią przyjąć może [2]). Sądzę, iż Wuj powi-

---

[1]) Na mocy traktatu wiedeńskiego Austrya utrzymywała załogę w cytadeli ferrarskiej, ale nie miała prawa wkraczać do miasta, które stanowiło część państwa kościelnego. Wskutek znieważenia oficera austryackiego przez gwardyę obywatelską, Austryacy zajęli miasto 16 sierpnia 1847, pomimo protestu kardynała legata Romanii.

[2]) Była to zapewne odpowiedź na list x. Adama z 10 września 1847: «Jełowicki (Alexander) proponuje legię polską, a przynajmniej przywołanie oficerów na wymusztrowanie gwardyi narodowej (rzymskiej). Mówią, że i demokracya licznie ofiarowała się ojcu św.»

nieneś przypomnieć się pamięci ojca św. i zapewnić o gotowości Polaków, ale ogólnie tylko, i jemu zostawiając wskazanie środków służenia sobie.

P. S. Wuj zapewne nie czytałeś mowy ojca Ventury[1]) w Rzymie na egzekwiach O'Connella mianej[2]). Pyszna i nader ciekawa.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Terapia, 7 października 1847.

Wracam tej chwili z ośmiodniowej przejażdżki do Nikomedyi, Nicei i Brussy, którą odbyłem z p. Barante, miłym bardzo towarzyszem. Podróż dość ciekawa, czasem nadto męcząca, bo raz dwadzieścia dwie godzin byliśmy w ruchu, prawie bez spoczynku. Jednak zdrów jestem.

Turcy się wstydzą za tak liche i płaskie przyjęcie żądań Moskwy w rzeczy mnie dotyczącej. P. Bourqueney coraz silniej, jak słyszę, występował, zastrzegł przyszłość od podobnych uroszczeń. Ze wszystkich dygnitarzy tureckich najgoręcej i najszlachetniej odzywał się poczciwy Mehemed-Ali.

Czytam z radością (w liście xięcia), że już budżet na 1848 zapewniony i Boga chwalę za to i Dudleya kocham, choć on się nieco ofuknął na mnie za napisanie, że, choć nie obiecali, dali nam przecie prawo spodziewania się przyjaciele nasi angielscy, że xięciu zapewnią roczne subsydyum na wydatek publiczny. Poczciwy i nieoszacowany Dudley w nieskalanej czystości duszy ma czasem drażliwość wielką na słowa. Cieszę się bardzo, że zjechał do Paryża. Dobrzeby było, żeby częściej bywał i coraz więcej wiedział o naszych pracach i uspasabiał się do poważnego odzywania się w izbie niższej.

---

[1]) Joachim de Raulico Ventura (1792 — 1861), słynny kaznodzieja włoski, Jezuita, potem Teatyn. Gorący zwolennik zjednoczenia Włoch i pogodzenia kierunku liberalnego z katolicyzmem.

[2]) O'Connell umarł w drodze do Rzymu, w Genui, 15 maja 1847. Testamentem polecił złożyć swe serce w wiecznem mieście.

Niech jednak z tem nie spieszy, niech wprzód wyborcom nieco pochlebi, żeby go w przyszłej elekcyi nie odstąpili.

Bardzo a bardzo chwalę myśl posłania Chrzanowskiego ojcu św., byleby ojciec św. poznał się na tej propozycyi. Wszelkie inne zamysły, legii itp. uważam za niewczesne. Siła Rzymu jest najbardziej moralna, wojennych a zwłaszcza zaczepnych pozorów unikać Rzym będzie i powinien. Bardzo też dobrze, że zapał Polaków okazuje się w tym kierunku, ale równie dobrze, że Wuj tylko praktyczną ofiaruje z nas pomoc. Wysłanie ajentów do armii austryackiej i do grenzerów (pogranicznej ludności słowiańskiej) naszym tylko kosztem się dokona; rząd papieski nie będzie umiał dać nam na to pieniędzy. Tylko my ajentów miejmy gotowych. A o to bardzo trudno. Iluż to próbujemy, a ilu się okazało zdatnymi.»

Michał Czaykowski do x. Adama:

«Carogród, 16 października 1847.

P. Zamoyski dnia jutrzejszego odjeżdża do Aten. Z żalem widzimy jego odjazd; dobrze nam z nim było! Radzibyśmy byli razem z nim iść do Polski, a nie widzieć go wracającym do Francyi. Po odpowiedzi pana de Bourqueney Porcie, ministeryum tureckie, stosownie do jego rad, odparło napad Moskwy, poczem poselstwo moskiewskie zamilkło i p. Zamoyski odjeżdża nie wskutek żądania Moskwy, ani naglony postrachem Turków; odjeżdża, bo tak naprzód jeszcze postanowił czas swojego wyjazdu. To zwycięstwo należy się rozumowi i dzielności pana de Bourqueney.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Na statku parowym do Aten, skąd list ten pójdzie, 21 października 1847.

Już tedy płynę napowrót. Opuściłem Stambuł 17, kwarantannę siedmiodniową odbędę w Pireu, 27 będę w Atenach.

Ostatni mój tydzień w Stambule był użyty dobrze i szczęśliwie. Najprzód prokurator księży Lazarystów,

ksiądz Fougeraye, w niebytności przełożonego, księdza Doumercq, objechał z nami granicę osady i z wielką uprzejmością nietylko trudnym się nie okazał, ale na całym prawie okręgu granicę nam rozszerzył znacznie, co naszym osadnikom dodało nowej otuchy i zaufania w przyszłość swoją, a co z drugiej strony świadczy o położonem w osadzie zaufaniu. W rzeczy samej ona jedna na tej obszernej posiadłości pomyślnie się rozwija, kiedy inne części rozmaicie użytkowane same tylko wydatki sprawiają, chociaż w korzystniejszych od naszej osady położeniach i gruntach. W sam dzień, kiedy się ta objażdżka odbywała, rodziło się czwarte na kolonii dziecko, które też zaraz ochrzciliśmy.

Dnia 9 napisałem znowu do Reszyd baszy, zapowiadając mój wyjazd i żądając stanowczej odpowiedzi. Dnia 16 nakoniec, w wilię wyjazdu, nie doczekawszy się żadnej, napisałem raz jeszcze do Alego po przyjacielsku, ale surowo. Odpowiedź tę załączam, datowana 14, oddaną mi została przez zwykłego pośrednika dopiero na statku w chwili wyruszenia. Napisana ręką Alego, ale pośrednik oddał mi ją jako pochodzącą od Reszyd baszy. Ten jest tedy rezultat mojego trzech przeszło miesięcznego pobytu: obietnica. Obietnica ta, przypuszczam, że jest szczera. Ale, miarkując z opieszałości, z jaką własnym służą sprawom, lękać się można, że mimo oświadczonej nadziei, zwłoka ta bez miary przedłużać się będzie.

Nieobojętne przy wyjeździe moim były oznaki uprzejmości znajomych, należących do służby krajowej. Ahmet effendi, figura już dość ważna, przybył na statek parowy i także od swego naczelnika Alego oświadczył pożegnanie w wyrazach znaczących, widocznie con intenzione. Ten Ahmet jest ze wszystkich Turków najświatlejszy, jakiego widziałem. Przyszli mnie żegnać i inni mniejsi. Między nimi redaktor Dziennika Stambulskiego, a wszyscy wiedzieli, że zabawnym trafem tak się złożyło, że Ustynow, były zastępca p. Tytowa, ten właśnie, który tak ostro

nastawał na moje wydalenie, wziął na tymże statku miejsce, jak ja, do Aten[1]). Pan Bourqueney był do ostatniej chwili najserdeczniejszy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Ateny, 30 października 1847.

O jakże żałuję, że tu Wuj nie jest ze mną! Wystawiałem sobie, z jakąby rozkoszą oglądał to miejsce tylu szczytnych wspomnień i pełne poezyi. Niepodobna oprzeć się wrażeniu, jakie sprawia widok tych szanownych i tak nieporównanie pięknych zabytków i tych miejsc tak pięknych w sobie i tak uroczych przez nazwiska do nich przywiązane. Porty Pireu i Falery, Aegina, Salamis, Maraton, Akademia, Areopag, groby Cekropsa, Tezeusza, Temistokla, Tymona i tylu innych. Partenon, Akropolis, przepyszne po dziś dzień; więzienie Sokratesa, a najbardziej może Pnyx zbyt mało wspominany a tak ciekawy, niegdyś forum ateńskich obrad, miejsce, z którego mówili Demostenes i Perykles, to miejsce tak doskonale jeszcze oznaczone, bo w skale stopniami wykute, na których widocznie zasiadali starsi. Przed nimi, zupełnie jak w izbie francuskiej, miejsce, gdzie stawał mówca pod niebem, i jakiem niebem, mając za sobą morze i dwa porty, a przed sobą miasto, Akropolis, w odległości, za górą, Maraton, po lewej Eleuzis świętą i Salaminę, pod samem wzgórzem na widoku pyszną świątynię i grób Tezeusza, — najlepiej ze wszystkich po dziś dzień dochowaną. Na tem miejscu, wyznaję, najżywiej mi się wyobraziło wielkie życie, wielcy ludzie i wielkie dzieła, które się tu sprawiały. Do Maratonu wybieram się. Jest i miejsce, w którem święty Paweł nauczał. Miłe zawsze takie zakończenie wspomnień starożytności. Potem znowu na Akropolis między szczątkami Partenonu i drugiej obok świątyni Minerwy, Erechtejon zwanej, i nader pięknego Propyleum czyli wschodniej bramy, liczne odłamy bomb

[1]) Niezadługo potem Ustynow w tragiczny sposób zatonął.

weneckich Morosiniego[1]), który burzył tylko wtenczas, kiedy nasz Jan III oswabadzał, i bomb tureckich i greckich za świeżego powstania, bez których te śliczne dzieła sztuki byłyby dożyły naszych czasów od lat pięciuset przed Chrystusem!

Zastałem tu znowu ludzi bardzo uprzejmych, ale między sobą zawzięcie spór wiodących, posła francuskiego, p. Piscatory i angielskiego, sir Edmunda Lyons[2]). Jeden i drugi po kilka już godzin opowiadali mi swoje tu czynności. Jestto tem ciekawszy dla mnie przedmiot, że dźwiganie się tego kraju przedstawia liczne z naszem położeniem podobieństwa. Poseł angielski, człowiek prawy, ale prostego, nieokrzesanego rozumu, impetyczny, próżny, jedną ciągle zajęty myślą, żeby rząd tutejszy konstytucyjnie rządził. P. Piscatory przeciwnie, człowiek liberalny jak monarchia lipcowa, ale arcypraktyczny, sprytny i śmiały, widzi, że, choć naród ten chce pewnej swobody, nie rozumie przecież wcale form konstytucyjnych i mało dba o nie. Zajęty handlem, patrzy zazdrośnie na dwa tylko przedmioty, których bronić zawsze gotów: na wiarę i narodowość, czyli ogólnie pojętą wolność opartą na królu i królewskości.

W tym narodzie jest przecież parę tysięcy osób, do których przystały nieco pojęcia zachodnie, obce reszcie kraju. Tych to sir E. Lyons chce uważać jako czoło narodu. P. Piscatory owszem szuka siły rządu w poparciu masy mniej światłej i którą arcykonserwatywną i arcyrojalistyczną mieni. W takiem to społeczeństwie trafnie i ciekawie p. Piscatory uważa, że było błędem zaprowadzać na wzór zagraniczny senat dożywotni i izbę poselską Wistocie pokazuje się, że w izbie wybranej przez

---

[1]) Franciszek Morosini (1618—1694), admirał wenecki, obrońca Krety, zdobywca Peloponezu.

[2]) Sir Edmund Lyons, od 1856 lord Lyons (1790—1858), admirał i dyplomata, dowódca floty angielskiej podczas wojny krymskiej.

powszechne głosowanie, bo takie jest prawo wyborcze, rząd znajduje z łatwością poparcie i większość. Przeciwnie w senatorach, jakby naszych dygnitarzach, mających nietylko niezależne od rządu miejsca, ale pobierających pensye od rządu, napotyka na stałą opozycyę. Otóż ciekawy wywodzi z tego wniosek p. Piscatory, że dla Grecyi stosowniej było mieć izbę jedyną, rodzaj narodowego kongresu, niż dwie izby, z któremi trudna dziś rada. Kongres taki, zgromadzany co lat dwa lub trzy, byłby niejako sędzią i rękojmią czynności rządu, ale nie obciążałby tego rządu ciągłem czuwaniem i braniem udziału w jego czynnościach.

Pomysł ten wydał mi się trafnym i zastosowanym do potrzeb narodu przeszłości ani tradycyi nie mającego t. j. nieprzerwanych tradycyi i uświęconych przez wieki instytucyi. Cokolwiekby warta była ta teorya, p. Piscatory, od lat czterech, opierając się na tej masie mieszkańców, mającej w Kolettim[1]) swego wyobraziciela i radząc królowi, aby się tej strony trzymał, ma tu stałą górę nad innemi obcemi wpływami. Część konstytucyonistów, niby kaliszanie nasi, od posła angielskiego wspierana, na głowę pobita. Wpływ Moskwy bardzo zachwiany wyjawieniem się tak widocznem w chwili rewolucyi 1843, że jej dążeniem i pragnieniem było, aby król się oparł żądanym reformom i raczej abdykował. Owa też masa narodu, acz skłonna ku Rosyi przez wspólną dla Turków nienawiść i nadzieję ich zastąpienia, skłonna także dla wiary wspólnej, zbliża się znacznie do partyi Kolettego i jego następców, która tu nazywa się partyą francuską. Między nielicznymi Grekami, których widziałem, widzę tę podwójną skłonność: ku Moskwie dla nadziei rozszerzenia granic, a ku Francyi i Zachodowi dla wewnętrznego urzą-

---

[1]) Johannis Kolettis (1788—1847), jeden z bohaterów greckich w walce o wolność, następnie poseł w Paryżu; umarł na stanowisku prezesa ministrów. Szukał poparcia u Francyi, czem zraził sobie Anglię.

dzenia się, a nawet dla zasłonienia się od grożącego zaboru Moskwy. Tymczasem sir E. Lyons zwierza się pełnomocnikowi moskiewskiemu, p. Persiani, i wspólnie z nim naradza się, jak ratować zagrożoną przez palikarów konstytucyę, a p. Piscatory niezmordowanym zachodem i pochlebstwem ujmuje sobie p. Prokesch[1]), posła austryackiego i p. Werther, pruskiego, żeby zdejmować z siebie pozory rewolucyjnego działania. Ciekawe jest świadectwo p. Piscatory, że w czasie, kiedy się knuła rewolucya, którą p. Katakazy[2]) miał nadzieję wysadzić króla, poseł pruski, Brassier de S. Simon[3]), najczynniej moskiewskiemu dopomagał. A to się działo 1843, już w kilka lat panowania dzisiejszego króla pruskiego, i wtenczas, kiedy otaczający go ludzie najmocniej zapewniali, że nowy król nienawidzi Moskwy. Takie to zawsze Prusy!

Zabawię tu do 3. Popłynę do Napoli di Romania. Pora roku słotna nie da mi zwiedzić Peloponezu, poprzestanę na Argos, Mykenie i Koryncie. Z pod Koryntu popłynę do Patras. Stamtąd statkiem angielskim przez Zante do Malty. Około 15 lub nieco później powinienem stanąć w Neapolu, a około 1 grudnia w Rzymie, akurat w rok po wyjeździe moim z Rzymu. Długa podróż, długie nadewszystko rozstanie z Wujem drogim.

Cierpię na brak listów. Ale tu zastałem jeden dawniejszy, w którym mowa o owem powszechnem w kraju zdaniu, że trzeba doczekać się czasów lepszych, a oraz, że, choćbyśmy się dziś dźwignęli, albo gdyby nas dźwignięto, nie dalibyśmy sobie rady, nierząd sprowadziłby obce pa-

[1]) Antoni hr. Prokesch-Ostein (1795-1876), pełnomocnik austryacki w Atenach 1834-1849, następnie poseł w Berlinie, Frankfurcie, Stambule.

[2]) Gabryel Antonowicz Katakazy, pełnomocnik moskiewski w Grecyi 1840—1843, za niezręczne wmieszanie się do ówczesnej rewolucyi, pozbawiony urzędu.

[3]) Brassier de Saint-Simon-Valade (1798—1872), pełnomocnik pruski w Atenach, Sztokholmie, Turynie; poseł w Stambule 1862 i Rzymie 1870.

nowanie napowrót. Ani się temu dziwię. Ten tylko zdolny będzie oprzeć się nierządowi, który nie doczekać się, ale dopominać lepszych kolei umie. W mojem mniemaniu to nas zmusza pracować nad wykształceniem pojęć, a czynności nasze polityczne ograniczać na polu zewnętrznem. Niewdzięczna to praca! Bolesny koniec, jaki nas przed jej dokonaniem spotkać może, bolesne podobieństwo złożenia kości naszych zagranicą, skoro rozumy nasze tak są tępe! A przecież, przyjąwszy i ten wyrok Boga z miłością ku niemu, możnaby się i uspokoić nieco i znaleźć nowe siły do tej pracy, jedynej, jaka nam pozostaje: tworzenia pojęć zdrowych i zagranicznych stosunków. Obyśmy tylko kilku młodym potrafili pracę tę przekazać, aby się nie skończyła z nami, aby kraj nie pozostał znowu w martwem oczekiwaniu wypadków i w zupełnem do nich nieprzygotowaniu!»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Płynąc z Patras do Malty, 12 listopada 1847.

Opuściłem Ateny 3. Sir E. Lyons zabrał mnie na swój okręt żaglowy i popłynął ze mną do Epidauros. Tam w okolicy zwiedziliśmy razem parę miejsc zajmujących. Potem ruszyłem sam konno do Nauplii. Zwiedzając miejsce, gdzie Kapodistrias był zamordowany (9 paźdz. 1831), myślałem o Wuju, który go oceniałeś lepiej. Straszna to była na niego kara za pozór służenia widokom Moskwy. Umysły dziś dopiero w kraju zaczynają poznawać, iż to był pozór, a że zawziętość przeciw niemu pochodziła od ludzi, których obrażała chęć wprowadzenia rządu regularnego. Dobra to jednak jest rękojmia powszechnego u Greków usposobienia przeciw Moskwie, usposobienia, które mimo istniejącego nazwania partyi moskiewskiej, zdaje się po dziś dzień powszechnem.

O greckich sprawach nie piszę, choć o nich dość obszernie poinformowany zostałem, tak dalece, iż po rozstaniu się z posłem angielskim ośmieliłem się napisać do francuskiego list, który w swojej zarozumiałości mnie-

mam, iż mógłby ich, jeżeli nie w prowadzeniu interesów pojednać, to przynajmniej przywrócić między nimi stan zwyczajnych, dziś zerwanych towarzyskich stosunków. Jeden i drugi chwycili się mnie, by mi się obszernie tłomaczyć i z prywatnych uraz i z widoków swoich o rzeczy greckiej. Dosyćby nam to jednak mogło posłużyć, gdyby ta okoliczność zbliżyła choć powierzchownie dwóch posłów. Jeden i drugi oświadczali mi chęć pojednania takiego i dla pozoru i dla samego nawet gruntu rzeczy. Nikt zaś może w tej małej mieścinie nie był w takiem położeniu, by mógł, a zarazem chciał tego pojednania.»

II

IL RISORGIMENTO

LISTOPAD 1847 — LUTY 1848

«Gdy przybyłem do Rzymu, pod koniec listopada 1847, po raz drugi za panowania Piusa IX, zastałem całe Włochy zachwycone wzbudzoną przez ojca św. myślą i nadzieją wspólnej włoskiej ojczyzny. Marzyli wprawdzie o niej poprzednio patryoci jak Balbo[1]), Massimo d'Azeglio[2]), Gioberti[3]) i inni, których nazwano mężami odrodzenia,

---

[1]) Cezary hr. Balbo (1789—1853), Piemontczyk, umiarkowany liberał, autor słynnej broszury: «Delle speranze d'Italia», wydanej 1844. Prezes ministrów w Turynie 1848—1849.

[2]) Massimo Taparelli, margr. d'Azeglio (1798—1866), Piemontczyk, przeciwnik zarówno absolutyzmu jak i republikanizmu, co wyraził następującemi słowami, które obiegły całą Europę: «Gdy przypatruję się ojcowskim rządom monarchów despotycznych, chciałbym być sierotą; gdy rozważam braterskie postępki demokratów, pragnę być jedynakiem.» Prezes ministrów za Wiktora Emanuela I, 1849—1852, następnie gubernator Lombardyi. Z początku stał na stanowisku unii między poszczególnemi państwami włoskiemi, potem pracował nad zjednoczeniem Włoch pod berłem domu sabaudzkiego, wszakże ze stolicą nie w Rzymie, lecz we Florencyi, dla uszanowania samodzielności i powagi papieży.

[3]) Vincenzo Gioberti (1801—1852), Piemontczyk, ksiądz, myśliciel i mąż stanu. Za sprzyjanie republikanom więziony i wygnany w 1833. Przyczynił się, jak nikt może, do wyrwania Włochów z odrętwienia narodowego swą broszurą: «Del primato morale e civile degli Italiani», gdzie wykazywał im ogromne zasoby moralne i materyalne ich plemienia i kraju. W innych broszurach wskazywał na Austryę, jako główną przeciwniczkę jedności włoskiej. W 1848 przez krótki czas był prezesem ministrów i posłem w Paryżu. Umarł tamże oddany pracom filozoficznym.

«risorgimento». Różne w tym duchu wychodziły druki, książki i broszury, ale głośne na tem polu wystąpienie papieża nadało sprawie niezrównany rozgłos i powagę. W Piusie IX myśl ojczyzny włoskiej po raz pierwszy znalazła przedstawiciela i rzecznika, który zamiast samych tylko wspomnień z przeszłości, żalów i nieokreślonych marzeń, zamiast spisków i stowarzyszeń czysto rewolucyjnych, zamiast dążności do burzenia, pierwszy wprowadził włoskich patryotów na drogę tworzenia nowego stanu rzeczy, o tyle zbawiennego, o ile przeprowadzanego środkami godziwemi.

Przykład Piusa IX stał się nie powodem, bo powody były liczne i naglące, ale hasłem dla króla Obojga Sycylii i króla sardyńskiego do nadania ludom swym ustaw konstytucyjnych. Sam wielki xiążę toskański, porwany zachwytem powszechnym, chociaż z rodu arcyxiążę austryacki, blizki krewny cesarza Austryi, wystąpił podobnie z manifestem, w całem słowa znaczeniu włoskim, a więc otwarcie wrogim Austryi.

Piękny to był widok, a dla mnie niewypowiedzianie miłe wspomnienie, że byłem świadkiem, a nawet stałem się uczestnikiem zbudzenia się ze snu wielkiego narodu, nie w gorączce, nie na drogach zdrożnych i zgubnych, nie przez nienawiść i burzenie istniejącego porządku, ale w miłości i zgodzie między wszystkiemi częściami narodu, przy zachowaniu starodawnych żywiołów nawet różnorodnych, byle przedewszystkiem dążyć do wyzwolenia z pod najazdu i długoletniego wpływu obcych.

Choć byłem świadkiem wielu już tak zwanych rewolucyi po różnych krajach, jeszcze było to dla mnie zagadką, jak sobie ludy radzić mają, gdy się przepełni miara ciążącego nad niemi bezprawia albo bezładu: rewolucyą czy też bez niej. Na widok Włoch i ruchu, jaki się w nich objawił pod natchnieniem Piusa IX, zdawało mi się, jakoby świat doszedł do nowego odkrycia, do nowego a zbawiennego rodzaju rewolucyi, poczynanej nie

z dołu ku obaleniu władzy, ale z góry od samych panujących, nie przy okrzyku «precz z tem lub owem», lecz «dziękujemy», nie «pereat», lecz «vivat». Wistocie między wszystkiemi podówczas włoskiemi ludnościami potrzeby i żądania powszechne jednym się objawiały okrzykiem: «evviva». Zaczęło się w Rzymie od «evviva Pio nono!» Wkrótce powszechne jakby echo na całym półwyspie, odbijało się w słowach «evviva Carlo Alberto! i Ferdinando!» itp. Panujący zaś powszechnym porwani entuzyazmem, co większa, ośmieleni ufnością okazywaną im ze strony, która dotąd samą tylko dawała im poznać nienawiść albo szyderczą niechęć, ogłaszali jeden za drugim, wśród jednogłośnych oznak radości, nowe a pożądane ustawy konstytucyjne[1]). Nadania te, przy okazanej przez panujących dobrej woli, z dobrą wolą nawzajem przyjmowane były. Sam papież ustanowił, że do sprawowania rządów państwa, poza obrębem spraw Kościoła, świeckich odtąd używać będzie doradców, wszakże nie powołał ludu swego do mianowania przez wybory członków tego ciała doradczego, zwanego «consulta romana»[2]). Sam do niego z każdej prowincyi po dwóch mianował obywateli[3]). Prowincyi państwo rzymskie liczyło dwanaście, z miasta Rzymu dwóch osobnych mianował. Dobór był tak szczęśliwy, że głos powszechny odrazu ich powitał, jako najgodniejszych z każdej okolicy i najzdolniejszych odpowiedzieć powołaniu przedstawicieli narodu. Przy tak trafnym wyborze, o tyle więcej miała uroku konsulta, że się składała z mniejszej liczby członków, niż to bywa w zgromadzeniach podobnych.

Wielkiem ułatwieniem w zbliżeniu się do członków konsulty była dla mnie obecność w Rzymie lorda Minto,

---

[1]) Karol Albert 8 lut. 1848, Ferdynand 10 lut., Leopold 15 lut.

[2]) Ustanowiona 19. 4. 1847, zebrała się po raz pierwszy 15. 11. 1847.

[3]) Papież wybierał w każdej prowincyi z pomiędzy trzech kandydatów, przedstawionych mu przez rady prowincyonalne na mocy wyborów gminnych. (Correspondance politique d'Azeglio. Str. 27)

którego od lat wielu znałem w Anglii i Szkocyi, najprzód kiedy przyjechał z Berlina, gdzie był posłem angielskim, potem jako członka gabinetu. Po różnych stolicach Włoch, w Sycylii nawet, przesiadywał z żoną i kilku dorastającemi córkami. W Rzymie miał dom otwarty co wieczór, często dawał obiady. Widocznie szukał stosunków z wszystkimi ludźmi politycznymi. W domu lorda Minto co dnia mogłem napotykać członków konsulty, monsignorów, rozmaite pełniących urzędy, pisarzy i artystów znakomitych.

W pierwszym rzędzie stał Massimo d'Azeglio, z którym zawiązana przyjaźń była mi odtąd istnem w życiu bogactwem. Zawdzięczałem okazaną mi odrazu przez Azeglio życzliwość dwom innym przyjaciołom młodości, Jerzemu i Józefowi Sobolewskim. Massimo d'Azeglio, jako Piemontczyk a nie poddany papieski, nie należał do konsulty, ale był w całych Włoszech znany i ceniony z wydawanych od czasu do czasu krótkich broszur patryotycznych, pełnych zdrowego sądu i praktycznych poglądów. Był też zięciem słynnego powieściopisarza Manzoni[1]). Udarowany talentem do malarstwa i muzyki, przez wszystkich, a jak mówiono za młodu przez płeć piękną, szczególniej był lubiony. Mnie odrazu powitał jakby znajomego, mówiąc, że wie o mnie przez Sobolewskich.»

W ówczesnym liście Zamoyskiego do lorda Dudley Stuart znajduje się następująca charakterystyka Massima d'Azeglio (27 stycz. 1849): «Jestto mój najlepszy przyjaciel we Włoszech, — nie mój Dudley, bo takich dwóch nie

---

[1]) Alessandro hr. Manzoni (1785—1873) Medyolańczyk, autor słynnej powieści «I promessi sposi», mającej na celu rozbudzenie patryotyzmu we Włoszech. Żarliwy zwolennik jedności włoskiej, do której przyczynił się w swym zakresie, uznając dyalekt toskański za język literacki całych Włoch.

napotyka się w życiu, — niemniej człowiek szlachetny, wielkoduszny, przytem roztropny. Mamy wzajemne do siebie upodobanie i przy sposobności okazujemy je sobie. Azeglio, istotnie, ma z tobą jakieś podobieństwo. Należy do najlepszego towarzystwa, jest gorącym miłośnikiem ojczyzny, a przytem człowiekiem europejskim. Nawskroś rycerska dusza, wolny od wszelkich uprzedzeń aż nadto, co mu jednakowoż nie odejmuje uroku. Jego utwory są jak jego życie, proste, uczciwe, do rzeczy, śmiałe, a dowcipne i cięte, gdy zechce.»

«Pius IX tak był przystępny niemal dla każdego, że, ilekroć się dwóch, mających jakikolwiek udział w sprawie publicznej, spotkało, witali się zapytaniem: «Kiedy widziałeś ojca św., a co ci powiedział?» i t. p. Ja sam kilkakrotnie korzystałem z tej łatwości. Pamiętam dnia jednego, spotkawszy Massima d'Azeglio, zacząłem od zwykłego pytania: «Czy dawno widziałeś papieża?» — «Widziałem wczoraj, a przy tej sposobności popełniłem wielkie głupstwo.» — «Cóż takiego?» — «Ano, jak wiesz, on tak rozmawia poufnie, że się człowiek z nim zapomina. Więc i ja, mówiąc nieoględnie, przebrałem miarę jego cierpliwości. Siedzieliśmy przy rogu jego biurka, miałem rękę opartą na stole, wtem papież swoją rękę na mojej położył i lekko nią potrząsł, jakby mnie chciał do przytomności przywołać. Zapytałem, co to być miało. Odpowiedział z dobrocią: «Zapominasz, do kogo mówisz.» Znów zawstydzony powtórzyłem zapytanie, w czem mogłem uchybić. — «Do mnie mówisz», rzekł, «a używasz wyrazu pretesca.» — Jakby kto po polsku o stanie duchownym powiedział popi, po francusku prêtraille. — «Naturalnie», dodał Azeglio, «przeprosiłem i skończyło się na tem, alem się bardzo zawstydził, że mnie dobroć jego doprowadziła do takiego zapomnienia.»

W trzy lata później miałem sposobność przypomnieć tę okoliczność samemu d'Azeglio, kiedy był pierwszym

ministrem Piemontu. Wówczas to jego minister spraw wewnętrznych, Cavour[1]), wstąpił po raz pierwszy na drogę sporu z krajowem duchowieństwem i stolicą św. Pozwoliłem sobie ostrzedz po przyjacielsku Massima d'Azeglio, że po raz drugi popełnia błąd lekceważenia Kościoła w osobie duchowieństwa. Ostrzegałem, że go Cavour na tej drodze zaprowadzi dalej, niż sam przewiduje, a zwracałem uwagę na to, że mocarze najpotężniejsi na sporze z Rzymem wychodzili zawsze najgorzej.

Posłem francuskim w Rzymie był hr. Rossi[2]), mój dawny profesor z akademii w Genewie. Jako członek francuskiej izby parów, powaga pierwszorzędna polityczna w Paryżu, członek niemal corocznie komisyi gotującej adres w odpowiedzi na mowę tronową, wreszcie jako redaktor kroniki politycznej w Revue des deux mondes, pilnie bywał przez lat wiele odwiedzany przezemnie, najczęściej wraz z x. Adamem, w chwili otwarcia izb prawodawczych.

Pius IX w początkach panowania swego zdawał się wyłącznie zajęty przyszłością Włoch, nie brakło jednak dowodów, że był czujnym również na polu Kościoła powszechnego. I Polska już znalazła miejsce w jego pracach. W 1847 (3 sierpnia) konkordat, podpisany z carem, stanowił o prawach i obowiązkach duchowieństwa w cesarstwie moskiewskiem i w tzw. Królestwie Polskiem. Akt ten wprawdzie wiele zostawiał do życzenia, świadczył przecie o troskliwości stolicy św., a główna wartość jego objawiła się w dołączonym do niego wstępie, świadczącym,

---

[1]) Camillo Benso di Cavour (1810 – 1861), Piemontczyk, twórca jedności Włoch. Jako prezes ministrów 1852—1859 i 1860—1861 nietylko kierował umiejętnie polityką wewnętrzną i zewnętrzną kraju, ale podniósł jego handel, rolnictwo, skarbowość.

[2]) Pellegrino hr. Rossi (1787—1848), rodem Włoch, od 1819 wygnaniec polityczny w Genewie, od 1835 w służbie francuskiej, od 1848 w służbie papieskiej. W tymże roku zamordowany przez rewolucyonistów rzymskich.

że ojciec św. nie zdołał wprowadzić do umowy wszystkich zastrzeżeń pożądanych, ale że niemniej uznał za właściwe przyjąć od cara moskiewskiego i te zobowiązania, do jakich dał się nakłonić. Sama Moskwa dała poznać wagę tego postanowienia stolicy św. Ogłosiła w pismach treść konkordatu, wstępu nie ogłosiła[1]) »

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 28 listopada 1847.

Rzeczy tu idą trybem spokojnym, nie tak gorącym, jak się z pewnych względów spodziewać, z innych lękać można było.

Hr. Ludwik Mastai, o którym Orpiszewski tylekroć donosił, synowiec ojca św., jest młody Włoch serca dobrego, szlachetnego. Pokrewieństwo z ojcem św. robi go umiarkowanym, byłby nim mniej, gdyby nie to. Dla nas stosunek ważny, przecież on w sprawach duchownych tak mało obeznany, że o nich, zdaje się, nawet mu ojciec św. mówić sobie nie pozwala. My zaś na tem polu najczęściej potrzebujemy pośrednika. O sprawach wewnętrznych państwa papieskiego mało nam się zdarzy okazyi mówienia. Jeden tylko przedmiot wojskowy może dać nam do tego powód. Ale Austryi się nie obawiają, więc to pójdzie wolno, jeżeli pójdzie. Usilnie, acz, ile mogłem, od niechcenia przekładałem hr. Mastai korzyść, jakąby przyniósł jen. Chrzanowski, jako doradca ministra wojny. To robiło na nim wrażenie. P. Mastai zapewniał, że Austryacy już się godzą na ustąpienie z miasta Ferrary i że ojciec św. udzielił im w dodatku do dawnego status quo prawo trzymania na moście jednego bezbronnego «szyldwacha», «un piantone», czyli co u nas nazywano machajłę do dawania znaku w potrzebie. Mały zysk dla polityki

---

[1]) Dopiero Alexander II, chcąc po niepowodzeniach wojny krymskiej, ująć sobie katolików i ojca św., kazał akt ten ogłosić w Warszawie 1856, bez wstępu, a jak wiadomo i bez skutku.

austryackiej, a wstyd za niedorzeczne a raczej nieuczciwe wkroczenie.

Lord Minto i jego rodzina bardzo na mnie łaskawi. Już po dwakroć mnie prosili na obiad. On mi powiadał, że celem głównym jego przybycia było danie papieżowi otuchy i poparcia przeciw mogącej mu grozić Austryi. Cieszy się i bawi swoją tu popularnością, na którą zazdrośnie patrzą Francuzy z ambasady i podśmiewują się z niej. Sami, acz może życzliwie, ale nieprzyjemnie Włochom się stawiają i politycznie i pod względem duchownym. Rzecz np. zawiązania bezpośrednich stosunków między Rzymem a Stambułem drażni ich bardzo, choć niby udają, że są na to obojętni. Pana Bourqueney ostro napędzałem, aby nie obojętnie, ale życzliwie patrzyli na to i tem samem sobie zapewniali z tego same korzyści. I to wywierało jakieś wrażenie na panu Bourqueney, ale nie na Rossim, bo on jest niechętny na wszystko, co tchnie gorętszem uczuciem katolickiem, bo nie podziela tego uczucia.

Zresztą ruch wewnętrzny tu pięknie i roztropnie się rozwija. Adres konsulty powinien być powtórzony przez nasze pisma, jako wzór mądrości politycznej, który mocno odbija od stylu, od teoryi i niepraktyczności niektórych manifestów naszych, a mianowicie krakowskiego (1846). Te Włochy szczęśliwe budzą się jakby ze snu i jakby nie doszły do nich żadne socyalne i antysocyalne mary, od których tyle głów w reszcie świata pochorowało.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, Piazza di Spagna, 27[1]) grudnia 1847.

Poznałem kilku członków konsulty, mianowicie prezesa, kardynała Antonelli[2]), był niegdyś tesoriere (skarb-

---

[1]) Data tego listu, zdaje się później dodana, wątpliwa, najprawdopodobniej pisany 7 i 8 grudnia.

[2]) Kardynał Giacomo Antonelli (1806—1876) Neapolitańczyk, syn pastucha, od listopada 1848 do końca życia sekretarz stanu, główny kierownik polityki wewnętrznej i zewnętrznej Piusa IX.

nikiem) człowiek młody jeszcze, światły, a jak niektórzy konsultorowie mówią, aż nadto okazujący biegłości w kierowaniu rozprawami, co niby znaczy, że umie je utrzymać w karbach stosownych do życzeń ojca św. Zdaje się, że ojciec św. nie jest bez obawy o następstwa ustaw, które sam nadaje, boi się, aby ta konsulta nie przybierała cechy zgromadzenia prawodawczego. Radby ją utrzymać w granicach rady stanu. Choć sam na początku nazwał jej członków deputowanymi, choć naznaczył prawem formę ich wyboru, powiedział wyraźnie, że ich mylnie deputowanymi nazwał i że chce ich mieć radcami tylko. Członkowie czują się tem nieco zawiedzeni. Radzi są podejmować prace i łożyć ofiary z czasu swego dla ważnych posług i dla wyników stanowczych, nie radziby przestać na radach, któreby tylko szły do kartonów ad acta. Gdy postanowili wystosować adres do ojca św., tenże zrazu zganił myśl tę, potem zezwolił, ale chciał, aby nie adres, ale akt dziękczynny napisano, atto di ringraziamento. Akt ten przecież, mimo nazwiska, stał się wyraźnym adresem. A że mowa ojca św. była ustna tylko, nie pisana, przeto tem swobodniej umieszczono w adresie wszystkie żądania główne, do dzisiejszej potrzeby zastosowane.

Poznałem pp. Minghetti, młodego i bystrego deputowanego z Bolonii, dziś sekretarza konsulty, Pasolini, deputowanego z Rawenny, Recchi, deputowanego z Ferrary, x. Simonetti, młodego a żwawego deputowanego z Ankony, Vanutelli, deputowanego z Rzymu, adwokata doświadczonego i wytrawnego człowieka, używającego widocznie zaufania ojca św. i innych, mniej znaczących. Z rozmów z nimi widać niepewność co do drogi, jakiej się mają trzymać, umiarkowanie, ufność w papieżu i w konieczność postępu. Azeglio, swobodniejszy, acz człowiek do wyższego należący towarzystwa, miesza się bardzo ze stanem średnim; najbardziej ze wszystkich, których widziałem, przemyśliwa o zabezpieczeniu się wo-

jennem. Chwycił się mnie żywo, bo Polaków widać lubi. Myśl użycia Chrzanowskiego i kilkunastu instruktorów naszych bardzo mu się podoba, choć ze swej strony zaleca swego rodaka, który, jako emigrant piemoncki w Hiszpanii służąc, jenerałem został, niejaki Durando[1]).

Oni tu wszyscy zajęci głównie naprawą wewnętrzną, ciężkim np. długiem i deficytem. Prawda, że roczny deficyt jest prawie półtora miliona skudów, a cały roczny budżet wynosi tylko dziesięć milionów skudów! Konsultorowie wdzięczni są ojcu św. i rządowi, że im z zupełną otwartością daje wejrzeć w stan opłakany finansów i administracyi. Dziś pracowicie zajęci roztrząsaniem szczegółów tych komunikacyi, zaczem nastąpią zdania sprawy, a w końcu propozycye reform. Lecz dalej władza ich nie sięga. Boją się, żeby propozycye nie pozostawały bez skutku. Radziby przynajmniej zyskać jawność prac swoich. Vanutelli tymczasem światły i niepodległego, zdaje się, ducha, ale cierpliwy, niemłody, widocznie myślą ojca św. przejęty, powiadał mi, że jawność w tak małym kraju i mieście będzie przymusem dla rządu, a że ojciec św. musi bronić swej samowładności, która jest konieczną naczelnikowi nie Rzymu tylko, ale całego Kościoła. O tym duchownym charakterze władzy papieskiej za mało tu kto z polityków pamięta. Zapytywałem p. Minghetti, głównego redaktora adresu, w jakiej myśli nadmieniono przecież w adresie o tym podwójnym charakterze i czy myślano o całym katolicyzmie; odpowiedział, że nie, że ta wzmianka miała na celu wskazanie, iż powaga papieża sięga na całe Włochy! To jest ich orbis! O Kościele też nikt, prócz papieża, zdaje się nie myśleć.

---

[1]) Jan Durando (um. 1869); za udział w spisku rewolucyjnym wygnany z Piemontu 1831, walczył w Hiszpanii w obronie konstytucyi. Powołany do służby papieskiej 1848, bronił Vicenzy przeciw Radeckiemu. Odznaczył się w wojnie krymskiej i w walkach o zjednoczenie Włoch pod Nowarą, Solferino i Custozzą, gdzie odniósł ciężką ranę.

Do cech stanu tutejszego należy, że papież stoi bez pośrednika naprzeciw swojej konsulty. Niema ministrów, o którychby kto kiedy mawiał. Sekretarz stanu, który jest rodzajem w. wezyra, czyli jedynego do wszystkich spraw ministra, kardynał Ferretti, jest ksiądz szlachetnego serca, ale lekceważony. Sam też ma być kobiecej drażliwości, myślący tylko rychło się usunąć. Powszechne mniemanie jest o nim, że głowy nie ma. Wszystko przeto stoi na samym papieżu i byłoby to dobre, gdyby papież nie był przez to obarczony. Doznałem tego na audyencyi, jaką u niego miałem. Był łaskaw i zaczął rozmawiać. Przed audyencyą kazał mi przez synowca swego powiedzieć, żeby mu o każdym interesie podawać notatki. Byłem przeto przygotowany. Ale zaledwie zdążyłem powiedzieć o Wschodzie, o Jerozolimie, o Stambule, gdzie spodziewany jest nuncyusz, i o sprawie bośniackiej, kiedy wpadł sekretarz stanu z nagłym interesem i przerwał w najlepsze. Orpiszewski, który był ze mną, donosi szczegółowo o tej rozmowie, dodam tu tylko, że, gdy, żegnając ojca św., nadmieniłem o Wuju i o danych mi poleceniach przez niego, rzekł, błogosławiąc i z uczuciem: «Si, il principe Cz.», doskonale wymawiając nazwisko, «e la principessa anche», dodał, ale już kardynał wpadł jak huragan i nas rozpędził. Młody Mastai nieoszacowany podjął się powiedzieć ojcu św., że nam się należy wynagrodzenie za to przerwanie i że mamy o czem ważnem jeszcze do mówienia. Jeżeli przyniesie skutek, to zło wyjdzie na lepsze, ale — jeżeli!

Z tego, co tu widzę, przejęty jestem potrzebą wbicia w rząd tutejszy, to jest, jak dziś, w ojca św., silniejszego pojęcia o wartości naszej jako części szczególnej Kościoła, jako narodu przyszłość mającego, mającego pierwiastki rządu swego, który znać powinien, ktokolwiek chce nas bronić od upadku, rozprzężenia i schizmy tj. niewiary.

Wracam do stanu tutejszego wewnętrznego. Wydział skarbowy, jak się zdaje, dotąd najczynniejszy, zaczął

od tego, że, rozpatrzywszy się w administracyi krajowej i w ogromie niepotrzebnych urzędników, zrobił silne i szczegółowe podanie domagające się, aby została przedstawiona od rządu konsulcie nowa jakby ustawa o składzie, powinnościach i prawach administracyi. Jest to krok inicyatywy arcystanowczej i przedmiot ogromnej wagi. Nagła i konieczna reforma nadużyć jest niezaprzeczonym powodem, że ojciec św. przyjmuje takie przedstawienie i rad jest dzielić z konsultą odpowiedzialność zmian potrzebnych i czerpie w niej siłę, którejby mu brakło bez niej, bo żadnych innych nie ma narzędzi. Ale zdaje się jakby nie przewidywał, może go krzywdzę, że konsulta tak do pomocy użyta, poczuwszy siłę swą, przejdzie niechybnie w zgromadzenie prawodawcze, constituante, wbrew dzisiejszej woli i zapowiedzi ojca św.

W tym tygodniu konsulta po raz pierwszy, po dyskusyi nad adresem, zbiera się w komplecie dla omówienia swych urządzeń wewnętrznych, regulaminu, a to stosownie do danej jej potemu mocy przez «motu proprio» papieża. Tu znowu najważniejsze dla przyszłej wagi zgromadzenia napotykają się kwestye. Najgłówniejsza o stopniu jawności jego działań. Nikt nie żąda, aby dwudziestu czterech członków obradowało przy drzwiach otwartych. Ale życzeniem powszechnem członków i publiczności jest, aby protokóły szczegółowe i urzędowe posiedzeń bywały drukowane i publikowane. Dodawszy do tego głosowanie o kwestyach jawne, po imieniu, łatwo jest pojąć, jaki popęd czerpać będzie z tego opinia publiczna, a tu znowu, jak już niedawno w Atenach postrzegam dotykalnie, jaką to wagę i przewagę przybiera opinia tam, gdzie ludność mała, gdzie wszyscy wszystkich niemal osobiście znają i gdzie w niektórych chwilach wszyscy biorą osobisty i namiętny udział w sprawach publicznych. Nikt przecież, ile widzieć mogę, prócz zapleśniałych i niesłuchanych od nikogo ludzi przeszłych rządów, nie zdaje się jasno przewidywać tych trudności.

Popycha wszystkich konieczność postępu, zaspakaja ufność wielka i wzajemna między narodem a panującym. Bóg to może prowadzi i wyprowadzi!

Do Francyi wielka niechęć. P. Rossi, acz osobiście uprzejmy, nie podoba mi się jakąś przesadą wielkopańską, która mu wcale nie do twarzy, przytem zniecierpliwiony na Włochów, wyraża się o nich w przykry sposób.

U matki Makryny nie zdążyłem być jeszcze. Będę niebawem. Jej urok nie słabnie, owszem, ale na naszych księży, nawet na Jełowickiego, markotna.

Jezuici bardzo podupadli. Odkąd ojciec św. uwolnił i inne kolegia, tak jak Collegium romanum, od powinności noszenia sukni księżej, dwie trzecie ich uczniów porzuciło ich. Papież przecież mocno boleje nad tą żarliwością antyjezuicką, posuniętą tu do takiego stopnia, że aż huczne oznaki radości dała część publiczności, gdy doszła wiadomość o zdobyciu Lucerny[1]). Zdaje się, jakby go to więcej obeszło, jak owe zagrażające władzy jego postępy konsulty.

Jeżeli długość listu tego nie zmęczy Wuja, to zaiste wielkim będzie, a nie pierwszym dowodem jego dla mnie pobłażania.»

Z raportu Ludwika Orpiszewskiego do x. Adama:

«18 grudnia 1847.

Dnia 8 b. m. p. Zamoyski wraz ze mną miał audyencyę u kardynała sekretarza stanu. Pierwsze słowa kardynała były potwierdzeniem tego, co już pisałem o jego niecierpliwości i chęci usunięcia się od urzędu. «O, jak zmęczony jestem», mówił, «od piątej godziny pracuję. Nie jestem ani dyplomata, ani administrator, ani legis-

---

[1]) Stolicy Sonderbundu, Związku kantonów katolickich, które uległy w walce przeciw kantonom protestanckim z Bernem na czele. Jedną z przyczyn walki byli Jezuici; kantony katolickie pragnęły ich zatrzymać, a protestanckie wydalić.

lator, jestem sobie prosty proboszcz i to dla ubogich tylko itd.» P. Zamoyski, aby przerwać te utyskiwania, odezwał się, że zastrasza nas chęć usunięcia się duchownego, który wzbudza tyle zaufania we wszystkich. Lecz właśnie, jeżeli mamy postradać go rychło, należałoby, aby kardynał pobyt w sekretaryacie zaznaczył dziełem, któreby uświetniło jego urzędowanie. Tu p. Zamoyski wyłuszczył potrzebę publikowania dalszego dokumentów (dotyczących prześladowań Kościoła katolickiego w Polsce), których ogłoszenie dołączone do allokucyi 1842 tak pożądane i ważne było[1]. Dalej p. Zamoyski przeszedł do wytłomaczenia energicznego szkody, jaką sprawiło zamieszczenie w allokucyi 1842 wyrażeń uwłaczających prawom politycznym narodu naszego.

P. Zamoyski zwrócił uwagę na rokowania p. Błudowa, powiedział, że Rosya rozsiewa wiadomości o sukcesach tychże negocyacyi, którym to sukcesom kardynał również zaprzeczył, jak to dawniej uczynił kardynał Lambruschini. Kardynał zapewniał, że papież użył całej roztropności i skrupulatności w wyborze biskupów, że wysłał sekretnie na miejsce ludzi pewnych, by się przekonać dokładnie o wartości kandydatów... Mówił nam, że pan Butieniew był u niego, pytając, czy ojciec św. na przyszłym konsystorzu nie będzie mówił o interesach kościelnych w Polsce; tymczasem osoba pewna słyszała w tych dniach od ojca św., że będzie głośno mówił o postępkach rządu rosyjskiego[2].

---

[1]) Ob. t. IV, str. 261—266.

[2]) Wistocie na konsystorzu tajnym 17 grudnia 1847, Pius IX, wspomniawszy o opłakanym stanie Kościoła w Hiszpanii, tak się wyraził: «Jest inny kraj daleko obszerniejszy, podległy potężnemu xięciu, gdzie stan religii katolickiej, trapionej długiemi i okropnemi klęskami, od wielu lat ściągnął pieczołowitość naszego poprzednika; sprawy te wymagały również naszej szczególnej usilności. Bez wątpienia gorąco życzylibyśmy sobie zapewnić was w dniu dzisiejszym o skutkach, które mieliśmy ufność w części otrzymać; niektórzy pisarze głosili już nawet w dziennikach o szczęśliwem ukończeniu rokowań. My nie możemy

U monsignora Barnabo, p. Zamoyski otrzymał pozwolenie dla księdza Paszalica udania się do kolonii polskiej. Mówił z monsignorem o matce Makrynie i naszych Bazyliankach. Monsignore zapewniał, że im oddany zostanie kościół Madonna in Pascolo, prosił o sekret, bo oddanie to sprzeciwia się poprzednim umowom z rządem rosyjskim. Chce, by nie zaszła reklamacya, póki nie będą w posiadaniu kościoła.»

Leonard Niedźwiecki do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 27 grudnia 1847.

Mieliśmy pamiętną wigilię wigilii t. j. kiedyśmy xięciu oddawali medal[1]). Miano zakończyć uroczystość obiadem świetnym, publicznym, rząd nie pozwolił; daremne były przedstawienia, błagania[2]). Oddanie medalu

jednak udzielić nic innego, jak tylko zapewnić o stałej nadziei, w której zostajemy, że Bóg wszechmocny i litościwy spojrzy z przychylnością na synów swego Kościoła, przyciśnionych w tym kraju tak ciężkiemi boleściami i że pobłogosławi staraniom, przez jakie usiłujemy przyprowadzić tam religię katolicką do lepszego stanu.» (Trzeci Maj z 15 stycznia 1848. Str. 601)

Pod tą samą datą 17 grudnia 1847 wyszedł w Petersburgu reskrypt cara, udzielający hr. Błudowowi krzyż św. Andrzeja w nagrodę «żeś», jak brzmi reskrypt, «ukończył umowę z arcykapłanem Kościoła katolickiego, tak jak My umówiliśmy się z. ś. p. Grzegorzem XVI, tak jak ci kazały przepisy, jakie otrzymałeś od Nas, a które odtąd stanowić będą podstawę jurysdykcyi hierarchiczno-kościelnej Kościoła katolickiego w państwie rosyjskiem. Udowodniają one wiernym Naszym poddanym wyznania rzymsko-katolickiego o Naszej niezmiernej ojcowskiej troskliwości dla ich dobrobytu i potrzeb duchownych.» (Trzeci Maj z 15 stycznia 1848. Str. 601)

[1]) Wybity na cześć x. Adama przez Wydział historyczny Towarzystwa literackiego.

[2]) Było to w chwili, kiedy opozycya parlamentarna urządzała w całej Francyi uczty t. zw. «banquets réformistes», podczas których domagano się obalenia Guizota i uchwalenia reformy wyborczej. Tysiące ludzi brało w nich udział. Wiadomo, że zakaz takiego bankietu w Paryżu, 21 lutego 1848, był ostatecznym powodem wybuchu rewolucyi.

było w domu xięcia, miało miejsce w pokoju wielkim bawialnym. Xiążę stał przy kominku, mając poza sobą damy, jakoto x. Wirtemberską, x. Sapieżynę, x. Adamową z całym zakładem panieńskim, a przed sobą rodaków, należących do Towarzystwa literackiego i do Wydziału historycznego, oraz deputacyę londyńską grona historycznego, złożoną z panów Szyrmy i Karola Szulczewskiego, nadto gromadę osób licznych.

Oddanie medalu odbyło się w ten sposób: Najprzód przystąpił p. Teodor Morawski ze skrzyneczką, zawierającą trzy odciski, jeden złoty, drugi srebrny, trzeci bronzowy i złożył ją w ręce xięcia imieniem Wydziału historycznego, w którym jest zastępcą prezesa. Następnie p. Barzykowski, jako wiceprezes Towarzystwa literackiego, którego odłam nazywa się Wydziałem historycznym, czytał adres tego wydziału. Nakoniec Szyrma odczytał adres londyński. Adres paryski był krótki, ale dostateczny, londyński długi i pochwalny. P. Szyrma w rysach wyraźnych, śmiałych a obywatelskich skreślił żywot xięcia. Ten obraz całego życia, stawiony mu przed oczy, poruszył xięcia do głębi. Rozczulony rozpoczął mowę swoją i ze łzami w oczach ją zakończył. Wyrażał, że tem czulej słuchał adresu Wydziału historycznego, że go miał przez usta znanego, znakomitego i prawego męża i kolegi, co tyle prac z nim podzielał. Rodakom z za morza, którzy sami pospieszyli, by powiększyć uroczystość, prawie wymawiał, że go tyle chwalili. «Wolę», mówił, «na pochwałę zasłużyć, jak ją odbierać. A stokroć wolę nie odbierać niezasłużonej.» Następnie xiążę wstąpił w grono rodaków i każdego ściskał za rękę.

Składanie powinszowań w piątek ciągnęło się do trzeciej z południa. Był i Mickiewicz. U drzwi przyjął go x. Władysław. Mickiewicz dziwił się wzrostowi x. Władysława, mówił, że, gdyby go spotkał na ulicy, nie byłby poznał i dodał z zadumaniem: «Lepiej xięciu, żeś wyrósł tu, niż w Puławach!» Mickiewicz jedzie do Rzymu.

Gadał długo z xiężnemi, zbudował je swoją rozmową. Wygląda niepospolicie dobrze. Prawie utył.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«27 grudnia 1847.

Inne listy ci donoszą, jaka mnie spotkała cześć od łaskawych ziomków. Gdy ci panowie przyszli mi winszować i oddali medal, tak byłem wzruszony, że mi słowa żadne z gardła wyjść nie mogły; nie była to radość, ale prawdziwa wdzięczność i rozrzewnienie, widząc tylu, co tylko przez serca prowadzeni, bez żadnego innego powodu, przychodzili dać mi tak znaczny upominek swego współczucia. Dembiński w tym razie okazał się bardzo serdeczny. On odczytał adres, pisany przez Barzykowskiego. Chrzanowski został lodowaty jak zawsze i nie był u mnie z innymi.

Dziś choć z początkiem grypy muszę jechać, aby naradzić się względem mającej się ponowić rocznej odezwy do izb.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 28 grudnia 1847.

Minął w tych dniach dzień św. Adama. Zbliża się nowy rok. W takie dni z nowem jakby uczuciem wspominam w duszy tego, który mi jest w życiu najwyższym przedmiotem miłości, światłem przewodniem, wzorem, pociechą, który mi jest jakby ojcem, a razem przez tak wielką dobroć bratem niemal i towarzyszem! Oby Bóg jemu raczył dać tu jeszcze przy nas nagrodę pożądaną! Oby nadewszystko przecież obdarzał swojem światłem i swoją łaską!

Czytam z przyjemnością w liście Niedźwieckiego, że w dzień św. Adama ofiarowano Wujowi medal z pięknym napisem i że mnie do ofiarujących policzono, choć dla mnie i dla wielu, a mianowicie też dla Europy i dla wrogów naszych, Wuj jesteś «auspicium» nie «exulantis», ale «Poloniae».

Tu nie przestaję mówić o Chrzanowskim. Wyznaję,

iż osadzenie Chrzanowskiego w Rzymie uważałbym za okoliczność, mogącą mieć wielką wagę. Danie takiego człowieka z poręki xięcia, byłoby niezaprzeczonem podniesieniem w Rzymie i Europie sprawy naszej. Tu wagę polityczną mógłby mieć taki tylko oficer, który byłby zdolny w danym razie umawiać się względem obrony Włoch z Sardynią i Neapolem. Do tego mógłby się przydać jeden tylko z pomiędzy naszych, Chrzanowski.

Allokucya ojca św., zawierająca zaprzeczenie pogłoskom rozsiewanym przez Moskwę, jest początkiem jawności, której potrzeba coraz powszechniej daje się tu uczuć. Z tem większą siłą nastawać będziemy na publikacyę całej od 1842 korespondencyi. Godne jest uwagi przemilczenie w allokucyi zupełne o ufności pokładanej, jak to dawniej pisywano, w charakterze cara. Ojciec św. ufa tylko Bogu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 8 stycznia 1848.

Niesłychany i prawie nie do uwierzenia jest postępek p. Guizot względem obiadu. Sądzę, że najlichsi nawet deputowani wstydzić się takiej podłości będą, że nie powiem o niesłychanej samowoli takiego postępku, który wraz z wygnaniem p. Bakunina[1]) świadczy, że wolność we Francyi nie prawem, ale jedynie względem na opinię publiczną zabezpieczona! Sądzę, że p. Guizot nie obrachował szkody, jaką sobie i rządowi Francyi tem zadaje, — zwłaszcza po lichem znalezieniu się we Włoszech i w Szwajcaryi[2]). I poddanie się Abd-el-Kadera nie zasłoni go!

Bywają tu chwile żywej niespokojności o przyszłość

---

[1]) Michał Bakunin (1814—1874), rewolucyonista rosyjski, wydalony z Francyi na żądanie Rosyi. Za udział w rewolucyi niemieckiej 1848 trzykrotnie skazany na śmierć, więziony w Saksonii, wydany Austryi, potem Rosyi, zesłany na Sybir, skąd uciekł. Do śmierci czynny bojownik międzynarodówki. Zmarł w szpitalu berneńskim.

[2]) W obu krajach Francya szła często ręka w rękę z Austryą.

i o dalsze spokojne rozwijanie się odrodzenia tutejszego narodu. Dzienniki doniosły i zapewne rozmaicie opisały wzruszenie umysłów w dzień nowego roku. Był to niezaprzeczenie widok niemiły. Lud przybrał postać groźną przeciwko władzom pośrednim, względem najwyższej zaś życzliwą jeszcze, ale prawie nakazującą. Taić przed sobą nie można, że stanowisko staje się gorszem, niż było, tem mianowicie, że publiczność przybiera coraz więcej śmiałości do żądania różnych zmian, a rząd jakkolwiek raz po razie stawia kroki dobre, przecież utracił dużo powagi, okazawszy wahanie się i dobrotliwe więcej, niż poważne decydowanie się według życzeń powszechnych. Ojciec św. trwa w najszlachetniejszych chęciach, a ufność ma świętą w Bogu, ufa nawet i ludowi swemu, nie boi się niczego. To daje mu siłę wielką. Ale w czynnościach bieżących rząd okazuje wielką nieudolność i bojaźliwość, której on nie podziela, ale która się zdradza czynnościami nietrafnemi. Mówią, że papież nieraz już i zapłakał i mdlał nawet od zmartwienia, jakie mu sprawia niecierpliwość i niewiara ludu. Ta niewiara, niestety, w średniej klasie jest wielka.

P. Rossi teraz lepiej jest uważany osobiście. Wiedzą o zdrowych radach, jakie daje. Sam mi jednego razu mówił, że radził przedewszystkiem zebrać myśli i odrazu stanowcze wydać postanowienia, nie zaś kapaniną je głosić pod ciągłem działaniem opinii. Gdy postanowiono gwardyę obywatelską «civica», dziwił się, iż nie czują, że oddanie w jej ręce bezpieczeństwa publicznego zmusi do dania obywatelstwu udziału w rządzie, sprawowanym dotąd przez samych księży. Tu jednak sęk. Księża nie chcą wpuszczać cywilnych między siebie. A sam ojciec św. nie widzi jasno, gdzie ma naznaczyć granicę między administracyą kraju a rządem Kościoła. To odgraniczenie musi nastąpić. Ale wahanie się z niem podburza umysły. Tymczasem łagodność rządu puściła wodze. Druk jest prawie wolny, a wszyscy przyznają, że jest lichy. P. Rossi

słusznie powiadał, co i ja mawiam ciągle wkoło siebie że ustawa o radzie ministrów jest bardzo dobra, ale że jednak dobroć jej w zastosowaniu zależeć będzie od osób, któremi się ministerya zapełnią; nalega, by skarb, policyę, wojsko oddano osobom cywilnym itp. To pewnie nastąpi, ale opóźnienie jest zgubne. Ojciec św., odkąd umarł jego spowiednik Grazioni, nie ma powiernika, któryby uspakajał go w skrupułach religijnych, gdy jest mowa o sekularyzacyi jednej części rządu jego. Lord Minto zupełnie podobne daje rady.»

«Spotkałem w Rzymie tej zimy Zygmunta Krasińskiego. Słynął już od lat wielu, przebywał dużo nad Renem, kiedy ja co roku za Ren jeździłem dla spotkania z ojcem, a jednak nie zdarzyło mi się Krasińskiego spotkać. Znałem go dzieckiem przy Francuzce, która się popisywała jego wczesnym dowcipem. Minąwszy go raz i drugi w Heidelbergu lub Badenie, prosiłem napotykanych rodaków, aby mu oświadczyli, ilem pragnął bliżej go poznać. Zdarzyło się, żem go w Frankfurcie nad Menem zastał i jużem się cieszył, że go nazajutrz poznam, kiedy mi wspólny znajomy przyniósł wiadomość, że odjechał dyliżansem i kazał mi oświadczyć, że, nie mając nadziei, bym nieco dłużej zabawił, wolał odłożyć spotkanie ze mną do czasu, kiedybyśmy mogli choć dni kilka razem przepędzić i o rzeczach wielu poważnie się rozmówić. Dziwną mi się wydała ta ostrożność, ale wszystko w nim dziwne było, a niejedno podziwu godne. Gdy jednak dowiedziałem się, że jest z żoną w Rzymie, wahałem się zrazu, czy mu się narzucać i niemałom się ucieszył, kiedy mnie Zygmunt powitał serdecznie i od pierwszego spotkania okazał mi nadspodziewaną życzliwość. Przyszedł do mnie nazajutrz rano, a nie zastawszy, kazał się wprowadzić do mego pokoju i, zapaliwszy cygaro, wszedł w rozmowę z moim służącym. Uderzyła go widać oryginalna postać tego sługi. Był to niejaki Michał,

prawdziwe dziecko warszawskie, bo był w Warszawie u Dzieciątka Jezus wychowany i w 1831 należał do IV pułku ułanów t. zw. «dzieci warszawskich». Po wojnie 1831 wzięty do rosyjskiego wojska, zapędzony na Kaukaz, przy spotkaniu z Czerkiesami położył się w krzaku i oddał się w niewolę. Jak inni jeńcy był kilkakrotnie sprzedawany, raz, jak powiadał, za sztukę płótna. Od Czerkiesów przez Kurdów kupiony, dostał się na własność Turkowi w Azyi Mniejszej, wreszcie na polską osadę pod Stambułem. Ponieważ służył w kawaleryi i umiał koło koni chodzić, wziąłem go do służby mojej, przy kupionej w Stambule klaczy arabskiej ze źrebięciem. Jakaś przeszkoda nie dozwoliła mi zabrać ich z sobą na jednym statku, płynął więc z niemi Michał na statku osobnym, wylądował w Civita-Vecchia i szczęśliwie przymaszerował do Rzymu. Żadnego języka zachodniego nie znał, był tylko opatrzony listem otwartym ode mnie, polecającym go wszystkim komendantom okrętowym i konsulom francuskim, z jakiemiby ta podróż w styczności go postawiła. Konsul z Civita-Vecchia, wyprawiając Michała w drogę, uderzony jego nieświadomością tylu rzeczy, pisał do mnie: «Je vous envoie vos trois bêtes» (Posyłam Panu jego trzy bydlątka). Z tym to okazem poznawszy się, Zygmunt Krasiński upodobał go sobie, winszował mi, że takiego posiadam sługę i zawsze się później o niego dopytywał.

Przyjaźń zawarta od tej pory między mną a Krasińskim trwała do końca życia jego. Przez następny lat dziesiątek życie moje właśnie było najczynniejsze, najwięcej przerzucane na rozmaite i dalekie pola. Wszędzie mi towarzyszyła najczulsza przyjaźń Zygmunta, wyrażana w listach, jakie on jeden pisać umiał, a zawsze kończących się błogosławieństwem. Przyjaźń jego była mi prawdziwem w życiu bogactwem i jedną więcej łaską Boga. Przez ciąg tej zimy widywaliśmy się co dnia. Bywałem też w rzymskim świecie, gdzie on wcale nie bywał. By-

wałem i na balach, ale wiedział dobrze Zygmunt, że salony były dla mnie tylko polem do politycznego w miarę możności zachodu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 8 stycznia 1848.

Zygmunt Krasiński jest tu. Wiadomo Wujowi, jakie były dawniej uprzedzenia jego. Choć wiedziałem, że znacznie się zmniejszyły, byłem dość niespokojny o nasze spotkanie, wiedząc, ile wagi ma jego między rodakami sąd. Skoro przybył, poszedłem do jego żony, a zastawszy go, przekonałem się odrazu, że jest ku mnie dobrze i serdecznie usposobiony. Wybiegł ku mnie i zaraz przebyliśmy razem cztery godziny, drugi raz tyleż. Przychodził do mnie kilka razy, czekał raz godzinę u mnie! Rozmowy nasze były jak najprzyjaźniejsze. Kocha kilku braci moich, zwłaszcza Jana, przez nich znał mnie. O rzeczach krajowych i o wszystkiem mówi pięknie i dobrze. Jest w nim rozum niepospolity i więcej nierównie praktyczności, niż się spodziewałem. Wprawdzie nie na praktycznem polu pracuje, bo to nie jego rzecz, ale pojmuje je dobrze. Nawiasem wprawdzie, ale dobitnie na moje odezwanie się, rzekł raz: «No, to się rozumie, gdyby Polska miała rozum polityczny, którego nie ma, toby od lat wielu zgromadziła miliony w ręku emigracyi.» Potem znowu: «Stworzenie władzy dla Polski, to wasza rzecz. Siedemnaście lat emigracya straciła, nie dopełniwszy tego.»

Prawdziwie miło i rzewnie mi jest patrzeć na niego i słyszeć tę mowę jędrną, szczytną i tak gorąco, tak zupełnie patryotyczną. Mowa taka jest, niestety, tak rzadkim już objawem. Tak bywają znękani, wątli, niepewni, wątpiący, albo zupełnie bez nadziei. W nim nadzieja jest taka właśnie, jaka z gorącej miłości wynika i z wiary. Wiara jego w sprawiedliwość bożą jest właśnie tego rodzaju, jaką objawiały wiarusy nasze na końcu

wojny 1831, mówiąc, że «Bóg przez opuszczenie nas na reputacyi straci». Jednak jest i chrześcijańska i katolicka nawet do pewnego stopnia wiara, nierównie większa, niż była przed kilku laty. Nikt nie jest mniej od niego materyalistą. Przecież wiara ta jego jest jeszcze pomieszana z wyglądaniem przekształceń wielkich w Kościele, których początki widzi w Piusie IX.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«(z Paryża), 17 stycznia 1848.

Mowa Montalemberta, na której znajdowałem się, dziwnego była skutku[1]. Jeszczem nigdy nie był przytomny, prócz w Anglii, przemówieniu, któreby od początku do końca tak ujęło, porwało i do uniesienia przywiodło słuchaczów zazwyczaj bardzo zimnych. Był to prawdziwy tryumf. Po takim sukcesie można było coś tęższego zaproponować jak bardzo blady «amendement», (poprawkę). Mniejsza o to, z tych słów czy słabych, czy mocnych, żaden skutek materyalny nie da się wyprowadzić. O to tylko idzie, by wzmianka nie przestała być powtarzana[2]».

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 18 stycznia 1848.

Na to żadną miarą pozwolić nie mogę, aby siebie Wuj w porównaniu ze mną co do wytrwałości i niezrażonej niczem gorliwości niżej stawiał! Przecież my wszyscy, wielu nas jest, w tej pracy z niego czerpiemy natchnienie do wszelkich natężeń i ofiar. Przecież ja nieraz ostatecznej w sobie dobywać musiałem energii, żeby dotrzy-

---

[1]) Była to owa słynna mowa z 14 stycznia 1848, jedna z najpiękniejszych Montalemberta. Napiętnował w niej łatwe zwycięstwo siły nad prawem, jakiego widownią była Szwajcarya pod koniec 1847.

[2]) Poprawka ta brzmiała: «Współczucie wielkodusznych narodów wiernem pozostaje niewygasłemu prawu. W. K. Mość zgodnie z uczuciem Francyi nie zapomni o uciemiężonym narodzie, za którym już głos podnosiła.»

mać kroku Wujowi. Ale nie dziwię się, że i Wuja chwilowa napada niemoc, bo też praca ciężka i gorzka bywa.

Przykry i bolesny rezultat zabiegów naszych w rzeczy reskryptu carskiego opisany jest w depeszy[1])! Widać, że Moskwa ma tu sekretne wpływy mocniejsze od samychże względów na interes zagrożonej u nas wiary! Nie przestaniemy przecież i na tem. Będziemy nalegać i wymawiać.

Lepiej nam idzie z konsultą. Wyborna nota Orpiszewskiego i znajomość osobista z głównymi onej członkami wyjednała nam uchwałę prawie jednomyślną przywołania biegłego zagranicznego jenerała. Konsultorowie uznali za rzecz właściwą nie wymieniać Polaków. Ale między nimi a rządem rzecz jest zrozumiana. Jen. Chrzanowski jest tym jenerałem, którego konsulta wskazuje. Sam radziłem nie głosić myśli o Polakach, żeby rzecz się mogła zrobić, nim Moskwa zażalenie o to wniesie. Ministeryum wojny oddane zostało wczoraj xięciu Gabrielli. X. Gabrielli był niegdyś napoleońskim żołnierzem. Popularnym nie jest. Dobrze tylko, że zasada jest przeprowadzona, przywoływania świeckich do urzędów. Mniejby może o to było obawy, gdyby świeccy powszechnie nie byli ludźmi bez wiary i bez pojęć katolickich.

Wracam do reskryptu carskiego. Monsignore Corboli naglony przeze mnie, aby nastąpiło ogłoszenie dalszych od 1842 korespondencyi i negocyacyi, nie przeczył, iż to nastąpić powinno, ale twierdził, iż w sekrecie wygotować się musi, boby inaczej zaszły najmocniejsze sprzeciwienia!! Okoliczność ta, z żalem wyznam, przekonała mnie, że niema w rządzie głowy, a co gorsza, że sam ojciec św. jej nie ma do polityki! Otoczony samymi tylko ludźmi dawnego autoramentu, nie śmie zaufać tym, którzyby mu radzi się poświęcić, podejrzywa wszystkich o dążności

[1]) Polacy pragnęli, aby papież uroczyście kłam zadał twierdzeniom cara Mikołaja, zawartym w reskrypcie z 17 grud. 1847, że doszedł w sprawach Kościoła katolickiego w Polsce do zupełnego porozumienia ze stolicą św.

rewolucyjne. Piotra Ferretti i Azegliego nawet ma w podejrzeniu. To może dać z czasem przewagę ludziom daleko mniej od tych umiarkowanym.»

Władysław Zamoyski do x. Leonowej Sapieżyny:

«Rzym, 20 stycznia 1848.

Musiało was dojść kolosalne kłamstwo o zawartym konkordacie[1]). Gazeta urzędowa tutejsza «Diario Romano», acz z oględnością wielką zadała przecież fałsz temu twierdzeniu, mówiąc, że przyzwolenie Moskwy nastąpiło tylko na kilka żądań ojca św., ale że żądań wiele dla dobra i bezpieczeństwa wiary czynionych wcale dotąd nie zaspokojono. Niestety, zaprzeczenie to nie zasłoni kraju naszego od strasznych następstw ogłoszenia urzędowego, że ojciec św. zawarł zgodę z ciemiężycielem wiary. Tkwi tu zawsze, jeśli nie u góry to w biurach, jakaś powolność odwieczna dla Moskwy. Roją sobie, że to carstwo da się kiedyś nawrócić. Inni wprost od Moskwy są płatni. Wyżsi zaś, jak ojciec św., obawiają się ściągnąć sroższe prześladowanie przez ostre wyrzuty, na jakie rząd ten zasługuje. Trudno bardzo przezwyciężyć te różne złe i dobre pobudki. Jest przecież nadzieja, że i tu prawda urzędownie w odpowiedzi na urzędowe kłamstwa wyjawiona i ogłoszona zostanie. Tylko pospiechu otrzymać nie można.

Zadajcie sobie trochę pracy, żeby w obronie zagrożonej i tak prześladowanej wiary rozprzestrzeniać to objaśnienie. Niech się dobrzy trzymają i sprawy bożej bronią.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 28 stycznia 1848.

Winszuję najprzód powodzenia z izbą parów i naszym biednym a tyle przecież ważnym paragrafem.

Depesza ajencyi uwalnia mnie od szczegółowego opisu audyencyi u ojca św. Dodaję tylko, że, mówiąc

---

[1]) Konkordat był istotnie zawarty, ale ponieważ nie zadawalniał papieża, nie przyznawano się w Rzymie do niego.

tegoż wieczora o naszej audyencyi z synowcem, papież był nieco zniecierpliwiony naszą, to jest moją, natarczywością. I prawda, że o dwóch przedmiotach, o reskrypcie i o Chrzanowskim, mówiłem gorąco i po cztery lub pięć razy ponawiałem argumenty, choć je ojciec św. zbijał lub zbywał[1]). Nie przewidując okazyi do blizkiej znowu audyencyi, wszystko chciałem wypowiedzieć, co miałem na sercu. Nie potrzebuję dodawać, żem się zasłaniał oświadczeniami gorącego przywiązania do wiary, do Kościoła i pokornej ufności w jego naczelnika, ale prosiłem, żeby mi była wybaczona otwartość i wyznanie tego, co uważamy za zbawienne i konieczne dla bezpieczeństwa wiary u nas. To nie przeszkodziło ojcu św. powiedzieć przed synowcem: «Ci Polacy radziby mnie w rewolucyę wciągnąć.» Synowiec zaś zaręczał, że jesteśmy ludźmi porządku i że u nas nie rewolucyi, ale powstania pragną. Synowiec, opowiadając to Orpiszewskiemu, wstydził się za stryja i prosił, żeby tego przede mną nie wyjawić.

Wnoszę z tego potrzebę osobistego znowu kroku Wuja do ojca św. Dziś wprost do niego ze wszystkiem trafiać trzeba. Pismo to powinno zaspokoić jego sumienie co do naszych usposobień i niebezpieczeństw, które nam grożą, a których nie powiększy śmiałość słów papieża o nich, ale je zmniejszyć tylko może. Myśli takie palącemi słowy wyrażał o. Ventura i przedstawiał ojcu św., a ma nawet drukiem wydać. Dowodzi, iż sprawie narodu polskiego stolica św. winna dług wypłacić, a samej sobie zrobi nieprzełamaną siłę przez tę sprawiedliwość i przenikliwą mądrość. Wuj potrafi uniknąć mistycznej o tem

[1]) O tejże audyencyi Zamoyski pisał później: «Gdym ojcu św. przekładał, że z wojska austryackiego krociami do szeregów jego przybywać będą Polacy i inni zapewne katolicy tegoż wojska, zniecierpliwieni jarzmem austryackiem, odpowiedział mi Pius IX, że nie myśli wojskiem bronić się od napaści i zrobił z tego żart włoski: «Ho dei canoni, non voglio avere dei cannoni. (Mam kanony kościelne, armat mieć nie chcę)!»

mowy, ale do rachuby politycznej przecież te względy pociągnąć. Konkluzyą będzie przyjęcie szczątków tego prześladowanego narodu do służby państwa rzymskiego. Przytem zaręczenie, że Polacy wierność niezłomną okażą naczelnikowi Kościoła i jako naród i jako żołnierze jego, — byle sam chciał ich przyznać za zasłużonych synów i powołać. Nie wyniknie z tego żadna rewolucya, owszem jeżeli od niej co odwrócić jest mocne i uratować samych Polaków od zgubnych namiętności czasu i położenia, to właśnie zaciągnienie ich pod sztandar krzyża i serdeczne ojca św. powołanie ich do siebie.

Obawa rewolucyi jest często widziana u ojca św.; ani się temu dziwić, ale szkoda, że ojciec św. niedość umie rozeznać ludzi postępu od ludzi anarchii. Dusza w nim wzniosła i wiara wielka, ale zdaje się, jakby Bóg chciał, aby się dobro sprawiało bez pomocy wyższych w ludziach zdolności i bez pychy, jaka tymże towarzyszy. Dość jest tu między lepszymi zwątpienia i uczucia zawodu z postępowania rządu, a zwłaszcza z powodu, że się nic nie robi. Konsulta pracuje, jak może, ale nawet wewnętrznej organizacyi nie posiada, bo rząd nie rozebrał jej przedstawień o tem. Ministeryum nie przyszło dotąd do przepisania sobie wewnętrznego regulaminu. Opowiadają o tej niemocy umysłowej w ministeryum dziwne a liche szczegóły.

Cieszę się w duszy, że Wuj uważa, że mogę być pożyteczny, a przecież bardzo mi tęskno do Wuja drogiego.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 8 lutego 1848.

Od czasu wyjścia reskryptu carskiego do p. Błudowa i zbyt nieśmiałych o nim artykułów gazety urzędowej rzymskiej czułem, iż najsilniej pojmie ten interes kardynał Lambruschini, jako ten, któremu negocyacya powierzoną była. Wierny zwyczajom odwiecznym Rzym zdawał się nie pojmować potrzeby pospiechu ani szkód, jakie każda

zwłoka przyniesie sprawie Kościoła przez dozwalanie czasowego nawet kredytu kłamstwom cara. Potrafiłem nakoniec widzieć kardynała Lambruschini. Byłem tym razem sam bez Orpiszewskiego, który radził, abym szturmy swoje ryzykował bez niego, jemu zostawując mniej śmiałe a trwałe starania, kiedy ja, przechodem, narażać się mogę bez szkody dla rzeczy na chwilowe niecierpliwości. Rozmowa przybrała tok zwykły wspomnień o publikacyi 1842 r. Powiedziałem mu, że czyn ten nadał prowadzeniu stosunków z Moskwą stałą i konieczną cechę jawnego ich od czasu do czasu ogłaszania. Kardynał naglony, aby dziś takie nastąpiło ogłoszenie, odrzekł tonem ojcowskim i serdecznym: «No, no, nie wiesz, co się już robi.» Pocieszony temi słowami, które przerwało przybycie pewnego kardynała, poszedłem zaraz do monsignora Corboli i z nim wznowiłem rozmowę, opierając się na słowach dopieroco słyszanych. Corboli potwierdził w ogólnych wyrazach tę nadzieję.

Dziś przychodzi wiadomość jeszcze nieoficyalna, że w. x. toskański ogłosił swoją gotowość dania konstytucyi pod zastrzeżeniem porozumienia z Rzymem i Sardynią. To mądre. To przykład dobry. Niedawno ojciec św. wyraził pragnienie, aby, w dowód zbliżenia się, Toskania reformowała austryackie u siebie prawodawstwo józefińskie w rzeczach Kościoła. Minister Ridolfi odrzekł, iż to może nastąpić z łatwością. To mocno ujęło ojca św., który takiemi względami silniej się daje ująć, jak politycznemi, które mało rozumie i mało ceni. Namówiłem Azeglio, aby napisał do Florencyi o niebezpieczeństwie grożącem Toskanii i o środkach, jakiemi uderzyć na rozbestwione przez Austryę pułki słowiańskie tj. o użyciu pieniędzy, których nie brak w. xięciu, na ajentów i na kupienie kilku dowódców tych pułków. Toż samo napisze Azeglio do Turynu.

Dodaję dla wyłącznej wiadomości Wuja, że Zygmunt, uproszony przezemnie, napisał rodzaj odezwy do ojca św.

5

Czytał mi pierwszy rzut. Wyborny i bardzo piękny. Pobudką i treścią stała się ostatnia moja rozmowa z papieżem. Zygmunt, acz się zrazu wymawiał nieumiejętnością pisania, jak potrzeba, do osób «oficyalnością zarażonych», potrafił przecież pogodzić wysokie i najwyższe względy ludzkości i religii z praktycznemi nastręczeniami. Konkluzya jest, aby ojciec św. przemawiał jak należy o Polsce i do Polski, a jako sposób trafienia do dusz polskich, aby Polaka znakomitego powołał do służby swojej. Zygmunt nie od siebie to pisze. Oddał mi manuskrypt do użycia, jak zechcę i jakby przez nas był wygotowany. Krok ten Zygmunta jest zacny, jak wszystkie, których tu byłem świadkiem, a częścią nawet przedmiotem, bo jest dla mnie niewymownie przyjacielski, a nawet do pewnego stopnia powolny. Mówić jednak o tem nie można, nie trzeba.

Jakże pięknie mówił Bakunin! Mowa jego czytana tu jest przez Rosyan z entuzyazmem.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 18 lutego 1848.

Wypadki tu idą jak na skrzydłach. Dni kilka temu dość było rzeczą dziwną napotykać po ulicach ludzi wykrzykujących: «Tre constituzioni per due bajocchi (trzy konstytucye za dwa grosze).» I wistocie na jednym arkuszu były akta monarchów Neapolu, Sardynii i Toskanii zapowiadające w mniej lub więcej dobitnych wyrazach nowe ustawy konstytucyjne. Pod tem wrażeniem lud cały wrzał. Była mała niby emeuta t. j. były krzyki «abasso il ministero», były nawet po raz pierwszy «morte ai ministri». Że jednak nikt się nie sprzeciwił ludowi, a ojciec św. deputacyi ministeryalnej oświadczył, iż sam już postanowił powołać kilku świeckich do ministeryum, więc znowu radość wielka i znowu demonstracya onej przez pochód do Kwirynału. Szczęśliwym trafem zdarzyło mi się spotkać z tym tłumem i przyłączyć się do niego. Skoro się lud licznie zebrał przed pałacem, papież wy-

szedł na ganek dla błogosławienia. Wtem pomiędzy witającemi go krzykami głos jeden doszedł do ojca św.: «Vogliamo un ministero tutto secolare (chcemy ministeryum wyłącznie świeckiego).» Na co, jak sam papież opowiedział, postanowił przemówić. Zaczął w tych słowach, które rzadkiej doniosłości głosem od wszystkich były słyszane: «Nim przystąpię do pobłogosławienia temu narodowi i całym Włochom», — na to tłum krzyków radości długo uspokoić nie mógł, — «chcę powiedzieć, że dochodzą mnie pewne okrzyki, których słuchać nie mogę, nie powinienem i nie chcę, — non posso, non debbo, non voglio, perchè sono contrarii alla santita di quanto Stato (bo się sprzeciwiają świętości tego państwa).» To, z szczególną mocą powiedziane, zostało przyjęte, jak wszystko, co od Piusa IX pochodzi, z entuzyastycznym okrzykiem «evviva»! Dodał, zadowolony tem poparciem dla słów swoich: «e adesso vi benedico con tutta l'anima mia» (a teraz błogosławię was z całej mej duszy). Ale wyrazu i wylania, z jakiem to wyrzekł, opisać niepodobna. Większość przyklękła i łzami się zalała, potem odśpiewano kościelne błogosławieństwo i wszyscy się rozeszli spokojnie.

Nazajutrz ojciec św. powołał trzech świeckich do ministeryum: jednego do policyi, x. Teano, drugiego, pana Pasolini, byłego konsultora z Rawenny, trzeciego Sturbinetti, znakomitego tutejszego prawnika, do departamentów mniej ważnych.

Kilka dni temu papież zwołał konsystorz i postanowił na nim mianowanie komisyi, mającej oznaczyć granice, do których ustawy polityczne już dane i nadać się mające mogą być rozszerzone bez nadwerężenia praw i potrzeb Kościoła, a z zastosowaniem przecież «ai bisogni dei tempi» (do potrzeb czasu).

Lękać się trzeba, aby zwyczajna opieszałość, z jaką tu wszystko się robi, zwłaszcza przy ciągłych z reszty Włoch doniesieniach i postępach, nie pobudziła wkrótce

znowu ludu do manifestacyi groźnej. Wszystko bowiem jest tu w zawieszeniu i tymczasowości. Ojciec św. wpół skrupułami zatrzymany, żeby władzy papieskiej nie nadwerężyć, wpół może ufający sobie więcej, jak komukolwiek, nie przez zarozumiałość, ale przez ufność w szczególną łaskę bożą, nie jest widać skłonnym zdać na ministrów swoich władzy, za którą sam odpowiada. Stąd brak około niego ludzi zdolnych, raz, że ich jest wszędzie mało, a powtóre, że ich ojciec św. podobno i niebardzo szuka i nie okazuje się skłonnym przyjąć takiego, któryby miał swoje zdanie o rzeczach.

Ojciec św. przyjmował onegdaj xiężnę Odescalchi [1]) i jej siostrę [2]) z szczególną łaskawością. Obie, a zwłaszcza ostatnia, mówiły mu z ogniem o kraju i nietylko o prześladowaniu religii, ale i o cierpieniach, o prawach i niewygasłych nadziejach narodu. Ojciec św. słuchał z wielkiem współczuciem, krzepił nadzieję, mówił, że ruch nadany Włochom, a stąd i światu, przyniesie i nam z czasem lepsze koleje. Nie lękał się tego ruchu ani następstw. «Już», mówił, «doświadczam tego, że ograniczenie władzy mojej doczesnej podniosło znacznie władzę duchową Kościoła. Dziś na całym świecie nie ma już stolica św. nieprzyjaciół.» Mówił, iż mu 60.000 Irlandczyków swoje służby ofiarowało. Wyliczał winy Polski, które ona odpokutowuje: rozwody, ucisk chłopów i żydów! Pani Liza, która jest wcale dzielna, odrzekła, że żaden naród przecież czystszej nie ma historyi od polskiego, ani większych w chrześcijaństwie zasług i w czem zawinił, to już odpokutował. Na co się ojciec św. zgadzał, dodając, że dawniej czytał historyę Polski. Zapewniał, że, odkąd papieżem został, modli się codzień za Polskę, zachęcał do modlenia się wraz z nim. Dodał, że zaburzenia nastąpią wielkie i wojny nieuchronne! Tu pani Liza żwawo oświadczyła

---

[1]) Zofia z Branickich.

[2]) Elżbieta Zygmuntowa Krasińska.

gotowość Polski przyjścia ojcu św. w pomoc ochotnikiem i groszem nawet. Papież wspomniał, że podobne oświadczenia czyni mu x. Czartoryski przez swego siostrzeńca i przez p. Orpiszewskiego i wdzięcznie mówił o tem, — dotąd z kobietami tak tylko. Mówił o kłamstwach Moskwy, o swojej allokucyi 17 grudnia. Pytał, czy ona dojdzie. Pani Liza ofiarowała się zawieźć do kraju, cokolwiekby jej powierzył. Pytał, czyby się tem nie naraziła. Odpowiedziała, że według nowego kodeksu na piętnaście lat robót. Ojciec św. na to: «o, poveretta». I trzymał je blizko godzinę i zapewne mu ta rozmowa milszą była, niż z niejednym ministrem i monsignorem. To wszystko dla Wuja piszę, ale broń Boże, pochwałą dobrych i zacnych nie ściągnąć na nie prześladowania. Pani Liza tem dobitniej się tłomaczyła z historyi naszej i praw naszych do opieki ojca św., że właśnie z pracą i starannością, a ręką wyrównującą pismu Niedźwieckiego, przepisuje po raz drugi na czysto pismo męża do ojca św., o którem już donosiłem. Jest bardzo piękne.

Mickiewicza widują tu niektórzy, głównie Zygmunt. Ale nikt dotąd, a najmniej Zygmunt, nie poddaje się jego mowom. Zygmunt trafnie go osądził niewolnikiem mistrza, który wszystkich znowu sobie w niewolę poddać zamierza, człowiekiem, który uderzony potęgą rozwiniętą w Moskwie przez posłuszeństwo na zło, chce na dobre użyć podobnej potęgi i wciąż porównania swoje bierze z pułku, pułkownika, sierżanta i kaprala. Zygmunt, acz go pieści jak może, wymówił mu, że, opuszczając katedrę słowiańską, zeszedł z pola otwartej rewolucyi, by znowu wpaść w skrytą konspiracyę.»

«Mickiewicz przybył do Rzymu w celu poddania się pod sąd ojca św. za przyjęcie i głoszenie Towiańszczyzny. Matce Makrynie nasamprzód złożył dowody uszanowania. U niej też dopełnił pierwszego kroku pojednania z Kościołem. Po kilkakrotnem zwierzaniu się

jego i okazanej skrusze, zaprosiła matka Makryna ojca Jełowickiego, aby przybył do klasztoru w godzinie, kiedy się znowu spodziewała Mickiewicza i poczekał w przyległym pokoju. Gdy naparłszy Mickiewicza gorąco, widziała, że się nakłania do pokory, zaklęła go, żeby niezwłocznie do spowiedzi przystąpił, a gdy oświadczył, że gotów, powiedziała mu, że właśnie jest obecny w klasztorze znajomy mu od lat wielu i przez długie lata z zachwytem czytający jego utwory o. Alexander Jełowicki. Jakoż doprowadziła ich do spotkania i zostawiła samych.》

W liście z 11 marca 1848 Zamoyski podaje o tem jeszcze następujące szczegóły: «Duch Mickiewicza pokonany został świętym duchem, który naszą matkę Makrynę ożywia. Poddał się jej jak dziecko. Kazała mu się spowiadać księdzu Jełowickiemu. Spowiedź była trzydniowa; po niej zrzeczenie się na piśmie błędów i herezyi, oraz przyjęty obowiązek drukowania pism zdrowych i naprawę noszących. Mickiewicz pisze dzieło o miłosierdziu bożem, gdzie ma sam siebie opisać, jak już dziwnem przeczuciem opisał w IV tomie Dziadów.»

《Jeden z rodaków, który podziwiał pokorę tak wielkiego geniuszu przed zwykłym księdzem, chciał w niej widzieć podobieństwo, jak gdyby sławny marmurowy Mojżesz Michała Anioła powstał z krzesła, na którem siedzi od wieków w kościele San Pietro in Vincoli i poszedł do współczesnego rzeźbiarza na Corso, żeby się dać poprawiać.

Następnie, za przedstawieniem księdza Jełowickiego, przyjmował Mickiewicza ojciec św. na prywatnej audyencyi. Mickiewicz we drzwiach ukląkł i tak głębokie okazał wzruszenie, że ojciec św. aż powstał z krzesła i, nie czekając trzykrotnego, według zwyczaju, przyklęknienia, sam pierwszy przystąpił do niego, i, podawszy mu rękę, za-

prowadził do krzesła, na którem mu siedzieć przy sobie rozkazał. Po krótkiej rozmowie odprawił go z błogosławieństwem.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 18 lutego 1848.

Czem więcej widuję Zygmunta, tem bardziej go cenię. Jest to bez wątpienia jeden z najznakomitszych między nami ludzi, pojęciami, wiadomościami i zdrowym o rzeczach sądem, a przytem pięknem nader uczuciem. Miłe bardzo z nim przepędzam chwile. Nie podziela naszego widzenia w całej ścisłości, ale przecież szanuje zasady, prace, dążenia i po części dopomaga. Mianowicie powiadał mi, że fundusz na kartę [1]) jest zapewniony, że Chrzanowskiego w miarę potrzeby dochodzi, żebyśmy się więcej o to nie troszczyli. Powiedziałem już i on to rozumie, że źle jest, aby taki fundusz nie przez ręce xięcia przechodził. W tych dniach dał mi także 500 fr. do przesłania Czaykowskiemu. Wchodzi w potrzebę reprezentacyi narodowej zagranicą, o Wuju mówi z uczuciem i wysokiem poważaniem. Jest on dziwnie miłego obejścia, nad wyraz serdeczny i ujmujący. Takie mi prawi nieraz to ustnie, to listem przypadkowym pochwalne przymiotniki, jakich nie słyszałem od nikogo. Ona także wyborna. Spędzam z nimi liczne godziny; jest to prawdziwą rozkoszą, a tak rzadką, być z rodakami i mówić jak z równym, a nawet z wyższym, co do pojęć o wszystkiem.

O mojem zdrowiu na żądanie tyle powiem, że trochę pracować mogę, ale dużo próżnować muszę. Konno jeżdżę, między ludźmi żyję, swoje zdania czasem daję, do czego mnie Włochy pobudzają i Polacy, okazując jakąś wiarę.»

---

[1]) Karta dawnej Polski z przyległemi okolicami krajów sąsiednich według nowszych materyałów na 1 : 300.000. Paryż. 1859.

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego[1]:
«(z lutego 1848, bez bliższej daty.)

Drogi Władysławie! Dzięki ci za «Głos», który już znałem, za pismo i za białość przeznaczoną do pisma dopiero. Dzięki ci za to wszystko. Prawdęm ci mego uczucia powiedział, bo cię głęboko szanuję i uwielbiam potęgę twego charakteru, bohaterskość lwią twej niezużytej wytrwałości. Skoro się do kogo mam takim stosunkiem, zwykłem prawdę przed nim mówić, prawdę, zawartą w mojem sercu, w moim umyśle, a która to prawda może bardzo łatwo nie być jeszcze prawdą przedmiotu, jedno być prawdą tego, co ja czuję i myślę. Mojem zdaniem, drogi Władysławie, dla tego się rozwinęła metafizyka w tem wszystkiem, żeś nie z rzeczywistością istniejącą, żywą, oczywistą, jedno z abstrakcyą, miał do działania i obchodzenia się; skoro się weźmie abstrakcyę, musi się wyrodzić metafizyka, która właśnie jest sposobem rozwijania się wszelkiej abstrakcyi. Takim torem w świat ideę filizoficzną można wprowadzać, sądzę, że władzy monarchicznej lub dynastyi nie sposób. Co do pierwszej, jedno czynami ustala się i wydarzeniami. Co do drugiej, to wyrasta jak rosną rośliny boże na właściwym gruncie, przy świetle właściwem. Dynastye są, albo ich niema. Sztucznie ich skleić nie sposób — chemia, z której te kruszce się wytwarzają, zowie się historyą i wiekami. Napoleon chciał a nie potrafił i rozbił się o zamiar ten!

Że wielu cię nie pojęło, jakoś żądał być pojętym — prawda. Że wielu, schwytawszy za pewne wady lub niedokładności, uradowało się w duszy z gotowego pozoru zrzucenia się z wszelkiej współczynności — prawda! Lecz

---

[1]) List ten napisał Krasiński po przeczytaniu mowy Zamoyskiego, wypowiedzianej 3 maja 1845, na posiedzeniu Towarzystwa insurekcyjno-monarchicznego (Ob. Trzeci Maj z 3 czerwca 1845. Str. 54–58) i po długich o tem z nim rozmowach.

w rachunku z ludźmi, na polu faktów, nie idei, zawszeż zdarzają się takie rzeczy i praktyką jest umieć je przewidzieć, obliczyć i odsunąć. Lecz oto prawda prawd, żeś walczył na niewdzięcznej niwie, że tytańskie trudności wszędzie stawały krokom twym na przełaj, że sfera cała polska trudem trudów, czyśccem mąk, niepowodzeń, zawodów, aż do pewnej chwili w czasie. Każdy inny na tem polu pewno byłby pobłądził, czy temi samemi, czy innemi błędy a liczniejszemi, a głębszemi, a nikt może nie byłby tak wzniośle, tak pięknie, tak wytrwale wciąż żałobę nieśmiertelną nieśmiertelnej pokrzywdzonej głosił przed światem. Sprawiedliwy sąd wyda historya i Polska kiedyś o tobie powie, żeś w czasie jej najstraszniejszej boleści, prawie zupełnej niewidzialności w świecie politycznym, był jej politycznym bohaterem i męczennikiem.

Za myśl twą, oto masz myśl moją. — Bóg ci błogosław ciągle i daj ujrzeć kiedyś owoc zachodów i prac niezmordowanych w wspólnem nam wszystkim zmartwychwstaniu narodu. Twój Zyg.»

III

REWOLUCYE

LUTY — MARZEC 1848

«Tymczasem w Paryżu osiemnastoletnie rządy Ludwika Filipa kończyły się wybuchem rewolucyi, 24 lutego 1848. Wiadomość o tem uderzyła jakby gromem na Włochy. Można śmiało powiedzieć, że odrazu zwichnęła to, co bez rewolucyi francuskiej istotnie zapowiadało «risorgimento» Włoch. Od tej chwili kierunek tego odrodzenia z rąk samychże panujących, otoczonych ludźmi najwytrawniejszymi w kraju, przeszedł w ręce burzycieli nietylko niewytrawnych, ale wprost przewrotnych, nie wahających się posługiwać zbrodnią, by celów swych dopiąć. Nie odrazu przecież dały się te następstwa w zupełności zmierzyć, nie odrazu zwątpili o sprawie włoskiej ci, w których ręku ta sprawa znajdowała się natenczas. Między nimi więcej dostrzegać można było ubolewania nad nierozwagą Francyi, jak zwątpienia o sobie. Ale między Francuzami, jakich znałem w Rzymie, żal i boleść głośno się objawiły. Hrabina M., choć należąca do rodzin zachowujących pamięć i żal po starszej linii Burbonów, gdym ją jednego rana odwiedzał, czytała właśnie dziennik z wiadomością o dokonanej rewolucyi. Przeczytawszy do końca, ze łzami w oczach rzuciła dziennik na podłogę i deptała po nim. Czuła

dobrze zapewne, że zrzucenie z tronu Ludwika Filipa nie ułatwi przystępu do tego tronu młodemu następcy starszej linii i że nierząd tylko nastąpi, a z nim nieuniknione dla kraju i nieobliczalne klęski.

Udałem się wprost do ambasady francuskiej. Łatwo się domyślić w jakim stanie umysłu zastałem pana Rossi. W całej postaci jego malowała się rozpacz, ale rozpacz milcząca. Siedział w głębokiem krześle, nieomal na niem leżał, głowę miał spuszczoną na piersi, a milczeć mógł tem łatwiej, że przy nim młody jeszcze, ale bardzo bystry i niepospolity sekretarz ambasady, x. Albert de Broglie[1]) w najognistszych słowach boleść i zgrozę swoją wyrażał. Każdy szczegół nieszczęsnego wypadku obliczał, sądził, potępiał, w krwawe obracał szyderstwo. Oburzał go pospiech, z jakim najznakomitsi urzędnicy i wojskowi wszelkiego stopnia występowali jeden za drugim, choć ich do tego nie naglono, z głośnem przyzwoleniem na rząd nowy, który zaledwie nowym porządkiem nazwać można było. Najbardziej potępiał takie przystąpienie z dalekiego ustronia Pyrenejów nadesłane przez marszałka Soult, przed kilku laty zaledwo prezesa rządu pod królem Filipem, oskarżanego nawet powszechnie o bezwzględną dla woli królewskiej uległość. «Jednego już tylko» mówił, «tej republice przyzwolenia brakuje, samego pana Guizot», z przewodnictwa rządu właśnie przez nią zrzuconego.

Podzielałem w zupełności zgrozę i żal młodego de Broglie[2]). Jednak rzekłem do niego: «Darmo, przyjacielu, nie pierwsza to we Francyi burza, młody jesteś, pierwszy

---

[1]) X. Albert de Broglie (1821—1901) pisarz i polityk, ambasador w Londynie 1871 — 1872, prezes ministrów 1874 i 1877, członek Akademii.

[2]) W listach współczesnych Zamoyski nieco inaczej ocenia wypadki, niż to czyni w pamiętnikach, po dwudziestoletniem doświadczeniu skutków rewolucyi.

raz takiej doświadczasz, pomnij, że życie nie upływa bez wielu goryczy.» Po francusku myśl tę wyraziłem «On ne traverse pas la vie sans avaler des couleuvres.» (Niejednego węża trzeba w życiu przełknąć). Na te słowa ozwał się hr. Rossi ponurym, jakby z grobu głosem: «Mais cette fois c'est un boa» (ale tym razem to boa). Jakby powiedział: nie gorycz to, ale trucizna. Zdawało się jakby w tych słowach prorokował zamach morderczy, którego padł ofiarą, kiedy w kilka miesięcy potem został napowrót Włochem w służbie ojca św.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 27 lutego 1848.

Teraz w tym kraju myślą tylko, jak uniknąć większego socyalnego rozprzężenia, jak od rzezi i plądrowania zabezpieczyć życie każdego i majątek. Tymczasem, jak w dziennikach zobaczysz, jen. Dwernicki udał się do rządu, oświadczając chęć formowania legii. Ja, nie wiedząc o tem, uprzedziłem go takimże na piśmie krokiem. Oświadczyłem chęć widzenia pana de Lamartine[1]. Rad byłem pokazać moją gotowość i że przypisywane mi pryncypia nie są bynajmniej na zawadzie głównej chęci i celowi odrodzenia ojczyzny pod jakąkolwiek formą i odzyskania jej niepodległości. Polska sama sobie nada tę formę, ale teraz trzeba naczelnika, bez tego obejść się nie można. Centralizacya także podała swoje żądanie. Rząd nie może wątpić o dobrej woli Polaków z trzech stron do niego przychodzących.

Wracając do teraźniejszych niesłychanych odmian, wszyscy się im poddają i łączą się z rządem nowym, bo niema niczego innego z czem łączyćby się można dla ocalenia kraju i społeczności. Przeszłe figury zniknęły jak mgły przed wiatrem, wywrócone jak drzewa bez

---

[1]) Prezesa ministrów i ministra spraw zagranicznych w Rządzie Tymczasowym.

korzeni. Karol X lepiej upadł. Co do mnie, wiesz dobrze, że rozumem raczej jak sercem dzieliłem monarchiczne zasady za rzeczypospolitej zrodzone. Doświadczyłem jej iluzyów i nietrudno mi do nich wrócić, byle się mogły ziścić.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 50 Piazza di Spagna, 5 marca 1848.

Nie czas i nie nam płakać nad upadłymi. Srogo pokutują. Srogo dotkniętych będzie i niewinnych wielu. Ale ręka boska w tem tak się objawia, że ubolewać niepodobna. Oby nam Bóg raczył dać ulgę wśród zmian tych. Straszna kara zarozumiałości, zepsucia i egoizmu, jaka jednych spotkała, czy też stanie się nauką dla następnych? Bodajby! Tu dotąd cicho. Ze zwykłą powolnością ruchów mają, raport (o ustawie konstytucyjnej) i ostateczne postanowienie ojca św., być przedstawione opinii kardynałów i dopiero 11 ma być ta ustawa ogłoszoną. Co do tej pory zajść może, to Bóg wie. Umiarkowani i napozór najliczniejsi roznosili dziś petycyę do ojca św. do podpisania o nadanie spieszne konstytucyi, o silne ministeryum i o uzbrojenie. Wyrazy są monarchiczne. Życzą wszyscy, aby ojciec św. zawarł traktat odporny i zaczepny z królem sardyńskim, aby się zobowiązał dotrwać mu z całą siłą swoją duchową, kiedy on siłą zbrojną zawładnie. Austryacki attaché, którego dopiero spotkałem, mówił mi z dziwną naiwnością: «C'est fini de la Lombardie».

Pismo niedawno ojcu św. podane przez nas zawiera zapowiedź wielu wypadków, których początek tak niespodzianie szybko się objawił i wzywa go do zajęcia stanowiska, jakie przystoi duchowemu naczelnikowi świata przez ogłoszenie się obrońcą sprawiedliwości.

Biedna ciocia (x. Czartoryska), czy też potrafi bal swój pomieścić wśród takiego wstrząśnienia i czy zbierze konieczny fundusz na tyle sierot.»

Leonard Niedźwiecki do Władysława Zamoyskiego:
«Paryż, 7 marca 1848.

Spieszę donieść słów parę o domu w połączeniu z wypadkami. Pierwszym dniem wypadków był wtorek (22 lutego), dzień długo naprzód naznaczony, to też chociaż bankiet (reformistyczny) został odwołany, ludność paryska, która się gotowała do łażenia po mieście dzień ten cały, wysypała się na ulice i zaczęła sznurem ciągnąć po wszystkich placach. Rząd w przewidywaniu snucia się tych gromad ogłosił w wilię, że rozpędzać je będzie. Rzekłby kto, że szukał zaczepki. I gwardya municypalna rzeczywiście rozpędzała po wielokroć tłumy na Polach Elizejskich. Ale cóż z tego. Te tłumy wygnane z jednego miejsca gromadziły się w drugiem i tak bez końca. Z tem wszystkiem oprócz stratowania końmi wielu ludzi i kilku pokuszeń się o robienie barykad, dzień przeszedł bez szwanku ze stron obu. Zostało jednak pewne rozdrażnienie i ciekawość na dzień następny. W nocy bawiono się barykadami. Kiedym wrócił do domu około może dziesiątej wieczór, xiążę kazał mnie zawołać do pokojów x. Wirtemberskiej i opowiedzieć com widział. Do powieści mojej dodałem i to, że w tłumie ciekawych był x. Roman Sanguszko i że w jego oczach podniesiono kobietę stratowaną; że x. Sanguszkowej [1]) jadącej powozem, chciano wyprządz konie i powozu użyć do robienia barykady, co wszakże się nie stało.

Dnia następnego w środę (23 lutego) wojsko rozwalało barykady na rue St. Martin i na rue Rambuteau, pospólstwo ich broniło, stąd strzały i trupy. Król francuski nie chciał już wtedy, żeby tak dalej szły rzeczy i zmusił swoich ministrów do dymisyi, powołując do nowego rządu pana Molé. Adjutanci królewscy roz-

[1]) Klementyna z Czartoryskich x. Eustachowa, matka x. Romana.

biegli się po mieście głosić tę nowinę. Radość powszechna i wszystko stłumione. Było to około godziny trzeciej po południu. Wieczorem tłumy ludu, przewalające się z ulicy w ulicę, wrzeszczały: «Vive la réforme, à bas Guizot.» Wszystkie gmachy były iluminowane, wyjąwszy gmach ministeryum spraw zagranicznych (skąd Guizot nie zdołał się jeszcze wyprowadzić). Pismo Reforma podobno na psikus ministrowi upadłemu posłało ze dwieście pochodni do oświecenia gmachu. Z gmachu tego obsadzonego mocno żołnierzem dano ognia do kupy bezbronnych i blizko sześćdziesięciu ludzi trupem padło. Miasto struchlało na tę wieść; nie było kącika, gdzieby nie doleciało z wykrzykiem boleści: rżną naszych! Ja pod tę właśnie porę kierowałem się ku domowi, krocząc przez tłumne i oświecone bulwary i przez tłumną i zabarykadowaną ulicę St. Martin. Stanąłem w domu coś około dziesiątej. Miałem z sobą dziennik wieczorny «La Patrie», za który dałem półtora franka i udałem się zaraz do pokojów x. Wirtemberskiej, gdzie xięstwo byli zgromadzeni, wyjąwszy p. Izabelli. P. Izabella w tę chwilę przechadzała się po ulicy St. Martin, mając przy sobie pułkownika Breańskiego, pannę Benoît i odźwiernego. Przełazili przez barykady, widzieli iluminacyę, słyszeli krzyki i wrócili około jedenastej z niemałą trwogą x. Adamowej.

Nazajutrz rano we czwartek (24 lutego) jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy spostrzegli na naszej spokojnej wyspie (St. Louis) barykady, czworo tego i na mostach. Jakeśmy się zaraz przekonali, co było na naszej wyspie, było w całem mieście. Całe miasto od brzegu do brzegu najeżone barykadami. Wojska ani śladu. Gwardya narodowa struchlała i wszystko pozwalała robić. I wtedy to król abdykował. Wojska pułk jeden przeszedł na stronę tzw. ludu. Wdarto się do pałaców, zaczęto niszczyć wszystko naokoło. W izbie deputowanych nazwiska członków Rządu Tymczasowego czytano z kartki dru-

kowanej i na czele tych kartek wyrazy: «Plus de Bourbons! Vive la république!»

Noc z czwartku na piątek poświęcono Bachusowi; nie mając do kogo strzelać, strzelano na wiatr. Piątek nie był arcywyśmienity co do postawy miasta. Sobota nietęga była co do pokoju. W niedzielę maleńkie ustatkowanie i otucha, to jest w proporcyi gromadzenia się gwardyi narodowej i przez utworzenie gwardyi ruchomej (garde mobile). Do niej zapisały się wszystkie żydki nasze; mają półtora franka dziennie.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 7 marca 1848.

Wychodzę od Lamartine'a. Najlepiej i najpochlebniej byłem przyjęty. Z Anglią jest najlepiej. Spodziewa się, że z jej pomocą zapewni neutralność Prus. Austryę i Moskwę ma za nieprzyjaciół. Gdym mówił o Polsce, powiedział, że już zaczął się nią zajmować, że znalazł dla jej przyszłości łatwości nadspodziewane, że nawet propozycya w tej mierze była zinąd zrobiona. Gdym pytał, przez kogo, odrzekł, że teraz nie może mi tego powiedzieć. Ja myślę, że to chyba przyszło z Anglii. Nie można nie być ucieszonym szczerze przez takie przyjęcie. Miarkuję moją radość, ale jest wielka. Rozświeca się nam niebo. Może mi Bóg dozwoli kości położyć na swojej ziemi. Moja żona dziś odetchnęła trochę, x. Sapieżyna trochę się rozpogodziła. Izia zawsze żwawa.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 10 marca 1848.

List Wuja (z 27 lut.) czytałem tu różnym, bo maluje i duszę jego i rozum. Zygmunt z rozczuleniem wspomina o tym liście, jak o całem życiu Wuja. Mickiewicz, którego spotykam u Zygmunta, podobnie wielbił przy tej okazyi i przedtem xięcia. Obydwaj powtarzają ciągle, że xięcia Polacy poprzeć winni w przedstawianiu

Polski przed rządami. Czytam z uszanowaniem i serdecznem uwielbieniem wyznanie Wuja o pociągu serca jego od młodości do rzeczypospolitej. Pragnę i ja jednego tylko, żeby ziściła nadzieję pokładaną w niej przez umysły szlachetne. Nie bez tego przecież, żebym nie żałował, że brak zrozumienia surowszej do czasu formy był w naszym kraju niezaprzeczonym powodem klęsk i niepowodzeń, a nawet i w przyszłości dodaje jedną wielką trudność do tylu innych. Przewidzieć niepodobno, jak się zrobi porozumienie Polaków względem pośrednika, któryby za naród przemawiał do rządu francuskiego. Żądanie p. Lamartine, jen. Dwernickiemu objawione, żeby Polacy obrali między sobą komitet, posłużyć może do zbywania nas dla braku między nami zgody na pośrednika.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, marca 1848[1]).

Tak tedy Bóg nie chciał, aby mniemana mądrość króla Ludwika Filipa i stronników jego została dłużej bez kary! I ziściło się w strasznym rozmiarze wszystko, co tylekroć od początku panowania tego przeczuwaliśmy, acz sami nie radzi wierzyć tym przeczuciom i pragnący nie kary, ale poprawy! Miałożby to panowanie służyć tylko dla przygotowania Francyi i świata już do formy republikańskiej? Pojąć niepodobno, jakby ta forma utrzymać się mogła przy wielkiem zepsuciu, jakie powszechnie panuje.

Tu mimo tak naglących wypadków ojciec św. nie pospiesza i wolnym krokiem zbliża się do powszechnych około niego żądań. Konstytucyę ma już gotową, ale z ogłoszeniem jej nie spieszy. Skłania się chętnie do powołania ludzi dobrych a świeckich do ministeryum, ale nie przestaje chcieć rządzić nowymi ministrami; powołuje ich do pracy więcej, jak do rady. Zapytującym,

[1] Bez bliższej daty, pisany między 10 a 15 marca.

jakiejby się mieli trzymać drogi, nie chce się tłomaczyć. Oni przeto wahają się w przyjęciu odpowiedzialnych urzędów. Stąd zwłoka i groźne niebezpieczeństwo. Do ministeryum mają wnijść oprócz p. Pasolini, który krótkiem urzędowaniem zyskał wielkie zaufanie, pp. Recchi i Minghetti. Do tych przyłącza się ściśle z nimi związany x. Aldobrandini, brat młodszy x. Borghese, popularny, okazujący jakąś moc charakteru, choć mu się w życiu nie śniło o niczem podobnem. On ma być ministrem wojny. Dodany ma mu być Piemontczyk, jen. Durando, ze służby hiszpańskiej. Ja z nimi mam dobrą znajomość. Oni jednak nawet większości nie stanowią.

Konstytucya wyraźnie zapowiedziana. Jednak co chwila wybuchnąć może echo wypadków paryskich, do których zawsze mogą się dodać wypadki podobne w Neapolu i Toskanii. I tu zamiary takie istnieją. Entuzyazm dla Paryża w publiczności najgłośniejszy. Mówią o zamiarach wcale niecnych, o nożach na tych, których się uważa za zacofańców itp. Ludzie umiarkowani pragną nadewszystko, aby ojciec św. zaspokoił uczucie rozdrażnionej narodowości włoskiej t. j. aby wszedł w głośne przymierze z Sardynią. Ojciec św. miał oświadczyć, że to przymierze już zawarte, iż oficerowie sardyńscy wkrótce przybędą. Za wejściem czterech przyjaciół do rządów myśl powołania Polaków będzie przez nich mocno poparta. Pytają się mnie, czy mimo wypadków we Francyi my trwamy w gotowości służenia tu. Oświadczam na domysł, że trwamy. I wistocie mniemam, że choćby Francya decydowała się formować legion polski, to będziemy mieli oficerów więcej, niż miejsca dla nich. Więc i tu ich pomieścić można i w Sardynii. Ażeby też takie trzy legiony stanęły — i umiały uznawać władzę nad sobą jedną i polską, — żeby nie ponowiły zawiści, jakie panowały między różnemi legionami i dowódcami za dawnych czasów, jakżeby tem można przyspieszyć odrodzenie nasze. Ale to chyba jeden Bóg zrobi.

Obok wypadków, które nas tak silnie popychają w świecie realnym, dotykalnym, mamy tu rozmaite objawy ze świata mistycznego. Matka Makryna w nielicznem kole dam naszych zwierza się z przeczuć najlepszych, odkąd te zmiany zaszły we Francyi. Z drugiej strony Mickiewicz jest w egzaltacyi radości, powiada: «Toż ja to zapowiedziałem i na piśmie zostawiłem w Paryżu.» Zygmunt nietylko nie poddaje się Mickiewiczowi, ale stacza boje z nim, upamiętuje przeczuciem strasznych rozbojów komunizmu. Mickiewicza uważa jako zapamiętałego radykalistę, rojącego cele dobre np. Polskę jakąś za pomocą środków choćby najkrwawszych. Tymczasem Mickiewicz o Wuju mówi w wyrazach najlepszych i dowodzi, że xiążę jeden może najlepiej przewodzić sprawie i reprezentować ją u rządów obcych. Mnie nawet nazywa «człowiekiem czynu» i dość łaskawie ze mną u Zygmunta rozmawia. Onby rad, żeby się legion sformował, ale w Lombardyi tj. jak mniema, na polu wolnem od wszelkich więzów rządowych. Zapomina, że na legion trzeba pieniędzy jakiegoś rządu, że i w Lombardyi zarazby przecież rząd stanął. Ale on nawykł dawno nie liczyć się z trudnościami materyalnemi, a wszystkiego wyglądać od siły ducha.

Ojciec św. ze swej strony także coś podobnego do nadnaturalnej siły okazuje. Nic go nie wstrząsa, nie miesza. Na przypuszczenie, że tu by się nierząd zakradł i żeby mu chciano narzucać prawa ubliżające temu, czego bronić czuje obowiązek, oświadcza, że ustąpi do klasztoru Benedyktynów w Subiaco. Jeżeli, dodaje, zamkną mnie w zamku San Angelo albo i głowy mojej zapragną, toć największem mnie udarują szczęściem, bo koroną męczeństwa. Na króla sardyńskiego od kilku dni narzeka, że jakby się zmienił, że mu nie przysyła oficerów obiecanych. Wygląda jednak jednego lub dwóch jenerałów. Stąd naszego dotąd nie pragnie i przyszli ministrowie nie obiecują, aby go mogli zaraz powołać. Mówią prze-

cież, że kilku niższych oficerów umieszczą i że ojciec św. do tego się skłania, że «Polaków lubi». Mniemam, że choć w zasadzie nie należy nam się werbować pojedyńczo jedni bez drugich, przecież w wojsku papieża dla odgłosu, jakiby to miało w Polsce i w Austryi, należy niektórym przyjąć tę służbę.

Zygmunt coraz jest serdeczniejszy i bardziej się zbliża. Zdaniem jego trzymać się winniśmy papieża. Onby rad, żeby się Wuj z papieżem związał i doszedł do tego, żeby go papież przedstawicielem i naczelnikiem Polski uznał. Przewidując, iżby go rząd moskiewski porwał, nie myśli wracać do kraju, odzywał się z tem, że gotów się zaciągnąć do szeregu z nami. Przytem widzi przyszłość Europy bardzo czarno. Przewiduje rozboje, rozprzężenie. Pismo, które załączam, da najlepiej poznać przeczucia jego, choć pisane przed wybuchem paryskim.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Rzym, 18 marca 1848.

List Wuja z 7 z doniesieniem o rozmowie z p. Lamartine odebrałem. Dzięki Bogu za ten dobry początek stosunków z tym nowym rządem. Cieszę się rzewnie dobremi chwilami, jakie to drogiemu Wujowi sprawiło, któremu niewiele podobnych Bóg dozwolił. Wyglądam skutków. Witam i ja całem sercem tę jutrzenkę. Wyznaję przecież, iż jeszcze ufności wzbudzić w sobie nie umiem. Ale o to mniejsza, bylebyśmy z naszej strony wszystkiego dopełnili; reszta w ręku Boga. A tę ufność mam głęboką, że Bóg nas do lepszego prowadzi, skoro my jego szukamy przedewszystkiem chwały.

Zastanawiam się nad tem, co może się wyrodzić z postanowienia p. Lamartine formowania legii. Póki wojny niema, nie mamy jej z czego formować. Żołnierzy niema. Ministeryum wojny francuskie, mimo zmian u steru, zapewne nie odstąpi od zasady mianowania oficerów tylko w miarę ilości zebrać się mających żołnierzy.

Tymczasem zdarza się i tu możność stosownego użycia pewnej liczby. Nietylko mam zapewnione fr. 50 na osobę miesięcznie na czterdziestu przez sześć miesięcy, ale i na sprowadzenie ich tu zapewnionych mam po fr. 200 na głowę. Razem fr. 20 000 na ten przedmiot obiecanych, a zebranych połowę. Fundusz ten zebrany został między rodakami na ten przedmiot, nie wolno nam obrócić go na co innego. Uczuliśmy to wszyscy, że sprowadzenie takiej choć liczby zdolnych oficerów, będzie sprawie naszej korzystne. Ojcu św. nie mówi się o tem, ale gdy przybędą, przedstawieni mu będą i to go pewno ujmie. Przyjmie ich choć do błogosławieństwa, a rzecz tem samem już gruchnie i do Polski dojdzie, choćby ich i nie umieścił w wojsku odrazu. Rzecz tedy idzie o wybór. Mojem zdaniem należałoby w tym razie korzystać z wypróbowania wielu co do opinii i charakteru przez Towarzystwo Trzeciego Maja. Rzecz ważna nie mieć innych, jak tylko przywiązanych do zasad porządku i doświadczonych z dobrowolnej karności. My tu za nich poręczać będziemy, niechże będą ludźmi, którzy nam nawzajem wierzą, poparcie dawać będą, a nadewszystko, którzy nierządem swoim wstydu nie uczynią.

Wyjeżdżam dzisiaj do Florencyi. Myślę być w Genui 24, w Turynie zapewne do końca miesiąca.»

W drodze z Rzymu do Florencyi zaskoczyła Zamoyskiego wiadomość o rewolucyach w Wiedniu (13 marca), w Medyolanie (17 marca) i Berlinie (18 marca).

«Raz więcej dawała Francya innym ludom hasło i popęd do wewnętrznej naprawy, poczynając, jak zawsze, od wywrócenia u siebie istniejącego porządku rzeczy. Sprawdzały się słowa p. Thiers, chociaż zakochanego w sławie wojennej pierwszego Napoleona, że «jakkolwiek był nieporównany jego geniusz wojenny, połowę zwycięstw ówczesnych Francyi przypisać wypada pojęciom

nowym (les idées), jakie sypały się z grzywy jego konia.

Za przybyciem do Florencyi udałem się zaraz do Santa Croce. Dzień był powszedni. Zaledwo kilkanaście osób było w całym obszernym gmachu. Jedną kobietę zastałem klęczącą przy kracie, otaczającej grób matki mojej, wniosłem przeto, że to musiała być jej znajoma. Chcąc się przekonać, zapytałem, czyj to grób. Odpowiedź była: «Imienia zmarłej nie znam, ale była świętą!» (era una santa). Miłe mi było takie uznanie cnót zapamiętanych między obcymi w lat już jedenaście po jej śmierci [1]).

Florencya i cały kraj okoliczny był w gorączce i zachwycie. W wigilię przybycia mego wyszła proklamacya w. x. toskańskiego w duchu najbardziej włoskim. Jaki w tym czynie miał udział sam w. xiążę, nie wiem. Dość mi było widzieć radość i powszechny zapał jego poddanych, głośno gotujących się do nieuniknionej z Austryą rozprawy.

Dwa dni zabawiwszy we Florencyi, wsiadłem w Liworno na okręt pocztowy francuski.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 22 marca 1848.

Scena, jak już musicie wiedzieć, znowu się zupełnie odmieniła. Berlin i Wiedeń z nieprzyjaciół przeobrażają się na sprzymierzeńców; już nie są groźnemi dla nas mocarstwami. Kwestya włoska podrzędną się stała dla nas. Cała waga chwili przeniosła się do Niemiec, tam pracować, wymagać i dać się poznać wypada. Nawet tutejszy kraj traci dla nas ze swej ważności, choć nie

---

[1]) Na podobne pytanie tęż samą odpowiedź otrzymała w trzydzieści cztery lat po śmierci ordynatowej Zamoyskiej jedna z wnuczek od osoby modlącej się przy grobie, a w sześćdziesiąt lat po jej zgonie prawnuczka od robotnika, który brał odlew pomnika zmarłej.

z dobrych chęci. W Niemczech jest chwili tej rozstrzygnienie. Lękam się, że u nas, widząc wszystko dokoła w ogniu, nie wytrzymają, zapalą się i popsują stanowisko wyborne dla zyskania zaraz ogólnego narodowego rządu i zupełnego zapewnienia narodowości. Lękam się, że u nas, jak zwyczajnie, nieroztropnie ruszą. Tak słychać z Xięstwa, Galicyi i nawet o Królestwie. Staram się ten ruch przedwczesny odradzać, ale wypadki teraz idą prędzej, jak myśli.

24 marca. — To pisałem przedwczoraj wieczór, dziś znowu wszystko inaczej się przedstawia, inaczej nakazuje. Ruch na łeb na szyję wypadków berlińskich nakazuje zaraz jechać. Biorę Chrzanowskiego i Morawskiego. Zjedź tutaj, aby się wszystkiem zatrudnić, co tu Barzykowskiemu zostawiłem. Wkrótce się połączym i będzie aż nadto przedmiotów, którym się poświęcić przyjdzie. Ściskam Sobolewskiego i ciebie z całego serca. Krasińskiego także. Szkoda, że wasze miłe wieczory się kończą. Bóg da, że się wszyscy zobaczym razem.»

Leonard Niedźwiecki do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 29 marca 1848.

Journal des Débats z dnia dzisiejszego ma opis dość obszerny przyjęcia świetnego, jakie xięcia spotkało w Kolonii. W Akwizgranie po rozejściu się wiadomości o przyjeździe xięcia, ze dwustu obywateli zbiegło się powitać go. Zacząwszy od majora wojska pruskiego, który w imieniu wojska kilka słów przemówił, aż do przełożonych cła, policyi, wszyscy w słowach i czynach wyprzedzali się w manifestacyi dla sprawy polskiej; na każdej stacyi manifestacye te się powtarzały.

W Kolonii rada miejska, gwardya narodowa, wszelkiego rodzaju korporacye wysyłały deputacye do xięcia. Chorągiew polską zatknięto na bramie hotelu, gdzie się xiążę zatrzymał. Kilka tysięcy ludu zapełniło ulicę, schody, nawet i pokoje hotelu. Muzyka wciąż grała: «Jeszcze Polska nie zginęła». Całą noc stało dwóch

szyldwachów przed drzwiami xięcia. Wieczorem o dziesiątej była serenada stowarzyszenia śpiewackiego, której członkowie są po większej części patrycyuszami miasta. Jen. Chrzanowskiego nawet ogarnął entuzyazm. Xiążę i orszak mieli kokardy niemieckie.

Redakcya Gazety Kolońskiej [1]) w całym komplecie składała xięciu swoje uszanowanie, wynurzała uczucia dla sprawy polskiej i uważała ją za nieodzownie złączoną z osobą xięcia. Gazeta Kolońska ma piętnaście tysięcy prenumeratorów.

Z Kolonii xiążę udaje się na Monaster; mnóstwo osób ma go aż tam odprowadzić. Furgon, którym pojedzie, powiewać będzie chorągwiami polskiemi i niemieckiemi. Słowem, jubileusz dla Niemiec i dla nas.»

Zdzisław Zamoyski do Władysława Zamoyskiego:

«Wiedeń, 23 marca 1848.

Piszę do ciebie z dziwną propozycyą, dziwną przez to, że można o niej myśleć. Ojciec i my wszyscy żywo pragniemy, byś tu do nas przybył. Ty próbuj ze swej strony, ja tu do hr. Kolowrata, albo do barona Pillersdorfa się udam! Ojciec tego niezmiernie pragnie.

W kraju dotąd spokój, daj Boże, żeby i dalej tak było. Tu na teraz zwołane stany ze wszystkich prowincyi mają stanowić o przyszłej konstytucyi państwa. Tymczasem formują odpowiedzialne ministerya i wolność druku działać poczyna. Zupełna i wzorowa panuje spokojność i bezpieczeństwo. W mieście nawet nie znać dokonanych potężnych zmian, chyba widząc uzbrojoną gwardyę narodową, uwijającą się po ulicach. Koniecznie musisz tu przyjechać. Już tu Metternicha, ani policyi niema.»

---

[1]) Później słynna z hakatyzmu.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«24 marca 1848, płynąc z Liworno do Genui.

Korzystam ze spokojnej żeglugi, żeby pomówić z drogim Wujem. Już tedy biją się na dobre w Lombardyi, już donoszą, że Piemontczyki ruszyli Medyolańczykom na pomoc. Już w. x. toskański rzucił rękawicę Austryi. Już i Bolończyki ruchawką wypędzili pułki austryackie z Modeny, a z Wiednia studenci uniwersytetu wypędzili Metternicha. W tej chwili od podróżnego dowiaduję się, że papież na pierwszą wiadomość o wiedeńskiej rewolucyi, siedząc właśnie w radzie ministrów, zastanowił się chwilę i rzekł: «eviva Pio nono» i powrócił do zajęcia, na chwilę tem doniesieniem przerwanego. W Wiedniu przecież chwilowo porządek przywrócony. Papiery austryackie spadłszy do 80, podniosły się znowu szesnastego i siedemnastego do 90. Jest w tem coś niewytłomaczonego. Czy miałoby się na teraz wszystko skończyć wypędzeniem Metternicha? Spotkałem we Florencyi Leona Łubieńskiego, syna Tomasza. Opuścił Wiedeń w wilię rewolucyi. Powiadał, że od piętnastu dni wszyscy ją w Wiedniu na tenże dzień, jako w samo otwarcie stanów, zapowiadali, że jednak dlatego samego nie uwierzył, by co zaszło i wyjechał. Mówił, że miał często sposobność przekonania się, że w salonie x. Metternicha obawiano się najbardziej dwóch rzeczy: 1. wkroczenia do Lombardyi króla sardyńskiego; 2. ogłoszenia na jego linii, że formujemy legię. Nie omieszkam opowiedzieć to w Turynie i, korzystając z okoliczności, przedstawić silnie ten interes.

25, z Genui. — Zastaję i tu rękawicę rzuconą Austryi. Dzięki Bogu! Lombardya oswobodzona. Deputacya z Medyolanu powołała króla Sardynii na króla swego.»

Orpiszewski i M. Budzyński[1]) do Zamoyskiego:

«Rzym, 24 marca 1848.

Po wiadomościach o wypadkach wiedeńskich doszła wczoraj, 23 b. m., wiadomość o wypędzeniu Austryaków

z Medyolanu. Pierwsza sprowadziła zrzucenie orłów ze wszystkich pałaców prywatnych, a nawet i z ambasady. Zaszła protestacya trzech dworów z tego względu, w wyrazach jednak łagodnych. Druga wiadomość ważniejsze miała skutki. Lud rzymski napełniał ulice miasta, wołając w niebogłosy, że chce iść na pomoc «braciom Medyolańczykom». Jen. Durando poszedł do papieża, o jedenastej zebrała się rada ministrów. Ministrowie, chcąc korzystać w części, żeby najniespokojniejszych oddalić, w części, żeby zrobić demonstracyę przeciw Austryi, uradzili za zezwoleniem papieża ogłoszenie, że ochotnicy mają natychmiast się zapisać i wyruszać. O wpół do drugiej Minghetti z powozu na «placu Ludu» odczytał następujące pismo: «Ministerstwo wojny. Zważywszy naglące okoliczności, zważywszy decyzyę rady ministrów, Jego Świętobliwość rozkazuje: W ministeryum wojny otworzoną jest dziś o drugiej lista ochotników. Pułk. Ferrari mianowany jest organizatorem. Jen. Durando naczelnym dowódcą sił operacyjnych.» — Żywe oklaski oznaczały radość.

Jam (pisze Orpiszewski) szepnął panu Mazi, który siedział także na wozie, ogłaszając reskrypt, ażeby krzyknął: «Niech żyją Polacy» i żeby gadał, że trzeba osobnego legionu. Na ulicy dowiaduję się, że zbierają się Polacy u księży (Zmartwychwstańców) na narady. Biegnę, spotykam niektórych, którzy mi pokazują adres Edwarda Jełowickiego, gdzie uradzono zejść się wieczorem.

Orpiszewski (pisze Budzyński) był u kardynała Antonelli i oświadczył chęć Polaków należenia do wyprawy, a zarazem przypomniał, że dziś jest chwila powiedzenia czegoś o Polsce. Kardynał odpowiedział, że papież nie jest w wojnie z Austryą, że ochotnicy idą na granicę tylko jako korpus obserwacyjny, że nam czekać należy. Księża tymczasem nasi dostali się wprost do papieża.

---

[1]) List ten pisany jest naprzemian przez obu ajentów, widocznie to jeden to drugi podczas pisania wybiegali na miasto, zaczerpnąć nowin.

Na sesyę (u Jełowickiego, pisze Orpiszewski) wchodzą księża. Ksiądz Jełowicki powiada, że wracają od papieża, że papież powiedział, iż za kilka dni głośno ma wyrzec o Polsce, ale chorągwi dziś jeszcze nie chce. Po naleganiu rzekł: «Niech przyjdą, to ich pobłogosławię.» Ksiądz powiedział, że są właśnie zebrani na naradę. — «U pana Zamoyskiego zapewne?» — «Nie, u mego brata.» — «To przywiedź twego brata i kilku starszych w tych dniach.» Kończąc, ksiądz Jełowicki rzekł do Polaków: «Więc jutro zaprowadzę brata mego i których wybierzecie.» Wtem Szymański zaczął mówić przeciw legii w Rzymie. Mickiewicz zgromił go, dowiódł jej potrzebę, ale wyrzekł, że naczelników sami sobie powinni wybrać. Ksiądz Jełowicki zaproponował, aby Mickiewicz towarzyszył im do papieża. Natychmiast Mickiewicz wstał i zarządził rozejście się.

Nazajutrz byłem najprzód u matki Makryny. Znajdowała nieprzyzwoitem, że mnie nie uwiadomili, ani proponowali nawet do deputacyi. O południu kazała mi być u siebie. Wpuścili mnie do osobnej izby; słyszałem Mickiewicza w drugiej. Gdy ten wyszedł, powiedziała mi, że Mickiewicz także mówi, że Jełowiccy wścibiają się, że xiążę jest przedewszystkiem i obiecał w tym sensie mówić przed papieżem.

Zapomniałem powiedzieć, że koło dziewiątej zrana przyszedł do mnie Kurowski, oświadczając, że pewna liczba Polaków zła bardzo na to, co się wczoraj stało; prosił mnie także, abym poszedł jako od xięcia. Odrzekłem, że bardzo chętnie i że proszę go, aby uwiadomili panów Mickiewicza i Jełowickiego, że na żądanie rodaków chcę ich akompaniować. Mickiewicz przystał natychmiast i Matce potem mówił, że dobrze, iż pójdę.

Co to za smutna rzecz taki rozterek w świętej rzeczy! co to nam wróży? Ja byłem w przykrem położeniu: nie mieć najmniejszego udziału, będąc tu od czterech lat ajentem xięcia, to trudno było. Łamać to, co księża

z papieżem porobili i na sesyi z Polakami, to miałoby minę intrygi. Przykre to bardzo chwile dla mnie.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 24 marca 1848.

Mój drogi! Dzięki ci za list. Tu to samo, co we Florencyi, ogromny war, ochotniki wychodzące. Więcej w tem wszystkiem karnawału, niż istotnego czynu. Matka wczoraj powiedziała, że musi być tu legia, że da krzyż święty, który nikomu dotąd nie pokazała. Nuż więc nasi tu wszyscy sejmikowali wczoraj wieczór. Był tam i pan Adam, który mówił, by, się zapisawszy, już trzymali razem, by wybrali naczelnika sobie, że urodzenie, mądrość, majątek nic nie znaczą, że jednak po ziemsku znaczą coś, — i tak i owak.

Tymczasem Jełowicki był poszedł do papieża z zapytaniem o to. Papież się spytał: «A Makryna co mówi?» Jełowicki rzekł, że błogosławi przedsięwzięciu. Papież spytał się zaraz, kto będzie wodzem tej legii i gdzie pułk. Zamoyski. Odpowiedziano, żeś wyjechał. Papież na to: «Jeśli jacy są inni naczelnicy, niech do mnie przyjdą. Jam zawsze gotów pobłogosławić chorągwi polkiej, ale wojny nikomu nie wydaję. Za dni kilka wyjdzie mój manifest do wszystkich narodów świata, gdzie najwięcej będzie o Polsce; czekajcie więc dni kilka jeszcze.»

Gdy sejmikowi ksiądz Jełowicki to oświadczył, wybrali p. Adama i Jełowickiego kapitana, by jutro obaj poszli do papieża w imieniu Polaków tutejszych. Co z tego będzie, nie wiem, to tylko wiem, że ty wracaj jak najprędzej. Ja, dopóki nie przybędziesz, co do siebie nic nie postanowię, a gdy wrócisz, chcę twe losy dzielić, mój drogi Władysławie, w tym dniu sądu ostatecznego na epokę tę. Zatem dawaj prędko znać o sobie, gdzie jesteś i czy wracasz. Przed dowiedzeniem się o tem będę in statu quo. Twój na zawsze.

Makryna twierdzi, że źle robią sejmikujący, że Jełowiccy i spółka chcą wszystkiem tu kierować przez miłość własną, że najfatalniej wtedy rzecz cała przejdzie i wzywa cię, abyś jak najspieszniej tu wracał. Wzywa cię, a zatem uczyń, jak sumienie ci każe. Eliza dopieroco od niej wróciła; była po nią przysłała i to jej wszystko powiedziała.»

Michał Budzyński do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 27 marca 1848.

Deputacya do papieża złożona z księży Jełowickiego i Hubego, z Orpiszewskiego, którego Polacy żądali, Łubieńskiego, Edwarda Jełowickiego, Postępskiego demokraty i Mickiewicza miała miejsce 25 b. m. Papież nic wyraźnego nie powiedział, pytał, do czego ta legia i z kim ma się bić, bo on nikomu wojny nie wydaje, nie mógł się tylko oprzeć Rzymianom, chcącym iść w pomoc braciom swoim w Lombardyi i nie odmówił im błogosławieństwa. Na piękne wyrazy Mickiewicza odpowiedział, że jak idą Włosi, tak on i Polakom iść nie zabroni; we względzie zaś formacyi osobnego legionu radził się porozumieć z rządem jego. «Z monsignorem Corboli?», zapytał ks. Jełowicki. «Dobrze, z monsignorem Corboli», mówił papież. Na tem zakończyła się rozmowa z deputacyą. Księża Hube i Jełowicki zostali jeszcze i później, zawiadomili, że im tylko papież obiecał, że chorągiew poświęci i w niebawem mającej się powiedzieć allokucyi wspomni coś o Polsce. Po tej audyencyi nastąpiła huczna sesya, na której do czterdziestu zebrało się. Łubieński mówił głośno i długo, wołając do broni. Mickiewicz żądał, aby się zaraz zapisywano. Przyszło do kwestyi dowódcy. Łubieński raz jeszcze zabrał głos, oświadczając, że tym nie może być kto inny, jak Zamoyski, tylko, że on i wielu z nim żądaliby przysięgi, że dowódca nie użyje legionu na poparcie dynastyi. Głos ten poparty był przez księdza Jełowickiego. Mickiewicz oświadczył się przeciw, dowodząc, że ponieważ p. Zamoyski był du-

szą związku Trzeciego Maja, ani więc on, ani kto inny z tego towarzystwa nie może zająć tego miejsca, dopóki czynem jakim nie przegrodzi dawnych dążeń. Niewyraźnie ale widać było obeznanym z intrygami emigracyjnemi, że nasz poeta dążył do zwrócenia głosów na którego Towiańczyka i chciał zawładnąć legionem. W rezultacie zawezwał, aby się zapisywali, przemawiając, że wzgląd na paszporty u tych, co nie są emigrantami, nie powinien być na przeszkodzie, że walka zaczyna się i że otwarcie przeciw wrogowi wystąpić trzeba. Zapisało się dwudziestu, między nimi Bocheński i Lubowidzki, którzy mają majątki w kraju i wielu artystów na pensyi rządowej z Warszawy. Orpiszewski wtenczas oświadczył, że stosunki wiążące go oddawna z tymi, co słuchają xięcia, każą mu czekać instrukcyi od niego. Ja nie byłem nawet na sesyi, oświadczając tym, co mnie wzywali, że czekam, aż przyjedzie Pułkownik. Na końcu ksiądz Jełowicki, który brata chciał zrobić dowódcą, a który z tego powodu usłyszał słowa prawdy, zamilknął z bratem, ale obrał się sam i Hubego na pośrednika między quasi legionistami a rządem papieskim.»

Władysław Zamoyski do Ludwika Orpiszewskiego:

«Genua, 27 marca 1848.

Cokolwiek się zrobiło w Rzymie po 24, pojmuję, że mogło cię więcej lub mniej zadowolnić okazaniem należnego uczucia względem xięcia lub nieokazaniem go. Ale już w tem jest stanowczy postęp, że ruch nastąpił, że jen. Durando mianowany, że ojciec św. gotów i nam idącym w szeregi jego pobłogosławić. Pomów o tem, proszę, z p. Mickiewiczem i zażądaj odemnie jego zdania. Ponieważ wszystko teraz ruszyło ku Lombardyi, przetoż i nasi nie już do Civita-Vecchia i Rzymu, ale do Livorno płynąć będą, a stamtąd spieszyć do Bolonii.[1]) Trzeba, żeby ojciec św. w tej mierze stanowczo zrozumiał i wyrzekł, że

[1]) Mowa tu o 40 oficerach, których Zamoyski miał sprowadzić do Rzymu na mocy układu z 17 marca.

odtąd powinien wszystkim Polakom, oświadczającym chęci swoje do jego służby, odpowiadać, że się już z x. Czartoryskim porozumiał i że się do ciebie po instrukcye udawać mają. Powiedz, że pieniędzy nie będziemy potrzebowali, aż staną nasi ludzie w kwaterze głównej jen. Durando.

Szpada, królowi sardyńskiemu przysłana przez papieża, przyjęta została z entuzyazmem, podobnież pułki sardyńskie w Lombardyi. Tu republikański klub za natchnieniem Mazziniego postanowił do czasu popierać króla na tron Włoch. Gdyby się nasi podobnie znaleźli! Matce Makrynie tłomacz sprawę i polecaj jej modlitwom, o które całem sercem proszę. Ojcu św. powiedz, jak czuję, to jest gorąco.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Genua, 27 marca 1848.

Dziś jadę do Turynu. Tam zabawiwszy dzień, pospieszę do kwatery głównej króla. Po widzeniu go, ponieważ on zapewne zrazu nie zdecyduje się na nic, pospieszę do Medyolanu. Tam starać się będę zawiązać coś z Rządem Tymczasowym i tam najprędzej coś się da zrobić. Oprócz czterdziestu (oficerów) z jednym sztabsoficerem przeznaczonych do armii papieskiej, potrzeba przygotować, a nawet radzę natychmiast wyprawić, tyluż do Genui. Sobolewski ich stąd dalej kierować będzie i ma na to fundusz. Natrafiłem na minę[1])! Z Francyi teraz nic się nie otrzyma. Można jej demokratów naszych do legii zapowiedzianej zostawić — i demokratom i Dwernickim zostawić wolne tam pole do kłótni. Nam tu otwarty przystęp; skoro mamy tu o czem stanąć, pospieszajmy. Proszę najmocniej, aby członkom Towarzystwa Trzeciego Maja dane było pierwszeństwo, jako dającym rękojmię porządku i serdecznej karności. Hufiec taki z oficerów złożony powinien między sobą wybrać starszych, potem

[1]) Dar Xawerego Branickiego 100000 fr.

ćwiczyć się na linii bojowej w szkole batalionu, aby być kadrem gotowym. Powinien zaś odrazu wystawić chorągiew. Do tej chorągwi przedstawiam myśl moją. Sądzę, iż niedość dzisiaj, aby była polską. Polską niech będzie w armii papieskiej, ale w Lombardyi, sądzę, iż cechę słowiańską przybrać winna. Jakiś na niej napis być powinien po temu. Jak rządy włoskie przyjęły chorągiew trójkolorową, a na niej właściwe szczególne herby, tak i legia nasza w Lombardyi, czyby nie przybrała chorągwi słowiańskiej z orłem polskim na niej? Kolory tajnych towarzystw słowiańskich są: barwy tęczy, nie trzy ale siedem, w nich pojęcie nadziei. Napis może być: «Braterstwo słowiańskie», albo «Bractwo», co podobno bardziej ma brzmieć po słowiańsku. Niech o tem Wuj po zastanowieniu i zaciągnieniu rady u Słowian koło siebie postanowi. Zdaje mi się, iż wiele na tem zależy, żebyśmy wystąpili odrazu z myślą tego braterstwa słowiańskiego nietylko, żeby trafić do rozmaitych Słowian w szeregach austryackich, ale i do Moskwy i Rusi.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 30 marca 1848.

Widziałem dziś rano ministrów Balbo i Pareto, prezesa i ministra spraw zagranicznych[1]). Mają tu natłok żądających służby oficerów. Chcą zrobić rzecz własnemi siłami. Nie chcą posiłku, mianowicie od Francyi. Radzili mi udać się do Medyolanu, gdzie nas już wołają do formacyi własnych. Byli zdania, iż oni dopomódz nam w tem winni. Żądałem broni i małej sumy pieniędzy na sprowadzenie ludzi naszych. Dali mi nadzieję, że mi da-

---

[1]) Zamoyski nawiązał stosunki z ministrami sardyńskimi za pośrednictwem margrabiego d'Azeglio, który w liście do hr. Balbo tak o nim pisze: «Jako przyjaciel wie, co mnie tu trzyma, i powie ci o tem lepiej, niżbym to listownie mógł uczynić. Ze względu na jego nazwisko i na jego ojczyznę, uważam wszelkie polecenie go tobie i innym naszym przyjaciołom za zbyteczne. Zapoznaj go z nimi szczególnie z Robertem (bratem starszym margrabiego d'Azeglio).»

dzą list wstępny do prezesa Rządu Tymczasowego w Medyolanie, list prywatny, bo chronią się dotykać drażliwości świeżo oswobodzonych własną odwagą Medyolańczyków, tudzież list taki do swego króla. Jeżeli rada ministrów inaczej nie postanowi, radzić będę królowi, aby nas wsparł materyalnie a bez hałasu. Nuncyusz papieski, do którego miałem list od kard. Antonelli, sekretarza stanu, bardzo zachęcał myśl moją podniesienia chorągwi polskiej nad Po. Imię Wuja ma tu, jak wszędzie, wiarę i poważanie. Jest przytem obawa, jak wszędzie, naszych emigrantów i republikanów[1])».

Zamoyski miał już opuścić Turyn, by w kwaterze głównej Karola Alberta i Medyolanie posuwać sprawę legii, gdy doszła go wiadomość o tłumnym powrocie emigrantów do kraju.

«Wyznam, że mi się pospiech wychodźców wydał przedwczesnym. Cóż można było wówczas zrobić dla Polski? Moskwa stała nieporuszona, gotowa, groźna; pod nią Polska nie mogła się ruszyć, więc i reszta kraju pod Niemcami musiała się ograniczyć do życia tylko prowincyonalnego, cząstkowego. Chwilowe ubezwładnienie rządów Prus i Austryi pozwalało przypuszczać, że z niego jakąśkolwiek korzyść da się wyprowadzić dla Wielkopolski i Galicyi, ale zabory niemieckie nie mogły i nie miały prawa występować jako Polska cała, nie mogły nawet wspólnie działać, roztropność broniła im tego. Mogły jedynie korzystać z osłabienia, jakie ogarnęło chwilowo oba rządy niemieckie, by swoje prowincyonalne życie ulepszyć. Nie mogły, powtarzam, nie miały prawa

---

[1]) W Turynie Zamoyski ułożył 30 marca krótki memoryał o możności i pożytku utworzenia legii polskiej. Memoryał ten posłużył następnie za podstawę do obszerniejszego pisma, przesłanego królowi sardyńskiemu przez x. Adama, 30 czerwca 1848.

występować jako naród polski, ani głosić dążenia do niepodległego bytu, bo celu tego nie mogły dopiąć, a wzmianką o nim zamykały sobie możność poprawienia na razie i przy zdarzonej sposobności bytu prowincyonalnego, warunków istnienia politycznego i narodowego traktatem 1815 zabezpieczonych.

Udział emigracyi stawiał w jasnem świetle dążenie kraju do niepodległości, a tem samem ułatwiał rządom Wiednia i Berlina, jakkolwiek chwilowo ubezwładnionym, stanowcze wystąpienie przeciw wszelkiemu dopominaniu się poddanych im Polaków o jakiekolwiek prawa lub ulepszenie bytu. Czy od rządu pruskiego Wielkopolska i Zachodnie Prusy, a Galicya od austryackiego byłyby mogły co wyjednać przez ograniczenie żądań swoich i ścisłe dopominanie się o to tylko, co im te rządy traktatami 1815 r. zabezpieczyły, tego zaprawdę nikt twierdzić nie może. Ale, nie czekając doświadczenia, najmocniej byłem przekonany, że w każdym razie na tę porę mieszanie się emigracyi do tej sprawy zgubnem okazać się musiało.»

IV

PARYŻ. — BERLIN. — PARYŻ

KWIECIEŃ — CZERWIEC 1848

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Paryż, 4 kwietnia 1848.

Przybyłem tu dziś rano z Turynu pędem, gdzie się dowiedziałem, żeś Wuj wyjechał. Darowanie gruntów w Sieniawie (włościanom) pochwalam od wszystkich w domu. Proszę o więcej szczegółów i o wyraźny rozkaz dla mnie. Miałem w Turynie zapewnioną pomoc materyalną rządu dla dwóch zawiązków legii w Lombardyi i na linii papieskiej, a u rządów w Medyolanie i Rzymie przyzwolenie na to. Roiłem sobie, że potem te dwa hufce rzucić będziem mogli na Niż[1]). Żal mi, że się nie udało wcześniej to uzyskać, ale nikogo nakłonić nie można było, aż wybuchła wojna. Witołda miałem odwiedzić w Lombardyi, kiedym wszystko rzucił, by tu dążyć po język. Jest w 1 pułku sabaudzkim. Napisałem gorąco do niego, żeby się nie wyrywał. Napiszę jutro do niego, że taka jest i ojca jego wola.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Paryż, 5 kwietnia 1848.

Jeśli się godzi wśród tak wielkich i cudownych ułatwień, jakie nam Bóg daje, żałować czego, to wyznaję,

---

[1]) W razie wojny Prus i Turcyi z Moskwą, do której wówczas zdawało się, że przyjdzie.

iż żałuję mocno, że zapóźno rząd papieski i inne rządy włoskie poznały się na wartości pomocy naszej. Tymczasem list załączony Orpiszewskiego[1]) donosi, że w Rzymie stanęła nakoniec decyzya powołania jen. Chrzanowskiego. Nietrudno nam się tłomaczyć niepodobieństwem zadośćuczynienia tak późnemu żądaniu. Przecież nie można skądinąd zapominać, że i my na tem tracimy dużo, że się nie zawiązał stosunek wzajemnej pomocy i jawnego sojuszu między Polską a Piusem IX! Koniecznie pragnąc brak ten jakimkolwiek zastąpić sposobem, napisałem do jen. Skrzyneckiego, przedstawiając mu rzecz i wzywając, aby się natychmiast z dwoma dobrze dobranymi adjutantami udał do Rzymu, tłomaczyłem mu, że, pomocy materyalnej papieżowi dziś nie mogąc dać, damy mu pomoc moralną, gdy przy armii jego stanie nasz najznakomitszy z czynów wojennych i z gorącej wiary wódz, a że tem samem i dla nas pomoc moralna będzie wielka.

P. Barzykowski nastaje mocno na to, abym natychmiast urządzał wyprawę z Niżu i płynął do Stambułu, by Turcyę rzucić na Moskwę. Prócz wartości, jakąby ta wyprawa i to staranie w Stambule mieć mogły same w sobie, uważam, że i Barzykowski i inni tu życzliwi pragną, abym ja raczej osobno, niż przy Wuju działał. Różne do tego mają powody, zdaje im się, że przy Wuju szkodziłbym jego popularności, oraz że rzucałbym podejrzenie dążeń dynastycznych. Osobno działając, mniemają, że mógłbym lepsze oddać usługi itp. Bolesnej odemnie żądają ofiary: oddalenia na długo, może na zawsze od najdroższego mi, a przytem nie pospieszania dziś, gdy można, do Polski, do której już sądziłem, że dotrę niebawem! Jeżeli przecież temi ofiarami mogę przynieść jaką usługę sprawie, to Wuj wiesz dobrze, że na wszystko gotów jestem, — pragnę ich, — w nich

---

[1]) Zajmujący ten list, pisany do x. Adama 28 marca, znajduje się w muzeum xx. Czartoryskich w Krakowie.

jedynej szukam dla siebie rozkoszy. Ależ racz Wuj rzecz zważyć i mnie rozkazać, bo w tym rozkazie czerpać będę siły potrzebne. Wśród niezmiernej niecierpliwości wszystkich, sądziłem, iż należy natychmiast rozpocząć werbunek cichy do tej wyprawy. Trafia nam się kilkuset ochotników, wyborowych żołnierzy francuskich byłej gwardyi municypalnej. Tychbym rad ze stu zabrać. Ale Wuj zapyta, skąd fundusz? Chcę o tem pomówić z p. Lamartine. Podałem się do audyencyi. Wprawdzie pieniędzy nie mają, ale wolny przejazd i broń mogą dać i coś przecie pozatem. Mogą nadewszystko posłać dzielnego ajenta do Stambułu. Mówiłem o tem z panem Cintrat. Podobała mu się myśl moja, żeby tam posłać jenerała jakiego z kilku zdolnymi adjutantami.»

«W Paryżu zabawiłem dni kilka (4—14 kwietnia). Ministrem spraw zagranicznych był p. Lamartine, którego w salonach paryskich od lat wielu znałem. Wyznam jednak, że w moich oczach nie był on człowiekiem politycznym. Jednakże przytomność i wielka odwaga, jakie okazał w pierwszych chwilach wybuchu lutowego, zjednały mu niezaprzeczony szacunek. Względem Polaków, jako członek rządu republiki, zachował się w sposób, który zaledwobym nazwał uczciwym. Widział w nich tylko żywioł burzliwy, albo dający się użyć do zaburzeń stolicy. Rad był przeto byle jak pozbyć się ich z Francyi. Zachęcał emigracyę i potakiwał we wszelkich jej marzeniach o wyratowaniu ojczyzny. Ułatwiał wymarsz do Niemiec. Opuszczający Francyę otrzymywali gratyfikacye i koszta na pierwszą do granicy podróż. To też się poformowały tak zwane kolumny w różnych punktach, a mianowicie w Paryżu, gromadząc się do tego marszu pod dowództwem wyższych z emigracyi oficerów. Wyznam, że miałem za złe ułatwienia, które się mogły skończyć tylko zawodem, jeżeli nie klęską dla opuszczających Francyę Polaków. Jednakże p. Lamartine był główną w rządzie

Francyi osobą. Pragnąłem ocenić jego usposobienie; poszedłem do ministeryum, zapytałem szefa gabinetu, p. Cintrat, kiedy będę mógł widzieć ministra. Zaręczył, że mnie p. Lamartine widzieć będzie nazajutrz w południe. Gdym przyszedł na drugi dzień, dwie rzeczy naraz mnie uderzyły. Wyszedł ku mnie do drzwi, witając z podniesionemi rękami; jednocześnie spostrzegłem rozłożoną na stole mapę Królestwa Polskiego. Pierwsze słowa jego były: «I cóż hrabio, a nasza Polska kochana?» Nie pokazałem oburzenia, jakiegom doznał, ale natychmiast odrzekłem; «Pozwól, panie ministrze, że o Polsce mówić nie będę.» Zdziwiony zapytał: «A więc o czemże chcesz mówić?» Odpowiedziałem: «Wracam ze Stambułu, gdzie kilka miesięcy zabawiłem i poznałem posła francuskiego, barona Bourqueney, mógłbym poświadczyć, że był na właściwem sobie miejscu. Ale o tem już nie czas mówić, bo dowiaduję się, że p. Bourqueney złożył urząd; kiedy on miejsce opuszcza, umyśliłem powiedzieć panu, jakiegobym życzył w dzisiejszych okolicznościach posła Francyi na jego miejsce. Gdy Francya dziś przeważnie zajęta u siebie, niebezpieczeństwo od Moskwy rośnie dla Turcyi do niezwykłej miary. Moskwa może każdego dnia przerzucić nad Bosfor 30.000 żołnierza, a z flotą stanąć naprzeciw seraju sułtańskiego. Wyznam panu, że, mieszkając w Terapii i przejeżdżając się nad brzegami Bosforu, zastanawiałem się ciągle, gdzieby usypać obronne nad brzegiem baterye i jakby uniemożebnić wejście floty moskiewskiej od morza Czarnego. Powtarzam, że w dzisiejszych okolicznościach zadanie poselstwa francuskiego w Stambule zdaje mi się zupełnie podobne do tego, jakie w roku 1807 dopełnił jen. Sebastiani wobec floty angielskiej, z morza Śródziemnego pod admirałem Duckworth zagrażającej stolicy państwa tureckiego. Nie dyplomatycznemi notami, nie przekonywaniem powstrzymał Anglików poseł francuski. Miał przy sobie, prócz sekretarzy, oficerów sztabu i inżynieryi; w mgnieniu oka otoczył

Stambuł taką siłą armat i szańców, że admirał angielski, przybywszy w nadziei wywarcia na sułtanie przymusu, zmuszony był odstąpić, bo nie śmiał okrętów na przeważny ogień narażać. Stąd mój wniosek, że dziś Francya w Stambule potrzebuje nie dyplomaty, ale jenerała, nie sekretarzy przy nim, ale adjutantów, którzyby potrafili podobnie przed Moskwą zamknąć Bosfor.» Charakterystyczna była odpowiedź p. de Lamartine. Wiadomo, jak był zajęty stanem Francyi, mianowicie Paryża, i czy miał wiele czasu myśleć o niebezpieczeństwie Bosforu; odrzekł przecie: «Myślałem o tem.» Dopieroż, wchodząc w przedmiot, począł obszernie się rozpytywać o inne wrażenia moje z Turcyi przywiezione. Naraz zapytał, skąd mi przyszło tak dokładnie o Turcyi się dowiadywać. Nadmieniłem w odpowiedzi o długowiecznym pogranicznym stosunku Polski z Turcyą, o długich wojnach, a w końcu o serdecznem przymierzu między dwoma narodami, odkąd obydwom poczęła zagrażać Moskwa. W tem, chcąc jednakże postawić na swojem i do Polski zemną zajechać, gdym nadmienił o jej pograniczu z Turcyą, zerwał się z kanapy, na której obaj siedzieliśmy, a posunąwszy się ku stołowi, rzekł: «Pokaż że mi to na mapie.» Ja znowu, nie ruszając się z kanapy, widząc, że to jest mapa tylko Królestwa Polskiego z roku 1815 roku, rzekłem: «Na tej mapie pokazać Panu tej granicy nie mogę.» Powtórnie zbity z przedmiotu, zasiadł na kanapie, a ja też dalszej rozmowy nie pamiętam.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Paryż, 9 kwietnia 1848.

Prosimy na Boga o częstsze doniesienie. Służba żyje rozkazem, nie wiadomościami. Nie o wiadomości prosimy, kiedy ich niema, ale domagamy się ciągłego doniesienia nam woli i dawania kierunku. W tak gorącej chwili niedość powiedzieć «czekajcie», powiedzieć raz, a potem długo milczeć. Trzeba przynajmniej powtarzać

to słowo «czekajcie» często. A bodajby się doczekać i lepszego.

Udało mi się uderzyć p. Lamartine myślą wysłania do Stambułu jenerała z tęgim sztabem za posła. Wczoraj przyszedł do mnie jen. Aupick, mój dawny przyjaciel. To wybór doskonały, człowiek zdolny, tęgi, zacny, jakich nader mało. Przyszedł pytać mnie o Turcyę i już dobry początek instrukcyi przyjął. Radziłem, aby wymógł na swym naczelniku, aby mu dana była moc powołania jednem słowem floty do Stambułu, gdyby się Moskwa tam groźną okazała. Dobry to jest krok p. Lamartine i poczciwego Cintrat, który Aupicka do mnie przysłał[1]).

Wuj po raz drugi nadmieniasz o Wiedniu dla mnie. Rozkazu słuchać naturalnie będę. Ale przekładam, że nie widzę jeszcze, aby dla nas przyszedł czas do stosunków z rządami niemieckiemi. Wszystko to, co się tam robi, jest politykowaniem ich poddanych polskich z władzą obcą. Zgodę utrzymać z tą władzą trzeba, a więc, jeżeli władza przyzna żądane dla prowincyi warunki, prowincya nowym węzłem i nową przysięgą wiązać się będzie z tąż władzą obcą. Dla nich będzie to krokiem naprzód, dla nas byłoby krokiem w tył. Że Wuj tam się jawisz, to z licznych względów wybornie. Ale Wuj nie przyjmiesz na siebie charakteru poddanego ani w Galicyi, ani w Poznaniu. Ja mniemam, iż powinniśmy zachować się do czynów dalszych czysto-polskich, słowiańsko-polskich, a nie przyjmować ostatecznie pozycyi niemiecko-polskiej. Nam, zdaje mi się, należy zabezpieczyć krajowi inne, nieodzowne warunki jego odrodzenia. Czy możemy bez wielkiej szkody przyjąć nowe, fałszywe obowiązki względem rządów niemieckich? Ja nie poczuwam się do tego, kłamać już w życiu nie chcę. Chcę oddać resztę życia

[1]) Vassy-Baumont w «Histoire de mon temps (première série, vol. 4, p. 361) pisze: «P. de Lamartine miał nieszczęśliwą rękę w wyborze swoich ajentów dyplomatycznych z małemi wyjątkami, a do tych zalicza się jen. Aupick.»

dla ojczyzny, ale dla niepodległej. Racz Wuj zważyć te moje uwagi, a zresztą, jak zawsze, rządzić mną.

Skrzynecki odpisał cierpko, że moja propozycya, kiedy nie oparta na urzędowem wezwaniu papieża, jest nieprzyzwoita. Rogaty i próżny to człowiek. Ja mu przedstawiam, że może przynieść siłę moralną Włochom i Kościołowi w Polsce, udając się jako ochotnik do armii papieża, a on odpisuje, pytając, czy mu zapewnione naczelne dowództwo.

12 kwietnia. — Ja do Wiednia niezdatny się czuję. Wolałbym jeszcze z tymi ludźmi póki można walczyć, niż politykować. A jednak tych chwalę, którzy, będąc pod jarzmem, politykują.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«2 kwietnia 1848, Rzym.

Mój drogi Władysławie! Nie wiem, czy prawda, że: 1. Prusy przystały na oderwanie się od nich Xięstwa Poznańskiego; 2. że Kraków ogłosił się rzecząpospolitą i ma 15.000 zbrojnego wojska; 3. że powstanie szerzy się w Polsce. — Lecz jeśli te wieści fałszem, wkrótce coś podobnego prawdą się stanie. Chciałbym z twojemi moje losy połączyć; zdaje mi się, że pierwsze chwile w kraju straszliwemi będą. Jeśli tam co umyślisz, pamiętajże o mnie; tu w Rzymie czekam, a gdyby nagliły wypadki, to się udam do Genui, zostawiwszy tu Elizę. Zdaje mi się, że będziem mieli do przejścia okrutne chwile. Dyktatura Mierosławskiego słodyczą nie jest; na pierwszem zaraz posiedzeniu w Berlinie wołali nasi: «precz z religią». Między Mierosławskim a Libeltem zaraz sprzeczka nastała; drugi opiera się pierwszemu i zdaje się daleko od pierwszego bardziej chrześcijański człowiek. To mi piszą z 21 z Berlina, obywatele zaś poznańscy przerażeni do najwyższego stopnia. Na kilka dni przed bójką berlińską upraszali ministra o więcej wojska w Xięstwie, bo rozsypywano wśród włościan mnóstwo

komunistycznych karteczek w kształcie modlitw, niby to ułożonych przez papieża. Minister odparł, że nie może więcej dać wojska, a jeśli teraz zupełnie je wyciągnęli, to oczywiście mogą tam dziać się straszne rzeczy.

Tu p. Adam od trzech dni znów zamyka się z Makryną. Walczą te duchy oba. Makryna nic nie powiada, ale oświadczyła, że po trzech dniach prawdę ogłosi: że albo uwolnił się p. Adam od opętowujących go potęg, albo że w nie zapadł nieodwołalnie. W Rzymie samym pełno głuchych wieści rozmaitych. W nocy podwójne ciwiki strzegą porządku. Głowę św. Andrzeja odnaleźli przez księdza, który żądał natychmiastowej spowiedzi u ojca św. Ojciec św. nie odmówił, ale spowiadał go wśród dwóch gwardystów nobile, stojących obok. Wyznał ksiądz, gdzie ukryta; gdzieś pod ziemią o pięć stóp głębokości zakopaną była. Wykopano, odniesiono do św. Piotra. Iluminowano miasto wczoraj z tej przyczyny[1]).

Co tu się dzieje między naszymi, niesposób sobie wystawić. Pana Adama i jego dwunastu adeptów całowali w ręce. On im obiecywał, że gdy przemówi, sama ziemia się wstrząśnie, nietylko ludzie już; on tu przyniósł miecz i rozbrat.

Kiedy to piszę, co też stało się już? W jakimbądź razie, chciałbym się z wami połączyć, — razem milej i umierać. Jeśli Bóg ręki nie położy na świecie, by umiarkować rozruch zdarzeń i namiętności, to podobno my poginiem. Powtarzam, lepiej gińmy razem. Toć milej

[1]) Michał Budzyński opowiada w swoich wspomnieniach, że car Mikołaj za bytności w Rzymie 1845 usilnie nalegał na Grzegorza XVI o odstąpienie mu relikwiarza z głową św. Andrzeja jako apostoła Słowian. Ofiarował za relikwiarz podwójną wagę złota i osobne wynagrodzenie za ozdoby. Papież odmówił. W r. 1848 zginął w kościele św. Piotra ów relikwiarz. Dla odnalezienia go nakazano w Rzymie publiczne modły. Krążyły w mieście pogłoski, że skradziony został w celu sprzedania ambasadzie rosyjskiej. Dopiero gdy Butieniew, obawiając się skandalu, propozycyę kupienia go odrzucił, świętokradca do winy się przyznał. (Wspomnienia z mojego życia. T. II, str. 107, 108.)

i lepiej i chrześcijańściej. Wasz, bo i Sobolewski niech przeczyta ten list, więc wasz Zyg.

P. S. ...Moskwa czasu nie traci i gdzie może, knuje swoje. Ustynow tu wciąż podmawia Polaków do oparcia się na niej; już uznaje narodowość naszą, ale w związku z moskiewską. Odescalchowa go wczoraj zacnie wykpała.»

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 6 kwietnia 1848.

W pruskiej ambasadzie tutaj słychać teraz takie zdania i rozmowy, jakie poprzednio ograniczały się do Sussex Chambers[1]). Na żądanie samegoż xięcia pruskiego[2]) byłem mu ostentacyjnie przedstawiony przez Bunsena u lorda Palmerston. Hr. Pourtalès, który tu jest z xięciem, mówił mi: «Czujemy, że wielka zbrodnia była popełniona i że nadszedł czas, by ją naprawić nawet własnym kosztem i ofiarą.» Tutaj panuje teraz doskonały duch między Polakami; wiele mniej niezgody. Niespokojnie wyglądam wiadomości i rozkazów od xięcia; nie kryję się z tem przed Polakami, że postanowiłem działać tylko w porozumieniu z nim. Lord John Russell wydaje się bardzo nam przychylny; lord Palmerston wiele mniej; mówi, że gdyby był cesarzem rosyjskim, toby x. Leuchtenberga królem polskim ogłosił.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Berlin, 9 kwietnia 1848.

Tu rzeczy się zatrzymały co do praktycznego postępu rzeczy narodowej. A tymczasem elementa ruchu i zamieszania idą naprzód tak, że trudno widzieć przed sobą. Emigranci, którzy tu hurmem przybywają, nie znajdują czynnego pomieszczenia, muszą czekać i być jeszcze emigrantami na utrzymaniu obywateli Xięstwa

---

[1]) Siedziba Stowarzyszenia Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie.

[2]) Późn. cesarza Wilhelma I, zagnanego rewolucyą do Anglii.

i Galicyi. Centralizacya została do komitetu krakowskiego wcielona. Mierosławski ze swoimi jest rodzajem władzy wojskowej w Xięstwie. Rząd pruski jest słaby, lękliwy, nie umie szczerem postanowieniem wzbudzić ufności w Polakach. W Wiedniu deputacya podała tęgą petycyę, ale rząd na nią jeszcze nie odpowiedział; on także, mimo swych klęsk, myśli o przeszłości i zwraca się ile może do niej. Chociaż niema tu jeszcze dla emigracyi wyraźnego i zabezpieczonego zajęcia, uważając na niecierpliwość powszechną i nastawanie opinii francuskiej, aby Polacy szli ratować ojczyznę, piszę dziś do Breańskiego, aby także dał znać swoim o pochodzie, bo trudno ich tylko jednych na miejscu utrzymać. Gdy tyle brużdżących pali się do kraju, niech i ludzie porządku do niego wejdą; wiedzieć powinni, że nas tu czeka wielka niepewność i niedostatek. Jeśli chcą się nań narazić, niech jadą, ale niech sobie dadzą słowo, odsunąwszy wszelkie zdania osobiste, dziś zupełnie niestosowne, że będą ludźmi porządku i powinności i że będą się wzajemnie popierać do tak żywotnego celu dla kraju i stale do niego dążyć. Szkołę (Chrzanowskiego) jeszcze wstrzymać. Tu uczniowie nie mieliby co robić, a tam przecież jeszcze porządnie pracują »

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 17 kwietnia 1848.

Mój drogi i bardzo drogi Władysławie! W tej chwili twój list z 6 kwietnia mi Józef (Sobolewski) z Genui przesyła. Z 9 mam z Paryża, gdzie o jakichsiś chłopskich zawichrzeniach wspominają. Boże, strzeż nas od podobnych spraw w tej chwili. Dotąd zamęt, dotąd Bóg jeden może nas ocalić i u progów zmartwychwstania uwolnić od samobójstwa. Już ni Moskwy, ni Niemiec się nie lękam; wcześniej czy później już po nich, — przepadły, — ale lękam się nas samych, lękam się wewnętrznego rozstroju, lękam się pokus piekielnych w chwili urzeczywistnienia się dzieła bożego.

Nie wyobrazisz sobie, Władysławie, co za udręczone tu my dni mieli z Towiańczykami. Spytaj się o to pani D., którą prosiłem, by ci udzieliła szczegółów o tem, w moich listach zawartych. Wreszcie ze swymi trzynastoma wyruszył Mickiewicz do Medyolanu. Tam pewno się z Mazzinim zetknie. Wszystkie podziemia i piwnice świata w zetknięciu i związku z sobą. Gdyby ogólna nastąpiła dezorganizacya świata, gdyby przez długi czas wojny i rozterki domowe zawrzały w każdym kraju europejskim, wtedyby się stali podobni ludzie panami świata, szczególnie w Słowiańszczyźnie, bo przychodzą do włościan z wiarami włościańskiemi, z mytami i legendami po karczmach i wieczornicach przepielęgnowanemi i oświadczają im, że to najwyższą prawdą wszystko, że oni, chłopi, są na ziemi wyborem ludzkości, a że reszta ludzi byli w błędzie, bo wszelkie światło było błędem, wszelka ogłada winą, nauka zbrodnią, dotychczasowa uczciwość głupstwem, cześć obrzydliwością, cnota głupstwem, — że miłość chrześcijańska dziś zależy na wytępianiu plemion lub osób, na oczyszczeniu świata ze wszelkich zawad woli bożej stawianych itd., itd., itd. Pojmiesz, jak w stanie zupełnego rozprzężenia takie arabsko-mahometańskie pojęcie chrześcijaństwa mogłoby narobić ciemności i gruzów! W promieniach słońca tacy ludzie niczem, lecz w chwili zaćmienia, powtarzam, panami! Teraz o to idzie, czy nie będzie powszechnej chwili zaćmienia promieni słonecznych w Europie?

Papieżowi w niesmak okrutny poszło tu postępowanie Mickiewicza i nieporządne zachody wszystkie polskie od twego wyjazdu, które wichrzeniem ciągłem okazały się w Rzymie, i księża nie umieli sobie dać rady. Papież Jełowickiemu powiedział, że «stąpasz z głową podniosłą, ale z zamkniętemi oczyma». Jeden Orpiszewski we wszystkich tu zdarzeniach z wielką godnością i tęgością postępował, jeden na wodzy trzymał Mickiewicza, za co też sobie zjednał jego nieśmiertelną nienawiść. Jeśli będę

mógł, to w tych dniach się postaram zatrzeć w umyśle papieża ślady, wypalone przez gwałtowność Mickiewicza i spółki. Mieliśmy tu, ledwo wyszli ci panowie, którzy, wychodząc, proroczyli o rzeczach nastąpić mających, rozmaite przez dwa dni zamieszania uliczne, ale ciwika dzielnie wystąpiła i pochwytała z stu trzydziestu rozbójników, płatnych, jedni twierdzą przez Canina[1]), drudzy przez Jezuitów. Pac wart pałaca i nawzajem.

Nic mi bardziej serca nie rozkroiło nigdy w ostatnich latach dziesięciu polskich nad ten pobyt xięcia tak blizko granicy polskiej i radę mu daną w Berlinie, by jej stopami nie dotknął, więc pojechał podobno do Wiednia. O wdzięczności ludzka!!

Mojem zdaniem pobłogosławi nam Bóg wiekuisty, jeśli będziem mogli przyjść do porządnego wojska narodowego w Xięstwie i Galicyi; w tem jedyny ratunek od wrogów z pod lodów bieguna i od wrogów z piwnic podeuropejskich! Lecz jeśli w Xięstwie jeśli w Galicyi zajdą społeczne zawichrzenia, źle będzie z niemi. Że Polska nie zginęła i nie zginie, że nad wszystkie fale zdarzeń wreszcie wypodniesie się, że jeszcze w niej stanie jakoby mur na obronę Europy zagrożonej od Azyi, to wiem i wierzę w to, ale droga może być okropną do tego. Po długiem męczeństwie znów może przyjść drugie męczeństwo.

Matka Makryna... rozeszła się z Mickiewiczem, przepowiadając mu, że się porwał jak lew, a upadnie jak mucha, i łeb skręci. Truchlał Mickiewicz pod tem jej słowem.

Ja po świętach stąd zacznę nad Ren się przenosić przez Genuę i Szwajcaryę, możebym i wpadł do Paryża, gdybyś ty jeszcze tam był.

Co do wyprawy włoskiej, myślę, drogi Władysławie, że już na nią ni czasu ni zdarzeń nie stanie; co zaś do wyprawy na wschód i przez wschód po wernyhorsku na Moskwę, to co innego. Awantura, ale czasy Normandów

---

[1]) Marek Antoni Canini, radykał włoski.

i krucyat wracają. Co do włoskich spraw, myślę, że Austrya, rozbita i rozstrojona, będzie żebrała o pokój. Austryi już niema — gdzież ona?

Pani D. mi pisze, że cię widziała, żeś zdrowszy... Bóg ci wszechmiłosierny dawaj siłę, siłę i zdrowie. Niech ci nieprzyjaciele żadni nie potrafią zaszkodzić, ni dołów wykopać pod twemi nogi, niech cię anioł twój stróż prowadzi, przeprowadzi i da na końcu na ojczystej ziemi usłyszeć dziękczynienie od całego narodu w dniu wielkim i uroczystym sprawiedliwości i miłości. Wiesz, drogi mój Władysławie, że cię sercem całem pokochałem, i że mi teraz w sercu się kraje, gdy słyszę w takiej chwili krzyki ludzkie stronnicze, niepoczciwe, wymierzone przeciwko tobie, gdy widzę zawiść, pragnącą cię obalić i rozdeptać w tobie szlachetność najszlachetniejszą ojczyzny polskiej! Znajdziesz mnie zawsze, Władysławie, gdy zdarzy się potrzeba, wiernym sobie przyjacielem! Mało mnie obchodzą piski i krzyki ludzkie. Bóg i prawda, a z niemi Polska, oto rzecz, a reszta trąd i brud! A jeśli trzeba zginąć, to się zginie. Planeta nie taki ten miły i kochany, by żal jego wielki mógł się obudzić w sercu odchodzących! Myślę jednak, że będzie dobrze i sprawiedliwie i święcie, bo Bóg oczywiście wprowadził nas sam w te wypadki, więc i wyprowadzi!

Teraz żądaćby należało od papieża, by czemprędzej nominował kardynała polskiego, naprzykład Kaysiewicza. Jako jenerała przed trzema miesiącami, tak dziś kardynała. Toby zastąpiło wszelką protestacyę lub manifest, toby purpurą rzymską uderzyło w oczy polskie, a oczy polskie kochają się w purpurze! Natrętnym w tej chwili nie chciałbym być rozdrażnionemu przez żywioł polski pod postacią księży i towianizmu Piusowi. Jednak prosiłem p. Ludwika (Orpiszewskiego), by synowcowi (hr. Mastai) powiedział, że, jeśli chce się o położeniu rzeczy polskich obecnych dowiedzieć stryj, to na jego rozkaz w każdej chwili jest ów, który memoryalizował. Może

więc powołanym zostanę, a wtedy z wielką spokojnością i bez nacierania opiszę, jaki stan tych równin naszych, ku którym, jak ku tabula rasa, tłumem spieszyć teraz będą wszyscy reformatorowie i nowatorowie europejscy: Raspailie i Cabety, towianizm i etc. etc. Tego zalewu się lękać powinien Kościół i czynem purpurowym, uderzającym w oczy, jak najrychlej rzeczy polskie związać ze sobą...

Wiedziałem dobrze, drogi mój Władysławie, kiedym cię żegnał u bram Piotrowych, że ty już nie powrócisz do Rzymu, że już tu nie ujrzę ciebie. Wiarus ci zapewnie oddał list, który mu dla ciebie powierzyłem, a potem z tobą przewrócić się musiał na Mont-Cenis. Trzymaj tego człowieka przy sobie, bo, choć ograniczony, kocha cię szczerze, kocha po dawnemu, a to wielka rzecz w takich chwilach wierny sługa...

Alexander Potocki wpadł w stan umysłowy całkiem podobny do onego, który poprzedził zgon Raczyńskiego; bardzo się o niego lękamy! Mózgi i rozumy i serca pękają, gdy zacznie stąpać prawie widomie Bóg po morzu historyi.

Byłbym już oddawna w Paryżu, gdyby nie Eliza i dzieci — gdybym był mógł tu ich zostawić, — ale i tu groźne dziać się mogą rzeczy, choć wątpię...

Ściskam cię i ściskam z głębi serca i błogosławię ci, mój drogi Władysławie, niech cię Bóg strzeże, — a strzeże. Do obaczenia. Twój z Babnina.»

Władysław Zamoyski do x. L. Sapieżyny:

«17 kwietnia 1848,
w drodze z Paryża do Berlina.

Ciągnie wszystko z Francyi do kraju, gdzie przystęp niby otwarty. Nieboraki za instynktem idą. Niejeden po kilkunastoletniej biedzie dopieroco się dorwał do dobrego miejsca; rzuca je bez wahania i spieszy. Aniby mu łatwo było zostać, same Francuzy by mu to wymawiali. Nietylko naglą Polaka każdego w drogę, ułatwiają wyjazd, darmo przewożą. Niemcy tu toż samo czynią.

Jedzie przy nas czterdziestu darmo i tak codzień. W Poznaniu lub Galicyi, co poczną, niewiadomo. Czeka ich znowu bieda jakby po raz drugi emigrowali, ale z Francyi do Polski, gdzie subsydyów nie będzie. Dziwnie się dziś wszystko dzieje bez rachuby, wbrew rachubie. Lękać się można, że Moskal wkroczy do Galicyi, że zajmie i Poznań. Dzięki Bogu wypróżnił skarb swój w samą porę[1]), a pieniędzy dziś nigdzie nie dostanie. Są nawet pewne wiadomości, że, miarkując, iż w czas lepiej robić koncesye, niż późno, skłania się oddać Królestwo i zbudować z niego Polskę z Poznaniem i Galicyą, pod koroną x. Leuchtenberga. Nie widzę jeszcze, abym mógł do Wiednia do was zawitać. Dziś nie możemy czasu poświęcać uczuciom, choćby najserdeczniejszym.»

Władysław Zamoyski do Ludwika Orpiszewskiego:

«Berlin, 19 kwietnia 1848.

Widziałeś w niemieckich dziennikach, co się działo w Poznaniu; uzbrojenie się jakby w mgnieniu oka kilku tysięcy włościan i szlachty i obawa, jaka chwilowo zaszła, by nie przyszło do starcia między nimi a wojskiem pruskiem, podburzonem przez Niemców i żydów; następnie umowa podpisana między Poznańczykami i jen. Willisenem, komisarzem królewskim[2]). Z wszech stron przyznają nam, że nasi zachowali się energicznie i z umiarkowaniem; przeciwnie Prusacy i niemieccy mieszkańcy prowincyi okazali wielką zaciętość przeciwko nam. Tutaj zupełne rozprzężenie, które każdej chwili groźnem stać się może; z dnia na dzień spodziewać się można ludowych zaburzeń. Króla posądzają o wyczekiwanie Moskali. W Wiedniu, jak się zdaje, stan rzeczy dla władzy jeszcze gorszy.»

---

[1]) Pożyczką 50 milionów rubli w złocie, udzieloną Francyi w r. 1847.

[2]) Na mocy tej umowy, zawartej w Jarosławcu 11 kwietnia 1848, Polacy ograniczyć mieli swe siły, wynoszące pierwotnie 10000 żołnierza, do czterech obozów, z których każdy miał się składać z 600 piechoty i 120 kawaleryi. (Rakowski. Dzieje W. Księstwa Poznańskiego. Str. 79)

Władysław Zamoyski do Zygmunta Krasińskiego:

«Berlin, 21 kwietnia 1848.

Zostawiam Wuja przy robocie, jaką wspólnie odbywaliśmy przez ciąg całej emigracyi. Nie powiem, że zostawiam samego, bo są przy nim niektórzy ludzie dobrzy. Jest (Teodor) Morawski, Chrzanowski, Bystrzonowski. Są i inni po różnych niedalekich miejscach. Jednak to nie wystarcza. Trzeba nowych. Czemu to Cieszkowski, Trentowski nie poczują się do tego? Dwie prace xiążę spełniać może lepiej od kogo innego: 1) dalsze upominanie się o Polskę przed światem, przed rządami, a dziś raczej narodami obcemi; 2) działanie nieustannie na opinię samegoż kraju przemawianiem, do każdej chwili zastosowanem. Czynił to przez wszystkie lata emigracyi. Pierwsze czynił ze skutkiem, skutek ten uderzającym się pokazuje. Wśród odrodzenia narodów potrzeba Polski wszystkim obcym czuć się daje. Drugie dziś bardziej, jak kiedykolwiek, naglące. Wśród powszechnego rozprzężenia społeczeństwa potrzeba mądrości i jedności do odbudowania czegokolwiek. Jedna, zdaje się, po dziś dzień między nami emigrantami możebna jedność zbiorowa jest ta, którą jeden człowiek tworzy, kiedy człowiek ten jest poważny i roztropny, a kiedy są przy nim dobrowolnie pomagający, ludzie poważni także i roztropni. Tym człowiekiem wobec emigracyi jest xiążę. Między tymi ludźmi radbym ciebie widzieć. Jawne w tem dla ciebie wystąpienie nie byłoby potrzebne. Potrzebna rada i pomoc wpływu, mowy i pióra, potrzebne mieszkanie w jednem mieście, albo blizkiem. Jak teraz, w Niemczech, czy tu, czy niebawem w Frankfurcie, zdaje się, iż mógłbyś przemieszkiwać bez narażenia, a doświadczyłem, jaki byłby z ciebie pożytek. Sprawa krajowa jest bardzo narażona brakiem wszelkiej prócz boskiej, mam nadzieję, pieczy. Rzucają się wszyscy na wszystkie strony, jak wiatr zawieje, ani pojęcia kierunku żadnego; każdy radzi się tylko własnego natchnienia. Tymczasem rzeczy, zamiast żeby się wyjaśniały, wikłają się. Sympatya

chwilowa Niemców już pono uroniona. W Poznańskiem co chwila wypaść może straszna walka dwóch ludności. Szczęściem przecie chłopi ze sprawą narodową trzymają, ale mieszkańcy niemieccy, uzuchwaleni poparciem wojska, w którem wyższe stopnie zawzięte na nas, oglądają się tylko na Moskwę; poparci także z niesłychaną złością przez żydów. Codzienne już są gwałty, napady Niemców i wojska na miasteczka i dwory, rozboje etc. Przybyli dziś (22 kwietnia) w deputacyi od komitetu poznańskiego Cieszkowski, Libelt i ksiądz Prusinowski. Przywieźli żale i ostrzeżenia naglące. Jen. Willisen, tu obecny, przyznaje poznańskim obywatelom słuszność i sprawiedliwość w postępowaniu i żądaniach. Ministrowie podobnież, ale komenderujący w Poznaniu jen. Colomb[1]) żartuje z dawanych sobie rozkazów. Wątpię, czyby minister wojny, jadąc do Poznania, potrafił odebrać mu komendę.

Tymczasem choć w Poznaniu rzeczy idą nieco rozważniej, choć komitet ma przewagę, przewaga ta i wpływ nie sięgają poza obręb Poznania. Najmniej zaś komitet zapobiegać potrafi potrzebom zewnętrznym Polski i tym potrzebom najbardziej służyć przychodzi. Trzeba przemawiać do narodów obcych, trzeba nieustannie się bronić przeciw fałszom niezliczonym, które fabrykują urzędnicy niemieccy w kształcie petycyi od mieszkańców. A działając skutecznie na opinię innych ludów, można mieć nadzieję, że i na własny uda się wywrzeć wpływ zbawienny.

Trudność w Poznańskiem, zachodząca między dwiema ludnościami, wymagałaby dzisiaj najlepszych głów i piór, ażeby zapobiedz starciu, a mianowicie też, żeby wykazać Polakom, że jeszcze tę krzywdę wytrzymać powinni raczej, jak się rzucać w bój zaślepiony, a moskiewskiemu carowi tylko przydatny[2]).»

---

[1]) Ferdynand August Peter von Colomb (1775-1854), komendant Berlina, w 1849 jenerał kawaleryi.

[2]) Mowa tu o zamierzonym podziale Poznańskiego na część niemiecką i polską. Pierwsza miała wejść w skład Związku niemieckiego.

Pani Działyńska do Władysława Zamoyskiego:

«Poznań, 23 kwietnia 1848.

Co parę godzin rozchodzi się wiadomość po mieście najszaleńsza, to o bitwie w ulicach, o potrzebie przygotowania barykad, to o bombardowaniu miasta, to o napadzie kosynierów na miasto w celu zamordowania Niemców i żydów, to o wyrżnięciu nas przez Niemców i żydów, to o zatruciu wody, soli, mąki, to o czemś podobnem, co się już miało stać w któremś miasteczku i to ludzie widzieli, co byli tam, opowiadają z największemi szczegółami. Trzeba być nie wiem jak niewierną, żeby nie uwierzyć. Wreszcie działy się na Rynku pod oknami naszemi dziwnie brzydkie, straszne rzeczy. Widzieliśmy ludzi bezbronnych i najniewinniejszych z głowami porąbanemi od pałaszy, wojska dużo, żydów jeszcze więcej, krzyczących hurra! na takie bezeceństwa! Bogu dzięki nie bili się i teraz przynajmniej bić się nie będą[1]). Okropnie

---

druga otrzymać samorząd. Do tej sprawy odnosi się następująca notatka ręką Zamoyskiego: «Pan Auerswald, pruski minister spraw wewnętrznych, pisał, 16 kwietnia 1848, do jen. Willisena: «Zamiarem rządu jest z reorganizacyi polskiej W. Xięstwa wykluczyć cały okrąg nadnotecki i powiaty: międzyrzecki, międzychodzki, babimojski i wschowski. Nie można jednak uważać nowej granicy za nieodwołalną; postanowi się ją po głębszem zbadaniu narodowości. Jednakowoż wyżej wspomniana granica służyć będzie tymczasowo za podstawę tego, co ma być wcielone do Związku niemieckiego i do oznaczenia okręgów, mających brać udział w wyborach do parlamentu niemieckiego (w Frankfurcie), które trzeba urządzić bezzwłocznie, zgodnie z rozporządzeniem gabinetowem z 14 b. m. Starać się Jenerał będziesz przekonać Polaków o potrzebie i sprawiedliwości tego rozporządzenia, dasz im do zrozumienia, że samorząd będzie im udzielony w o tyle szerszej mierze, niżby to było, gdyby obwody, w których ludność niemiecka przeważa, pozostały przywiązane do Wielkiego Xięstwa. Jeżeli ten podział odbędzie się spokojnie, jeżeli nam się uda ustalić zgodę i spokój w Wielkiem Xięstwie i utrzymać dzieło stworzone przez Polaków, a nie pobudzić do zatargów z sąsiedniem państwem, to dokonamy wielkiej i dobroczynnej rzeczy, a imię Waszej Excelencyi dojdzie do potomności.»

[1]) Po umowie jarosławieckiej, którą jednakowoż Prusacy złamali.

było spodziewać się tej rzezi, bo to nic innego, być nie mogło. Mało ludzi, mało broni, kos nawet za mało. I to wojsko improwizowane, co dziwnie się uszykowało i wymusztrowało w tak krótkim czasie, jednak jeszcze nie do stawienia przeciwko starym żołnierzom. Strasznie tu było nieraz smutno, osobliwie kiedy się zdawało po przyjeździe Willisena, że on nam chce i może się stać pomocnym, a że my sami nierosądnem bohaterstwem wszystko zepsujemy, — a jeszcze do tego i mąż i syn w wojsku. Bogu dzięki, wrócili. Jedno, co ci może potrzeba powiedzieć, to, że tu nic a nic nie dokazywaliśmy przeciwko Niemcom ani żydom; dawne urazy zupełnie darowane, ale dziś ciągła nienawiść i zdrada najhaniebniejsza z ich strony. Tam tylko zabitych było żydów paru, gdzie naszych zabili; ani rabunków, ani nic podobnego nie było. W wojsku pruskiem niema karności żadnej, przynajmniej tak mówią wyżsi oficerowie, utrzymując, że nie są w stanie wstrzymać żołnierzy od rabunku i niegodziwości, jakie popełniają z pomocą żydów w miasteczkach naszych. Ale niejedni oficerowie niżsi jeszcze zachęcają, wiedząc dobrze, że starsi pragną nas doprowadzić do ostateczności atakowania ich mimo nierówności sił i uzbrojenia »

Tytus Działyński do Władysława Zamoyskiego:

«... kwietnia 1848.

Wracam z obozu, uzyskawszy tam nie bez trudności umiarkowanie, którego w tej chwili sprawa nasza najbardziej wymagała. Może być, że te bardzo liczne zgromadzenia choć źle uzbrojonego ludu posłużą do przekonania rządu, że tu istnieje wielki ruch narodowy, że się może niezgrabnie objawia, ale też, że przy danej sposobności narobiłby niemało kłopotu. Z innej strony pobudziły te zgromadzenia, te akcye i reakcye gwałtowną nieprzyjaźń między Niemcami i Polakami. Przekonaliśmy się także, iż rzetelnego udziału ze strony Niemców, zwłaszcza tych, co nasz kraj zamieszkują, spodziewać się nie możemy.

Przyznaję ci się, iż ja należę dziś do tych, którzy się od Rosyi więcej spodziewają, jak od Prus[1]). Projekt reorganizacyi nie jest szczery. Ma się ściągać do bardzo małej liczby powiatów. Niemcy nie mają względu na lud, który te powiaty zamieszkuje, lecz tylko na ilość posiedzicieli dóbr rycerskich. Powiat inowrocławski, prawie wyłącznie przez Polaków zamieszkany, chcą także wyłączyć z pod nowej reorganizacyi, bo kilkunastu Niemców łakomych na tę przepyszną ziemię kujawską w tym powiecie dobra pokupowało. A jednak tam nasza Kruszwica, nasze Gopło i Leszka Białego Gąsawa. Zmiłujcie się, nie dopuszczajcie tego nowego podziału. Domagania się niektórych powiatów ziem pruskich może wam ułatwią koncesye. Przekonajcie Niemców, że to tylko garstka tutejszych przeszkadza nietylko do uspokojenia tego kraju, ale i do utworzenia jedynej silnej zapory przeciwko grabieżom Rosyi. Groźcie Moskalami, poruszajcie Francyę, może i dyplomacyę angielską.»

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«29 kwietnia, w wagonie między Kolonią a Bruxellą.

...Przepędziłem w Berlinie parę dni dłużej, niż zamierzałem. Obecnie jadę do Paryża na jaki tydzień, stamtąd przez Turyn, Medyolan do kwatery głównej Karola Alberta. Chcę próbować, czy uda się tam umieścić garstkę naszych, jeśli podobna, jako osobny legion. W Krakowie i Poznaniu stoją sprawy rozpaczliwie, dużo nadziei się rozwiało, tem większej wagi nabierają włoskie plany.»

---

[1]) Niezawsze był Działyński tego zdania. Gdy w pierwszych dniach rewolucyi rząd pruski, chcąc odwrócić uwagę narodu od zagadnień wewnętrznych, a zarazem Polakom pochlebić, zapowiadał, że gotuje się do walki z caratem, i pozwalał ćwiczyć w Poznaniu oddziały ochotnicze, Działyński należał do instruktorów. Sam opowiadał, jak razu pewnego, gdy na placu Bernardyńskim z zapałem oddawał się mustrze, przybliżył się do niego włościanin z dóbr kórnickich, pokiwał głową i rzekł: «Taki to pan jeszcze młody, że Niemcom ufasz.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Berlin, 2 maja 1848.

W Poznańskiem biją się niestety! Prusacy siłą chcą rozpędzić obozy, których podług konwencyi nie zaczęli organizować. Jest zła chęć i zła wiara ze strony władz pruskich lokalnych, a rozdrażnienie jest teraz do takiego stopnia doprowadzone, że ciężko o prawdzie tu ich przekonać i o sprawiedliwości mówić. Wiele krwi się przeleje, kraj będzie zniszczony; jeszcze promyk nadziei w jenerale Pfuel[1]), który ma objąć komendę, ale który nie pojechał. Rząd francuski nie powinien wierzyć nieustannym na naszych kalumniom.

5 maja. — Cesarz Mikołaj, zdaje się, jest już w Warszawie. Ministeryum tutejsze przelęknione zmieniło ton. Nasi w Poznańskiem pobili dwa razy Prusaków[2]). Wojsko zdemoralizowane, chłopi przeciw nim zażarci.»

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

(z Londynu, początek maja 1848.)

«Znaczna część przyjaciół naszych podupadła na duchu co do sprawy polskiej. Ja się nie unosiłem radością, gdy tu głoszono, że dzień wyzwolenia Polski nadszedł, wyrzucano mi nawet, że wyglądam pełen troski. To też dziś nie jestem szczególnie przygnębiony.

Skarżysz się, że nasze dzienniki was oczerniają, a nie przysyłasz dokładnych wiadomości, któremi mógłbym zbić oszczerstwa, albo przysyłasz je tak późno, że tracą wszelką wartość. Twoje pisma i druki są nieocenione, ale pięć razy większą miałyby wartość, gdyby wcześniej dochodziły. Tłomaczysz się lichem zdrowiem, oczywiście ono może być dostateczną wymówką na to, że się listów nie

---

[1]) Jen. Pfuel, wysłany do Poznania, nie ustępował jen. Colomb w brutalnem tłumieniu powstania (Rakowski. Dzieje W. Ks. Poznańskiego, str. 91 i następne).

[2]) Pod Miłosławiem 1 maja, pod Sokołowem 2 maja. Jednakowoż już 8 maja były wszystkie cztery obozy polskie doszczętnie rozbite.»

pisze, ale bynajmniej nie tłomaczy, czemu się listów nie wysyła odrazu, gdy napisane.

Nasi nieprzyjaciele są nader czynni i nieskrupulatni, a sprawa polska stała się bardzo niepopularną w wyższem towarzystwie. Zamierzony na 29 maja bal daje mi sposobność przekonywania się o tem. Chociaż wobec wypadków mówienie o balu wydaje się dziecinną igraszką, wiesz dobrze, że na dochodzie z tych zabaw opiera się istnienie naszej Assocyacyi. Zmuszony jestem zdobywać się na najprzykrzejsze wysiłki, żeby do niego doprowadzić. Muszę stawać po salonach w obronie tych «niecnych» Polaków, którzy się tak «bezwstydnie» zachowali. Jednak choć wściekły jestem na Prusaków za fałsze, jakie z ich dzienników do naszych przechodzą, w interesie balu muszę się uśmiechać i pogody ducha nie tracić. Zresztą, uszczęśliwiony jestem bohaterstwem Polaków, bo świat zawsze szanuje odwagę, choćby w złej sprawie, a jak się raz wymusi na ludziach uszanowanie, to i w samejże sprawie zechcą się rozpatrzeć. Lady Palmerston i lady John Russell gorąco nas popierają, co może mieć swoje znaczenie. Lord Beaumont, na moją prośbę, napisał list otwarty do mnie. Wyszedł we wszystkich dziennikach z wyjątkiem Timesa. Na dobrą wolę Henryka Reeve nie możemy już liczyć.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«3 maja, Rzym, 1848.

Mój Władysławie drogi! Tysiąc ci dzięków za list twój z Berlina z 21 kwietnia... Żydy, których p. Adam zowie bracią starszą, pokazują się w Poznańskiem pięknie. — Wszystko, co się stało w Poznańskiem, opłakanem jest, — wszystko! Myślę, że z obojej strony są winy, grzechy, przesady myślę, że obywateli poznańskich wątliła i osłabiała we wszelkiem działaniu myśl, że nadchodzą szajki centralizacyi i że kraj rozburzą. Demagogia nas zawsze zgubi, nawet gdy dzień następuje zwycięstw demokratycznych...

Czemum zaś się pozostał wśród ciągłych gróźb rzezi i łupieży[1]), przestrzeżony ze wszystkich stron i od matki Makryny tu i od Mickiewicza z Bolonii, bym coprędzej uciekał z Rzymu, zaraz ci opowiem, a teraz tylko ci to dodam, żem nigdy w życiu poczciwszego i zacniejszego człowieka od Orpiszewskiego nie spotkał. Licz zawsze i ciągle na niego. Takie charaktery rzadkie, szczególnie za dni naszych. Z nim od dni pięciu wciąż siedzim całe dnie i noce otoczeni bronią, za lada szelestem gotowi się jej chwycić i bronić się od nasłanych czy przez semicką czy przez radykalną fakcyę galerników, — bo taki stan Rzymu. Od wielu dni byłem przestrzeżony, co dowodzi ci, że to, co się dzieje tu teraz, nie dzieje się figlem losów, żartem trafów, ale wypracowanem jest w rozmaitych piwnicach świata politycznych i socyalnych. Nieszczęśliwa allokucya papieska[2]) podobna do twarzy, w której nos i oko i ucho jedno, — wszystko jest, wszystko prawdą, ale znów, że drugiego ucha i oka brak, to z całej twarzy w końcu potwór, bo dobrze było wspomnieć o nadużyciach ludowych, ależ trzeba było i o prawach narodów świętych i takim sposobem równowagę utrzymać i dzieło klasyczne a nie bohomaz utworzyć. Otóż ta allokucya wrzuciła miasto całe i Włochy i świat może w straszny odmęt. Na to czekali i wtyłcofcy i naprzódsuwce, by krwią zalać rynsztoki tutejsze. Papież spowiednikowi swemu, który przekupion zdaje się przez Jezuitów[3]), Lützowów i Butieniewów[4]), dał się uwieść

---

[1]) Mowa o rozruchach, których widownią był Rzym 1 maja 1848.

[2]) Była to głośna w dziejach ruchu włoskiego allokucya z 29 kwietnia. Mówił w niej papież, że nie leżało w jego mocy przeszkodzić zaciągom ochotników, spieszących na pomoc Lombardom, ale że jako przedstawiciel na ziemi Boga pokoju nigdy sam nie zaczepi żadnego z państw chrześcijańskich. Dalej potępiał tych, co zamierzali wypędzić udzielnych xiążąt włoskich i zjednoczyć Włochy pod zwierzchnictwem papieża.

[3]) Jezuitów posądzano o sprzyjanie Austryakom, stąd nienawiść do nich kół liberalnych i patryotycznych.

[4]) Posłowie austryacki i moskiewski przy stolicy św. — Pasolini w pamiętnikach swoich (str. 101) mówi, że doktór Nikomed Pantaleoni

i uwiedziony stanął jak nieprzeparta skała. Nie chcąc, nawet jak xiążę świecki, wydawać wojny, sprawę włoską naraził, siebie wystawił na upadek i wszelki porządek w świecie na rozstrój straszliwy. Jezuitom i radykalistom pobłogosławił w ich czarnych zamiarach. Widząc to wszystko, pomyślałem, że jeśli kiedy pora mówić o nas i co otrzymać np. kardynała, to w tych dniach, bo nuż zachwieją się w jego osobie owe 1848 lat, których on wyobraźnikiem, to musi poczuć, że jedynym sposobem doraźnym, nagłym, przez Opatrzność dostarczonym podniesienia się znów przed światem, jest przemówienie za nami lub czynem jakim dowiedzenie, że nie odrzuca narodowości, kiedy nam sprzyja, nam, którzyśmy najopuszczeńszą i najświętszą ze wszystkich; — przeciw zaś schyzmatykom sumienie jego nie może skrupulizować. Wymiarkowałem więc, że skoro on chwilę czasu mieć będzie, trzeba nań uderzyć — i uderzę! Czekam tylko tego. Oczywiście jeśli wybuchnie co i zarzną mnie, to nic nie uczynię. Lecz spodziewam się, że się obejdzie bez tego epizodu i że wistocie pod tym względem interesa tu przez ciebie zaszczepione dalej rozwinę; może to złudzeniem, jednak czuję, że mam w tej chwili prawo takowem się łudzić.

Co do oficerów, Aldobrandini dziś ministrem przestał być i do Frascati czy pojechał, czy uciekł. Dotąd innych ministrów nie masz, skoro będą, jeśli będą, to Orpiszewski wznowi z wojny nowym ministrem układ zawarty z dawnym. Ja czekam tylko chwili, w której po wszystkich zaburzeniach tych dni ostatnich, o których gazety cię uwiadomią, choć chwilka nastanie spokoju, żeby zaraz pójść do papieża i wystawić mu całą rzecz. Jużci trzeba będzie smętne prawdy mówić, ale jakoś to będzie; może

---

opowiadał mu, iż, wezwany jako lekarz do posła rosyjskiego, słyszał z ust jednej ze służących ambasady, że była świadkiem, jak poseł austryacki, wspominając o oczekiwanej allokucyi papieża, rzekł: «myśmy mu ją ułożyli».

jakiebądź wrażenie się wywrze na nim, bo jeśli mu Lützow zapowiadał zmyślone schyzmy w Austryi, chcącej niby się oderwać od Rzymu i tem go popchnął do allokucyi, to ja mu przysięgnę na prawdę, że ta samaż allokucya niechybnie Polskę całą stawia nad przepaścią schyzmy i oderwania się na wieki od Rzymu. Niechże w tej ostatniej godzinie coś zrobi dla niej, a tym sposobem i jej pomoże i sobie, niejako usprawiedliwiając się przed Włochami, pokazując, że nie przeciwko narodowościom wymierzoną była allokucya.

Stąd gdy ruszę, na Genuę pojadę; w Genui kilka dni się zatrzymam, by doczekać się ciebie, a potem Elizę zostawiwszy gdzie, muszę koniecznie do Paryża, bo jeśli czego stamtąd nie wyciągnę, to za dwa miesiące Eliza nie będzie miała z czego żyć. Gonię ostatkiem...

Jeśli tylko zdarzy się jaka sposobność usłużenia sprawie i xięciu, to nie omieszkam za nią się uchwycić, ale w tych okolicznościach, codzień się zmieniających, co może pióro pomóc, co broszury? Przecież wszędzie już pięści podniesione i bagnety, głosu już ludzkiego żadnego żadne już uszy ludzkie nie posłuchają. Wypadki i zdarzenia, trafy i losy, a raczej wola boża rozstrzygnie w tych miesiącach o dalszym stanie rzeczy na czas jakiś, — bo tylko na czas jakiś. Zanadto wstrząśnięte społeczeństwo, by długo odpoczywało, znów się trząść zacznie po chwili odetchnienia. Będzie reakcya wkrótce wszędzie. Ta reakcya znów miarę swą przesadzi, a wtedy wysadzą ją w powietrze i wielkiemi gruzy pokryje się świat cały. Tak mi się wydaje. Jednak trzeba każdego dnia robić, co dzień przynosi i nakazuje.

Stanowisko xięcia, skoro tylko nie w Poznaniu lub Krakowie, oczywiście że w Frankfurcie, ale czyż ten sejm niemiecki się utrzyma? Oczywiście, że z całej emigracyi tylko xiążę jeden może Polskę reprezentować, jak wypada, by Polska była reprezentowaną, to jest święcie, zacnie! Zupełnie tegom samego zdania, co ty, we wszyst-

kiem, co o tem mówisz. Co do Trentowskiego, wiesz już zapewnie, że z demagogią walczy w Krakowie i, jak opowiadają, górę bierze... Mam więc nadzieję, mój drogi Władysławie, że wkrótce cię odozobaczę i uściskam w Genui, a pomówimy wtedy o wielu rzeczach. Teraz dzięki ci raz jeszcze za twój list i proszę cię, wierz mojej przyjaźni na zawsze i serdecznemu onemu przywiązaniu, którem tu poczuł dla ciebie i którego ci dotrzymam. Bóg cię strzeż i błogosław. Twój Zyg.

Papiery wszystkie twoje i korespondencye, razem zapieczętowane przez Orpiszewskiego, oddałem do schowania przez te dni sądne matce Makrynie, więc o nie niema co się troszczyć w żadnym razie. Gdyby nas wszystkich zarżnięto, to wiedz, że u niej je odnajdziesz. Eliza ci dziękuje za pamięć i kłania serdecznie, ona tu została a dzieci oddała siostrze, (xiężnej Odescalchi) do Bracciano, by przynajmniej Adzio i Musio (Władysław i Zygmunt) pozostali na świecie; wpół żartem, wpół prawdą to ci wszystko piszę, a za zobaczeniem ciekawe szczegóły opowiem. Bóg z tobą!

4, wieczór. — Ostatnie wiadomości, gdy list pieczętuję. Mówią, że ministry wszyscy uciekli w nocy, — niema ich w ich mieszkaniach. Aldobrandini miał do Paryża pojechać, u drzwi Minghettego darmo się dzwoni, nikt nie otwiera, i jego imienia już na drzwiach niema. — Oto stan rzeczy. — Papież zamknięty w Kwirynale, ministrów żadnych, rządu żadnego, policyi żadnej. Nowe ministeryum ma się kształcić: Mammiani, conte, prezesem rady ministrów ma być. Potenziani, marchese, ma także należeć do ministeryum. Dwóch zaś ma być ministrów spraw zewnętrznych, jeden duchowny, drugi świecki, ale to wszystko wieści i powiastki biegnące; co pewnego, że w tej chwili rządu żadnego niema i że rzeczpospolita u bram Rzymu przez samą rzeczy konieczność! »

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Paryż, 12 maja 1848.

W przyszły poniedziałek, 15 maja, będziemy mieli rozprawę w zgromadzeniu ustawodawczem o naszym biednym kraju. Co najwyżej możemy się spodziewać, że zgromadzenie wyprawi niektórych swych członków na sejm niemiecki, we Frankfurcie zebrać się mający, by mu wyrazić swoje życzenia i wpłynąć na postanowienia rządu berlińskiego i wiedeńskiego względem Polski. Tym sposobem izba poprze układy p. Lamartine z Moskwą, a on zaręcza, że układy prowadzi. Namawiałem go usilnie, żeby jawnie stawiał swe żądania i zmusił tem Moskwę do odkrycia swych kart; nie skłania się ku temu, nie chce wierzyć, by tajne rokowania były dla nas stratą czasu, a dla Moskwy korzyścią. Robię co mogę, by zgromadzenie narodowe, jeśli przemówi do Niemiec, odezwało się również do parlamentu angielskiego, ale niestety, myślę, że to trud daremny.»

Ówczesne pamiętniki francuskie przepełnione są szczegółami o wypadkach, jakich widownią była paryska izba deputowanych, w dniu rozprawy o Polsce:

Alexis de Tocqueville pisze: «15 maja poszedłem do izby jak zwykle, ani przeczuwając, co nas czeka. Posiedzenie rozpoczęło się zwyczajnym trybem. Rzecz wprost zdumiewająca, że choć do 20000 osób otaczało gmach, żaden hałas z zewnątrz nie zdradzał ich obecności. Wołowski (Ludwik) cedził właśnie z mownicy jakieś oklepane androny o Polsce, gdy nagle przez otwarte u góry okna uderzył w nas, jakby grom z nieba, okrzyk: «niech żyje Polska». Nie byłbym przypuścił, żeby piersi ludzkie mogły wydać z siebie taki grzmot. Kilku posłów czy z ciekawości czy z przestrachu powstało, inni silnym głosem zawołali: na miejsca. Wszyscy przysiedli i zamilkli. Wołowski dalej mowę swą ciągnął. Zapewne po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się, że słuchano go w milczeniu, a i tym

razem nie jego słów słuchano, ale szmeru, który stawał się coraz wyraźniejszy i coraz bliższy. Nareszcie motłoch wdarł się do izby i po rozmaitych zajściach Raspail, nie bez trudności otrzymawszy chwilę milczenia, odczytał rozkaz klubów, żebyśmy się natychmiast oświadczyli za Polską. «Spieszcie się», krzyczano zewsząd, «czekają na waszą odpowiedź». Zgiełk był niesłychany. Wówczas po raz pierwszy i ostatni ujrzałem na mownicy człowieka, którego wspomnienie wzbudza we mnie największą odrazę. Blanqui, chorowity, zły i brudny, wyglądał, jakby w rynsztoku żył i z niego wychodził. Tak samo, jak Raspail, domagał się natychmiastowego głosowania za Polską. Izba nieruchoma milczy; motłoch wrzeszczy i najrozmaitszych a sprzecznych rzeczy się domaga. Nareszcie Barbès zdyszanym i przerywanym głosem mówi: «Żądam, żeby izba niezwłocznie głosowała za wyprawieniem wojska do Polski, za nałożeniem podatku jednego miliarda na ludzi majętnych i za wydaleniem wojska z Paryża; w przeciwnym razie posłowie będą ogłoszeni za zdrajców.» Ale Barbès nie zdobył na chwilę tyle milczenia, abyśmy cokolwiek odpowiedzieć mogli; niesłychane wrzaski zagłuszyły jego ostatnie słowa. Wrzawa trwała przeszło dwie godziny. Nareszcie wszyscy się rozeszli. Motłoch skierował się ku ratuszowi, a izba postanowiła wyszukać inny gmach na swe posiedzenia.» (Souvenirs de Alexis de Tocqueville, deuxième partie. Rozdz. VII, str. 173)

Maxime du Camp wykazuje jaśniej jeszcze, jak mało sprawa polska obchodziła kluby, dla których była tylko narzędziem. Opowiada, że gdy jakiś rymarz, Alzatczyk, Hubert, prezes klubu nad klubami, z mownicy «w imię ludu panującego», oświadczył, że izba rozwiązana, a jeden z posłów zawołał: «Cóż tedy z Polską będzie?» nikt nie odpowiedział, bo już o niej nie było mowy; pretekst zniknął, skoro cel osiągnięto. Wnet okrzyk: «niech żyje Polska», zastąpiono innym: «niech żyje socyalizm». Dalej opowiada, że gdy po opuszczeniu izby szedł przez

most de la Concorde, ktoś ku niemu przyskoczył, mówiąc: «Powiedz pan na Boga, co się dzieje?» «Był to p. Bałabin, sekretarz czy radca poselstwa rosyjskiego; polował na wiadomości, żeby je w depeszy do Petersburga umieścić. Pospiesznie wyjaśniłem mu stan rzeczy, on zaś ciągle powtarzał: «Dobrze, dobrze, ale cóż z Polską?» Musiałem się zastanowić, o co mu chodziło, bo wszyscy już zapomnieli o mniemanym celu tych awantur, które Lamartine miał nieco później nazwać «trzpiotostwem ludu». P. Bałabin, jako Moskal, przywiązywał do tego zajścia wagę. Odpowiedziałem mu: «O Polsce niema już mowy; Raspail i Blanqui ją udusili.» (Souvenirs de l'année 1848, r. IX)

Ludwik Orpiszewski do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 18 maja 1848.

Nowe ministeryum papieskie przyjmuje oficerów kilku, ale nie chce legionu z kolorami polskiemi. Wczoraj na radzie ministrów ta decyzya zapadła. Piszę dziś do Minghettego, użyję Mastaiego, nawet może ambasady francuskiej, ale zapewne nadaremnie. Ta sprawa mnie w wściekłość wprawia. Ministeryum dzisiejsze liche.

W Neapolu były barykady, wojsko zwyciężyło. Król rozwiązał gwardyę narodową i zawiesił konstytucyę. Wiadomości oficyalne.»

Adam Mickiewicz do Władysława Zamoyskiego:

«Medyolan, koszary di San Girolamo,
1848, maja 28.

Szanowny Panie! Żałuję bardzo, żeś nie był w Rzymie w chwili wyjścia naszego stamtąd. Twoje uczucia patryotyczne i twój rozsądek dałyby ci objaśnienia o naszych krokach lepsze, niż te, które odbierasz od osób przeciwnych duchowi i działaniu naszemu.

Proszę, abyś rozmówił się z wysłanym stąd odemnie Michałem Chodźką i słowom jego wierzył o tem, co się tu dzieje. O przeszłych zaś rzeczach powiem w krótkości.

Uważałem chwilę, kiedyśmy wyszli z Rzymu, za właściwą do podniesienia chorągwi polskiej. Usiłowałem związać zastęp natchniony tylko duchem narodowym zdala od stronnictw i z wyrzeczeniem się pretensyi osobistych. Temu przeszkadzano w celach drobnych. Księża nasi chcieli w imię religii swój duch nizki i swoje widzenie krótkie narzucić nam jako jedyny symbol przyszłości; chcieli, abyśmy Kościół w osobie księdza Jełowickiego widzieli i jego wyroczni poddali się. Brat księdza, pułk. Jełowicki, chciał sposobami lichemi dowództwo objąć, zasłaniali się zaś twojem niby imieniem. Reszta została bez myśli i decyzyi innej, tylko przeszkadzania nam.

Mam przekonanie, że usłużyłbyś sprawie narodowej, gdybyś stanął tu między nami jako jeden z nas, zapominając i o dawnych działaniach i o zasługach, które cenić umiemy. To zbratanie się szczere z nami otworzyłoby ci pole zasług nowych w zakresie, da Bóg, odpowiednim twojej zdolności i działalności. Mam przekonanie, że x. Witold tu dalekoby i sobie i nam był pożyteczniejszy, niż w obcej służbie [1]).

Zaręczam tobie, że znajdziesz w nas szczere uczucia, a tymczasem pozwól nam mieć nadzieję, że na polu czynnej służby ocenisz nakoniec i czystość naszych zamiarów i dobre chęci dla ciebie i twoich. Przyjmij szczere pozdrowienie. Adam Mickiewicz.

P. S. Opierałem się w Rzymie rodakom, chcącym pod twojem imieniem i dowództwem tworzyć zawiązek. Naprzód dlatego, że póki w czynach nie pokażesz, żeś wolen od dawnych systematów, póty naród widziałby w tobie tylko reprezentanta idei dynastycznej; powtóre dlatego, że ciebie sławiący ludzie sami siebie i bardzo nizkie swoje intrygi chcieli wcisnąć w sam zaród przyszłego stowarzyszenia zbrojnego. A. M.

---

[1]) Wojsku sardyńskiem.

Władysław Zamoyski do Adama Mickiewicza[1]):

«Paryż, 13 czerwca 1848.

Szanowny Panie Mickiewiczu! List twój z dn. 28 z. m. doszedł mnie przez p. Al. Chodźkę aż 7 b. m. Widziałem nazajutrz i brata jego. Oświadczyłem obydwom natychmiast, że, jak starałem się oddawna o formacyę legii polskiej we Włoszech, tak gotów jestem osobisty wziąć udział w każdej do tego celu dążącej pracy, skoro w onej prowadzeniu widzieć będę cechę prawdziwie wojskową. Wyznać muszę, iż warunku tego nie widzę jeszcze ani w uprzejmem dla mnie wezwaniu twojem ani nawet w liście ministra wojny z dn. 3 b. m., który mi w kopii następnie przysłać raczyłeś.

Miło jest i słuszna przyznać wielkie poświęcenie i patryotyczną śmiałość tym, którzy, nic nie ważąc, zdołali wymódz na rządzie tymczasowym w Medyolanie przyjęcie dla pierwszego zarodku tej formacyi. Ten początek jest ważny. Ale rękojmia formacyi wojskowej pierwsza, że nie powiem jedyna, jest w osobie tego, któremu dane są do tej formacyi moc i urząd. Wszystko, co się robi przed naznaczeniem tej osoby, jest przygotowaniem, nie jest jeszcze dziełem. A im więcej przed zanominowaniem dowódcy robi się, zbiera i tymczasowie niby urządza, tem mniej jest rękojmi, że praca ta nie będzie marną, — co gorsza, że nie doprowadzi do bolesnego i sprawie ogólnej nader dotkliwego zawodu.

Pierwszą więc rzeczą jest naznaczenie i umocowanie z góry dowódcy. Wszelka w tem zwłoka jest narażeniem rzeczy.

Szczęśliwie się zdarza, że pułk. Breański, umieściwszy tymczasowo w wojsku rzymskiem oficerów naszych, tam do formowania legionu zaprowadzonych, pojechał do Turynu do kwatery głównej króla Karola Alberta i przez to znajduje się blizko Medyolanu. Napisałem mu, żeby się jak najspieszniej z tobą, Panie, skomunikował i umówił. Obec-

---

[1]) Z brulionu, który się przechował w papierach Zamoyskiego.

ność jego w Medyolanie może stać się stanowczą dla tej formacyi, jeżeli mu powierzoną zostanie, raz, że ma po temu zdolność, powagę i charakter, a powtóre, że ma już pod rozkazami swemi dobrany korpus oficerów. Śmiem go rekomendować, bo pewny jestem, że potrafi godnie tej rzeczy dopełnić. Kilkunastu jeszcze oficerów, mających sobie już zapewnione tymczasowe w wojsku rzymskiem umieszczenie, miało za poprzednimi udać się do Bolonii. Zwracam ich przeto na Medyolan, aby tam spieszniej pod rozkazami pułkownika Breańskiego stanąć mogli. Pojadą pojutrze dyliżansem [1]).

Chciej, szanowny Panie, widzieć w tem także chęć odpowiedzenia według możności żądaniu twojemu. Sam się wybieram do Medyolanu oddawna i byłbym pospieszył teraz, gdyby nie przybycie pułkownika Breańskiego do Lombardyi. On mnie tam najlepiej zastąpi. Ja zaś tu kontynuować będę starania u rządu francuskiego, celem otrzymania postanowień, mających całą młodszą i wojskową emigracyę z Francyi skierować na Włochy. Przekładam tu upornie właściwość nadania tej części emigracyi naszej organizacyi wojskowej przygotowawczej, a przy wyjściu za granicę opatrzenia jej w broń i potrzeby wszelkie. Gdyby się to udało, byłoby dla legii włoskiej ważnem poparciem, a dla emigracyi zasłonieniem od głodu, rozpaczy i nierządu.

Nie podnoszę tego, co mi, Panie, piszesz o moich dawnych działaniach lub, jak się wyrażasz, o zasługach, ani o systematach, którychbym był reprezentantem. Wierzaj mi, panie Mickiewicz, do jednej przyznać się mogę zasługi: wszelkie przez całe życie moje działania i wszelkie dążenie miało cel jedyny, ojczyznę, — ojczyznę najprzód polską, a potem wieczną. Kto widział w usiłowaniach moich co innego, mylił się, a mnie krzywdził.

Wyrażasz nadzieję, że ocenię nakoniec i czystość zamiarów twoich i dobre chęci dla mnie i dla moich. Rad jestem i serdecznie gotów przyjąć to zapewnienie,

[1]) Było ich dziewięciu pod wodzą majora Wyszkiewicza.

a nawzajem śmiem powiedzieć, że dla siebie i dla twoich znajdziesz mnie zawsze szczerze życzliwym.

P. S. Pułkownikowi Kamieńskiemu chciej oświadczyć moje serdeczne powitanie. Mam nadzieję, że i on z pułkownikiem Breańskim się zgodzi i że chętnie go przed ministrem wojny na swego dowódcę zalecać będzie[1]). Obym ja tam prędzej między wami mógł stanąć.»

Józef Sobolewski do Władysława Zamoyskiego:

«Genua, (koniec czerwca — początek lipca) 1848.

Podczas pobytu mego w Medyolanie widziałem Mickiewicza i Kamieńskiego, rozmawiałem też z kilku osobami, będącemi w stosunku z rządem. Rząd tymczasowy Lombardyi, tak jak piemoncki, jak rzymski, mają największy wstręt do przyjmowania cudzoziemców z obawy, ażeby przez drzwi otwarte dla Polaków nie weszli i Francuzi, którzy tak hurtem jak pojedyńczo są postrachem Włochów. W takim stanie rzeczy Mickiewicz ze swoimi, nie proszeni nie dziękowani, wpadli jak bomba do Medyolanu na wielkie zdumienie i przestrach rządu a na wielką radość republikanów. Jedni i drudzy przyjęli ich gościnnie, ale rząd ze szczerą chęcią pozbycia się ich czemprędzej. Mickiewicz i jego dwunastu apostołów spokojnie przeciągnęli swój pobyt w Medyolanie przez miesiąc i już się przyzwyczajono uważać ich jak «pazzi» dość niewinnych, bo co do ich doktryny, nikt jej nie rozumiał, kiedy raptem zjawienie się Kamieńskiego równie niespodziewane i nieumówione z rządem o tyle bardziej tenże przeraziło, że w ważnej nastąpiło chwili. Stronnictwa gwałtownie się ścierały, a republikanie stawać się zaczęli coraz groźniejszymi. Kamieński bardzo zgrabnie wyzyskał sytuacyę. Wenecya była republikańską, Mazziniego zaczęto się obawiać, Polaków uważano za niebezpiecznych sprzymierzeń-

---

[1]) Zamoyski, chociaż cenił zalety Kamieńskiego, uważał go za zupełnie nieodpowiedniego na stanowisko naczelne.

ców. O wypędzeniu ich poza granicę nie mogło być mowy; niewiadomo w czyje ręceby wpadli, gdyby ich zostawić w bezczynności, dość, że strach wywołał postanowienie opanowania ich przez zaciągnienie do służby lombardzkiej. Rząd wszedł w układy z Kamieńskim, któremu przyznać trzeba, żė się zachował bardzo szlachetnie i z wielką bezinteresownością tak, że ostatecznie zdobył sobie istotną sympatyę rządu i ludności, stawając na punkcie ściśle wojskowym i poza wszelką działalnością polityczną i społeczną. Co do nazwy legii polskiej zaszło pewne nieporozumienie, bo rząd nie przywiązywał do tego innego znaczenia jak do nazw, które mają inne kompanie ochotników według miejscowości, z których pochodzą. Ale Kamieński zgrabnie z tego skorzystał, przybierając rodzaj chorągwi polskiej, konfederatkę i kaszkiet z orzełkiem.

Taki był stan rzeczy, kiedy przyjechałem do Medyolanu; stanowisko istotnie szturmem zdobyte wbrew woli rządu, który uległ pod naciskiem okoliczności. Użytek, jaki z nich robią, jest bez znaczenia, o ile mi się zdaje, i jasno wykazuje usposobienie rządu. Posłano ich wszystkiego 130 ludzi do Caffaro, cieśniny na granicy Tyrolu włoskiego, pozycya, której trzeba strzedz, ale gdzie nic niema do czynienia i dokąd odsyłają prawie wszystkie oddziały ochotników pod rozkazy drugiego Durando (Jakóba). Część pewna ich została w Medyolanie pod rozkazami Siodołkiewicza i Klukowskiego.

Jak ci donosiłem, widziałem w Medyolanie Mickiewicza. Wiedział o mojem przybyciu tamże. Zdawało mi się właściwem odwiedzić go, ale, żeby jasno się postawić wobec niego, powiedziałem mu na wstępie, że nie chciałem opuścić tej okoliczności poznania się z rodakiem, bo choć różni i po różnych drogach postępujemy, wszyscy jednak, do wspólnego dążąc celu, jako bracia winniśmy się uważać. W ciągu rozmowy a raczej monologu Mickiewicza, gdy on potem zaczął się rozwodzić przeciwko partyom,

jak gdyby on sam nie był człowiekiem partyi w całem znaczeniu słowa, w chwili gdy on tchu nabierał, wślizgnąłem, że, co do mnie, pragnę, żeby wiedział, że przy małem mojem znaczeniu nie należę do żadnej partyi, jak tylko do tej, którą tworzą ludzie istotnie poświęceni naszemu krajowi i gorliwie służący mu wszelkiemi sposobami, któreby mi się zdawały prowadzić do wielkiego celu. Nie powtórzę ci wszystkiego, co mówił; szczęściem ani słowa nie mówił o tem, co się odnosi do jego doktryny. Były to zwykłe deklamacye przeciwko całej emigracyi i oracya pro domo sua. Wyraził się z wielkiem poważaniem osobistem o xięciu i o tobie, ale powtarzając zawsze swoją zwrotkę, że na dzisiejsze położenie inne środki potrzebne, że u nikogo, jeno u niego, niema wyrozumiałego (?) poświęcenia się, że emigracya spróchniała itd. Zawsze ta szatańska duma, zawsze ten brak miłości, zawsze ten fanatyzm i ta wyłączność partyi, która we mnie prawdziwą odrazę ku temu człowiekowi wzbudza. W nim niema żadnej szczerości, z nim w żadne związki wchodzićbym nie życzył.

Widziałem wyjazd Kamieńskiego do Tyrolu temu cztery dni, nie mogę sądzić o jego oddziale, ale boję się, że to zbieranina. Było ich stu trzydziestu uchodzących za Polaków, ale wielka z nich liczba nie jest Polakami. Co do króla — on się zupełnie nie mieszał do tej sprawy, tak jak się nie wtrącał do niczego, co się dotyczy Lombardyi aż do chwili połączenia; pozwalał im robić co tylko chcieli i wszystko przyjął wraz z unią[1]). Unia jest już prawnie postanowiona, sam akt ma jeszcze przejść przez izbę parów w Turynie i za jakie osiem dni Karol Albert obejmie rządy nad tą prowincyą.»

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Paryż, 26 czerwca 1848.

List twój z 22 czerwca doszedł mnie dopiero dzisiaj wskutek wydarzeń, jakich widownią jest ta nieszczęsna

---

[1]) Podpisaną 10 czerwca 1848.

stolica od czterech dni[1]). Wiesz o wszystkiem z dzienników, dodam tylko, że jesteśmy do tej pory cali, choć walka wrzała przez cały czas dokoła naszej wyspy tak blizko, że kilka kul wpadło do domu, mianowicie do pokoi xięcia, x. Wirtemberskiej i do szkoły na górze. Serce się rozdziera na widok takiego szaleństwa, takiej przewrotności i zarozumiałości niepojętej. Nieszczęśni, biją się zawzięcie, sam to widziałem z blizka wczoraj na placu Bastylii, onegdaj koło Panteonu; wojsko zdobyło oba stanowiska z niesłychaną odwagą, opłaconą życiem kilku jenerałów i mnóstwem ofiar z obu stron. Powstańcy walczą rozpaczliwie, bez wyraźnego nawet celu i bez nadziei zwycięstwa. W tym szale żadna rada nie ma do nich przystępu. Przezacny arcybiskup paryski[2]), nasz sąsiad i przyjaciel, padł ofiarą poświęcenia, z jakiem usiłował pohamować szaleńców. Zginął również jen. Négrier, któremu zawdzięczałem możność przypatrywania się z blizka okropnym tym scenom. W obecnej chwili, druga popołudniu, już tylko przedmieście św. Antoniego opór stawia, całe w płomieniach od rac.»

Władysław Zamoyski do Ludwika Orpiszewskiego:

«Paryż, 28 czerwca 1848.

Rząd tutejszy ostatecznie upadł i dobrze się stało, ale przyszłości przewidzieć niesposób. Walka toczyła się zacięta między ładem a bezładem. Bezład zwyciężono na ulicy, ale trwa on w umysłach na tychże ulicach. Udało się górę wziąć nad burzycielami, ale czy będzie możliwem odtworzyć rząd, bezpieczeństwo, pomyślność i powrócić

---

[1]) Po zamachu na izbę w dn. 15 maja posłowie uchwalili (21 czerwca) opróżnienie stolicy z napływowej ludności robotniczej, pracującej a raczej próżnującej w «ateliers nationaux». Robotnikom tym udało się podburzyć motłoch w rozmaitych dzielnicach miasta, stąd mordercza bitwa między wojskiem a socyalistami od 23 do 26 czerwca 1848.

[2]) Dyonizy Affre (1793 1848), od 1840 arcybiskup Paryża.

do pracy o tyle przynajmniej, żeby mnóstwo ludzi z głodu nie marło?[1])

Oto, za co nikt ręczyć nie może. Wzniosła śmierć arcybiskupa jest może najlepszem zadośćuczynieniem za ten kraj i najlepszym sposobem do odzyskania porządku i spokoju.»

Leonard Niedźwiecki do Władysława Zamoyskiego:

(z Paryża, 1848)

«...Na pogrzebie arcybiskupa miasto całe zanosiło się od płaczu. Ofiara z siebie dla drugich jest zawsze wdzięczna światu. Kto myślał dużo i szczerze o drugich, drudzy myślą podobnież o nim. Religia na tem dużo zyskała, między innemi nawróciła «Debaty», które się stały prawie pobożnemi. Uczucie religijne tak wezbrało, że Paryż ujrzał przedwczoraj nowy dla siebie widok: ołtarz na placu publicznym wystawiony, msza publicznie odprawiona i orszak, słuchający jej, złożony z samych głów rządowych i rządzących.»

---

[1]) Niepomyślny stan finansów francuskich dał się odczuć i Polakom: «W czerwcu 1848 minister spraw zewnętrznych na zapytanie x. Adama, ile wynosiły ogółem zapomogi wypłacone polskim wychodźcom 1832-1848, odpisał, że całkowita suma przez lat szesnaście wyniosła 32065176 fr. W roku 1848 zaś wydatek rządu na wychodźców za pierwsze półrocze wyniósł tylko 102000 fr.» (W. Z.)

V

PIERWSZA KAMPANIA WŁOSKA

LIPIEC — WRZESIEŃ 1848

Z początkiem lipca spokój był o tyle przywrócony w Paryżu, że Zamoyski mógł wyruszyć do Włoch bez troski o xięcia. Towarzyszył mu najmłodszy brat, Stanisław.

« Stanisław miał wówczas lat około dwudziestu ośmiu. Był przystojny, wszystkim się podobał. Gdy widział mnie w nędznem zdrowiu, wybierającego się do Włoch na wojnę, oświadczył, że chce mi towarzyszyć. Zwracałem mu uwagę, że za paszportem moskiewskim może to być nieroztropnie. Na wszystko miał jedną tylko odpowiedź: « Przy wojsku nikomu się poznać nie dam, a celem moim będzie usługiwanie tobie ». Tak więc pojechaliśmy razem.

W Medyolanie szczęśliwym trafem spotkałem Witołda Czartoryskiego. Zaliczał się do najpierwszych Polaków przyjętych do służby sardyńskiej. Odbywszy nauki wojskowe, chodząc na kursa do szkoły aplikacyjnej sztabu francuskiego, szukał najprzód praktycznej służby w szeregach hiszpańskich, następnie przeszedł do służby włoskiej i przyjęty został do pierwszego pułku sabaudzkiego jako porucznik. Miło mi było widzieć następnie Witołda w obozie przy pułku. Uderzyła mnie postać jakby już doświadczonego żołnierza, pilność w służbie, w ubraniu

nawet; w upały włoskie mundur miał zawsze na wszystkie haftki zapięty, był też ulubieńcem całego pułku i wzorem w każdym szczególe służby wojennej. Nietylko w ogniu przykładny, w trudach niezmordowany, ale i przezorny, gospodarny, oględny na wszystko, czego wymagał dobrobyt podkomendnych, a nawet i towarzyszy.

Oględności na potrzeby żołnierza brakło zupełnie ze strony władzy i samego króla, któremu szło przedewszystkiem o zasłonienie siebie i wojska swego od jakiegokolwiek narzekania ze strony mieszkańców Lombardyi i tymczasowego rządu medyolańskiego. Oczywistym celem jego wyprawy było połączenie różnych części Włoch pod jednem berłem. Ale nie chciał dać pozoru nawet wyprzedzania w tej mierze objawu woli mieszkańców. Dlatego, choć z całej Lombardyi wyrugował Austryaków, nie zbliżył się nawet do Medyolanu, nie zaprowadził w nim władzy swojej. Z rządem tymczasowym wszedł w umowy, a że rząd to był ladajaki, że jednego pułku wystawić nie umiał, król umyślił poprzestać na zastrzeżeniu, że rząd ten wojsku królewskiemu dostawiać będzie żywność potrzebną. Był to błąd wielki. Król pozbawił przez to sprawę narodową najżywotniejszego warunku, najdzielniejszej sprężyny do czynu: rządu regularnego, jednolitego, a rządowi tymczasowemu, bezwładnemu, opanowanemu duchem karbonarskim, powierzył zadanie najtrudniejsze na wojnie, zadanie, na którem po największej części rozbijają się i genialne kombinacye strategiczne i dzielność wojska na polach bitwy. Wkrótce też Witołd Czartoryski doczekał się najdotkliwszego w całem wojsku niedostatku żywności. Dość powiedzieć, że mnie, należącemu do królewskiego sztabu, raz jedyny w życiu głód się dał uczuć, a to na żyznych polach i w pośród bogatych miast Lombardyi! Głód w wojsku dał się czuć o tyle bardziej, że najsurowiej rozkazane było szanowanie własności mieszkańców. Ale Witołd Czartoryski nie dał się odwieść od chęci zapobiegania głodowi w otaczających go szeregach.

Brygada sabaudzka już sobie zdobyła pierwsze nieomal miejsce w wojsku bitnością i zachowanym porządkiem, co uderzało tem bardziej, że w niej mowa i komenda była wyłącznie francuska, nie włoska. Jej dobre imię było powodem, że była użyta ciągle w awangardzie. Stąd między jej forpocztami a nieprzyjacielem był zawsze pas kraju żadnej nie ulegający władzy. W innych częściach kraju pomimo braku żywności mieszkańcy byli bezpieczni, wojsko żadnych nie pozwalało sobie rekwizycyi. Między dwoma wojskami, przeciwnie, wszystko sobie można było pozwolić. Możność tę Witołd Czartoryski obracał na źródło żywności dla pułku. Co dnia po marszu, kiedy wszyscy znużeni kładli się najprzód do spoczynku, on wywoływał ochotników, którzy z nim szli prosto ku nieprzyjacielowi. Szli z bronią, ale i w worki opatrzeni. Dotarłszy do pierwszej wioski, rozstawiali wedety od strony nieprzyjaciela, potem od wójta albo od mieszkańców brali, co tylko ku pożywieniu unieść lub uprowadzić się dało[1]. Taka wyprawa co dnia po kilka godzin czasu kosztowała. Pod wieczór oddział w porządku wracał do obozu i przynosił opatrzenie dla wszystkich, którzy, wyspawszy się tymczasem, zabierali się do gotowania, tak iż na noc był w obozie dostatek, a wszyscy błogosławili Witołda, bo zaledwo niekiedy który z oficerów dla ciekawości mu towarzyszył.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Medyolan, 11 lipca 1848.

Szczęśliwym i nader miłym trafem, w sam dzień przybycia naszego tutaj, przybył i Witołd. Wygląda dobrze, zdrów, et c'est un troupier fini. Kapitan odchwalić się go przedemną nie może. Szczegóły o trzechmiesięcznej służbie daje W. ciekawe, trafne i zabawne nieraz. Co się tyczy przejścia do sztabu, ma on uczucie, że mógłby

---

[1]) Z listów widać, że te rekwizycye, choć najczęściej przymusowe, zawsze były płatne.

w nim i pożytecznie się odznaczać i nabyć wyższej zdatności, przemaga dotąd przecież wstręt do robót piśmiennych, do stosunków dworskich a razem gust do życia ściśle żołnierskiego. Ale mam jego zezwolenie, naprzypadek, jeżeli mu to przeniesienie wyrobię do sztabu jakiego dobrego jenerała. O dobrego tu bardzo trudno. Chudota nie do uwierzenia, brak pojęć, brak często i serca tj. prostej przyzwoitej odwagi, niedoświadczenie przechodzące wszystko, com kiedy widział. To pewna, że przyszłość na tym fundamencie bardzo się wątpliwie okazuje. W całem wojsku i kraju opinia jest wysoka o jednym tylko Radeckim!! Może się nam to przyda. O tem się przekonam w głównej kwaterze, do której dziś jadę.

O legionie tu rozpoczętym, jak o Ryczywole, zamilczeć wolę. Jestto przecież początek, ale też nic prawie więcej. Kamieński przecież z 120 ludźmi już się spotykał z Austryakami i to dobre robi na Włochach wrażenie, żeśmy tak prędko, nieledwo zaraz poszli na linię bojową. Ale z tego nie będzie nic, póki król nie postanowi. Tymczasem umieszczę wszystkich w wojsku królewskiem po pułkach.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 15 lipca 1848.

Mickiewicz przyjechał. Był u mnie. Powiem ci, com wyciągnął z jego rozmowy i z listów, które mi pokazywał od swoich z Medyolanu. Sądzę bowiem rzeczą ważną, aby hufiec, przez jego starania gromadzący się, jasno rozumieć. Widzę, że jest między nimi wielka gorliwość i poświęcenie się bardzo godne przy niejakich mistycznych zapędach. Mickiewicz by rad, żeby wszyscy, i oficerowie także, najprzód uważali się żołnierzami, dopiero, zyskawszy ufność hufca, żeby za dowódców byli wybrani i nominowani. Zyskanie ufności i zniżenie do powszechnego nastroju radzę tym, coby do legii medyolańskiej się łączyli, bo inaczej nie będzie harmonii i rzecz nie pójdzie. Mickiewicz, a tembardziej inni, mniemają, że

są jakieś plany i widoki przy formowaniu legii; trzeba im to z głowy wyprowadzić. Obawiam się wojskowej sztywności naszych panów, którą trzeba czasami poświęcić, ażeby prędzej dojść do celu. Może na tem się skończy, że dwie będą legie, ale proszę jak najmocniej, aby się starać o koleżeństwo, przyjaźń i dobre stosunki i strzedz się pozorów pogardy dla hufca już zebranego. Są tacy, co bezpiecznie wejść mogą do szeregów. Alboż to pierwszy raz oficerowie w szeregachby służyli, wszyscy w razie potrzeby mogli to oświadczyć i to oświadczenie wystarczyłoby, aby ufność i zgodę zaprowadzić!»

《 Króla Karola Alberta zastałem już w Roverbello po zwycięstwie pod Goito i przejściu rzeki Mincio. Przyjął mnie najuprzyjmiej, pamiętał, żeśmy się za lat młodych, 1811 roku, znali w Paryżu, kiedy jego matka, xiężna Carignan, później xiężna Montléart i xiężna Alexandrowa Sapieżyna, ciotka nasza, w przyjaźni z sobą żyły, a kilkanaście młodzieży pokrewnej gromadziły u siebie w niedziele na zabawę. Wspomnienia te, a więcej jeszcze pamięć babki własnej z domu Krasińskiej, były powodem, że król każdego niemal Polaka podówczas przyjmował do wojska swego. O żadnym zaciągu cudzoziemców słyszeć jednak nie chciał, powtarzał niezmiennie słowa pamiętne: «l'Italia fara da se». (Włochy same sobie starczą). 》

Władysław Zamoyski do x. Adama[1]):

«z kwatery głównej w Roverbello, 15 lipca 1848.

Pospieszam donieść kochanemu Wujowi, że przybywszy przedwczoraj, byłem wczoraj przyjęty przez króla. Słuchał mnie cierpliwie, oświadczał wielką życzliwość i szacunek dla naszego narodu, prosił na obiad, przy sobie

---

[1]) Do tego listu dołączone są niektóre szczegóły z dziennika podróży Zamoyskiego, pod datą 14 lipca 1848.

posadził. Pochlebnie mówił o naszej wojnie 1831 roku, widzi podobieństwo ze swoją dziś. Nie radby jątrzyć Moskwy, z uśmiechem jednak wyznaje, iż ją sobie śmiertelnie naraził[1]. O rządzie tymczasowym lombardzkim mówił z niechęcią, o dywizyi lombardzkiej jen. Peronne, że licha. Witołda bardzo chwalił, mówił o nim, że okazał wielką odwagę, pytał o młodszego brata i kiedy przyjedzie. O Mickiewiczu: «Któż jest ten uczony? był u mnie. Wydaje mi się trochę zapalona głowa.» Dużo pytał o moją przeszłość, zdrowie, wiek, o jen. Ramorino, dużo o Słowianach. Mówiłem o polityce xięcia. Król zapytał: «Czy stronnictwo polskie jest jeszcze bardzo silne?» Nie odrazu zrozumiałem, a zapytawszy, czy chce mówić o narodzie, powiedziałem, że niema dwóch w nim stronnictw, że niema wyjątku co do polskości i chęci zrzucenia jarzma. Pytał znowu: «Czy i lud niższy?» Tu, przyznając, że Austrya lud galicyjski systematycznie zepsuła, zapewniałem, że i ten lud się naprawia. Gdy zacząłem mówić o Austryi, o podkopywaniu przez nią religii celem rozbestwienia ludu, król odrzekł: «Tak wszędzie robiła, to systemat cesarza Józefa.» O Austryi i Moskwie mówił bardzo lekko, zarzutu co do legii nie robił, ale tem właśnie dawał poznać, iż nie bierze rzeczy tej na wagę i rozwagę. Przeto przed odejściem, na samym końcu rannej audyencyi, powiedziałem, że w każdym razie i choć tymczasowo oficerowie ze mną przybyli pragną choć pojedyńczo po pułkach jego mieć udział w szlachetnej wojnie. Tu dopiero, nie prędzej, król skwapliwie oświadczył, iż najchętniej mnie i ich przyjmie. To jednak było tylko powiedziane ogólnie z dodaniem, iż nad propozycyą legii zastanowi się i ministrów konstytucyjnych się poradzi. Po obiedzie następca tronu, x. Sa-

---

[1] Mikołaj, na wiadomość o wojnie między Piemontem a Austryą, kazał posłowi sardyńskiemu natychmiast wręczyć paszport.

baudzki[1]), młody, żwawy, ognisty, a widocznie przez ojca w ryzie trzymany, przystąpił do mnie, oświadczał radość z przybycia mego i życzenie, aby król nas przyjął legią. Prosił z obiadu do siebie, mówił i badał obszernie. Nie przypuszczał, aby nas król dla względów politycznych miał nie przyjąć i wyraził się z pogardą dla tych, którzyby mu tak radzili. «Będzie», mówił, «niebawem wojna powszechna, oszczędzać przeto nieprzyjaciół naszych nie powinniśmy, ale sprzymierzeńców sobie tworzyć!» Przewidywał jedyną wielką trudność w postanowieniu króla, ciągle i niezmiennie okazywanem, żeby żadnego obcego korpusu w pomoc Włochom nie przyjmować. Pragnął, aby dla nas był zrobiony wyjątek, obiecał pomóc serdecznie. Nie wiedział nic więcej o usposobieniu króla, jak tylko, że o mnie przed nim wyrażał się bardzo pochlebnie. Tak rzecz stała; początek zdawał się być dobry. Pisałem zaraz do p. Cazati do Medyolanu, prosząc, aby pozwolił odwiedzić jeńców wojennych[2]) p. Dombrowie Budzyńskiemu i księdzu Mensinger, Czechowi, kapelanowi wojska austryackiego, pozostałemu w Medyolanie przy szpitalu, a który w przejeździe moim przyszedł ofiarować swe przysługi do legii i zapewniał, że wszyscy Czesi połączą się z nami.

Tak rzecz stała do dziś rana, kiedy przyszedł do mnie sekretarz stanu przyboczny króla i oznajmił, że król, uważając, iż nie godziłoby się trzymać mnie niepotrzebnie w niepewności, a mając postanowienie niezmienne nie przyjmowania żadnych korpusów obcych, odrazu mnie o tem zawiadomić polecił z tym dodatkiem, że mnie i pojedyńczych oficerów polskich przyjmie chętnie, mnie nawet uprzejmie oświadczyć kazał, iż sam sobie wybrać mam, jak mi będzie najdogodniej tę kampanię odbywać. Odpo-

---

[1]) Wiktor Emanuel (1820—1878), od 1849 król sardyński, od 1870 król włoski.

[2]) Jeńców słowiańskich było wówczas w Lombardyi kilka tysięcy.

wiedziałem, iż mimo żalu za tak stanowcze odmówienie legii, dziękuję za spieszną i wyraźną odpowiedź, co zaś się tyczy mego umieszczenia w armii, królowi pozostawiam postanowienie o niem, tylko zamawiam sobie najprzód przedstawienie królowi tych wszystkich oficerów, którzy ze mną przybyli, a zechcą przyjąć służbę w jego armii, bo odstępować ich, umieszczając się sam pierwiej, nie powinienem. Dodałem, iż mam nadzieję, że to przyjęcie da nas poznać i da sposobność przekonania króla o ważniejszych nierównie usługach, które z nas mieć będzie, gdy nas nie pojedyńczo, ale zbiorowo jako Polaków użyć zechce. Jakkolwiekbądź uważam to przyjęcie nas w znacznej liczbie jako rzecz w sobie ważną i już wagę jakąś polityczną mieć mogącą.

Utwierdza mnie w przyjęciu pojedyńczej u króla sardyńskiego służby stan Rzymu i odbierane stamtąd wiadomości. Papież staje w coraz większej sprzeczności z swoimi ministrami i izbami. Ministeryum składa urzędy. Prowincye są w stanie rozkładu. Stamtąd przeto nadziei niema. Co zaś się tyczy legii naszej w Medyolanie zaczętej, ta przyszłości żadnej mieć nie może, skoro sam rząd lombardzki tymczasowy odmówił jej jeńców Słowian, bo im nie ufa, a król i rząd jego nie chcieli i nie chcą dotąd nic wiedzieć o postanowieniach rządu tymczasowego, najmniej zaś przystać zamierzają na wojskowe tego rządu formacye. Król sam mi w tym sensie mówił. Bolesne tam będą chwile dla Kamieńskiego i podkomendnych jego. Póki będzie mógł bić się gdzie w górach na straconym posterunku, może go tolerować będą, jak inne oddziały partyzanckie, ale widocznie rząd króla sprzeciwiać się będzie rozwinięciu tej formacyi. To smutno!

Przybywający odtąd z Francyi ochotnicy nasi, o ile mają wychowanie, mogą tu znaleść w armii królewskiej życzliwe do pułków przyjęcie i prędki bardzo awans. Pomnażanie w ten sposób liczby naszej w tem wojsku

uważam za rzecz najlepszą dziś do zrobienia; stawia nas, acz w rozproszeniu, wszystkich blizko i w pogotowiu do czego lepszego, gdy się tylko sposobność okaże; przytem powiększa wartość naszą. Powoli uda się nam może zacząć od jakiej kompanii lub szwadronu z jeńców Słowian złożonej. Tymczasem oficerowie w służbie belgijskiej niech wiedzą, że mogą tu znaleść umieszczenie, pole do kształcenia się przez wojnę, a w krótkim czasie, jeżeli nie zaraz, i awans. Toż samo niech wiedzą i nasi oficerowie w Hiszpanii i w legii zagranicznej w Algierze.

Między oficerami, których listę teraz mi wypadnie przedstawić królowi, położę w pierwszym rzędzie acz wątpliwie jen. Chrzanowskiego, jak mnie upoważnił do tego. Upraszam, aby mi doniósł, czy to chwali.

Wojna tu nader wolno idzie. Dużo z tego powodu szemrania w wojsku. Król przecież, a zwłaszcza następca tronu, bardzo od wojska lubieni. W tej chwili zdaje się, jakby król z umysłu rozpraszał siły swoje między dwiema rzekami od Po do Rivoli, celem wyciągnienia Radeckiego w pole, a w pełnem zaufaniu, że byle go spotkać, to się go pobije. On zaś za szańcami zaczajony siedzi.»

«Mianował mnie Karol Albert pułkownikiem przy głównym sztabie swoim[1]). Szefem sztabu głównego był jen. Salasco. Pierwszą rzeczą z początku po przyjęciu do wojska było umundurować się; ale na to potrzeba było wrócić do Turynu i na jakie dni piętnaście opuścić czynny udział w kampanii. Nie mogłem się na to zgodzić; pozostałem w mundurze ostatniego wojska, w którem służyłem, to jest belgijskiego; parę koni i osiodłanie kupiłem na miejscu, a ze zwykłem mojem szczęściem do

---

[1]) Nominacya podpisana przez minisra wojny Collegno 19 lipca w Turynie doszła Zamoyskiego w kwaterze głównej w Vigevano 7 sierpnia; poprzednio 15 lipca Zamoyski pisał do jen. Cavaignac, prezydenta rzeczypospolitej francuskiej, prosząc jako poddany francuski o upoważnienie służenia w wojsku sardyńskiem.

koni natrafiłem na dwa konie angielskie doskonałe. Jedną klacz mi sprzedał Minghetti, młody adwokat z Bolonii, przyjęty od króla na kapitana przy sztabie, później jeden ze znamienitych ministrów włoskich. Miałem z nim stosunek przyjazny przez ciąg pobytu mego w tem wojsku. Oddalać się od wojska ani na dzień jeden nie chciałem, bo zdawało się, że nadchodzą chwile stanowcze[1]). Stało wojsko nasze naprzeciw sławnego «czworoboku», który był dotąd dla wojsk francuskich, posuwających się przeciw niemieckim, nieprzebytą zaporą. Napoleon I po dwakroć tę zaporę okrążał i zwycięsko obchodził, ale przełamać wstępnym bojem ani próbował. Karol Albert rozpoczął wojnę, głosząc dobrowolne zobowiązania, które mu tej zapory obejść nie dozwalały ani od północy, ani od południa. Na południe była rzeka Po, a za nią posiadłości Kościoła, na północy Tyrol, należący do konfederacyi niemieckiej. Jedno i drugie terytoryum, zapowiedział Karol Albert, że szanować będzie. Nie pozostało mu przeto, jak wstępnym bojem przejść przez rzekę Adygę między Weroną i Legnano, fortecami o piętnaście mil tylko od siebie odległemi. W tyle zaś pozostawić mu przychodziło Mantuę, fortecę pierwszego rzędu z silnym garnizonem. Rzecz zdawała się niepodobna, a nie było też w otoczeniu króla żadnego oficera, któremuby przeszłość i złożone dowody dawały śmiałość i możność nadania wojnie stanowczego kierunku. Udało się wprawdzie Włochom zdobyć warownię Peschiera, jedną z czterech stanowiących słynny czworobok, ale to nie wystarczało; Mantui w tyle zostawiać nie było rzeczą podobną. Już też poczęto myśleć o formalnem oblężeniu tej twierdzy. Ale i w tem była niepewność, tak iż do sześciu niedziel przedłużyła się nieczynność.

---

[1]) Król spieszył na pomoc Wenecyi, której zgromadzenie narodowe 3 lipca ogłosiło połączenie się Wenecyi z Piemontem.

Tymczasem feldmarszałek Radecki, wódz austryacki, nagromadziwszy siły, wystąpił z Werony (23 lipca) przeciwko korpusom piemonckim, rozłożonym między Peschierą a Mantuą. Na tę wiadomość Karol Albert postanowił całem wojskiem uderzyć na nieprzyjaciela.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z głównej kwatery w Villafranca, 24 lipca 1848.

Kochany Wuju! Onegdaj Austryacy spędzili naszych z pozycyi mocnej, ale słabo zajętej na najdalszem lewem skrzydle naszem w Corona na granicy Tyrolu. Wczoraj silnie wyszli z Werony i, przebiwszy linię naszą, przez Somma-campagna pociągnęli aż pod Valleggio, gdzie, ustępując, spalono przed nimi most. Drugi korpus, w nim Witołd, jest przeto od nas przedzielony zupełnie, oparty na Peschiera. My odstąpiliśmy dopieroco dopełnionej blokady Mantui, żeby tu pociągnąć. Dziś rano jesteśmy w tyle za Austryakami, a nie uderzamy, wahamy się, choć, zdaje się, że mamy tu siły dosyć. Tak to coś wygląda, jak kiedy dopędziwszy gwardye, podobnie ranek (19 maja 1831) straciliśmy na wahaniu. Pisałem tego rana, pamiętam, podobnie jak dziś do Wuja, ale dziś wcale zimniej na to patrzę, mniej też wiem, co się święci.

Ile ze słów sądzić mogę i z obejścia, wszyscy mi tu radzi i radzi, że król mnie przyjął. Breański z Bolonii przybył[1]). Listę siedemdziesięciu oficerów ułożyliśmy i wczoraj podać miałem, kiedy się na koń wsiadło; podam, skoro chwila do tego wróci.

[1]) Część oficerów polskich, czekających na umieszczenie w wojsku papieskiem, przeniosła się za Breańskim z Bolonii do Turynu, część zaś pozostała tamże pod rozkazami majora Wróblewskiego. I jedni i drudzy pobierali żołd papieski, dopiero w końcu października 1848 uwiadomiono ich z Rzymu, że użyci nie będą, poczem wręczono każdemu 250 fr. Dwudziestu pozostało w Turynie, reszta wróciła do Francyi.

W tej chwili radzą u króla i czas najdroższy tracą; ja korzystam z niego, żeby odpisać na list Wuja 15 go pisany po widzeniu Mickiewicza. Wuj byłeś widocznie pod świeżem wrażeniem jego mowy i nie dziwię się, że się dałeś zelektryzować jego wystawieniem rzeczy. Słowa poświęcenia, abnegacyi, ofiar, z drugiej strony zapewnienie, że zasługi i zdatność mają w sobie samych pewność, że uznanemi będą itp., to wszystko trafia do duszy, ale nie Wujowi to opowiadać potrzeba, że się temi wyłącznie uczuciami nie klei żadnej rzeczy. Stan wojskowy mianowicie ma swoje wymagania, których te uczucia nigdy zastąpić nie mogą; do nich liczy się niezaprzeczenie urok starszeństwa i stopnia, bez którego nie może być karności, a bez karności niema też wojska. Ustawiczne, tu mianowicie, mamy tego dowody. Liczne oddziały najlepszym niby duchem natchniętych ochotników coraz rozpadają się przez nierząd a często kompromitują armię czyli honor jej przed nieprzyjacielem, choć nieraz i biją się i ciężkie ponoszą klęski. Ani ja, ani żaden prawdziwy żołnierz nie może przystać na taką formacyę polskiego legionu zagranicą. We własnym kraju powstanie zmusza od takich zaczynać oddziałów, ale i we własnym kraju dodatkową tylko mogą być siłą. Tu naraziłoby nas takie do rzeczy przystępowanie na wstyd i zawód nieunikniony. Mylne jest mniemanie, jakoby rząd medyolański z własnej już teraz woli dopomagał legii. Zapewne, że, postanowiwszy raz formacyę batalionu, dali już i broń i mundury i żołd, ale odmawiają dotąd jeńców, a bez nich daremniebyśmy się silili o legię. Lecz co gorsza jawnie powtarzają, że ten nawet zawiązek mają w podejrzeniu. Bo też Mickiewicz poparcie znajdował u tutejszych politycznych potępieńców, u ludzi, przed którymi rząd tymczasowy drżał bezrozumnie, ale drżał, choć przy obliczeniu głosów w najdrobniejszej się okazali mniejszości. Zawiązek więc Kamieńskiego przyszłości nie ma, skoro rząd tymczasowy nie dał mu jeńców do formowa-

nia, a dziś rząd królewski nie chce o nim wiedzieć. Nie pomogłoby więc temu zawiązkowi, gdyby się do niego i siedemdziesięciu oficerów przyłączyło, którzy pojedyńczo do pułków włoskich przyjęci, zyskawszy szacunek władzy, odświeżywszy sobie znajomość służby, mogą jeszcze stać się kadrem do przyszłej legii, jeżeli kiedykolwiek król się do niej da nakłonić. Ale wchodząc do zawiązku Kamieńskiego i przed oddziałem 130 ludzi, między którymi dużo nieczystego i obcego także, — Francuzów, — żywiołu, składając stopnie swoje, by od niego czekać uznania onych, wystawiliby się na śmieszność tylko, do której nie dziw, że skłonić się nie dał żaden z ludzi dobranych starannie do tego oddziału. Pięknie brzmi żądanie, aby z Polakami tylko nie poczynać od rangi, — a Polacy rangę sami uznają, — takiemi pięknemi słowami łudzić się nie dajemy. Sam Wuj, który mi te ich słowa zalecasz, nie dałbyś im pierwszego, istotnego, na tej drodze kroku zrobić bez okazania swego oburzenia, boć wiemy, jakieby to uznanie było i jakiby ład nastąpił z takiego założenia. Chcą, żeby nie poczynać od rangi, a skądże im prawo, skąd słuszność, skąd sprawiedliwość i roztropność zaprzeczenia rangi uczciwie dosłużonej? Zbyt krótkie jest życie i niedość już mamy zdrowia, żebyśmy wojskowy zawód od żołnierza i karabina dziś rozpoczynali, nie w swoim zwłaszcza kraju. Nazywają nas arystokratami, bośmy dyliżansem przyjechali, a siebie bez wahania lepszymi mienią, bo musieli iść pieszo. Ale nie o to idzie, kto lepszy, idzie o to, jak urzeczywistnić legion. W pierwszym zaraz liście moim napisałem Mickiewiczowi moje zdanie, że «choć rząd postanowił formacyę batalionu, ja przecież nie widzę ani w postanowieniu tem, ani w gromadce już zebranej rzeczy wojskowej, bo nie widzę wodza, mającego do tej formacyi od władzy krajowej moc i urząd». Bo też wistocie nie tworzy się wojska inaczej, jak nadaniem władzy z góry. Inaczej formuje się hufiec mniej lub więcej polityczny lub mistyczny, ale wojska nie.

Dla mnie i dla towarzyszów moich legia była i jest wyobrażeniem wojska i dlatego ścisle się trzymamy warunków koniecznych do tworzenia wojska. Wartość polityczna legii może nastąpić tylko z dopełnienia warunków wojskowych jej tworzenia. Jeżeli nie będzie korpusem wojskowym, dzielnym, przykładnym, znaczenie jej polityczne zgubnem się okaże, wstyd nam przyniesie. Pragnąłem szczerze korzystać z postanowienia rządu tymczasowego, żeby zyskać utwierdzenie owego postanowienia przez rząd królewski. Pisałem, jak stanowcze było odmówienie króla. Rząd rzymski nie odmawia stanowczo, ale też nic nie stanowi i oczywiście nie postanowi. Rząd medyolański skończył swą egzystencyę. Cóż tedy robić? Można było zanurzyć się w zawiązku Kamieńskiego i z nim utonąć. Albo trzeba było próbować drogi, jaką przyjąłem. Na tej drodze pozostaje możność utworzenia legii. Oficerowie nasi sposobić się do niej będą i sposobić w każdym razie do służby krajowej. Nie mogę żałować, żem się tej drogi chwycił. Zarzut arystokracyi nam czyniony nie wart podniesienia. Muszę jednak nadmienić, iż jest bezzasadny. Oficerowie, przybyli do Medyolanu, chcieli stanąć w koszarach. Położono im warunek zrzeczenia się stopni. Odwołali się do rozkazu starszych nad sobą. Więc im odmówiono gościnności nawet w koszarach. «Minister wojny nie chciał wchodzić w żadne umowy z majorem Wyszkiewiczem», — to naturalne, ale i Wyszkiewicz nie szukał umowy żadnej, meldował się z listem moim, dano mu też kwatery wojskowe osobne, Do pułk. Kamieńskiego napisałem z kwatery głównej list przyjacielski, donosząc mu o rzeczy mojej i postanowieniu króla, ofiarując przytem osobistą usługę, jeżeliby jej chciał. Ale Kamieńskim rządzą duchy przy nim i jakieś zawzięte na nas demokraty, tam, jak wszędzie, usiłujące psuć.

Rozpisałem się i ja szeroko, bo, wyznaję, że mnie list Wuja nieco dotknął, nie osobiście, bo zdaje mi się,

że nic w nim osobistego niema; przypuszczam nawet, choć to szerokie może przypuszczenie, że Mickiewicz nie miał ku mnie złej woli, mówiąc tak Wujowi, ale dotknęło mnie powtórzenie tego wszystkiego na seryo przez Wuja, co, sądziłbym, że się nie da na seryo twierdzić Jestto romans zamiast rzeczywistości i chociaż staram się trzymać rzeczywistości, przykro mi było być w potrzebie dowodzenia, że jej nie poświęcam ani słusznych uczuć, ani szlachetnych uniesień serca. W tym razie w szczególności, zdaje mi się, że oddałem się sprawie, ile tylko jeszcze mogę. Może mi to obozowe życie wróci trochę zdrowia. Dotąd mi służy, ale też jeszcze trudów nie było i niewygód. Od niewygody bronić się myślę, żołd mi płacić mają, więc go tu wydawać trzeba będzie, choćby mnie za to znowu arystokratą nazwano. Trafiłem szczęśliwie na bardzo dobrego konia. Kosztuje 2000 fr.

Obie strony bojaźliwie do rzeczy idą, choć nasi nadspodziewanie ochoczo się biją. Dodać muszę, że mnie wielu tu bada o pomysł legii i że się myśl ta dość wielu podoba. Coraz mnie wołają do rozmowy z jeńcami i cieszą się, że się z nimi rozmawiać mogę, nawet z Kroatami potrochu.»

«Zniecierpliwione długą bezczynnością wojsko piemonckie z zapałem ruszyło ku nieprzyjacielowi (25 lipca), zajmującemu silną pozycyę na pasmie górzystem pod Custozzą. Lewe skrzydło i środek pod okiem samegoż króla uderzyły dzielnie na nieprzyjaciela. Dolina rzeki Tione[1]) dzieliła nasze wojsko od austryackiego. Z podziwieniem patrzałem, jak nasze bataliony, przeszedłszy dolinę, wdzierały się pod wzgórza przeciwne, zajęte linią piechoty nieprzyjacielskiej; jak pod jej ogniem nasza piechota, po dwakroć złamana, zdawała się padać i znowu powstawała, choć w rozproszeniu i ponawiała atak, aż przecie opa-

[1]) Dopływ rzeki Mincio.

nowała wzgórze, przez nieprzyjaciela w nieporządku opuszczone. Pół dnia już upłynęło a nieprzyjaciel w małej odległości zajmował znowu na wzgórzu silną pozycyę. Wtem Karol Albert zapragnął, by prawe skrzydło jego przypuściło atak, którvby zagroził linii odwrotu Austryaków ku Weronie. Zapytał mnie, czy się mogę podjąć tego rozkazu; gdym oświadczył, żem gotów, dodał: «bardzo ci zobowiązany będę» i szczegółowo myśl swoją i rozkaz wyłuszczył.

Między prawem skrzydłem a środkiem przerwa była około dwóch mil, kiedy więc gościńcem jechałem w pewnej odlegości ciągnącym się wzdłuż i poza linią naszą, znalazłem się w takiej odległości od wojska naszego, żem się musiał oglądać, by nie wpaść między Austryaków. Naraz spostrzegłem ciągnących w poprzek gościńca kilkudziesięciu ludzi w rozsypce. Zbliżając się ostrożnie, przekonałem się, że są nasi, a dojechawszy, zapytałem, czy należą do korpusu x. Genui. Odpowiedzieli, że należą. Wtenczas dopiero przyszło mi zapytać: «A dokąd to idziecie, rannych między wami nie widzę?» Zrozumieli, że to był wyrzut i dopiero, zapatrzywszy się na mój mundur, do ich wojska nie należący, wpadli na domysł, że należę do wojska austryackiego, żem się zabłąkał i udaję Włocha. Dopieroż wszyscy mnie na cel biorą i wołają: »Zsiądź z konia.» Rzecz była niemiła, ale zewsząd o kilka kroków otoczony, uległem. Przysunął się jeden i odebrał mi z ręki konia. Potem krzyknęli: «Oddaj pałasz.» To było dla mnie za wiele. Pałasz mój, który we wszystkich dotąd służył mi wojnach, pochodził ze zbrojowni mego ojca. Ma tę rzadką cechę, że jest mieczem prostym a przecie szczero damasceńskim, z pięknym napisem tureckim, tak, że go śmiało liczyć można do broni użytej w najpierwszych krucyatach. Słowem, kochałem się w tym pałaszu. Oddać go w ręce niegodne, było nad moc moją. Chcąc jednak uniknąć klęski, umyśliłem się rozbroić, rzucając pałasz na ziemię, ale pod

nogą trzymając. Uciekający z frontu tchórze, mniemając, że się pałaszem chcę bronić, przyskoczyli w kilku do mnie i w pięciu czy sześciu przyłożyli karabiny do piersi mojej. Postrzegłem, że kurki mają naciągnione. Uwierzyłem przeto, że mi wybiła ostatnia godzina. Wzniosłem oczy do nieba i oddałem się miłosierdziu bożemu. Czy mój spokój nieporuszony, czy raczej miłosierdzie boże, — nie wypalił żaden z karabinu, a ja też po chwili, spuszczając oczy na nich, rzekłem z uśmiechem: «A więc chcecie zabić przyjaciela?» Zrozumieli mój wyrzut i poczęli się tłomaczyć. Rzekłem: «Zacznijcie od uprzątnienia mi tej niewygody.» Wtem nadjechał inny oficer sztabu, znający mnie i od nieprzyjemnego spotkania uwolnił. Wkrótce dojechałem do x. Genui. Ale daremny był rozkaz króla. Prawe skrzydło już się miało obronnie przeciw sile przemagającej. Od tej chwili rozpoczął się odwrót, który się wkrótce stał ucieczką dla większej części wojska piemonckiego.

Nie opisuję szczegółów, nie sięgam do żadnych materyałów, by jakąkolwiek skreślić całość wojen, w których miałem udział. Piszę wspomnienia osobiste. Nadmienię też o nieocenionej pomocy i przysłudze, jaką mi był co dnia poczciwy brat mój Stanisław. Przez dzień cały był na koniu przy mnie i podzielał niebezpieczeństwa. Przed końcem dnia znikał, odszukiwał miejsce, gdzie gotowano dla króla nocną kwaterę, w bliskości wynajdywał dla mnie mieszkanie, przygotowywał łóżko i kolacyę. Nie dość mu było tego. W nocy, skoro widział, żem zasnął, szedł do ambulansu, wypytywał się o szpital. Rannym służył, w głos na sali zapytywał po polsku, czy czasem niema jeńca Polaka między rannymi. I zdarzali się tacy, którzy go wzywali, mówiąc, że im głos jego wydał się jakby głosem z nieba wśród obcych, których języka nie znali. Ciężko rannym pośredniczył jako tłomacz do spowiedzi, jak mógł krzepił i pocieszał. Zdarzało się, że wśród nocy budzono mię, ostrzegając, że

wszystko w pochód rusza. Pytałem, gdzie mój brat? nie wiedział nikt. Natenczas posyłałem do szpitala, tam go zawsze znaleźli. Czułość jego dla rannych truła mu spokój, nawet wśród bitwy. Nieraz się do mnie odzywał, mówiąc: «Patrz, patrz co za straszna rana.» A ja na to: «Dajże mi pokój, patrz lepiej, co robi nieprzyjaciel. Rannych zostaw felczerom.» »

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Goito, 26 lipca 1848.

Donoszę w pospiechu, że bito się na całej linii przez kilka dni; różne były koleje. Myśmy nabrali więcej niewolnika, ale ostatecznie wyparci zostaliśmy za Mincio. Cofanie odbyło się z przykładnym porządkiem. Byliśmy w tęgim ogniu i ja i Witołd i Breański i nawet Staś. Wszyscy zdrowi, dzięki Bogu. Spotkanie z Witołdem było serdeczne, bo on był na najdalszem od nas skrzydle, a brygada jego ostrą miała bitwę, swego dowódcę straciła. Dzięki Bogu nam nic, a okazya ta posłużyła wszystkim do zyskania poważania. Dowództwo nader słabe. Wojsko ochoczo i poczciwie idzie w ogień. Nie mam czasu dziś na więcej. Pozycya włoskiej armii jest dziś wiele pogorszona. Jest ona, jak byliśmy po Ostrołęce. Mądrą polityką, ale nie rycerskim popisem zbawić się Włochy mogą. Co do mnie, te kilka dni są drogiem dla mnie nabyciem doświadczenia. Radbym się o tem rozpisać, ale ni miejsca, ni czasu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«27 lipca 1848, między Goito i Castiglione.

Gruchnie zapewne wraz z moim listem wiadomość, że król żądał zawieszenia broni. To świadczy o tem, jakie jest jego stanowisko po nieudanym ataku na tyły nieprzyjaciela. Wojsko wielkich strat nie poniosło. Nieprzyjaciel zdobył pozycyę z tą tylko korzyścią, że wziął dwa czy trzy działa zaryte w rowach, jeńców nie zdobył,

a sam 2000 stracił. Ale wojsko sardyńskie jest znękane, upada na siłach dla braku regularnie udzielanej żywności i dobrej administracyi; upada na duchu wobec oczywistej nieudolności naczelników. To zmęczenie i to zniechęcenie wywołały już onegdaj straszne oznaki dezorganizacyi. Dzisiaj, po radzie wojennej, co jest też śmiertelnym symptomatem, król zażądał zawieszenia broni i udał się na forpoczty, żeby czekać powrotu parlamentarza. Wojsko pod bronią. Wszystkie bagaże odesłane do Bozzolo poza Oglio. Radecki poda ciężkie warunki. Mam nadzieję, że niemożliwe. Zdaje mi się, że, wracając przez Oglio i proponując Francyi przymierze zaczepno odporne, król może trzymać Radeckiego w szachu ile potrzeba, ażeby wojsko swoje odtworzyć. Ale trzeba mieć mniej zarozumiałości, kiedy braknie sił i kiedy, w braku zdolności wojskowych, służyć można tylko poświęceniem.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Bozzolo, 28 lipca 1848.

Warunki podane przez Radeckiego są obelżywe i niemożliwe do przyjęcia; czekać będzie na odpowiedź do piątej zrana. Król z tego skorzysta, żeby się wycofać w nocy w porządku. Dwanaście godzin wypoczynku, nawet bez żywności, przywróciły ład. To pięknie! Jest to tryumf ducha monarchicznego, jaki ożywia wojsko. Dziś rano król przeprawiał się przez Oglio przy powitalnych okrzykach pułków, które od trzech dni były bez pożywienia. Myśmy też głodu doznali.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Cremona, 30 lipca 1848.

Ustępujemy ciągle, nieprzyjaciel nas zaledwie przez dziś rano armatami macał, ale przed okazaną siłą zaraz ustąpił. Nie jest jego rzeczą nas pędzić, owszem, radby nas może przetrzymać a w Medyolanie uprzedzić. Gdyby wiedział, w jakim jesteśmy stanie znużenia i osłabienia ducha, uderzałby wprost na nas a mógłby armię naszą

zniszczyć. Ale nas zasłania reputacya w bitwach nabyta. Złe było prowadzenie, biliśmy się zawsze częścią tylko sił naszych, a przecież pułki groźnemi się Austryakom stawały. Dziś jużby się tak nie biły. Potrzymamy dziś do wieczora a nocą pociągniem przez Adda, niżej Pizzighittone. Dalej mieć będziemy na przypadek potrzeby most na Po, którego tu nie umiano w czas przygotować, co byłoby nam dało czas zorganizowania się i możność wrócenia po dniach kilku na lewy brzeg Po i uderzenia w bok albo i w tył Radeckiego.

Od Villafranca cofamy się porządnie dosyć, bo nas nieprzyjaciel nie ściga. Ale rozstrój ogromny. Jeżeli przejdziemy na prawy brzeg Po, wojsko będzie ocalone, ale Lombardya stracona. Francyi przecież powołać król ani patryoci nie chcą. Posłali z prośbą do Francyi o pomoc Medyolańczycy, pewno nie uzyskają, albo też dana będzie w duchu nieprzyjaznym Albertowi.

Witold, za uderzeniem dziś armat, pobiegł, choć kulawy, do pułku, który właśnie stoi niedaleko.»

«Nie oparło się wojsko nasze aż pod Medyolanem, ale wprzód niedaleko Brescii, pod Lonato w tylnej straży, znaleźli odznaczenie Polacy, w legię polską przez rząd tymczasowy medyolański, pod natchnieniem Mickiewicza sformowani. Dowódca ich, Mikołaj Kamieński, pułkownik 1830 r., silnie party od nieprzyjaciela, mężnie opóźniał jego pochód, aż padł ciężko ranny i od żołnierzy swoich uniesiony został[1]).»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Medyolan, 4 sierpnia 1848.

Jesteśmy tu: król z wielką szlachetnością zamiast cofnąć się za Po, jak wszyscy pragnęli, oznajmił, że

[1]) Choć Zamoyski potępiał pod względem wojskowym zasady, na których Mickiewicz pragnął rozwijać swą formacyę, niemniej przy każdej sposobności i wówczas i później podnosił przed swoimi i obcymi zasługi Kamieńskiego i jego garstki.

bronić chce tego miasta, choćby tu zginąć z synami i z wojskiem swojem. Oby wykonanie odpowiedziało postanowieniu, — ale tu w nikim niema woli. Król poświęca się dla sprawy, wojsko dla króla. Lud bierny. Nikt nikomu nie rozkazuje. Tu nic nie przygotowano. Ofiarowałem królowi moje usługi przy jenerale inżynierów dla zastąpienia szańcami braku pozycyi pod miastem. Gotujemy się dopiero do tej pracy, rozpoznawamy linię o milę włoską od miasta z dwoma kanałami na skrzydłach, napędzamy ludzi do roboty, ale wszystko to idzie, jakby nie w czasie wojny, jakby nas nieprzyjaciel nie miał już dziś pewno atakować, przynajmniej awangardą. Wyglądają teraz od jednych tylko Francuzów ratunku, ale ci, jeżeli przyjdą, to nie prędzej, jak za dni osiem. Jak tu tyle dni wytrzymać? Sądzę, że niepodobna, bo entuzyazm upadł, karność go nie zastępuje. Naczelnictwa niema. Doświadczenia zaś wojny taki we wszystkich brak, że nie do uwierzenia; w tureckiem wojsku nie było nigdy większego zdania się na los, jak tu dziś. Wczoraj w marszu nocą król długo mówił ze mną, poczciwie, ale nie jędrnie. Witołda, oświadczył, iż z największą chęcią przeniesie do sztabu.

Proszę, aby było doniesione o nas w różne strony, żeśmy zdrowi.»

«Pod wieczór (4 sierpnia) artylerya nieprzyjacielska licznie przeciw nam wystąpiła. Król, jak dni poprzednich przy tylnej straży, tak teraz przy pierwszej linii, widocznie zdawał się szukać śmierci. Stawał na gościńcu, po którym kule nieprzyjacielskie szły gęsto. Wyznam nawet, że towarzyszyć mu w sztabie zdawało mi się ciężko, bo daremnem narażaniem się. Z tego jednak szczęśliwa nadarzyła się okoliczność. Zaraz po przybyciu mojem do Villafranca, upoważniony od króla, zawiadomiłem oficerów polskich w Bolonii, że mogą znaleźć przyjęcie w pułkach piemonckich a najstarszego z nich, pułkownika Breań-

skiego wezwałem, by przybył do kwatery głównej, abym go mógł królowi przedstawić. Przedstawiłem go szefowi sztabu głównego, prosząc, by mi wolno było zatrzymać go przy sobie i przedstawić królowi. To wszakże nie nastąpiło. Breański w dawnym mundurze polskim, w furażerce, na jednym z moich koni, przebywał ciągle między oficerami sztabu, których liczba przy królu nie była nad kilkunastu. Oczywiście nie mógł ujść uwagi króla, a choć Karol Albert częstokroć w marszach, które zawsze na koniu odbywał, prowadził ze mną przeciągłe rozmowy o potrzebie bieżącej, nie nadmieniał nigdy o Breańskim. Stąd i ja nie ośmieliłem się narzucać go jemu. Pod Medyolanem na gościńcu staliśmy we dwóch tuż za królem, kiedy kula armatnia wskroś przeszyła konia pod Breańskim, a on się potoczył pod same kopyta królewskiego konia. Karol Albert wzruszony, widząc, że Breański staje na nogach, zapytał go w tych słowach: «Colonel, vous n'êtes pas blessé?» Rannym nie był a to mu posłużyło nietylko za prezentacyę, ale za przyjęcie do armii w stopniu pułkownika. Co więcej, król mu z własnej stajni kazał dać konia i przyłączył go do sztabu głównego.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Magenta, pod Medyolanem, na drodze do Nowary,
6 sierpnia 1848.

Smutny i bolesny mamy tu widok dogorywającego powstania wielkiej stolicy. Pisałem wczoraj, że król, idąc jedynie za rycerskiem natchnieniem, ale nie popartem przez odpowiednie uzdolnienie i charakter, postanowił bronić Medyolanu do upadłego. Komendanta inżynierów wyprawiono z Lodi dla obrania punktu, któryby się ufortyfikował. Nieprzyjaciel nie zostawił potrzebnego na to czasu i wojsko piemonckie, niedługi stawiwszy opór, opuściło stanowisko znajdujące się o milę naprzód Medyolanu, cofając się na wały tego miasta; zamiar bronienia ich się utwierdził.

Tymczasem liczne oznaki były oziębłości i strachu miasta. Mnóstwo obywateli wyjechało, a między nimi największa część oficerów gwardyi narodowej

Król trzymał się cały wieczór przy swoich działach w bardzo gorącym ogniu przed Porta Romana; następnie, odbywszy rekonesans na wałach, objął na swoją główną kwaterę Casa Greppi, jeden z najpiękniejszych pałaców Medyolanu. Tak dalece wszystko miało pozory wojenne i mieszkańcy, zrazu wystraszeni na myśl, że wnet będą własnym tylko siłom zostawieni, zabrali się do stawiania mnóstwa barykad i z wielkim zapałem pracowano nad zbudowaniem ich przez noc całą przy rozgłosie wszystkich dzwonów kościelnych. To bicie dzwonów, kto wie, mogło na umyśle Radeckiego zrobić wrażenie, że ludność mocno podburzona.

Tymczasem król, którego zamiary są zawsze raczej śmiałe i wielkoduszne, ale który zawsze chce się radzić i chce, aby obradowano nad jego planami, zwoływał radę wojenną. Na radzie, oczywiście, jak to zawsze bywa, górą poszły rady natchnione przezornością, a nie te, któreby były wytworzyły dla Medyolanu stanowisko rozpaczliwe, ale bardzo groźne. Postanowiono tedy, że Medyolan się podda pod pewnemi warunkami (kapitulacya); nad ranem 5 b. m. rozeszła się w mieście pogłoska, że wojsko cofnie się za Tessyn, po otrzymaniu, o ile podobna, jak najlepszych warunków dla miasta i mieszkańców. Istna rozpacz malowała się na twarzach, wszyscy liczyli na obronę, serca uzbroiły się w męstwo do ofiar potrzebne, ale o tyle bardziej były dalekie od tego, co się stawało niezwłocznem: powrót znienawidzonych Austryaków do Medyolanu i niewątpliwe a straszne ich zemsty. Jak się to niestety zbyt często zdarza, ludzie najzacniejsi, najbardziej nawet poświęceni sprawie wyzwolenia narodowego, nie umieli posłuchania otrzymać; zdawało się, że osłupieli. Wówczas to zastęp ludzi nieliczny, ale zwarty, obległszy królewską siedzibę, której zaledwie kilku karabinierów strzegło, otrzy-

mał, żeby deputacya, z ich grona wybrana, miała przystęp do króla. Wnet potem, król ukazał się na ganku pałacowym i kazał oznajmić dwustu czy trzystu osobom wrzeszczącym na ulicy, że brak amunicyi zmusił go po naradzie wojennej do zaniechania dalszej obrony miasta, któraby się przydać mogła tylko do zniszczenia go, tak jak i jego załogi. Ale, dodano jeszcze, że król, przekonawszy się teraz, że mieszkańcy chcą się bronić, wypowie zawieszenie broni, odmówi już zawartej kapitulacyi i wraz z wojskiem swojem przyłączy się do najdzielniejszej obrony.

Słowa te przyjęte zrazu z oklaskami, wnet się wydały niedostateczne. W rzeczy samej, trzeba było posłać nowych parlamentarzy do obozu nieprzyjacielskiego dla ostrzeżenia o zmianie zamiarów, a to wymagało czasu. Czas ten zużytkowało pospólstwo na wyrzekanie. Wielu mówców sprzeczne objawiało dążności; po trochu, nieznacznie rozprawy wpadły znowu na konieczność kapitulacyi dla braku amunicyi i na warunki, na jakichby ją zawrzeć trzeba. Jednakowoż, król i jego sztab zostawali w areszcie i król kilkakrotnie musiał się tłumowi pokazać na ganku, bo pospólstwo myślało czy też udawało, że myśli, iż król się wymknął. Błagano króla, by kazał ściągnąć jeden z pułków będących na wałach, by go oswobodzić. Nie chciał tego uczynić, by nie przyszło do wylewu krwi między Włochami — a jednak z godziny na godzinę, chociaż tłum raczej się zmniejszał, niż powiększał, to jednak coraz bardziej się podniecał i wzburzał krzykami o zdradzie i groźbami zemsty na samymże królu. Gdyby panującemu wystarczało dowieść, że jest nieskończenie cierpliwy i wyrozumiały, Karol Albert byłby temu zadość uczynił. Synowie jego pośród tłumu z doskonałą prostotą i godnością przyczyniali się do uspokojenia ludności. Wszyscy wiedzieli, że w boju widziano ich wśród najodważniejszych i najgorliwszych. To też ostatecznie otoczono ich uszanowaniem. Tak dzień ten cały zeszedł;

tymczasem podesta (burmistrz) i arcybiskup udali się do obozu nieprzyjacielskiego. Nic nie mówili o cofnięciu kapitulacyi, prosili tylko o niektóre ulgi i te otrzymali. Zdaje się, że marszałek Radecki nie palił się do rozpoczęcia nowej walki i to na ulicach Medyolanu. Nareszcie, gdy noc zapadła, zgiełk się zmniejszył i napastnicy dali się potrochu wyprowadzić z mieszkania królewskiego przez tych, których pod aresztem trzymali; nadszedł też nareszcie jakiś pułk piemoncki, kilka strzałów wymierzono w okna królewskie i cichość nastała. O północy król, konia dosiadłszy, udał się na wały. Ze świtem, wraz z wojskiem swojem, opuścił miasto w kierunku Nowary. Marszałek Radecki wkroczył do miasta w południe 6-go. Zostawiono mieszkańcom 48 godzin do opuszczenia miasta i Lombardyi swobodnie za wojskiem piemonckiem.

Wolno teraz każdemu rozprawiać nad tem, coby lepszem było dla sprawy włoskiej i dla samego króla, który obecnie prawnie jest uznany za króla północnych Włoch, czy ta kapitulacya, która ochrania Medyolan i rozbitki sardyńskiego wojska, które acz dość liczne co do liczby, ale bardzo upadłe na duchu, czy też zacięta, historyczna, wiekopomna obrona z jakimkolwiekby była skutkiem dla tych, co ją podjęli, ale któraby conajmniej zatrzymała nieprzyjaciela zwycięzcę, a przynajmniej rzuciła na przyszłość Włoch promyk nadziei, jaki zawsze wynika z bohaterskich wysiłków. Król Karol Albert był właśnie tym, który najwięcej mógł skorzystać na tej obronie, która w każdym razie była dla niego lepszą, jak smętna abdykacya, o której kilka już razy wspominał od chwili ostatnich porażek. Dla wojska znękanego i zniechęconego zbyt słusznem wrażeniem, że mu brak naczelnika, bronienie wałów lub dzielnic miasta z za murów i domów jest może jeszcze jedynym sposobem doprowadzenia go do walczenia z zapałem, którego, chwilowo, zdaje się, pozbawione. Medyolańczykom byłoby to też dało piękną sposobność zmazania grzesznej lekkomyśl-

ności z jaką, pod zasłoną wojska piemonckiego, pozostali w fatalnej nieczynności.

Witołd był znowu dnia 4-go w tęgim ogniu. Straciwszy swego kapitana, objął dowództwo kompanii, zdrów i tęgi, choć mu się przykrzy i tęskni do rodziców. Mnie w tej krótkiej kampanii kule nie witały, jak zwykle. Widać moja krew tylko na polskiej ziemi ma płynąć.

Zdrowi jesteśmy. Było trochę strachu o Stasia a nawet o nas samych, gdy się mieliśmy bronić w Medyolanie i w przypuszczeniu, że nas mogą pobrać w niewolę. Dzięki Bogu to nas minęło i wszystkich będących w Medyolanie naszych. Nie mogłem się dopytać, gdzie ustąpił Kamieński z kompanią, może do Szwajcaryi. Wojsko sardyńskie kieruje się teraz ku Vigevano na lewym brzegu Ticino.»

X. Witołd Czartoryski do Władysława Zamoyskiego:
«Przy moście Buffaloza, 8 sierpnia 1848.

Zmiłuj się, daj mi znać, co mam robić w tych trudnych okolicznościach. Jeżeli w Piemoncie króla zrzucą, nasza brygada gotowa połączyć się z Austryakami, żeby republikanów bić. Ja do tego wtrącać się nie mogę. Jestem bez grosza, bez bielizny, bez jedzenia, na warcie przy moście Buffaloza. Staraj się wydobyć mnie z tej biedy. Niema w wojsku ani rządu, ani porządku; wojsko kradnie, rabuje, jeść mu nie dają, żołnierze uciekają, jak mogą. Brzydko się to skończy!»

Władysław Zamoyski do x. Witołda Czartoryskiego:
«Vigevano, 8 sierpnia 1848.

Posyłam ci czterdzieści franków. Twój kolega, porucznik Lacroix, wywiązał się z danego mu przez ciebie zlecenia, pytając, czy możesz dać dymisyę. Proszę cię, nie dawaj nigdy takich zleceń do mnie, zwłaszcza też ustnie. Zmusiłeś mnie powiedzieć twemu koledze, że zapytanie to jest dziecinne, inaczej byłoby niecne. Albo

się pokój zawrze, natenczas wolno ci będzie wziąć dymisyę, albo wojna trwać będzie, a wtenczas dymisya staje się tem lichszą, im gorsze są koleje wojny. Doznałeś od króla uprzejmości i względów, kiedy był w szczęściu, dziś w nieszczęściu, winieneś mu okazać wdzięczność, a bardziej jeszcze winieneś własnej przyszłości, okazać się jędrnym i nieugiętym w złej doli, tak, jak jędrnym i odważnym w boju się okazałeś.»

Z dziennika W. Z.:

«10 sierpnia 1848. — Zawieszenie broni na czterdzieści pięć dni.

12 sierpnia 1848. — Sp(owiedź) i K(omunia) ze Stasiem. Staś wyjechał do Paryża.»

《Stanęło wprawdzie zawieszenie broni, nie było i być nie mogło mowy o zawarciu pokoju. Król Karol Albert czuł się pobitym, ale złamanym nie był jeszcze. A że sam przytem wyznawał własną nieudolność do kierowania wojną i brak jenerała, któremuby mógł kierunek wojny powierzyć, nadmieniłem w rozmowie, do której mnie często wzywał, o naszym jenerale Chrzanowskim.》

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Alexandrya, 19 sierpnia 1848.

Dziś widziałem króla. Oświadczył, że pragnie Chrzanowskiego dostać. Ofiarowałem samemu pojechać do Niemiec po niego. Król bardzo wojennie mówi; choć go febra napada i chinę zażywa, jest z całych Włoch najchętniejszy boju. Mówiłem mu otwarcie, błagałem, żeby pod żadnym pretekstem nie dał podpisu na akt jakikolwiek, pociągający za sobą zrzeczenie się praw nabytych do korony Włoch północnych. Nie wahałem się przekładać, że przyszłość jego domu przywiązana do dźwigania chorągwi Włoch i reprezentowania niepodległości włoskiej; że gdyby odstąpił tej sprawy, zarazby ją uchwycili republikanie i jego-

by wnet obalili. Zapewniał żwawo, że dotrwa, że niczego nie odstąpi, nie podpisze. Cieszył się nadzieją, że wojsko się pokrzepi i że będziemy znowu mieli piękne dni.

Tymczasem nowe ministeryum formuje się na zasadach nieco zimniejszych. Chcą wprawdzie wojsko dźwignąć, ale z finansami się rachują, uczucia powszechnego się radzą, a to uczucie chce spoczynku, o Włochy nie dba.

Błagałem gorąco króla, żeby się nie dał odwieść od biernego oporu (wobec) wszelkiej tranzakcyi finalnej. Ale bardzo się boję, żeby go znów nie wciągnęły rady — w błoto, jak pod Goito, w Medyolanie i tu jeszcze trzykrotnem żądaniem zawieszenia broni.

Cokolwiek tu mówię o Słowianach Austryi, nawet najbystrzejszym, jest dotąd jak groch o ścianę. Dziwna ślepota. Potrzebaby mi z Paryża przysłać jakiś o tem memoryał z faktami i liczbami do komunikowania, a nawet do wydrukowania tu po włosku. Ale zacząć trzeba od ABC, od liczb z Szafarzyka, ale poprawionych. Rzecz niepojęta, a strata niepowetowana, że mieli tu tych Słowian kilka tysięcy, a żadnej sobie przez nich propagandy nie zapewnili, choć i mówiłem i pisałem ostrzeżenie do samejże chwili wymiany jeńców.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 20 sierpnia 1848.

Przez noc tu przybyłem. Zastaję ministeryum sformowane. Jen. Fransini ministrem wojny. On to, pierwszy stanowczo uchwycił myśl sprowadzenia Chrzanowskiego. On z całej tu armii ma nieco pojęcia, on też najskromniejszym się od początku okazywał, radził powołać marszałka Bugeaud. Teraz, ufam, popierać będzie Chrzanowskiego szczerze. On wprawdzie nie wierzy dziś, aby się teraz wojna wznowiła, ale chce wszystko dźwignąć i postawić. On też jeden ma nieco uroku u wojska, tak iż mu się roi zostać wodzem naczelnym, jeżeliby Chrzanowski został szefem sztabu głównego, a natenczas

króla prosić, aby się od wojska oddalił. Ale król, chybaby abdykując, przystał na to. Lubi wojaczkę, polityki konstytucyjnej nie gustuje, woli ją ministrom zostawić. Aniby też tu nikt, prócz króla, nie utrzymał na linii bojowej wojska, które jest bez karności i tylko przez przywiązanie do króla wytrzymuje.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 27 sierpnia 1848.

Wuj mi za złe nie poczyta, że nie cofam tu propozycyi zrobionej Chrzanowskiemu i zostawiam jemu wybór między tutejszem zajęciem, a tem, co mu się może trafiać w Galicyi [1]). Prosiłbym o wskazanie mi, czy mogę naglić Chrzanowskiego, czy też mam to zostawić jego natchnieniu, w każdym razie nie zaszkodzi mu w oczach kraju takie wezwanie. Ale ośmielam się powtórzyć moje przekonanie, że Galicyi nie pilno jest zbroić się, a, blisko będąc, (Chrzanowski) może być wciągniony w przedwczesne dzieło. Naszą dziś rzeczą, wydaje mi się, nie wyprzedzać spraw innych, które wkoło nas dojrzewają, w tych zaś wszystkich sprawach mieć ludzi naszych do łączenia ich w jedną wielką sprawę. Przyszłość nasza wydaje mi się pewniejszą jak kiedykolwiek, ale pod warunkiem, że przed chwyceniem za broń, zadosyć uczynimy potrzebie politycznej, a mianowicie, że z jednej strony dojrzeją siły zewnętrzne, z nami naturalnie kojarzące się i porozumienie nasze z niemi, a z drugiej, że się urobią ludzie, jednostki, mogące w danej porze stanowcze zająć stanowiska w kraju naszym. Otóż mniemam, że skuteczniej kształcić się mogą w oddaleniu od kraju. Uderza mnie, jako przykład, urok we Francyi jenerałów algierskich, tu zaś tego montevideowskiego partyzanta, Garibaldi [2])

---

[1]) Dowództwo nad gwardyą narodową.

[2]) Józef Garibaldi (1807—1882). W 1845 stanął na czele partyzantów w Montevideo przeciwko Rozasowi, prezydentowi republiki argentyńskiej.

etc. Rzecz ta wreszcie sama się tłomaczy: dziś opinia publiczna nie zostawia w spokoju niczyjej dobrej sławy, kogo dosięga, najpewniej obala, aż nastąpi potrzeba człowieka, wtenczas ślepo któregokolwiek wynosi, a zwykle takiego, który najmniej podlegał jej sądom.»

Władysław Zamoyski do do x. Adama:

«Turyn, 29 sierpnia 1848.

Rzecz tedy dokonana. Wczoraj minister spraw zagranicznych (jen. Perrone), robił trudności na zasadzie potrzeby oszczędzania Moskwy, która z nienawiści ku Niemcom skłania się dziś ku Francyi a nawet ku Włochom. Minister wojny [1]) i współpracujący z nim jenerał Fransini, nie podzielając tych skrupułów, nie widząc pewności dostania znakomitego od Francyi jenerała, straciwszy już nadzieję dostania marszałka Bugeaud, wyprawili mnie do ministra spraw zagranicznych, abym z nim pomówił. W tym ministrze, ile z jednego spotkania sądzić można, znalazłem człowieka ciężkiego, a przez wielkie niedoświadczenie rzeczy dziś mu powierzonej, lękającego się. Nie upierał się przecież, gdym mu przekładał powody za powołaniem jen. Chrzanowskiego, — zapewniał o sympatyi. Słowem lichą mi dał o sobie miarę. Dziś rano minister wojny oznajmił mi, że natychmiast napisze do mnie, zawiadamiając, że, na mocy życzenia króla i postanowienia rady ministrów, poleca mi udać się do miejsca pobytu jenerała Chrzanowskiego i ofiarować mu w armii stopień jenerała dywizyi. Czekam tedy na tę ekspedycyę i zaraz z nią pojadę. Biorę z sobą kapitana Izbickiego. Zatrzymam się w Monachium [2]) a jego wyprawię dalej z listem szukać jenerała, bo nie wiem dokładnie, gdzie być może. Zdaje mi się, że gdy ostatnie zahaczenie, wzgląd na Rosyę, zostało

---

[1]) 21 sierpnia jenerała Fransini zastąpił jenerał Dabormida.

[2]) Przebywał tam ordynat Zamoyski z córką, Elizą Brzozowską.

przezwyciężone, jest w tem jeden argument więcej za przyjęciem tu służby. Można powiedzieć, iż bytnością naszą w służbie lub i ścisłym z rządami stosunkiem, robimy jakby zaciąg tych rządów przeciw Moskwie. Źle-by było zaniechać tego, gdzie się trafia.

30 sierpnia 1848. — Jeszcze z miejsca. I Wuj może szydzi ze mnie, że się tak długo próżną uwodzę nadzieją; wyznaję, że i ja dziś zaczynałem wątpić na dobre. Aż przecie doszła ta ekspedycya do jen. Chrzanowskiego i 2000 franków na jego podróż. Siadam więc i jadę. Proszę mi nie życzyć niepowodzenia u jen. Chrzanowskiego. Proszę owszem o list na poparcie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Monachium, 8 września 1848.

Jakże mi miło w listach Wuja czytać, że umieszczenie Chrzanowskiego, które Wuj niechętnie prawie zdawał się widzieć, dziś zupełne przyzwolenie jego zyskało. Niemniej mnie ucieszyło doniesienie o usposobieniu Chrzanowskiego do przyjęcia, nim jeszcze ostatecznie był powołany. Czekam tu jego przybycia, nie pilno mi go widzieć, owszem, gorzko pomnieć, że przyjdzie mi stąd po tak krótkiem odetchnieniu odjeżdżać. Trudno mi bowiem będzie puszczać go samego i nie być mu pomocą w pierwszych stanowczych chwilach, przynajmniej aż do ogłoszenia jego nominacyi, która póki nie nastąpi, może zawsze na jakąś natrafić zawadę, jak to było niegdyś ze Skrzyneckim [1]).»

Władysław Zamoyski do siostry, x. Leonowej Sapieżyny:

«Kaufbeuren, 15 września 1848.

Opuściłem dziś Monachium. Eliza poczciwa odwiozła mnie tu drogą żelazną. Za godzin kilka jadę dalej. Staś mi o Chrzanowskim niespodzianą a obiecującą przywiózł wiadomość. Spotkał go w kościele w Dreźnie, modlącego

---

[1]) W Belgii 1839 roku.

się w kątku na dwóch kolanach «jakby babka najpokorniejsza». Lat jeszcze kilka temu znałem go tak niereligijnym. Pobożność, niestety, nie zawsze zasłania od wielu przewinień, ale kiedy zajmie umysł wyższy, który, nim jeszcze dla Boga, chciał cnoty, pojmował ją i przestrzegał do pewnej przynajmniej miary z prostego tylko natchnienia i zdrowego sądu, natenczas prawdziwie godzi się spodziewać najpiękniejszych z niej skutków.

Piszę ci o tem, co mnie zajmuje, ale ty wiesz, co mnie boli. Choć od przybycia do Monachium wiedziałem, że niepodobna, żebyś tam zjechała, boli mnie przecie opuszczać to miejsce, gdzieśmy tyle szczęścia razem doznali, nie ujrzawszy w niem ciebie, jak wówczas, nie wpatrzywszy się w twoje oczy drogie, w których jakiś odblask oczu matki odkrywałem, nie wypocząwszy przy tobie, nie opatrzywszy się w nowy zapas miłych i drogich wspomnień do twardego i samotnego życia.»

VI

CHRZANOWSKI SZEFEM SZTABU. — NOWARA (24 MARCA)

WRZESIEŃ 1848 — CZERWIEC 1849

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 19 września 1848.

Stanęliśmy tu szczęśliwie dziś w nocy z Chrzanowskim. Oczekiwali nas z upragnieniem, niektóre nawet decyzye zawieszali, żeby je poddać sądowi jenerała. Gdy dziś mówiłem jen. Fransini o potrzebie spiesznego umieszczenia nominacyi Chrzanowskiego w gazecie urzędowej, odrzekł: «Sądzę, że ministrom spieszno będzie popisać się z tą nominacyą przed publicznością». — Chrzanowski teraz w dobrem bardzo usposobieniu. Już w Dreźnie znalazł słusznem zastrzeżenie umieszczone w liście ministra do niego, że w razie przybycia jen. francuskiego na naczelnego wodza, podlegać mu będzie musiał dla względów politycznych. Dziś gdym go przygotowywał, żeby nie robił warunków w przyjęciu stopnia a zaufał, że wkrótce przyjdzie tu do takiego znaczenia na jakie zasługuje i do funkcyi, które lepiej od innych pełnić potrafi, zgadzał się w tem ze mną zupełnie.

Dobra się tymczasem rzecz zrobiła. Minister postanowił i ogłosił w rozkazie dotyczącym się reorganizacyi Lombardów, że przy nich istniejący oddział Polaków ma

zachować osobną organizacyę [1]). Wprawdzie potem minister, jak to cudzoziemcy wiecznie robią, nie poradziwszy się znanych mu już Polaków, dał rozkaz ppułk. Siodołkiewiczowi zająć się tą formacyą, jako najstarszemu po Kamieńskim [2]), ale wnet się pomiarkował, że zbłądził i już przed kilku dniami rzekł: no, to jen. Chrzanowski naprawi.

Zawieszenie broni, choć upływa, trwać już przez to samo dalej będzie, że na osiem dni przed wznowieniem kroków wojennych wypowiedzianem być ma. Radecki miał też oświadczyć, nie wiem komu, że on pewno nie zaczepi. Może i tak zrobi, ale szalony, kto się na to spuści.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 20 września 1848.

Wczorajsza rozmowa z ministrem zaniepokoiła mnie. Chciał koniecznie dać Chrzanowskiemu komendę dywizyi lombardzkiej [3]). Jenerał znalazł się wybornie. Wyszedłszy, żądał odemnie świadectwa, że sprawił się jak panna, że pazurów nie pokazał, że we wszystkiem, co mówił, żadnej osobistej nie okazał drażliwości ani pretensyi, a samym tylko interesem kraju i armii zbijał i przekonywał ministra. Skutek też był wyborny. Myśl dywizyi lombardzkiej zarzucono. Zgodnie, obszernie tłomaczono się wzajemnie i postanowiono, że jenerał, do przybycia jen. francuskiego albo do zarzucenia tej nadziei, zostawać będzie przy królu lub przy ministrze, że zaraz objedzie gra-

[1]) 16 września, podczas gdy Zamoyski z Chrzanowskim byli w drodze z Monachium do Turynu, minister wojny, jen. Dabormida, oznajmił ppułk. Siodołkiewiczowi, że rząd ma zamiar rozwinąć zawiązek legii do 1-go batalionu piechoty z 600 ludzi i szwadronu jazdy ze 120 ludzi.

[2]) Który wówczas leczył się z ran, odniesionych w walce z Austryakami.

[3]) Najgorszej z całego wojska.

nicę i dywizye, słowem, będzie radą i pomocą. Ja ciągle nalegałem na nominacyę; jako swat żądałem wprzód ślubu, reszta się sama zrobi.»

Jen. Ramorino do Władysława Zamoyskiego:

«Turyn, 20 września 1848.

Dowiaduję się, kochany Pułkowniku, o twoim powrocie i o spełnieniu twojej misyi. Powstrzymam się od wszelkich uwag o przykrości, jakiej doznać muszą patryoci tutejszego narodu, na zdumiewającą wieść o przyjęciu jenerała cudzoziemca do służby w kraju, w którym znajduje się Ramorino bezczynny. Powstrzymuję się dlatego, że mam przekonanie, iż, jak lanca Achilesa, goisz z jednej strony ranę, którą zadajesz z drugiej. Liczę tedy, że życzliwość, jaką dla mnie masz, a skądinąd delikatność jenerała polskiego, którego przedstawiasz, sprawią, że będziecie obaj starali się, ażeby nasze nominacye były równoczesne. Dziś wieczór będzie narada nad wyborem naczelnika Lombardów. Natrzyj więc na króla i na ministrów, jeśli chcesz mi się przysłużyć[1]).»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 23 września 1848.

Milczenie Wuja niepokoi mnie, domyślam się, że pierwsze zimna czuć mu się dają, jak to bywało, bo Wuj zapomina o potrzebnem odzieniu, a Johann, Boże mu przepuść, bo ja nie mogę, kanalia, nie pilnuje tego, co nadewszystko powinien. Dziś na zdrowie niech służą dobre o nas tu wiadomości. Przyjęcie jen. Chrzanowskiego wyborne. Wczoraj był przedstawiony rano przez ministra wojny królowi, a tegoż dnia popołudniu do poufałej rozmowy przez króla wezwany. Jenerał z króla kontent,

---

[1]) Zanim Zamoyski zdołał się namyślić nad tem żądaniem, Ramorino otrzymał bez jego wstawiennictwa dowództwo, o które się ubiegał na swoje i Włoch nieszczęście.

poznaje w nim, jak i ja, chęć dobrą i śmiałość, skoro mu się do niej wskaże drogę. Wołał i mnie (król) wczoraj do siebie, by mi podziękować i wszedł w rozmowę najlepszą.

Karol Albert brzydzi się i cały wzdryga na wspomnienie o francuskim jenerale, którego mu narzucają właśni słudzy. Biedny, chorobą żółciową i zawziętością druków znękany, budzi się rzeźwo na przypuszczenie, że z Chrzanowskim wznowi rzecz.

A co na «wety» dodaję, za pierwszej bytności u króla z ministrem Chrzanowski potrafił w dwóch słowach skłonić Karola Alberta do postanowienia, że legia ma być podniesiona do dwóch batalionów oprócz jazdy, że Siodołkiewicz ma być usunięty, a Breańskiemu formacya ta powierzona [1]). I sam Chrzanowski do tego się przyczynił i pyszny z tego w duszy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 26 września 1848.

Dziś rano spotkałem ministra francuskiego na ulicy. Odrazu uderzył na mnie temi słowy: «Dowiaduję się, żeś otrzymał tu upoważnienie formowania legii polskiej». Mnie osobiście za to chciał robić odpowiedzialnym. Mimo

---

[1]) W tej sprawie Zamoyski pisał do min. wojny (20 września 1848): «Pułk. Breański nie chciałby zabrać stanowiska pułk. Kamieńskiemu, który je otrzymał od rządu medyolańskiego i który dziś zwolna wraca do zdrowia po otrzymanej ranie. Pozwalam sobie tedy przedłożyć W. Excelencyi następujący projekt: Pozostawić pułk. Kamieńskiemu dowództwo nad piechotą, usunąć Siodołkiewicza, dając mu do zrozumienia, że minister był co do niego w błąd wprowadzony, przyłączyć legię do pułku lombardzkiego, składającego się z dwóch batalionów dla utworzenia brygady, dać tę brygadę pod rozkazy pułk. Breańskiego i wyraźnie jego dowódcą mianować. Tym sposobem da mu się możność zużytkowania na szerszą stopę doświadczenia i znakomitej zdolności dowodzenia wojskiem. Przyłączyć brygadę do jednej z dywizyi piemonckich. Mianować odrazu majora Izbickiego dowódcą tymczasowym oddziału polskiego; ten krok jest naglący.»

że oświadczał swą życzliwość dla Polski i przypomniał, że był jednym z założycieli Towarzystwa Demokratycznego i dziennika Demokrata polski, nazwał postanowienie rządu piemonckiego szaleństwem. Mówił: «Legia zagraniczna, jak nasza w Afryce, to co innego, ale legia polska tu, gdy Francya uznała, że ona jej tworzyć nie może, bo ściągnęłaby na siebie wojnę z całą Europą, to nie do darowania. Państwa pośredniczące[1]) tego nie zniosą. Odrzekłem, że nie ja otrzymałem tę formacyę, że przeciwnie odmówiono mi jej i tutaj i przy kwaterze głównej, ale że przez ten czas rząd tymczasowy lombardzki zgodził się na utworzenie legii, a rząd piemoncki, przejmując szczątki wojska lombardzkiego, przejął i ten oddział. Że to postanowienie, któremu jako Polak mogę tylko przyklasnąć i które odpowiada moim poprzednim staraniom, powzięte zostało 16 b. m., gdy ja wróciłem z Niemiec 19. Tak sprostowawszy bieg wypadków, zacząłem mówić o samejże sprawie. A że wywodził, ile szkody zadałby pośrednictwu państw gniew Rosyi, legią wywołany i to wszystko bardzo żywo, — pobudził mnie do zapytania go, jaką on właściwie ma tu politykę przedstawiać, czy Ludwika Filipa i p. Guizot? Było to trochę ostro, przyznaję; wywołało odpowiedź żywą, a zarazem wyłożenie zasad politycznych, które, miło mi wyznać, są naraz szlachetne i roztropne. To też porozumieliśmy się wnet co do ogólnych zapatrywań. Dodał zresztą, że mimo wzruszenia, jakie mu sprawiła wiadomość o legii, ograniczył się w depeszy do Paryża do podania faktu bez jakichkolwiek komentarzy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 27 września 1848.

Nie zdążyłem obszerniej donieść o owej rozmowie z ministrem francuskim, która była jedna z najostrzejszych,

---

[1]) Anglia i Francya.

jakie mi się zdarzyły kiedykolwiek, nie mówię z publicznemi ale i z prywatnemi osobami. Na wstępie formalnieśmy się bili na słowa. Wszystko jednak najłagodniej i przy wzajemnem przeproszeniu zakończone. Dziś zastałem ministra wojny z ministrem spraw zagranicznych, a skoro ostatni odszedł, dowiedziałem się, że przynosił notę posła angielskiego na sześciu stronach, wywodzącą szkody, jakie wynikną z formacyi legii polskiej. Od francuskiego nic podobnego nie było, wczoraj zaś na wstępie mówił mi: «poseł angielski i ja protestować będziemy». Minister był zwarzony. Jednak jego odpowiedź była godna. Oddał koledze swemu list swój pisany do komendanta tymczasowego legii z uwiadomieniem, że ma się ta legia dalej formować z piechoty i jazdy, a dodał, że jeżeli rada ministrów uzna, że krok ten kompromituje sprawę medyacyi, postanowienie cofniętem być może, ale że on musi przytem urząd złożyć. Teraz potrzeba, aby Wuj natarł żywo na p. Bastide [1]), żeby się tu Francya nie plamiła przeszkadzaniem tej rzeczy. Prócz tego trzeba, żeby Wuj spiesznie napisał do Palmerstona i posłał mu przy własnych uwagach list Chrzanowskiego tu dołączony. Stuart niech sprężyny wstydu, ile się da, poruszy.»

Paweł Bielski [2]) do Władysława Zamoyskiego:

«Vercelli [3]), 2 października 1848.

Już trzeci miesiąc jestem w legionie, zawiązanym przez Mickiewicza. Wszedłem do legionu na prostego żołnierza i dotąd nim jestem. Wszelkie trudy i ofiary niczemby dla mnie i dla nas wszystkich były, gdybyśmy widzieli, że jedyna może okoliczność utworzenia zastępu narodowego skrzywioną i chybioną nie zostanie. Ta to obawa skłania mnie do udania się do pułkownika i przed-

---

[1]) Ministra spraw zagranicznych po Lamartinie.

[2]) Były oficer 4 p. ułanów.

[3]) Kwatera główna legionu.

stawienia mu położenia naszego, abyś czuwał nad tym zawiązkiem siły narodowej i, jak dobry doktór chorego, nas od śmierci cywilnej uwolnił.

Ci wszyscy, którzy dążyli do Włoch, szli z tą chęcią, aby służyć li tylko wojskowo po za obrębem wszelkiej emigracyjnej partyi politycznej. Naczelnik Mickiewicz najsolenniej to przyrzekł. Tymczasem przez cały ciąg egzystencyi legionu, towiańszczyzna jak zły duch zawsze i wszędzie przebijała się i panować usiłowała. Reprezentowana w legionie przez dziesięciu najwyżej młokosów z niesłychaną bezczelnością ścierała się ciągle z resztą legionu, ufna w skrytą siłę, której jej naczelnik nie odmawiał. Pułk. Kamieński, obok niezaprzeczonych zasług, jakie sprawie oddał, słusznie jest oskarżony o skryte sprzyjanie i dodawanie otuchy tym stronniczym dążnościom. Dziś, kiedy władza cała dostała się w ręce pułk. Siodołkiewicza, taż sama klika opanowała daleko silniej słabego dowódcę. Oficerowie prawie żadnego nie mają wpływu, a żołnierze starzy codziennie poniewierani i obrażani.

Towiańczycy czyli duchy tak byli już uzuchwaleni, że otwarcie chcieli reformować legion i robić doświadczenia swoich socyalnych teoryi. Do rozpaczy przywiedzeni, chcieliśmy udać się do jen. Olivierego, aby mu rzecz całą przedstawić. Przestraszone duchy zażądały pojednania. Nastąpiła zgoda, ale wątpię, aby była szczera, bo stanowisko stron w niczem się nie zmieniło, tylko zamiast otwartej wojny nastąpiła obłudna polityka. Siodołkiewicz, uwiadomiony przez donosicieli o liście pisanym do Breańskiego, nie może nam tego kroku darować, a ja za redakcyę tego listu okrzyczanym za Czartoryszczyka i dlatego, żem o tem miał zdanie, żeby się połączyć i udawać wszędzie, gdzie dla sprawy pomoc uzyskać można. Siodołkiewicz przyczynia się do tego, że stare wiarusy się rozchodzą. Nie zraża to duchów, bo ich ulubionym aksyomatem jest, że dopiero będzie dobrze w legionie, gdy starzy go opuszczą. Tymczasem dotąd mło-

dych nie widać. Mickiewicz z Paryża bardzo pomyślne zwiastuje wieści, ale my o tem z ustnych podań tylko wiemy. Gdyby nawet Mickiewicz potrafił ludzi przysłać, to i w takim razie formacya legionu nie nastąpi, albo w nieodpowiedni celowi sposób dokonaną zostanie, jeśli się w czysto militarnym duchu nie wykona. Dlatego też z prawdziwą radością wyczytaliśmy zwiastowaną nam nadzieję, że pułk. Breański zbliży się do nas. Na miłość boską zaklinam Pułkownika, czuwaj nad nami i ratuj nas.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 3 października 1848.

Wszystko co (dla legii) otrzymać zdołałem jest, że ministeryum tutejsze czekać będzie z Paryża i Londynu wiadomości o zdaniu samychże rządów medyacyjnych w tym względzie. Ale nie od obcych główne zagrożenie legii. Groźniejsze bez porównania dla tej formacyi usposobienie niektórych jej dotychczasowych członków którzy się gotują protestować przeciwko temu, co im nadać ma cechę wojska regularnego. Jest w niektórych członkach legii, może w większości, a choćby we wszystkich, usposobienie naturalne do szanowania powagi p. Mickiewicza, któremu niezaprzeczenie winniśmy zdobycie dla polskiego orła tego jakkolwiek szczupłego dotąd stanowiska. To usposobienie w głębi serca sprawiedliwe głośno i w sposób niejako urzędowy objawiać się tutaj nie powinno. Trzeba, żeby to p. Mickiewicz dla ocalenia własnego dzieła zrozumiał i sam pospieszył z uciszeniem takich objawów. P. Mickiewiczowi zostanie zasługa i sława tego utworu, ale pod warunkiem, że, jako niewojskowy, będzie umiał dalsze wykształcenie i jakby wychowanie tego dziecka swego wojennego powierzyć i zostawić wojennym rękom i osobom. Inaczej stałby się jak matka, co, chcąc w obozie zachować władzę nad synem, zrobiłaby syna tego krnąbrnym dla siebie albo dla władzy właściwej. Gdy pomnę, jak mi o tem p. Alexander Chodźko mówił, kiedy

mnie od p. Mickiewicza zapraszał do objęcia, jak się wyrażał, komendy nad legią, nie mogę przypuścić, aby p. Mickiewicz chciał wytknięty wyżej błąd popełnić. Pamiętam, jak p. Chodźko i sam p. Mickiewicz nieraz dawniej mówił mi o potrzebie wojennego ducha, karności, ścisłości służby etc. Dziś tedy dla p. Mickiewicza pora okazać takie usposobienie przez użycie wpływu swego na skłonienie naszych dotychczasowych legionistów do przyjęcia nadal organizacyi, której im brakło dotąd, a dla braku której legia nie rosła, ludzie owszem z niej rozeszli się w większej połowie, nie dostawszy, prócz pułk. Kamieńskiego, żadnego oficera, którýby ich czego nauczyć i zaufanie w nich obudzić potrafił. Bez organizacyi takiej, jaką im przepisze minister wojny, legia nie przyjdzie do pożądanego rozszerzenia co do liczby i broni. Nie zdaje mi się, aby legioniści wstręt mieli do osoby pułk. Breańskiego, wstręt ich jest do przyjęcia dowódcy od ministra wojny, któremu przecież odtąd stale podlegać będą. Chęcią ich jest, jak się wyrażają w załączonej do pułk. Breańskiego odezwie, żeby p. Mickiewicz im dowódcę mianował, bo w nim jednym władzę prawą nad sobą widzą. Otóż dla p. Mickiewicza pole poraz drugi stanowczo się legii przysłużyć. Jak pierwszy onej formacyę zyskał, tak dziś istnienie jej jednem słowem utwierdzić może, zaleceniem karności dla jèdynej w wojsku władzy prawej, dla dowódcy, jakiego im władza najwyższa wojskowa naznaczy.

Jutro z jen. Chrzanowskim jadę nad granicę na jaki tydzień. Chrzanowski ogromnie się na lepsze odmienił, odkąd miałem sposobność patrzenia zblizka na niego. Jest zarazem daleko mniej o siebie drażliwy, a daleko więcej o cudzą miłość własną dbały. Miłe z nim bardzo pożycie.»

«Nim wezwany został Chrzanowski, udawał się rząd piemoncki do jenerałów francuskich, między innymi

do marszałka Bugeaud, jen. Changarnier[1]) i jen. dywizyi, Bedeau[2]). Ofiarowano im grube pieniądze na wstępie, gdyby przyjęli służbę. Rząd rzeczypospolitej francuskiej nie pozwolił żadnemu przyjąć tego stanowiska[3]). Minister wojny pod tem wrażeniem zapytał mnie, ileby należało jen. Chrzanowskiemu ofiarować. Podjąłem się jenerała zapytać. Chrzanowski całe życie w rzeczy pieniężnej ścisły i sumienny, okazał wielką niechęć do jakiegokolwiek wynagrodzenia. «Niech mi dadzą», rzekł, «o czem kupić cztery konie i mundur sprawić, więcej nie potrzebuję.» Uradowany tą szlachetnością, opowiedziałem mu o złożonym w moje ręce funduszu przez Branickiego i rzekłem: «Z tego źródła, jenerale, weź ile ci potrzeba.» Zażądał 5000 fr. i więcej odemnie nie zapotrzebował; ministrowi zaś oświadczyć kazał, że na teraz pieniędzy nie potrzebuje.

Chrzanowski zapytał mnie, jaką czynność i jakie miejsce w służbie piemonckiej zajmować pragnę. Prosiłem, aby mnie zostawił przy sobie i dał sposobność patrzenia na swe czynności i podzielania ich. Wkrótce potem (4 października) minister polecił mu objechać całe wojsko nad granicą rozłożone. Chrzanowski zaprosił mnie do towarzyszenia mu w tej podróży. Miałem przeto sposobność objechania z nim całej okolicy nad Tessynem od Lago Maggiore do Po.»

---

[1]) Nicolas Changarnier (1793—1877), od 1830 służył wojskowo w Algieryi, w 1848 dowodził garnizonem paryskim i gwardyą narodową; za drugiego cesarstwa żył na wygnaniu.

[2]) Marie Alphonse Bedeau (1808—1863).

[3]) Odmowa tem dziwniejsza, że za Ludwika Filipa ciż sami ludzie, jako członkowie opozycyi nie przestawali domagać się od rządu pomocy zbrojnej dla Włoch. X. Adam tak ich postępowanie tłomaczy (22 września 1848): «Rząd tutejszy boi się wszystkiego a nad wszystkiem wojny, więc chętnieby się zbliżył do potężnych i nie chce niczem tego zbliżenia utrudniać, słabych zaś przyjaciół traktuje bardzo źle, czego i my doznajemy. Nigdy za Ludwika Filipa Polacy i ich sprawa nie były oziębłej traktowane i bardziej zapomniane.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Alexandrya, 5 października 1848.

Rozkaz ministra wojny brzmiał tak: «Rozpoznać granicę wschodnią Piemontu, wybrać pozycyę i powziąć wszystkie potrzebne wskazówki do planu operacyi wojennych czy to obronnych, czy zaczepnych.» Co Wuj na te ostatnie słowo powie? To już odgłos planu przez Chrzanowskiego podanego.

Przybyliśmy tu wczoraj, jutro jedziemy ku Piacenzy, potem ponad Tessynem do Nowary, do Casale i napowrót do Turynu.»

《W tej podróży Chrzanowski od wszystkich przyjmowany był uprzejmie, chociaż w wojsku niemal całem ta wojna nie miała miru. Byli wprawdzie rozproszeni po wszystkich korpusach i pułkach gorętsi niby patryoci o tyle tylko przypuszczający niepowodzenie, o ileby nie dopisały warstwy wyższe, które zwano «codini», jakby u nas powiedziano ospali, nie chcący jakoby dostatków swoich narażać, ale ci patryoci stanowili nieznaczną, chociaż bardzo namiętną mniejszość. U niej Mazzini był ideałem a Karol Albert zdrajcą. Tymczasem Karol Albert sam w znacznej części, o ile szło o ojczyznę włoską, podzielał ich nastrój, jeżeli nie namiętności. Powiadał mnie samemu w poufnych rozmowach, że z dwojga jedno nastąpi, albo mu rzeczpospolita francuska w pomoc przyjdzie, albo sam do ostateczności doprowadzony bez wahania przywdzieje republikańską czapkę i przywoła do siebie włoskich republikanów.

Chrzanowski w ciągu tego objazdu szczególną zwrócił uwagę na pole pod Nowarą, to właśnie, na którem sześć miesięcy później staczał z nieprzyjacielem stanowczą, a dla siebie chlubną, choć przegraną bitwę.》

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:
«Oceanowy brzeg, 1848, 12 Oktobra.

Mój drogi Władysławie. ... Dowiaduję się, że poseł francuski i angielski w Turynie zanieśli protestacyę przeciw legii. Oto zdarzenie! Innych Polska nie napotyka; albo twardością skalistą obcych, albo szałem i głupstwem własnych wiecznie się rozbija i krwawi. W stanie węgierskich w tej chwili ruchów, lękam się bardzo, by Galicyę nie podmówiła do powstania, zatem do rzezi, centralizacya, która jest zawsze odciągnięciem Polski od środka mądrości i prawości, do którego ciężą dzieje świata z woli bożej! — w tej chwili ogromnie się o to lękam. Xiążę podobno był u Bastyda, który mu się tłomaczył, — jak zwykle wszyscy ministrowie, czy Guizoty, czy Bastydy, bo (to) wszystko jedno, — że poseł rzeczypospolitej bez jego wiedzy wraz z swoim kolegą, Brytanem, zaprotestował przeciwko tobie.

Bardzom rad temu, że zacny Breański dostał stanowisko takie. Lecz czy się utrzyma? Mojem zdaniem, jedna tylko rzecz do roboty: frazes legia polska wygluzować, a samą treść jej, to jest korpus z naszych złożony, w służbie włoskiej utrzymać. Gdy zginie nazwa, dyplomacya będzie spokojną. Poświęcić nazwę istocie rzeczy, to wiecznem prawem wszelkiej praktyki; gdy istota rzeczy nabierze mocy i jedności, to nazwa sama z siebie nazad zabrzmi i głośniej, niż wprzód!

Towiański wypuszczony, chodzi po ulicach Babilonu, ma jednak wkrótce się z nich wydalić z porady władz francuskich. Dnia jego wypustu w św. Sewerynie ks. Duński mszę celebrował, a Różycki komunikował. Wierz mi, że z tymi się ludźmi nie skończyło, to nasi Blankowie, Caussydiery itd., a z przybraniem mahometańskiego fanatyzmu. Gdzie tylko będzie dezorganizacya, tam oni się zaraz objawią, jak one robaki, co niczem w ciele zdrowem a żywem, co wszystkiem w trupie!

Pius IX nic nie uczynił, obietnicy nie dotrzymał!!! Bóg cię strzeż, drogi Władysławie, i zachowaj na dzień

wielkiej walki, walki, co rozstrzygnie naszemi losy! Tego dnia będziemy razem. Twój z Babnina.

Lękam się i tego, by na czas jakiś nie podzieliły między siebie świata: Francya, wrócona do sił rządowych i Moskwa z nich niezbita. To było niegdyś ideą napoleońską. Pierwsza Francya wróci do zmysłów z całej Europy, którą pchnęła w ich utratę. Niemcy i Włochy będą leżały zemdlone anarchią na ziemi, a Francya na równe nogi stanie i poda rękę Moskwie!!! Zobaczysz!»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Oceanowy brzeg, 1848, 14 października.

Mój drogi! Pisałem do ciebie zawczoraj na ręce twej siostry, Elizy. Dziś tylko piszę, by cię ostrzedz o szkaradnej podłości szkaradnie podłych ludzi, wymierzonej przeciwko tobie i jen. Chrzanowskiemu. Zawczoraj był I. B. O.(strowski) w księgarni polskiej i chwalił się, że Rybiński, on i inni oficerowie, — partya cała zapewnie ostatniego wodza naczelnego, — ułożyli i podpisali oświadczenie do króla sardyńskiego i wyprawili, w którem mu donoszą, że ty i Chrzanowski jesteście zdrajcami i to w imieniu wojska oni czynią. Naturalnie, że mnie nie o was tu chodzi, bo król was zna i Polska i świat, ale chodzi mi o świniących się Polaków, chodzi o wrażenie wywarte na królu i Włochach, chodzi o to, by Polski nie dotknął żaden obryzg błota tego, z którego ulepione dusze tych, co ten manifest napisali. Zatem, drogi, sądziłem, że jak najrychlej powinienem cię ostrzedz, byś wiedział, że taka infamia jest w kancelaryi królewskiej. Proszę cię, nikomu nie wspominaj, żem pisał do ciebie. Ludzie paplą, a z paplarstwa nigdy nic dobrego.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

Z Paryża, 16 i 19 października 1848.

«Zdaje się, że centralizacya wspólnie z Rybińskim potrafiła zebrać do czterdziestu podpisów na protestacyi

Mówiono o tem Masłowskiemu i Święcickiemu, którzy się bardzo na to oburzyli. Jen. Dembiński bardzo jest i zgryziony i oburzony taką infamią i głupotą. Wszyscy mówią o tem z oburzeniem. Niechże podobny bezczelny postępek stupidusów naszych, przeciwny honorowi żołnierskiemu i przeciwny patryotyzmowi i powodzeniu sprawy krajowej, nie uczyni na królu i ministrach żadnego wrażenia, prócz wzgardy i odrazy. Trzebaby uprzedzić króla, że gałgany i głupce są w każdym kraju, że we Włoszech ich nie brak, niech się więc nie dziwuje, iż na zasługę powstają i niech nie ma przez to zbyt złej opinii o narodzie. Nie do odżałowania szkoda, że nie można było posyłać do Włoch emigranckiej młodzieży. Ta młodzież przyszła dobra, rozsądna, chętna, ale już ją popsuli. Demokraci odchęcają od służby w legii włoskiej: «Krew polska dla Polski potrzebna, nie powinna dla królów płynąć!!»

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 20 października 1848.

Widziałem dziś rano Palmerstona, powiedział mi, że rząd angielski nic nie uczynił, żeby króla sardyńskiego odwieść od legii polskiej, że sprzeciw p. Abercromby dotyczył tylko sposobu uorganizowania legii, na zupełnie odrębnej stopie z polskim mundurem i polskim sztandarem, że p. Abercromby uwagi swoje robił z własnego tylko natchnienia, ale że go za to pochwalił. Powiedział, że w ostatniej wojnie i w innych okolicznościach Anglia miała w swej służbie wojska różnych narodowości, oddziały francuskie, niemieckie, ale je zawsze nazywano od nazwiska dowódcy i nosiły angielski mundur; sądzi, iż tak samo powinno być z Polakami w służbie sardyńskiej[1]. Napisał do p. Abercromby, że polska legia z polskimi oficerami mogłaby oddać wielkie przysługi, że możnaby jej dać jakieś polskie odznaki, ale nazywać ją legią polską byłoby niemądrze, bo wywołałoby gniew Austryaków i Mo-

skali. Powiedziałem, że w takim razie jego zastrzeżenie odnosi się do formy, a nie do istoty rzeczy. Odpowiedział: «Quite so.» (W zupełności.) Powiedział także, że pisał do rządu sardyńskiego, silnie namawiając, by użyli Chrzanowskiego, co też uczynili, że Chrzanowski, objechawszy wojsko, znalazł je w złym stanie i nie przypuszcza, aby mogło przed trzema lub czterema miesiącami z korzyścią wystąpić do boju.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«23 października 1848.

Mickiewicz nie odpisał, był na wsi, dziś przyszedł, zawsze jak najmocniej uprzedzony przeciw tobie, zadaje ci, żeś chciał szkodzić legii różnemi intrygami, że wam o to tylko idzie, żeby mieć rangi, a wcale nie o chorągiew narodową, że się nie godzi narzucać komendanta i oficerów legii, która po tylu trudach dostąpiła do swego celu przez biedy i poświęcenia wielkie, że ci oficerowie, nic nie zrobiwszy, i dobrze sobie płatni, nie mają w tej mierze żadnych zalet, że chcą teraz zuchwale im rozkazywać, że jeżeli przyjdą koniecznie, to będą bagnetami wyrzuceni itp., że to rzecz partyi, że ty nikogo nie chcesz, coby nie był z partyi Trzeciego Maja, że się tak Polsce nie służy, że teraz rzeczy inaczej się robią, jak za Metternicha i Filipa, których ubóstwiasz, że idąc za dawną metodą i szeptami dyplomatycznemi możesz wiele popsuć, ale stworzyć nic nie potrafisz, że sumienie własne będzie to nam wyrzucać, że dla pedantyzmu naszego i własnych widoków, stracimy rzecz tak ważną dla kraju, jak uformowanie siły, któraby mogła w razie potrzeby być niepodległą i na swoje conto działać, że żałuje, iż nie dostał klucza szambelańskiego od x. de Monaco, bobyśmy go wtedy więcej posłuchali itd. Cóż z tem zrobić? Ja się boję wielkiego zgorszenia, któregoby uniknąć trzeba. Mickiewicz powiada, że na wszystko ma dowody, twoje listy, twoje cyrkularze, które mają dowodzić, że

chciałeś psuć legię, odwodzić od niej, a do siebie pociągać. Będzie on pewnie rozpuszony na mnie po ostatniej rozmowie, będzie pioruny ciskał na nasz paskudny pedantyzm, płaskość, cele osobiste i będzie słuchany, już mam tego przykre dowody.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 24 października 1848.

Nominacya jen. Bava na wodza[1]), a Chrzanowskiego na szefa sztabu wyszła wczoraj w gazecie urzędowej. Onegdaj po obiedzie król, który dopieroco był podpisał ten dekret, rzekł do ucha jenerałowi: «Nous resterons ensemble, nous en causerons ailleurs un autre jour». (Pozostaniemy razem, pomówimy o tem gdzieindziej innego dnia). Król ma Bavę za swego najpoddańszego sługę dworskiego. Ekwipaże swoje polowe uzupełnia i zamierza w danej porze przenieść się do obozu, tam zaś Bavę zupełnie zneutralizować i roi sobie, że to wystarczy. I ministrowie nie widzą, że komenda w taki sposób zneutralizowana niezdolna wrócić wojsku tego, czego mu najbardziej nie dostaje, to jest ducha wojskowego i karności. Chrzanowski jest bardzo niekontent, przecież na teraz opierać się nie zamierza, będzie próbował, il ne veut pas être plus royaliste que le roi (nie chce być bardziej monarchistą, niż sam król).

Jen. Bava, widząc, że odmówienie Chrzanowskiego pociąga za sobą niepodobieństwo mianowania go, pisał z Alexandryi, gdzie był dotąd gubernatorem, list zapowiadający lepsze obejście z Chrzanowskim, niż to okazał w dwóch radach wojennych. Chrzanowski dziś rano ostrzegł ministra, że próbować będzie i chce o przeszłości zapomnieć, ale że cierpliwość jego nie ma być nadal próbowana, że za doznaniem przykrości, któreby robiły po-

---

[1]) Ministrowie, przeciwni wojnie, skłonili króla do złożenia naczelnego dowództwa w ręce jen. Bavy.

łożenie jego nieznośnem i niepożytecznem zamawia sobie złożenie swego urzędu. Toż samo kazał królowi dziś powiedzieć przez adjutanta tegoż, byłego wodza armii rzymskiej, jen. Durando. Ministrowi wojny powiedział dzisiaj, że kładzie jeden warunek zezwoleniu swojemu, ostateczne postanowienie legii polskiej. Przekładał, że z Paryża i Londynu odebrane wiadomości okazują zupełną na to obojętność tych dwóch gabinetów, że przeto prosi ministra, aby rzecz tę przedstawił kolegom swoim. Minister obiecał.

Już to pisałem, ale miło powtórzyć, że wszystkie tu postępki Chrzanowskiego w drażliwych już nieraz okolicznościach były mi powodem do najzupełniejszego zadowolenia. Co słyszy o niecnych usiłowaniach Rybińskiego & Comp., budzi w nim nie chęć zemsty, jak to bywało dawniej, ale podwojoną chęć odznaczenia. On się istotnie dużo na korzyść zmienił odkąd go znamy, jakby wyrósł ponad te drobiazgowe obrażliwości, które dawniej były jego ujemną stroną. Tu się też na nim bardzo poznali. Jen. Perrone, minister spraw zagranicznych, który był tak mocno przeciwny jego przybyciu, naglił go w tych dniach, aby zajął miejsce szefa sztabu.

Załączam kilka kopii: 1. listu mego do x. Sabaudzkiego, następcy tronu. Notabene, gdy byliśmy u niego, polecił mi wyraźnie zawieźć królowi oświadczenie, że wszyscy pragną powrotu jego do armii i proszą, żeby się nie dał z niej wygzić, ale żeby z jen Chrzanowskim oparł się. To polecenie, dość nieoczekiwane od syna do ojca, wywołane zostało zapewne pogłoską, że młodzi xiążęta i ich sztaby pozwalają sobie na krytykowanie króla; 2. wypisy z listów Kamieńskiego i por. Kierznowskiego, które świadczą o rezultatach, jakie przynosi duch i system elekcyi na stopnie; 3. wypis o postanowionej we Florencyi legii polskiej[1]). Możnaby ubolewać nad takiem

---

[1]) Początek jej był następujący: W październiku oddział ze 120 Polaków, prowadzony przez kap. Michała Chodźkę do byłej legii me-

tworzeniem dwóch legii. Ja mniemam, że lepiej jest, aby duchy mieli swoją a my naszą, bo oni się do wojskowych warunków nie nagną, nic prócz imienia bez nich nie postawią, a w naszej formacyi byliby niekontenci i niesforni.»

X. Witołd Czartoryski do Władysława Zamoyskiego:
«Alexandrya[1]), 29 października 1848.

Przyjechaliśmy tu wczoraj. Natychmiast jen. (Chrzanowski) się ubrał i poszedł do Bavy, który go z wielkiemi grzecznościami przyjął. W sztabie wszystkim Bava powiedział, że żadnych zmian nie będzie robił, ani żadnych decyzyi nie da, co do organizacyi sztabu, przed przybyciem jenerała i że się na niego zupełnie spuści. Zaraz potem jenerał prezentował się x. Sabaudzkiemu, który na jego przyjęcie ubrał się en grande tenue i przez trzy kwadranse rozmawiał z jenerałem. Mówił o komisie, który tobie i jenerałowi dał i bardzo się nad tem rozwodził. X. Sabaudzki żyje tu bardzo ustronnie, nie przyjmuje żadnych oficyalnych wizyt.

O godzinie wpół do czwartej jenerał udał się do sztabu, gdzie wszyscy sztabowi byli mu przez Cassato prezentowani. Potem jenerał przemówił do wszystkich. Powiedział tym panom w kilku słowach, czem jest sztab w armii, jaka jest jego ważność i jego atrybucye. Wypytywał się potem o dziennik operacyi wojskowych, powiedział, że myśli dwóch oficerów do trzymania go naznaczyć. Cassato zaczął się bronić i mówić, że choć niema w jego sztabie organizacyi i choć dotąd tylko jeden oficer (dziennik) trzymał, to jednak nigdy nie byli spó-

---

dyolańskiej, przybił do portu genueńskiego w chwili, gdy minister spraw zagranicznych, Perrone, zawiesił jej dalszą formacyę przez wzgląd na protest posłów zagranicznych. Trudności czynione przy wylądowaniu zmusiły oddział popłynąć do Liworno, w W. X. Toskańskiem, gdzie Chodźko szukał i znalazł dla niego służbę.

[1]) Siedziba sztabu głównego.

źnieni. Jenerał jemu na to odpowiedział, że chce, aby się rzeczy robiły bez pospiechu i aby na każdą był czas właściwy. Potem jenerał im przedstawiał obowiązki oficera sztabu w polu, zajmowanie pozycyi i urządzanie marszów, zrozumienie właściwe rozkazu, doglądanie, jak ów rozkaz się wypełnia itp.

Po tem pierwszem spotkaniu się jenerał wrócił do domu, a pułk. Breański i ja zostaliśmy jeszcze, aby osądzić impresyę, jaką to wszystko na tych panów wywarło. Najogólniejsze uczucie był strach i przekonanie, że oni do takich robót zdać się nie potrafią. Jenerał ich namawiał, aby o kwestyach przez niego rzuconych między sobą rozmawiali i, jeśli ich opinie w jakim względzie zgadzać się nie będą, aby kwestye mu przedstawili. To wezwanie bardzo ich zafrasowało; powiedzieli pułk. Breańskiemu: «Jak my możemy jenerałowi przedstawiać kwestye o rzeczach, o których nic nie wiemy i o których nigdy nic myśleliśmy.» Mnie zaś drudzy przedstawiali, że przybyli tu służyć tylko dla honoru i że im wcale nie przypadałoby do gustu wyjść na biuralistów; z drugiej zaś strony czują się niezdatni do służby polowej, bo jej nie znają. Takim sposobem jenerał ma paniczów ani do tańca, ani do różańca. Wina w tem rządu, bo gdy woluntaryusze z pierwszych familii Piemontu i Lombardyi prosili o służbę, rząd nie chciał ich oddać do pułków, bo służby nie znali, zatem zrobił z nich oficerów sztabu. Tym sposobem mamy sztab amatorów, w którym mało prawdziwych oficerów. Jenerał się tego spodziewał, ale nie do takiego stopnia. Podczas całej rozmowy z jenerałem, Cassato miał uśmiech pełen uniżenia, ale który o jego dyspozycyach niebardzo dobrze rokuje. Pułk. Breańskiego widocznie od wszystkich czynności usuwał i nawet mu żadnej nowiny dawać nie chciał. Panuje tu między starszyzną sztabową wielka zazdrość na jenerała i na pułkownika, bo są cudzoziemcy.»

Władysław Zamoyski do x. Adama.

Turyn, 1 listopada 1848.

Znowu dostałem po głowie z tą nieszczęsną legią. Z poręki Mickiewicza, ile sądzić mogę, jakiś kap. Matuszewicz mówi, że Troczewski werbuje w Lyonie republikanów różnego narodu do legii, zwierza się konsulowi sardyńskiemu, ten donosi tu rządowi. Minister spraw zagranicznych bez tego niechętny legii, jako obrażającej Moskwę, wpada w szał gniewu, woła mnie, mnie chce robić odpowiedzialnym, zaledwie się upamiętuje. Wracam do domu, piszę doń list. Dziś rano przyjmuje mnie już spokojniej. Jestem zmęczony kilkudniowemi przeciwnościami, jakby bałwanami morskiemi, a wszystkiemu winne bałwany dwunożne.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 12 listopada 1848.

Legia weszła nakoniec w tryb nowego porządku. Pułk. Siodołkiewicz dał się nakłonić do dymisyi. Kap. Izbicki mianowany dowódcą oddziału polskiego. Mundur nowy postanowiony. Był zielony z ponsowym jak wojsko Lombardyi, będzie teraz granatowy z karmazynem. Szlify srebrne. Orzełek srebrny na kaszkiecie (kepi) karmazynowym, kokarda włoska. Na orzełku na piersi krzyż domu Savoie, podobny orzełek na blaszce pendenta.

Boleśnie mnie zmartwiła nagła śmierć pani Dawson-Damer.»

Pułk. Kamieński do Władysława Zamoyskiego:

«Vercelli[1]), 19 listopada 1848.

Wczoraj przyciągnąłem do Vercelli, dziękując Bogu i dobrym ludziom, że mnie z rąk austryackich wyrwali. Zastałem tu chaos w tej nieszczęsnej legii[2]). Widziałem

[1]) Siedziba zawiązku legii polskiej.

[2]) W chwili gdy Kamieński wskutek ciężkiej rany musiał opuścić legię, liczyła ona 120 ludzi, za dowództwa Siodołkiewicza porzuciło ją

Izbickiego, który się dekurażuje i lęka się napadów i gwałtów. Ja mu mówiłem, żeby na to nie uważał i koniecznie utrzymał swoją pozycyę, gdyż tym sposobem zrobi się pierwszy zawiązek nowej formacyi i przywilej dany legii ugruntuje się. Jutro będę w Turynie i osobiście podziękuję ci, panie Władysławie, za twoje dobre serce i staranie o los dawnego twego towarzysza broni. Tak mnie nachodzą, że jeden mam moment czasu te kilka słów przesłać. Do widzenia się. Twój dobry przyjaciel. Kamieński.»

Józef Sobolewski do Władysława Zamoyskiego:

«Listopad 1848.

W. x. Toskański zgodził się na formowanie polskiej legii. Z tego, co mi mówił Alexander Walewski, Karol Poniatowski[1]) otrzymał od pana (George) Hamilton, pełnomocnika angielskiego, żeby tenże poszedł do w. xięcia i zalecił mu tę formacyę. W. xiążę odpowiedział, że posłowi angielskiemu niczego odmówić nie może; legię utworzono i umówiono, że Chodźko dostarczy do niej 1000 ludzi pod chorągwią polską z orłem polskim, kolorami polskiemi i z obietnicą, że gdyby takowy legion potrzebował wracać do kraju ojczystego, kapitulacya mu w tem nie przeszkodzi. Chodźko zaraz wyjechał po ludzi, którzy, jak mówił, oczekują na niego w Marsylii i aby sprowadzić tych, którzy byli pod Kamieńskim. Resztę do tysiąca ma dokompletować w Paryżu. Mickiewicza oczekują we Florencyi. Ci, którzy się tu znajdują, sprawują się jak najlepiej, nawet jest nieco entuzyazmu dla nich wskutek chwalebnego postępowania ich w Livornie. Jakie to dziwne sprzeczności dyplomatyczne: Hamilton zaleca we Florencyi to, czemu Abercromby sprzeciwia się w Turynie[2]).»

---

50 ludzi, a wskutek nowej zmiany odpadło ich jeszcze 45, tak że Izbicki pozostał na czele 25 ludzi.

[1]) Wnuk x. Kazimierza, najstarszego brata Stanisława Augusta.

[2]) Oddział ten pozostał w służbie toskańskiej do kwietnia 1849, potem walczył przy boku republikanów rzymskich przeciw armii fran-

Róża Sobańska do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 16 listopada 1848.

Jestem jeszcze pod wpływem tak okropnej rzeczy, że nie wiem od czego zacząć. Wczoraj otwierali izby, ja ciekawa będąc widzieć, jak się Rzymianie wezmą do tej ceremonii, pojechałam z córką moją, Moszczeńską. Zaledwie byłyśmy pół godziny w sali sejmowej, gdyśmy usłyszały krzyk krótki, po którym milczenie nastąpiło. W sali spokojność niewzruszona panowała, nikt się nie mógł spodziewać, aby cokolwiek złego zaszło, gdy w kilka minut zaczęto szeptać potrochu, że ministra Rossiego[1]), wysiadającego z karety, pchnięto sztyletem tak zręcznie, że padł bez duszy. Co za okropność jaka obojętność, — nikt nie powstał z miejsca, zabójcy nawet nie złapano, a wieczorem pospólstwo pijane biegało po ulicach z pochodniami i okrzykami radości.»

Ludwik Orpiszewski do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 19 listopada 1848.

Nie masz wątpienia, że to konspiracya zgładziła Rossiego. Czy naczelnicy radykalistów należeli do niej, czy też korzystają z wypadku, tego dziś dojść trudno. W każdym razie po śmierci ministra zostali panami w mieście, a to przez niewypowiedziany strach, który napadł wszystkich bez wyjątku. Pozwolono więc pierwszego dnia i drugiego robić głośne demonstracye radości; wojsko i gwardya narodowa poszły pod rozkazy klubu radykalistów; lud prosty, niemy, patrzał się obojętnie.

Szesnastego naczelnicy radykalistów, widząc się panami kompletnie, popychają zgraję na Kwirynał z żądaniem nowego ministeryum. Kwirynał był bez obrony. Wojsko, gwardya narodowa i zgraja otoczyły go. Lud

cuskiej, oblegającej, pod rozkazami jen. Oudinot, Rzym. Po zdobyciu Rzymu podążył drogą morską na Węgry, ale gdy tymczasem powstanie węgierskie upadło, rozwiązał się w Grecyi.

[1]) Wówczas papieskiego prezesa ministrów.

prosty zawsze spektator. Papież sam, nikogo przy nim, żaden z xiążąt, żaden oficer. Trzydziestu Szwajcarów tylko na dziedzińcu i przy drzwiach. Przybywają ministrowie zagraniczni, z Włochów nikt! Szwajcarzy, widząc tłum, cisnący się do drzwi, zamknęli je. W tej chwili dwóch Szwajcarów zostało dezarmowanych. Oblegający, dotąd bez broni, podkładają ogień pod drzwi. Szwajcarzy najprzód grożą, potem dają do nich ognia. Natenczas wściekłość napastników, rzucają się w głąb miasta po broń, przywołują wojsko, — wszystko na trzydziestu Szwajcarów! Wtenczas i deputacya owa, nakazująca nowe ministeryum, na której czele był Galletti [1]), została niejako w oblężeniu. Tymczasem papież, który nie chciał przyjąć deputacyi, ciągle odpowiadał Gallettiemu przez kardynała Lambruschini, że sumienie nie pozwala mu zrobić koncesyi gwałtowi, co Galletti z ganku ludowi powiedział. Mówią, że prócz pana d'Harcourt, wszyscy ministrowie (zagraniczni) to radzili papieżowi. Ja sądzę, że i d'Harcourt był tego zdania, tylko radykały kłamią.

Po powrocie ludu z bronią i przyjściu wojska, zaczęła się szczególna w swoim rodzaju walka. Najprzód lud na placu nie dowierzał wojsku, lecz gdy spostrzegł, że wojsko z nim istotnie trzyma, zaczęli strzelać do Szwajcarów, przyprowadzili nawet armaty, których nie użyli! Szwajcarzy, stojąc w oknach, z najzimniejszą krwią upatrywali miejsca, skąd ogień szedł na nich i w te miejsca tylko strzelali. Zabili kilkunastu, z nich żaden nie zginął.

Nareszcie papież powiedział, że wolno im uformować ministeryum, jeśli tak sobie życzą, ale że on go nie

---

[1]) Józef Galletti (1793—1873), rodem z Bolonii, adwokat; za działanie rewolucyjne skazany przez Grzegorza XVI na dożywotne więzienie, uwolniony przez Piusa IX. Z woli tłumu prezes ministrów w listopadzie 1848, po ucieczce papieża do Gaety prezes ministrów, w lutym 1849 ogłosił Rzym rzecząpospolitą. Po porażce republikanów przez wojsko francuskie schronił się do Sardynii i tam umarł

potwierdzi. Toż samo, co z wydaniem wojny. Galletti to oświadczył z balkonu i wyprawa się skończyła.

Tymczasem papież protestował przed ministrami. Nazajutrz przybyli x. Rospigliosi i Altieri do Watykanu. Butieniew rzekł: »Kontent jestem, że xiążąt widzę, bo dotąd papież był sam z ministrami dworów zagranicznych.« Ostatni osiemnaście godzin byli w Kwirynale. D'Harcourt, wychodząc, spotkał pułkownika karabinierów i powiedział mu, że nie wart nosić epoletów.

To są fakta, a teraz tłomaczenie. Rossi chciał zaprowadzić porządek, to prawda, ale atakowanie rządu piemonckiego w dzienniku rządowym, jest dowodem, jaka była jego opinia co do interesu ogólno włoskiego. To wszystkich oburzało.

Parę dni wytrzeźwiło ze strachu moderatów, którzy bez porównania liczniejsi zaczynają odzywać się, że tak być nie może, że trzeba radykałów skarcić. Lud prosty wyraźnie gada, że to są żarty, żeby w (jego) imieniu papieża w Kwirynale napadać. Postawienie się wszystkich ambasadorów zagranicznych także ich zreflektowało.

Mówią po mieście, że papież chce wyjechać z Rzymu. Cały Rzym dobrze intencyonowany boi się wyjazdu, nie myśli o dalszych skutkach, ale boi się rozboju, rzezi w Rzymie. Dziś spokojnie.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden-Baden, 18 decembra 1848.

Drogi mój Władysławie! Dwie ciężkie pomyłki popełnił Pius IX, a zupełnie sobie odwrotne: 29 kwietnia nie ustąpił głosowi narodu, 16 novembra ustąpił zaś wrzaskowi motłochu. Kiedy powinien był do świętości ziemskich policzyć prawo narodowości włoskiej, tak samo jak wszystkich na ziemi narodowości, zgubnie się uparł, nie uświęcił, co do uświęcenia było.

Tem, na twarz trędowatą Sterbinich i spółki sam włożył maskę patryotyzmu, a do rąk im oddał sztylet na

siebie. Później, gdy tym sztyletem obłudnym a zbrodniczym rozerznęli szyję Rossemu, gdy z tym sztyletem w urnie, zamiast Madonny dwiema lampami oświatłokrężnionym, przyszli pod Kwirynał wymagać, by morderca ministrem został po zamordowanym, by on, arcykapłan i zastępca Chrystusa, podpisał krwią trupa ciepłą nominacyę zabójców, cóż uczynił? — podpisał!

Ach! Władysławie straszna to była godzina, a nie dlatego, że ci wściekli, niewdzięczni poliszynelowie — Robespierry strzelali do okien pałacu, Palmę[1]) zabijali, armatę, na której siedział Canino, wycelowywali ku bramom, ale dlatego, że z pokoi swych arcykapłan z krucyfiksem w ręku, w majestat dwudziestu wieków ubrany, nie wystąpił do nich, nie stanął przed tą bramą podpaloną i nie rzekł, rękę wznosząc w górę ku Bogu swemu: «Nie, w imieniu Boga, nie.» Trzeba było tak uczynić, nie dać tej godzinie ulecieć bez zwycięstwa nad tym tłumem, albo materyalnego, albo moralnego.

Pierwszeby się było zdarzyło, gdyby tłum ten pod majestatem woli, zastępczyni bożej, upadł na kolana; drugie, gdyby, rozpiekielniony do reszty, był strzelił do pana i kapłana swego i obalił go; wtedy trup ten papieski byłby tryumfatorem i z niegoby zmartwychwstało papiestwo! Wiecznie, wiecznie na to płakać będę; anioł słodyczy nie umiał być archaniołem mocy!

Żebyś ty wiedział, ilem się narozpisał do synowca (hr. Mastaï) i jeszcze niedawno, wciąż radząc manifest, któryby zarówno z góry zgromił i motłochy i króle absolutne, słowem wszystkie szkarady europejskie, skądbądź błotem i krwią wybuchają, radząc, by wistocie się wznieść wyżej, niż ci i tamci, by zasiąść wistocie na stolicy sędziej Boga! A teraz? oczywiście niezadługo (Pius IX) wróci, reakcya zrobi się, lecz nie wiary reli-

---

[1]) Kardynał Palma, zastrzelony wśród rozruchu, nazajutrz po zamordowaniu hr. Rossi.

gijnej; zrobi się reakcya interesów okaleczałych. Brak Anglików i Moskali w Romie Rzymian do rozpaczy przywiedzie i znów krzykną, myśląc o pokojach nienajętych: «Viva Pio nono.» Będzie to reakcyą lichą, pod nią żar się zostanie; zarzut przeciw katolicyzmowi, że antynarodowy, się zostanie, zarzut przeciw papiestwu, że antywłoskie, się zostanie; — i kiedyś znów przyjdzie do tego samego!

Papiestwo powinno było ogłosić, wyznać przed światem całym, czem sprawiedliwość w dzisiejszym świecie, i tem się postawić na czele świata znów. Tylko to jedno mogło wistocie nowych sił mu nieśmiertelnych przysporzyć, a tak, choć wróci dyplomatycznie i materyalnie do Kwirynału, nie wróci przez miłość i uwielbienie do serca ludzi; nie będzie miało dostatecznych gromów w ręku do gromienia komunizmu i absolutyzmu! w tem, w tem a nie czem innem, leży opłakaność położenia!

Ach, żeby w nocy z 29-go na 30-go kwietnia natchnień polskich był usłuchał Pius, kiedy ten Polak przysłan doń od prostej zakonnicy polskiej, leżał u nóg jego i zapowiadał mu płacząc, że jeśli nie uzna głośno świętych praw narodów, nie mówię ludów, to wszystko, cokolwiek uczynił, w proch się rozsypie i Kościołowi na nic się nie przyda!

Trzeba było zarazem dwie rzeczy zrobić, ku obronie ducha manifest taki wydać, ku obronie ciała municypałów wziąć; wtedybyśmy byli wygrali. A teraz papiestwo przejdzie przez długą noc, przez męczeństwo swe, wiem, że nie przepadnie, — ni ono, ni katolicyzm. Lecz wiesz naprzykład, co letarg w żyjącym? co czyściec pośmiertny w nieśmiertelnym? co zaćmienie dla słońca? Otóż, przez coś podobnego Kościół przechodzić będzie, a ateizm i antychrysty rość, wzbierać, nadymać się będą i na świecie tem będzie sieroco dla wiernych serc, dla kochających dusz.

Pisano mi z Romy, że Buten(iew) bardzo chwali porządek Sterbinich, po ucieczce papieża, i że przez ajentów

sprowadza Wersalczyków naszych, by się bili w Romie za rzeczpospolitą!!!

To mi nawodzi na pamięć, że wyszła broszura w Krakowie przez emigranta Józefa Zaleskiego napisana, dowodząca, że Centralczyki nasze, założone przez Gurowskiego, wciąż pozostawały w stosunkach głęboko ukrytych z Moskwą i wydawały jej imiona do niej wyprawianych emisaryuszów i obywateli w gościnę tychże przyjmujących. Wyobraź sobie, Centralczyki chcieli księgarnię szturmem wziąć, spalić dzieło; nie udało się — wtedy cztery razy ten Zaleski, napadnięty przez morderców, cudem tylko uniósł życie i wreszcie musiał z Krakowa ustąpić, by nie zginąć!!!!

Wczoraj piszą mi z Paryża, że Chojecki był w tych dniach u Hieron. Bonaparte, który mu powiedział: «Jedna tylko wojna może nas ustalić, na wiosnę będziem ją mieli», i zupełnie to samo wczoraj stoi w liście przezemnie z Warszawy odebranym — na dwóch biegunach sprzecznych to samo zdanie i przeczucie! Dalej jeszcze Hieronim wspominał, że słysząc wiele o Towiańskim, chciał go widzieć i widział przed dniami czerwcowemi i mistrz tak doń mówił: «Nie starajcie się żadnemi zachody o głosy za Ludwikiem Napoleonem. Zaprawdę, powiadam wam, że on będzie wybran bez waszego dołożenia się, samą mocą woli bożej, a taką większością, że się Europa cała zadziwi i wy sami się zadziwicie!!»

Powiedz, czy magia? czy takie doskonałe znanie splotu wszecheuropejskiego towarzystw tajnych, że, wtajemniczony w podziemia, domyśla się naprzód zdarzeń, dziać się mających na powierzchni? Mickiewicz zaciera ręce i całe dni chodzi na (place) Vendôme, patrząc się w kolumnę: «A co? czym nie mówił wam, że Napoleon będzie!» Każe sztychować drugie wydanie owej postaci cesarza w Velonie płaczącego. Towiański, odjeżdżając na południe, gdzie? nie wiem, jemu i Różyckiemu zostawił władzę absolutną nad Towiańczykami wszystkimi!

Pamiętasz, jak twierdził, że z mistrzem nic wspólnego nie ma?

Z listu przez Bilskiego[1]), pisanego do Sztrasburga, wiem wszystkie najdrobniejsze szczególiki o nieboskiej komedyjce, co się działa w legii w Vercelli pod komendą Siodołkiewicza i o upadku tego znakomitego wodza duchów! i o tych trzech emancypowanych kobietach, co tam rej wodziły itd. itd. itd. Zawsze i wszędzie to samo, dopóki demagogii stanie, dopóty Polski nie będzie. To moja dewiza! Kazałbym sobie na hełmie wyryć, kazałbym sobie i na pałaszu! Ale zważ, jaka opatrzna łaska boża nad nami. Gdyby w lutym burza poczęta była przeszła aż do lodów północy, gdyby odrazu na całej ziemi polskiej nastąpiło powstanie — ach! o Władysławie, jużbyśmy dotąd byli w nicości! Ogłoszona rzeczpospolita przez naszą drobną szlachtę, która sobie wyobraziła, że jest demokracyą, a która tylko demagogią jest, jużby była wyrżnięta wszędzie przez chłopów, dowodzonych przez niedobitki królów i xiążąt europejskich. Polski by i śladu już nie było; oto dopiero byłby się zdarzył ostateczny rozbiór: rozbiór chemiczny cząstek narodu! Ale Bóg chce Polski, żąda Polski, wymaga po nas Polski, tak, jak się jej domagamy od niego — wymaga zaś jej przez czyny zacne, porządne, wielkie, nasze, bo to prawem wiekuistem Boga, że inaczej stanąć ona nie może! więc, do czasu, doświadczenia różne spuszcza na nas. Dozwala krajowi skosztować potrosze owoców Centralizacyi i przypatrzyć się rozkładowi społecznemu Europy. Stawia nas w położeniu spartańskich dzieci, którym efory pokazywały pijanych ilotów! Cząstkowe plagi też spuszcza na nas i prób nam dopuszcza pewnych próbowanie, i tak się musi stać, że kiedy Europa dojdzie do największego nierozumu, my do rozumu przyjdziem i będziem jedynym porządnym narodem na ruinach świata!

---

[1]) Zapewne Paweł Bielski.

Mowa xięcia to samo przeczucie zawiera. Bardzo piękna, a nieskończenie smętna i rzewna, zaraz ją do siostry prześlę twej, skoro mi ją przepiszą — dołączam zaś tu tobie kawałeczek, w którym innemi wyrazy zupełnie to samo, co w tej mowie, przed czterema miesiącami napisano, przeczytaj. Dziwnie zgadzają się duchy, choć tak różne doświadczeniem i wiekiem i głębokiem znaniem ludzi i spraw europejskich. To mię uderzyło. Broszurę Zaleskiego także ci przesyłam, może cię zajmie.

Co do Adama (Potockiego) i Zdzisława (Zamoyskiego) dlatego złożyli[1]), by otrzymać od nowych wyborców potwierdzenie dążenia raczej słowiańskiego niż węgierskiego. Cała demagogia nasza galicyjska za Kossuthem, bo Kossuth terorysta. Gruba myłka. My ze słowiańskiego plemienia, my w historyi byli wyobrazicielami Słowiańszczyzny przed jej urodzeniem się. Jakżeż po jej urodzeniu mielibyśmy przeciwko niej występować? A toż ona bez nas w ręce moskiewskie wpadłaby! Ale cóż chcesz z zapamiętałymi fraześnikami wyuczonymi u szkoły du marquis Marrast[2])! Piszą mi z Krakowa, że z 10.000 młodzi polskiej do Węgier się przedarło, że im obietnic żadnych nie dotrzymano, że w rozpaczy są i nędzy i sami stamtąd tak o losie swym donoszą: «Taka bieda, taka bieda okropna, niezrównana, że nam będzie wkrótce **szubienica miła!**» Dziś w niemieckich gazetach, że w Olmütz ma być zjazd królów, xiążąt i cara. Już ci Moskwa coś gotuje! O Władysławie mój drogi! gdzież my to pomrzem i zaginiem, rozsypanką, jeden daleki od drugiego, każdy zaś od wszystkich, których ukochał. Ale polska ojczyzna będzie, jak Bóg na niebie, tak będzie!

Jerzego (Lubomirskiego) bałamuta dotąd niema. Czekam nań. Tymczasem przesyłam ci dyktowane przezeń

---

[1]) Mandaty poselskie na sejm w Kromierzyżu.

[2]) Armand Marrast (1801—1852), dziennikarz i polityk rewolucyjny za Ludwika Filipa i drugiej republiki.

(siostrze) Izie (Wł. Sanguszkowej) sprawozdanie z pomysłów jego i postępowania na sejmie wiedeńskim....

Pogoda tu przecudna, po 15 stopni ciepła wciąż. Lazur bez chmury. Pamiętasz w św. Mateuszu: «Będą znaki na ziemi i na niebie!» — «Powstanie naród przeciwko królestwu.» — «Będą wojny i trzęsienia ziemi i wieści straszne o wojnach po świecie» — «a proście, by się to wszystko nie zdarzyło w zimie» — «a gdy kto posłyszy, niechaj nie wraca do domu.»

Co do znaków, miałeś te zorze borealne nawet w Rzymie i gwiazd padających moc; co do «przeciwko królestwu» i reszty, masz co dzień i co noc; co do «nie wracajcie do domu» przestroga Arcy-Mądrości, bo gdzie nie już polityczny bój, ale społeczny rozkład, toć najgorzej w domu!

Sam ze sobą co uczynię, nie wiem, wyczekuję i wymiarkowywam; nie chcę by szlaban ten zapadł między mną a Europą może na wieki. To mię wstrzymało, bo już miałem jechać stopy ucałować biednemu ojcu memu, na starość napadniętemu przez pękający i walący się świat! Lecz gdy mi oświadczył, że, skoro wrócę, nie wypuszczą już, zostałem, może za 15 dni do Nicei zawiozę Elizę i Jerzego. Eliza całem sercem każe ci podziękować za pamięć i prosi, byś wierzył jej stałej przyjaźni.

Biedna Odescalchowa! Za pierwszą wieścią o Romie już mi się przyśnił wiszący Odescalchi, co tak i bez szubienicy sztywny wiecznie jak wisielec. Dzięki Bogu to sen był tylko.

Możebyśmy wtedy się spotkali, gdy przywędruję do Nicei, możebyś na dni kilka przyjechał wypocząć do nas i znalazł Jerzego (Lubomirskiego) i Józia Sobolewskiego, który mi się obiecał. Wśród serc cię kochających byłbyś i mówilibyśmy o ruinach blizkich wszystkich, a powtarzając: Impavidos ferient ruinae! bo za dni naszych tak: co chwila trzeba być gotowym ujrzeć poza trumną twarz Sędziego-Boga, a jeszcze przed trumną puginał wrogów-ludzi, lub knut wroga-człowieka. Co bądź się stanie, gdzie bądź, żywi lub umarli będziemy, wierz, że ten, który te

słowa pisze do ciebie, sercem twój. Wśrubowałeś się w serce jego na zawsze jakby klingą, a ta klinga z żelaza, ale z żelaza duchowego — przyjaźni. Twój Z.

Nic w tej chwili lepszego dla ciebie i kraju, jak stanowisko, któreś obrał w Turynie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 22 grudnia 1848.

Nic stąd ważnego, stanowczego. Ministeryum Gioberti[1]) po studencku zaczyna. W Genui dla zaspokojenia małej kupki krzykaczy oznajmiło, iż wojsko ustąpi z fortecy! jeżeli tylko gwardyi narodowej się podoba podjąć się służby garnizonu. Gwardya podziękowała za honor nieco uciążliwy. Sam Gioberti bardzo przerażony i rozstrojony odkąd mu przychodzi spotykać się z trudnościami, które przypisywał nieumiejętności i brakowi patryotyzmu poprzedników. Izba uchwaliła jednomyślnie subsydyum dla Wenecyi miesięczne po fr. 600.000. To pięknie. Ale, jak wszystko tu, z serca lub pozoru, nie z głowy, nie z obwarowaniem mogącem zapewnić skutki odpowiednie ofierze. Będę jednak próbował, czy część tego funduszu nie da się obrócić na rozszerzenie legii polskiej z przeniesieniem jej formacyi do Wenecyi, ale bez wyłączenia jej z wojska piemonckiego. Ale, i niestety, upadek ducha wzmaga się tu coraz. Obojętność Europy odejmuje wszystkim wszelką nadzieję i ochotę. Na obcych się oglądają, jak, dali Bóg, nie oglądano się nigdy u nas. A od obcych zaledwie dobrego słowa doczekać się mogą, a więcej niczego. Widok przywracającego się wszędzie porządku także ich uspasabia myśleć, że nie poratuje ich znikąd duch rewolucyjny, któremu rok temu ślepo wierzyli; do tej pory najroztropniejsi tu nie umieją rozeznać ducha wolności i sprawiedliwości międzynarodowej od ducha re-

[1]) Tak zwane wojenne, o kierunku lewicowym, przyszło do władzy 16 grudnia.

wolucyjnego. I toczy ich ten ostatni, bo tamtego w sobie rozbudzić nie umieją. Smętna z tego wszystkiego dla nich i dla nas nadzieja.

Z Giobertim próbować będę mowy o Słowianach. Ale ten człowiek nie umiał wysłuchać, kiedy był w opozycyi, jakże będzie na urzędzie i kiedy widocznie głowę traci? Tymczasem wojsko jednak się poprawia. Ale jak u nas, tak i tutaj nie jednem wojskiem kraj oswobodzić można. Potrzeba polityki rozumnej, porządku wewnątrz i przymierzy.»

Władysław Zamoyski do x Adama:

«Turyn, 7 stycznia 1849.

Dnia 2 t. m. pojechałem do Alexandryi, by przed wyjazdem na urlop odwiedzieć ich tam. Miłe były te odwiedziny. Jenerała zastałem w dobrem bardzo położeniu i zdrowiu. Ale najbardziej mnie ucieszył widok Witołda. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się być z nim bez gderania o jedno lub o drugie. Tym razem, acz nie twierdzę, aby był doskonały, przecież tak w nim górowało wszystko co ważniejsze, że, trzy dni bawiąc z nim, samej prawie doznawałem pociechy. Względem jenerała jest pełen uwagi i drobnych nawet względów, widocznie korzysta ze służby, jaką przy nim pełni. Jenerał bardzo jest dla niego uprzejmy, ale zarazem dopomina się o to, czego powinność wymaga. Okoliczności kraju tutejszego tak są niepocieszające, że jenerał żyje w ciągłem oczekiwaniu chwili, kiedyby mu wypadło dla własnej godności służbą opuścić.

Z Alexandryi o milę w Walencyi mieszka x. Sabaudyi, następca tronu. Odwiedziliśmy go razem konno. Witołda mu przedstawiłem, bardzo był uprzejmy, a że sam właśnie jest wplątany przypadkowo w reakcyę, jaka się tu w wojsku objawia, więc rozmowa jego była ciekawa. Niestety, jestto człowiek do boju ochoczy, ale zresztą ograniczony. Ministeryum acz się głosi monarchicznem jest przecież podobne do ludzi 24 lutego we Francyi w tem, że są śmiałą

tylko mniejszością w kraju. Wojsko oburzone, roi o ruchu wprost na adwokatów, ale i w niem głowy niema. Synowie króla trzymają z wojskiem. Król zaś pobłaża krzykaczom, krzykacze zaś, choć głoszą o wojnie, nie wahają się marzyć o wysadzeniu z wojska wielkiej liczby dawnych i najzdolniejszych oficerów, celem zrobienia sobie armii przychylnej. To grozi blizką dezorganizacyą albo buntem wojska. Moja rada jest i życzenie wielu, żeby król do wojska się przeniósł i żeby jednocześnie ogłosił pewne nowe porządki na zasadzie, że teraz czas sposobić się do wojny, co wcale go nie znagli wojnę rozpocząć, póki się do niej nie przygotuje. Ale król, czy odpowie tej roli? Porwać się zapewne byłby gotów. Sam mi takie usposobienie objawiał dziesięć dni temu. Ale jako człowiek słaby zawiedzie w drugim kroku. Tymczasem Sabaudya się także sroży, że dla Włoch krwi i grosza bez końca dawać nie chce.

Mój zamiar zawsze być w Paryżu pod koniec stycznia, potem do Anglii na chwilę, do Paryża i przez Monachium tu. Szalona podróż w tę porę.»

Z luźnych zapisków W. Z.:

«8 stycznia 1849.

Król chce dzisiejszą wytrwałością w sprawie włoskiej zetrzeć plamę młodości swojej[1]), wszystko na to poświęcić gotów, choćby życie, choćby koronę i los domu swego. Widzi oziębłość dla tej sprawy szlachty i większości kraju, nie lubi demokratów, ale z potrzeby gotów i z nimi do upadłego się wiązać. Gioberti daje mu rękojmię przynajmniej monarchiczności, a przytem, równie jak król, szczerze pragnie niepodległości Włoch.

Margrabia Costa, Sabaudczyk, pełen przywiązania do króla, składając w tych dniach urząd koniuszego,

---

[1]) W 1821, jako regent, zobowiązał się wobec Metternicha do rządzenia w myśl życzeń dworu wiedeńskiego.

wyrzucał królowi powolność względem zapaleńców. Król odrzekł: «A czy myślisz, że mogę zaufać mojej szlachcie?» Marszałek Latour, przyznając, że dawniej trzymał za rządem absolutnym, dodawał w tych dniach: «Nawróciłem się, widząc, że rząd konstytucyjny jest potrzebny, żeby kraj uchronić od szaleństwa jednego człowieka.» Tak więc król od lepszych za waryata miany, zmuszony niejako szukać narzędzi między obcymi.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 12 stycznia 1849.

Chrzanowski na radzie ministrów był pytany o legie zagraniczne, jakieby można werbować: czy szwajcarską, czy irlandzką? Odpowiedział, że polska wiele taniej, prędzej i z korzyściami pewnemi politycznemi stanąć może. Zatem pytanie, jak do tego przystąpić, skąd ludzi etc. Odpowiedź jenerała: «Przez x. Adama za pośrednictwem pułk. Zamoyskiego.» Zatem wezwano mnie do p. Gioberti. Rozmowa z nim, wiele komplementów, oświadczenia, że już wielką oddałem przysługę, sprowadziwszy jen. Chrzanowskiego, a teraz znowu mogę etc. Koniec zaś rozmowy, że prezes rady ministrów przedstawi rzecz królowi do decyzyi, a że ja odpowiedziałem, iż król dawno to postanowił, ale poprzednik prezesa, p. Perrone, przez wzgląd na Moskwę i na pośredników zawiesił wykonanie, — więc z uśmiechem nad niskiemi pojęciami poprzedników, p. Gioberti oświadczył, że rzecz się wykona, a mnie po rozmowie z królem do tego powoła.

Tymczasem kogo spotkam, to mówi o ministeryum, że szaleńcy, że ich w osiem dni izba zrzuci. Notabene, szaleństwem umiarkowani nazywają chęć wojny. Tak dalece, że aż przychodzi mi wahać się, czy tę rzecz popierać. Pogłoska już chodzi, że Chrzanowski w radzie wojnę odradzał. I niejeden, co myśl wojny przeklinał, zastawia się jego zdaniem, a nawet na koszt jego robi się bohaterem.»

Władysław Zamoyski do x. Wł. Czartoryskiego:

«Turyn, 15 stycznia 1849.

Wczoraj minister wojny napisał do jen. Chrzanowskiego, że rada ministrów, po zapewnieniu się o przyzwoleniu króla, postanowiła doprowadzić do skutku decyzyę już dawniej powziętą, uzupełnienia legii polskiej do jednego batalionu i jednego szwadronu. Pułk. Breański ma kierować tą formacyą, oficerów polskich dwóch do Stambułu popłynie, a trzech do Francyi się uda, żeby ludzi zebrać[1]). Rząd wydaje rozkaz swoim posłom w Paryżu i Stambule, żeby we wszystkiem, co się zbioru i przesłania ludzi dotyczy, działali wspólnie z twoim ojcem w Paryżu, a p. Czayką w Stambule.

Zaledwie wierzę, aby to przyszło do skutku. Dla pchnięcia rzeczy i związania ministeryum umyśliłem zaproponować, by Witołd popłynął do Stambułu dla zrobienia tam kroków przygotowawczych.

Donoszę, że dziś pod twoim adresem wyprawiłem klaczkę arabską Hanum, kasztanowatą. Życzę, aby służyła dobrze twemu ojcu. Jest wesoła i rzutka. Na ciebie rachuję, żebyś ją dobrze wypróbował, ciebie za to robię odpowiedzialnym.

Łatwo mi uwierzysz, jaką mnie radością napełnia widok twojego już należenia do naszej pracy i w sposób tak porządny i trafny. Niech cię ta pochwała serdeczna nie psuje, nie wzbija w zarozumienie, ale niech zachęci;

---

[1]) Warunki zaciągu były następujące: 1. legia będzie z piechoty i jazdy; 2. żołd i utrzymanie jak wojsko sardyńskie; 3. zaciąg na czas wojny; 4. po wojnie oficerowie i żołnierze będą przyjęci do pułków sardyńskich, jeżeliby rozpuszczono legię, albo puszczeni wolno z sześciomiesięcznym żołdem; 5. dwie trzecie oficerów, naczelnik legii i wszyscy oficerowie sztabowi będą Polacy, jedna trzecia może być oficerów sardyńskich; 6. legia będzie trzymana pod jednym dowódcą; 7. ranni ciężko w służbie mieć będą wynagrodzenia takie, jakie żołnierzom sardyńskim służą, bez warunków długości służby, wymaganych od żołnierzy sardyńskich.

zarozumiałymi są tylko ci, co więcej zajęci sobą, jak sprawą i Bogiem. Kto chce służyć dziełu bożemu, ten widzi, że nigdy dopisać nie może powinnościom i że zawsze mu się zostaje z tego powodu okazya do żalu, nie do upodobania w sobie. Broniąc się od zarozumiałości, zyskujemy i to, że nam bliżsi i życzliwsi nie żałują dobrego słowa w nagrodę za poczciwą usilność, owszem dają je z radością, a to podobno jedna z najmilszych w życiu pociech i dla chwalącego i chwalonego.

16 stycznia 1849. — Załączam list Witołda. Radbym patrzeć na Wuja, kiedy go będzie czytał, bo wiem, że twarz droga, ukochana, a tak często zasępiona, rozjaśni się. Dzięki Bogu za te dobre dzieci.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 19 stycznia 1849.

Witołd wczoraj wyexpedyowany do Stambułu; nie chcąc, aby dla niego jeden mniej oficer nasz otrzymał przeznaczenie, oświadczył, że pojedzie swoim kosztem. Koszt ten będzie około 1500 fr. w obie strony. Załączam dane Witołdowi dwa listy przez naczelnego zawiadowcę. Poznasz z nich Wuj wpływ naszych starań, zwłaszcza gdy dodam, że gdym nastręczył o takim liście do w. wezyra, zapytał mnie naiwnie ksiądz Gioberti jak on się zowie, kto on jest, jak do niego pisać, czy zacząć od słońca i gwiazd, czy nie wyda zaraz listu takiego Moskwie. Zaspokojony prosił o wzór i dosłownie przepisał. Rzecz cała dziwna, bo to jednak szmermel nielada, a tu zdają się nie czuć tego. Miałbym to prawie na sumieniu, gdybym nie myślał, że, acz mimo ich wiedzy, wprowadzamy ich na dobrą drogę. Najgorsze to, że może braknie czasu na ich edukacyę, że lada dzień mogą być zastąpieni, a wtedy znowu niepewność, mitręga i wielkie nic. Mimo popchniętej raźnie legii, wcale się nie czuję zapewniony, że się to wszystko nie rozejdzie na nic, jednak postawieni jak tu jesteśmy, gdy się możność okazała, gdy nastąpiło

wezwanie do skompletowania legii, mogliżeśmy się wahać? Sądzę, że i Wuj to uznasz, że my tu zmuszeni byliśmy niejako odpowiedzieć wezwaniu do rzeczy, którą tylekroć radziliśmy i ofiarowaliśmy. Na godzinę przed chwilą, kiedy Chrzanowski na radzie ministrów został pytany i proszony, aby legia nasza stanęła, mówiłem z nim o tem i konkluzya była, że nie czas o to nastawać. Tymczasem w gorliwości swojej o dźwignienie sprawy włoskiej, instynktem raczej, jak pojęciem rzeczy wiedziony, z lekkością sobie właściwą ksiądz Gioberti wniósł rzecz i tak się nią zaraz szczerze zajął, jak to czyny okazują. Listy jego zapewne podobają się Wujowi. Spodziewam się, że nas tu w części usprawiedliwią, żeśmy się tu głębiej wkorzenili i silniej związali w tę właśnie porę, kiedy Wuj już pragnąć począłeś, żebyśmy się z godnością od tego stosunku uwolnili.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«z drogi do Monachium, 26 stycznia 1849.

Wyjechałem wczoraj z Turynu. Jutro statkiem przez Lago Maggiore płynę do Bellinzona, 30 mam nadzieję być u ojca. Zabawię tam tylko dni osiem lub dziesięć, potem spieszyć będę do Wuja, około 15 stanę w Paryżu, po drodze wstąpię do Bruxelli i odwiedzić pragnę króla.

Gioberti otrzymał przy wyborach stanowcze zwycięstwo. Głosowanie to ma ważne znaczenie, bo kwestya między stronami była: wojna lub nie, kraj więc, czy istotnie, czy przez opieszałość, wydał wyrok za wojną.»

Jen. Chrzanowski[1]) do Władysława Zamoyskiego:

«Alexandrya, 28 lutego 1849.

...Chcą gwałtem i jak najprędzej zacząć wojować, a tymczasem wiele jeszcze nie dostaje i prawie niepodobno będzie wystąpić, tyle brakuje. Będę się starał ich

[1]) Chrzanowski otrzymał w tym czasie tytuł majora jeneralnego armii.

wstrzymać, póki nie nastąpią cieplejsze noce, aby przez biwaki nie stracić dużo ludzi. Do wojny napędza wewnętrzna dezorganizacya, która się z paru powodów objawia: raz z ruchu republikańskiego włoskiego, powtóre z oporu Sabaudczyków. Ruch sabaudzki jest robotą rządu francuskiego, nie dla opanowania Sabaudyi, ale w celu osłabienia Piemontu i uczynienia niepodobnem rozpoczęcie kroków wojennych. Nie można jeszcze przewidzieć, czy się uda wstrzymać postęp tutejszego rozprzężenia i czyby znaczna część żołnierzy nie poszła do domów w chwili przebywania Tessynu[1].»

«Karol Albert pragnął, abym choć bez urzędowego zlecenia, korzystając z posiadanych w Paryżu i Londynie stosunków z rządami, złożył przed nimi świadectwo o stanie i usposobieniu narodu, wojska i samegoż króla. Nie rad byłem oddalać się od wojska na taką odległość, kiedy zawieszenie broni każdego dnia przez jedną lub drugą stronę mogło być wypowiedziane. Umowa zastrzegała tylko ostrzeżenie na dni osiem przed rozpoczęciem kroków wojennych. I król i Chrzanowski dali mi zaręczenie, że o ileby z naszej strony nastąpić miało wypowiedzenie

[1]) Wobec twierdzeń, jakie się spotyka w niektórych pamiętnikach włoskich, że Chrzanowski zapewniał Karola Alberta o zupełnej gotowości wojska do boju, warto tu również przytoczyć list margr. Roberta d'Azeglio do syna, z 12 lutego 1849: «Najwytrawniejsi oficerowie twierdzą, że potrzebaby całego szeregu lat i tęgiej ręki dla zaradzenia szkodzie, wyrządzonej wojsku przez poduszczania demagogicznej prasy. Chrzanowski, Durando, Fransini i kilku innych jednomyślnie i bez ogródki oświadczyli, że wojsko nie jest w stanie spotkać się z nieprzyjacielem, nie dla braku męstwa, ale dla braku karności. Całe dywizye, między niemi sabaudzka, głośno się z tem odezwały, że przejdą Tessyn chyba na to tylko, by bić «braci Lombardów», którym zarzucają, że nawet wodę do picia każą sobie płacić, że sami nic nie robią, a żołnierzy piemonckich przyjmują ogniem karabinowym.» (Souvenirs historiques de la marquise Constance d'Azeglio de 1835 à 1861. Str. 330—331)

zawieszenia broni, dojdzie mnie o tem wczesne zawiadomienie, tak iżbym mógł zjechać na czas.

W Paryżu i Londynie sprawiłem się jak mogłem. Z ministrami mówiłem, ale wszyscy bez wyjątku z najzimniejszą słuchali obojętnością. W Anglii mianowicie, w paru dniach widząc czterech ministrów, między nimi lordów Palmerston i Russell, nie doczekałem się innej odpowiedzi jak tylko, że widocznie Karol Albert, w braku powodzenia, śmierci szukać myśli, że przeto mu śmierci tylko życzyć można najprędzej, aby Włochy przed szalonem uchronić przedsięwzięciem [1]).

Za powrotem z Londynu (17 marca) doszła mnie w Paryżu wieść, że Karol Albert pod parciem polityków turyńskich, 12 marca, wypowiedział Radeckiemu zawieszenie broni mimo ostrzeżeń jen. Chrzanowskiego, któremu nie dano nawet zawczasu znać o postanowieniu króla, tak że nie zdołał ściągnąć przed bitwą dywizyi na ostatecznem prawem skrzydle wojska stojącej.

Pospieszyłem do Włoch, ale nie żelazną drogą, której jeszcze nie było, tylko dyliżansem, i czwartego dnia dopiero stanąłem w Turynie. Turyn zastałem pogrążony

[1]) W trzech listach do Karola Alberta z Paryża (20 lutego, 1 i 9 marca 1849), Zamoyski z całym naciskiem zaznacza, że rząd Ludwika Bonaparte tak jest pochłonięty sprawami wewnętrznemi, że, narazie przynajmniej, wszystko inne jest mu obojętne, że drażni go najmniejsza wzmianka o pokładanej w nim przez Włochów nadziei, natomiast okazuje względy dla Austryi i Moskwy; «przeszkody stawiane polskim ochotnikom, chcącym wstąpić do legii, dają miarę bojaźliwości rządu.» O prezydencie pisze (9 marca): «Napróżno czekałem sposobności przekonania się o jego usposobieniu. Mimo zaprosin na rozmowy, śniadania, obiady, nie mogłem dojść do widzenia się z nim dłużej bez ciągłych przerw, które odbierały mi możność poważnego omówienia sprawy. Postawienie się ostrożne ministrów względem Włoch nie dozwala prezydentowi wiele mówić o tym przedmiocie. Tu zdają się wyczekiwać hasła z Anglii. Anglia zaś pragnie polepszyć stan Sardynii i napiera ile może na Austryę w tym kierunku, ale stara się Austryi nie zrazić, gdyż, jak przyjdzie do wojny ogólnej, nie chce ją mieć sprzymierzoną z Moskwą przeciw sobie.»

w niepewności i przerażeniu. Wiedziano, że była bitwa stoczona pod Nowarą, że nieprzyjaciel zwyciężył, ale od trzech dni brakowało wszelkich urzędowych sprawozdań. Tylko Bertolini, kamerdyner królewski, zjawił się z ustną wiadomością, że król złożył koronę, ale żadnego pisma do rządu nie przywiózł; rząd tedy poprzestawać musiał na udzielaniu mieszkańcom pogłosek. O Witołdzie tyle tylko dowiedzieć się mogłem, że nikt nie słyszał, aby mu się co złego stało. O Chrzanowskim krążyła haniebna pogłoska, że z rozpaczy życie sobie odebrał. Można było przypuszczać, że Austryacy odcięli wojsko nasze od stolicy, że przeto niebawem zjawić się mogą pod murami Turynu. Poszedłem do ministra wojny, jenerała Alfonsa de La Marmora, i zapytałem go, czy garnizon stolicy jest jakkolwiek przygotowany stawić czoło pierwszym przynajmniej podjazdom austryackim. Odpowiedź jego wątpliwa dała mi poznać, że w tym względzie niczego nie przedsięwzięto. Pilno mi było dotrzeć do jen. Chrzanowskiego; czułem, że się znajduje w okolicznościach trudnych i bolesnych. Pragnąłem być mu jakąśkolwiek pomocą, alem nie wiedział jeszcze, gdzie go szukać, a potrzebowałem też dwóch dni, żeby się opatrzyć do marszu. Widząc jednakże, że miasto jest otwarte, że nieprzyjaciel każdej godziny opanować je może, i nie chcąc wraz ze stolicą dostać się w ręce nieprzyjaciela, umyśliłem o tyle przynajmniej się ubezpieczyć, żem wyprawił ordynansa mego, tęgiego i przytomnego żołnierza piemonckiego, o dwie mile od miasta gościńcem, po którym spodziewać się można było Austryaków. Wistocie, jedyny był taki gościniec, idący wzdłuż rzeki Po. Rozkazałem mu stanąć w karczmie na gościńcu i czuwać pilnie, czy się nieprzyjaciel nie zjawi. Gdyby się zjawił choćby tylko patrol austryacki, miał natychmiast pospieszyć napowrót do miasta, gdzie miałem ciągle w pogotowiu konia osiodłanego. Tak więc, przy nieoględności i znużeniu powszechnem, miałem dla osobistego bezpieczeństwa widetę, w stronę nieprzyjaciela wystawioną.

Nie ośmielili się przecież Austryacy do ruchu na stolicę, co przy rozstroju wojska piemonckiego, mogło im przynieść wielkie korzyści.

Po dwóch dniach sam, z własną tylko służbą, ruszyłem konno w marsz ku kwaterze głównej. Droga ku niej była otwarta, jednakże marsz odbywałem oględnie, żeby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela. Drugiego dnia już napotkałem oddziały rozbitego wojska naszego. Starsi znajomi oficerowie witali mnie z uczuciem smutku i wstydu; czuli, niektórzy nawet wyznawali, że wojsko nie dopisało. Wszyscy z uszanowaniem wspominali o wodzu naczelnym i żałowali Chrzanowskiego, że wplątany został do ich sprawy.

Dotarłem nareszcie do Chivasso, gdziem zastał sztab główny i Chrzanowskiego; wojsko całe cofało się ku stolicy. Zebrane w sztabie głównym szczegóły wypadków, zaszłych od zerwania zawieszenia broni, potwierdziły mi to, co powziąłem od świadków, najprzód napotkanych, że, o ile nierozważnem, desperackiem było postanowienie króla i rządu jego, żeby wznowić walkę, o tyle wypadki wojenne, które nastąpiły, świadczyły zaszczytnie o zdolności wojennej jen. Chrzanowskiego.

Chrzanowski, wistocie, po dwumiesięcznych usiłowaniach, żeby nie dopuścić do wypowiedzenia zawieszenia broni, naglony przez króla i ministrów, nie odmówił w ostatecznym razie swego udziału, choć nie zrobiono ani małej części przygotowań, żądanych przez niego, jako nieodzownie potrzebnych. Zapytał, czy rząd chce wojny prędkiej i stanowczej, bądź co bądź, czy też wolnej i według wszystkich zasad prowadzonej. Odpowiedziano, że chcą pierwszej, a gdy przyszło do rozprawy, gdy zarządził wszystkiem, jak należało, gdy po trzykroć w trzech różnych spotkaniach potrafił sile mniejszej nieprzyjacielskiej stawić siłę o wiele większą swoją, — siła ta wszędzie pryskała, jak lody od słońca, a raczej jak proch przed wiatrem. Rozstawiwszy posterunki wzdłuż całej linii

Ticino, stanął Chrzanowski z główną siłą swą przed Nowarą, na gościńcu, wiodącym przez Magentę do Medyolanu, gotów ruszyć ku temu miastu, skoroby widział drogę przed sobą otwartą. W drugiej linii, koło Mortary, stał x. Sabaudzki z pierwszą dywizyą. Piąta dywizya lombardzka stanowiła prawe skrzydło nad Tessynem, pod Cavą, naprzeciw Pawii, a do komunikacyi z Genuą miała most na rzece Po. Dowództwo tej dywizyi powierzone było jenerałowi Ramorino, ale tym dowódcą kierował nie sztab główny; kierowała nim, na jego nieszczęście, otaczająca go zgraja zapaleńców, tem śmielej domagająca się nad nim wpływu, że mu ciągle przypominała zawód, Włochom zadany, kiedy ze Szwajcaryi z kilkudziesięciu Polakami, wkroczywszy w r. 1834 do Sabaudyi, miał przeważny udział w niefortunnej, prawie śmiesznej wyprawie.

Feldmarszałek Radecki znał widać dobrze i słabe i lepsze strony wojska włoskiego. Wiedział, że dzielą je dwa przeważne uczucia: dojrzalsi, wytrawni, boleli nad zapałem króla, o mało nie nazywali szaleństwem zamiaru i przedsięwzięcia jego; gorętsi, niedowarzeni, bodaj czy sumienni, twierdzili owszem, że król niedołęga, patryotę udaje, a oczywiście zdradza. Jak jedni, tak drudzy do boju źle byli usposobieni.

Dywizya lombardzka najmniej okazywała żołnierskiego ducha i wyrobienia, raz, że dopieroco sformowana, a po drugie i co gorsza, że w przeważnej części złożona była z ludzi, zapałem tylko wiedzionych, pozostających pod wpływem byłego tymczasowego rządu medyolańskiego, w którym Mazzini był wyrocznią. Na tę właśnie dywizyę postanowił wódz austryacki najprzód uderzyć.

Dnia 20 marca o jedenastej przed południem wojsko sardyńskie posunęło się zwolna ku Ticino; jedna dywizya dotarła aż do Magenty, nie spotkawszy nigdzie wbrew oczekiwaniom, poważnej siły nieprzyjacielskiej.

Siła ta kierowała się tymczasem ku Pawii. Chrzanowski liczył, że gdziekolwiek Austryacy uderzą na wojsko piemonckie, stawi ono, jeżeli nie opór stanowczy, to dostateczny, by zawiadomić go o zbliżaniu się nieprzyjaciela; w tem jednak zupełnego doznał zawodu. Kiedy wojsko austryackie w sile przystąpiło do przejścia Ticino pod Cavą, już tam dywizyi lombardzkiej nie było. Jenerał Ramorino, ulegając wpływowi, przymusowi prawie, wywieranemu na nim przez otaczających go zapaleńców, jeszcze przed zjawieniem się przeważnej siły austryackiej odstąpił od granicy, przeszedł z całą dywizyą most na rzece Po; co więcej, most zniósł, a tem samem od prawego skrzydła odsłonił całą linię. Nie zostawił nawet linii widet, któreby naczelnemu wodzowi dały wiedzieć, że go z tej strony nieprzyjaciel obchodzi[1]).

Zapyta kto może, co mogło być powodem do takiego postępowania. Odpowiedź dał w kilka dni potem sam Mazzini, kiedy w Rzymie jako tryumwir, przy publicznym obiedzie, odebrawszy wiadomość o porażce pod Nowarą, powstał i zwykłym sobie tonem proroczym rzekł: «Panowie, dziękujmy Najwyższemu! Włochy ocalone, królewskie wojsko w rozsypce (l'Italia e salva, l'armata reale e sbaragliata)». Dla patryotów włoskich szkoły Mazziniego zbawienie Włoch przedewszystkiem wymagało, aby się pozbyć króla, na czele Włoch stojącego. Otaczający Ramorinę mieli bliższy przytem powód do przejścia za rzekę Po: oddzielając od armii głównej dywizyę lombardzką, pragnęli zbliżyć się do Genui, której załoga wkrótce potem otwarcie zbuntowała się przeciw rządowi królewskiemu i zmusiła jenerała La Marmora siłą armat i moździerzy zdobywać to miasto.

---

[1]) Ramorinę, schwytanego w Aronie nad granicą szwajcarską, odesłano do Turynu, stawiono przed sąd wojenny i wyrokiem tegoż sądu rozstrzelano 22 maja. Umarł pogodzony z Kościołem, przytomnie i odważnie.

Tak więc Austryacy, nie napotykając oporu żadnego, całą siłą przeszli Ticino i maszerowali ku Mortara. Tu napotkali pierwszą dywizyę pod dowództwem xięcia Sabaudyi, ale ta dwudziestotysięczna dywizya, chociaż ze starego złożona żołnierza, który w poprzedniej kampanii dzielność okazywał, tego dnia żadnego nie stawiła oporu: przed ośmiotysięczną przednią strażą Austryaków, wbrew rozkazom i mimo nadludzkich wysiłków wodza swego, xięcia Sabaudyi, pierzchła w nieporządku. Jenerał Alexander La Marmora, szef sztabu głównego, pomagając xięciu w gromadzeniu rozproszonych, miał pod sobą ubite trzy konie.

Widziałem w ręku jen. Chrzanowskiego list prywatny, w którym mu x. Sabaudzki rzecz całą treściwie, ale bez ogródki z boleścią opisał. Zdołał przecie x. Sabaudyi nadać kierunek tej ucieczce. Skierował ją ku armii głównej, czem wprawdzie odkrywał stolicę, ale, koncentrując siłę, o tyle bardziej utrudniał Austryakom pominięcie jej, że, zostawiona wtyle, mogła jednym marszem stanąć pod Medyolanem. Feldmarszałek austryacki liczył zapewne na to, że pokonaniem tej armii pod Nowarą zakończy rzecz całą, czegoby nie dokazał zajęciem nawet stolicy, gdyby wojsko nietknięte mogło jeszcze próbować szczęścia.

Pod Nowarą pole do obronnej bitwy wybrał Chrzanowski doskonale. Linia była krótka, trzy tysiące metrów na 57 tysięcy żołnierza; broniło jej sześćdziesiąt dział, oba skrzydła były zasłonione. Wszycy przyznawali, że położenie wojska było takie, iż przy pospolitej bitności, mogło nieprzyjacielowi liczącemu 70.000 zadać wielką klęskę.

Bitwa rozpoczęła się 23 marca o jedenastej przed południem. Nieprzyjaciel bił się miękko, działał samą tylko artyleryą, ale dość było, aby jedna kula uderzyła w naszą kolumnę batalionową, by się wszystko bez komendy wtył odwracało. Dzięki skoncentrowaniu sił mógł Chrzanowski coraz nowem wojskiem, aż do siedmiu razy, zastępować pierwszą linię, pierzchającą zawsze, bo się

żadna część piechoty nad krótki czas ostać nie umiała, a, wistocie, nie chciała. Sztab cały prośbą i groźbą usiłował wzniecić ducha, powstrzymać od ustępowania; wszystko nadaremnie. Mała liczba trwała nieporuszona aż do śmierci, ogromna większość uciekała w rozsypce, nawet jenerałowie. Sztuką było Chrzanowskiego w dniu tym i świadczyło o dzielnej organizacyi wojska, że się linie tylokrotnie w porządku luzować zdołały; tak iż plac boju dopiero przed zmierzchem opuszczony został.

Król przez cały dzień stał, jak zwykle, na przedzie tuż za linią tyralierów pod ogniem nieprzyjacielskim. Trzech oficerów z jego najbliższego otoczenia poległo. Xiążę Sabaudzki i xiążę Genueński chlubnie się odznaczyli; ostatni miał trzy konie pod sobą zabite i pieszo napędzał uciekających napowrót do boju. Chrzanowski osobiście poprowadził szarżę kawaleryi dla obronienia króla od strzelców nieprzyjacielskich, którzy mu zagrażali; kilka razy osobiście dowodził piechotą, wszędzie się znajdował, gdzie większe groziło niebezpieczeństwo, nie tracąc przytem z oka ogólnego planu bitwy. Jenerał Perrone[1]), dowodzący trzecią dywizyą, śmiertelnie ugodzony został w głowę; dzielny i zacny jenerał Passalacqua na miejscu zabity. Z pięciu synów hrabiego Cezarego Balbo, walczących tego dnia, najmłodszy Ferdynand, kapitan, poległ. Z całego wojska jedna artylerya dzielnie się znalazła.

O ósmej wieczorem król posłał do obozu austryackiego jenerała Cassato, żądając zawieszenia broni, Radecki jednak oświadczył, że nie chce rokowań prowadzić ani z królem, ani z żadnym z jego ministrów. Wtedy Karol Albert postanowił zrzec się korony na rzecz syna, mówiąc, że chętnie składa i tę ostatnią ofiarę dla sprawy, której się starał służyć przez całe życie. O dziewiątej wieczór opuścił Nowarę. Wkrótce potem odpłynął z Genui

---

[1]) Były minister spraw zagranicznych.

do Oporto w Portugalii, gdzie w kilka miesięcy życie zakończył.

Nowy król zmuszony był sam udać się do obozu Radeckiego dla prowadzenia rokowań. Zawieszenie broni stanęło 25 marca; pierwszym jego artykułem był włożony na króla sardyńskiego obowiązek rozwiązania legii polskiej; król jednak zastrzegł sobie zatrzymanie w szeregach swego wojska dowolnej liczby cudzoziemców.

Wojsko piemonckie po kilkogodzinnym wypoczynku cofnęło się w porządku ku Manero. Poza Momo wstrzymał Chrzanowski wojsko i w dobrze obranem stanowisku ustawił je w szyku bojowym, co znacznie podniosło ducha w żołnierzu i zwiększyło jeszcze wdzięczność i szacunek dla Chrzanowskiego.

Po zawieszeniu broni wojsko piemonckie przeszło na lewy brzeg Sezyi, której bieg miał oba wojska przedzielać. Tego dnia zakończyła się czterodniowa kampania.

Gdy się dokładnie zapoznałem z przebiegiem dopieroco upłynionych wypadków, zapytałem Chrzanowskiego, czy pomyślał o zdaniu sprawy przed publicznością z tej krótkiej kampanii. Chrzanowski odpowiedział, że raporty ciągle posyłał ministrowi wojny, a że gazetami nie zwykł się zajmować. Zwracałem jego uwagę na obowiązek wykazania prawdy. Nie dał się namówić, sam tedy zasiadłem do spisania faktów, a dopomógł mi do tego jego adjutant, kap. Szemioth, dawny powstaniec litewski, były adjutant jen. Dembińskiego w 1831, bystry, przytomny, świadek całej rzeczy. Opis ten dziennik Débats w Paryżu zamieścił pod dniem 4 kwietnia 1849. Wyznaję, że mi bardzo zależało na zabezpieczeniu dobrej sławy polskiego jenerała, którego wyższych zdolności i nieskazitelnego charakteru mogła jeszcze Polska potrzebować.»

Władysław Zamoyski do brata, Stanisława:

«29 marca 1849, z kwatery głównej w Buronzo, w marszu ku stolicy.

Dzięki Bogu wszyscy nasi w tutejszej służbie wyszli zdrowi i z pomnożonym szacunkiem za odwagę, przytomność, gorliwość do ostateczności, tak dalece, że nietylko nikt nie zrzuca na Chrzanowskiego żadnej winy, ale jednogłośnie przyznają mu trafność, dzielność, nieugiętość, a otaczającym go w sztabie Polakom: pułk. Breańskiemu, kap. Szemiothowi i Witołdowi znaczny udział w przedłużeniu bitwy i w zmniejszeniu klęsk i rozbicia. Wyznaję, że niemałą to jest dla mnie pociechą.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 18 kwietnia 1849.

Chrzanowski podał swój raport do ministra, ale drukować go nie chce. Cały sęk tego niepowodzenia, że wojsko liche, głosić tego wódz nie może i słusznie nie chce bronić siebie potępieniem podkomendnych. Rząd przecie chce coś drukować i to się pisze. Redakcya powierzona oficerowi z Bolonii bardzo dobrze usposobionemu dla nas i zacnemu, pisze przy nas, radzi się, poddaje jenerałowi, pisze prawdę, ale tak, aby o ile możności uniewinnić wojsko okolicznościami. Radecki wygrał, że się nasze wojsko takie okazało liche, jak mu doniesienia pozwalały się spodziewać. Manewr jego byłby go zgubił wobec wojska pospolitej wytrzymałości, udał mu się z wojskiem, które się, że tak powiem, wcale nie biło.

Breański w tej krótkiej kampanii zyskał wiele tu poważania. Sam Chrzanowski przyznaje mu wyższą, niż chciał dawniej uznać, zdolność wojenną, żołnierską. Niewielu jest ludzi zdolniejszych na dowódców brygady i dywizyi. Gdyby Chrzanowski miał podobne przygotowanie przy tylu innych zaletach, byłby zupełniejszy, znać bowiem na nim bardzo, że nigdy nie był frontowym oficerem. Radzić umie, nie rozkazuje, nie jest też tak słuchanym,

jak trzeba. To też wyzyskano go tutaj, nie zużytkowano. Król i ministrowie zrobili z niego swoje narzędzie. Nie umiał wzbudzić bojaźni, ani otrzymać posłuszeństwa. Dał się też oczarować przez króla.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 30 kwietnia 1849.

O czem innem mówić nie można, jak o zwycięstwach madziarskich[1]). Jakże Włochy muszą żałować swego głupiego pospiechu. Ważny nadchodzi moment, ważny wogóle, ważny bezpośrednio dla nas. Na co się Węgry zdecydują? Ważną jest rzeczą pojednanie ich ze Słowianami, bez czego nie mogą stawić czoła Moskwie i ulegną.

Naszym wielkim interesem jest pojednanie Słowian z Madziarami, oraz kierowanie nimi ile można w dobrą stronę. Trzebaby więc mówić do nich w Peszcie, gdzie sejm się teraz zbierze, w obozie, w Wiedniu. To są pierwszej ważności misye! Czy nie rozumiesz, że wartoby było, abyś tam pojechał, to jest do Pesztu? Pomyśl o tem, żebyś to wziął na głęboką uwagę.

Kraszewski[2]) oznajmuje o zmianie opinii w Niemczech względem nas i radzi usilnie, abyśmy kogoś do Frankfurtu posłali, gdzie nas znowu kochają przez bojaźń Moskalów.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 3 maja 1849.

Możnaby tu trwać dla braku lepszego stanowiska i dla poczekania. Ale toby z obowiązku wypadało więcej, jak z rachuby. Chrzanowski się rachubą więcej kieruje, nie uwodzi się tylko uczuciem. Naprzykład nie ma wcale na względzie, że tu kilkudziesięciu jest naszych oficerów

---

[1]) Bema w Siedmiogrodzie, Görgeya na Węgrzech; opanowanie przez powstańców węgierskich Pesztu, utworzenie pod Kossuthem rządu tymczasowego.

[2]) Józef Ignacy Kraszewski (1812—1887), powieściopisarz.

umieszczonych i że mógłby ich utrzymać i wyrobić. Może też i ten zysk niedość ma wagi, mnie to przecież głównie tu przytrzymuje. Niestety sami rodacy psują. Dziwnem zrządzeniem legia polska ani rozwiązana dotąd, ani się rozwiązuje. Ale rząd ogłosił, że wszystkie zaciągi obce mogą się podawać do dymisyi. Zaraz między naszą wiarą, która dziś nie wierzy nikomu, niestała porywczość się objawiła. Z 250, którzy są w legii, 90 podało się do dymisyi, na których zebranie i sprowadzenie tyle wyszło starania i kosztu. Porywają się, sami nie wiedzą dokąd. Chce im się niby boju, nie zaś pracy, jakkolwiek uczyć ich mogącej. Lada nędznik ze złą radą przemaga. Dziwne przytem uleganie pogróżkom niektórych, a na poskromienie tychże brak praw karnych, który całe tu wojsko rozprzęgł. Niecierpliwość tych ludzi taka, że dziś dymisya pozbawia ich nawet sześciomiesięcznego żołdu, do którego mieliby prawo przy rozwiązaniu legii. Prawdziwe obłąkanie! Może to strata niewielka, zawiązek ten przecie mógł zawsze stać się gotowym początkiem do rzeczy większej i ważniejszej. Dotąd przeszkadzali nam obcy, dziś sami rzecz rujnujemy. Znowu nauka: z naszym narodem dorywczym tylko sposobem coś zrobić można, — porządnym i wytrwałym nie.

6 maja 1849. — List Wuja kochanego z 30, zawierający hint bardzo powabny o Peszcie, doszedł mnie wczoraj razem z wiadomością o wkroczeniu do Węgier, do Galicyi i Moraw wielkich sił moskiewskich! I mnie się wydaje, że bytność moja na sejmie węgierskim mogłaby nie być bez pożytku.

Azeglio nie przypuszcza, aby mógł tu potrwać nad parę miesięcy. Ofiarę ze siebie robi dla elekcyi, które groźnie się zapowiadają, ale wstręt ma nieprzezwyciężony do urzędu i do parlamentarnego ujadania się, a nawet i do życia w Turynie, gdzie chorej córki przy sobie mieć nie może.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 13 maja 1849.

Już tedy sztab główny rozwiązany. Chrzanowski, a z nim Witołd i wszyscy, tu przybyli. Wojsko na stopę pokoju przechodzi. Ja zatem podałem się o urlop na rok, bo nie radzi dawać dymisyi, choć wdzięczni tym, co uwalniają skarb od ciężaru. Chrzanowski mocno proszony, aby się nie podawał do dymisyi, pozostaje, acz nieczynny, do czasu. Breański nakoniec dostał dowództwo 11 p. piechoty w obozie. Legia zredukowana do stukilkudziesięciu ludzi, zagrożona rozpadnięciem zupełnem. Ośmiu podoficerów i czterech poruczników może się umieścić w pułkach. Wyższe stopnie pójdą zapewne na pół żołdu.

Ja gotuję się w drogę, sprzedaję konie. Jużbym się nie wahał ani dnia, żebym tylko wiedział, jaką drogą się dostać, od południa czy od północy. Trudności wszędzie mnie czekają.

Tu nic nowego, tylko Azeglio słabnie i upada pod ciężarem.»

《W maju nastąpiła zmiana ministeryum piemonckiego. Na prezesa rady ministrów powołany został Massimo d'Azeglio. Ranny pod Vicenzą od wystrzału karabinowego w kolano w chwili objęcia prezesostwa chodził jeszcze o kuli. Rana jego obok głośnego imienia patryoty, jakie pismami zdobył, przyczyniła się do włożenia nań niewdzięcznego trudu układania się z Austryakami o warunki pokoju. W okolicznościach tak przeciwnych było to zadaniem, któremu sprostać mógł zaledwo taki charakter i taka przeszłość, jaką miał Azeglio. Czuł on to mocno, a przedemną nietylko nie taił swych trudności, ale w niejednym wypadku raczył rady mojej zasięgać. Między położeniem swojem, jako włoskiego patryoty wobec austryackiego najazdu, a całem życiem mojem w walce z najazdem moskiewskim widział podobieństwo, nieraz szukał

natchnienia i otuchy. W ciągłych rokowaniach z naczelnym wodzem austryackim niejedną depeszę układał ze mną w mojem dosyć nędznem mieszkaniu w Turynie na drugiem piętrze, gdzie w częstem niedomaganiu niejedną przecierpiałem godzinę. Pamiętam w szczególności depeszę, w której odpychał żądanie Austryi, by król sardyński wrócił do starodawnej chorągwi i kokardy własnej i zaprzestał używania trójkolorowej, jaką przybrał, kiedy, wkraczając do Lombardyi, zapowiedział, że ta chorągiew odtąd służyć będzie północnym Włochom (alta Italia). W okolicznościach poprzednich, jakie się nadarzały w ciągu tych rokowań, miałem sobie za powinność przemawiać zawsze za radą umiarkowańszą. Potrzeba było Włochom wytchnienia przedewszystkiem; sądziłem, że nie wypada narażać Piemontu na powtórne, a niezwłoczne zmierzenie sił z siłą zwycięskiego wroga. Ale w kwestyi o przybraną dla narodu włoskiego chorągiew, kwestyi odnoszącej się do dalekiej choćby przyszłości, mniemałem, że już nie wolno było żadnemu Włochowi zaprzeć się tej nadziei. Rzecz była drażliwa, jednak Austrya nie widziała potrzeby upierania się przy niej. Zachowanie tej chorągwi było dla Azeglio, dla włoskiego patryoty, pociechą i zasługą.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 18 maja 1849.

Azeglio nie pozbywa się niechęci największej do swego urzędu, nie nabywa też przewagi nad kolegami, bo do tego brakuje mu własnej inicyatywy. Miałby wolę, gdyby miał myśl jasną i wyrobioną, ale tego nie ma. Miły jest, serdeczny, ale nie umie nawet nauczyć się gruntownie jakiego przedmiotu, żeby w nim co postanowić silnie i to przeprowadzić. Odbiera mu też odwagę zakuta i ociężała niskość pojęć i uczuć kolegów jego, tak, że wszystko się o ich martwą bierność rozbija. Ta bierność jest główną cechą ludzi tego kraju. Ona ubezwładniła

Chrzanowskiego tem bardziej i pewniej, że nie widać oporu i że to są ludzie niby dobrzy.

Zerwanie chwilowe układów o pokój podobało się w Londynie i Paryżu: radzi, że mogą protokoły pisać. Austrya zniżyła swe pretensye o połowę, to jest do stu milionów; tu przystanoby na połowę tego. Usiłuję podnieść Azeglia do żądania, aby w traktacie nowym z Austryą był ślad jakiejś przecie troskliwości Piemontu o narodowość włoską pod Austryą. W 1815 roku Austrya coś dla Lombardyi postanowiła i ogłosiła, a nie dotrzymała. Niechże Piemont pobity o to się przynajmniej upomni. Jeżeli się zadowolni zmniejszeniem odszkodowania, to choćby to odszkodowanie nie wiem jak było zmniejszone, zawsze zgodzenie się nań będzie jakby przyznaniem, że ogromne przeszłoroczne usiłowania były szaleństwem tylko; będzie więc milczącem, ale dobitnem oderwaniem się od interesu włoskiego i pozbawieniem Piemontu cechy, bez której utrzymać się nie może, to jest cechy głównego we Włoszech państwa. Myśl ta bardzo trafiła do uczucia pana Azeglio. Robi się w tym duchu memoryał. Ja sam szukać będę w traktatach 1815 roku, coby się użyć dało[1].»

---

[1]) Wynik owych poszukiwań streszczony jest w następującej notatce: «Ani traktat paryski z 30 maja 1814, ani traktat wiedeński z 9 czerwca 1815 nie zawierają żadnego artykułu, zastrzegającego Włochom odrębną narodowość, co więcej, oba zawierają kilka artykułów wręcz przeciwnych pojęciu tej narodowości. Ostatni paragraf artykułu VI z 30 maja 1814 orzeka, że, poza częścią, która przypada w udziale Austryi, Włochy składać się będą z państw od siebie niezależnych, co wyklucza i dla tej części możność niepodległego bytu i oderwania się od Austryi. Artykuł XCV traktatu z 1815, wymieniając ziemie przyznane Austryi, ani słowem nie nadmienia, że obszerny kraj między Tessynem a Adryatykiem jest czemś innem, jak zbiorem lennych xięstw i dawnych udzielnych państewek, obecnie pod panowanie austryackie na nowo przechodzących. W tem znaczeniu wylicza ten artykuł państwo weneckie, xięstwa Medyolanu, Mantui, Trydentu itd.; jak również kraje niewłoskie: Krainę, Karyntyę, Kroacyę. Jednakowoż między jednym traktatem a drugim cesarz austryacki, nie mogąc oczu zamknąć na oczywistość i uważać za zwykłą prowincyę swych włoskich posia-

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«22 maja 1849.

Tu rokowanie przybrało następujący obrót. Austrya zniżyła swoje żądania do stu milionów, a Piemont oświadczył, iż gotów wznowić na tej zasadzie układy, ale żąda, aby przedewszystkiem na zaspokojenie drażliwości całego kraju Austryacy opuścili Alexandryę. Do tego w czasie rokowań i dziś już przed pośrednikami Piemont chce się domagać, aby Austrya przyjęła traktatem względem swych poddanych włoskich obowiązki podobne do tych, jakie traktaty 1815 postanowiły dla Polski. Azeglio przejął się tą myślą, prosił mnie o pismo w tym duchu i posłał takowe żywcem, w dodatku do instrukcyi swoich, do posłów w Paryżu i Londynie. Poślę Wujowi kopię tej ramoty jutro, ale Azeglio przekonany, że reakcya wszędzie górę weźmie i przewiduje, że Moskwa postawi Austryę na nogi. Radby

dłości, których ludność zawsze miała odrębną narodowość, reskryptem z 27 kwietnia 1815 utworzył z nich oddzielne królestwo (lombardoweneckie). Równocześnie nadał temu królestwu początki rządu konstytucyjnego przez ustanowienie dwóch izb w Medyolanie i Wenecyi, koło których skupiały się zgromadzenia prowincyonalne. Ten to reskrypt, a zwłaszcza jego zatwierdzenie pod datą 16 kwietnia mieści w sobie najdobitniejsze uznanie praw narodowości włoskiej.»

W innem piśmie Zamoyski ostrzega margr. d'Azeglio przed powtórzeniem błędu, jaki popełnił Gioberti w przeddzień Nowary: «Wówczas rozpoczęto wojnę dla braku pieniędzy na bieżące wydatki i w przekonaniu, że skoro wojna będzie wydana, kapitaliści przyjdą w pomoc skarbowi. Obecne zaś ministeryum gotowe zawrzeć pokój na warunkach choćby politycznie najgorszych w nadziei, że skoro pokój będzie zawarty, uda się zaciągnąć pożyczkę. Ani wówczas ani dziś nic nie zmuszało i nie zmusza do tak rozpaczliwych postanowień. Jak przedtem tak dziś główną dla Piemontu rzeczą zyskać na czasie. Co zaś do trudności, jakkolwiek przykrej, opędzania wydatków, trzeba pamiętać, że skarb piemoncki należy do najmniej obciążonych w Europie, a pierwszym środkiem zaradczym na niedostatek oszczędność. Dlaczegoż np. opłacać wojsko podczas siedmiomiesięcznego zawieszenia broni jak w czasie wojny? Było to nietylko szalonym wydatkiem, ale i błędem wojskowym. Szkodliwą jest rzeczą przyzwyczajać żołnierzy do żołdów wojennych, gdy nie ponoszą wojennych trudów.»

przeto nie zwlekać do tej chwili zawarcia pokoju, jeśliby pokój dał się podpisać. Skądinąd bez pewnych warunków podpisać nie chce, więc zwłoka nieunikniona. Co przyniesie? Gioberti, zdaje się, trwa jeszcze na poselstwie w Paryżu.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Turyn, 27 maja 1849.

Chrzanowski coraz bardziej chce się uwolnić, ale go tu pragną utrzymać i może utrzymają.

Załączone pismo otrzymało swój skutek[1]). Ministeryum sardyńskie umieściło w swej odpowiedzi na podane przez Austryę warunki artykuł, którymby Austrya, na zasadzie własnego z 1815 oświadczenia, obowiązała się szanować narodowość swoich włoskich poddanych. Ministeryum zrozumiało, że choćby tem wymaganiem opóźniło zawarcie pokoju, ubezpieczy niem własne przed narodem istnienie.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

Turyn, 10 czerwca 1849.

Austrya robi co tylko może na doprowadzenie tu do zawarcia pokoju; Anglia, i Francya nawet starają się podobnie o to, Piemontczyków naglą, wstydzą, straszą. Austrya zniżyła pretensye swoje do 75 milionów. Przysłali tu aż dwie swoje figury perswadować. Ja znowu się rozpisałem o tem do Azeglia. Upominam, jaka to będzie zakała dla Włoch przed światem, nietylko w boju, ale nawet w ofiarach dla przedłużenia zawieszenia broni potrzebnych, okazać taką miękkość, niewytrwałość, niewierność sprawie. Jaki wstyd przed Węgrami i przed zapa-

[1]) W piśmie tem (15 maja 1849) Zamoyski powtarza twierdzenie, że «głównym przedmiotem rokowań nie powinno być targowanie się o wysokość odszkodowania wojennego, ale zdobycie dla Lombardyi i Wenecyi pewnych praw narodowych, że takie stanowisko jest dla Piemontu logicznem następstwem utrzymania się przy trójkolorowej chorągwi, godle jedności Włoch».

leńcami rozbójnikami, którzy w Rzymie przynajmniej bić się umieją.

11 czerwca 1849. — P. Azeglio acz ze smutkiem mniema, że powinien skłaniać się do pokoju. Anglia nagli ich najmocniej, skłoniwszy Austryę do zadowolenia się zmniejszoną sumą do 50 milionów lub mało więcej. Suma ta nie będzie im wypłacona kapitałem, mają się kontentować rentą około czterech milionów rocznie. O tyle dobrze, że im to nie zaraz da środki do gnębienia Węgier. Chyba, że im to Rotszyld znegocyuje. Walczę do ostatniego z Azeglią, upominam, łaję. Anglia najczulej przekłada, że niepodobna żądać od Austryi zobowiązań względem jej własnych poddanych, a Azeglio się daje obałamucić. Dobre serce, ale głowa uboga[1]).»

«Że Austrya cięższej na Włochach nie wywarła zemsty, to głównie pochodziło z trudności, jaką jej zadawały jednocześnie Węgry i to przy zachwianem przez rewolucyę w Wiedniu od samychże podstaw cesarstwie. Prawda, że ta rewolucya pokonaną została, że nowy nastąpił porządek pod młodym cesarzem Franciszkiem Józefem w miejscu Ferdynanda, który złożył koronę. Nie można się było przecież dziwić, że Austrya przedewszystkiem chciała z Węgrami skończyć. Żegnając Massima d'Azeglio poleciłem mu serdecznie wszystkich rodaków w służbie włoskiej będących, w pierwszym rzędzie Chrzanowskiego. Chrzanowski w tę porę doznawał jeszcze samego tylko od Włochów uznania i wdzięczności za oddane usługi. Czuli wszyscy, że się na nim Włochy nie zawiodły, ale on zawiódł się na Włochach, a podziwiali wielkomyślność jego, że w milczeniu z nimi i klęskę i pozór winy podzielał. Niestety w kilka miesięcy później znaleźli się tacy, którym się wydało, że będzie rzeczą godziwą sławę oj-

---

[1]) Traktat podpisany został 6 sierpnia 1849; warunki jego nie były dla Piemontu ciężkie, ale Lombardyę i Wenecyę pozostawiał na łasce zwycięzcy.

czyzny zasłonić zrzucaniem całej winy na nieudolność wodza cudzoziemca. Poczęli go szarpać po dziennikach i spodziewali się choć polemikę wywołać, któraby rzecz w historyi na wątpliwem zostawiła polu. Ale jak na wstępie nie chciał Chrzanowski głosić przed światem niedopisania powierzonego mu wojska, tak i wtenczas na żadną odpowiedź wywołać się nie dał. Ograniczał się znowu do przypominania, że on o całej rzeczy zdawał raporta obszerne ministrowi wojny. Ale niebawem zażądał dymisyi, której mu dać nie chciano, lękając się, że czego nie uczyni póki jest w służbie, do tego uczuje się usprawiedliwionym, gdy się uwolni od dalszego z Włochami stosunku. Tak przetrwał Chrzanowski rok cały[1]). Zastałem go jeszcze w Turynie, kiedy tam wstąpiłem w kwietniu 1850, by zakończyć mój stosunek z rządem sardyńskim i wziąć dymisyę.»

[1]) W czerwcu 1849 został członkiem komisyi do reorganizowania wojska.

VII

KAMPANIA WĘGIERSKA

CZERWIEC — SIERPIEŃ 1849

«Węgrzy, powstając przeciw Austryi w 1848 i 1849, by wywalczyć sobie narodowe prawa, nie rozumieli potrzeby przyznania równocześnie Słowianom, w skład korony św. Szczepana wchodzącym, tychże praw, o które dla siebie słusznie się dobijali. Madziarowie byli istotnie pierwszymi zdobywcami kraju, Słowianie zaś, Serbowie, Słowacy, Kroaci, choć od wieków przez nich podbici, liczebnie mieli nad nimi wyższość i w porównaniu z Węgrami więcej byli zahartowani w rzemiośle wojennem, a przytem byli niezmiernie wrażliwi na niższość swą wobec prawa, choć wielu z nich doszło do bogactw, a nawet otrzymało szlachectwo, w czem niemieccy panujący nie stawiali im trudności. Z tych powodów Słowianie, choć, w Austryi jak wszędzie, odczuwają wobec Niemców głęboką przepaść moralną i pewną pogardę, zostali najlepszym żołnierzem Austryi przeciw Węgrom. Spodziewali się bowiem, że Austrya, osłabiona powstaniem wiedeńskiem i medyolańskiem, nie będzie im mogła odmówić autonomii prowincyonalnej, której napróżno wyglądali od Madziarów.

To wewnętrzne rozdwojenie na Węgrzech, w chwili gdy Madziarowie podjęli ruch wolnościowy przeciw rządowi wiedeńskiemu, dało Polakom sposobność zaraz z po-

czątkiem powstania węgierskiego, do ofiarowania chętnej pomocy krzywdzonym przez Madziarów Słowianom. Oświadczyli się z nią mianowicie ci wychodźcy polscy, którzy oddawna znali uczucia różnych gałęzi rodziny słowiańskiej, z pod berła tak tureckiego, jak austryackiego. Madziarowie, upojeni pierwszemi powodzeniami, nie słuchali ich przedstawień. Później, gdy rząd węgierski lepiej swe siły ocenił, wezwano na pomoc przeciw Austryi jenerałów, oficerów i żołnierzy, których Polska mogła im przeciw rządowi austryackiemu dostarczyć. Wzywając Polaków na pomoc, liczyli węgierscy powstańcy na ich żal do Austryi, na ich zdolności wojskowe, na to, co było wśród nich żywiołu rewolucyjnego, ale nie uwzględniali wcale rad udzielonych im już z początkiem 1848 przez x. Czartoryskiego. Jenerałowie Dembiński i Bem, którzy już w wojnie polskiej 1831 zdobyli sobie imię, wsławili się teraz na czele wojsk węgierskich. Legia polska, licząca kilka tysięcy ludzi, utworzona przez jen. Wysockiego, walczyła chwalebnie w niejednej potyczce razem z najlepszemi siłami węgierskiemi. Ale rozłam ze Słowianami się zwiększał i obie narodowości, skupione często po tych samych miejscowościach, przyszły do takiego wzajemnego rozdrażnienia, że w wielu miastach i wsiach jedni drugich tępili, lub też rodziny serbskie masowo opuszczały Węgry, szukając schronienia za Dunajem u Serbów tureckich. Część Serbii węgierskiej, Wojewodyna (Palatynat, dziś Banat), poddała się biskupowi Rajczycowi, a Kroaci, którzy potężnie się przyczynili do zwycięstwa Austryi we Włoszech, wrócili teraz pod wodzą bana Jelaczyca[1]) zwalczać powstanie węgierskie. Charakterystycznym jest epizod, który się zdarzył w czasie, gdy Madziarowie zaczęli odczuwać, że nie będą mieli dość siły na pobicie Austryi, jeżeli Słowianie zwrócą się przeciw nim. Gdy major

[1]) Józef Jelaczyc z Bużymu (1801—1859), ban chorwacki, feldmarszałek-lejtnant austryacki.

Bystrzonowski, ajent x. Czartoryskiego w Belgradzie, uproszony przez rząd Kossutha[1]), udał się do Wojewodyny ze słowami zgody w imieniu Węgrów, został zaraz na wstępie przyjęty przez straż z dziką nieufnością, a z chwilą gdy zaczął przedstawiać jaką korzyść obu stronom przyniosłoby połączenie swych sił przeciw wspólnemu wrogowi, obrzucono go, mimo jego charakteru posła, pogróżkami, tak wielkie było zobopólne rozjątrzenie.

Madziarowie, pomimo początkowego powodzenia, widząc się coraz więcej zagrożonymi, zwłaszcza od czasu jak Rosya zwróciła się przeciw nim, postanowili uczynić ostatnie wysiłki, aby doprowadzić do pokoju z tymi, których po niewczasie uznali za współobywateli. Wysłany przez Kossutha do Paryża hr. Teleki, błagał x. Czartoryskiego, żeby tenże zechciał sam wspierać Węgry radą i wpływem, a przynajmniej wysłał tam jednego z rodaków swych, by w jego imieniu pośredniczył między Węgrami a Słowianami.

Byłem w Turynie, gdy x. Czartoryski wezwał mnie, abym się udał na Węgry. Właśnie cesarz Mikołaj wysłał swą armię na pomoc Austryi, a pomiędzy powodami, które go skłaniały do wmieszania się w sprawy węgierskie, według własnych słów jego, był i ten, że widzi się zmuszonym zniszczyć na Węgrzech polskich buntowników, którzy i tam ośmielili się wznieść swój sztandar. W Turynie prócz Chrzanowskiego i d'Azeglio nie zwierzyłem się nikomu z zamiaru mego. Azeglio chciał mnie odwieść od puszczania się na tę wyprawę. Błagał jako przyjaciel, żebym jej zaniechał. Zwracał uwagę na to, co mnie czeka na Węgrzech od własnych rodaków, o których wiedział, że po większej części byli wysłańcami naszej

---

[1]) Ludwik Kossuth (1802—1894), adwokat i dziennikarz, w 1849 dyktator Węgier. Demokrata madziaryzujący niemało się przyczynił do rzucenia południowych Słowian austryackich w objęcia rządowej reakcyi. Po porażce schronił się do Turcyi, przebywał w Stanach Zjednoczonych i Anglii, nakoniec osiadł we Włoszech, gdzie umarł jako dobrowolny wygnaniec, nie przyjąwszy ofiarowanej sobie amnestyi.

demokracyi emigracyjnej, ale widząc, że nie zmieniam postanowienia, udzielił mi pomocy, której żądałem, kazał mi wygotować paszport gabinetowy sardyński pod nazwiskiem przybranem (Ludwika Zamconi).»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Genua, 18 czerwca 1849.

Radbym nie odpłynąć stąd bez ostatecznego rozkazu. Musi Wuj przyjąć na się odpowiedzialność tego postanowienia, a mnie pozwolić tej pociechy, że poświęcam się wedle myśli i woli jego, jak i za jego przykładem. Warunek ten i sercu i sumieniu mojemu potrzebny. Kiedy mi Bóg takiego dał przewodnika, powinnością jest moją a razem pociechą, czasem i nagrodą jedyną, żebym czynności moje do jego natchnień stosował. Potrzebuję tego także dla wszystkich, co mi dobrze życzą, a nie zawszeby mnie pochwalili, nie zawszeby nawet mi przebaczyli, gdyby mnie w ich oczach nie usprawiedliwiała zasada całego życia mego, zasada, którą zalecam wszystkim i sam przeto wypełniać muszę: w czynnościach politycznych nie rządzić się pojedyńczem, własnem przekonaniem, ale postanowienia swoje albo stosować do kierunku z góry odbieranego, albo, nadawać kierunek podwładnym. W tym szczególnie razie nie radbym mieć pozór niedowarzonej ruchliwości, ani szukania daremnych awantur. Bóg widzi, że z siłami i łatwość ruchu straciłem, straciłem też wobec potężnego świata rozstroju bodziec niegdyś najmocniejszy, chęć i nadzieję odznaczenia się przez oddaną posługę. Niestety! pole do odznaczenia się takiego dziś nader rzadkie i trudne, jeżeli podobne. Usłużyć dobrej sprawie można jeszcze wierną pracą, najczęściej ukrytą, ale odznaczyć się, świetności jakiej poczciwej dostąpić, to dziś bardzo trudne; dobrego zaś co i ważnego dokazać, — to podobno nie na nasze czasy zadanie!

Wybaczy mi kochany Wuj tę mizantropię niepodobną niegdyś do mnie. Przed odpłynięciem na Bóg wie jaki

czas i jakie koleje nie mogę się oprzeć pewnemu smutkowi. Taka chwila daje silniej uczuć co się przeżyło, co przebolało, ile usiłowań bez skutku się położyło i jaka niemoc do usiłowań dalszych zostaje. Ale w Bogu nadzieja, we własną szczerość i ofiarę wiara, wiara, że Bóg ją przyjmie i da jej skutek, choćby nam samym nie dał go oglądać i nim się cieszyć.

Z Paryża wiadomość o «stanie oblężenia» mniej mnie zajmuje jak brzydka cholera. Pociesza mnie i w części zaspakaja obojętność, z jaką Wuj o niej wspomina, bo to najlepsza ochrona.

19 czerwca. — Otóż i przyszedł list drogiego Wuja, dzięki zań najwyższe. Zaspakaja zupełnie potrzebę sumienia, której doznawałem. Niema dla nas innego pola. A pole to, acz na niem paść możemy i choćbyśmy na niem upadli na długo, niemniej dosyć przedstawia podobieństwa przedłużonej walki, aby na niem warto było i należało ostatek sił naszych położyć. Reszta w ręku Boga.

Sobolewski najmilszy i najpoczciwszy przyjaciel.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Genua, 20 czerwca 1849.

Za parę godzin odpłynę. Polecam się Bogu. Sumienie mam zaspokojone, w jego ręku jestem i chcę być. Im bardziej się czuję bez dostatecznej siły na trudności, które mnie czekają, tem zupełniej na nim jednym polegam. Niech będzie ze mnie do końca użytek, a przynajmniej zupełna ofiara. Nad to uczucie zupełnej ofiary siebie nic w życiu milszego nie doznałem. I dziś mi z tem dobrze i miło i prawie w duszy wesoło i miło Wujowi drogiemu raz więcej okazać moją wierność i przywiązanie.

Biedny, poczciwy Trzeciak! Bóg go pewno przyjął łaskawie! biedniejszy Sierawski! ale Bóg nie tak pewnie sądzi, jak my[1]).»

---

[1]) Tak kap. Trzeciak, jak jen. Sierawski padli ofiarą grasującej wówczas cholery.

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Stambuł, 2 lipca 1849.

Przybyłem tu dzisiaj szczęśliwie i dziś wieczorem ruszam w drogę dzięki nieoszacowanemu Czayce, który umie kochać i serce ująć, ale umie przytem doskonale i praktycznie usłużyć; wszystko przygotował i zaraz mnie wyprawia. I dobrze, bo choć dość byłem szczęśliwy dotąd, nie spotykając, ile wiem, wielu znających mnie, a znających jako tako durzyłem przedsięwziętą jakoby dla zdrowia żeglugą, przecież każdy niemal albo zgadywał cel podróży, albo z zadziwieniem witał, że nie jestem tam. Wyznaję, że mi te domysły nie były przykremi, dziwnie bowiem potwierdzały przekonanie, że mi tam dziś być należy.

Tu nic stanowczego stamtąd nie znajduję, tylko o wkroczeniu Moskali do Transylwanii od południa i spotkaniu krwawem zaraz na granicy, ale nie stanowczem. Bem ciągnie ku nim. Jeżeli mu Bóg poszczęści, to go wkrótce powitam. Pytanie, jak on mnie witać będzie. Czayka mówi, że zażalony na Wuja, cóż dopiero na mnie. Cała moja nadzieja w listach Wuja do niego, które mnie poprzedziły, i w szczerej chęci służenia jego powodzeniu wiele mi starczy wpływu. Najtrudniej mu będzie darować mi parcyalność moją dotychczasową dla Chrzanowskiego.

Czaykowski nie sądzi, by się Chrzanowski Madziarom podobał, którym się Bem podoba z sutych złotych haftów, nietylko z powodzeń. Jednak nie wątpię, że Chrzanowski jeżeli nie przy wojsku, to przy Kossucie może ważne oddać posługi.»

«Nie wysiadając ze statku napisałem do Czaykowskiego, że się chcę dostać do Węgier. Czaykowski przysłał mi swego drogmana, Jana Saiha, ten upatrzył mi mieszkanie w khanie tureckim (oberży). Szło mi o to, żeby ambasada moskiewska nie dowiedziała się o przyjeździe moim. Łatwo przypuszczać mogłem, że gdyby się dowiedziało

poselstwo moskiewskie, żem się puścił pocztą ku Węgrom, mogliby mi zastąpić drogę. Umyśliłem przeto łódką, kaikiem, morzem wzdłuż brzegu popłynąć do Rodosto, by stamtąd dopiero pocztą, wierzchem, puścić się do Widynia.

Czaykowski o przyjeździe moim zawiadomił Reszyda baszę, w. wezyra; wytłumaczył dlaczego nie wstępowałem do niego i wyrobił mi do gubernatorów miast głównych, przez które miałem przejeżdżać, listy, nie wymieniające mojego nazwiska, ale polecające mnie jakoby oficera inżynierów, mającego z polecenia rządu tureckiego zwiedzić główne nad Dunajem fortece.

W Rodosto wsiedliśmy na pocztowe konie. Miałem siodło własne i juki pod rzeczy. Podróż taką zwykli krajowcy odbywać dniem i nocą galopem. Spoczynki bywają tyle tylko, o ile dla pożywienia są potrzebne. Nocą jechałem, tembardziej, że we dnie był upał a pilno mi było. Jeżeli kiedy spocząłem godzin parę po jedzeniu, to w samo południe. Znużenie było dotkliwe, to też jak się zdarzało, że się juki nachyliły, że przeto pocztylion, prowadzący przedemną jucznego konia, zatrzymywał się dla poprawienia juki, tejże chwili zsiadałem z konia i kładłem się na ziemię jak długi, aby choć te kilka minut wypocząć. Ale niczem było moje zmęczenie w porównaniu z dwoma towarzyszami moimi. Ja miałem ciągłą wprawę do konnej jazdy, kochałem się w niej, miałem siodło własne, wygodne i najdogodniejszego mi konia z poczty dawano. Mój Michał od wojny 1831, kiedy służył w dzieciach warszawskich, 6 p. ułanów, nie siedział zapewne na koniu; miał też z poczty ladajakie siodło i konia lichego; gorzko też cierpiał. Nawet drogmanowi, choć urodzonemu Arabowi, ale już wychowanemu w Stambule między Frankami, twarda była ta przeprawa.»

Z dziennika podróży W. Z.:

«6 lipca. — Rano o piątej do Burgas. Po zachodzie słońca w marsz na całą noc do Adryanopola. Kraj dzi-

wnie pusty, choć bogaty. Bułgary. Jedna kura we wsi, goni za nią dziesięciu i kamienują.

7 lipca. — Rano o wpół do trzeciej w Adryanopolu. Śpimy do piątej i w marsz do Filipopoli. Miasto pięknie położone, trzy rzeki; piękny most na Marycy. Opuszczam wielki trakt belgradzki, jaka drożyzna! zwracam na prawo na Wielki Bałkan. Pogłoska o rozbójnikach, nabijam pistolety, pałasz przy boku.

8 lipca. — Spoczynek do wieczora. Kąpiel rano. Modlitwa.

9 lipca. — Eski-Zara, miasto biedne, okolica bardzo żyzna. W marsz przez Mniejszy Bałkan nad rzeczką Bałkan. Między Mniejszym a Wielkim Bałkanem dolina zowie się Doliną Bawełny. Kobiety wszystkie przędą bawełnę po drogach, idąc.

10 lipca. — Rano o czwartej przez Wielki Bałkan, pięknie. Droga poprawiona dla podróży sułtana. Rozbójników niema dawno. W Gabrowa same Bułgary, wyrobniki i kupcy. Około 700 rodzin. Khan dobry. Szkoła. W Selvi śpimy na ulicy, na stołach.

11 lipca. — Rano o piątej w marsz do Plewny. Śniadanie u bułgarskiego chłopa we wsi. Popas i obiad nad rzeką Orszą. Tu ludność większa, wsie częstsze. Plewna, miasteczko rozległe, kilka khanów dość porządnych, widać ruch. Mój pałasz, skradziony, znajduje się.

12 lipca. — Dunaj—jak jezioro. Ogrom ptactwa jakby na Nilu. Pelikany mniej dzikie. Granica wołoska. Wołoszczyzna ogromna płaszczyzna. Brzeg bułgarski wysoki. Michał ustaje. Nadzieja waporu zawodzi, woza niema. Jedziemy o dwunastej w nocy.

13 lipca. — Deszcz. Na stepie tak chmurno, że się jedzie jakby po morzu zielonem, a wygląda się wsi jak żeglarz ziemi. Strudzeni. Wieś licha, same kobiety, ludzie w polu. Śpimy na ziemi pod gołem niebem. Do Lomb na wieczór. Miasteczko żyjące, khan niezły, śpimy do pierwszej w nocy. Michał z rzeczami wozem wyprzedza.

14 lipca. — Rano o wpół do drugiej ruszamy, ja, drogman i surudzi na doskonałych konikach bez rzeczy. Oto mi jazda! Śniadanie i spoczynek o ósmej. O jedenastej do Widynia. U bramy fortecy odbierają broń!

15 lipca. — Niedziela. W Widyniu zostaję, listy piszę. Kąpiel parowa turecka.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Widyń, 15 lipca 1849.

Jutro odbędę dzień kwarantanny na granicy serbskiej. Pojutrze lub nazajutrz 18 dostanę się do Ada Kalessi, stąd dwadzieścia cztery mil, forteczki tureckiej na Dunaju, naprzeciw Orszowy i stamtąd, jeżeli jeszcze można, przeprawię się na Węgry. Jeżeli nie, to będę musiał jeszcze sześćdziesiąt mil jechać dryn, dryn, dryn, jak mój Michał mówi, do Belgradu, by tam u baszy na fortecy, nie u Serbów szukać środków dostania się. Wołoch jeden, znajomy mego drogmana, który jeździł do Węgier za paszportem wyrobionym mu przez Czaykę, tu nam się nawinął. Legia wołoska niby się formuje i tenże Wołoch ma do niej wrócić, mówi jednak, że Madziary samoluby zarozumiałe, że nie chcą nic dla nikogo zrobić, a przeto sami sobie zostawieni muszą pod przemocą uledz, — mimo swej bitności. Legią wołoską dowodzi dziś Skinder bej, nasz niegdyś sturczony Iliński[1])! i chwalą go z niepospolitego sprytu. Winienem przy tej sposobności nadmienić o sprycie doskonałym a wcale innym, o takcie najprzyzwoitszym i o pilności największej naszego drogmana, Jana Saiha. Jego przymioty czynią zaszczyt temu, co go z dziecka niemal wychował (Czayka) i wyrobił na bardzo pożytecznego pomocnika w służbie naszej.

Tu konsul austryacki, Dobrusławicz, Słowianin liberalny. Innego tu niema konsulatu. Cóż to za liche i ubogie miasto, ten Widyń, niby jedno z ważniejszych tureckich. Podróż kosztuje mnie dotąd około 600 fr.»

---

[1]) Antoni Iliński (1814—1861), od 1855, jako Ferik basza, jen. turecki.

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Bern, 9 lipca 1849.

Drogi mój i aż do końca bohaterski! Tu mi Zdzisław (Zamoyski) list twój z 29 maja i 20 czerwca przesłał. Doszedł mię wczoraj.

Piszesz jak święty. Przypomniałeś mi one odezwy z pierwszych wieków, odezwy męczenników do przyjaciół, gdy z prowincyi jakiej szli ku Romcie, gdzie czekało ich męczeństwo. O mój drogi, nie mnie tobie dawać, ale mnie od ciebie brać błogosławieństwo. Jednak, ponieważ żadne nie szkodzi, błogosławię ci, jak przed Nowarą, błogosławię, nie na mocy zasługi żadnej, ale na mocy miłości mej ku tobie.

A więc tak odszedłeś, tak opuściłeś nas! i zapuszczasz się w nieznajome a straszne. Żebym był z tobą, przyznaję, nie byłbym cię puszczał, obwiązałbym cię ramionami i oblał łzami i może zatrzymał. Ale głos sumienia, mówisz, ci kazał, głos obowiązku! Cóż na to odrzec. Skoroś go posłyszał słuchem ducha własnego, daremne wszystkie czy prośby, czy logiczne zarzuty. Jednak mam nadzieję jeszcze, że zatrzymają cię zdarzenia wpół drogi i że do mety fatalnej nie będziesz mógł dojść.

Już wiedzą po szerokim świecie, kędyś się wybrał: już ze Spa o tem mi pisano, nic ukrytego nie może pozostać, czyhać na ciebie, jak na najmilszą pastwę, będą.

Strzeż się, strzeż się, bo strzeżonego i Bóg strzeże! A cóż się stanie ze światem, gdy wszyscy zacni i dzielni przepadną, gdy potop obustronny, i stąd i zowąd, potop bezeceństwa, zaleje ziemię, a was już nie będzie, by Boga przebłagać!

Nie szukaj końca, nie staraj się tak o ostateczną pociechę na ziemi, o śmierć. Są ludzie, którym nie wolno umierać, bo dla wielu życiem się stać mogą przez przykład i cnotę.

W pogodzenie się szczepów nieprzyjaznych nie pokładam wielkiej nadziei. Zdaleka wszystko się uśmiecha, a gdy człowiek się zbliży, widzi, że rzeczywistość inaksza od odbieranych wiadomości.

Na czas i pół czasu, jak mówi Apokalypsis, świat ten idzie pod jarzmo absolutyzmu, bo szukał rozpasancj wolności, bo Boga się wyzuł, bo miał się sam za Boga! Więc poniżonym być musi aż dojdzie do pokory, wszelką pychę złoży pod klęsk brzemieniem.

O zachowaj, zachowaj się aż po dni lepsze, po dni, co nadejdą po dniach tych pokuty!

Ledwo pisać mogę. Od półwtóra miesiąca już leżę w gospodzie tu; nie wiem kiedy się podźwignę. Troska na wsze strony rozdziera mnie. O wszystkich, których kocham, drżę co chwila, a sam czuję się zbezwładnionym, przykutym do łóżka. Czasem, oparty na ręku Orpiszewskiego, kilka kroków ujdę i wracam do łóżka.

Dziękuję ci, dziękuję, o drogi mój, za pamięć twą o mnie, i za list ten, który świętego tchnienia pełen. Dziękuję ci. Będę się modlił odtąd codzień za ciebie. Takim ci sposobem codzień będę zdaleka zasyłał ciche błogosławieństwo. Całem sercem, duszą całą, wszystkiemi modlitwami powierzam cię Panu, Panu, który obrońcą i puklerzem jest!

O drogi mój i bohaterski! jeszcze cię raz przyciskam do serca i błogosławię tobie. Twój do zgonu. Zygmunt Krasiński.»

Michał Czaykowski do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 16 lipca 1849.

Żadnej wiadomości nie miałem od Pułkownika z drogi i to mnie niepokoi, nie wiesz Pułkownik, ile.

Ja zaczynam mój dzisiejszy stosunek od skargi na pp. Lenoira i Bystrzonowskiego, którzy nie starają się o to, aby ich komunikacye w czas dochodziły i obejmowały wszystko, co potrzeba, abym wiedział. Śmiało powiedzieć mogę, że tylko to, co ja wiem i ja robię, to przynosi jakiś skutek, tymczasem ja muszę zasięgać wiadomości od innych, wtenczas kiedy Xiążę Pan ma pięciu ajentów w Belgradzie i na Węgrzech, jednego w Agram.

Do Pułkownika, jako naszego naczelnika, zanoszę skargę i proszę o rozkazy, aby tak dalej nie było.»

Z dziennika podróży W. Z.:

«16 lipca. — Na noc do kwarantanny. O postępie Moskali na Węgrzech najsmutniejsze wiadomości. Już Peszt i Debreczyn od nich zajęte.

«17 lipca. — Spotykamy kuryera austryackiego, bierze mnie za Anglika. Koło Kładowy nocujemy w fortecy Feti-Islam u starego Bim baszy. Wizyta komendanta Serba, Alexandra Śliwicza. Jego postawa, ogromny. Względem starego Turka dumny. Turek nieśmiały. Z tych dwóch postaci jakby przyszłość dwóch ras wskazana. Kolacya u Turka i nocleg!! okropny.

18 lipca. — Rano o dziewiątej przyjeżdżamy do Castello, zamku tureckiego naprzeciw wyspy Ada Kalessi, wyspa—forteca, w ślicznem położeniu, formują razem tak zwaną Bramę Orszowy. Do wyspy małym kaikiem przewożą żołnierze tureccy. Osman bej, Turek wyższego nieco tonu, życzliwy, choć świeżo połajany za zbytnią niby dla Węgrów parcyalność. List doń Mehemeda - Ali baszy ośmiela go. Tu znowu przed Turkiem jestem osobą szczególnie od rządu tureckiego protegowaną. Tureccy żołnierze wiozą nas pod wodę do Orszowy godzinę.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Alt-Orsova, 18 lipca 1849.

Dzięki Bogu piszę z węgierskiej ziemi. Na granicy oficer zapytał nas (po niemiecku), czy trzymamy z nimi. Odpowiedziałem: «Jesteśmy waszymi przyjaciółmi». — Węgier: «Tośmy wiedzieli». — Ja: «Cóż nowego u was?» — Węgier: «Wszystko jak najlepiej». I w samej rzeczy 2 b. m. Austryacy pod Komornem odparci zostali ze stratą 2000 zabitych i 4000 w niewolę wziętych, Moskale nie wsparli Austryaków, zdaleka tylko niby na postrach i na najgorszy przypadek stali; Hermanstadt dotąd od Moskali nie

zajęty, Bem ustąpił ku północy aż pod Bystrzycę. Nie wiem, czy był pobity.

Odprawiam w pospiechu Turków i daję im ten dodatek do wiadomości o sobie dziś rano danych.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«21 lipca 1849.

Wczoraj, w trzydzieści dni po opuszczeniu Genui, a w siedemnaście po ruszeniu ze Stambułu, stanąłem w obozie jen. Veczey, oblegającego Temeszwar, fortecę pierwszego rzędu. Przenocowawszy tam i zwiedziwszy roboty oblężnicze, ruszyłem dalej do Szegedynu, gdzie teraz rząd i sejm z Pesztu się cofnęli. Nie chcąc tam późno w nocy zajechać, zatrzymałem się na stacyi pocztowej, gdzie, przespawszy część dnia, czekając rana, spieszę (przesłać) pierwsze wrażenia moje z trzydniowej jazdy przez kraj ten i z zetknięcia pierwszego z węgierskiem wojskiem. Pierwsze wrażenie moje, wyznać muszę, nie jest dla Węgrów obiecujące. Stan umysłów w wojsku i kraju wiele mi przypomniał to, co u nas było pod koniec 1831 roku! Pojedyńcze osoby i oddziały przykładają się z zupełnem wylaniem do prac sobie powierzonych, ale ciż sami oznajmują brak nadziei i postanowienie tylko umrzeć, a nie poddać się. Wielu środków im nie dostaje. Oblężenie Temeszwaru, dziś największą mające wagę, ciągnie się powoli, choć młody inżynier, który dyryguje robotami, zna rzecz swoją. Ale cóż kiedy nie ma jednego sapera; chłopami, Wołochami, z którymi się tu nikt rozmówić nie umie, wszystko robić musi. Dział dwudziestoczterofuntowych ma tylko sześć, a przytem brak amunicyi! Gubernator Kossuth był sam onegdaj w tym obozie, robót nie zwiedzał! ale zaraz nazajutrz oznajmił, że przysyła z zdobytej świeżo fortecy Arad wiele dział i amunicyi. Z tem pomnożeniem siły jednak inżynier dyrygujący nie obiecuje osiąść na okopie przedfortecznym, naprzeciw jednej bramy, aż za dni dwadzieścia

kilka. Jeżeli przeto nie braknie oblężonym żywności, a małe do tego podobieństwo, to lękać się trzeba, że cała ta praca spełznie przed postępem nadchodzącej od północy siły. Rzecz przecie stoi na tem, czy Dembiński potrafi Moskalom stawić opór. Jemu teraz przy powszechnem zadowoleniu kraju i wojska oddane znowu naczelne dowództwo. Niestety, jak z pod Bolimowa, musiał zacząć od cofania się, od ustąpienia z Budy i z Pesztu. Stoi znowu nad Cissą, kiedy Görgey [1]) w 40 000 został w okolicy Komorna. Dembiński ma mieć 60 000. Żołnierz powszechnie chwalony. Oficerowie mało zdatni i słabego często ducha. Jenerałowie między sobą bardzo zazdrośni, nieposłuszni i osobistemi widokami, jak mówią, nieszlachetnie kierowani. W armii, liczącej 170 000, zaledwie 800 oficerów jest, co dawniej służyli. Zastałem pod jen. Veczey Polaków kilku, wszyscy dawniej w Austryi służyli. Ppułk. Przyjemski dowodzi brygadą z kilku batalionów i szwadronów. Chwalony, podobał mi się. Kap. Dembiński, inżynier, z młodą i ładną Węgierką świeżo ożeniony, która jest w sztabie boginią.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Szegedyn, 24 lipca 1849.

Przybyłem tu onegdaj, poszedłem prosto do gubernatora Kossutha z listem p. Teleki. Przyjął mnie zaraz, ale zrazu źle. Zaczął od oświadczenia, że polityka x. Czartoryskiego jest «nieprzyjazną dla Węgier, a zgubną dla samejże Polski, bo Polska się nie odrodzi, jeśli Węgry ulegną, a xiążę sprzyja nieprzyjaciołom Węgier». Potem z wyrazem, może udanym, oburzenia dodał: «Dla Kroatów, naszych najzaciętszych wrogów, a nie dla nas, stara się pozyskać broń od rządu francuskiego.» Przedtem jeszcze

[1]) Jen. Artur Görgey (ur. 1818), w latach 1848 i 1849 kolejno wódz naczelny, minister wojny i dowódca niezależnego korpusu. Mianowany 11 sierpnia 1849 dyktatorem, w dwa dni potem pod Vilagos, poddał całą swą siłę zbrojną rosyjskiemu jenerałowi Rüdigerowi.

pierwsze jego słowa były: «Co mogę dla pana uczynić?» Niemałe było moje zdziwienie, to też odpowiedziałem: «Dla mnie, panie prezesie? O ile wiem, nic. — Przybyłem tu, bo poseł pański, hr. Teleki, żywo wyraził x. Czartoryskiemu, mojemu wujowi i naczelnikowi politycznemu, życzenie, żebym przyjechał do Węgier, jako poniekąd jego przedstawiciel, ażeby Polska nie ograniczyła się na służeniu Węgrom tylko ramieniem i doświadczonymi oficerami, ale żeby im służyć siłą moralną Polski, jako narodu, przez zewnętrzne stosunki najprzód, a następnie, jak czas nadejdzie, współdziałaniem przez powstanie, o którem myśleć nie przestaje. Gotów jestem, jak to uczynili rodacy, którzy mnie tu wyprzedzili, służyć w waszych szeregach, jeżeli pan prezes uważa, że to byłoby z pożytkiem. Ale x. Czartoryski i hr. Teleki uważali, że mogę stać się pożyteczniejszym, służąc wam jako ajent polski. Pańską rzeczą o tem postanowić. Sprawę węgierską uważamy za naszą i dlatego odpowiednio postępujemy. Waszą rzeczą, panowie, wiedzieć czy nasza sprawa jest dla waszej potrzebnym sprzymierzeńcem.» — Powiedziałem o Kroatach i broni, o którą dla nich Francyę proszono, że jego oburzenie pochodzi z nieporozumienia i że broni dla Kroatów pragniono tylko jako sposobu dla nich do zerwania z Austryą i z banem — i, że xiążę zdał z tego sprawę hr. Teleki, a nawet za zgodą jego krok ten uczynił. Na to gubernator odpowiedział: «Wistocie p. Teleki jest pod urokiem x. Czartoryskiego.» — Dalsza nasza rozmowa przyjemniejszy wzięła obrót. Wdał się w wywody i uwagi o toczącej się walce, o możliwym złym czy dobrym obrocie rzeczy. «Wszakże», rzekł, «chociaż Bóg jeden za nami trzyma, chociaż nie mam ani jednej sztuki złota i srebra po kasach, chociaż mi brak broni i chociaż», — rzekł to z wyrazem bardzo gorzkiego szyderstwa, — «nigdzie nam jej dostarczyć nie chcą inaczej jak za gotówkę!» — Tu się rozwiódł z dramatycznym zapałem o bohaterskiem poświęceniu narodu, które przewyższa nawet jego

oczekiwania, o niezmiernem zaufaniu ku jego osobie, a które sprawia, że choć nie jest mężem stanu, zmuszonym się czuje do trzymania powierzonej mu władzy. Co do Słowian i rzeczy omówionych i spisanych między Wujem a pp. Teleki i Rieger[1]), oświadczył dobitnie, że chce sprawiedliwości i równości dla wszystkich mieszkańców Węgier, ale że nie zezwoli nigdy na rozerwanie jedności politycznej Węgier. Przyznał, że cenne wiadomości i niejedną przysługę zawdzięcza ajentom xięcia w Belgradzie i Konstantynopolu itd. Namówił mnie, żebym się widział z hr. Batthyani[2]) i żebym się do niego wrócił.

Hr. Batthyani, którego widziałem wczoraj i dzisiaj, przyjął mnie o wiele życzliwiej. Z nim rozmowa zwróciła się odrazu na fakta, nie na dążności. Przywiozłem tu ze sobą pana Saiha, drogmana naszej ajencyi w Konstantynopolu. Hr. B. postanowił, zdaje się, mianować go ajentem węgierskim w Widyniu dla załatwiania stosunków na tej linii, jedynej może, jaka im wkrótce zostanie, bo właśnie dzisiaj pisano mu z Belgradu, że słychać tam o zaprowadzeniu w Serbii kordonu przeciw Węgrom.

Powiedziałem panu Batthyani, że rząd turecki upoważnił poufnie pana Alleon[3]) do handlowania węgierskiemi obligacyami z...; da swemu przedstawicielowi w Stambule potrzebne pełnomocnictwo. P. Saih sprowadzać będzie do Widynia towary z Węgier, jak wełnę, płótna, miedź, a prześle natomiast tyle broni, ile będzie można mu jej dostarczyć z Stambułu.

Nie piszę nic o stanie, jaki tu zastaję; rzecz ogólnie źle wygląda. Wolny postęp Moskwy zádziwia, ale nie tłomaczy się stawionym oporem. Więc kiedy się zbiorą i przycisną, to bodaj czy nie roztrącą. Naród szczery i wylany, wpół dziki i tem, w braku organizacyi, mający

---

[1]) Franciszek Wład. Rieger, Czech, działacz słowiański.

[2]) Kazimierz hr. Batthyani (1807—1854), minister spraw zagranicznych przy Kossucie, umarł na wygnaniu.

[3]) Antoni Alleon, bankier w Stambule.

siłę, której nam, więcej cywilizowanym, brakło. Ale u góry komedya się odgrywa. Jest trochę Mickiewicza, proroka, w Kossucie, przytem tchórz. Jednak ubóstwiany, ale czasem tak jak św. Januaryusz w Neapolu oplwany etc. Mnie się wydał nie wiadomym świata, uprzedzającym się bez dostatecznego powodu, i nie umiejącym rozeznać faktów.

Dembiński cofa się ku nam, niema jak 30.000 biednego wojska.»

«Batthyani przyjął mnie bardzo uprzejmie, a wyznał, co mi tłomaczyło obojętne przyjęcie Kossutha, że rząd właśnie postanowił wyprawić dwóch posłów do kwatery głównej moskiewskiej, bo jeszcze trwali Węgrzy w marzeniu, że się Moskwa poczuwać musi do zgody i wspólności nie z Austryą, ale z Węgrami przeciw Austryi. Jakoż odbyło się to poselstwo, ale bez żadnego skutku. W dwa dni po mnie przybył jen. Dembiński. Natychmiast go powitałem; przyjął mnie serdecznie. Pierwszem mojem pytaniem, zwróconem do Dembińskiego, było: «Kto jest szefem pańskiego sztabu jeneralnego? Kto z pośród Węgrów jest pańskim człowiekiem zaufania?» Odpowiedział: «Nie mam takiego, nie ufam żadnemu z nich.» Jednak tytularnym szefem jego sztabu był jen. Meszaros[1]), pod którym, gdy tenże był wodzem naczelnym, Dembiński rozpoczął służbę na Węgrzech, jako szef sztabu jeneralnego. Później prosił Meszaros u rządu o pozwolenie zmiany odpowiedzialności, tak że Dembiński został wodzem naczelnym, a on zajął obok niego miejsce szefa sztabu jeneralnego. Zostałem mu przedstawiony przez Dembińskiego i zachowałem pamięć pełną szacunku i sympatyi dla tego szlachetnego charakteru, o umyśle pełnym wdzięku, który, widząc, że jest tylko świetnym oficerem huzarów, z prostotą oświadczył, że nie jest od-

---

[1]) Jen. Łazarz Meszaros (1796—1858), przez krótki czas minister wojny, wódz naczelny i szef sztabu głównego. Słynął z nieskazitelności charakteru, miłości ojczyzny i dowcipu. Umarł wygnańcem.

powiednim na stanowisko wodza naczelnego. Dembiński, który w 1831 zasłużył w Polsce na przydomek «wodza szczęśliwych odwrotów», opierał się na przyjaźni Meszarosa, ale za najmniejsze szczegóły dowództwa sam odpowiadał. Z pomiędzy swych adjutantów najczęściej używał majora węgierskiego... i kapitana polskiego, Jordana. To też jak tylko mnie zobaczył, nie wchodząc w to, że nie należałem do armii i nie prosiłem, by do niej należeć, rzekł: «Liczę na pana, że mi pomożesz.»

Przybyła też z wojskiem pod Szegedyn i polska legia pod jen. Wysockim. Udałem się natychmiast do niego, a nie zastawszy, o tyle dobitniej przed oficerami jego sztabu powtórzyłem, co mówiłem rodakom pod Temeszwarem, że przyszedłem jako ajent polski powitać dowódcę polskiej legii. Tegoż wieczora przyszedł do mnie jen. Wysocki, jakby rozczulony i ujęty. Od tej chwili utrzymał się między nim a mną i wszystkimi w służbie węgierskiej Polakami najprzyjaźniejszy stosunek tak w Węgrzech jak potem na tureckiej ziemi.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Szegedyn, 28 lipca 1849.

Jutro będzie tydzień jak tu jestem. Dotąd nic a nic pomyślnego upatrzyć nie mogłem, a wszystko, co widzę, jest takie, że rozpaczać o tej sprawie każe. Nieład przechodzi pojęcie; wszystko zdaje się być jedynie fanfaronadą próżną i niemyślącą u masy, u przywódców zaś niegodziwą.

W sam dzień przybycia mego napisałem pewną okazyą do jen. Dembińskiego. Nazajutrz odebrałem odpis jego. Załączam takowy. Maluje stan rzeczy. Tegoż wieczora sam tu przybył z jen. Meszaros. Wiedzieliśmy, że w wilię rada ministrów była burzliwa i potem sesya tajna sejmu z powodu bezrządu w wojsku. Kossuth pojechał, nie powiedział, gdzie. Kazał czekać na siebie. Mówią, że się chciał zetknąć z Görgeyem, spodziewanym od Miskol-

cza na lewym brzegu Cissy. Dziś czwarty dzień, nie słychać o nim. Obrażony na Dembińskiego, bo mu Dembiński twarde mówi prawdy, a Kossuth przeciwnie pochlebstwo lubi. Mówią, że znowu Görgeya chce robić wodzem naczelnym. Ale i o Görgeyu dziwne pogłoski i podejrzenie, że nakształt Krukowieckiego sobie postąpi.

Tu gotują linię obronną na niezmierzonej otwartej płaszczyźnie. Korpus Perczla, to jest Dembińskiego, ma to zająć. Liczy 25 000 słabego bardzo wojska i słabej artyleryi, najwięcej trzyfuntowej. Ściąga do niego kilka tysięcy lepszego wojska od południa pod jen. Guyon. Czy Görgey potrafi się tu połączyć, rzecz wątpliwa. Dziś wiadomość, że 15 000 Moskali przeszło pod Tissa-Fured. Pytanie, czy odcinają Görgeya lub nie, bo Görgey nie zwykł o sobie donosić. Ma przecież sam wybór wojska, 25 000 w tyle armii Paskiewicza.

Chęć bronienia tu linii zaledwie narysowanej na terenie, a dwie mile długiej, jest szaleństwem, które może sprowadzić klęskę stanowczą, — jak obrona Warszawy. Ale najgorsza okoliczność jest wyłamywanie się jenerałów z pod komendy starszych, co patrzących na to niepokoi wprawdzie, ale bynajmniej nie przejmuje potrzebą zaradzenia złemu przez nieubłaganą surowość. Co gorsza, gubernator w swej wielkiej próżności ośmiela podrzędnych do niekarności, korespondując z nimi wprost, Dembińskiemu mianowicie zazdrości, choć w jego wyższość pojęć wojennych wierzy.

29. — Gubernator wrócił wczoraj, podobnie i Dembiński z Meszarosem. Ci dwaj od dni kilku błąkają się bez komendy! Od Görgeya niema wiadomości. Więc znowu mniemają, że Dembiński uproszony będzie do naczelnego dowództwa, nawet bez Meszarosa, który się chętnie usunie. Ale Dembiński ma sprawiać to dowództwo przy gubernatorze, nie odstępując go, a zdając na czterech pojedyńczych, odrębnych dowódców kierunek czterech

korpusów. Takimi są: Görgey, Perczel, Bem i Vetter. To się ma dziś rozstrzygnąć.

Powiększa się podobieństwo obrony linii przed Szegedynem. Jużby lepiej było samego bronić miasta, mając za sobą cztery mosty z szańcami. Miasto to jest tak szeroko budowane, że palące się w niem domy niewieleby szkodziły obronie, a słabe wojsko między murami, acz rozległemi i rozrzuconemi, lepiejby się broniło. Możeby i ludność zacięta, bo taką jest, w takiem położeniu, z kosami, pikami, rożnami etc., któremi jest uzbrojona, dała jaką pomoc.

Jen. Perczel, mający jakiś urok patryotyzmu, tak, iż mu się roi o dyktaturze, jest popędliwy do szaleństwa, a przytem niekonsekwentny, niestały. Dotąd niby kochał i cenił Polaków. Onegdaj dla błahej przyczyny przed frontem tak zelżył legię polską i niby wszystkich tu służących Polaków, że cała legia wymówiła dalszą służbę, jeżeli jej satysfakcya nie będzie daną. Wysocki, jenerał, w którego dywizyi jest legia, wystąpił z ostrym listem do Perczla, a od rządu zażądał głośnej reparacyi. Ten wypadek i wiele podobnych, codzień zachodzących, okazuje stan wojska nędzny, a usposobienie Węgrów ku nam bardzo obojętne i niewdzięczne. Odznacza się tem uczuciem głównie sam gubernator. Jeden Wysocki ma u niego trochę łaski, bo mu pochlebia. W dzień wyjazdu stąd, gdy spotkał Dembińskiego, mówił mu Kossuth o mojem przybyciu, ale mówił głównie to, co mnie, że «polityka x. Adama jest Węgrom przeciwna, że xiążę o broń dla Kroatów się stara». Wszystko, co mu na to powiedziałem, widać, nie zrobiło wrażenia. Tak sobie zgóry postanowił. Lękam się, że widzi w nas ludzi należących do arystokracyi europejskiej, bo wiem, że i on i niemal wszyscy tu wyglądali zbawienia od wzięcia góry czerwonych we Francyi, a Wysocki miał u nich z tego znaczenie, że z nimi ma dawne stosunki.

Wczoraj sejm na sesyi publicznej postanowił pewne zasady prawodawstwa względem różnych na Węgrzech narodowości. Ma to być ogłoszenie równych zupełnie praw politycznych dla wszystkich jakiegobądź rodu i wyznania mieszkańców, oraz przyznanie wszystkim prawa używania swych języków według miejscowości do spraw komunalnych i sądowych i we wszelkich do rządu centralnego podaniach, ale jedność polityczna w języku wyłącznie madziarskim wyobrażać się ma. Opierali się żywo niektórzy zacięci Madziarowie, ale rzecz przeszła wielką większością, a większość ta głosowała w uczuciu, iż dla zbawienia ojczyzny robi wielką ofiarę. Wątpię, aby to Serbom wystarczyło. Ale ich także żądania są przesadzone; przytem dali się pobić, choć szukali pomocy u Austryi i Moskwy, dziś zaś prawie z kraju wypędzeni. Nigdy też w wielkiej części Wojewodyny, przez którą, to jest przez Banat, jechałem, ludność przemagająca nie jest bynajmniej serbska, jest raczej wołoska licznie z Niemcami pomieszana, tak iż gdyby po Marosz ustanowiła się politycznie narodowość wyłącznie serbska, byłoby to dla większej części ludności taką krzywdą, jaką dziś jest przewaga madziaryzmu. Kraj ten w istocie wojnami tureckiemi tak był wyludniony, że go obce zewsząd szczepy koloniami odżywiły. W jakich granicach szczep serbski istotnie przemaga, ocenić nie miałem sposobności. Ale, jadąc przez kraj od Orszowy do Szegedynu, nie widziałem prawie Serbów ani Madziarów, a natrafiłem na samych Wołochów i Niemców.

Dembiński mocno rozstrojony. Żałuje, że prędzej tj. po pierwszych zaraz uchybieniach sobie nie odjechał. Izba się odroczyła, dając ministrowi skarbu upoważnienie do pożyczki 60 000 reńskich.

29 lipca w nocy. — Dziś dywizya Guyona od południa przymaszerowała, 8 000 żołnierza dobrej postawy i czterdzieści dział. Perczel dziś także przymaszerował. On także ma do pięćdziesięciu dział, ale jego 25 000 ma być

młodszego wojska. Z taką siłą chcieć trzymać linię dwie mile długą! Spodziewają się widzieć nieprzyjaciela przed tą linią pojutrze. Pięć godzin mija, jak rada wojenna radzi, a wojsko dotąd jest bez wodza.

Jan Saih wzięty jest na czas do służby węgierskiej na ajenta, rezydującego w Widyniu. Otrzymał już znaczny forszus w brzęczącej monecie na wydatki do utrzymania tej komunikacyi. Pan Batthyani przyjął odemnie tę pomoc. Czy p. Kossuth wie o tem, nie wiem, ale co wiem, to, że mało nam za to okazuje wdzięczności. Dziś przy przeglądzie wojska musiałem aż z efronteryą podejść ku niemu, żeby mi się ukłonił. P. Batthyani bardzo przyzwoity. Co wieczór u żony, a niemal i co rano, go widujemy.

Bem, dnia 25, doniósł, że nazajutrz wkroczy na Mołdawię, obszedłszy, nie pobiwszy, nieprzyjaciela. Krok taki, bez rozkazu dopełniony i rządowi zameldowany bez objaśnień, maluje porządek, jakim się ta sprawa toczy. Stoi ona niezaprzeczenie swoim nierządem przy entuzyazmie ciemnego ludu. Ale jak długo stać będzie?!»

Władysław Zamoyski do Michała Czaykowskiego:

«Szegedyn, 30 lipca 1849.

Napisałem do xięcia list otwarty na ręce Lenoira i ten podobnie dołączam z wiadomością o wczorajszej radzie wojennej. Trwała od siódmej do trzeciej rano. Perczel tak się zaciął na gubernatora, że go lżył słowami i aż pałasza dobył. Wszyscy jenerałowie powstali przeciw niemu, został zdestytuowany. Potem Dembiński, do naczelnego dowództwa wezwany, przyjął z zastrzeżeniem, że mu nikt krępować władzy nie będzie, do czego się i gubernator solennie zobowiązał. Miał po radzie wojennej długą z gubernatorem rozmowę. Wszyscy niżsi jenerałowie oświadczają swą radość zupełną z powodu dowództwa Dembińskiego, on, według swego zwyczaju, sam w sobie zamknięty, ukrywa przed wszystkimi swe za-

miary. W masach ma Kossuth wielki, ogromny jeszcze urok. Ale w wyższych stopniach wiele utracił powagi, wiary, nawet szacunku.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«30 lipca 1849.

Mój drogi i kochany Wuju. Spieszę zaspokoić względem wpływu, jaki wola Wuja wywarła na obecną podróż moją. Niech Wuj nie turbuje się tą odpowiedzialnością. Samą z tego mam korzyść i przed ludźmi i, mam nadzieję, przed Bogiem. Jeśli mnie Bóg stąd wyprowadzi, będę miał z bytności tu wspomnienie przyjemne, jak z każdej ofiary niesionej dla sprawy, która dla nas jest świętą. Jeżeliby mnie tu Bóg naznaczył koniec, — to doprawdy nie należałoby mnie żałować, bo mam duszę zmęczoną bardzo i czuję, że spoczynek jej będzie miły, mimo rzewnego i czułego żalu, że tylu kochanych i drogich rzucam, ale z nadzieją, że się połączymy tam, gdzie już zawodu nie będzie.

Źle to może przyznawać się do upadku sił i serca, zwłaszcza przed Wujem, któremu Bóg dał siłę na dłuższą wcale jak nam pracę. Ależ bo nam się trafia pora bardzo zawodna i taka zaciemniona przyszłość i podobieństwo przymuszonej nareszcie nieczynności i takiej samotności!»

«Po chwili bolesnego wahania zdecydowano, że miasto Szegedyn nie obroni się i że armia węgierska przejdzie na drugi brzeg Cissy do Temeszwaru i na granicę górską Siedmiogrodu za Lugosz, gdzie Banat jest ogromną otwartą niziną, zaledwie kilku bagnistemi strumieniami przeciętą, a pokrytą, właśnie w tej porze, najpiękniejszemi plonami. Obszary, jak okiem sięgnąć, pokryte były kukurydzą o grubych łodygach, często tak wysokich, że konnica mogłaby się w nich ukryć. Armia węgierska liczyła kilka tysięcy huzarów, dobrze zasłużonych, ale duch osłabł we wszystkich. Prócz tego miała

cztery piękne szwadrony ułanów polskiej legii, którzy mieli bateryę artyleryi.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Z obozu pod Szöregh ½ mili od Szegedynu nad Cissą, 2 sierpnia 1849.

Dembiński, rozpoznawszy linię długą na 5 do 6 mil, umocnioną przez dwanaście zaledwie naszkicowanych redut czworobocznych, uznał niepodobieństwo obronienia jej z wojskiem, chętnym do ataku, ale niezdolnym jeszcze utrzymać się czas dłuższy pod ogniem armatnim.

Wczoraj wojsko opuściło linię i miasto. Jen. Wysocki z legią polską tworzył straż tylną, nie zaczepiono go. Nieprzyjaciel dopiero dziś zajął miasto i to małą załogą. Niewiadomo, gdzie się główne siły jego znajdują; część pomknęła wzdłuż Dunaju jakby dla podania ręki Jelaczycowi, Haynau[1]) trzy dni temu był w Keczkemet, a Paskiewicz prowadził pod Tokayem rodzaj politycznych rozmów z Görgeyem, namawiając go, by się poddał za rękojmią Rosyi. Ta okoliczność wznieciła niepokój, upadek ducha okazuje się między oficerami, nadzieja stawienia oporu opuszcza ich i na Görgeya padają posądzenia, choć on z pomiędzy jenerałów węgierskich uchodzi za najzdolniejszego.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Z linii naprzeciw Szegedynu o ¼ mili, na lewym brzegu Cissy, 4 sierpnia 1849.

Wczoraj nieprzyjaciel zmusił nas do bitwy, która się przeciągnęła do późnej nocy, dając jemu czas odbudowania mostu, zniszczonego przez nas onegdaj. Atak był ostry, nasz opór słaby, gdyż trzeba nam było bronić przeprawy na kilku naraz punktach, a mieliśmy zaledwie

---

[1]) Julian bar. v. Haynau (1786—1858), jen. austryacki. Odznaczył się srogością przy tłumieniu ruchów narodowych we Włoszech i na Węgrzech. Przezwano go hyeną z Brescii.

11 000 wojska. Dziś rano korpusy Guyona i Galla, następcy zrzuconego Perczela, złączyły się z nami o świcie.

Jen. Dembiński, dziś na czele trzech korpusów, około 35 000 żołnierza, postanowił utrzymać się tu na stanowisku pod względem taktycznym korzystnem.

Młode wojsko, którem dowodzi, umacnia się na duchu, widząc, że po wczorajszem starciu trwa na miejscu, zamiast zamęczać się długim i uciążliwym odwrotem, jak dotąd bywało po spotkaniach z nieprzyjacielem.»

Tu list przerwany przypiskiem Dembińskiego:

«Dodaję słów parę, kochany i czcigodny Xiążę, by wyrazić ci serdeczne moje uczucia i życzenie, jeśli nie nadzieję, abym mógł raz jeszcze w życiu wypowiedzieć je ustnie. Serdeczności zasyłam Barzykowskiemu, który ani razu do mnie nie napisał, i poczciwemu Sawickiemu. Uszanowanie dla Xiężnej. Henryk Dembiński.»

Dalszy ciąg listu Zamoyskiego:

«Wuj z przyjemnością przeczyta tę parę słów, choć pozna z nich górujące tu między dowódcami uczucie zniechęcenia, a co do dzielnego i zacnego Dembińskiego i jego postanowienie narzucania się śmierci do ostateczności. Tak właśnie czynił wczoraj i dziś pod ogniem działowym.

Legia polska tworzy tu jakby czwarty korpus oddzielny. Ma dobrą postawę. Pozatem wszystkie bataliony i szwadrony wojska węgierskiego mają Polaków w szeregach i wśród oficerów; zaręczano mi, że jest ich kilka tysięcy. To pewna, że coraz słyszę polską mowę w dodatku do pięciu czy sześciu innych języków, właściwych temu krajowi. Wczoraj, w chwili gdy nieprzyjaciel nas odpierał, jeden z pułkowników przybył zdać o tem z rozpaczą raport i błagać o pomoc. Dembiński mu odpowiada: «Już posłałem polski batalion, czy on także z pola zszedł?» — «Nie» — odpowiada pułkownik — «Polacy nie cofają się.» —

Ich sława jest rzeczywiście ustalona i doskonała. Wczoraj ten jeden batalion stracił pięciu oficerów! a Jordan, jeden z dwóch (braci), których Wuj znasz, kapitan sztabu głównego, przez dwadzieścia cztery godzin dowodził z odznaczeniem obroną, podczas przygotowań nieprzyjaciela do przejścia rzeki. Ciężko był ranny w nogę. Jenerał przedstawił go do awansu na majora i do krzyża.

Wojsko węgierskie liczy jeszcze około 165 000, ale Dembiński nie ma, jak pisałem, z tej liczby i jednej trzeciej. Bem wkroczył do Mołdawii. On zawsze działa na własną rękę, a o swych ruchach ostrzega co najwyżej po ich dokonaniu. Fortece też dużo wojska pochłaniają. Wreszcie Görgey i Vetter działają odrębnie, co mogłoby przynieść korzyść, gdyby jakieś najwyższe a mądre kierownictwo nadawało ich ruchom pożądaną spójnię i gdyby ci poszczególni dowódcy byli ludźmi doświadczenia i talentu. Tymczasem z pomiędzy różnych wojsk, jakie dotychczas w boju widziałem, to jest najmłodsze i najbardziej musi zastąpić zapałem wszystko, co mu zbywa na najpilniejszych potrzebach, o zaspokojeniu których nikt nie pomyślał. Żywności wszakże dostatek i wogóle wydziwić się nie mogę, że rzeczy przecież jakoś idą mimo braku ładu i organizacyi, do jakich przywykliśmy na Zachodzie. Pod tym względem byłaby tu dobra szkoła, jeśli tylko powodzenie ich uwieńczy. Tymczasem jestto dowód niesłychanej zasobności kraju.

Moje zdrowie nie złe. Nie opuszczam sztabu głównego, gdzie bardzo są na mnie łaskawi. Jen. Meszaros, zgodziwszy się na przyjęcie tytułu naczelnego wodza dla uśmierzenia drażliwości niektórych naczelników względem Dembińskiego, pozostaje obecnie przy nim jako szef sztabu. Jestto człowiek niepospolicie odważny i bardzo uprzejmy.

Wszelkiej polityki tu na razie zaprzestano. Sejm jest odroczony po wspaniałym akcie z r ó w n a n i a wszystkich narodowości i wszystkich wyznań na Węgrzech; Madziar

zostaje tylko jako symbol jedności narodowej. Gdybyż to byli uczynili przed ośmiu lub dziesięciu miesiącami!

P. S. Rząd dopieroco postanowił, że pięć wojsk odrębnych działać będzie każde na swoją rękę, a związek między ich działaniem utrzymywać się ma za pośrednictwem ministeryum wojny!»

Michał Czaykowski do Władysława Zamoyskiego:
«Konstantynopol, 7 sierpnia 1849.

Wkroczywszy do Mołdawii napadł jen. Bem na jen. Moller koło Niamtzi. Zabił mu 2500 ludzi i wziął siedem dział. Magazyny rosyjskie zostały zniszczone.

Jen. Bem cofnął się z powrotem do Siedmiogrodu, pozyskawszy sobie najwyższą sympatyę u ludu mołdawskiego.

Wejście Bema na terytoryum multańskie nie sprawiło wcale na Turkach przykrego wrażenia, zachwycano się jego świetnemi zwycięstwami.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:
«Czatad, wpół drogi między Szegedynem a Temeszwarem, 7 sierpnia 1849.

Pisałem z linii Szegedynu i mówiłem, że korzyści taktyczne tego stanowiska zatrzymują na niem Dembińskiego, mimo przewidzianego z góry niepodobieństwa przeszkodzenia nieprzyjacielowi w przejściu Cissy na kilku naraz punktach, coby ogromnie utrudniło odwrót z chwilą, gdyby przewaga nieprzyjacielska do niego zmusiła. Jądro tego stanowiska tworzy grobla milę długa, prostopadła do Maroszu, wysoka na siedem do dziesięciu stóp, oparta prawym swym bokiem o Marosz, którego prawy brzeg jest błotnisty. Przed tą zaś groblą rozciąga się aż do Cissy i przedmieścia Szegedynu płaszczyzna na odległość strzału armatniego (na której stał nieprzyjaciel). Nasze lewe skrzydło zasłonięte było lasem, obsadzonym przez piechotę i artyleryę. Trzeciego, nieprzyjaciel wdarł się na przedmieście. Czwartego po dwakroć, rano i wieczór,

macał nas armatami, oczywiście w nadziei, że rzucimy pozycyę bez wystrzału. Piątego rano taż sama próba, podobnież zaniechana, wobec naszej dzielnej postawy. Wreszcie piątego popołudniu, patrol, który strzegł rzeki (Cissy) pod Kanizą, zaraportował, że był zmuszony ustąpić ze stratą i że nieprzyjaciel przeszedł most w znacznej sile, a równocześnie doszła nas wiadomość, że stanął w Mako i buduje most na Maroszu. Z tą chwilą nie pozostawało Dembińskiemu nic innego jak pozycyę rzucić; utrzymał się na niej dość długo, by ściągnąć prowiant z całej okolicy poza frontem i osłonić rząd, który się schronił do Aradu.

Odwrót rozpoczął korpus Galla, za nim ruszył korpus Guyona i legia polska. Na linii pozostały tylko 2 dywizye z 40 działami i jazda, lasek na lewo opróżniliśmy, gdy nieprzyjaciel, ośmielony swem powodzeniem pod Kanizą, zaatakował nas wszystkiemi siłami. O piątej wieczór bitwa wrzała wzdłuż całej linii i na naszem lewem skrzydle, które, jako odkryte, zostało z łatwością okrążone. Ogień był obustronnie żywy; potężna artylerya nieprzyjacielska wysunęła się na odległość strzału kartaczowego. Około siódmej wieczór nasz środek w sile trzech batalionów, zdemoralizowany atakiem flankowym z lewego boku, zachwiał się, pociągając za sobą jedną baterye. Wówczas kawalerya jen. Dejöffi, dotąd w drugiej linii, podzieliła się. Jedna część pod gradem kul zasłaniała środek od rozbicia, druga, znaczniejsza, wspaniałemi szarżami powstrzymywała napór wroga na lewem skrzydle. Dzielne huzary, przepędziwszy kirasyerów nieprzyjacielskich, cofnęły się z kolei, ustępując pola ułanom polskim. Widok ich lanc, pochylonych do ataku, powstrzymał wroga; nie ośmielił się z nimi zmierzyć. Tymczasem piechota, zbyt młoda, aby wytrzymać ogień armatni równocześnie z przodu i na tyle lewej flanki, opuszczała groblę. Odłamek granatu trafił Dembińskiego w chwili, gdy, jak zawsze na czele, zwijał prawe skrzydło ku środkowi i rozpoczy-

nał odwrót. Niezadługo potem miał pod sobą ubitego konia, a jego adjutant padł ranny tuż przy nim. Dalszy odwrót odbywał się pod osłoną kawaleryi. Zapadająca noc ułatwiła nam cofanie się przez niezmierzoną płaszczyznę, pozbawioną wszelkiego punktu oparcia. Feldmarszałek Dembiński, na koniu mimo ubezwładnienia prawej ręki, utrzymywał swą obecnością porządek wśród cofających się kolumn, wobec groźnego niebezpieczeństwa. Szczęściem, mimo pełni księżyca, która mogła stać się dla nas fatalną, nieprzyjaciel nie odważył się na pościg. Jego straty były równie znaczne, a może znaczniejsze od naszych, bo nas zasłaniała podczas całego trwania bitwy grobla, a on stał na otwartem polu pod naszym ogniem.

Pod wsią Beba, o dwie mile od pola bitwy, rozłożyło się wojsko obozem i na nowo się połączyło. Ze świtem dalszy odwrót, ale już o dziewiątej jazda ustawiła się w szyku bojowym na obszernej płaszczyźnie pod O'Bessenio i wykonała kilka świetnych szarż. Podczas jednej z nich, jen. Guyon, padłszy z koniem, odbity został z rąk wroga dzięki męstwu swych huzarów. Z wieczora kawalerya nasza zajęła stanowisko pod wsią Küstereni. Nieprzyjaciel zmylony zgrabnym manewrem i tęgością, jaką wojsko nasze okazało tego ranka, ściągnął piechotę i gotował się do ataku na wioskę w sile trzech kolumn. Zastał ją pustą, a nasza straż tylna zyskała na nim do wieczora godzinę drogi. Główne siły nasze obozowały tymczasem spokojnie pod wsią Komlos. Feldmarszałek Dembiński, choć ranny, ostatni przybył na miejsce spoczynku, nie zsiadłszy z konia przez osiemnaście godzin z rzędu. Siódmego nieprzyjaciel nie pokazał się, nasze wojsko mogło wypocząć i zaopatrzyć się bez pospiechu w żywność, dziś wieczór obozuje w Czatad. Oddziały nasze z Kanizy i Mako już się z nami połączyły, a z dywizyą Kmeti, ściągniętą z nad dolnej Cissy, osiągnęliśmy styczność, ma ona zaatakować prawe skrzydło wroga, skoroby się odważył nas zaczepić.

Opowiadam, com widział, nic nie dodam o planach ani o dalszych możliwościach tej walki, niestety zbyt nierównej, choć jednomyślna ofiarność ludności może potrafi wpłynąć jeszcze na jej przebieg. Trudno wszakże nie ubolewać nad dziwnem zaślepieniem rządu węgierskiego, który swoje młode wojsko, i tak małokarne i nietęgie, pozbawia samochcąc jednolitego dowództwa, tego głównego warunku powodzenia.

8. — Dla najbliższych dodam, że gdy nasz środek począł się chwiać, jen. Dembiński wyprawił mnie do kawaleryi jen. Dejöffi. W tejże chwili nieprzyjaciel ukazał się na naszem lewem skrzydle. Uradziliśmy z jenerałem podzielić kawaleryę, przyczem on z główną siłą skierował się na lewo, ja z ośmiu szwadronami wypełniłem lukę, powstałą w środku. Ruch nasz okazał się nader trafny. Huzary dzielnie poszły za mną i nieustraszenie pod ogniem kartaczowym zasłaniały ucieczkę piechoty. Oficerowie i wiarusy dali przytem takie dowody zaufania i dobrej woli swemu przygodnemu dowódcy, że, wyznam, miłemi mi one były. Szczęśliwym trafem napotkałem, jadąc na ich czele, Dembińskiego, w chwili gdy go kula trafiła. Pozostałem przy nim tego wieczora i nazajutrz. Żelazne siły ma ten człowiek, moje ucierpiały nieco podczas osiemnastogodzinnej jazdy w dniu 6-go. Dziś mam się dobrze. Proszę udzielić tych wiadomości Dudleyowi i moim.»

« Odwrót przeciągał się dni kilka aż pod Temeszwar. Nigdzie się nie upierano, ale wszędzie porządek był przestrzegany, dzięki zachowanej przez wodza powadze i czujności. przy niezmiennym na twarzy jego spokoju.

W dzień bitwy pod Temeszwarem od wczesnego pogodnego ranka armia węgierska, dowodzona przez Dembińskiego, cofała się przed armią austryacką pod dowództwem feldmarszałka Haynau, wspieranego przez dywizyę rosyjską Paniutyna. Już tylko jeden pochód dzielił ją od Temeszwaru. Wiodły doń dwie drogi: jedna ze wsi

K., gdzie Dembiński spędził noc, druga ze wsi oddalonej tylko o trzy mile. Obie drogi przecięte były strumieniem niebardzo szerokim, ale płynącym po gruncie błotnistym, przeciętym w kilku miejscach mostami i brodami. Dembiński ścigany z blizka i ustawicznie szarpany przez nieprzyjaciela pragnął przejść spiesznie ten strumień tem więcej, że, przechodząc go, zostawiał armii nieprzyjacielskiej pozycyę pierwszorzędną, z której z łatwością mogłaby gromić posuwające się wojsko. Zaroiło się na obu drogach: korpus Wysockiego i... szedł z K. drogą główną do Temeszwaru, korpus zaś Guyona, Galla i Dejöffiego szły drugą drogą na północ od tamtej. Dembiński używał mnie często do roznoszenia rozkazów. Tegoż ranka prosił mnie, bym obrał drogę poboczną i doglądał ruchu trzech przechodzących oddziałów. Byłem w tylnej straży z kawaleryą Dejöffiego, przeszliśmy już strumień błotnisty, nie będąc niepokojonymi przez nieprzyjaciela, gdy nagle na drugiej drodze dała się słyszeć żywa strzelanina. Równocześnie ujrzeliśmy nasze lewe skrzydło postępujące w kierunku przeciwnym ruchowi odwrotu, poleconemu przez Dembińskiego. Natychmiast, opuszczając tylną straż, udałem się do pułk. Galla, dowodzącego korpusem piechoty i nalegałem żywo na niego, by bez względu na rozkaz, który mu przepisywał iść prosto do Temeszwaru, uważał kanonadę na naszem lewem skrzydle za rozporządzenie najwyższe, wzywające wszystkie siły w to miejsce.

Odpowiedział mi, że zrobi to na moje słowo i, zwracając na prawo czoła kolumn, rozkazał pochód przez równinę ku lewemu skrzydłu. Jen. Guyon postępował ciągle w stronę Temeszwaru. Napisałem do niego ołówkiem, co skłoniło Galla do zmiany kierunku. Napisałem też w słowach bardzo naglących do jen. Dejöffiego, z którym kilka dni temu byłem w ogniu. Powiedziałem mu: «Spiesz się pan, przybędziesz jak Dessaix pod Marengo.» Na to przyjeżdża adjutant z wiadomością o zmianie naczelnego dowództwa. Przybył Bem z roz-

kazem, odbierającym dowództwo Dembińskiemu, a oddającym je w jego ręce. Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że Bem, uszczęśliwiony zapewne swą władzą, radząc się jedynie własnego temperamentu, wstrzymał odwrót i powrócił do taktyki zaczepnej. Wyprzedziłem korpus Galla i znalazłem się wkrótce obok niego, — znalazłem go z twarzą krwią zbroczoną ze złamanym obojczykiem; koń jego, ugodzony kulą armatnią, padł z jeźdźcem na ziemię. Siedział już jednak na innym i swoim zwyczajem o pięćset kroków przed własnemi działami. Ograniczył się do dania polecenia, by go nie tracono z oczu, i żeby nie strzelano w niego.

Bem nie miał do mnie tej przyjaźni, jaką mnie obdarzał Dembiński. Podejrzywał mnie, że nie oddaję sprawiedliwości jego zdolnościom. Prawdą jest, że, podziwiając jego męstwo, przechodzące aż w zuchwałość, i jego niestrudzoną czynność, obawiałem się jego lekkomyślności.

Dembiński to uczucie podzielał. To też choć tegoż ranka ofiarował mu się wspaniałomyślnie służyć pod jego rozkazami, gdy spostrzegł, że powraca do taktyki zaczepnej, usiłował go od tego odwieść, przedstawiając mu, że duch w wojsku osłabł, że mogłoby się jeszcze wojsko zamknąć w górach, oddalonych o dwa pochody, ale walczyć tutaj na równinie byłoby szaleństwem, w którem on udziału brać nie może. Bem przyjął mnie chłodno, gdy mu się przedstawiłem jako ochotnik przyjęty przez jego poprzednika, ale jakem mu powiedział, że trzy korpusy, Galla, Dejöffi i Guyona, zbliżają się, twarz mu się rozpromieniła. Mieliśmy już za sobą strumień błotnisty, nieprzyjaciel wieńczył wzgórza wznoszące się po przeciwległej stronie, a wyniosłości, zakrywając go, nie pozwalały zmierzyć jego siły. Bem, pomimo mądrych rad Dembińskiego, upierał się w chęci wyparcia nieprzyjaciela z tych wzgórz, nie biorąc pod uwagę, że przed zbliżeniem się do nich trzeba było jeszcze raz przejść strumień. Przeszło go już z rozkazu Bema kilka dział

i dziesięć szwadronów huzarów. Nieprzyjaciel pozwolił na przejście, ale wkrótce zmusił je do ucieczki w nieporządku poprzez strumień, przyczem dwa działa dostały się w jego ręce. Zamiast skorzystać z tej przestrogi, Bem wydał rozkaz przejścia natychmiast przez strumień bateryi pieszej i dwom batalionom i sam go przeszedł po mostku drewnianym. Godzina może była pierwsza popołudniu. Nieprzyjaciel zajmował nietylko wierzchołek wzgórza, ale już moc jego tyralierów zeszła w dół i ukryła się po większej części wśród pól kukurydzy. Równocześnie widzieliśmy z chwili na chwilę ognie nowych bateryi na wierzchołku góry, przedłużające w lewo linię nieprzyjacielską. I podczas gdy nasza prawa strona zbliżyła się ku lewej, zakrywając się strumieniem, lewa strona nieprzyjaciela pod wodzą x. Fryderyka Lichtensteina posuwała się wzdłuż drugiego brzegu, ruchem do naszego równoległym i zapewne natchnionym tymsamym instynktem wojskowym. Położenie Bema i jego dwóch batalionów stawało się krytyczne. Rozesłał po piechotę wszystkich adjutantów, nawet ordynansów. Zostałem z nim sam na sam. Niespokojny, niecierpliwy, choć zawsze wyszukanie grzeczny, prosił i mnie, bym jechał i bądź co bądź przybycie piechoty przyspieszył. Gdym przyszedł nad brzeg strumienia o trzysta kroków od Bema, zastałem tam Galla z dwoma batalionami, które cotylko przeszły moczary. Gall stanął na wzgórku, skąd znakami i głosem przyzywał do siebie resztę swego korpusa, ale nadaremnie. Ogień dział nieprzyjacielskich stawał się coraz natarczywszy i każdy, kto był żołnierzem, mógł obliczyć, że przejście przez strumień narażało na największe niebezpieczeństwo. Zostałem chwilę przy Gallu, lecz, widząc, że wojsko jego odmawia postępowania naprzód, sądziłem, że powinienem spiesznie ostrzedz o tem jen. Bema, który nie mógł już liczyć na posiłki. Zaledwie opuściłem Galla, gdy kula armatnia ugodziła go śmiertelnie, odcinając mu obie nogi. Tymczasem Bem przestał się upierać przy

swojem, przeszedł strumień w bród. Gdy i ja chciałem toż samo uczynić, koń mój ugrzązł w bagnie i, usiłując dotrzeć do brzegu, przewrócił się, wyślizgnął się z pode-mnie, a na domiar wszystkiego, padając na nogę, tak mnie potłukł, że już nie byłem w stanie chodzić. Byłbym tam już został, gdyby jeden młody oficer węgierski nie był mi przybył z pomocą; nietylko że mi dał swego konia, ale i wsadził mnie na niego z trudem i prowadził zwierzę, gdy ja byłem prawie nieprzytomny. Ten dzielny i szlachetny oficer był to kap. Gorda, pochodził z dobrej rodziny siedmiogrodzkiej. Nie bez trudu skłoniłem go do wyjawienia mi swego nazwiska. Od tego czasu wszystkie moje poszukiwania za nim były daremne.

W tej chwili cofała się już cała armia węgierska, Bema słuchali tylko ci, na których działał wzrokiem i głosem. Artylerya nieprzyjacielska zeszła już aż na brzeg strumienia i siała ogień po całej równinie. Bem zaledwie miał siłę trzymać się na koniu, ale jak na uwięzi nie odstępował tych kilku dział, które jeszcze odpowiadały na ogień nieprzyjaciela, ten zaś nie myślał przechodzić strumienia, ograniczył się tylko do skierowania wszystkich swych kul armatnich i granatów na tę słabą straż tylną, która sama jedna zdawała się skupiać na siebie całą uwagę Bema do tego stopnia, że nie zostawił jej czasu czy woli, by zorganizowała ucieczkę, od której przecie nic już uratować nie mogło. Nieliczni adjutanci, którzy się jeszcze do niego zwracali, rozjeżdżali się znów bezustannie na wszystkie strony z jednym i tym samym rozkazem: «trzymać się». Każdemu z nich mówił: «Idź, powiedz jenerałowi lub pułkownikowi N. N., że jeśli się cofnie na grubość podeszwy, każę go rozstrzelać!» Ludzie padali wkoło niego. Kilka razy zostałem przy nim sam jeden z jego sztabu. Byłem wyczerpany upadkiem i siedziałem na koniu żołnierskim, który ledwie chodził. Słońce chyliło się na horyzoncie. Bem poprosił mnie, bym poszedł zobaczyć, co się stało z armią.

W pobliżu Temeszwaru obie doń prowadzące drogi łączą się w równinę zamkniętą dwoma małemi laskami. Tam znalazłem całą armię, skupioną w kolumny; oddziały zachowały jeszcze wewnętrzny ład, ale nie było żadnego rozkazu do walki.

Twierdza Temeszwar oblężona była od kilku miesięcy przez korpus węgierski, którym dowodził jen. Veczey. Armia Bema oparła się niejako plecami o szańce, które oblegający wznieśli dla własnej obrony przeciw napadowi z zewnątrz. Zwróciłem uwagę dowódcom korpusów, że w tem położeniu jakikolwiek pocisk nieprzyjacielski, na który trzeba być przygotowanym, sprowadzi nieunikniony popłoch. Zaledwie to wymówiłem, gdy strzały zaczęły dosięgać. W jednej chwili ucieczka stała się tem zupełniejszą, że od Temeszwaru armia musiała wybrać jedną z dwóch dróg: jedna z nich prowadziła na północ do Arad, miejsca warownego, gdzie usunął się rząd narodowy z Kossuthem, druga na wschód prowadziła do Lugoszu i w góry siedmiogrodzkie, gdzie znajdowały się szczątki korpusu, nad którym dowództwo Bem właśnie porzucił, podziwiany przez jednych, przejmujący strachem drugich z powodu swego sposobu prowadzenia wojny partyzanckiej. Bez rozkazu Bema, który ciągle zostawał w tylnej straży, jakby zaklęty przeczuciem ostatecznej i niepowetowanej klęski, opuszczone oddziały kierowały się dowolnie. Okolica zniekształcona, pokrajana pracami armii oblegającej przyczyniała się jeszcze więcej do rozczłonkowania oddziałów. Z nadejściem nocy zapanował zamęt zupełny. Znaleziono jednak sposób skierowania tych tłumów do Lugoszu. Nieprzyjaciel popełnił błąd, że nie ścigał; pozbawił się przez to niezliczonych trofeów, które wystarczało zbierać tylko po drodze. Nazajutrz w głuchem milczeniu odbywał się pochód do Lugoszu jedną z tych dróg węgierskich bezgranicznie szerokich wśród niezmierzonej okiem równiny. Te tłumy mogły dać niejakie wyobrażenie o wędrówkach ludów: pięć do sześciu rzędów

wozów, armat, wehikułów rozmaitego rodzaju szło na czele, żołnierze wszelkich korpusów bez żadnego porządku za nimi. Nic na Zachodzie nie daje wyobrażenia o ogromnej ilości zaprzężonych wozów, które w okolicach nizinnych Węgier krążą około wojsk.

Dano mi kwaterę w mieście (Lugoszu). Dopierom ją był zajął, kiedy przybył do mnie jen. Wysocki z czterema sztabsoficerami polskiej legii z prośbą, ażebym wziął komendę legii. «Wojna», mówili, «skończona, Węgrzy jej przedłużać nie chcą, idzie więc o uratowanie ludzi naszych. Za dni kilka, da Bóg, do Francyi się schronimy. W Turcyi z nas wszystkich jeden masz z rządem stosunki, więc najskuteczniej odpowiesz potrzebie.» Odpowiedziałem, że komendy nad legią na to jedynie, by ją z pola uprowadzić, przyjąć nie mogę. Ale stosunkami mojemi, jakie być mogą, służyć będę i od tej chwili, proszę, aby mnie jen. Wysocki policzył do swego sztabu. «Miałeś», rzekłem, «jenerale, zaszczyty tego dowództwa, dźwigajże ciężary. Na wszelką z mej strony pomoc możesz liczyć.» Przyjął to Wysocki, przyjęli wszyscy z oświadczeniem wdzięczności. «Więc, kiedy tak, jenerale», dodałem, «to ci służę, ale ufam, że od tej chwili będę wiedział o wszystkiem, co postanowić zechcesz.»

W godzinę po wyjeździe Bema przybiegł do mnie pułk. Zarzycki, najstarszy z adjutantów naczelnego wodza i powiernik jego, nawet faworyt, o tyle nawet między rodakami niepopularny, że w nim widziano zausznika i pochlebcę wodza, chociaż był oficerem zdolnym, w wojsku austryackiem wyrobionym. Ze łzami w oczach dał mi czytać raport jen. Wysockiego, dnia tego naczelnemu wodzowi złożony. Raport ten na zasadzie ogólnego rozprzężenia, któremu jakoby i legia ulegać poczynała, kończył się prośbą o rozwiązanie legii i uwolnienie wszystkich od węgierskiej służby. Zarzycki przyszedł do mnie dlatego, że Bem, nienawidzący Wysockiego, dopisał na marginesie tego raportu: «Legię rozwiązać, rozbroić,

z obozu wypędzić.» Taki rozkaz został w ręku Zarzyckiego do wykonania po wyjeździe Bema. Do mnie przyszedł Zarzycki z gorącą prośbą, abym wziął na swoją odpowiedzialność opóźnienie wykonania tego rozkazu do powrotu naczelnego wodza, «a wykonać go» dodał, «byłoby okryć nas hańbą». Odpowiedziałem, że to biorę na siebie. I zaraz wsiadłem na konia, by dojechać do obozu legii. Były to od przybycia mego pierwsze moje do legii odwiedziny. Napotykałem ją pod bronią w marszu albo w bitwie. Ale wiedząc, że w niej przeważa żywioł demokratyczny, pamiętając, jakie mi w niej przyjęcie zapowiedzieli przyjaciele na wyjezdnem z Turynu, unikałem starannie zatrzymywania się przy niej. Za każdem spotkaniem witałem rodaków tylko słowami pozdrowienia i wdzięczności za ich zacne żołnierskie postępowanie, alem ani razu nie zatrzymał konia przed ich frontem, ani przy kolumnie, nie dając czasu do odpowiedzi; przypuszczałem, że mogła wypaść niemiła. Z pojedyńczymi rozmawiałem do woli każdego; tego dnia po raz pierwszy znalazłem się w gronie kilkudziesięciu oficerów legii. Nie zsiadłem jednakże z konia. Wysocki był nieobecny. Skoro mnie ujrzeli, zbiegli się wkoło mnie oficerowie i żołnierze, między którymi wielu było tzw. inteligencyi, pytając się, co przynoszę i czy nie wypada legii rozwiązać i rozejść się: «Węgrzy już bić się nie chcą, na cóż byśmy się upierali, a honorby tak kazał, jak długo jesteśmy legią.» — «Honor, panowie», odrzekłem», innej nam nie pozostawia drogi, jak, bądź co bądź, wytrwać do końca.» Dopieroż zeszedłem do wyłożenia powodów, dla samego nawet bezpieczeństwa osobistego nakazujących trwać pod bronią i z bronią w ręku, w porządku dociągnąć do granicy, zaś przekroczyć ją wtenczas dopiero, kiedy wojsko węgierskie samo da przykład. Słowa moje o tyle więcej może zyskały przyzwolenia, że wzgląd na bezpieczeństwo przeważył w umysłach. Zrozumieli wszyscy, że pojedyńczy, bezbronny, w mundurze przecie, w każdem mia-

steczku, w każdej wsi, przez którą mu wypadnie droga, napotka, zwłaszcza w tej okolicy, w Banacie, na Słowian i Wołochów zacięcie nieprzyjaznych Madziarom, z którymi przez ciąg powstania miewali krwawe zajścia i mordowali się nawzajem po wsiach i miasteczkach. Po takiej rozmowie, w której coraz większa okazywana mi była ufność, pożegnałem ich, zaręczając, że przy nich do końca będę nieodstępny i wszelakiego dołożę starania, żeby ich wyprowadzić z Węgier, ale zaklinam, żeby więcej o rozwiązaniu legii nie myśleli. Już miałem odjechać, kiedy z tłumu odezwał się głos jeden: «Pułkowniku, pamiętaj i o naszym honorze.» Zwróciłem oczy na tego, co tak przemówił i, zbliżywszy się, podałem mu rękę, mówiąc: «Dziękuję ci, panie, za to słowo, a niechże wiem, kto jesteś.» Był to oficer artyleryi, ospowaty, chudy, iskrzyły mu się oczy. Odpowiedział: «Nazywam się Bentkowski Władysław.»

Łatwo pojąć, jaka mi na sercu i na umyśle pozostała troska, jak do Boga samego udawałem się po światło i radę. Zaledwo wróciłem do kwatery, kiedy przybył do mnie posłaniec od Kossutha, który właśnie był do Lugoszu przyjechał i kazał mnie prosić do siebie. Pierwsze słowa jego były: «Uznałem niepodobieństwo przedłużania dalszej walki, nieprzyjaciel ze mną traktować nie chciał a przyzwalał na traktowanie z jenerałem węgierskim. Osądziłem więc, że powinienem ustąpić od władzy i zdać ją na jen. Görgeya. Zastrzegłem tylko i on obiecał, że rokować będzie w sposób czyniący zadość honorowi ojczyzny naszej.» Dlaczego właściwie robił mi Kossuth to zwierzenie, nie wiem, ale dla mnie było ono promieniem nadziei. Po kilku słowach uznania, że konieczności uległ, prosiłem, aby wziął na uwagę los legii polskiej i Polaków w służbie węgierskiej. «Stawiam zapytanie, czy w mniemaniu pana wybiła godzina, w której Polakom wolno ustąpić z pola i broń złożyć na granicy?» Odpowiedział: «Chwila ta niezaprzeczenie przyszła, ale gdzie ich skie-

rować?» Odpowiedziałem: «Niema dla nich innego kierunku, jak z Lugoszu do Orszowy, a mniemam, że i dla wielu Węgrów ta droga będzie jedyną. Wódz naczelny nieobecny, chciej przeto pan użyć wpływu swego, aby szef sztabu głównego, jen. Guyon, wydał stosowny rozkaz dowódcy polskiej legii.» Zgodził się na to p. Kossuth, a w godzin parę napisał do mnie list następującej treści: «Chciej się osobiście rozmówić z jen. Guyon, który zgadza się na myśl naszą, a następnie dać mi wiedzieć, o której godzinie polska legia w marsz wyruszy. Chcę bowiem ci towarzyszyć jakby jeden ze sług twoich.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Lugosz, 13 sierpnia 1849.

Już tedy tu się wszystko kończy. Kossuth złożył urząd, ustąpił na żądanie Görgeya, a i dla nieprzeszkadzania układom już daleko posuniętym przynajmniej w kokieteryach pomiędzy tym jenerałem a Rüdigierem. Wskutek tego Kossuth wczoraj tu przybył i mnie się nietylko zwierzył, ale swoją osobę powierzył. Zatem poszło wykomenderowanie legii polskiej i włoskiej do zasłaniania komunikacyi z Orszową, przez co odwrót im, jeśli nie zapewniony, to ułatwiony do Wołoszczyzny. Tam rachuję na godne przyjęcie przez wojska tureckie. M. C. D. (Mich. Czaykowski?) bowiem doniósł, że Porta stanowczo oświadczyła, że wszelkie oddziały wojska, wpadające na jej ziemie, przyjmie zarówno tj., rozbroiwszy, w głąb kraju odeśle.

Od Szegedynu przez dziewięć dni biliśmy się ciągle, dziesiątego, kiedy mieliśmy odkryć Temeszwar, Bem niespodzianie przybył na wodza naczelnego i, korzystając z entuzyazmu wojska dla siebie, chciał stoczyć walną bitwę, rzucając się na nieprzyjaciela. Po dwakroć nieprzyjaciel był spychany, po dwakroć jednak znowu nas spędził; skończyło się na zupełnej porażce i rozbiciu, które nas tu, cudem ocalonych, przyprowadziło. Nieprzyjaciel

nas od Temeszwaru nie ścigał dwa dni dał już spoczynku. Tymczasem Görgey w 25000 stał jeszcze pod Aradem. Bem nieugięty i zawsze przedsiębiorczy ruszył onegdaj stąd do niego w myśli uderzenia z nim w tył armii, która nas tu ścigała. Ale wczoraj przybył tu Kossuth, minąwszy się z nim, i doniósł, co wyżej.

Legia polska była bardzo bliską puszczenia się stąd w rozsypkę. Sam Wysocki do tego zachęcał i zrobił podanie, żeby ją rozwiązać. Przybycie Kossutha ułatwiło mi wyrobienie przez niego dla niej rozkazu, aby pomaszerowała ku południowi. Tak honor jej i bezpieczeństwo zyskują razem. Dembiński wczoraj odjechał do Orszowy. Z Bemem spotkanie zrazu było dość zimne, rozgrzało się w ogniu, jednym z tęższych i dłuższych, jakie przeżyłem, a który znosiłem przy nim nieodstępnie przez godzin sześć. Wczoraj, gdy wyjeżdżał, zwierzał się poufale z zamiarów i nadziei, które wszystkie upadną przed postanowieniem Görgeya, żeby z Moskwą się układać! a mianowicie, żeby sobie, i wszystkim chcącym, zapewnić stopnie w armii moskiewskiej! Tak więc może jeszcze Madziary odpłacać się będą Polsce, służąc u jej gnębiciela!

Bóg nas raczył zachować! Okazyi przecież nie brakowało. Konia straciłem w przeprawie przez błotnistą rzekę pod kartaczami. Niewoli uszedłem, już będąc o trzydzieści kroków od nieprzyjaciela, którego brałem za swoich. Ale miłe mi zostaje wspomnienie dobrego imienia i zaufania, jakiem tu zyskał. Moje zdrowie dziwnie się utrzymuje. Bystrzonowski był dla mnie pełen przyjaźni.»

«Tejże nocy legia polska wyruszyła ku Orszowie a przez następne dni kilka p. Kossuth w zamkniętej kolasce jechał za bryczką moją, na której siedział mój Michał, bo ja przy legii maszerowałem na koniu. Rano i wieczór, gdy się trafiła kwatera wspólna, obszerne były, jak się domyślić można, rozmowy moje z Kossuthem; treści nie pamiętam, ogólne tylko pomnę wrażenie. Już

powiedziałem o nieznajomości ówczesnych politycznych stosunków Europy, która mnie zadziwiła. O Turcyi mianowicie, o usposobieniu rządu sułtana ku Węgrom, najmniejszego nie miał wyobrażenia. Turcy byli dla nich niewiernymi, zakałą dla chrześcijańskiego świata; na Moskwie zaś, jako na naturalnym wrogu Austryi, mimowolne dla Węgier opierał nadzieje. Nadzieje oczywiście dalekie, boć pokonanie Węgier pomocy Moskwy zawdzięczała Austrya. Te same marzenia w niejednym później napotykałem Węgrze. Niejeden mi się przyznał, że Polakom wdzięczność mieć musi za przyjście im w pomoc, ale że wistocie ta pomoc nie wyrównała szkodzie, jaką sprowadziło na Węgry stanowcze przeciw nim wystąpienie cara Mikołaja. Pokładanie na Moskwie nadziei o tyle więcej mnie zadziwiło, że dopieroco węgierscy posłowie daremną do x. Paskiewicza odbywali przejażdżkę, a w samejże chwili moich z p. Kossuthem rozmów jen. Görgey, oddawszy się na dyskrecyę moskiewskiego wodza, sobie samemu zapewniwszy darowanie życia, czternastu podkomendnych jenerałów widział oddanych w ręce feldmarszałka Haynau i śmiercią nielitościwie karanych za przyzwoleniem poprzedniem młodego, a, jak go nieraz później nazywano, rycerskiego cesarza Franciszka Józefa[1]). P. Kossuth, wywdzięczając się za dobre chęci moje, dnia jednego wręczył mi dekoracyę węgierską za jego rządów ustanowioną: krzyż podwójny złoty w wieńcu laurowym[2]).

---

[1]) Trzeba dodać, że car, poleciwszy tychże jenerałów łaskawości sprzymierzeńca, był niezadowolony z ich ukarania.

[2]) O nadaniu mu tej odznaki uprzedził Kossuth Zamoyskiego następującym listem, datowanym z ostatnich dni swego urzędowania: Arad, 10 sierpnia 1849. Poświęciłeś się Pan świętej walce Węgier w chwili, kiedy powodzenie już nas opuszczało, a uczyniłeś to przecie ze stanowczością, jaką się napotyka tylko w powodzeniu, walczyłeś z dzielnością i odwagą, któreby wystarczyły do podźwignienia sprawy nawet rozpaczliwej. Jest obowiązkiem moim i mego narodu, panie Hrabio, wyrazić ci moją najgłębszą wdzięczność za współczucie, któreś nam okazał, za usługi znaczne i dzielną pomoc, którą ci zawdzięczamy

W parę tygodni, kiedym się znów spotkał z Bemem w Widyniu, dokąd przez Wołoszczyznę w kilka tysięcy rozbitków przybył, on także raczył mi przysłać od siebie tę samą dekoracyę.

W miarę zbliżania się naszego do Orszowy stawiało się pytanie, czy suchą granicą przejść na Wołoszczyznę, czy też przez Dunaj przeprawić się do Serbii; Węgrzy o Serbii ani słyszeć nie chcieli; wiedzieli, że całe pogranicze Serbii zapełnione jest wychodźcami z Węgier pochodzenia serbskiego, z których każdy niemal opłakiwał, albo śmierć bliższych przez Madziarów zadaną, albo utratę mienia. Lękali się przeto zemsty. Wołoszczyzna o tyle im przedstawiała właściwsze schronienie. Ale dla Polaków

---

i zapewnić Pana o moim wysokim i szczególnym szacunku. Mam zarazem zaszczyt uwiadomić Pana, że ministeryum wojny otrzymało rozkaz wręczenia Panu odznak (les insignes) orderu wojskowego Węgier II kl. Chciej Pan, proszę, ozdobić nim swe waleczne piersi i oceń z niego, jak wysoko stawiam jego zasługi względem mojej ojczyzny.
L. Kossuth ».

Z tej samej daty pozostał drugi list Kossutha do Zamoyskiego, przeznaczony do udzielenia x. Adamowi: « Arad, 10 sierpnia 1849. Niezmiernie mnie Pan zobowiążesz, jeśli zechcesz wyrazić x. Czartoryskiemu, wraz z mojem uwielbieniem, uczucia wdzięczności, jakiemi Węgry są przejęte dla niego z powodu tak szczęśliwie wybranych ajentów jego i danych im instrukcyi tak życzliwych. Miło mi uznać z wdzięcznością ważne przysługi, które przy wszelkiej sposobności ojczyźnie mojej oddali. Dzięki moje w szczególności zasyłam p. Czaykowskiemu w Stambule i p. Ludwikowi Lenoir w Belgradzie, im, którzy nietylko zawsze pracowali dla sprawy węgierskiej szczerem sercem i z niezmordowaną gorliwością, ale do tego pomagali ajentom rządu węgierskiego w każdej okoliczności i oddali nam znakomite przysługi. Szczęśliwy będę, jeżeli sam xiążę i jego panowie ajenci będą uwiadomieni o wdzięczności mojej dla nich; a w razie gdyby Opatrzność wobec obojętności państw europejskich, skazując nas na zatratę, dała narodowi memu zginąć w olbrzymiej walce, którą stacza o wolność ludów, bym ja przynajmniej nie wydał się niewdzięcznikiem za tyle dobrych chęci, pożytecznych i wielkodusznych usług, które nam oddano, chociażbym nie miał już sposobu okazania czynami mej wdzięczności. Proszę przyjąć wyrazy mego wysokiego szacunku. (podp.) Kossuth. Gubernator Węgier. »

Wołoszczyzna była niepodobną, bo ją zajmował korpus moskiewski. Tak więc pod Orszową p. Kossuth i wielu innych Węgrów ruszyło do Wołoszczyzny. Byli i między Polakami tacy, co za Węgrami w tym samym kierunku pragnęli szukać bezpieczeństwa, przemogła przecie rada moja, gdym się ośmielił zaręczyć, że, jakiekolwiekby Węgrów spotkać mogło przyjęcie w Serbii, dla Polaka żadnego nie przedstawia niebezpieczeństwa. Doznał był poprzednio gościnności rządu serbskiego wysłany przedemną do Węgier przez x. Adama, jako ajent polski, Ludwik Bystrzonowski, następnie mianowany pułkownikiem węgierskim przy sztabie jen. Dembińskiego. Jego więc uprosiłem, żeby się przeprawił za Dunaj i zapytał najbliższej władzy, czy na ziemi serbskiej legia polska znajdzie gościnę.

Statków na Dunaju było zamało, żeby się nas tysiąc pięćset koni przeprawić mogło na raz. Gdy więc za porozumieniem z władzą wyższą węgierską rozpoczęły się przygotowania do przeprawy naszej za Dunaj, rozeszła się między Węgrami, niewiedzącymi jeszcze co ich ostatecznie czeka, pogłoska, że ich zdradzamy, ustępując przed czasem. W niepewności zmuszeni byliśmy z jen. Wysockim zasłaniać przeprawę postawą obronną na przypadek jakiego zgiełku. Udało się nam przecie Węgrów uspokoić a najskuteczniej się przyczyniła wieść o złożeniu broni przez armię główną jen. Görgeya. Tak więc przeprawa całej legii, dwa dni trwająca, dokonała się szczęśliwie a Wysocki i ja ostatni czółnem opuściliśmy lewy brzeg Dunaju. Nim to jednak nastąpiło, napisałem dla Wysockiego, 20 sierpnia, ostatni jakoby rozkaz dzienny do legii, nadmieniwszy w tym rozkazie, że 12 t. m. armia główna złożyła broń, że przeto polskiej legii nie pozostaje, jak tylko zaniechać dalszego dopomagania zakończonej wojnie, a narodowi węgierskiemu życzyć najlepszych losów.»

VIII

WIDYŃ. — SZUMLA

SIERPIEŃ 1849 — KWIECIEŃ 1850

«Władza miejscowa serbska wskazała nam miejsce do rozłożenia obozu i kazała wydać potrzebną żywność. Ale zarazem naczelnik powiatu ostrzegł mnie, że to czyni na własną odpowiedzialność, według zwyczaju krajowego, nakazującego każdemu przechodniowi dać na godzin cztery gościnę i żywność, oświadczył jednak, że więcej żywności wydawać nam nie może. Dopieroż mogłem sobie powinszować, żem przybył do Węgier i żem się na taki właśnie przypadek opatrzył gotowym funduszem. Fundusz ten był mianowicie połową odebranych przed półtora rokiem od Xawerego Branickiego 100 000 fr.; pierwszą połowę jużem był rozdał między rodaków we Włoszech. Oznajmiłem naczelnikowi serbskiemu, że za żywność gotów jestem zapłacić, ale go proszę, żeby ją sam kupował i wydawał; prosiłem, aby o wydatku tym, że przezemnie poniesiony, na miejscu przemilczał, a zdał raport o nim rządowi w Belgradzie. Przekonany byłem, że rząd przyjmie na siebie ten wydatek i zwróci mi sumę, która, łatwo przewidzieć mogłem, w Turcyi o wiele więcej jeszcze potrzebną się nam okaże. Przystał na żądanie moje naczelnik; nazajutrz ruszyliśmy w marsz brzegiem Dunaju ku Widyniowi. Czwartego dnia stanęliśmy na granicy tureckiej. Z Serbami rozstanie było czułe, z obu stron życzliwe.

Niewiadomo było, jak nas Turcy przyjmą. Pospieszyłem osobiście naprzód do Widynia, próbując wpływu, jaki uzyskać zdołam u baszy gubernatora prowincyi. Zajechawszy w Widyniu do khanu, dopytałem się o kupca miejscowego, mówiącego po włosku. Ale gdym go prosił, aby mi był tłomaczem, dla niewiadomej przyczyny, nie śmiał i odmówił. Musiałem więc poprzestać na prostym rzemieślniku, Bułgarze, który ze mną jako tako rozmawiał po niemiecku, ale, o ile potem miarkować mogłem, zaledwie po turecku umiał. Gdym stanął przed gubernatorem, opowiedziałem, że jestem tym samym, który przed kilku tygodniami przejeżdżał przez Widyń i kazał przez drogmana złożyć mu list od Porty, polecający mnie jako oficera inżynierów, zwiedzającego fortece i zamki nad Dunajem. Basza nie mógł wiedzieć, czy jestem tą samą osobą, bo tłumacz mój, który mu ten list wręczył, dawno był wrócił do Stambułu. Słuchał jednakże sprawozdania mego o przybyłych z Węgier do prowincyi Polakach. Obiecał posłać na ich spotkanie, skierować do obozu pod Widyń i wydać dla nich żywność i namioty. Czułem jednak, znając już etykietę turecką, że nie przyjmował mnie z atencyą, do jakiej między nimi przywykłem. A najlepiej przekonałem się o tem, kiedy, poprosiwszy o naznaczenie mi w mieście kwatery, kazał mnie zaprowadzić do lichego domu, przy którym obrałem sobie mieszkanie w stodole; za posłanie dano mi siennik, wypchany nie wiem jakiemi twardemi kłębami.

Przez cały ciąg tej wyprawy jak i poprzedniej wojny włoskiej walczyłem nieustannie z gwałtownem cierpieniem nerwowem, które mi przecie w każdym niemal dniu po kilka godzin wolnych zostawiało. Ciało miałem tak zbite, że odleżałem sobie plecy i dwa boki, spać mogłem tylko, leżąc na brzuchu. Już w Serbii zaledwo wytrzymać mogłem na koniu, a na wozie było mi jeszcze gorzej. Zdaje się, jakby mnie ostatek sił opuścił, skorom zdołał doprowadzić rodaków do bezpiecznego przytułku.

Dnia następnego przybył już do Widynia jen. Wysocki ze sztabem. Odszukał przecie w mieście tureckiego drogmana i z nim poszedł do baszy. Od niego dopiero dowiedział się basza, jakie mi rząd jego poprzednio okazywał względy; kazał więc zaprządz do kolaski i eskorcie wystąpić, aby z pompą mnie odwiedzić i z przeproszeniem chorego przewieźć do przyzwoitego mieszkania. Scena to była prawdziwie teatralna; skończyła się na przeniesieniu mnie do kolaski i przewiezieniu do jednego z bogatszych mieszkańców miasta, do Turka Ali bej, który mnie także z okazałością do domu przyjmował i własny salon swój gościnny ofiarował mi na mieszkanie. Izba ta była obszerna, naprzeciw wchodu, jak zwykle w tureckich domach, miała ścianę z samych okien złożoną, a wzdłuż okien tzw. dywan czyli szeroka sofa. Na niej położono materac i pościel. Zdawało mi się, żem się do raju dostał.

Korzystając z pierwszej chwili wytchnienia i obecności jen. Wysockiego, rzekłem do niego: «O ile wiem, jenerale, przymaszerowali do Węgier z nami trzej polscy kapelani. W Węgrzech nie widziałem, by się odbywała msza w obozie. Ale tu między Turkami, jeżelibyśmy w niedzielę nie odbyli nabożeństwa, upadlibyśmy nisko w ich oczach. Zaklinam przeto, byś jednemu z kapelanów rozkazał mieć jutro mszę w obozie.» Jen. Wysocki uznał właściwość mego żądania, a nazajutrz w południe, odwiedzający mnie znajomi, wszyscy rzewnie opowiadali o nabożeństwie i śpiewach przy niem narodowych. Nastąpiła druga niedziela i podobnie zdawano mi sprawę o odbytem nabożeństwie i powszechnem z niego zadowoleniu. Odwiedzał mnie nawet kapelan, ksiądz Niewiadomski, i podobne wyrażał zadowolenie. Aż trzeciej niedzieli, wróciwszy do lepszego zdrowia, udałem się z wszystkimi na mszę do obozu. Zastałem ołtarz przed namiotem, na ołtarzu dwie świece zapalone przy krucyfiksie; ksiądz w komży odmówił kilka modlitw przeplatanych śpiewami, potem miał kazanie, ustąpił i zgaszono świece. Zdziwiony,

pytam otaczających: «Jakże? czy msza poprzedziła?» Odpowiedziano mi ze zdziwieniem: «Mszy tu przecież nie miewamy.» Odszukałem za ołtarzem księdza i znów pytałem: «Co to jest? Nabożeństwo bez mszy? Czyż zostaliśmy protestantami?» Ksiądz na to: «A skąd mam wziąć mszał, przybory do mszy? Wszystko w Węgrzech przepadło.» Pozwoliłem sobie wyrazić zadziwienie, że też między tyloma, którzy mi tak czule opowiadali o odbywanem w obozie naszym nabożeństwie, żaden się nie znalazł, któryby mi żal okazał, że mszy być nie mogło; a sam ksiądz, bywając u mnie, nie nadmienił o tem. Żądałem od księdza spisu potrzebnych mu przyborów i natychmiast takowy posłałem do Belgradu na ręce ajenta naszego Lenoira (Ludwika Zwierkowskiego), prosząc, aby niezwłocznie udał się do władzy duchownej w Semlinie, naprzeciw Belgradu nad Dunajem, z prośbą o dostawienie nam wszelkiej do nabożeństwa potrzeby. Doszły nas szczęśliwie i msza uroczysta odprawioną była w obozie. Zaraz po pierwszej mszy, zapowiedział kapelan na dzień następny mszę żałobną za dusze poległych w czasie wojny węgierskiej. Po mszy zaś przemówił po polsku i po węgiersku; kazanie było krótkie, niewymowne, ale zdrowe, prostoduszne. Służył mu do mszy św. braciszek od Bonifratrów, który, widząc idących z Galicyi do Węgier, nie mógł się oprzeć chęci wojennej. Śpiewaków mieliśmy wcale dobrych; było i muzykantów kilku, znalazły się instrumenty, — jeden sam sobie wystrugał i skleił basetlę.

Od owej niedzieli nabożeństwo odbywało się stale, najprzód w obozie, potem, gdy nastały zimna, w różnych przytułkach. Mniemam, iż ktokolwiek był uczestnikiem tego nabożeństwa nie zapomni nigdy wzruszenia powszechnego, jakie na niem, zwłaszcza przez pierwsze czasy niewoli naszej, wiara nasza okazywała. Łzy były w oczach każdego niemal z obecnych.»

Władysław Zamoyski do rodziny:

«Widyń nad Dunajem, Turcya, 12 września 1849.

Dzięki Bogu weszło nas tu na bezpieczną i gościnną ziemię do 800 całych i zdrowych, najwięcej z Galicyi. Ci ostatni radziby wrócić za amnestyą, ale czy im będzie dana? Między takimi są: młody Fredro, syn Alexandra, przedni, miły, dobrze wychowany i dobrze usposobiony; drugi podobny, Dzwonkowski, którego brat, huzar znakomitej odwagi, zginął, Szumlański i inni. Bieda byłaby straszna, bo wszyscy same tylko papierowe węgierskie mają pieniądze, ale rząd turecki dobrze nas traktuje. Co dalej pocznie, to pytanie i w tem niemały dla nas niepokój. Ale Bóg nieskończenie łaskaw przeprowadzi i doprowadzi, przynajmniej do siebie, a to najważniejsze, a po drodze sypie nieocenione pociechy. Dziś imię x. Adama wymawiane tu jest z poszanowaniem i nadzieją przez starych zawołanych niegdyś demokratów, a Wysocki od pierwszego na Węgrzech spotkania ciągle się porozumiewa ze mną jak człowiek praktyczny i uczciwy i czuje i zapowiada potrzebę pokazania przy tej sposobności, że się nasze dwie strony porozumieć i wzajemnie wesprzeć mogą. Taka między nami dotąd panuje harmonia, jakiej nie doświadczyłem nigdy. Boże błogosław! Na moją też prośbę mamy w niedzielę mszę w obozie, której kapelani przez całą wojnę podobno nie mieli ani razu!! A dziwią się, że się naszym sprawom nie wiedzie.»

《Doszły tymczasem przez Wołoszczyznę do Widynia rozbitki węgierskiego wojska. Byli między nimi p. Kossuth, wielu jenerałów i oficerów. Przybyli podobnież byli wodzowie naczelni: Meszaros, Dembiński i Bem. Bem przybył ze sztabem z samych Polaków z Deva przez góry, kiedy mu już Węgrzy oświadczyli, że go wydadzą. Basza go trzymał w koszarach, mniemając, że nie byłby bezpieczny inaczej od Węgrów. Wszystkim basza gubernator największą okazywał uprzejmość. Nazywał nas gośćmi

sułtana, ale zarazem żądał, abyśmy za obręb miasta nie wychodzili. Każdemu ze starszych i i mnie zarówno dodany był oficer turecki niby dla honoru, oczywiście dla straży. Przy mnie był oficer jazdy z dwoma ordynansami. Wolno mi było przejeżdżać się za miastem na koniu, ale zawsze z tą eskortą.

Korpus moskiewski zaległ lewy brzeg Dunaju naprzeciw Widynia. Wyznam, żem się z tej strony wcale nie czuł bezpiecznym. Przypuszczałem, że jak krew płynąca dla drapieżnego zwierza, taką dla Moskala pokusą stać się mogła obecność, tysiąca bezbronnych Polaków. Wistocie mogli Moskale jednej nocy przeprawić na brzeg prawy parę batalionów i kilka szwadronów jazdy, niemi otoczyć Widyń i nielicznemu garnizonowi tureckiemu wydrzeć szczątki legii polskiej wraz z dwoma byłymi naczelnymi wodzami Węgier.

Nie upłynął tydzień po pierwszej mszy w obozie naszym, kiedy przybył z Bukaresztu Polak, kupiec osiadły w tem mieście, z listem do mnie poufnym od konsula francuskiego, którego byłem poznał za poprzedniej w Stambule bytności. Zawiadomił mnie konsul, że Fuad basza, komisarz turecki w Bukareszcie, urzędowe odebrał od Moskali zawiadomienie, że car Mikolaj domaga się wydania mu przybyłych z Węgier Polaków miateżników. Kończył radą, byśmy się zasłonili oświadczeniem, że przechodzimy na mahometańską wiarę, bo traktat między Moskwą a Portą, stanowiący zobowiązanie wydawania sobie nawzajem zbiegów politycznych, zastrzegał wyjątek, wrazie gdyby wychodźca z pod berła Moskwy przeszedł na islamizm.

Wiadomość ta więcej mi się wydała śmieszną, niż groźną i stosowną też przez tegoż posłańca dałem konsulowi odpowiedź.»

Władysław Zamoyski do M. Czaykowskiego:

«Widyń, 9 września 1849.

Pomysł ratowania się przez udane przejście na wiarę muzułmańską, zdawał mi się zawsze niegodny, i mogący tylko nas zgubić moralnie, wydawał mi się niewczesnym, nie wywołanym przez żadne niebezpieczeństwo. Proszę więc, oświadcz wszystkim Turkom głośno, żem nigdy nie dopuszczał, abyśmy mogli wiarą naszą i ich wiarą szafować na żart, ani na jakieś sztuki i fortele. Wolałbym, dali Bóg, być wydanym Moskwie, niż pozostać między Turkami, których dopuszczenie takiego czynu, takiej komedyi sponiewierałoby w moich oczach. Miałem niezłomną wiarę w ich poczciwość i godność. Okazały one się najsilniej w samymże panującym, to dobra dla Turcyi nadzieja.»

M. Czaykowski do w. wezyra, Reszyda baszy:

«10 września 1849.

W. X. Mość. Wracam jeszcze do tego, co już miałem zaszczyt powiedzieć w ostatnim liście, co do możliwości przyjęcia przez Polaków islamizmu. Gdyby takie postanowienie moich ziomków przypisać można ich obawom, byłoby to, nie tylko niebardzo chwalebne z ich strony, ale nawet mogłoby się w następstwach stać szkodliwem dla cesarstwa tureckiego; ale jeżeli biorą tę decyzyę samorzutnie, nie dla tego, że im jakieś bliskie niebezpieczeństwo zagraża, mogłoby to być z korzyścią dla Turcyi i dla przyszłości Polski. Trzebaby w tej sprawie zachować wszelkie wskazane ostrożności. Proponuję następujący sposób działania: wysłać z urzędnikiem J. X. M. seraskiera, p. Saih, mojego tłumacza, który odda moje listy i przedstawi sprawę jenerałom Dembińskiemu, Bemowi i innym. Gdy się zgodzą na to, wyśle kuryera z wiadomością o tem do W. Wysokości i do mnie. Natenczas i ja i Polacy, tu przebywający, za tem się oświadczymy.

Unikniemy w ten sposób pozoru, że czynnikiem tego aktu jest strach, tem więcej, że i Polacy, nie znajdujący się wcale w położeniu wychodźców węgierskich, toż samo uczynią. Podczas rokowań trzeba unikać nawet pozorów, że Porta chce lub może ustąpić żądaniom Rosyi.»

Michał Czaykowski do L. Bystrzonowskiego:

«11 września 1849, Stambuł.

Nota p. Nesselrode żąda extradycyi dziesięciu tylko Polaków, ale ta wiadomość jest tylko dla panów, masy o tem wiedzieć nie powinny, bo jest do życzenia, jeśliby projekt sturczenia się był przyjętym, żeby był wykonanym przez jak największą liczbę, bo gromada to rzecz poważna; przynajmniej, żeby oficerowie byli w liczbie, o żołnierzy mniejsza.»

Z raportu Michała Czaykowskiego dla x. Adama:

«16 września 1849.

12 b. m. Porta oświadczyła Rosyi stanowczo, że nie godzi się na zasadę extradycyi. Po otrzymaniu tego orędzia p. Tytow[1]) 13 rano posłał ultimatum, w którem nalega, by żądanie jego monarchy było rozstrzygnione stosownie do jego woli; termin do tej odpowiedzi na dziś wieczór i grozi, że w razie odmowy zrywa stosunki dyplomatyczne z Portą. Podobne ultimatum postawił p. Stürmer[2]) w imieniu swego rządu.

Ten krok dwóch posłów zatrwożył Portę. Jeden tylko w. wezyr (Reszyd basza) oświadczył, że raczej dymisyi zażąda, niż taki akt podpisze.

Posłowie skłonni są silnie poprzeć Portę, ale mimo dobrej woli nie śmieją oprzeć się otwarcie zasadzie extradycyi. Z niepokojem oczekujemy ostatecznej decyzyi, bo ajenci rosyjscy nie próżnują. Karty na stole: on joue au plus fort.»

---

[1]) Poseł moskiewski. [2]) Poseł austryacki.

Z dziennika W. Z.

«15 września 1849. — Władysław Kościelski ze Stambułu przybył. Przywiózł listy od Czayki. Przybył z nim Porczyński, Ahmed Tefik.»

Władysław Zamoyski do Michała Czaykowskiego:

«Widyń, 16 września 1849.

...Odbieramy twój list. Groźne to są pozory. Dziwnąby było rzeczą, żebyśmy się stali powodem wojny między Turcyą a Rosyą. O turczeniu nie mów nam. Ta myśl każdego oburza. Toć przecie kłamstwem moglibyśmy żyć bezpiecznie w Polsce, nie w Turecczyźnie. Jesteśmy tu, bo kłamać nie umiemy i nie chcemy. Bystrzonowski jest oburzony na ciebie za tę propozycyę. Nikomu jej tu nie powtórzymy. Ciebieby to daremnie poniżyło. Nie mam czasu na więcej. Ściskam. W. Z.»

Z dziennika W. Z.

«17 września 1849. — Saih[1]) przybył ze Stambułu z Etten effendim, przysłanym od seraskiera, Mehemeda Ali baszy. List od Czayki z propozycyą muzułmanienia się[2]). Rozmowa z przybyłym i odmowa. Potem u Bema; on ujęty nadzieją wojny.»

«Drogmanowi ajencyi polskiej towarzyszył Bim basza (major) artyleryi, Etten effendi, sekretnie wysłany ze Stambułu z listami, poufnie pisanymi do nas[3]), w których nas ostrzegano, że sułtan wprawdzie nie chce nas wydać, że z nim trzyma w. wezyr, Reszyd basza i reiss effendi Ali basza, i dwóch jeszcze, ale że większość rady państwa, której zdania sułtan zaciągnął, nachyla się do uległości

---

[1]) Drogman ajencyi polskiej.

[2]) Listy nadeszłe 15 września były prywatne, list odebrany 17 września był niejako urzędowy; tak jedne jak i drugi nie przechowały się.

[3]) Zamoyski wspomina tu o listach odebranych i przez Kościelskiego i przez Saiha.

względem Moskwy. Uprzedzając więc postanowienie, które pociągnąć mogło za sobą sromotę dla Turcyi, a dla nas srogie następstwa, radzono nam, żeby dobrowolnie a jednomyślnie ogłosić, że chcemy przejść na wiarę mahometańską, bo w ten sposób i Moskwa traciłaby wszelkie prawo do reklamacyi i Porta, chcąc nie chcąc, musiałaby współwyznawców bronić. Dodane było zapewnienie, że nas oświadczenie takie nie będzie wiązać, że wolno będzie każdemu wziąć paszport turecki i jechać, gdzie zechce. Dla mnie jednego ofiarowany był wyjątek. Czaykowski całą treścią listu okazywał, że i on innego nie widzi ratunku dla przybyłych z Węgier Polaków; ale choć nie widział do tego przeszkody w chrześcijańskiem uczuciu naszem, upatrywał jakoby niepokonaną w imieniu jakie z przodków na mnie spadło. Donosił więc, że na przedstawienie jego ministrowie tureccy zaręczyli, że jeżeli wszyscy złożą deklaracyę żądaną, mnie jednemu ułatwiona będzie ucieczka za granicę państwa. Dziwny zaprawdę sposób uczczenia historycznego nazwiska, skazujący mnie na ucieczkę pod zasłoną przyzwolenia na hańbę towarzyszy.

Oświadczyłem bez ogródki, że się nie podejmuję udzielić rodakom przysłanego mi zwierzenia. Co więcej, zapytałem drogmana, czy się zawsze uważa za urzędnika ajencyi polskiej i czy wie jaki jest stosunek ajenta stambulskiego do mnie w służbie naszej? Skoro oświadczył, że mu jest wiadomo, iż ja z powagi x. Czartoryskiego stoję nad Czaykowskim, zapytałem, czy przyjmie odemnie rozkaz. Oświadczył, że przyjmie, więc rozkazałem, aby od tej chwili zaprzestał majorowi tureckiemu, z którym przybył, służyć za tłumacza do sprawy, majorowi temu poleconej. Dopieroż zwróciłem mowę do Turka i zapytałem, czy wie dlaczego został przysłany do mnie, a nie do starszych kilku odemnie tu obecnych Polaków. Odpowiedział: «Dlatego zapewne, że wiadoma jest wszystkim oddawna życzliwość pana dla Turcyi, a stąd i zaufanie rządu do niego.» Zapytałem znowu: «A wieszże, panie, na czem

się opiera ta życzliwość moja i szacunek dla waszego narodu? Kocham was i szanuję dla przymiotów i cnót waszych, które w was zaszczepia wiara wasza, szanuję waszą wiarę, o ile wy ją szanujecie, a sam dla podobnej przyczyny na wasz zasługuję szacunek, kocham i ja wiarę moją; gdybym od niej odstąpił albo radził komukolwiek odstąpić, sam powiedz, czybyś miał dla mnie nadal szacunek, jaki dziś okazujesz?» Poczciwy Turek z wzruszeniem wyznał, że sprawiedliwie mówię. Rozstaliśmy się po serdecznem uściśnieniu rąk. Posłałem natychmiast do jen. Wysockiego, prosząc, aby przybył do mnie. Opowiedziałem mu rzecz całą i z wielką przyjemnością widziałem, że bez wahania uznał niepodobieństwo szukania bezpieczeństwa na wskazanej nam drodze. Wsiadłszy na koń, pojechaliśmy razem do obozu i, zwoławszy wszystkich, opowiedzieliśmy bez ogródki i grożące nam niebezpieczeństwo i nastręczony środek ratunku i nadzieję naszą, że wszyscy zgodnie postanowią, bądź co bądź, trwać przy wierze i Kościele. Jeden głos dał się słyszeć powszechnie: «Ponieśliśmy niemało już ofiar, poniesiemy i tę dla ojczyzny; pójdziemy na Sybir, kiedy trzeba będzie.» Wyznaję, iż w tej chwili uroczystej, powziąłem nowy i serdeczny szacunek dla poczciwej wiary naszej i uczułem raz więcej, że, chociaż nam Bóg ciężkie naznacza koleje, mamy przecie czem się w duszy pocieszyć, że jesteśmy Polakami.

Już noc zaszła, gdym wrócił do kwatery. Po chwili przybył do mnie adjutant jen. Bema, prosząc, bym niezwłocznie przyszedł do niego. Pierwsze to było spotkanie nasze od Węgier, bo ja tylko co po chorobie wstawałem, a jen. Bem na złamany pod Temeszwarem obojczyk jeszcze leżał. Opowiedział mi Bem, że ten sam turecki oficer, co mnie przywiózł list od Czaykowskiego, podobnie jego o całej rzeczy zawiadomił, a że Bem miał już własnego drogmana, mógł się z tym posłańcem rozmówić. Zapytywał mnie nie tyle z oburzeniem jak ze zdziwieniem, co myślę o tej dzikiej propozycyi. Nie pojmował jej, a kilka-

krotnie ją głupstwem nazwał. Na to, nierozważnie i nie przewidując skutków, a mniemając, że obaj zarówno bez wahania odpieramy myśl nastręczoną, wdałem się w opowiedzenie szczegółów w liście Czaykowskiego zawartych, mianowicie, że minister wojny obiecuje sobie przyjąć do wojska tureckiego celujących z armii węgierskiej oficerów, zapomocą których jużby Turcya mogła śmiało Moskwie stawić czoło. Zdumiałem, gdy na te słowa Bem rzekł z zapałem: «Ależ to inna rzecz! To warte namysłu!» Postrzegłem, że się Bem zachwiał głęboko i, zapobiegając dodałem: «Ależ jenerale, żadnego nie warte namysłu. Dość wiedzieć, kto jest ten minister wojny, młody, niedowarzony» i opowiedziałem jak przed dwoma laty nieumiejący po francusku tenże minister, Mehemed Ali, zapytywał mnie, czym czytał w gazecie francuskiej artykuł o jednym z kolegów jego, ministrów, a następnie dodał: «Przed miesiącem był o mnie artykuł trzy razy dłuższy» i pokazywał na palcu długość artykułu. Ale Bem już nie słuchał i wpadł w zamyślenie. Ujęty nadzieją, że okoliczność ta obrazi do żywego Moskwę i sprowadzi wojnę, oświadczył tureckiemu oficerowi, że przechodzi na islamizm. Wieść się rozeszła piorunem, dopiero z nią pospieszyłem do Dembińskiego. Już wiedział o rzeczy, rozbierał, ważył, co mu wypada postanowić. Szczęśliwy przecież instynkt i uczucie godności osobistej utrzymywało go przy zdaniu, że do tak ważnego postanowienia przystąpić nie może w niewoli, zapowiadał nawet, że do sułtana napisze, oznajmując, że jeśli mu będzie dana wolność zjechania do Stambułu, jako człowiek wolny, będzie mógł o sobie postanowić. Obecny jen. Meszaros, były wódz naczelny, a następnie szef sztabu głównego przy Dembińskim, wszedłszy z nim w przyjazną zażyłość, jak w obozie pod jednym namiotem, tak w Widyniu w jednym domu z Dembińskim mieszkał. Człowiek rzadkiej prawości i wzniosłego uczucia, surowo upomniał przyjaciela, że i powinność chrześcijańska i prosta szlachetność zabraniają jakiegokolwiek ustępstwa takiego.

Uczucie to stanowczo przeważyło między Polakami. Ośmieliłem się napisać do sułtana list, w którym zawiadamiałem go, że niektórzy ministrowie jego zgłosili się do mnie z poufną radą dla wszystkich Polaków, znajdujących pod jego berłem schronienie. W przekonaniu, że to uczynili bez wiedzy jego, użyłem wyrażenia, że nam ratować się radzą olbrzymiem kłamstwem. Kończyłem list wyrażeniem zaufania, że sułtan dla własnej godności inaczej zapobieże.»

Władysław Zamoyski do Michała Czaykowskiego:

«Widyń, 19 września 1849.

Zdarzały się chwile i interesa w ciągu służby wspólnej naszej, w których zdania twoje i moje różniły się i pamiętam, że najczęściej byłem skłonny uledz zdaniu twojemu i miło mi było uznawać w tobie ten sąd wyższy o rzeczach, o rzeczach zwłaszcza Wschodu. Dziś po raz pierwszy, według mojego sądu, sąd twój nie dopisał potrzebie, popełniłeś błąd wielki i z mocy, jaką mi przyznajesz przemawiania w zastępstwie xięcia, czuję się zobowiązanym zabronić ci stanowczo, aż do zasiągnięcia rozkazu xięcia, — dalszego posuwania się na drodze, jaką w dzisiejszej trudności obrałeś. Troskliwość o ratowanie nas zakryła przed oczyma twojemi względy, których człowiek uczciwy, człowiek honoru, nigdy z oczu ani na chwilę spuszczać nie może. Rozbierać tej kwestyi z tobą nie mam dziś ani siły, ani czasu. Żałuję niezmiernie, że krok twój, który nierozważnym nazwać muszę, może w oczach rodaków, skłonnych do polegania tu na twojej radzie i do używania twego pośrednictwa, osłabić wiarę wielką, jaką mieli w twoją doświadczoną roztropność i znajomość tutejszych stosunków. Obawiam się, że krok ten jeszcze gorsze nierównie rozniesie po świecie wrażenia o tobie i o Polakach. Nie piszę tego, żeby cię martwić, broń Boże, piszę, żebyśmy się zrozumieli.

Co z naszego tu milczenia na zrobioną propozycyę nastąpi, Bóg jeden wie i w jednym też Bogu nadzieja, że

wiernych sobie poratuje. Chociażby jednak przeznaczał nas na próby cięższe, wszyscy tu zrazu krzykną w obozie, że na wszystko gotowi, a zapewniam cię, że wielu dotrwa. Dembiński powtórzył, co już do ciebie pisał: «Nie jestem w obozie, więc zdania żadnego powiedzieć nie mogę.» Jen. Meszaros wyraźniej odepchnął propozycyę z szyderczym uśmiechem. Kossuth i Batthyani niemniej stanowczo znaleźli, że proponowany środek ratunku nie ratuje, a przynajmniej nie zabezpiecza nic. Część argumentów, wyłożonych w moim liście do sułtana, jest wzięta z uwag, czynionych tu powszechnie. Rzecz wcale sekretną nie pozostała i pozostać nie mogła, raz, że komunikowana tylu osobom, powtóre, że Bem, jeden Bem, postanowił ogłosić się Turkiem i zaraz w obozie węgierskim, nie polskim, kazał ogłosić, że rząd zaprasza do kroku tego. Przy Bemie, szef sztabu jego, człowiek tak powszechnie pogardzany, jak rzadko się komu zdarzy, podobnież się deklarował. O żadnym innym nie słyszę, choć przewidzieć można, że w razie bliskiego strachu niejeden będzie wolał kłamać jak iść w kajdany. I to będzie mniej haniebne, niż gdyby, prócz tchórzostwa prostego, chciano udawać, że się idzie za własnowolnym popędem. Mam jeszcze nadzieję, że się krew turecka wzburzy przed wykonaniem sromotnego postanowienia; jeżeli nie, to nas Turcy sami, choć kilku, będą musieli ubić, jak Prusacy w Fischau i Elblągu 1831, nim nas zwiążą i wydadzą. A kto tu padnie ofiarą, nie będzie miał czego żałować, ani go żałować trzeba będzie więcej, jak gdyby był padł na Węgrzech. Owszem, tu stoimy na polu wyższem, świetniejszem. Tu istotnie bronić będziemy wszystkiego, co Polska ma najdroższego: wiary i dobrej sławy. Od pierwszego dnia pisałem ci, niech jedno słowo odważne wyrzekną, a trudność przezwyciężą. Dziś to samo powtarzam, choć trudność urosła. To słowo powinno być rozkazem do tutejszego baszy, żeby ruszył nasz obóz w głąb kraju; zostawienie nas nad Dunajem jest zachętą dla wrogów do natarcia. Traktowanie nie powinno zawieszać

czynów ,kiedy się traktuje z wrogiem grożącym. Powinien czas traktowania być użyty, nie zaś tracony podwójnie, bo i nie robieniem tego, co zbawienne i pomnażaniem śmiałości i siły wroga.

Bema liche oświadczenie tłumaczone nienawiścią do Moskwy i nadzieją, że przez to mu się uda znowu z nią wojować, jest czynem awanturnika, gracza, który, stawiając grubo i śmiało na kartach w Węgrzech, dużo naprzód wygrał, a na końcu wszystko stracił, bo jest nawet bez grosza i miałem mu sam dać zapomogę, ale jej już teraz potrzebować nie będzie.

Ja się stąd nie oddalę, póki drugim grozić będzie niebezpieczeństwo, chyba w jednym razie, gdybym był powołany do Stambułu. Ściskam cię z duszy i kocham; kochaj i ty.»

Władysław Zamoyski do M. Czaykowskiego:

«Widyń, 23 września 1849.

Stąd nic nowego. Bem, choć od Turków przezwany Murad basza i od nich z uszanowaniem oficyalnem w rękę całowany, zapewnia tych, co u niego bywać nie przestali, że on warunkowo zrobił deklaracyę, że oświadczył, iż dopiero w Stambule i po zapewnieniu się, że będzie wojna z Moskwą, stanowczy krok zrobi. Kilkudziesięciu oficerów węgierskich oświadczenie przyjęcia wiary mahometańskiej zrobiło. Zapytywano ich po trzykroć solennie czy to czynią z przekonania i czy nie z rachuby. Musieli stosownie odpowiedzieć. Nie widać w tem, co też ja uważałem za niepodobieństwo, żeby się to oświadczenie odbyć miało bez dalszych obligacyi i pro forma tylko; choć bardzo wierzę, że w Stambule nie żądano od nas niczego więcej.»

Z raportu M. Czaykowskiego:

«23 września 1849.

Na rosyjskie i austryackie ultimatum Porta odpowiedziała, że po zasięgnięciu zdania angielskiego i fran-

cuskiego posła, utwierdziła się w przekonaniu, że ma po sobie sprawiedliwość i prawo. Po tej odpowiedzi x. Radziwiłł wyjechał[1]). Obaj posłowie zerwali osobiste stosunki z Portą, ale stosunki handlowe zostały i drogmani dwóch państw chodzą do Porty jak poprzednio. P. Tytow kazał powiedzieć, że ostatecznie Moskwa poprzestałaby na extradycyi tylko pięciu Polaków: jen. Dembińskiego, hr. Zamoyskiego, hr. Bystrzonowskiego i dwóch innych, którzy są ajentami x. Czartoryskiego. Austrya domaga się wydania jej wszystkich Polaków galicyjskich.

Poselstwo angielskie otrzymuje raporta o egzekucyach w Temeszwarze. Są to infamie jen. Haynau.»

M. Czaykowski do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 30 września 1849.

Listy pańskie z 16 i z 19 września odebrałem, ostatni przez Saiha. Za ten list żalu do Pana nie mam, bo nie pojmuję z jakiej przyczyny te wyrzuty ściągnąłem, ale mam żal gorzki i słuszny dlaczego p. Pułkownik nie posłałeś mojej komunikacyi oficyalnej, jakem o to prosił, jenerałom Dembińskiemu, Bemowi i Wysockiemu. W tem piśmie nie przesyłałem żadnego aktu zrobionego przezemnie, jak się o tem Pułkownikowi podobało wyrazić przed Saihem, a zapewne i przed innymi, ale zdawałem sprawę z tego, co mi mówili nasi przyjaciele Turcy. Nie namawiałem nikogo do przechodzenia na muzułmanizm, ale objawiałem moje zdanie oparte na mojem widzeniu politycznem. Tak daleko była odemnie myśl, aby od niebezpieczeństwa ochraniać Polaków przejściem na muzułmanizm, a którą pan Pułkownik w swoim liście chcesz na mnie rzucić, że z powodu moich zachodów wtenczas najdzielniej stawała Porta w obronie wychodźców, kiedy im posyłała propozycyę muzułmanizmu; tego Pan masz dowody w moich listach do w. wezyra, których

[1]) Przybył do Stambułu z listem odręcznym cara do sułtana.

kopie Panu posłałem i w mojem piśmie. Zapewne dbam o ocalenie i o bezpieczeństwo wychodźców, ale nawet w mojem własnem zdaniu, które wyraźnie objawiłem na piśmie, nie same bezpieczeństwo wychodźców, ale uwolnienie z więzów Polski, ale wojna z wrogiem naszym była mi na celu i były wskazane jasno... Pan Pułkownik chcesz ze mnie zrobić politycznego Don Kiszota, jakieś to Pan już raz przed laty zrobił, czy pozwolił zrobić w Rzymie; tam mnie poświęcono dla zyskania względów księdza Semeneńki i jego kongregacyi, tu nie wiem dlaczego. Takie postępowanie z człowiekiem, który przez lat dziesięć służył sprawie polskiej pod rozkazami xięcia pana, i służył dobrze, nie jest godziwem. — Ja nie służyłem za pieniądze, w spekulacyi dostawania rang i krzyżów, służyłem sprawie wyłącznie i dbam o zachowanie dobrego imienia i dlatego zmuszony jestem dziś pisać do jen. Dembińskiego i Bema, a może do jen. Wysockiego, by oni przecie nie sądzili mnie ze zdania pana Pułkownika.

Nie rozumiem dlaczego porywać się do broni na Turków, kiedy oni bynajmniej nie zmuszają do przechodzenia na muzułmanizm; wołać w obozie do wojny krzyżowej, kiedy żaden bisurman okiem złej woli nie mruży na chrześcijaństwo; chcieć być gwałtem męczennikiem katolicyzmu, tego trzeba szukać nie w Turcyi, ale w Moskwie. Jako ajent xięcia pana, jako Polak, śmiem upraszać, żeby do tego wzięcia broni nie rozpalać nierozsądnych, bo toby było niewiedzieć do czego podobnem.

Jako ajent xięcia pana, listu pana Pułkownika do sułtana nie oddam. Panu Pułkownikowi żadnych propozycyi nie robiono, w imieniu Polaków pan Pułkownik nie ma prawa przemawiać Jen. Wysocki ma prawo przemawiania w imieniu legii, a jen. Dembiński i Bem w imieniu swojem, bo im robiono propozycyę. Poco tedy rzucać rękawicę sułtanowi, poco go obrażać wyrzutami i żalami, kiedy on do tego żadnego powodu nie dał. Jeżeli pan Pułkownik mniemasz, że najpiękniejszy czyn jego

emigracyjnego życia, waleczne dowodzenie legią polską w ostatkach węgierskiej walki i przeprowadzenie onej przez Serbię sprzymierzoną z xięciem panem, będzie źle widzianem przez kamarylę arystokracyi polsko-austryackiej w Wiedniu i że nie można go zatrzeć tylko gwałtem stawiając się za obrońcę niezagrożonego katolicyzmu, to lepiej to zrobić gdzieindziej nie w Turcyi, gdzie jeszcze stoi w powadze polityka xięcia pana, lepiej odpokutować w Rzymie, jak tu niszczyć ostatnie nadzieje Polski; to się należy od p. Pułkownika Polsce i xięciu panu...»

«Po kilku dniach niepewności odebraliśmy wiadomość, że sułtan, nie radząc się Porty, ale własnego szlachetnego natchnienia, odmówił stanowczo żądaniu wydania nas.

Tymczasem jesień nadeszła i dawała się czuć dotkliwie ludziom naszym w obozie, na nowe wystawiając ich próby. Wynieśli z Węgier po jednem tylko odzieniu letniem płóciennem, wielu było bez płaszczy. Turcy dali wprawdzie namioty do obozu, ale to nie wystarczało w miesiącu wrześniu, na łące przyległej do szerokiego Dunaju przy częstych słotach i zimnych nocach. Mała garstka tymczasem odstępców, przyjętych na islamizm, czy Polaków, czy Węgrów, otrzymała zaraz odzienie ciepłe, lepszą żywność i mieszkanie w koszarach tureckich. Nabożeństwo niedzielne przedstawiało widok rozrzewniający. Kapelan krzepił, jak mógł, słowami wiary i nadziei. Gromił bez ogródki odstępców, a kończył zawsze modlitwą za nich. Ostrzegał przeciwko podszeptom zgubnie pojętego patryotyzmu. Tłumaczył, że dzikością staje się miłość ojczyzny ziemskiej bez zamiłowania nadewszystko niebieskiej, wiecznej! Większa część słuchaczy stała bez obuwia na wilgotnej trawie. Wiatr bywał zimny, na twarzach rzewność i dziwny spokój; widok ten utkwił mi głęboko w pamięci.

Chłód i wilgoć sprowadziły biegunkę. Przyszło do tego, że nie było w całym obozie tym, liczącym blisko

tysiąc naszych, przy kilku tysięcy Węgrów i 500 Włochów, nad kilkunastu ludzi nie dotkniętych dysenteryą. Śmiertelność była wielka, codzienna. Basza na przedstawienie moje ciągle odpowiadał zapowiedzią ciepłej dla emigracyi odzieży. Widząc, że nie nadchodzi ta odzież, zamówiłem u kupca miejscowego kilkaset krótkich kożuchów baranich kształtu długiego kaftana. Można sobie wyobrazić, jak mile przyjęte były w obozie, a i mnie, wyznam, miłe wspomnienie zostawił widok wiary naszej w te kaftany odzianej, bo im nawet było do twarzy.

Pod namiotem leżeli po największej części na gołej ziemi. Sprawiłem i sienniki, które, słomą grubo napchane, broniły od wilgoci. Inne drobniejsze dostarczane były zapomogi, mianowicie dla chorych. Ale ze wszystkich zapomoga najżywotniejsza ponawiała się niemal co dziesięć dni, kiedy żołd przez sułtana dla całej emigracyi naznaczony, zamiast regularnej wypłaty, zalegał. Żołd ten miał opłacać żywność. Skoro więc pierwszy raz dni kilka minęło bez wypłaty, udałem się do baszy, który pozwolił, abym część należną Polakom zastąpił pożyczką jemu przezemnie wręczoną. W kilka dni później zwrócone mi były pieniądze, ale za nadejściem dziesięciodniowego terminu znowu brakło Turkom pieniędzy na żołd i znowu pożyczkę odemnie przyjęli. W ten sposób odbywała się wypłata regularnie co dni dziesięć przez cały ciąg tego pobytu mego w Turcyi; w ten sposób pieniądze moje kilkanaście razy tę usługę oddały. Mogłem podziwiać zarówno nieregularność Turków i sumienne zwracanie pożyczonych im pieniędzy.

Pod koniec bieżące potrzeby wyczerpały mój zasób, ale doświadczona już Turków sumienność w zwracaniu pieniężnych awansów, ośmieliła mnie dnia jednego udać się do kupca Bułgara o pożyczenie mi na tę potrzebę 30000 piastrów tureckich, około 6000 fr. Bułgar skwapliwie przyzwolił na moje żądanie, ale gdym nadmienił, że miejscowy basza kwit mój potwierdzi własnym podpisem,

wymówił się od tego Bułgar, prosząc, abym go nie wprowadzał w stosunek z tym panem. Nie z własnych zasobów ponosiłem takie wydatki, głównie mi do nich służyła reszta daru Xawerego Branickiego. Głośno też mówiłem otaczającym, że ich ratuję pieniędzmi przez rodaków na taki cel w moje ręce złożonemi. Doszła do sułtana wieść o ponoszonych przezemnie wydatkach, gdy więc pod koniec pobytu mego w państwie tureckiem zjechał do nas adjutant jego, żeby wykonać rozporządzenie o internowaniu najcelniejszych, przyniósł mi od sułtana podziękowanie z żądaniem, abym przedstawił rachunek poniesionych w zastępstwie rządu sułtana wydatków. O ile pamiętam rachunek doszedł do sumy 25000 fr. Te mi zostały wypłacone, a że opuszczałem Turcyę złożyłem tę sumę w ręce komitetu, mającego dalej czuwać nad potrzebami Polaków po odjeździe głównych polskich naczelników.

Z tych jednakże pieniędzy, które tylokrotnie składałem w ręce tureckiego płatnika i z rąk jego odbierałem napowrót, zatrzymałem jakie 50 sztuk złotych i, opieczętowawszy, schowałem do szkatułki z napisem: «cudowne złotówki»; bo wistocie miałem uczucie, że się za ich pomocą dopełniło pomnożenie chlebów [1].»

X. Adam do Michała Czaykowskiego:

«Paryż, 2 października 1849.

Sturczenie się naszych mam za bardzo nieszczęśliwy pomysł. Pominąwszy rzecz w sobie, o której każden podług swego sumienia niech sądzi, ale zważając na skutek, było to usprawiedliwić wszystkie paszkwile i kalumnie na nas rzucane; powiedzianoby, że Polacy nie mają żadnych zasad, ani czci ani wiary i że godnie uwieńczyli swe rewolucyjne szaleństwa. Toby nas w opinii euro-

---

[1]) W 1852 złożył je Zamoyski na potrzeby ubogich emigrantów w Paryżu.

pejskiej dobiło. Dziwnem byłoby, gdyby rząd, który się odznacza swojem oświeceniem, który dąży do przypuszczenia poddanych chrześcijan do równych praw i użycia ich w służbie i ku wspólnej obronie krajowej, żeby, mówię, ten rząd taki warunek narzucał cudzoziemcom, proszącym o gościnność. Uważałem zaś, iż ktokolwiek się bisurmanił, nigdy to na dobre dla kraju nie wyszło, a rzadko i dla niego samego.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 10 października 1849.

Wypadek sturczenia się nie miał wagi danej mu w waszym obozie. Był głupi koncept jednego z ministrów (seraskiera); Czayka wzięty à l'improviste nie umiał się oprzeć; do mnie pisze, że nie był ani pro ani contra, ale że musiał zezwolić na posłanie oficera z propozycyą. Nie mam czasu rozpościerać się nad niezgrabnością i niepolityką tego kroku. Powiem ci tylko, żem go od dwóch kuryerów już najwyraźniej i coraz mocniej zganił Czayce i żem w tej mierze z twojem wrażeniem i zdaniem zupełnie się spotkał.

Ani sułtan, ani rząd w osobie wezyra i Alego do tego wcale nie należeli.

Wszelkie szczegóły o tej rzeczy, które dowiodą wiarę i uczucia wszystkich Polaków, będą nam pożądane.»

Władysław Zamoyski do Michała Czaykowskiego:

«Widyń, 13 października 1849.

Odebrałem twoje dwa listy 30 pisane, z których jeden pisany w chęci dotknięcia mnie jakby można najdotkliwiej odłożyłem po przeczytaniu na bok i więcej go czytać nie chcę, żeby gorycz z niego nie weszła i we mnie. Boleść zrobiła cię, nie poraz pierwszy, niesprawiedliwym. Ale dlatego też, że nie poraz pierwszy i że wrażenia podobne zmywałeś poprzednio serdecznem zapewnieniem, że poznałeś własną nieprawiedliwość, poczem znowu praco-

waliśmy razem z całych sił i z zupełną wzajemną ufnością, a, jak ja sądziłem i czułem, z uczuciem przyjaźni, dlatego, mówię, mam jeszcze w Bogu nadzieję, że tego szczęścia i twojej przyjaźni i wspólnej z tobą do końca pracy nie będę pozbawiony.

Nietrudno mi przychodzi uznać, że stosunek służbowy dowolny, jaki nas łączy, nie obowiązuje cię wykonywać tzw. rozkazy władzy, gdy się przeciwią głębokiemu przekonaniu twemu. Sadzić się możemy na tworzenie między nami władzy przez zapewnienie jej o naszem posłuszeństwie i niezaprzeczoną sprawie przynosimy korzyść, ile tylko potrafimy takim dążeniom i zamiarom chwalebnym dopisywać. Jednakże służby ścisłej zaprowadzić nie zdołamy i płytkiby był umysł tego, któryby się czuł osobiście dotknięty, gdzieby tzw. rozkaz jego nie był wykonany przez tzw. podwładnego. Służba nasza nie rozkazem ale ufnością wzajemną i nieograniczoną, niewyczerpaną wyrozumiałością żyć może. Drażliwość ją zabija, a cóż dopiero gniew za doznaną urazę i chęć dogryzienia w najdotkliwszy sposób! To ją zniweczyć może, nie zaś wypowiedzenie posłuszeństwa, jakie mi teraz oświadczyłeś. Odtąd o żadnym między nami rozkazie nie może już być mowy, byleby została wzajemna ufność i przyjaźń. Nieczęsto nam się zdarzy być, jak w niedawnym razie, przeciwnego zdania. Więc możemy wiele razem usypać roboty, jeżeli tylko jako równi, ale jako życzliwi, po dawnemu porozumiewać się będziemy. Że tak będzie, mam nadzieję, bo zdaje mi się, że cię znam, bo jeżeli cierpliwość moja i nieporuszoność czasem dają mi w twoich oczach pozór braku serca, to ja w popędliwej i niesprawiedliwej czasem drażliwości twojej widzę dowód serca nie złości i rękojmię powrotu do dawnej przyjaźni naszej.

Czułem z boleścią, że ty cierpisz mocno z okazyi tego nieszczęsnego projektu islamizmu. Z większą jeszcze boleścią pomnę ile xięcia zasmuci to między nami nieporozumienie. On cię wysoko ceni i kocha. Choć pisał,

że ajencyi dłużej utrzymać nie może, doniesienia twoje o gorzkim przeciwko mnie żalu, wydadzą mu się jakby ostatni znak rozprzężenia i rozbicia owocu tylu prac naszych pod jego sterem! To go zasmuci bardzo.

O swoim smutku nie powiem. Zdaje mi się czasem, że się we mnie miara onego przebrała niemal do odrętwienia. Dusza pragnie jeszcze pracy, pracy wspólnej z dobrymi i tęgimi, ale ciało na siłach upada.

Kwestya o odszczepieństwie i okazana przez Polaków wierność obudziła wielką, nie okazywaną wprzód sympatyę między tutejszymi Bułgarami i niektórymi Serbami. Zapraszają naszych do żenienia się z ich córkami. To może być ułatwieniem do kolonizacyi, byle z naszej strony zachowana była roztropność i unikane było drażnienie schyzmatyków przy zachowaniu własnej wiary. To jednak będzie trudno.

14. — Dziękuję za przysłane kopie listu cesarza Mikołaja i dwóch not. Jestto pożywienie dla nas, bardzo tu pozbawionych wiadomości. Gdyby nie twoje listy, jakkolwiek nieregularnie mnie dochodzące, gdyby nie twoja w Stambule czynność i zadziwiająca świadomość, bylibyśmy tu ucierpieli nierównie więcej.»

Ludwik Zwierkowski do Władysława Zamoyskiego:

«Belgrad, 15 października 1849.

Ludwik Batthyani [1]) osądzony na szubienicę 6 października, żona mu przyniosła puginał, którym sobie parę razów w szyję zadał, ale się nie zabił, wpadli stróże, opatrzyli i był rozstrzelany, siódma wieczór, w Peszcie, naj-

[1]) Ludwik Batthyani (1809—1849), magnat węgierski, jeden z twórców ruchu narodowego wśród zniemczałej arystokracyi madziarskiej. Był zwolennikiem samorządu Węgier pod berłem Habsburgów; do powstania przyłączył się dopiero z chwilą, gdy cesarz żądania Węgrów odrzucił.

więcej za opłacenie zabójców Latoura[1]). Od czasu poddania się Komorna każdego dnia są egzekucye, rozstrzelania i wieszania, najmniej pięć osób na dzień. Do dziś dnia znana jest śmierć dziewięciu jenerałów.»

Władysław Zamoyski do ajentów:

«Widyń, 18 i 20 października 1849.

Głównem wydarzeniem tego tygodnia jest propaganda jenerała austryackiego Hauslapa, by złowić biednych wychodźców w okrutne sidła austryackiej amnestyi. Ma on polecenie zawiadomić wychodźców o następujących «miłosiernych» zamiarach ojcowskiego rządu: dla wszystkich, którzy wzięli udział w powstaniu węgierskiem przymus wstąpienia do służby austryackiej na prostych żołnierzy bez względu na zajmowane poprzednio stopnie; dla tych, którzy zbiegli z austryackich szeregów, sąd i wyrok tzw. sprawiedliwości. Statek parowy przybył tu po amatorów tej amnestyi. Dość znaczna liczba, niepodobno stwierdzić ilu, dała się już u niego zapisać, ogolić i będzie pobierała żołd dzienny do chwili odpłynięcia. Mówią, że większość Węgrów podda się. Oni tu dużo ucierpieli od zimna, nędzy i opuszczenia, bo żaden z ich wodzów nie umiał czy nie mógł się nimi zająć. Takie niesnaski panują wśród nich między oficerami wyższych stopni, że dla uniknięcia rywalizacyi wpływów, zaniechali jakiejkolwiek styczności z biednymi żołnierzami. To też około 300 oficerów się sturczyło[2]) reszta z nielicznemi wyjątkami powróci do Austryi. Włosi dość się dobrze bronili przed islamizmem, około 50 oświadczyło gotowość powrotu do służby austryackiej. O zamiarach naszej wiary dziś się dopiero dowiemy. Wczoraj, gdy jen. Hauslap przechadzał się w porcie, przyjęli go nasi gwizdaniem, a gdy

---

[1]) Teodor hr. Baillet de Latour (1780—1848), minister wojny zabity przez Wiedeńczyków, 6 paźdz. 1848.

[2]) Z polskich oficerów, prócz Bema, tylko dwóch

się schronił do konsulatu, urządzili mu kocią muzykę, co się zowie. Młodzież turecka brała w niej entuzyastyczny udział; krzewimy tu, jak widzisz, cywilizacyę. Hauslap dla bezpieczeństwa zamieszkał na swym parowcu. Tymczasem ze statku, płynącego z Orszowy, Madziar jakiś, któremu nie dozwolono wylądować pod pozorem, że ma paszport do Gałaczu, krzyknął na swoich: «Strzeżcie się wrócić do kraju». To wywarło wielkie wrażenie na biednych zapaleńcach, steranych dwumiesięczną nędzą, a więcej jeszcze niepewnością jutra. Turcy nikogo nie namawiają do korzystania z amnestyi, przeciwnie, wydają się prawie obrażeni na myśl, że ktoś mógłby przekładać mundur austryacki nad gościnę u ich sułtana. Basza martwi się tym wyjazdem, usiłuje otrzymać od jen. Hauslapa jakieś rękojmie dla nich! Wczoraj zaręczył Kossuthowi, że oficerów umieszczą, nie żądając zmiany religii. Czemuż tego prędzej nie powiedzieli i nie zrobili!

Rozkaz wymarszu stąd oczekiwany lada dzień.»

Z raportu M. Czaykowskiego dla x. Adama:
(prawdopodobnie z 24 października 1849.)

«Napisałem do Pułkownika list pełen goryczy, zupełnie niewłaściwy, żałowałem, żem go posłał, a teraz po odebraniu jego listu z 7 października, żałuję i wracam do niego z całem mojem uwielbieniem a szczerem wyznaniem mojej winy, którą chciałbym, aby wszyscy wiedzieli, bo mnie to nie upokarza wyznać ją przed człowiekiem tak wyższym od innych i rozumem i sercem. Zawsze powiadam, że on pobłądził politycznie, a ja przekroczyłem przeciwko niemu, zawiniłem. Pragnę, by to moje wyznanie zostało w raporcie i dlatego je umieszczam.»

Józef Sobolewski do Władysława Zamoyskiego:
«Florencya, 30 października 1849.

Z tego co mnie doszło o przedłużeniu twego pobytu w tem nieszczęsnem mieście (Widyniu) jest jednym ha-

raczem więcej, który opłacasz sprawie. Brak mi słów, aby ci wyrazić głębokie uwielbienie, jakiem mnie przenikasz bardziej jeszcze niż kiedykolwiek. Twój wpływ, zatem twoja siła, podwoiła się od ostatnich wypadków, bo twoje zachowanie się z tak niezrównanem poświęceniem, bohaterstwem i zaparciem się siebie, zwróciły ku tobie cześć i życzliwość nawet najnieżyczliwszych.

Biedny Zygmunt przywołany przez ojca i przez rząd do kraju już od początku miesiąca w tej otchłani, w której jak murem chińskim od żyjących przedzielony. Pisał z Drezna, wypytując się o ciebie, błogosławiąc ci, żeś znowu chwałą i siebie i imię polskie okrył. Znalazłem go w Szwajcaryi zbitego na zdrowiu i umyśle. Pierwsze się nieco przed wyjazdem polepszyło, drugie za każdym krokiem, co go do Polski zbliżał, upadało, pełny smutnych przeczuć i rozpaczy. I nie dziw, bo wszystko coraz czarniej na horyzoncie i któżby od zwątpienia dzisiaj uchronić się potrafił? Niech cię Bóg strzeże, drogi mój bohaterze.»

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Widyń, 30 października 1849.

Dziś opuszczamy Widyń, by się udać do Szumli. Zachowanie się Porty względem nas było od początku szlachetne. Wystaw sobie, że na koszta podróży dali mi 5000 pt., a wszakże i w drodze i tu za nic nam płacić nie pozwalają. Oczywiście ja i kilku innych złożyliśmy daną nam sumę do wspólnej kasy legii. Każdy z ludzi też otrzymał jakiś dar poza odzieżą. Nasz wymarsz ma i tę doniosłość, że Moskale od początku przestrzegali Portę, że wymknięcie się choćby jednego wychodźcy z Widynia uważać będą za casus belli. Oczywiście, Porta liczy na poparcie Anglii i Francyi, ale sprawiedliwość każe wyznać, że od początku zachowywała się w sposób na jaki niewiele państw europejskich byłoby się zdobyło. To też wymieniamy między sobą, Turcy i my, niezliczone dowody wzajemnej życzliwości.»

Z dziennika W. Z.

«31 października 1849. — Marsz do późnej nocy, deszcz. Pierwszy nocleg w jamach bułgarskich.

3 listopada. — Noc w karczmie, czworo dzieci ślicznych.

4 listopada. — Przez rzekę w bród. Kraj w pagórki i znowu błonia ogromne.

5 listopada. — Dwie znaczne rzéki w bród.

6 listopada. — Marsz do Plewny. Władza i ludność przyjmują nas za miastem z honorami. Miasto handlowe.

8 listopada. — Marsz do Łowczy, położenie piękne, pod skałami w półkole. Rzeka Osma, tu bitwa krwawa 1829 roku.

10 listopada. — Marsz ciężki.

11 listopada. — Marsz do Samowola, wsi o milę od Tyrnowy, rzeka Jetra, po turecku Jantra, płynie przez piękną dolinę. Na dwóch brzegach wysoko dwa klasztory: św. Trójcy, większy, na prawym brzegu, ma kamień z napisem łacińskim za Trajana, oznaczający granicę między Tracyą a Mezyą; drugi klasztor Preobrażenia, mniejszy, gniazdo orle.

13 listopada. — Przez Tyrnowę, śliczne położenie: 35000 mieszkańców, rzeka Jetra, pół na pół Bułgary i Turki. Szkoła grecka, dwudziestu uczni. Z Tyrnowy przez Arnautkiej na górze, gdzie wiejskié domy mieszkańców Tyrnowy.

17 listopada. — Marsz do Szumli.»

«Wymarsz do Szumli miał na celu większe bezpieczeństwo nasze, oraz potrzebną na przezimowanie wygodę, bo w miejsce namiotów na wilgotnej łące nad Dunajem, dostaliśmy się do dobrych koszar. Marsz odbywał się porządnie; w tym razie, jak w wielu innych, doświadczyłem, że chociaż Turcy nie umieją na termin wypłacać żołdów, umieją przecie dostarczyć żywność codzienną. Marsz więc następujących po sobie kolumn emigracyi polsko-węgierskiej odbywał się porządnie, niemal

wesoło, bo kraj był piękny, a chociaż jesień późna, służyła nam pogoda. Wsie i miasta, w których się zatrzymywaliśmy, były dostatnie, a ludność wszędzie życzliwie nas przyjmowała. Wsie bułgarskie, najczęściej obszerne, dobrze zabudowane, w piękne opatrzone sady, zadziwiały nas czystością wewnętrzną domów. Łóżek nie bywało, rzadka była i sofa, ale na czystej podłodze leżał dywan a przynajmniej rogóżka, na której spokojnie spocząć można było, zwłaszcza dla mnie, który miałem rzeczy na bryczce, choć maszerowałem na koniu przy kolumnie. Eskorta turecka nam[1]) towarzyszyła, ale widocznie się sadziła na usłużność i uprzejmość dla wszystkich. Mnie osobiście dodany oficer nietylko się starał o wszystko czemby mi przysporzyć wygody, ale nieraz, gdym zbłocony zsiadł z konia i położył się na dywanie, przyklękał i sam obuwie chciał z nóg moich ściągać, ażem się stanowczo od tego bronić musiał.

W miastach, gdziem się dopytał o istniejącą szkołę bułgarską, odwiedzałem nauczycieli, którzy w tym kraju obok kupców majętniejszych stanowią czoło narodu. Klasa wyższa jakby wygasła, bodaj czy się za czasów najazdu tureckiego nie sturczyła W Bośni po dziś dzień są tzw. begowie, panowie zaledwo mówiący po turecku, a przecie od wieków sturczeni, następcy przodków, którzy przed grożącym najazdem po strasznych klęskach sąsiadów, przyjęli na pozór islamizm i tem od wieków się ratowali od wytępienia lub ciężkiego ucisku; niemniej dlatego dziś po największej części mają w domach swoich misyonarzy Bośniaków, zakonu Franciszkanów. Że w Bułgaryi śladów takich nie widać, to może świadczy, że wyższą klasę najezdnicy wyrznęli. Zaledwo rodzin kilka na całym obszarze Bułgaryi zachowuje znaczenie wyjątkowe, ale i to raczej w charakterze Fanariotów, niż istotnych Bułgarów.

---

[1]) Polakom i Węgrom, Włochów odesłano do Gallipoli.

Nauczyciele, których poznałem, po największej części byli młodzi, w Odessie wychowani, po moskiewsku mówiący doskonale, a przecież, ile dawali mi poznać, nie zarażeni duchem moskiewskim, owszem nad wszystko ciekawi spraw zachodniego świata. Paryż, dzienniki paryskie, choć francuskiego języka nie znali, to zdawało się najsilniej do ich wyobraźni przemawiać. Niejeden, po wysłuchaniu odpowiedzi moich na liczne zapytania, kończył, mówiąc z westchnieniem, jakiemby mu było szczęściem francuskie czytać dzienniki. Z duchownymi bułgarskimi, podówczas bez wyjątku schyzmatykami, nie szukałem spotkania, ale miałem sposobność słyszenia nieraz, że między biskupem, zwykle Grekiem z rodu, mianowanym przez patryarchę carogrodzkiego, a podwładnem duchowieństwem bułgarskiem, choć schyzmatyckiem, nie było współczucia. Owszem, głośne było narzekanie na biskupów i na patryarchat za ciężkie podatki wyciskane z ludu. Wiadomo, że głównym dochodem patryarchy są wypłacane jemu przez biskupów w chwili zamianowania ich znaczne sumy; podobnie opłaca się Turkom patryarcha przy zamianowaniu go przez sułtana. Ale zato biskupi wyłożone dla patryarchy pieniądze ściągają od powierzonej sobie dyecezyi. A że do Bułgaryi patryarcha samych Greków mianuje, o tyle więcej niechęci ku nim w duchowieństwie i ludzie; w biskupach zaś nawzajem zazdrość ku zakładom wychowania, chęć utrzymania podwładnych w ciemnocie.

Przybyliśmy do Szumli 17 listopada 1849. Żołnierze nasi i oficerowie niżsi umieszczeni zostali w pysznych koszarach. Wyżsi oficerowie otrzymali kwatery w mieście. Mnie jednego spotkał wyjątek: w tureckich koszarach jest zawsze jedna wielka sala niby honorowa, w której dowódca zwykł gościć starszych i podwładnych swoich i częstować lulką i kawą. W koszarach, których część zajmował pułk turecki, a reszta służyła Polakom, tę izbę mnie przeznaczono. Obecny adjutant sułtana przyjmował wszystkich starszych i prowadził na przeznaczone im kwatery.»

Z dziennika W. Z.

«18 listopada 1849. — Niedziela. Msza w koszarach. Krótkie kazanie: «miłości mało, wiary podobno nic». Modlitwa księdza z płaczem, obojętność, cynizm.»

«Mieszkając w koszarach, przyszedłem do codziennych prawie i poufnych stosunków z pułkownikiem, dowódcą pułku piechoty tureckiej, też koszary zajmującego. Jednego dnia przyszedł do mnie pułkownik z rozognioną twarzą, żądając głośnej sprawiedliwości. Opowiedział, że przeszłej nocy służbowy patrol napotkał kilku Polaków rozochoconych i niepokój czyniących na ulicy, kazał im iść do koszar, zaszły przymówki, po których jeden uderzył podoficera cybuchem, iż od uderzenia szrama na twarzy została. Podoficer tyle okazał umiarkowania, tak był widać przejęty należną względem gości sułtana wyrozumiałością, że poprzestał na spokojnem zapędzeniu całej kupki do koszar. «Ale ja», dodał pułkownik, «na tem poprzestać nie myślę; podoficera pochwaliłem, ale żądam przykładnego ukarania przestępców.» Użył nawet wyrażenia, że ten, co śmiał uderzyć sułtańskiego podoficera, pełniącego służbę, powinien być przed frontem pułku wychłostany. Odemnie żądał, bym winnego odkrył i władzy wydał. Żądanie było niemałe: zadośćuczynić mu nie mogłem, chociażem żal i zgrozę pułkownika podzielał. Czułem, że mu się satysfakcya należy, a truchlałem na samo przypuszczenie wymierzenia takiej kary na przestępcy. Okazawszy pułkownikowi najżywsze współczucie, poszedłem do jednej z sal, zajętych przez polskich wychodźców. Niebawem się dowiedziałem, że w tej nocnej burdzie uczestnikami byli nie żołnierze ale ichmoście oficerowie. O tyle większa była zgroza moja ale i wstręt tem większy do przypuszczenia, by podobną karę miał ponieść oficer polski. Nie zwykłem chodzić po salach. Stosunki moje ograniczałem do starszych, wmawiając w nich ciągle, że nie przestaje ciężyć na nich odpowiedzialność moralnego przewod-

niczenia tym, których poprzednio dowódcami byli. Dnia tego do żadnego ze starszych nie chciałem się udać. Wolałem wprost się odwołać do szlachetności Polaków. Skoro nadmieniłem dlaczego przychodzę, zaraz odezwały się głosy upewniające, że wszyscy są zgrozą przejęci wypadkiem nocy zeszłej. «A więc», rzekłem, «panowie, nie wątpię, że i ten, który uderzył podoficera tureckiego, czuje winę swoją; wzywam go przeto, zaklinam na honor, na bezpieczeństwo wszystkich, niech szlachetnie sam wystąpi, niech się uzna winnym.» Nastąpiło długie milczenie. Sala była przepełniona, bo na wieść o przyjściu mojem zebrali się licznie z sal pobliskich. Wytrzymawszy chwilę, rzekłem: «Pojmuję, panowie, że nikt z was kolegi, jakkolwiek winnego, wymienić nie może. Wzywam przeto wszystkich, którzy nie zawinili, aby wyszli z sali. W ten sposób może poczuje się winny do pozostania sam na sam ze mną.» Poczęli wychodzić, wtem winowajca wystąpił i winę wyznał. Scena była tem więcej dramatyczna, że Turcy, wiedząc o co mi idzie, stali w drzwiach i oczekiwali końca. Odwróciłem się do nich i rzekłem do pułkownika: «Oto macie winowajcę. Sam dobrowolnie wyznał winę, ufam w podobną z waszej strony szlachetność, ufam, że między wami nie dozna krzywdy aż mu władza naznaczy karę.» Wprzód jeszcze, zapytywany od rodaków jaka kara czeka winowajcę, zaręczyłem, że wszelkiego dołożę starania, aby nie dopuścić do chłosty. Nazajutrz pułkownik turecki zebrał sąd i zasiadł jako prezes; mnie zaprosił na świadka czynności sądu i posadził przy sobie. Rzecz się wyjaśniła pokrótce: winowajca przyznał się do winy i za mojem nastręczeniem ofiarował ponieść karę w wynagrodzeniu pieniężnem ukrzywdzonego. Pułkownik zapytał podoficera jakiegoby żądał wynagrodzenia. Podoficer odpowiedział spokojnie: «Pieniędzy nie potrzebuję; mam żołd od sułtana a dzięki Bogu i rodzina pamięta o mnie. A jeżeli mi sąd dozwala naznaczyć karę na tego, co mnie ukrzywdził, żądam, ażeby wyznanie winy swojej

ponowił przy mnie w każdej z osobna sali przez rodaków jego zajmowanej.» Pułkownik szlachetnością podkomendnego widocznie zadowolony, zapytał mnie tylko, czy się mój rodak zastosuje do tego żądania. Tak więc rzecz szczęśliwie się załagodziła i obudziła we mnie dla żołnierzy tureckich szacunek, który następnie niejedna utwierdziła okoliczność. Wistocie kto znał tylko Turków wyższej klasy, mianowicie urzędników od najwyższych do najniższych, ten, prócz rzadkich wyjątków, widział samych tylko zepsutych. Ani się mógł domyślić ile zacności, ile w sobie cnót przechowuje proste, nieskalane zetknięciem z władzą plemię tureckie.

Pobyt nasz między Turkami doprowadził władzę turecką do mniemania, że w zadaniu drażliwem mogą mnie użyć za pośrednika. Jakoż z p. Kossuthem, z jen. Dembińskim i innymi napotykali na niejedną osobistą drażliwość. Nieraz też miejscowy basza albo nadesłany ze Stambułu oficer jaki, udawali się do mnie, prosząc, bym użył swego wpływu ku nakłonieniu tych panów do cierpliwego przyzwolenia na postanowienia, do jakich się rząd krajowy nieraz czuł zmuszonym. Bywało, że i towarzysze moi, tak Węgry jak i Polacy, widząc, że mam u rządu jakieś uważanie, żądali mojej rady i wstawienia w zachodzących potrzebach. Jen. Dembiński lubił pisywać listy do sułtana albo do ministrów jego. Raz kreślił polityczne pomysły i projekta, drugi raz w niecierpliwości żądał zmiany w narzuconych nam przepisach porządku. Miejscowy basza, czasem i rodacy bliżej jen. Dembińskiego stojący, doświadczywszy łaskawej powolności z jaką mnie raczył wysłuchiwać, przychodzili do mnie prosić o pomoc w uspokojeniu go. Mówili, że go umiem magnetyzować.

P. Kossuth najbardziej marzył o ujęciu sułtana na przyszłość dla sprawy Węgier. Pewnego dnia (23 list. 1849) przysłał do mnie jen. Perczela, jednego z najdzielniejszych węgierskich jenerałów, prosząc, bym go nawiedził. Gdym przyszedł, czytał w obecności jen. Perczela wygotowany

list do sułtana, w którym, ni mniej ni więcej, jak w imieniu Węgier oświadczał, na zasadzie wspomnień dawnej przeszłości i wspólności rodu, gotowość uznania sułtana panem i władcą, pod którym Węgry miały zostać królestwem lennem. Wprzód jeszcze, bo już w Widyniu, marzył o wielkiej konfederacyi wschodniej. Chciał za przykładem Ameryki południowej zwać ją Banda[1]) — Oriental. Taka wschodnia konfederacya miała się składać z Węgier, Polski, rozmaitych Słowian, Mołdowołochów i Greków, a głową miał być sułtan. Mnie przy takich zwierzeniach zarzekał, bym się opatrzył w potrzebną od rodaków powagę i odtąd z Węgrami i innemi narodami, w miarę ich przystępowania do konfederacyi, prowadził w nierozdzielnem porozumieniu wszystkie sprawy dotyczące ogółu. List ofiarujący sułtanowi lenne władztwo nad Węgrami był czynem odrębnym od zamierzonej wspólności, dla tego mnie zapytywał p. Kossuth, czy nic nie mam do zarzucenia. Nie widziałem żadnego powodu przeciwienia się w imieniu Polski skoroby się Węgrom tak podobało.»

W obszernem sprawozdaniu dla x. Adama z powyższych rozmów Zamoyski pisał (27 listopada 1849): «Po dwóch miesiącach martwoty p. Kossuth wyraził mi życzenie utrzymania w przyszłości, dla wspólnej korzyści Węgier i Polski, stosunków, które się między nami zawiązały w ciągu wojny. Wyłożył potrzebę i nadzieję utrzymania wielkiego związku Włochów, Węgier, Polski, Kroacyi, Serbii, Rumunii. Wyliczenie tych narodowości miało wskazywać, że Węgrzy zamierzają szanować odrębność ludów, które się wewnątrz ich kraju znajdują. P. Kossuth jest przedewszystkiem Madziarem, madziarskim Węgrom chce się poświęcić, pragnie tego, co uważa za niezbędne dla istnienia węgierskiego państwa; pozatem chce udzielić rozmaitym plemionom niemadziarskim, Węgry zamieszku-

---

[1]) Związek wysp holenderskich.

jącym, równouprawnienie cywilne i polityczne z Madziarami, tudzież zapewnić im rozwój narodowy, ale jako język polityczny i dyplomatyczny dla całych Węgier i dla łączności między wszelkiemi częściami kraju chce języka madziarskiego. Bez tego nie rozumiałby ojczyzny. Powiedział mi, że według jego rozumienia związku, federacyi, każdy z nazwanych przez niego narodów byłby zupełnie niezależnym z wyjątkiem zewnętrznej spójni, przeznaczonej do wspólnej obrony. Następnie wskazywał, że emigracya węgierska, włoska i polska powinny łącznie działać w przekonaniu, że jak wspólnych mają wrogów tak też wspólny cel i wspólne korzyści. Myślał, że on mógłby przedstawiać emigracyę węgierską, ja polską, Manin włoską. Dowodził, że nie przez dyplomacyę, ale przez wojnę i to wojnę przeciw Moskwie, uciemiężone narody doszłyby do oswobodzenia. Licząc na urok swojego nazwiska i na sympatyę okazaną w czasie wojny przez Anglików dla Węgier, chce się udać do Anglii i tam ściągnąć uwagę na zaborcze kroki Moskwy. Ufa też, że potrafi w Anglii i w Stanach Zjednoczonych uzyskać potrzebne fundusze. Na mnie chciałby zdać na czas swojej nieobecności zachody węgierskie w Turcyi, dlatego, że polityka x. Adama w Turcyi odpowiada ze wszechmiar temu czego on pragnie: «Politykę tę podziwiam. Jest zdumiewającą rzeczą, że xiążę zdobył sobie zaufanie władz tureckich, a zarazem chrześcijańskich poddanych Turcyi. Niegdyś polityka xięcia wydawała mi się tak stronniczą względem Słowian, że aż wrogą względem Węgier. Dzisiaj oddaję mu sprawiedliwość i wyznaję, że polityka xięcia, wszelkie rękojmie bezpieczeństwa dając sprawie węgierskiej, nieustannie z największą troskliwością uwzględnia sprawę słowiańską.» Dalej mówił o głębokiej wdzięczności Węgier dla Polski; że myśl o Polsce odtąd nierozdzielną będzie u niego od troski o własny kraj i że wszelkiej sposobności się chwyci, by jej służyć, bo odtąd Moskwa wiele bardziej niż Austrya trzyma Węgry w okowach. Oświadczył zamiar ogłoszenia

listu drukowanego do x. Adama, ale przeznaczonego dla Węgier, dla Słowian i Włochów, a zarazem dla Europy.

Podziękowałem p. Kossuthowi za sprawiedliwe ocenienie polskich dążności i jej stosunku do Węgier i Austryi. Co do udziału, jaki mi przeznaczał w zamierzonym związku trzech emigracyi, musiałem mu powiedzieć, że moje stanowisko nie było takie, abym miał prawo podawać się, a tem mniej narzucać się rodakom, jako ich przedstawiciel. Odwołam się przedewszystkiem do x. Adama. Jen. Wysocki mi okazał, że postara się o zaprowadzenie ufnych stosunków między swymi przyjaciółmi politycznymi a stronnictwem xięcia. Zaręczyłem mu, że jakkolwiek jestem przekonany o wyższości rządu monarchicznego dla rządzenia narodami, które dopieroco wychodzą z pod obcego jarzma, nie taję sobie jednak, że rządy monarchiczne popadły za naszych czasów w bezcześć. Taki stan rzeczy wystarcza, by mi nakazać wielką oględność w wyrażaniu mych pragnień monarchicznych dla Polski. Zresztą Polacy wszystkich stronnictw zawsze, a szczególnie przy ostatnich klęskach, okazali mniej uporu w trzymaniu się danego kształtu rządu jak tej czystej miłości ojczyzny, która przerywa wszelkie spory skoro walka z nieprzyjacielem się wszczyna. Dumny się czułem, że takie mogłem dać świadectwo rodakom i mam silne postanowienie sam się tej drogi trzymać.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«(z Paryża), 7 stycznia 1850.

Nim odebrałem poszczególne opisanie twoich rozmów z panem Kossuth i powziętej przez was myśli związku między trzema emigracyami, już oświadczyłem ci moje obawy względem tego projektu. Przypomnij sobie coście sami pisali, wasze pierwsze z nim rozmowy i co Zdzisław opowiadał o niedotrzymaniu słowa i zdradliwem wydaniu propozycyi Polaków. Nieszczęście wprawdzie poprawia, oświeca, uszlachetnia, ostrożność jednak obzierania się na przeszły charakter nie zawodzi.

Spadliśmy ogromnie w opinii tak w Anglii jak we Francyi. Nie chcą już o nas słyszeć. Mój dawny jakiś kredyt ledwo jako tako uchodzi przed tym powszechnym wyrokiem, że jesteśmy bez siły, bez sensu. W Anglii tobie wyrzucają, szczególnie torysowie, żeś się udał do Węgier, zapominają, że w czasie sukcesów węgierskich sami się dziwowali, iż nikogo z naszych tam nie było.

Co do projektowanego porozumienia i związku, ten, wyjawiony, wznieciłby na nas teraz krzyk powszechny, że się połączyły wszystkie półgłówki, przeciwnicy towarzyskiego porządku i religii, aby złączonemi siły nieść wszędzie pożogę, anarchię, demagogię, komunizm. Warunkiem związku byłoby, że nasz wpływ potrafi nadać dwom drugim stronom zasady religii, porządku, władzy, posłuszeństwa, sprawiedliwości, których zapomnienie wtrąciło narody w obecne nieszczęścia.

Czytałem dopiero listy jen. Dembińskiego do Barzykowskiego o panu Kossuth i Wysockim. Uderzyły mnie. Jest tam akcent prawdy. Dembiński widział ich zbliska i w czasie kiedy człowiek się zdradza, czem jest istotnie. Niepochlebny portret ani jednego ani drugiego. Lękam się, że z takimi ludźmi nie można wyjść dobrze.

Projekt szkoły na Wschodzie i twoje starania, aby się nasi po turecku uczyli, są wyborne; żeby się tylko udały.»

Sir Stratford Canning do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 10 stycznia 1850.

Kochany Hrabio. List twój doszedł moich rąk bez opóźnienia. Uczyniłem, co tylko było w mej mocy dla ulżenia doli twych szlachetnych a nieszczęśliwych towarzyszy. Choć nie wszystko otrzymaliśmy, czego nasze serca dla was pragnęły, niemniej wdzięczni jesteśmy Bogu i za to, że nam pozwolił wyrwać tyle ofiar z rąk oprawców [1]).

[1]) Wobec stanowczej postawy Turcyi, popartej przez poselstwa zachodnie, car odstąpił od żądania extradycyi, poprzestając na domaganiu się wydalenia z granic Turcyi emigrantów, byłych poddanych

Nadewszystko rad jestem, że ty, kochany Hrabio, wkrótce już powrócisz do twych przyjaciół. Cieszyłem się nadzieją zobaczenia cię tutaj, ale Turcy nie czuli się na siłach, żeby ci pozwolić na wstąpienie do Stambułu.»

Władysław Zamoyski do ojca:

«Szumla, 19 stycznia 1850.

Położenie nasze tutaj dotąd jednostajne, tymczasowe. Komisarz sułtański, spodziewany co dnia, ma zaprowadzić nowy porządek. Kilkunastu, według listy rosyjskiej, ma wydalić z kraju przez Maltę; kilkudziesięciu, według listy austryackiej, przenieść do Kutajah w Azyi Mniejszej i tam grzecznie więzić; resztę zaś podzielić na dwie części. Żądającym dać paszporta zagraniczne; chcącym pozostać, dać miejsce w rozmaitych służbach krajowych bez zmiany religii. Niepewność, w której zostajemy, i niedostatek towarzyszy moich zajmuje tu ciągle umysł i daje pole do starań i zachodów. Inaczej byłby tu pobyt bardzo nudny. Szkodaby życia w takiej dziurze pędzonego.

Szumla jest obszernem miasteczkiem w kotle jakby, pod górą, odnogą Bałkanu. Zima ostra, a razem zmienna. Opatrzenie domów bardzo niedoskonałe. Poza domem błoto, śnieg, — i kilku towarzyszy do odwiedzenia. Jeżdżę konno codzień po śniegu i lodzie; konie już się wprawiły do ślizgawicy.

Skoro powrócę do Paryża, będę wyglądał lata, by znowu do kochanego Ojca dojechać i, daj Boże, swobodnie czas jakiś przy nim spocząć. Może już i przyszedł koniec ofiar, a następuje pora spoczynku. Ja się rwać do prac nowych nie będę.»

Królestwa Polskiego, przyczem Zamoyski był wymieniony na jednem z pierwszych miejsc. Austrya żądała internowania swoich poddanych, zostawiając Porcie wybór miejsca. (Z raportu M. Czaykowskiego, 5 listopada 1849)

Z dziennika W. Z.

«4 lutego 1850. — Ahmed effendi, komisarz cesarski, przybył urządzić przyszłość emigracyi.

5 lutego. — U Kossutha; nieznośna przesada. «Ich prophezeie, — Ich habe prophezeit!» — Nawet o dzieciach nieznośnie. Batthyani bardzo przyzwoity.

7 lutego. — Bem długo na mnie rozżalony oznajmuje chęć bycia u mnie, Skinder bej (Iliński) mnie zawiadamia; nie przychodzi, wstydzi się.

11 lutego. — Dembiński wścieka się. Ahmed effendi groźno mówi o tem, niepokój i obawa, żeby nie pokazał gwałtu na Dembińskim.

12 lutego. — Dembiński za chorego się podaje. Dra Salomona, przysłanego, żeby mu wydał świadectwo, odpędza.

14 lutego. — Nagły rozkaz do wymarszu internowanym. Ostatni wieczór u Batthyanich smutny.

15 lutego. Internowani do Kutajah wychodzą. Dembiński zostaje. Kossuth rano u mnie z pożegnaniem.

16 lutego. — Zapadłem na ospę.

17 lutego. — Wyjazd do Malty dla mej słabości odłożony o cztery tygodnie. Attencye Ahmeda effendi. Futro od sułtana.

19 lutego. — Ahmed codzień odwiedza. Jego śmiech ze wszystkiego. Kossuth — à son vingtième suicide.

21 lutego. — Ksiądz Niewiadomski przez Bema! prosi o lepsze utrzymanie. Zdziwienie Ahmeda. Bystrzonowski nagania księdzu. Ten skarzy przed Bemem. Bem w tem znowu widzi niepodobieństwo stosunków ze mną.

24 lutego. — Do Alepu renegaci: jen. Bem, Murad; Zarzycki, Osman; Woroniecki, Jussuf.

«Nareszcie nadszedł rozkaz dla p. Kossutha, jen. Dembińskiego, Wysockiego i innych przeniesienia się do miasta Kutajah w Azyi Mniejszej na czas nieograniczony. Mnie jednocześnie doszedł list od jen. Aupicka, posła

Republiki Francuskiej w Stambule, uwiadamiający, że się poseł sprzeciwił internowaniu mnie wraz z innymi na zasadzie, że jestem urodzony Francuz. Dodawał przytem, że dłuższa obecność moja w Turcyi byłaby dla sułtana uciążliwą z powodu drażliwości Moskwy, zapraszał więc, abym dobrowolnie Turcyę opuścił. Od władzy zaś tureckiej odebrałem zawiadomienie, że sułtan własną swą fregatę parową wyprawia do Warny w nadziei, że jej zechcę użyć na przewóz do Malty. Nie było się co wahać. Oznajmiłem, że się gotuję do podróży, ale przez noc okazała się gorączka, a gdy dzień zajaśniał, postrzegłem, że byłem pokryty plamkami czerwonemi. Wiedziałem, że między Turkami w koszarach, a nawet między Polakami zdarzały się częste wypadki świerzbu. Z prawdziwą boleścią uwierzyłem, żem się tej słabości nabawił, gdy więc przywołany doktór wyrzekł, żem się ospą zaraził, było mi to wytchnieniem, chociaż mi powtarzał, że świerzbu pozbyłbym się w tydzień, a ospa mnie do trzech niedziel wytrzyma. Tak się też stało. Ospa zwyczajnym biegiem przeszła, zmęczyła mnie potężnie, ale po trzech niedzielach pozwoliła wreszcie puścić się w drogę. Tymczasem już do Azyi Mniejszej odjechali wszyscy internowani. Jeden tylko pozostał jen. Dembiński, któremu pozwolono doczekać się mego wyzdrowienia.

Nie mogłem opuszczać Szumli bez obmyślenia, ile w mocy było mojej, jakiegoś przecie środka, któryby po odjeździe moim oddawał pozostającym rodakom posługi, jakie im na miejscu świadczyć mogłem. Umyśliłem pożegnać ich pismem, w którem, podziękowawszy za tylokrotne dowody okazanej mi powolności, ośmieliłem się poradzić, ażeby po moim odjeździe mieli zawsze między sobą jednego rodaka, któryby pośredniczył między nimi a władzą turecką. Co więcej, wymieniłem osobę, któraby w mniemaniu mojem mogła najstosowniej spełniać ten obowiązek. Wskazałem Władysława Kościelskiego, obywatela poznańskiego. Znałem go poprzednio w Paryżu

i już mi był okazał życzliwość. Nowym dowodem tej życzliwości było przybycie jego. Zjechawszy do Stambułu, celem dostania się na Węgry, zastał tam wiadomość o upadku tej sprawy. Poznał Czaykowskiego i za namową jego, korzystając z paszportu pruskiego, zjechał do Widynia, by mi oświadczyć swą gotowość jechania, gdziekolwiek zechcę go wyprawić w interesie naszej polskiej gromady. Nie miałem zrazu gdzie go wysłać, ale z żywą wdzięcznością przyjąłem chęć tyle uprzejmą i zaprosiłem do pozostania przy nas. W kilka tygodni począł rozmawiać po turecku, a między Polakami uprzejmością i usłużnością dla wszystkich zdobył sobie powszechną życzliwość. Był i mnie osobiście niemałą pomocą, zwłaszcza, że wszystkich odwiedzał, tak Polaków jak Węgrów, i przyczynił się do utrzymania stosunków życzliwych między mną a nimi. Odwiedzał mianowicie jen. Bema, u którego od chwili, jak przeszedł na islamizm, bywać przestałem. Wyższym urzędnikom Porty był już znany Kościelski osobiście, był powszechnie lubiony od Turków, z Czaykowskim utrzymywał stosunek najściślejszy, tak iż go mogli uważać jako już należącego do naszej ajencyi w Turcyi. Miał przytem paszport pruski, który mu zupełną zabezpieczał swobodę, miał i własny majątek i o tyle więcej zasługiwał na uznanie za dopełniane usługi publiczne.

Na mą odezwę otrzymałem odpowiedź nadspodziewaną. Nie upłynęło dwadzieścia cztery godzin, kiedy spisany adres, dziękujący nawzajem za moje usługi i dobre chęci, kończył się oświadczeniem, że podpisani pójdą za radą moją i przyjmą z ręki mojej Kościelskiego, jakby zastępcę mego. Podpisów było kilkaset. Zawiązał się natychmiast komitet, mający zapobiegać potrzebom ogółu. Na ręce tego komitetu złożyłem przy pożegnaniu na nieprzewidziane potrzeby zwróconą mi przez sułtana sumę fr. 25 000.

Dnia 13 marca 1850 wraz z jen. Dembińskim kolaską przez Turków dostawioną opuściłem Szumlę. Na-

zajutrz stanęliśmy w Warnie. Na kilka dni przed moim wyjazdem wskutek zapytania władzy tureckiej 123 Polaków, po większej części oficerów różnego stopnia, oświadczyło chęć korzystania z ofiarowanej sobie możności opuszczenia Turcyi wraz zemną na fregacie sułtańskiej; gdym przybył do Warny już byli na statku.»

Z dziennika W. Z.

«15 marca 1850. — Warna i prosto na wapor Tahif.

16 marca. — W nocy wiatr, śnieg, mgła Błąkamy się cały dzień.

17 marca. — 915 pt. na pałasz dla Wysockiego daję Skinderbejowi. Nadzieja, że przez noc dowiezie do mnie Czaykowskiego, zawiedziona. Żywność dla wiary zła.

18 marca. — Rano przybył statek pocztowy po Dembińskiego do Gemlek. Płyniemy przez Bosfor o milę od Stambułu. Na pożegnanie Dembiński, już na kaiku, woła do mnie: «Pomiętaj, żem kozioł». — Ja: «Dobrze, a jenerał chciej pamiętać, że ja nie kozioł i nie zapomnij o mnie». — Dembiński: «A jakżeby tu na Wschodzie nie pamiętać o tobie». Z Dembińskim dni poprzednich częste były rozmowy, gdzie przekładałem niepodobieństwo działania pojedyńczo i konieczne porozumiewanie się z drugimi. Dawałem poznać, że choćbym nie we wszystkiem podzielał widzenie jego, gotów będę razem z nim działać i jemu pomagać, gdyby miał sobie dane pole do działania. On nie przypuszcza, by mógł co robić inaczej jak samowładnie.

19 marca. — Rano przed Gallipoli. Nasza wiara dotąd głodna; na moje przedstawienie dają lepszy suchar, potem z Gallipoli chleb i rum rozdają.

20 marca. — Stoimy wciąż przed Gallipoli niby dla niepogody.

21 marca. — Rano w Dardanellach.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Dardanelle, na waporze Tahif, 22 marca 1850.

Gdzie się dotknąć naszych biednych Turków, to niedołęstwo do desperacyi! Na co im sprawiać parowe statki, kiedy niemi wolniej płyną jak dobrze użytym żaglem? Ledwieby kto uwierzył, że ósmy dzień jak ruszyliśmy z Warny! Prawda, że trzeci, jak tu ładujemy węgiel!

Trzymałem się tej zasady, że nie chcę być w Turcyi ani w Stambule inaczej jak o ile Porta tego pragnie. Tak pisałem dawno, mianowicie do jen. Aupick. Jen. Aupick, zdaje się, wrócił mi dawną przychylność. Pisał do mnie parę listów przyjacielskich, choć moje listy nalegały na wartość, jaką przywiązuję do jego przyjaźni, nie zaś do jego protekcyi. Widać, że miałem racyę, bo z Paryża nie ośmielono go bynajmniej, on zaś na własną odpowiedzialność nic nie robi.

Zmartwiłem się, czytając w liście Wuja sąd tyle niekorzystny o Kościelskim. Z młodu był lekki i rozrzutny, ale, wyjąwszy że terminy wypłat opuszczał, zdaje mi się, iż z wszystkiego wywiązywał się honorowo. Więzienie półtoraroczne polityczne bez sądu, w chwili gdy kupił od brata schedę i zaciągnął ciężary, zrobiło w majątku jego uszczerbek wielki. Żyjąc z nim w najpoufalszym stosunku miesięcy sześć, mam najmocniejsze przekonanie, że on jest nietylko arcyczuły na powinności honorowe, ale nawet chrześcijańskie. Postępowanie tu jego między nami było nacechowane poświęceniem i ciągłą gotowością do służby na pożytek ogółu i na skinienie moje, którego tu uważał jako zastępcę Wuja. Jakim był dla mnie osobiście, dość powiedzieć, że mi przypominał uczucie, z jakiem ja około Wuja drogiego zwykłem chodzić. Miał przytem paszport i wolność ruchów i grosz w kieszeni do wszelkiej podróży. Jakże go nie było użyć?

Turcy na statku jak na lądzie pełni są dla mnie atencyi. Statek jest obszerny, jest jednym z dwóch, które sułtanowi służą. Mam pokój wygodny. Jeść nam dają,

Bystrzonowskiemu i mnie, wykwintnie i po europejsku. To nas robi cierpliwymi na rozlazłą żeglugę naszą. Od siedmiu też miesięcy wprawiamy się do cierpliwości.

Dembiński szczęśliwie, wysapawszy się i wyskakawszy ze złości, dał się uwieść do Brussy. Radziliśmy mu pisać o protekcyę i o paszport do Palmerstona.

Chcę zawsze krótko pisać, a niepodobna mi, zwłaszcza do Wuja kochanego. Ileż Bogu dziękuję, że wkrótce go uściskam, jak mi piszą, zdrowego, choć, jak dodają, coraz smutniejszego. Sursum corda, drogi, kochany Wuju i niech Bóg wspiera i pociesza On jeden może.»

Michał Czaykowski do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 29 marca 1850.

Kochany i drogi mój Naczelniku. Serce mnie bolało i boli jeszcze, że nie mogłem Pułkownika powitać i uściskać. O godzinie ósmej zrana widziałem jak statek przepływał, ale choćby był przyjechał w nocy, nie mógłbym jechać, bo alboby mnie nie puszczono, albo, raz wypuściwszy, nie wysadzono aż w Malcie. Moje w teraźniejszej chwili wydalenie się stąd byłoby klęską, dlatego każdą rzecz winieniem obrachowywać, aby nie ściągać zła na sprawę. Mniemam, że tem najlepiej udowodnię, że kocham i uwielbiam Pułkownika, jak dopełnię moją powinność ze skrupulatnością.»

«Płynęliśmy już dni kilkanaście, kiedy dnia jednego, widząc rozłożoną na podłodze mapę i leżących wokoło niej oficerów okrętowych, coś mi dało poznać, że jakaś ich dręczy niepewność. Gdym przechodził, widocznie spojrzeniem zdawali się zapraszać mnie do wspólnego zastanowienia się nad mapą i wyrzeczenia zdania o zachodzącej wątpliwości. Pozbawiony wszelkiego warunku, któryby mi pozwolił jakiekolwiek o tym przedmiocie mieć zdanie, ukryłem nieudolność moją uszanowaniem dla ich wiedzy i odpowiedzialności, zapytałem jednakże, o co idzie i do-

wiedziałem się, że ich zadziwia nie napotkanie dotąd Malty, kiedy z obrachowania mniemali, że wprost do Malty trafić winni. Niemiła to była niepewność, ale że nic mnie nie nagliło, pomyślałem sobie: jeśli miniemy Maltę na szerokiem morzu, toć przecie bezwiednie przez cieśninę Gibraltaru nie wypłyniemy na Atlantyk. W kilka godzin później dostrzeżono tylko co niezupełnie minioną Maltę. Wróciliśmy więc napowrót i dopłynęli szczęśliwie do portu Valetty. Tu nowe nas czekały trudności. Wysłany na ląd oficer turecki, mający zameldować nas do wylądowania, wrócił z oficerem angielskim przysłanym do mnie od gubernatora wyspy. Oficer ten mi oświadczył, że gubernator nie może towarzyszom moim pozwolić na wylądowanie. Wsiadłem do czółna z oficerem angielskim a przybiwszy do brzegu, napotkałem wysłanego do mnie posłańca od lorda Fortescue, byłego ministra i dawnego przyjaciela tak x. Adama jak i mego. Lord Fortescue przepędzał zimę na Malcie dla zdrowia, o przybyciu mojem dowiedział się od gubernatora, a słysząc zarazem, żem wezwany do ważnej z gubernatorem rozmowy, prosił, żebym mu dał wiedzieć, o której godzinie się stawię, ażeby mnie u gubernatora spotkać. Spotkanie to w godzinę potem nastąpiło.

Gubernator, Moore O'Ferral, zaczął od tłomaczenia, że roku zeszłego rząd wyspy wielkich doznał nieprzyjemności od licznych emigrantów Włochów, którzy chcieli zrobić sobie z Malty bezpieczny punkt zborny do agitacyi przeciw rozmaitym rządom włoskim. Pod takiem to wrażeniem rząd angielski zakazał przyjmować do Malty jakichkolwiek z Europy podróżnych, nie opatrzonych w regularne paszporty. Ze wszystkich płynących ze mną Polaków żaden prócz mnie jednego i mojej służby nie miał paszportu. Przekładałem gubernatorowi, że odmówienie im wylądowania da powód do wielu nieprzyjemności tak dla sułtana jak dla komendanta i załogi fregaty tureckiej, że już nie mówię o samychże Polakach. Komendantowi fregaty

rozkazano dowieźć nas do Malty, a wylądowawszy nas wrócić do Stambułu. Pytałem, co ma począć. Ostrzegałem, że wyprawienie nas do Malty nastąpiło za porozumieniem z posłem angielskim w Stambule, że przeto wyniknie korespondencya między rządami niemiła. Na wszystko miał gubernator niezmienną odpowiedź: «Żałuję, ale nie mogę». Zapytałem nareszcie, czy mi pozwoli nająć w Malcie okręt i zgodzić na przewiezienie moich towarzyszy do Anglii jako do jedynego kraju, w którym prawo zabrania odmówić komukolwiek wolnego wylądowania. Gubernator oświadczył, że na to pozwoli, ale ja byłem bez pieniędzy. Zapytałem przeto, czy mi zechce swoją poręką wyrobić kredyt u którego kupca miejscowego na sumę potrzebną. Przyzwolił i wskazał kupca, do którego mógłbym się udać.

Odszedłem o tyle zadowolony, że przynajmniej mogłem uwolnić bez zwłoki tak uprzejmie pożyczoną fregatę. Ale wyznam, że dziwiłem się, iż lord Fortescue, wprosiwszy się na świadka, zachował przy tej rozmowie milczenie zupełne. Zdawało się, że mógłby był swoją powagą, jako były minister, poprzeć moje przedstawienie. Nie upłynęło wszakże kilka minut, kiedy w pogoń za mną przybył adjutant gubernatora z prośbą, abym jeszcze wrócił. Pierwsze słowo jego było: «Chwila namysłu i zrobiona mi przez lorda Fortescue uwaga dała mi uczuć, że nie godziłoby się obciążać pana tak wielkim wydatkiem. Już ja ten wydatek przewiezienia do Anglii na swoją wezmę odpowiedzialność.»

Z dziennika W. Z.

«Malta, 30 marca 1850, sobota. — Wszyscy przyjęci do kwarantanny, doskonałe obejście. Proszą, aby mogli być w kościele. Wrażenie stąd na pobożnego gubernatora, katolika.

1 kwietnia. — Z gubernatorem Malty umawiam się, że lepiej, bym spieszył naprzód do Bruxelli. Pożegnanie w lazarecie, major Dzwonkowski obejmuje komendę.»

Władysław Bentkowski do Władysława Zamoyskiego:

«Malta-Valetta, 1 kwietnia 1850.

Nie chcąc zabierać Pułkownikowi zbyt drogich chwil osobistem przemawianiem, pozwalam sobie chociaż listownie powtórzyć najczulsze i najszczersze podziękowania za wszystko to, coś Pułkownik dla nas wszystkich od tylu miesięcy z takiem poświęceniem i taką gotowością świadczył i w tej chwili jeszcze świadczysz. Nie mógbym spokojnie w dalszą puszczać się drogę, gdybym tego raz jeszcze nie wypowiedział. Nigdy nie zapomnę o wdzięczności, której dług zaciągnąłem od Lugoszu aż do Malty.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Malta, 2 kwietnia 1850.

Gubernator nietylko w dobrem utrzymaniu gości naszych w lazarecie maltańskim, ale wziął na swój koszt przewiezienie tych ludzi do Anglii, a nawet i do Belgii, jeżeli przyłączona tu prośba z siedemdziesięciu pięciu podpisami otrzyma skutek pożądany. Nie obeszło się to bez wielkiego zachodu. Głównym argumentem było oświadczenie moje, że tylu z pomiędzy towarzyszów moich, oficerów mianowicie dwudziestu kilku, chce wnijść na żołnierzy do Belgii. Postanowienie to wielce ich zalecało wistocie. Ale czy rząd belgijski ich przyjmie? Prośba ich idzie do Wuja przy niniejszem. Racz Wuj od siebie wygotować do króla Leopolda list jak być może najpochlebniejszy i najbardziej naglący.

Miło mi jest, że moje staranie zrobiło przysługę i rządowi tureckiemu; było to na pożegnanie jakoby wywdzięczenie się przez uchylenie zniewagi grożącej — i wielce pomnożonego wydatku. Ale największą pociechą widok nadspodziewanej poczciwości i roztropności tej garstki młodych i zdolnych ludzi! Polecam ich Wujowi najżywiej; racz uczynić dla nich co możesz i dać im takie świadectwo przed królem Belgów.»

Z dziennika W. Z.

«4 kwietnia 1850. — Przed Neapolem. Papież dziś stąd wyjechał do Rzymu napowrót.

10 kwietnia, Turyn. — Przybyłem tu wczoraj. Zastałem Chrzanowskiego w lepszym humorze, a co ważniejsza w lepszem położeniu, niż się spodziewałem. Interes jego ma się ku końcowi i koniec będzie dobry.»

«Wstąpiłem do Turynu, by zakończyć mój stosunek z rządem sardyńskim i wziąć dymisyę. Na żądanie Chrzanowskiego uprosiłem ministra, by i jego z wojska uwolnił, ale przytem przypomniałem, że Chrzanowski, wstępując do sardyńskiej służby, odmówił wszelkiego wynagrodzenia, że mniemam przeto, że mu się teraz takowe należy, a wiem, że jest bez żadnego majątku. Odpowiedział mi minister wojny, że sam Chrzanowskiemu nadmienił z polecenia króla o wynagrodzeniu pieniężnem, ale że nie chciał nigdy o tem słyszeć. I użył dalej minister tego wyrażenia: «Ja powinności dopełniłem. On jeden winien, jeżeli go od nas nie dojdzie wynagrodzenie.» Odrzekłem: «Myślę, panie ministrze, że z powinności wywiążesz się wtenczas dopiero, gdy sumę każesz złożyć u niego tak, że będzie musiał ją przyjąć albo odesłać. Nadmieniłem nawet, że 30000 fr. uważałbym jako sumę właściwą. Skończyło się na tem, że mu król dał wstęgę orderu św. Maurycego i Łazarza i kazał złożyć u niego 15000 fr.»

Pułk. Breański do Władysława Zamoyskiego:

«Alexandrya, 10 kwietnia 1850.

Ja tu wraz z żoną liczę na przyjemność widzenia cię u nas choć na chwilę. Mamy pokój osobny i łóżko gotowe. Wiem, że ci pilno do rodziny, ale kilka godzin nic nie stanowi, a sprawisz mi wielką przyjemność, temu, co umie cenić życzliwość, jakiej mu nie szczędziłeś i nigdy nie zapomni, że, jeżeli ma dzisiaj pozycyę, to ją winien twojej życzliwości, bez której nie byłby nawet miał sposobności na tę pozycyę pracować.»

Z dziennika W. Z.

«12 kwietnia 1850. — Na noc do Alexandryi do Breańskiego.

17 kwietnia. — Płynę z Genui do Marsylii.

19 kwietnia. — Do Avignon drogą żelazną, dalej en rotonde[1])! do Valence.

20 kwietnia. — Statkiem parowym do Lyonu na noc.

21 kwietnia. — Statkiem parowym do Châlons, drogą żelazną do Dijon, dyliżansem do Tonnerre na noc.

22 kwietnia. — Do Paryża.»

---

[1]) Miejsce w dyliżansie używane przez najmniej wybredną publiczność.

IX

PRZERWA W DZIAŁANIU POLITYCZNEM

KWIECIEŃ — GRUDZIEŃ 1850

«W Paryżu zastałem najmłodszą siostrę moją, Elizę Brzozowską z trojgiem dzieci, przybyłą po radę doktorów. Niewypowiedzianie miłe było mi to spotkanie. Miała dla mnie młoda a chora siostra wdzięk niepospolity. Dusza w niej była mężna a słodycz tak wielka, tak cicha, tak pełna prostoty, że znać ją dobrze trzeba było, by ocenić jaka w niej była dobroć i cnota, jakie wysokie pojęcie obowiązku, jaka stałość w dopełnianiu najtrudniejszych.

Zakosztowanie znowu przy niej rodzinnego pożycia o tyle droższem było dla mnie w tej chwili, że w całej Europie zupełna zapanowała cisza. Po nadaremnych jakoby trudach i ofiarach, po daremniejszych jeszcze nadziejach, których wprawdzie nie podzielałem, ale których marność i rozbicie raz więcej stawiało emigracyę naszą w rozstroju i rozproszeniu, czułem się przez okoliczności zewnętrzne skazanym na nieuniknioną nieczynność, widziałem jakby zupełne do czasu zatamowanie przed nami wszelkiej czynności publicznej. O tyle goręcej dawnym zwyczajem modliłem się do Boga, nie o powodzenie w czynnościach i usiłowaniach, ale o pole do pracy. A to pole zdawało się nam z pod nóg usuwać. Nie byłem przecież skłonnym

do rozpaczania. Łatwą mi była ufna uległość dla woli bożej. Skutki też przebytej w Szumli ospy jeszcze mi się czuć dawały. Siły moje po niej tak były zniszczone, że mi łatwiej było godzić się na przymusową nieczynność. Większą część dnia przepędzałem u siostry, która mieszkała w ładnym domu o ślicznym widoku na ulicy Chaillot. Poznałem tam młodego przy jej synach nauczyciela, Felińskiego, syna znamienitego przedtem krzemienieckiego profesora i tej matki zacnej, która nam zostawiła piękne pamiętniki z wygnania swego na Sybirze. Nie przewidywałem, że ten bystry a cichy młodzieniec w lat kilka potem miał sobie obrać stan duchowny, być powołanym do boku zacnego metropolity mohylewskiego, Hołowińskiego, potem zostać profesorem w seminaryum katolickiem petersburskiem, następnie być wyniesionym na godność arcybiskupa warszawskiego i prymasa Królestwa[1]), a nareszcie za świętobliwe i pełne godności życie być od Boga wybranym na męczennika, przez cara skazanym na długoletnie wygnanie! Jego wiek młody i postać skromna zaledwo mi dały poznać jaka w nim była cnota i wartość. On też mnie ciągle badał, nie ja jego, a niemałego doznałem wzruszenia w lat kilkanaście potem, kiedy w Rzymie napotkałem poważnego księdza Polaka, który mi opowiedział jak w seminaryum petersburskiem, ksiądz Feliński, profesor, zwykł na przechadzkach z uczniami obznajmiać ich z emigracyą naszą, wśród której lat kilka przeżył, jak im ze szczegółami opowiadał prace nasze około sprawy krajowej, jak skwapliwie był słuchany od młodych lewitów naszych, słowem, jak do petersburskiego zakładu doszła wieść bliższa o nas przez Felińskiego.

---

[1]) Na mocy konkordatu między Rosyą a Piusem VII, po rezygnacyi prymasa arcybiskupa gnieźnieńskiego, Raczyńskiego, arcybiskup warszawski zyskał godność prymasa Królestwa Polskiego 6-go października 1818.

Do znamion chwilowego upadku jakichkolwiek bliższych nadziei naszych i braku pola do pracy, jaki nam się w tę porę dał uczuć po bezowocnem wstrząśnieniu Europy, którego początkiem była lutowa rewolucya paryska 1848, nadmienię tu okoliczność bardzo małej wagi na wstępie, która przecież w życiu mojem zaważyła. Mieliśmy od lat kilkunastu w Paryżu bibliotekę, złożoną z darów, na jakie się sami zdobyć mogli Polacy. Zachętą w tem przedsięwzięciu było wywiezienie z Polski przez Moskali wszelkich zbiorów publicznych, tak książek jak pamiątek narodowych. Twórcą niejako i założycielem tej biblioteki był Julian Ursyn Niemcewicz. Najczynniejszym zaś w tem dziele pomocnikiem był Karol Sienkiewicz, znamienity pisarz, niegdyś bibliotekarz puławski, na emigracyi sekretarz x. Adama Czartoryskiego. Zbogacił ją szacownym zbiorem rycin kasztelan Wodziński, który, umierając w Dreźnie, zapisał takowy naszej bibliotece. Zbiory te mieściły się w lokalu najętym, rue des Saussayes, 3, za który rząd francuski, za wstawieniem się x. Adama, płacił rocznie po 2000 fr. Ale 1848 rząd republikański francuski tak ciężkiego doświadczył niedostatku w skarbie, a tak mało okazał dla Polski współczucia, że do oszczędności koniecznych policzył te 2000 fr. na lokal biblioteki przez lat kilkanaście wypłacanych. Jednocześnie pod wpływem europejskich wypadków większa część emigrantów, zwłaszcza dostatnich, chwilowo opuściła Francyę. X. Adam wyjechał do Niemiec, inni pospieszyli do Włoch i Węgier, wielu w Turcyi szukało zajęcia lub przytułku. Przy bibliotece zostawał sam niejako Sienkiewicz; opłata najmu zalegała, trzeci rok upływał, a kilku z nas dzieliło się tym ciężarem, ale nieobecność wielu groziła jakby nieuniknionym już zagrabieniem książek na pokrycie długu. Wtenczas to Sienkiewicz, z ostateczności wyprowadzając swój wniosek, zaproponował Towarzystwu literackiemu otworzyć składkę na kupienie dla biblioteki własnego domu i utworzenie zakładu narodowego. Towarzystwo myśl tę przyjęło i nie

ważąc trudności, ufając, że je pokona zdrowy zmysł narodu, zamianowało komisyę do zebrania na ten cel składki i mnie mianowało prezesem komisyi; czynność ta mało odpowiadała dotychczasowym zajęciom mego życia, wszakże z wdzięcznością i ochotą podjąłem się tego zadania. Jakoż, korzystając z zatamowania jakby wszelkiej dla nas czynności publicznej, rozpocząłem zachód około tej składki. W krótkim czasie zebrało się w gotowych ofiarach i obiecanych około 30000 fr. Tyle zyskałem, ale nie widziałem nadziei zyskania więcej, a zamiary tych, co pierwsi rzucili myśl nabycia domu na własność narodową, mianowicie bibliotekarza, Karola Sienkiewicza, sięgały wcale innych rozmiarów. Marzyli oni, że uprosimy od rządu francuskiego plac do wystawienia gmachu narodowego polskiego. Ale daleko nam było do sumy potrzebnej na wykonanie takiego zamiaru. Rzecz przeto została parę lat w zawieszeniu. Składka osobna zaspakajała wydatek na tymczasowy lokal biblioteki. Tymczasem utworzyło się w Paryżu Towarzystwo kredytowe na wzór polskiego. To nam pozwalało pożyczką od tego Towarzystwa spłacić połowę wartości nabyć się mającego domu. Przypadek mi dał wiedzieć, że w bliskości hotelu Lambert, własności i mieszkania x. Adama, na wyspie St. Louis nad Sekwaną, dom pod numerem 6, Quai d'Orléans, miał być niebawem sprzedany za fr. 80000, prócz 10000 za koszta prawne. Nie mając czasu zebrać Towarzystwo literackie i jemu rzecz przedłożyć, kupiłem dom na własne imię za 90000 fr. Od Towarzystwa kredytowego dostałem 40000 fr., ze składek miałem 30000 fr., ze swoich dodałem jakby pożyczkę Towarzystwu literackiemu fr. 20000. Po niejakim czasie Towarzystwo to przyjęło interes na siebie. Ja zostałem imiennym właścicielem, bo nie mogło nim być Towarzystwo jeszcze od rządu nie uznane. Ja też byłem odpowiedzialny przed Towarzystwem kredytowem za procent i umarzanie długu. Byłem zaś wierzycielem Towarzystwa naszego za fr. 20000.

Warunki te objęte zostały umową spisaną dnia 27 października 1853, na mocy której biblioteka zajmuje drugie piętro domu, a z najmu trzeciego piętra pobiera rocznie fr. 1300, jakby 5% od sumy fr. 30000 wniesionej ze składek. Mnie pozostały do zajmowania albo wynajęcia dół, pierwsze i czwarte piętro. Za to spadały na mnie ciężary tej własności tj. spłacenie długów, podatki i utrzymanie domu. Towarzystwo literackie zaś przyszło do używania drugiego piętra i trzeciego bez troski ani kłopotu do czasu, kiedy dług jego umorzony, pozostawi je w posiadaniu całego domu. To nastąpić ma w roku 1880[1]).»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«(z Warszawy), 10 marca 1850.

Mój bohaterski i drogi!... Pytasz o mnie i dodajesz, że ci za trudy przebyte będzie nagrodą chwila spotkania się ze mną. Mnie zaś, nie wiem za co, bo wiesz, że się czuję niczem, to jedno słowo twoje już nagrodą. Dziękuję ci za nie z głębi serca wdzięcznego. Od kiedym tu, nie było dnia jednego, żebym o tobie nie myślał, nie tęsknił do wieści o tobie, nie czuwał, rozdzielony przestrzenią i zdarzeniami, jakby magnetycznie całą czujnością i tęsknotą wytężoną ducha mojego, ponad tobą. Nieraz okropnych doznawałem wrażeń, myślałem, że się dokona żywot rycerski męczeństwem. A znów weseliłem się i hymn dziękczynień cichych w głębi serca śpiewałem Bogu, gdym się dowiadywał, żeś w zastawione nie wpadł doły, że jeszcze stąpasz super basilicum et aspicum. Błogosławiłem ci z daleka codzień, pyszniałem dumą narodową, słysząc o czynach i słowach twych, a teraz, że wiem, iż już żadne cię nie dosięgną pociski, czuję radość czystą, wyniosłą, prawie świętą, bo cię podwójnie kocham, raz jako przyjaciel twej

---

[1]) Co się też urzeczywistniło. Troska o bibliotekę i spory o nią znajdują swe echo przez lata całe w listach współczesnych, jako jeden z przedmiotów najżywiej obchodzących rzeszę wychodźczą.

osoby, drugi raz jako członek tego społeczeństwa, któregoś przedstawcą pełnym hartu, poświęcenia, odwagi i szlachetności w obliczu świata! Rad więc jestem, żeśmy wszyscy tak rozjaśnieli tobą i w tobie! i rad znów, mój ukochany, żeś bezpieczny i niedotknięty! O chowaj się i uchowaj, strzeż się i ustrzeż, bo jak zginiesz nie będzie drugiego, zmiłuj się nad swojem plemieniem i żyj, by żywota przykładem nawrócić je do lepszych i zacniejszych myśli. Nie wyobrazisz sobie albowiem jaką trucizną przepojone tu żyły młodych pokoleń, jak pusto im w sercu, jak wirowato i odmętnie w mózgu. Wszystkiemu rozpacz przyczyną, ona przeżarła wszystkie ścięgna i nitki, co spajały do jedności dawniej umysły wszystkich, ona rozpoczęła ten pochód szalony, wiodący do otchłani, potem w pomoc jej przyszła pycha, brak oświaty, zresztą pokusy zewsząd nasyłane, pokusy od wschodu, pokusy od zachodu i stała się obrzydliwość spustoszenia w duszach i pojęciach, poprzedniczka tej, która nastąpić ma w zdarzeniach i uwidomić się w czynach! W jedną już tylko rzecz wierzą, w czerwoność, w społeczne rozruchy, w rzezie, a jedni, i takich najwięcej, z bezdennego głupstwa, z naiwnej, że tak powiem, niewinności tj. z braku wiedzy o istotnym stanie rzeczy boskich i ludzkich, drudzy zaś z bezecnej żądzy podniesienia się na gruzach. Z takowego chaosu, przyznaję, wszystko na świecie narodzić się może, wszelka trawa, wszelkie ziele, którego naturą, że wyrasta z rozkładu chemicznego trupów i czołga się po mogiłach, wszystko — tylko nie nasz ideał, tylko nie my!

I to najboleśniejszem, że to pokolenie w imieniu ideału naszego, powtarzając ciągle, ojczyzna, ojczyzna, dąży do niezawodnego rozstroju tejże ojczyzny. Nie wiedzą sami, że gdyby im się udało, nie byłoby już tem samem ojczyzny tylko błoto i krew i w tej kałuży jakieś nowe nowych glizd i robaków porody z których zgnilizny dopiero wyrosłaby następna jakaś wegetacya, coś zielonego, coś jak zboże, jak drzewa, ale już nie nasze zboże, ani

nasze drzewa. Zbrodnia doskonałą jest niszczycielką, ale przedziwna w niej niemoc i bezwładność do wybudowania czegobądź na świecie... Wszystkie wieki im to powtarzają i stawią przed oczy, oni nie widzą, nie słyszą!

Towiańszczyzna też niepomału się rozszerza, a zręcznie, podstępnie, bez krzyku, bez szumu, bez nadętości, cierpliwością nadrabiając, nie pojedynkując się z wiarami ani władzami, przestając na dziennej pracy, walką cichą a wytrwałą nurtując społeczeństwo, starając się w każdej chwili o naśladowanie w ruchach swoich ruchów Kościoła, o którym powiedziano: patiens quia aeterna. Metodę tę przejęli, a przydawszy do niej chytrość, wyrównali Jezuitom. Na tem ich siła zależy, że wojują niektóremi wielkiemi prawdami zarwanemi z samych najskrytszych głębin katolicyzmu, na tem zaś ich szkarada, że radzą ludziom one prawdy wcielić w życie okropnym czynem, powszechną dezorganizacyą, powrotem do barbarzyństwa. Znają doskonale epokę, w której żyją, wiedzą, że się ma i bez nich do ogólnego rozprzężenia i chcą niem, gdy się zdarzy, gdy je przyspieszą, sami owładnąć w imieniu Boga! W obliczu Boga są zapewne tylko pierwszych chrześcijan parodyą, ale w naszym wieku i na naszym świecie mogą się stać potężnymi aktorami najtragiczniejszego z dramatów, kiedybądź przez ludzkość odegranych. Przez szpary na ich działanie powolne rząd patrzy. Jest jakby pociąg zobopólny, tajemniczy między temi dwiema potęgami. Wątpię, by zależał na bezpośredniem porozumieniu się, raczej na tem, że każda z nich obiecuje sobie drugą narzędziem swojem uczynić i w tej nadziei, pod pewnym względem, pobłaża drugiej.

Co do mnie, chorym, od kiedym tu przyjechał. Cztery miesiące mija jakem z pokoju nie wyszedł. Najprzód zapalenia bardzo gwałtownego ócz dostałem, dotąd mnie jeszcze bolą i widzisz po piśmie, że do dawnego stanu nie wróciły. Później porobiło się we mnie kilka chorób, gmatwanina nieznośna i coraz mi gorzej na całem zdrowiu.

Jedyna w tem pociecha, iż, w rzeczy samej, choroba tu wiele za sobą pociąga zysków i korzyści moralnych, zdrowie zaś przymusza do wielu nieznośnych i ohydnych rzeczy. To co mówię, niech ci służy za najlepsze odbicie i najwyraźniejszy określnik położenia tutejszego. Choroba tu zbawczą, rozkład sił fizycznych ratunkiem, bo cię strzeże od mnóstwa zawikłań społecznych i bolesnych spotkań, wśród których duchby twój musiał cierpieć, wstydzić się lub doznawać tłumionej rozpaczy. Nigdzie indziej na ziemi podobnych wrażeń nie doznasz, ni składać będziesz dziękczynienia chorobie ciała za to, że cię ocàliła od niesłychanych boleści duszy i wstrętów. Zaprawdę, tu tak straszno i obrzydliwie, że prawie cieszysz się, gdy konasz, prawie silniejesz, gdy czujesz się codzień słabszym, prawie dumniejesz, gdy cię rozstrój żył i nerwów uwalnia od widoku pysznych lub spodlałych! Przez całą zimę doznawałem tej dziwnej błogości! — lecz, prócz tej, żadnej innej!

Jeśli zdołam, wyruszę koło sierpnia na kąpiele morskie, wtedy cię odzobaczę i w długich rozmowach wiele opowiem. Teraz polecam cię Bogu i ściskam z wszystkich sił serca i ducha; myśląc o mnie czasami, myśl, że cię serdecznie kocham. Twój Rzymianin i Badeńczyk. — 1 kwietnia 1850.

16 maja 1850. — Z dat różnych poznasz jak rozmaitym czasem ten list był pisany do ciebie. Po trzykroć myślałem, że już go wyprawię, po trzykroć chybiła mi sposobność go przesłania, dowód jak wszystko tu niełacnem. Teraz mam nadzieję, że cię dojdzie i wykaże ci, żem serdecznie wciąż o tobie myślał. Nie odpisuj mi żadną drogą. Sądzę, że w jesieni się zobaczymy. Zdrowie moje, co miało się na wiosnę poprawić, to się pogorszyło, ledwo te kilka słów nakreślić potrafię. Zdjęła mnie melancholia fizyczna bezgranic. Doszło mnie, że i ty wcale niedobrze, że cierpisz od kiedyś przywędrował nazad do portu, do portu, mówię, choć to port dziwnie burzą rozkołysany, wystawiony codzień na zalanie przez fale rozhukanego morza.

O Towiańszczyźnie mniej teraz tu słychać, zato coraz więcej o socyaliźmie i czerwonościach wszelakiego gatunku. Niema lokaja coby nie marzył o zajęciu kiedyś krzesła w rządzie jakim tymczasowym; niema stróża coby arystokracyi nie przeklinał, miasto przeklinania czegoś innego. Ponuro i smutno nadzwyczaj. W Bogu tylko nadzieja, w nim jednym. Polecam cię jego opiece i pocieszam się myślą, że się jeszcze tego roku z tobą widzieć będę, jeśli siły fizyczne, których coraz mniej u mnie, dozwolą mi wyjechać. Twoi wszyscy, co tu, zdrowi.»

Major Dzwonkowski do Wład. Zamoyskiego:

«Malta, 8 kwietnia 1850.

Dzisiaj byłem u gubernatora, prosząc go o świadectwo dobrej naszej konduity, która w samej rzeczy taką była, oraz z podziękowaniem za tak dobre przyjęcie naszej emigracyi, które może zanadto dobre było, gdyż niektórym z naszych mniej oświeconym, tak głowę zawróciło, że się teraz w Anglii złotych gór spodziewają i bardzo mało z nich o sposobie zarobkowania na przyszłość myśli, bo im się zdaje, że od angielskiego rządu utrzymanie uzyskają.

Maltańczycy złożyli podziękowanie gubernatorowi w tutejszym dzienniku za tak ludzkie przyjęcie naszej emigracyi.»

Major Dzwonkowski do Wład. Zamoyskiego:

«obóz koło Kalipia, 20 kwietnia 1850.

Nasz okręt w nocy z 18 na 19 osiadł na skale, blisko wybrzeża[1]). Z łaski Boga wszyscy wyratowani jesteśmy, lecz cała żywność i dużo rzeczy zginęło. Jesteśmy w obozie, żywności nam wicekonsul angielski obiecał dostarczać. Nasi rodacy w tem nieszczęściu ślicznie się znaleźli. Na całem wybrzeżu ani jednej łódki rybackiej,

---

[1]) Afrykańskiego, w czasie podróży «Maltańczyków» do Southampton.

tylko nasza łódź jedna. Nasi, zamiast się pchać i pomnażać niebezpieczeństwo, pracowali przy pompach, a tym, którzy się ratować pierwiej mieli, formalnie rozkazywać trzeba było, żeby do łodzi siadali. Dostawszy się na ląd, wezwałem rodaków do podziękowania Bogu za wyratowanie z tak wielkiego niebezpieczeństwa i uklęknąwszy serdecznieśmy Bogu za opiekę jego podziękowali. Nas jest tutaj tylko stu.»

Major Linowski do Władysława Zamoyskiego:

«Mons (Belgia), 25 kwietnia 1850.

Niema chwili do stracenia, ażeby biedaków naszych wstrzymać. O przyjęciu ich do wojska kwestyi w dzisiejszych okolicznościach być nie może, nawet wylądować im nie pozwolą.

Rząd, a nawet król osobiście, uważa nas dzisiaj jako przeszkodę. Tak nas traktują, żeby się z tem mogli pochwalić w Berlinie i Wiedniu, a przez te kanały w Petersburgu. Od sześciu miesięcy ani Kruszewski ani ja posłuchania u króla wyrobić nie możemy. Od dwóch lat mam przed sobą wakans, a nie chcą go mną zapełnić, żeby okazać Rosyi, że robią co mogą. Niema podłości, którąby rząd liberałów tutejszych z niemiecką dyplomacyą Najjaśniejszego Pana nie był gotów zrobić.

Wszyscy są na kolanach przed rodem Metternicha, który się w Bruxelli zagnieździł i gra rolę starej Egeryi dzisiejszych ludzi stanu[1]).

Gdyby przynajmniej katolicy byli u steru, możnaby się spodziewać jakiejkolwiek wyższej myśli; z tymi, co są, spodziewać się można podłości, małoduszności i fanfaronady.»

---

[1]) X. Metternich, uciekłszy z Wiednia w 1848, po rocznym pobycie w Anglii, osiadł w Bruxelli, skąd w czerwcu 1851 wrócił do majątku swego Johannisberg, a we wrześniu do Wiednia.

Hr. Kazimierz Batthyani do Władysława Zamoyskiego:

«Kutajah, 27 kwietnia 1850.

Pobyt w Kutajach przewyższa swą okropnością wszystko, czego się spodziewałem. Zaledwie się tu zima kończy. Kraj ohydny, dziki, nieurodzajny, brzydki, niezaludniony. Klimat niegodziwy, wichury nieustanne, żadnych przechadzek, wszystkiego brak. Listy nasze podlegają cenzurze, nie wolno nam nawet schodzić się wieczorami na rozmowy, stosunków mało, dośćże jesteśmy zrozpaczeni i wściekli. Winszuję Panu, żeś uniknął tego piekła.

Ten list będzie ci zapewne wręczony przez pana Franklina Taylor, Amerykanina, który umyślnie tu przyjechał, żeby nas odwiedzić. Jestto człowiek niesłychanej odwagi i poświęcenia; dwa tygodnie już tu siedzi dobrowolnie! Zdaje mi się, że coś pisze, ale z takiej miejscowości, można pisać rzeczy chyba bardzo ponure. Proszę nie zapominać o nas.»

Władysław Kościelski do Władysława Zamoyskiego:

«Szumla, 12 maja 1850.

Rozpacz i nędza najokropniejsza między nami, rozprzężenie i brak zaufania do największego stopnia doszło. Dezercya ciągła, trzymam tylko, że tak powiem, za poły wszystkich, co się do służby tureckiej zapisali.

13 maja (?) 1850. — Taka mnie rozpacz wzięła, widząc tę nędzę, że w największej furyi poszedłem do baszy, do kadyego i mudira, oświadczyłem im, że wyjeżdżam do Stambułu, że emigracya się zbiera, aby hurmą wyjść, że wszystko, co z tego wyniknie, składam na ich odpowiedzialność. Niech się z tego przed rządem wytłumaczą. Okropnie się zatrwożyli Turkacze i poczęli usilnie prosić, abym nie wyjeżdżał, że się będą starać o pieniądze. Ja, widząc to, dumnie i hardo, jak jaki jenerał, co nakłada kontrybucyę, odpowiedziałem, że tylko dwie godziny czekam, jak w tym czasie nie dostanę 20000 pt., to

wyjeżdżam. I jeżelim nie wskazał na odprzodkowane działa, tom wskazał na pocztę, co sprawiło to samo wrażenie. Po upłynieniu dwóch godzin, sekretarza mego posłałem do mudira, kazałem mu się tylko krótko zapytać: «Para warmi[1])» i dumnie się wesprzeć na cybuchu. Wypłacono mu 20000 pt., z których osiem dałem Węgrom, dwanaście naszym. Wypłacili złotem, widać, że głęboko szukali. Mnie się dostały ogromne wiwaty, a ja aż do sufitu skoczyłem z radości, że wynalazłem bicz na tych ślamazarnych Turków. Oj, będę nim chłostał, póki będę mógł.

Z Bułgarami bardzo teraz żyję. Chodzą do mnie na wieczorki cybuchowe. Naturalnie ciągle polityka na tapecie.»

Major Dzwonkowski do Wład. Zamoyskiego:
«(Malta), 14 maja 1850.

Nasze położenie w Afryce niebardzo było do pozazdroszczenia. Żywność wyratowana z morza po większej części zepsuta. Na piaskach ustawiczny wiatr, tak, że prawie powiedzieć można, że się tyle piasku, co innej żywności zjadło. Bez zatrudnienia, nudy, z tego kłótnie ustawiczne, ledwo dobrym sposobem zgodę przywrócić mogłem. Wszędzie równość, żadne uznanie stopnia, doświadczenia lub wychowania, i zdatność za nic uważają.

Przyrzekłem ci, szanowny Pułkowniku, że ich przywiozę do Anglii, mogę to zrobić, ale wolałbym jaką kampanię odbyć, jak to położenie, w którem się znajduję. Na to trzeba tego poświęcenia, tej wytrwałości i zimnej krwi, tego taktu i rozumu, jaki sam posiadasz, słowem, trzeba takiego męża jakim Pułkownik jesteś, a podobnych na świecie mało spotkać można. Gubernator ułatwia mi

---

[1]) Pieniądze czy są?

nadzwyczaj moje położenie, ulokowano nas znowu w lazarecie ze wszystkiemi dawnemi wygodami. Miałem u niego audyencyę; niesłychanie dla nas łaskaw.»

Władysław Zamoyski do kap. Łuniewskiego:
«Paryż, 16 czerwca 1850.

Posyłam (do Southampton) na twe ręce odezwę moją do przybyłych z Malty, a na ręce lorda Dudley Stuart fundusze na opatrzenie każdego w odzież[1]. O książkach pomyślę; może najlepiej będzie zrazu poprzestać na wiernem odczytywaniu modlitwy polskiej, a obrócić wszystkie siły na pracę i zabezpieczenie sobie niepodległości.

Z żalem się dowiaduję, że większa liczba między wami daje posłuch złym radom; niestety, niedługi czas wystarczy, żeby ich przekonać, kto im dobrze radził. Listy polecające do osób przychylnych w Nowym Yorku odbierzecie od lorda Stuarta. Każde doniesienie o dalszem powodzeniu waszem przyjmować będę z wdzięcznością.

W Ameryce przy szlachetnej pracy znajdziecie utrzymanie, a patrząc zbliska na naród pełen życia i przyszłości, biorąc czynny udział w jego rozwoju, nabędziecie doświadczenia, hartu, a nawet i zasobów, z któremi, gdy czas przyjdzie, gdy ojczyzna was powoła, staniecie zaszczytnie w rzędzie jej obrońców i najpożyteczniejszych obywateli. Dzisiaj główną pomoc we własnem odważnem i roztropnem postanowieniu znaleźć możecie. Proszę Boga, by was tą odwagą natchnął i wrócił ojczyźnie, skoro nas swej łaski i miłosierdzia godnymi uzna.»

Hr. Kazimierzowa Batthyani do Władysława Zamoyskiego:
«Kutajah, 20 lipca 1850.

Wszystko czego się o Kossucie teraz dowiadujemy, z jego listów znalezionych w Peszcie i u Bema, wykazuje jego

[1] Podróż do Ameryki opłacał rząd angielski; po ustąpieniu maj. Dzwonkowskiego dowództwo nad Maltańczykami objął kap. Łuniewski.

nieudolność, ciągłe sprzeczności, brak odwagi i charakteru. Im więcej go widujemy tem bardziej się dziwimy, że ten człowiek był przez pewien czas bożyszczem swego kraju. Taki jest mały, nędzny, tak śmiesznie próżny, taki exkról, tyle popełnia niedorzeczności, że się cieszę, iż jego stosunki z moim mężem ustały zupełnie. We wszystkiem tylko siebie ma na widoku, nikogo się nigdy nie radzi. Namawia żołnierzy i oficerów, żeby się zaciągali na ochotników w zbuntowanych prowincyach i w Serbii. Wpadła nam w ręce jego napuszona do nich odezwa, w której ich zaklina, żeby raczej z głodu ginęli, niżby go mieli odstąpić. Szczęściem, nikt go już nie słucha, poznano się na nim. Żona jego teatralna, istna królowa z operetki. Wszyscy porządni ludzie gromadzą się wkoło Meszarosa.

Dembiński przyjechał, zacny człowiek. Podoba mi się ten stary, prawy żołnierz.»

Władysław Kościelski do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 2 sierpnia 1850.

Przyjechałem tutaj za interesami emigracyi. Niby to ukończyłem, ale à la turca tj. na pół. Mam dopiero raporta przysłać i listę tych, którzy się chcą o amnestyę podać. Przeszło 112 reklamacyi tego rodzaju do ambasady austryackiej przyszło z Szumli po większej części od żołnierzy. Jeżeli chcą powracać, niech wracają. To lepiej, jakżeby się wagabundy po świecie tłukli. W kraju się tak przecież nie rozłajdaczą jak zagranicą w nędzy. Resztę zaś emigracyi wyślemy wprost do Ameryki. Doszedłem do tego po okropnie cierpkiej dyskusyi z Canningiem, która się jednakże serdecznemi oświadczeniami zakończyła. Wystaw sobie, że wykpiłem od niego 50000 pt. dla emigracyi. Cóż na to powiesz? To aż milej na sercu jak się takiego człowieka złapie. Przyjął mnie z wyżyn swojej wielkości; gdym to spostrzegł, to ja się sztywny zrobiłem jak gdybym kij połknął. Notabene on sam życzył sobie mnie

poznać, bo moje listy z Bułgaryi Neale[1]) jemu posyłał. Po długiej zimnej mowie, w której mi oświadczył, że Anglia dla emigracyi nic zrobić nie może i nie chce, i w której mi dał zrozumieć, że dla tych burzycieli nie powinno się nic robić, oświadczyłem mu nawzajem równie zimno: «Nie zostaje nam więc nic innego jak wysłać tych ludzi do Liverpool»; — byłbyś się serdecznie uśmiał, gdybyś był widział, jak Anglik stracił swoją arystokratyczną flegmę i jak się z krzesła porwał, tem więcej gdy spokojnie dodałem: «bo zdaje mi się, że w Anglii niema prawa, zabraniającego komukolwiek do niej wstąpić i jestem pewny, że rząd angielski, który tak szlachetnie pouczał Turcyę o prawach ludzkości, nie pozwoli umrzeć z głodu 400 osobnikom, którzy wzywają jego pomocy.» Canning popatrzył się dziwnie na mnie i zmienił ton: «Dobrze dobrze, zobaczymy.» — «Z pewnością, aby oszczędzić tego całego kłopotu rządowi angielskiemu, najlepszem byłoby dodać do 500 pt., które Turcya daje wyjeżdżającym zagranicę, tyle ile potrzeba na opłacenie przejazdu do Ameryki.» — «To powinna uczynić Turcya.» — «Nie wiem, czy powinna cośkolwiek, ale to wiem, że uczyniła wszystko co mogła i że ja nie będę jej o więcej prosił.» — «Cóż więc zrobić trzeba?» — Na oślep powiedziałem: «Dać 50000 pt.» — «Dam je.» — I na tem się skończyło. Rozstaliśmy się bardzo kordyalnie. Zaprosił mnie na drugi dzień, aby go obznajmić ze sprawami bułgarskiemi. Starałem się dowieść jak gwałtownie jest potrzebnem, aby Anglia miała swoich ajentów wewnątrz Bułgaryi, żeby czoło stawić zgubnej propagandzie moskiewskiej. Mówił mi Canning, że już wysłał Bonneta, żeby się przejechał po całej Bułgaryi i jemu raport przysłał.

On (Canning) jest wielką potęgą; sułtan króluje, ale on panuje.»

---

[1]) Konsul angielski w Warnie.

Adam Potocki do Władysława Zamoyskiego:

«12 sierpnia 1850.

Wdzięcznem sercem przyjęto w Krakowie hojny twój dar i mnie polecono z komitetu pogorzelców przesłać ci wyraz czułej wdzięczności.

Jak słusznie mówisz, jest w tej wielkiej dla Krakowa klęsce [1]) sposobność połączenia w jednem uczuciu wszystkich Polaków na kuli ziemskiej rozrzuconych i, jak dziś, przymuszonych przybierać tyle różnych nazw. Nie wątpię, iż iskra jedna przebiegnie skroś prowincyi i krajów niegdyś Polskę stanowiących i przypomni niejednej zaspałej myśli, że w polskim grodzie i we wspomnieniach dawnej jedności jest prawdziwe, zawsze bić gotowe, tętno życia wszystkich i każdego zosobna.

Zawsze licz nas do grona szczerych przyjaciół i prawdziwych wielbicieli cnót i charakteru twojego.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden-Baden, 28 sierpnia 1850.

Mój drogi i bohaterski!... Niemałych w wyjeździe doznawałem trudności. Wreszcie paszport dano, ale doń przyłączono list, którego tłomaczenie dosłowne ci tu łączę [2]), o którym nikomu nie wspomnisz, dla siebie zachowasz, a który ci odrazu wytłumaczy moje położenie. Byłem

---

[1]) Pożar w dniu 18 lipca 1850, który zniszczył trzecią część miasta.

[2]) N. 5266 19/31 lipca 1850.

Panie Hrabio. Jenerał-gubernator warszawski żąda mej decyzyi w sprawie prośby pańskiego syna, Zygmunta, o paszport na sześć miesięcy, celem wyjazdu do wód mineralnych w Niemczech i kąpieli morskich we Włoszech i Dieppe dla poratowania nadwątlonego zdrowia. Chociaż: 1. syn pański stale przebywał na obczyźnie od 1845 do 1849, kiedy to najwyższym rozkazem wezwany został do przerwania swego pobytu zagranicą i powrotu do kraju na 13 paźdź., co też uczynił; 2. chociaż podczas tych podróży ściągnął na siebie podejrzenie, że utrzymuje stosunki z tzw. Zmartwychwstańcami, osobnikami, uprawiającymi przewrotną politykę pod płaszczykiem sekciarstwa religijnego; wreszcie, 3. chociaż syn pański, obcy własnej ojczyźnie, nie może

się podał do Dieppe, wykreślono mi go z paszportu. Po takiem wykreśleniu i liście takowym największe głupstwo bym uczynił jechać czy do Dieppe czy do Hawru, czy gdziebądź na brzeg francuski, bo już tylko pozoru szukają, by skończyć ze mną. Łacno to zrozumiesz, a w Dieppe czy w Hawrze przymuszony bawić pięć tygodni dla kąpieli na żaden sposób bym nie mógł przeminąć nie obaczonym i nie dostrzeżonym, a żem przestrzeżony nie chcę być dostrzeżonym. Uważasz, — tak uczynię, — tylko cię błagam zawrzyj to w sobie samym i oświadcz siostrom i znajomym pytającym o mnie, że już mnie we Francyi tego roku nie będzie, a po kilku tygodniach kąpielnych postaram się wpaść do tej pustyni z kamienia (Paryża), gdy do niej powrócisz już z morza, a zatem w oktobrze, na kilka dni tylko i tam cię odzobaczyć i uściskać pod warunkiem jednak, że tylko ciebie, jedynie ciebie widzieć będę i że nikt więcej, absolutnie nikt o mnie nie posłyszy. W tem albowiem leży prawo mojego ocalenia. Pamiętasz w Apokalipsys: »Bestya czuje, że krótki czas ma, więc coraz okrutniejsza.« Otóż to słowo wiekuistem jest i tyczy się wszystkich potęg ciemności. Ta, od której zależę, pragnie jak najrychlej skończyć z wszystkimi nami. Na matkę Xawerego (Branickiego) okropnie zagniewani, twierdzą, że to ona jego popchnęła, że to ona po śmierci ojca nauczyła wszystkie dzieci opozycyi! Jej paszportu

się liczyć w poczet ludzi, cieszących się dobrą sławą w oczach rządu, jednakowoż, uwzględniając jego dolegliwości, upoważniam jenerał-gubernatora warszawskiego do wydania mu paszportu do Niemiec i Włoch w przeświadczeniu, że W. Excelencya, ożywiona uczuciami wiernopoddańczemi, pragnie, żeby jej syn nie zasłużył na niezadowolenie rządu. Chciej więc, p. Hrabio, użyć swej ojcowskiej władzy, żeby syna należycie pouczyć o świętych obowiązkach wiernego poddanego, a w szczególności dobrze mu wyjaśnić, że wszelkie dwuznaczne zachowanie się narazić go może na ciężką przed prawem odpowiedzialność, bez względu na pańskie liczne zasługi. Racz Pan przyjąć wyrazy etc. etc.» (Dosłowny przekład francuskiego tłumaczenia przysłanego przez Krasińskiego)

ani się spodziewać. Alexandrowi (Potockiemu) bardzo choremu odmówili do Madery; ruinę całego rodu gotują! i z tem się nawet nie kryją. Tak samo i mnie... Stąd oczywiście wynika, że trza być mądrym i nie chcieć motyką porywać się na Saturna, — bo słońcem trudno ich nazwać.

Zatem, drogi mój, w oktobrze, zapewnie w drugiej połowie, postaram się uściskać cię w Babilonie samym, bo, powtarzam, tam przez dni kilka mogę zaginąć. Dam ci znać, naznaczę ci miejsce odzobaczenia i uściskam ze łzami w oczach a błogosławieństwy na ustach, proszę tylko, byś już przed drugimi o mnie nie wspominał. Jeśli chcesz mi odpisać, to odpisz pod kopertą Konstantego Gaszyńskiego, Bruxella, poste restante. Dziwne dzieją się na świecie sprawy, lecz wszystkie rachuby ludzkie i szatańskie prysną, — a w końcu Bóg jeden zwycięży! On podsumuje cały rachunek, i pokara wszystkie cyfry fałszywe, które w nim znajdzie.

Moskwa niezawodnie jeszcze przez czas jakiś górą iść będzie. Niemcy, ten Melszpeis, co chciał wielkich czynów dokonywać, okryje cieniem swego protektoratu, wszystkich oszuka, wszystkich wprowadzi w samołówkę, z wszelakiego głupstwa i szału europejskiego skorzysta, aż przyjdzie i na nią sąd! To wszystko nienadto blizkie, ale też i niedalekie. Później o tem i wielu innych rzeczach, a teraz, dla ócz nie mogąc dłużej, proszę tylko Boga, by cię zachował nam i sił ciała poddał, bo duchowe masz, o nie prosić dla ciebie nie potrzeba. Ściskam cię. Cały twój.»

Władysław Zamoyski do Zygmunta Krasińskiego:

«Havre, 3 września 1850.

Mój kochany i biedny Zygmuncie, ale ja najbiedniejszy tym zawodem. Już mnie doszła była wieść o twojem przybyciu do Heidelberga i codnia cię wyglądałem i upatrywałem ustronne miejsce, gdziebyśmy nad morzem przesiadywali i cieszyłem się. O Boże, ileż strat

podobnych, — a równych mało, — ponosić nam przychodzi od tego jednego zawsze źródła, od niewoli naszej, od wroga! Matkę miałem lat pięć na emigracyi, i jaką matkę, zaledwie kilka miesięcy z nią przebyć mogłem i to dopiero kiedy nieunikniona jej strata przemogła wszelkie ku jej widzeniu zapory! Kto mi te lata wróci, — co je wynagrodzi?

Mam braci, siostry, których głęboko kocham, muszę żyć bez nich. Ciebie spotkawszy, pokochałem duszą i umysłem i ty mi drogą okazujesz przyjaźń i prawdziwie po matce, którą nazywałem sumieniem swojem i która była mi ze wszystkich najdroższą, jedyną niemal nagrodą, — nikt mi tyle podobnie nie nagrodził w duszy jak ty twoją przyjaźnią, nikt też może tyle nie zachęcił, bo i ośmielił i w niejednem oświecił i ustalił, — i cóż mnie teraz czeka? Oto przez lata może niepodobieństwo widzenia cię, albo, jeżeli się widzieć będziemy, to, jak z braćmi mymi, po kilka godzin z długiemi nieskończenie przerwami!

Urządzam łatwe przeprawy do Ameryki stąd dla naszych. Smutna ostateczność! Posyłam ci moje o niej zdanie i radę do młodych emigrantów. Ci co popłynęli, piszą mi z New-Yorku, że wszyscy od dnia przybycia znaleźli zarobki po dolarze na dzień.

Kłaniaj bardzo odemnie Gaszyńskiemu. Zazdroszczę mu, ale się w tem zupełnie poddaję twojej decyzyi i ocenieniu twemu tego co można, a co nie trzeba. Dobrze i tej nadziei, tej pewności wkrótce uściskania się. Twój Wład.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Bruxella, 10 septembra 1850.

Mój drogi i bohaterski i tysiąc razy kochany! List twój tu zastałem zawczoraj, już nieczas było ci odpisywać do Paryża a zresztą nie mogłem, bo teraz często mi się zdarza, że przez cały dzień dla ócz jednej litery nie zdołam nakreślić. Od Heidelbergu aż tu ócz nie otworzyłem,

jechałem wielkiemi ciemnościami, gwar tylko i turkot słysząc wokoło.

Dzięki, dzięki ci serdeczne za każde słowo twoje. Obym choć w cząsteczce drobniusieńkiej mógł ci przypominać sercem czułość serca tej, która cię tak kochała i której duch opiekuńczy niezawodnie z poza grobu strzeże cię w każdem niebezpieczeństwie i modli się między szczęśliwemi duchami o twoją całość a dzielność cochwilnie do Boga!

Teraz, słuchaj, drogi. Kostki moich losów podróżnych inaczej wypadły mi od dwudziestu czterech godzin, bom odebrał p o z w o l e n i e, o które ojciec się wystarał, dane przez marszałka (Paskiewicza) udania się do Dieppe. Samołówka to zastawiona, mój drogi, i tem bardziej strzedz się wypada. Kiedy ci łaskę tam robią, to tylko dwa przypadki być mogą, albo nią cię błaźnią, albo też spodziewają się zgubić. Zatem bądźmy czujni i czujniejsi teraz jeszcze niż przedtem. Znam ich na wylot. Typ ich ducha źre mi piersi, jak sęp, dniem i nocą, — więc wiem go i znam.

...Zatem na to, by módz z tobą kilka dni cichych i spokojnych przebyć, jadę do Tréport i tam na tydzień osiadam, poczem przeniosę się do Dieppe. Zatem, jeśli możesz, racz przybyć do Tréport i zaraz mi tam odpisz pod adresem: Mr Antoine Waytach, poste restante, albo nie, to mój służący, ale, kto wie, czy nie szpieg, lepiej pod adresem Stasia Małachowskiego, który ze mną tam będzie.

14-go stanę w Tréport popołudniu i będę czekał na szczęście odzobaczeń.

Odezwa twoja pełna smętnej prawdy i jedynej praktyczności, mogącej się w tej chwili udać. Dłużej nie piszę, mając nadzieję ustnej niezadługo rozmowy. Jeszcze raz tysiąc dzięków, wierz mojej wdzięczności za twoje serce ku mnie. Pisałbym długo, gdyby nie oczy, ale z oczyma i całem ciałem źle, mój drogi. Nie! choroba

dobrem nie jest, bo przeszkadza męce za drugich, będąc męką za siebie. Do odzobaczenia. Twój.»

Z dziennika W. Z.

«12 września. — Spotkanie z Mickiewiczem, bardzo uprzejmy, rozmowny, jakby ułagodzony.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

21 septembra 1850, Tréport.

Mój drogi! Zagonienie się moje za tobą wczoraj, obrazem życia; na chwilem cię tylko mógł dogonić wśród słoty a kurzu, na stromości wzgórza, ujrzeć tylko i pożegnać! Lecz zato, po takich spotkaniach, wiekuiste w sercu pozostanie wspomnienie. Im krótsze rzeczywistym czasem, tem dłuższe idealnym w pamięci!

Raz ci jeszcze dziękuję za twoje przybycie do mnie i to dziękuję wypowiadam w całej prostocie, szczerości i wdzięczności ducha, bo się tobie należy odemnie, jako od mniej, daleko więcej zasłużonemu! Raz więc jeszcze dzięki i do obaczenia. Szczęśliwym będę, gorąco szczęśliwym, jeśli to com umarzył w stosunku do ciebie, uda mi się i jeśli z pośród tylu gruzów, grobów, nieszczęść, mąk i pryśniętych nadziei, z tej ziemi tobie matczynej wydobędę dla ciebie żywą pociechę, chodzącą podporę, coś co ci przypominać zdoła ubiegłe raje młodości i zarazem błogosławieństwo tej, którąś najwięcej z wszystkich śmiertelnych istot ukochał na ziemi, zlane na twoją głowę i dalej niż twoja, przeciągnione na drugą, przy zgonie! Ten zamiar staje mi się odtąd ideałem przyjaźni mojej ku tobie.

Co mogę, szlę ci stąd: cygarów paczeczkę i uścisk najserdeczniejszy. Twój.»

Montalembert do Władysława Zamoyskiego

«Trélon, Nord, 25 września 1850.

... Widziałem niedawno x. Metternicha w Bruxelli. Wyznał mi, że podział Polski jest największą zbrodnią

a wcielenie Galicyi do Austryi niepowetowanem nieszczęściem. Dowodził jednak, że w obecnych okolicznościach Polakom nigdzie nie mogłoby być lepiej jak pod berłem austryackiem. Zaręcza, że podczas trzydziestu dziewięciu lat swego ministerstwa zawsze zwalczał dążności germanizacyjne i centralistyczne, w które się zapędził nowy rząd austryacki i które z konieczności doprowadzą do nowej rewolucyi w Austryi.

Uważaj mnie zawsze jako najlepszego przyjaciela Polski i zalicz do swoich na całe życie.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«26 septembra 1850, Tréport.

Mój drogi! Dopiero ci teraz odsyłam Kościelskiego, przeczytałem z uwagą, a oczy mi przeszkadzały przez te wszystkie dni mocnym bólem; kazać zaś sobie czytać nie potrafię, nic nie rozumiem. Maluje się w tych listach poczciwa szlachecka dusza, jednak i pewna lekkomyślność. Kiedy nie chce jechać do Poznańskiego z przyczyny, że nie odebrałby od dłużników pieniędzy im pożyczonych, mija się cokolwiek z rzeczywistą prawdą swego istotnego położenia, bo owszem dlatego tam nie może jechać, że napadliby go wierzyciele wszyscy.

Scena z Canningiem i szturmem wydobyte zeń 50000 piastrów wyborne. Pasek, wiesz co pisał pamiętniki owe sławne w XVII wieku, nie inaczej byłby postąpił.

Wojewoda (St. Małachowski) przejazdem musiał ci oddać odezwę i list Dudleyski wraz z 40 funtami[1]). Podobno

---

1) Lord Dudley Stuart wydał latem 1850 odezwę do Polaków o położeniu Assocyacyi. Przypominał w niej, że rząd angielski do roku 1850 wydał na polskich wychodźców 172000 f. szt., a Towarzystwo od chwili swego założenia zebrało na ten sam cel 29000 f. szt. «Obecnie jednak», kończył lord Dudley, «wskutek osłabienia życzliwości dla Polaków finanse Towarzystwa tak źle stoją, że musi się ono odwołać do dobroczynności samychże Polaków zamożniejszych; którzy, jeśli mają uznanie dla jego działalności, muszą mu przyjść z pomocą, w przeciwnym razie nie pozostanie mu nic innego jak się rozwiązać.»

do was tam w tych dniach przybędzie: Leon Łubieński, Xawery (Branicki) i August Potocki. Napisz ile jeszcze siedzisz w Dieppie i jak się czujesz...

Zjazd królów niezawodny w Warszawie w październiku: pruski, holenderski i cesarz austryacki. Cesarzowa zaś rosyjska dziś już do Warszawy przybyła. Jej małżonek 1 października zjeżdża. Siedzieć znać będą długo, bo dopiero 17-go jubileusz służby marszałka (Paskiewicza) przypada. Innych wiadomości nie mam... Niech Bóg cię strzeże i obłogosławia. Twój.

Do pani Kaler(gis) przybyła jej kuzynka, córka kanclerza, pani Seebach i obie kongresik swój złożyły w Paryżu i tam już pozostawa na zimę pierwsza.

Co za głupstwa wyrabiają stronnictwa umiarkowane francuskie!!! Czyha na nie wspólny wróg a one się manifestami rozdzierają i szarpią, zapominając tych słów: «Wszelki dom w sobie rozdzielon upadnie». Na dobrych dziś ślepota, na złych męstwo i czynność spadły. Pierwsi źleją przez zapamiętanie, drudzy dzielnieją przez odwagę, — przewrócon świat.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego.

«5 oktobra 1850, Tréport.

Mój drogi! Tysiąc tysięcy dzięków za oba twe listy... List Montalemberta zawiera ciekawą spowiedź Metternichowską. Czemu tak nie myślał, gdy był władcą, a przynajmniej w myśli tej nie działał...

Nikomu, nawet siostrze, nie mów, że mam przyjechać i że się będziem widywali... Zbierz dziesięciu najbardziej milczących ludzi zosobna i wszyscy razem niech dowiedzą się o czem, zaraz rozgadają, bo wszelki tłum, dotąd przynajmniej, przestaje być osobą człowieczą i wolę mieć, staje się czemś do wiatru i morza podobnym. W Polsce zaś dziś milczenie taką potęgą, jak gdzieindziej słowo! bo życie całe przewrócone i spaczone! ale niezawodnie tak jest. Do jutra, drogi mój.»

X. Adam do Władysława Zamoyskiego:

«W października 1850.

Nalegania Moskwy o wydalenie Czayki pomnażają się. P. Aupick jest osobiście pełen dobrych chęci, ale minister[1]) przeciwne daje instrukcye i każe Moskwie ulegać. Canning jest w największej obojętności i radby się pozbyć Czayki. Pisałem temu kilka tygodni do Palmerstona, przekładając, ile wygnanie elementu polskiego z Turcyi będzie szkodliwe dla Turków i dla całej Europy, że to poniży rząd turecki w oczach Słowian i zmusi ich na Moskwie jedynie polegać. Palmerston odpowiedział Dudleyowi, że Anglia do tego nie może się mieszać, że to jest interes francuski, bo paszport (Czayki) jest francuski!!!

Między Turkami jeden sułtan broni nas i nie chce oddalenia Czayki. Jesteśmy wszakże w równem zawsze niebezpieczeństwie, które codzień katastrofą grozi.

Serbowie łączą się więcej, niż kiedykolwiek, z nami. To pochodzi z nadziei, że im Anglia sprzyja, i w samej rzeczy, zdaje się, że Canning pojął nakoniec ich wartość i ważność Słowian.

Czayka trwa w nieszczęśliwem postanowieniu zdania się Tytowowi, jeśli go wyganiać będą. Piszę do niego najmocniej, zakazując i naganiając. Aupick i Canning potakują mu w nadziei, że ich więcej zatrudniać nie będzie.»

Władysław Zamoyski do Michała Czaykowskiego:

«Paryż, 26 października 1850.

Nie wiem już, jak mam pisać do ciebie. Nie wiem, czy cię list jeszcze zastanie, co gorsza nie wiem, — aż mi mróz duszę ścina, — nie wiem, choćby cię zastał, kim już dziś jesteś! — Nie wiem przeto, jakim odtąd pisać do ciebie językiem.

---

[1]) Jean Ernest La Hitte (1789—1878), minister spraw zagranicznych.

Wyczerpaliśmy w pismach poprzednich wszystko, co mowa polska, co polskie uczucie natchnąć i wyrazić może. Nadaremnie! Na wszystko masz odpowiedź. Wszystkie argumenty, wszystkie uczucia najserdeczniejsze i najsurowsze słowa nie przemagają, zda się, dziwnego, niepojętego postanowienia twego.

Ty, coś lat tyle głosił i przysięgał, że rozkaz xięcia jest prawem twojem, żeś jemu ślubował życie i wolę swoją, ty dzisiaj nie słuchasz ostrzeżenia jego i trwasz w postanowieniu, przeciw któremu xiążę wyraźny daje ci zakaz, dodając, że krok, przy którym się upierasz, będzie klęską dla sprawy, zawstydzeniem dla niego. Nie powiedział ci przecież xiążę dotąd, a z tem ja, długo twój najserdeczniejszy wielbiciel, przychodzę dziś do ciebie, Boże daj, żeby nie poraz ostatni, z najboleśniejszem uczuciem powiedzieć tobie, że czyn, który zamierzasz, że samo postanowienie onego jest zbrodnią, a nie cofnięcie się będzie wiecznym wstydem nie dla ciebie jednego i dla potomstwa twego, ale dla samejże Polski, która jednego więcej zdrajcę liczyć w tobie będzie. Czas nagli. — Straszne przez stan myśli twojej grozi niebezpieczeństwo, straszne też słowa, któremi ciebie ostrzegać potrzeba. Jeżeli przez długie lata nie uwierzyłeś w przyjaźń moją dla siebie, masz jej dziś dowód niezaprzeczony. Matka, patrząca na ginącego z własnej woli syna, nie miała nigdy rzewniejszego uczucia nad te, którem dziś jestem ku tobie przejęty. Jeśli czas jeszcze ocknij się z szatańskiego obłędu. Pomnij na Görgeyów i Krukowieckich. Czem oni zgrzeszyli? Zwątpieniem. A zwątpiwszy o sprawie, zapragnęli dla siebie życia tylko i dla rodzin chleba. Patrz, jaka zakała na ich imionach. Takiejże chcesz dla siebie przyszłości? A przeszłość, czy myślisz, że czystą zostanie? Czy każdy krok twój w ojczystej służbie nie podpadnie, gdy do obozu nieprzyjacielskiego przejdziesz, tłumaczeniu na potępienie twoje? Nie łudź się. Zasługa, jakakolwiekby była dawniejsza, pomnażać tylko będzie zgrozę i oburzenie!

Odgłos czynu tego będzie wielki. Posłyszy o nim świat i pomyśli, że na dobre zginęła już Polska, kiedy ją tacy zdradzają, odstępują Polacy. W dziejach męki Polski będziesz miał pierwsze czynem twoim miejsce po chłopskiej rzezi, po owym rozbracie krwawym między częściami narodu, który ze wszystkich klęsk największą okazał się klęską, najniewątpliwiej nadzieje nasze odsunął. Odsunął, — ale nie zniweczył. Polska być nie przestanie choćby i całe jedno pokolenie o niej i o sobie samem zwątpiło. Będzie Polska i będą znowu Polacy wierni, poświęceni, wytrwali, tylko hańbą niewytrwałych zawstydzeni, na długo ich wspomnieniem, gdyby ciężką raną osłabieni.

Piszesz o karze, po którą się zgłosić zamierzasz. Chyba obłąkaniu czyn twój przypisać będzie trzeba, jeśliby wistocie kara, kara do winy stosowna cię spotkała. Jeżeli zaś, jak się koniecznie domyślać wypada, nie spotka cię kara, jeżeli otrzymany twem odstępstwem tryumf pobudzi cara, jak się to widziało nieraz, do powolności względem ciebie, do przebaczenia, — boć zemsta jego tem zupełniejszą będzie, bo cię przezto do reszty poniży, — to zważ, jeśli możesz, zważ, jaka dla ciebie hańba! Każdy z krajowych zwłaszcza rodaków, którego stosunek z nami był ci wiadomy, zadrży na widok odstępstwa twego. Każdy się czuć będzie zagrożonym, a choćby czas pokazał, że osobiście nie dotknie ich taka klęska, że żadne widoki, żadne męki nawet, które cię spotkać mogą, nie wydrą ci posiadanych tajemnic, długo pamiętać będą niebezpieczeństwo, jakie im grozi, kiedy się nam zwierzają, i kiedy tak kończą najznamienitsi między nami, najwyższem przez nas opatrzeni zaufaniem, najwyżej przez nas w pracy krajowej zalecani. Było dotąd wyłączną anarchistów naszych cechą z ostatecznych kończyn demokracyi przechodzić jednym skokiem w drugą ostateczność, w pokrewną; z brudnych namiętności demagogicznych w podłe zalecanie się wszechwładnemu wrogowi. Maszże ty pierwszym być z pomiędzy Polaków, odznaczających

się uczciwością, umiarkowaniem i roztropnością, którzyby, zwątpiwszy o ojczyźnie, rzucali się pod stopy mniemanego zwycięzcy?

Nie, nie zrobisz tego. Nie splamisz siebie i kraju swego i swego Kościoła. Nie zasmucisz, nie zawstydzisz nas, cośmy cię tak kochali i cenili. Nie skrwawisz serca xięcia, który cię jak syna własnego kochał, nie zdradzisz go!

A teraz słowo jeszcze o tem, co z sobą masz postanowić. Xiążę daje ci rozkaz przybycia tu natychmiast, ale tylko jeżeliby cię zmuszano opuszczać Turcyę. Rozkazuje ci, gdybyś stolicę tylko, nie państwo opuszczać musiał, starać się o służbę turecką. W najgorszym razie mógłby cię sułtan przywiązać do którego z poselstw swoich zagranicznych. Znajomość, jaką posiadasz, interesów państwa tureckiego będzie długo, nim inne poznasz pole, specyalną zdolnością twoją, a w służbie tureckiej miałbyś tysiąc sposobów służenia Polsce. Nie mów mi o wstręcie służenia pod Turkami po tyloletniem w ich oczach sprawowaniu służby polskiej, — to wzgląd żaden nie jest. Przyjmij tę służbę, jeżeli tylko podobna, zrób tę ofiarę ze siebie; zrób ją dla siebie i dla nas. Powiem więcej. Słabość i nierzetelność przemijająca rządu tureckiego odejmują prawie wszelką wagę pracom naszym w tamtej stronie. Słusznie pisał xiążę w ostatnim do sułtana liście, że nie mamy już prawie powodu upierać się na tem stanowisku, przynajmniej niewielkie na nas spadną szkody z opuszczenia go, bylebyśmy je opuścili godnie, z wiarą niezłamaną, z duszą czystą.

Co do mnie, wszystko biorąc na uwagę, radziłbym, żebyś dłużej na ajencyi się nie upierał, żebyś się oderwał od położenia zbyt trudnego i bez dalszej zwłoki albo wszedł w turecką służbę albo, jeżeliby sułtan i tego nie dokazał, przybył tu do nas, pozostając w polskiej.

Na wszelki przypadek nie zabraknie ci tu z nami pracy, ani przyjaźni, ani sposobów do życia. O dzieci swoje się nie turbuj. Jak była dotąd, tak do końca będzie

bezpiecznym kapitałem na ich wychowanie twoja dobra sława, twoja znamienita zasługa i rzadka zdolność do prac dalszych.

Pragnę, wyznam dziś, abyś się jawnie i głośno od ajencyi usunął. Po tyloletniej i świetnej z przeciwnościami tylu walce, jest pewna chwała i w własnowolnem ustąpieniu. To dziś moja rada, nie jest jeszcze rozkazem xięcia. Ale jeżeli tę radę sam poprzesz, mniemam, że xiążę, mimo żalu i nawyknienia, uzna w tem konieczność, jak uznawał przed rokiem podobną dla siebie.

A teraz raz jeszcze pomimo smutku, jaki czuję w duszy, i strasznego zwątpienia, które w niej zrządziłeś, ściskam cię, ściskam najserdeczniej, najrzewniej, bo cię chcę jeszcze kochać, chcę ci do ostatka wierzyć, Boga błagam, aby cię oświecił i umocnił, zbawił.»

August Cieszkowski do Władysława Zamoyskiego:

«Berlin, 30 listopada 1850.

Zupełnie się zgadzam ze zdaniami, które byłeś łaskaw mi zakomunikować w liście twoim z 25 tm. I koledzy moi również je podzielają, lecz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie potrzeby obmyślenia żadnych kroków w tym względzie, albowiem od kilku dni coraz się bardziej ma ku pokojowi[1]). Już od onegdaj nikt tu nie wątpił, iż Manteuffel,[2]) przywiezie ze sobą pokój z Ołomuńca, a powrót jego, który przed kilku godzinami nastąpił, potwierdził zupełnie to mniemanie, aczkolwiek szczegółów dotąd niewiadomo. W każdym razie jednak pozwolę sobie zrobić uwagę, iż przedmiot listu twego

[1]) Długoletni zatarg między Austryą, a Prusami o przodownictwo w Związku Niemieckim groził w 1850 wybuchem wojny, nim załagodzony został do czasu, za pośrednictwem Rosyi, na konferencyi ołomunieckiej (29 list.), ustępstwem Prus na rzecz Austryi. Zamoyski w liście do Cieszkowskiego wyrażał zdanie, że nasi posłowie w Berlinie winni otrzymać od rządu pruskiego zapewnienie, że, w razie wojny, pułki poznańskie nie będą użyte przeciw pułkom galicyjskim.

[2]) pruski minister spraw zagranicznych.

może i powinien nam dać powód do parlamentarnej manifestacyi, ale bezpośrednio praktycznego skutku mieć żadną miarą nie może, albowiem nie masz podobieństwa, aby izba w to się wdać chciała, ale chociażby się i wdała, co, jak powiadam, nie do przypuszczenia, to żaden wódz na to nie pozwoli, aby mu izba dyktowała dyslokacyę pułków. Jeszcze więc tylko dałoby się to zrobić na drodze interpelacyi do ministra wojny, czyliby nie uważał za słuszne i, że tak powiem, moralnością narodów obowiązujące, aby polecić uwadze wodza unikanie, o ile być może, spotkania się z sobą wojsk jednonarodowych? Ale, jak mówię, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie przyjdzie na teraz do wojny, a więc ta troska sama z siebie upadnie.

Co się tyczy położenia naszego w izbie, to, zdaje mi się, iż deklaracya przez nas złożona jest tak jasna, że raz na zawsze wszystkie wątpliwości usuwa[1]); już (ją) znasz zapewne, kochany p. Władysławie, z gazet, oraz przez p. (Delfinę) Potocką, której ją przesłałem w myśli, że ci jej udzieli. Bądź tak łaskaw postarać się tak w Londynie jak w Paryżu o jej właściwe i najlepsze rozszerzenie.

Cieszę się mocno, iż xiążę jegomość zupełnie wrócił do zdrowia i składam mu najgłębsze uszanowanie. Wkrótce obszerniej pisać ci będę, przekładając żądane dokumenta, a teraz polecam się kochanej pamięci i przyjaźni. Sługa najżyczliwszy. Aug. Ciesz.

Przepraszam za wielki pośpiech, ale prawdziwie z sesyi na sesyę i z konferencyi na konferencyę, chwili czasu nie mamy, — ale słychać, że nas na miesiąc chce rząd odroczyć.»

---

[1]) Piśmienna deklaracya złożona przez posłów polskich w Berlinie przed zaprzysiężeniem konstytucyi pruskiej; zastrzegała, że ta przysięga nie przesądza w oczach Polaków o naszych prawach narodowych. Autorem jej był Cieszkowski.

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Heidelberg, 3 grudnia 1850.

«Patrzcie do czego was doprowadza niesłychana zbrodnia rozbioru Polski; nie możecie własnych praw najświętszych, ojczyzny i narodowości bronić, nie możecie wojny jednej o nie podnieść, byście natychmiast nie musieli drugim zbrodnie nakazywać! I wy rządy, wy izby legalne do tego samego prowadzić, do czego najbezzecniejsze rewolucyonisty, to jest do bratobójstwa i do arcyrozstroju społecznego! Takowym albowiem arcyrozstrojem społecznym, sami przyznać musicie, jest hasło dane jednej części narodu polskiego do walczenia i wyrzynania drugiej. Tego zaś, przyznajemy sami, uniknąć wam niesposób; wojny inaczej żadnej wieść nie zdołacie. A że od wojny takowej żywot wasz zależy, stąd wypada, że bez zbrodni żyć nie możecie, pierwszą zbrodnią rozbioru w coraz dalsze i głębsze popchnięci. Póki więc tej pierwszej nie ukoicie w historyi świata, nie spodziewajcie się ani czci u ludzi, ani miłosierdzia u Boga. Sprawiedliwość albowiem stała się dla was niepodobieństwem, a zacność niemożnością etc.»

Taką lub podobną mową zagrzmieć po izbie pruskiej w razie wojny, rozumiem, i w niej będzie to, czego chcesz, to jest protestacya, lecz wątpię, żeby można posunąć się do żądania warunków w kopii twego listu do Augusta wskazanych, bo każden rząd na takowe żądania w dniu boju albo nic nie odpowiada, jeśli nie uważa je na seryo, albo, w przeciwnym razie, odpowiada mit Blei und Pulver.

Co prawdziwie w tem strasznego, to, że w pułkach polskich niema dość uczucia narodowości na to, żeby w pierwszej chwili spotkania się, zamiast walczenia z sobą, natychmiast podały sobie ręce i oświadczyły, że syny jednej matki wolą się dać rozstrzelać niż oręż przeciwko sobie podnieść. W tem leży nasza słabość, nie w czem innem. Już za Napoleona galicyjskie pułki pod Wagram, mające wówczas oficerów polskich, przeciwko pułkowi ułanów gwardyi okropnie się biły, — i ten ostatni rozbił

je w końcu i wielu takich oficerów zabrał w niewolę. Zresztą, zdaje się, iż żadnej wojny nie będzie. Tu wszyscy są najprzekonańsi o utrzymaniu pokoju. Nic na świecie cichszego i spokojniejszego od Badenu i całego Wielkiego Xięstwa. Od kiedym tu, jednego śladu ani czerwieni, ani ducha wojennego nie spotkałem. W oficerach tylko pruskich kipi punkt honoru, ale i to się uspokoi, a dziś jest dniem ostatnim naznaczonym na ich ostatnie wyjście z Badeńskiego[1]). Zostajemy pod opieką kilku nikczemnych pułków tutejszych i ogromnej atonii ducha całej ludności. Eliza z dziećmi przybyła zawczoraj... Ze trzy tygodnie tu zabawim, bo doktór znajduje, że mi trzeba pilnie pod jego okiem się leczyć. Później, jeśli uczuję się lepiej, przeniosę się do milszego Badenu...

Stamtąd jak najsmutniejsze nowiny; nowa era znać miała znaczyć erę zupełnego zlania się i spłynienia Kongresówki w Cesarstwo. Zaprowadzenie sprawników miasto wójtów gminy, zniesienie granic, skasowanie nawet aż do tytułu Królestwa, rozpoczęcie prześladowania przeciwko unitom, pozostałym na Podlasiu i w Lubelskiem, — zdają się tuż grozić i mają na Nowy Rok być nam złożonem powinszowaniem. Mojem zdaniem, gdy zło przesięga za granicę rzeczywistości i rości prawo bycia nieskończonem tak jak Bóg i dobro, to znak niechybny, że blizkie końca, bo w naturze złego skończonej, nieskończoności być nie może; na dziś tę jedną tylko myśl pociechy mam do przesłania...

Teraz własną ręką chcę kilka słów dopisać. Słuchaj, — i w liście do Augusta jest pewna beztaktowność. Piszesz za oficyalnie, za nakazująco, zanadto z góry. Uważasz, — tych, co ci przysięgli na wierność, niedość krótko, np. Czaykowskiego i Bystrzonowskiego, tych, co ci nie przysięgli, zanadto krótko trzymasz. Stąd idzie, że pierwsi ci źle, a drudzy wcale nie służą... Trza z ludźmi tak, aby

[1]) Zajętego przez wojska pruskie od rewolucyi 1849.

nie wiedzieli sami, że ich doprowadza się do uczynienia tego, czego spodziewamy się po nich, a nie tak, by zaraz uczuli, że im chcemy rozkazywać, bo wtedy nic, a to od stylu i form zależy. Daruj uwagę, lecz prawdę, jak mi się wydaje, zawsze mówię ukochanym, a ciebie wśród ukochanych, kocham, wielbię i poważam i raz jeszcze mówię, że kocham.»

Michał Czaykowski do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 5 grudnia 1850.

Pułkownik mi radzisz, abym usunął się dobrowolnie od steru ajencyi i takowy zdał p. Kościelskiemu. Za niedanie tego rozkazu przez x. pana całem sercem jestem mu wdzięcznym, bo to mi dowodzi, ile on cenił moje usługi, ile pokłada jeszcze zaufania we mnie. Jestem jednak przekonany, że rada Pułkownika nie mogła nastąpić bez zezwolenia xięcia pana, który w ostatniej chwili chciał mi oszczędzić tej przykrości, abym ręką jego kreślone czytał wyrazy: «Ustąp i oddaj w ręce inne dobytek dziesięcioletniej pracy twojej». — Dziękuję mu zato, a do Pułkownika, dalibóg nie mam żalu i chociaż ta rada nie zgadza się z mojem przekonaniem, uskuteczniłem to, co mogłem uskutecznić natychmiast, jak to Pułkownik widzieć możesz w moim raporcie do władzy, a mam nadzieję, że się wkrótce zupełnie będę mógł usunąć od ajencyi. Daj Boże, żeby rada Pułkownika nie przyniosła złych skutków dla sprawy, żeby mój następca mógł szczęśliwie prowadzić interesa publiczne.

Co do mnie, po usunięciu się od ajencyi, po zdaniu wszystkich spraw p. Kościelskiemu, będę wolnym rozrządzać moją osobą, powiadam, że, aby dogodzić Pułkownikowi, chciałbym odstąpić od postanowienia, które go tak zatrwożyło, czuję, że zaszedłem zadaleko, objawiając głośno ten mój zamiar, ale proszę mi wierzyć, że to była jedyna moja obrona i bez tego, jużby dawno ani mnie ani ajencyi nie było w Turcyi. Nie wiem, jak się z tego cofnę, bo

dotąd nie nawykłem się cofać. Jeśli będę żyw, to zrobię, żebym nie był ciężarem nikomu i mógł zapewnić egzystencyę mojej rodziny. Wierzę w opiekę xięcia pana i Pułkownika i proszę o nią do czasu, ale jej nadużywać nie chcę, bo wiem, że kto odbiera dobrodziejstwa, a nie może za nie odsługiwać pracą, a ja nie będę mógł przynieść gdzieindziej żadnego pożytku, jak tylko w Turcyi, staje się natrętnym żebrakiem, a ja dość nim byłem dla sprawy publicznej, bym nim chciał być dla siebie. Według mego zdania Polak konsekwentny i kombinujący praktycznie nie teoretycznie, jeśli nie chce być z muzułmańską Turcyą to musi się rzucić pod stopy słowiańskiej Moskwy; w dzisiejszych okolicznościach niema innej rady.

Czerkiesa od dni kilkunastu odebrałem, jeżdżę na nim, jestto koń rzadkiej dzielności i cnoty, dziękuję za niego, służy mi on w ostatnich chwilach mojej służby. Cokolwiekbądź ze mną się stanie, niech Pułkownik wierzy, że go wysoko czczę i szanuję i że go uważam za najpierwszego między Polakami po xięciu panu. Prawdziwy i nieodmienny sługa Michał Czaykowski.»

Władysław Kościelski do Władysława *Zamoyskiego*:

«Pera, 29 grudnia 1850.

Oto jak grom spada na mnie wiadomość o przejściu Czayki na wiarę muzułmańską. Tak byłem daleki od tej myśli, że gdy onegdaj w Terapii p. Canning o tem mówił, jako o projekcie, myślałem, że on, pochwyciwszy tę złośliwą wieść, rozpowszechnia ją z powodu niechęci, którą często w nim spostrzegłem do Czayki. Uspokoiłem p. Canninga solennem zaręczeniem, że to jest niepodobnem. Powróciwszy do Stambułu, o wszystkiem się dowiedziałem. Dowiedziałem się od obcych, bo do ostatniej chwili p. Czayka taił się przed tymi wszystkimi, coby mu się sprzeciwiać mogli.

Tego nieszczęścia już nic naprawić nie zdoła, chodzi teraz tylko o to jaką korzyść z tego złego można dla sprawy

wyciągnąć. A ta korzyść może być wielka, dlatego cię zaklinam, najdroższy mój Pułkowniku, w imię tej wspaniałej i szlachetnej twej duszy, w imię tylekroć doświadczonego patryotyzmu nie drażń tego człowieka. Jeżeli nie możesz mu przesłać słów pociechy, to przynajmniej go nie karć zbyt surowo; słów pociechy, bo wierzaj, że mu ich potrzeba, wierzaj, że jest ciężko nieszczęśliwym i wierzaj, że rozumie całe swoje nieszczęście.

Byłem dziś u jen. Aupick. Znalazłem w nim nie surowego sędziego, lecz zasmuconego przyjaciela. Tak był rozczulony, że przez parę minut trzymał moją rękę i słowa wymówić nie mógł. I on jest tego samego zdania co ja, myśli, że seraskier[1]) wszystko zrobił, a wiesz jak Czaykowski w tym człowieku jest zaślepiony. Z panem Canningiem będzie trudniejsza sprawa. Boję się nawet, żeby i ze mną z tego powodu stosunków nie zerwał.

Tytow żądał, żeby Czaykowskiego internowano, ale sułtan stanowczo się temu opiera. Czayka wszystko, co mu rząd proponował, odrzucił, nic przyjąć nie chciał. Będzie wolał nędzę cierpieć, jak teraz cośkolwiek od Turków przyjąć. — Zresztą jest w takiem nerwowem rozdrażnieniu, że nikomu do niego przystąpić nie wolno.»

---

[1]) Mehemed-Ali, szwagier sułtański, ten sam co za pobytu Zamoyskiego w Stambule 1847, zachęcał Polaków do wypraw na Kaukaz i obiecywał wydatną finansową pomoc dla ajencyi w krajach słowiańskich, a 1849 ukuł z Czaykowskim plan zmuzułmanienia rozbitków węgierskiego powstania.

X

PRZERWA W DZIAŁANIU POLITYCZNEM
(1851)

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:
«6 Stratford place, niedziela,
5 stycznia 1851.

Od dawien dawna wybieram się pisać do ciebie, ale tak jestem pochłonięty biednym Frankiem[1]), Marylebone i mnóstwem innych kłopotów, że trudno mi zdobyć się na list, zwłaszcza taki, który wymaga spokojnej głowy.

Chcesz, żebym postawił w parlamencie wniosek o pogwałcenie traktatu wiedeńskiego przez Prusy w Poznaniu[2]), równocześnie xiążę mi poddaje myśl upomnienia się o złamanie traktatu przez Prusy i Austryę z okazyi sejmu niemieckiego[3]), i przez Rosyę z powodu zniesienia granicy celnej między Królestwem a Cesarstwem. Xiążę

---

[1]) Jedyny syn lorda Dudley Stuart wskutek wypadku przy konnej jeździe popadł w nieuleczalny obłęd; wybuch choroby przyspieszony został wstrząśnieniem nerwowem jakiego doznał, uczestnicząc ze swym pułkiem w tłumieniu rozruchów w Irlandyi.

[2]) Prawo wyjątkowe przeciw prasie z 25 czerwca 1850, stosowane do polskich pism w duchu prześladowczym.

[3]) Zapewne projekt wcielenia Poznańskiego i Galicyi do Związku Niemieckiego.

mniema, że te rozmaite rozporządzenia naruszają równowagę europejską, zatem powinny zwrócić pilną uwagę naszych mężów stanu; ma zapewne słuszność, ale niemniej faktem jest, że one nie zdołają poruszyć parlamentu angielskiego.

U nas panuje wielka nieznajomość stosunków zewnętrznych i wielka co do nich obojętność. Anglików interesują one o tyle tylko, o ile są związane ze sprawami wewnętrznemi np. z obaleniem gabinetu lub którego z ministrów. Wtenczas budzą powszechny zapał i ogólne zainteresowanie, lecz wistocie nie owe sprawy zewnętrzne ludzi roznamiętniają, lecz walka wewnętrzna, jaką wywołały.

Gdyby zatem powyższe rozporządzenia uczynić przedmiotem wniosku, spotkałby się on niechybnie: 1. z niechęcią ogólną; 2. z odrazą ministrów, bo oni tylko te wnioski lubią, które sami podsuwają; 3. z niechęcią i nieufnością wszystkich torysów i zachowawców, jako pochodzący odemnie, członka skrajnej lewicy; 4. z uprzedzeniem liberałów, którzy nie radzi słuchać o równowadze mocarstw, z kongresu wiedeńskiego lubią szydzić, a mnie podejrzywaliby o tajne, czysto polskie pobudki; 5. z uprzedzeniem ekonomistów i pacyfistów, w obawie, że podobny wniosek może prowadzić do kroków dyplomatycznych i wojny, zatem do wydatków; 6. ze złym humorem wszystkich innych posłów, których interesa odwlecze, obiady opóźni, chwile wytchnienia zatruje.

Mimo tych rozlicznych ale, gotów jestem podjąć się każdego wniosku, na który się wspólnie zgodzimy, xiążę, ty i ja, pod warunkiem wszakże, że ci, którzy się wniosku domagają, udzielą mi wszelkiej pomocy na jaką ich stać, tzn., że przyjedziesz na miesiąc przed rozprawą, żeby członków parlamentu nastroić do udzielenia mi poparcia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ministrowie, mpy[1]) i lordowie życzliwszemi oczyma na rzecz patrzą, gdy tu jesteście, a i ja czuję się lepiej uzbrojony.

---

[1]) Members of parliament.

Pytasz, czy Palmerston byłby gotów protestować przeciw bezprawiom Prusaków w Poznaniu. Ledwom go widział od czasu odroczenia parlamentu w lipcu, bo choroba Franka przeszkodziła mi korzystać z jego uprzejmych zaprosin do Broadlands[1]), lecz z jego usposobienia w czasie ostatniej sesyi wnioskuję, że go ta sprawa nic a nic nie obchodzi, choć pewnem jest, że tak w Poznańskiem jak w sejmie niemieckim traktat jest gwałcony co do ducha i litery.

Inaczej rzecz się ma ze zniesieniem komory celnej między Królestwem, a Cesarstwem. Tu nie widzę złamania traktatu, który wspomina tylko o konstytucyi, odrębnej administracyi i wewnętrznych ulepszeniach, słyszę natomiast, że owo rozporządzenie dodatnio wpłynie na rozwój handlu. Jeśli najbardziej krzyczące bezprawia, popełnione na Polsce i Krakowie przez Austryę, Prusy i Moskwę, nie zdołały w Angli wywołać trwalszego wrażenia, cóż powiedzieć o gwałtach wątpliwych samych w sobie, a do wyobraźni nie przemawiających?

Zawsze mnie przecie znajdziesz równie gotowym do pracy i walki jak dotychczas, jak przy urządzaniu ostatniego balu, z powodu którego zbyt mi hojnie komplementa sypiesz, nie wiedząc nawet dokładnie zaco.

Muszę teraz poskarzyć się jeszcze na twoich Maltańczyków, którzy popłynęli do Ameryki. Prosiliśmy ich, żeby dali nam znać, jak im się powodzi, gdyż ta wiadomość może się tym przydać, co po nich pojadą; — obiecali. A któryż z nich napisał? Dwóch czy trzech, znalazłszy się w kłopotach, zwróciło się do nas po ratunek, i od nich wiemy, że ich towarzyszom dobrze się powodzi. Powodzenie swe zawdzięczają Assocyacyi, ona im dostarczyła środków do wyjazdu, a jednak nie otrzymaliśmy od nich ani słowa wiadomości.»

---

[1]) Wiejska siedziba lorda Palmerston.

Władysław Zamoyski do Michała Czaykowskiego:

«Paryż, 7 stycznia 1851.

Kochany Czaykowski. Prawda, że czyn twój potępić muszę nietylko jako chrześcijanin, ale jako Polak, jako człowiek, albo, jak ty mawiasz, jako szlachcic; prawda, że jako twój przez tyle lat z głębi serca przyjaciel i towarzysz w pracy, czuję wstyd głęboki za czyn twój, i czuję, że odpowiadać zań będziemy przed światem wraz tobą; prawda, że wina twoja pomnaża się w oczach moich szkodą nieobliczoną, jaką zadajesz ojczyźnie A przecież, nie jedno jest tylko we mnie oburzenie, nie przemaga odraza, nie pogarda, nie gniew i zemsta do jakich wzgląd ludzki mógłby mnie pobudzać. Nie. Aż mnie samego zadziwia, przy żalu tak wielkim, takie jeszcze we mnie ku tobie rzewne, serdeczne pobłażanie, takie jeszcze niewyczerpane uczucie przyjaźni, taka chęć gorąca, żeby ci tą przyjaźnią służyć, a przedewszystkiem takie pragnienie, żeby, nie zapierając się uczucia i sądu płynącego z przekonania i z wiary, uniknąć przecież wszystkiego, coby cię niebacznie urazić mogło.

Piszesz do xięcia, ofiarując i nadal służby twoje. Mnie nawet w zastępstwie xięcia, i o ilebym, jak się wyrażasz, trzymał się na Wschodzie dotychczasowej polityki xięcia, chcesz udzielić w interesie Polski pomocy, na jaką cię w nowem położeniu stanie. Niestety, albo się bardzo mylę, albo to położenie już nam wspólnej nie dozwala pracy. Tracąc godność swoją, stałeś się sługą i niewolnikiem innego pana. Tyś tę ojczyznę tak kochał, tyś tak doskonale rozumiał, że moc jej nieprzełamana w czystości jej sprawy i w niepokalanem poświęceniu się jej obrońców. I ty marzysz jeszcze o możności służenia tej sprawie, kiedy już nikt cię zasłonić nie może od zarzutu, żeś sprawę poświęcił dla osobistych korzyści, kiedy dla ludzkich widoków, choćby dla rodziny, choćby w ślepej nadziei służenia jeszcze krajowi, zapisałeś imię twoje między zaprzańców wiary i ojczyzny. O biedny ty, biedny! Straszna cię czeka kara, doznasz jej.

Żądasz, aby ci przysłano synów do tureckiej, mahometańskiej szkoły dla pewniejszej tam, jak piszesz, karyery!! Biedny ty, biedny. Tyż to chcesz niewinne dzieci swoje skazać na zakałę, na odszczepieństwo, na wszystkie sromoty, dla karyery, dla złota? Ty, który lat tyle znosiłeś dla ojczyzny wszystkie niedostatki, a brzydziłeś się złotem dla siebie jakbyś się lękał samem dotknięciem onego się splamić!

Jeżeli ci jaka pamięć zostaje stosunku, jaki nas wiązał z tobą, zaklinamy cię, tego przynajmniej zaniechaj żądania! Zostaw nam tu dzieci twoje. Czem były dla nas dotąd, być nie przestaną. Dwie opiekunki[1]) dwóch synków twoich, chcą i mogą zapewnić im przez najstaranniejsze wychowanie sposób do życia zacny i bezpieczny. Xiążę i ja, chrzestni ojcowie twych dzieci, chcemy im zastąpić ojca. Pomnij, że grzech twój przed Bogiem i przed ludźmi o wiele mniejszy przez to będzie; tą małą ofiarą zjednasz sobie może u samego Boga łaskę powrotu do niego przez własne dzieci, przez to, żeś w tem jednem przynajmniej namiętność zgubną pokonał. Oto Boga wielu z nas błagać będzie. W nadziei, że nas wysłuchać raczy, żegnam cię i jemu najrzewniej polecam.»

Jen. Wysocki do Władysława Zamoyskiego:

«Kutajah, 17 stycznia 1851.

Zapewne mieliście wszystkie szczegóły o śmierci jen. Bema[1]) Zdaje się, że człowiek ten nadzwyczajny przed śmiercią wyzuł z serca nienawiść, jaką miał do niektórych osób. Tak przynajmniej należy sądzić z listu Tabaczyńskiego, który od czasu wyjazdu z Szumli ciągle był przy nim, czuwał noc i dzień w czasie jego słabości i Bem nie chciał od nikogo nic przyjąć tylko z jego rąk. Przytaczam wyjątek z tego listu: «Kiedy jenerał czuł się bardzo słabym, wziął mnie za rękę i mówił: Kochany Tabaczyński,

[1]) x. Wirtemberska i x. Alexandrowa Sapieżyna.

[1]) Umarł w grudniu 1850 w Aleppie na febrę.

ty płaczesz. Dziękuję ci za twoje poświęcenie i staranie koło mnie». Puścił moją rękę i rzekł znowu: «Polsko! Polsko! ja cię już nie zbawię». W kilka chwil później: «Napisz do jen. Wysockiego w mojem imieniu, że wszystkie nieporozumienia ustały, że go szanuję i wkładam na niego obowiązek, aby nie przestawał pracować, jak pracował około zbawienia Polski, bo chwila zbawienia nastąpi, lecz jeszcze nie tak prędko». Z gubernatorem Kossuth nastąpiło także pojednanie.»

Michał Czaykowski do Władysława Zamoyskiego:

«Stambuł, 25 stycznia 1851.

List Pułkownika z 8[1]) odebrałem. Mocno boleję, że Pułkownik nie zrozumiałeś powodów i celu mojego postępowania, że je nie oceniłeś jak powinien oceniać Polak gorącego serca i szlachetnej duszy. To niezrozumienie, to niepolskie ocenienie mojego postępowania, złączone z tem, że Pułkownik możesz być naczelnikiem sprawy polskiej, a jesteś i będziesz zawsze pierwszym jej namiestnikiem, może sprawdzić słowa Pułkownika, że ja nie mogę służyć, nie mogę być użytecznym polskiej sprawie. Na wyraźną radę Pułkownika usunąłem się od kierownictwa ajencyą, wolny wówczas rozrządzaniem mojej osoby, zrobiłem to, co jedynie mogło utrzymać sprawę polską na Wschodzie, śmiało powiem, że nie dałem jej sfrymarczyć Pułkownikowi. Jest to dawne moje przekonanie, że Polskę z jej stanu dzisiejszego podźwignąć nie można słowami Apokalipsy, doktryną i paradoksami, ale sercem i czynem; ja tak postępowałem i taką cechę ma dzisiejszy mój krok. Mnie się widzi, że kiedyś się Pułkownik opamiętasz w swojem sądzeniu o mnie, tak jakeś się opamiętał w sądzie o Bemie; z nim było zapóźno, ze mną nie będzie nigdy, bo mnie obrazić niełatwo i mało kto jest, coby to potrafił.

Co do moich dzieci, dziękuję za oświadczoną chęć opieki nad niemi, ale nie rozumiem, jakbym mógł przystać

---

[1]) Pomyłka, z 7.

na to, żeby moje dzieci były wychowywane w znieważaniu szkaradnego postępku, według Pułkownika, w nienawiści może ich ojca. Gwałtem ich zabierać nie chcę, ale zwracam uwagę xięcia pana i Pułkownika na ich przyszłość, na ich zawisłość od miłosierdzia chrześcijańskiego jedynie, bo, według Pułkownika, całą przeszłość moich zasług zatarłem, zamknąłem przed sobą całą przyszłość w Polsce. Dlatego lepiej, aby moi synowie ze mną byli, córki niech zostaną przy matce, może Bóg mi pozwoli mieć posag dla nich, z posagiem może znajdą uczciwych mężów, bo nie wszyscy Polacy tak sądzą mój postępek, jak sądzisz Pułkownik. Oto jest moja prośba do xięcia pana, którą zanoszę przez Pułkownika i zostaję z najgłębszem uszanowaniem niezmiennym sługą Mehemed Sadyk Czaykowski.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«29 stycznia 1851.

Drogi Władysławie! Zdziwić mnie nie zdziwił postępek Czaykowskiego, kto o jednej zbrodni przemyśliwa, temu jak najłacniej wpaść w drugą. Mała bardzo pociecha ze słów księdza Lazarysty, utrzymującego, że wewnętrznej wiary nie zmienił, bo taki sam przypadek jest z wszystkimi renegatami. Wątpię, by który kiedybądź uwierzył szczerze w doskonalszość nauki Mahometa od nauki Chrystusa, — taki byłby nawet daleko mniej winnym, byłby tylko religijnym idyotą. Ale zaprzanie się chrześcijaństwa dlatego właśnie jest grzechem grzechów, że z doskonałą wiedzą prawdy odbywa się z nikczemnych powodów, dla trwogi albo dumy, albo chciwości. Inteligencya, wiedza, pojęcie prawdy nigdy w człowieku z wyższego szczebla na niższy się nie cofają, charakter tylko i czyn moralny może się cofać i upadać; właśnie to się dzieje u renegatów, którzy, doskonałą inteligencyę zachowując, czynem tejże zaprzeczają i najsroższą tem samem walkę i bunt podnoszą przeciw Duchowi świętemu!

Mojem zdaniem lepiejby dla sprawy było, gdyby się był trzymał pierwszego gatunku zamierzonej zbrodni, przepadłby był wtedy w liczbie pospolitych, nikczemnych zdrajców, całkiem od sprawy postępkiem swoim oderwanych, nic już z nią wspólnego nie mających. Nikogoby przykładem swoim nie uwiódł, przekleństwo ogólneby zyskał i sumieniemby narodowem w najgłębszych jego posadach nie zatrząsł. Teraz zaś wcale przeciwnie się stało; pokostem patryotyzymu umalował pychę, nie dozwalającą mu opuścić świetnego stanowiska; powtóre nawyknienie cielesne do wschodnich rozkoszy; potrzecie, wstręt, nie do Zachodu, jak twierdzi, ale do zachodniej niegdyś uwiedzionej dziewczyny. I postawił się w tej głębokiej obłudzie przed Polską jako dalszy, choć w turbanie, jej obrońca i przedstawiciel, czem właśnie najszkaradniej zaszkodzi wielu duszom polskim, bo niejedną omami, złudzi, uwiedzie i do naśladownictwa pociągnie. Bema jeszcze przykład nie taki był fatalny; Bem był tylko żołnierzem i w chwili, w której się zanosiło na wojnę, porwał za półksiężyc jakby za lont nowy do świeżego działa. Każdy z widzów mógł ten ruch jego zrozumieć i pojąć, że go pijaństwo, że tak powiem, prochu i dymu armatniego uniosło. Ale Czaykowski wcale co innego od lat kilkunastu reprezentował na Wschodzie; był skupieniem tam całej doktryny ducha polskiego, przychodzącego moralnem swojem działaniem bez żadnej materyalnej przewagi stawać pośredniczo w obronie słowiańskich plemion między dwoma tyraniami: dogorywającą turecką i dlatego właśnie złagodniałą, a wzrastającą codzień olbrzymiej moskiewską. Ta ostatnia jednak, nie zapominajmy o tem, że w imieniu podań historycznych i krzyża walczy przeciwko pierwszej. Polska chrześcijańska ma nad nią górę, ale Polska sturczona traci wszelką wagę duchową i na tamtem polu staje się natychmiast niższą od Moskwy wobec ludów od tylu set lat prześladowanych przez pierwiastek ottomański. Myśl zatem dalszego służenia Polsce po wyrzeczeniu się wiary chrześcijańskiej jest albo naj-

głębszem szalbierstwem albo najbezdenniejszem głupstwem. Czemże wistocie sprawa Polski wśród świata? Na czem się opiera i stoi? Czy nie na tem, że ze wszystkich spraw chrześcijańskich, stała się najbardziej chrześcijańską, a to z powodu, że dopełniono na Polsce najsroższej obrazy praw i przepisów sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Ze stanowiska właśnie chrześcijańskiego mamy prawo upominać się o wydarte nam życie i na wieki wieków imieniem Chrystusa prześladować prześladujących nas rozbiorników, zaborców i katów. Ze stanowiska zaś pogańskiego lub mahometańskiego taki nam przywilej już wcale nie służy; w obrębie tylko wiar chrześcijańskich i uspołecznienia chrześcijańskiego nieśmiertelniśmy! Przed Mahometem, którego cała potęga na zaborze się opiera i niejednych dopuściła się rozbiorów, nic w nas nieśmiertelnego nie masz i musim przystać na wolę przeznaczenia i nie możem się upominać o żadne wskrzeszenie. Skądże więc muzułmanin Czaykowski mógłby dalej prowadzić posłannictwo Polaka Czaykowskiego, kiedy właśnie się wyzuł z tego, co było duszą żywotną tego posłannictwa, właśnie tej wiary, która temu posłannictwu nadawała powód bytu i nadzieję zwycięstwa! Czyż ten człowiek nie pojął, że jak przechodząc do Moskwy, sprzeniewierzał się cielesnym stosunkom Polski, tak samo, przechodząc do alkoranu, zdradzał duszę Polski i odejmował sobie samemu wszelką sposobność w jakiembądź zdarzeniu, w jakiejbądź kombinacyi odezwania się za nią! Dlatego też, ja nie wierzę jego dobrej wierze w tym niegodziwym postępku; nie z rozpaczy, nie z szału ale z przewrotnej rachuby to uczynił: władzy, potęgi, dobrego bytu mu się chciało, a te chuci ustroił w szatę zrozpaczałej miłości ojczyzny, Powtarzam ta jego właśnie obłuda najgorzkniejsze dla nas sprowadzi owoce i już nawet sprowadza.

Jeśli mnie co więcej zgryzło od jego czynu, to właśnie, że jego czyn rzadko kogo gryzie. Czytałem wczoraj w Gońcu (Poznańskim) następujący frazes: «Nie

wahał się ponieść ofiary z wiary ojców na ołtarz ojczyzny!!» Co ten zlep kilku słow ma znaczyć, jeśli nie skutek już wywarty na umysłach przez obłudę, z którą czyn niegodziwy przewrotnie dopełnionym został, jeśli nie zaślepienie rzucone na oczy widzom przez zręcznego w zbrodni swej kuglarza! Bo inaczej ten frazes żadnej treści w sobie nie ma. Możnaby tak samo powiedzieć, nie wahał się ponieść ofiary z ojczyzny ojców na ołtarz ojczyzny!! Ojczyzna bowiem z czegoś składać się musi, tak jak wszelka istota, czy pojedyńcza czy zbiorowa, istniejąca na ziemi; składać się musi oczywiście nie z czego innego jak wszystkie inne tj. z kształtu zewnętrznego, stanowiącego jej ciało i z iskry wewnętrznej, stanowiącej jej duszę. Tą ostatnią jest pojęcie jakie ma o stosunkach swoich z Bogiem. Jeśli to pojęcie niesiesz w ofierze na ołtarz ojczyzny, to poprostu znaczy, że wszelką cześć, tradycyę, religię ojczystą rozdeptujesz nogami na to, by ciało ojczyzny wzrosło, by jej granice rozszerzonemi lub odzyskanemi były. Nonsens nonsensów! Jak gdyby kto utrzymywał, że na to, by człowiek jaśniał wśród innych na świecie, trzeba rozum w nim zaćmić, charakter poniżyć, duszę zatracić i że dopiero takim sposobem z niego stanie się mędrzec lub bohater! Taka wartość jest tego frazesu, ale nie mylmy się: ten frazes dziś kursującą i ważną stał się monetą! Tysiące ludzi, osobliwie młodzieży, powtarzają go na całej przestrzeni Polski i z przeklętą naiwnością, z dziecinną pobożnością, z gorliwą wiarą, nie rozbierając go wcale, polegają na nim. W tem właśnie upatruję nieskończoność krzywdy, wyrządzonej przez Czaykowskiego duchowi narodowemu i sprawie polskiej, bo jak przywykniemy nieść na ołtarz ojczyzny jedno po drugiem wszystko z czego się składa ta ojczyzna, w końcu sami spalim ją na zgliszczach i dokonamy siebie samych, samobójstwem! co z niezmierną radością powitanem zostanie przez tych, którzy wymódz na nas śmierci morderstwem nie mogą. Znam kogoś, który się w tej chwili raduje

i panoszy z odszczepieństwa Czayki! Woli nawet to odszczepieństwo od poddania się jego sobie, bo może całej Europie powiedzieć: «Patrzcie, czy tysiąc razy wam nie mówiłem, patrzcie! czy można liczyć na tych ludzi, czy komukolwiek dotrzymają wiary, kiedy własnemu Bogu i własnemu podaniu historycznemu, choć o nie nibyto walczą wszędzie i zawsze, nie umieją.» Kończę ten smutny rozdział temi słowami: o ile tylko człowiek śmiertelny może, o tyle zbeszcześcił sobą i w sobie ducha polskiego Czaykowski!!

Sumienie moje by się na twoim liście do niego także, obok twego podpisu, podpisało. W górzeby tylko nie zaczęło od wyrazu kochany, a w doleby przydało ostatni raz rozkaz opuszczenia natychmiast Stambułu, popłynienia do Rzymu i wyparcia się u stóp papieskich chwili szału, poczem, w razie arcyprawdopodobnym niewykonania tego rozkazu, przerwałoby z nim na wieki wszelkie jakiebądź bezpośrednie lub pośrednie stosunki, nie chcąc w najdrobniejszym nawet szczególiku ściągać na siebie odpowiedzialności straszliwych skutków, które z tego wszystkiego wynikną i przez pewien przeciąg czasu napełnią nam dusze pogrzebnym smutkiem.

Co do synów jego, powiedziałby ci teolog katolicki, że gdybyś, będąc ich chrzestnym ojcem, nie użył wszelkich środków do obronienia ich od islamizmu, stałbyś się przed sądem Kościoła prawie tak samo winnym, jak ich cielesny ojciec...

Wściekle smutno mi, a co mnie najgorzej boli, powtarzam, to, że ta zbrodnia nikogo nie boli! Boże mój! jakżeż już sumienie u nas mgłą zaszłe, rozbite, rozdarte, obłędne! a z takich sumień szerokie nie wyrastają serca, a takich serc nie rozrosłych dzielna pierś nie pokryje! Wściekle smutno mi!... Żeby się tylko Kościelskiemu nie zachciało w uniesieniu patryotycznem pójść za przykładem Czaykowskiego, bo to także awanturnicza natura!!

Kiedy wszystko nas opuszcza i od nas odpada, my trwajmy, a przetrwamy i jednych i drugich tj. może

nie my przetrwamy, ale to, co w nas było zacnem i niepokalanem, a właśnie oto nam tylko chodzi. Ściskam cię i kocham in aeternum...

P. S. W Romie... pozawczoraj znowu długo mówiliśmy o tobie z x. Stefanią, oboje wielbiąc. Opowiadalem jej cały rozwój potemeszwarskich dziejów i jakoś otworzył demokratom i Kossuthowi wstęp do Turcyi!»

Prosper Mérimée[1]) do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 18, rue Jacob, 6 stycznia 1851.

Od kilku miesięcy puściłem się na naukę języka rosyjskiego w przewidywaniu czasów, kiedy kozacy powrócą do Paryża i czytając kroniki rosyjskie rozmiłowałem się w wielkim mężu, na którym się nie poznano, a którego Pana rodacy dali ukoronować w Moskwie 1605 roku. Zajęty jestem pisaniem życiorysu Dymitra Samozwańca. Przeczytałem i zebrałem już dość znaczną ilość książek łacińskich, włoskich i rosyjskich o tym przedmiocie. Niestety, po polsku nie umiem ani słowa i nie wiem czy istnieją w tym języku inne dokumenty jak te, które są przetłomaczone w zbiorze bardzo ciekawym pod tytułem: «Kazania współczesnych o Dymitrze». Ten zbiór zawiera pamiętniki Moskiewicza, opis podróży Maryny Mniszek do Moskwy i podróży posłów Zygmunta III. Czyby Pan nie mógł udzielić mi niektórych wskazówek co do tej sprawy? Niedość na tem. Mam dużą księgę prawodawstwa i pism urzędowych wydanych w Moskwie pod tytułem: «Zbiór państwowych praw». Ta księga zawiera dużo pism polskich, opatrzonych tłomaczeniem rosyjskiem. Te tłomaczenia są czasami bardzo niezrozumiałe i przekonałem się na ważnym dokumencie, że pewna ilość zdań wcale

---

[1]) Prosper Mérimée (1803—4870), archeolog, pisarz historyczny i nowelista, członek akademii.

List niżej podany i następny świadczą o tem, że Polacy w Paryżu i ich biblioteka służyli nietylko swoim ale i obcym; podobnych świadectw możnaby z korespondencyi Zamoyskiego przytoczyć bardzo wiele.

nie była przetłomaczoną. Udałem się do przyjaciela, umiejącego tyle po polsku ile ja po rosyjsku tj. bardzo mało. Dość mi powiedział, by wielce zaostrzyć mą ciekawość, ale niedość, by ją zaspokoić. Widzi Pan już do czego dążę. Chciałbym wykraść Panu godzinę i prosić, byś mi podyktował pięć czy sześć zdań. Oto moje zamiary. Jeśli nadużywam jego dobroci, proszę mi to wręcz powiedzieć. W przeciwnym razie udam się do Pana z moją księgą w dniu łaskawie przez Pana oznaczonym. Chciej Pan przyjąć wyrazy mego wysokiego poważania.»

Karol Sienkiewicz do Władysława Zamoyskiego:

«9 stycznia 1851.

Gdyby Villemain, Falloux a nawet Salvandy zamierzali pismo, tyczące się rzeczy polskich, ucieszyłbym się mocno. Kilka razy nawet podawałem myśl xięciu, aby Villemainowi nastręczał historyę Zygmunta III. Mérimée nie wiem czy ma, nie mówię głowę, ale serce potemu. Przerzucałem kilka pism jego w La Revue des deux Mondes, były miejsca w nich, gdzie mógł wspomnieć o Polsce; przechodził z absolutną obojętnością czy niewiadomością. Pisał o Rosyi, uczy się po rusku, żartuje wprawdzie z myśli nawiedzin kozackich, ale już on podobno Polski nie pokocha. Wszakże możnaby mu wytłomaczyć, że historya Dymitra jest tylko epizodem przeważnej historyi polskiej; zaczyna się ona w gabinecie Zygmunta, a kończy na sejmie polskim i na stawieniu się na nim cara Szujskiego. Historya Dymitra będzie bardzo ciekawa i zajmująca jak romans, lecz bez żadnej wagi historycznej, gdy tymczasem historya Zygmunta III odsłonić może narody, osoby, wypadki, dotąd całkiem prawie zachodniej Europie nieznane. Co za pole dla historyka! Co za rozmiary! Pułk (Lisowczyków), który pali osady moskiewskie aż ku morzu Białemu, ocala Wiedeń od Węgrów i pod Verdun rzuca postrach we Francyi. Wśród zadziwiających lecz anarchicznych tryumfów polskich, Rosya, ze szczętem prawie starta,

zakłada przecież fundament potęgi swojej. Religia katolicka, ofiarą całego królestwa od schyłku w Polsce zatrzymana, unia zaprowadzona; w tymże czasie w Rzymie popi ruscy, duchem polskim pokonani, wyrzekają się schyzmy, gdy Henryk IV kalwinizmu. Owo łamanie się monarchiczne z anarchią, owe splendida peccata[1]) wielkiego antenata szanownego dobroczyńcy Wydziału historycznego, owa teorya przed dwustu laty przed Thiersem u nas próbowana, regna sed non impera, co za nauka politycznego życia. Dzieło podobne uwieczniłoby imię biegłego, a sumiennego historyka.

Otóż mój plan taki: niech Pan zaprosi najprzód do siebie pana Mérimée. Jeśli Pan ma lepsze o nim wyobrażenie odemnie, wspomnieć mu o rozszerzeniu przedsięwzięcia, to jest o historyi Zygmunta, nie wymagając zaraz decyzyi, lecz zostawiając rzecz do namysłu. Tymczasem co do Dymitra, odesłać go do Biblioteki i opatrzyć w upoważnienie xięcia do pożyczania książek, które tu do podpisu xięcia załączam.

Ja przy tej pierwszej wizycie nie będę. Wszakże wszystko przygotuję. Znajdzie tam p. Mérimée notatki dzieł tyczących się Dymitra. Znajdzie obraz symboliczny Zygmunta, stawienie Szujskich przed sejmem, portret współczesny prawie Dymitra i Maryny — czego gdzieindziej widzieć się mu nie nadarzy.

Jeżeli go to zainteresuje, jeśli do Biblioteki wróci raz drugi, wtenczas z największą ochotą będę na jego usługi, osobliwie jeśliby się podjął historyi Zygmunta. Dostarczylibyśmy mu mnóstwo materyałów.

Za pierwszem zaraz widzeniem się może mu Pan powiedzieć, że, bądź co bądź, bez dzieła Niemcewicza nie obejdzie się. Niemcewicz, tak jak współczesny Dymitrowi Margeret, utrzymuje prawowitość Dymitra.

Dzieła, które M. cytuje: Skazania sowremienników o Dymitrze i Sobranie hramot Rumiancowa, znajdują się w Bibliotece naszej. W tych ostatnich jest wiele listów

[1]) Zapewne prawo elekcyjne z 1573 i sejm inkwizycyjny z 1592.

Mniszkówny. Polecam się łaskawym względom. Życzliwy sługa Sienkiewicz.»

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Paryż, 10 lutego 1851.

Stan zdrowia, twój i mój, oraz rozliczne inne okoliczności przeszkadzają częstej wymianie listów między nami. Chcę ci przedewszystkiem powiedzieć, ile boleję nad tem, że ci się stałem mimowolnym powodem do udręczenia. Czułem, że po tylu zawodach z naszej strony, musimy być dla ciebie nieznośnym ciężarem. I wistocie, jeśli tak nie myślisz to dlatego jedynie, żeś chyba najlepszy z ludzi. Powiedziałem ci (przy rozstaniu): nie daj się rozgoryczyć przeciw nam, a powinienem był powiedzieć: przez nas. Pragnąłem temi słowy wezwać cię do wytrwania na ciernistej drodze, po której wraz z nami kroczysz, sam bowiem czuję, jak trudno o wytrwałość wobec zawistnego losu, jaki nas bezustannie ściga i wobec niedostateczności naszych towarzyszy pracy. Co ci powiedziałem wówczas, mogę powtórzyć dziś i tobie i sobie i wszystkim najlepszym: «nie dajmy się rozgoryczać», bo nieszczęście rozgorycza i czyni surowym raczej niż sprawiedliwym.

Jak wiesz przeszło 300 moich rodaków opuściło Turcyę i jest w drodze do Liverpoolu. U celu podróży czeka ich rozpacz, choć na potępienie nie zasługują. Gdy 120 zeszłego roku wróciło ze mną, oni pozostali w Turcyi, idąc za mą radą i opierając się na przyrzeczeniu nadzwyczajnego komisarza Porty, dziś gubernatora Bukaresztu, Ahmeda effendi, że będą przyjęci do służby tureckiej bez zmiany religii. Cóż się dzieje? Oto cała dyplomacya stambulska zanosi protest przeciw tym zamiarom Porty. Przyjaciele i wrogowie zmawiają się, by Polaków nie dopuścić do żadnych urzędów. Oni tymczasem trzymani są w Szumli bezczynni i o głodzie. W końcu na ich skargi i żale Porta ofiarowała im wolny przejazd do Anglii, a sir Stratford dla zachęty obiecał dołożyć 50000 pt.

na częściowe pokrycie kosztów podróży do Ameryki. Pewna liczba emigrantów już się była rozproszyła po Turcyi, druga, mniejsza, płynie w tej chwili do Liverpoolu, niestety, lękam się, że nie zechce popłynąć dalej, mimo strasznych skutków takiej odmowy. Niech ci przynajmniej, co się okażą chętnymi, otrzymają stosowną zapomogę. Nakłaniam lepszych z pomiędzy wychodźców już osiedlonych w Ameryce, do założenia tam biura wywiadowczego dla nowo przybywających, ale prowadzenie takiego biura wymagać będzie znacznego poświęcenia, obawiam się zaś, że atmosfera Nowego Świata mało sprzyja rozwojowi tej właśnie cnoty. Bądź co bądź, nie dajmy się zniechęcić. Wszak nie ludziom służyliśmy i służymy, ale sprawie, a sprawa niezawodnie zbierze kiedyś owoc naszej wytrwałości.

Rad jestem, że prezydent (L. Napoleon) wezwał Rosyę i Anglię do wspólnego protestu przeciw wcieleniu austryackiego i pruskiego zaboru do Związku Niemieckiego. Zdaje się, że polityka Ludwika Napoleona, odkąd pozbył się p. Lahitte, uniżonego sługi Wiednia i Petersburga, poczyna być śmielsza, np. wycofał swego posła z Rosyi, poprzestając na pełnomocniku (chargé d'affaires), ponieważ cesarz na jego grzeczności nie odpowiedział zamianowaniem ambasadora. Ten jen. Lahitte jest moralnym sprawcą wielkiego nieszczęścia, jakie nas dotknęło, odstępstwa naszego ajenta stambulskiego; obiecał bowiem posłowi rosyjskiemu, pozbawić Czaykę opieki francuskiej, pod której osłoną żył w Stambule od lat dziesięciu, niejedną ważną przysługę oddając poselstwu francuskiemu, a niejednokrotnie i angielskiemu. Ten cios boleśnie dotknął xięcia, on go kochał, kochaliśmy wszyscy tego człowieka rzadkich zdolności i wielkiego poświęcenia. Na p. Lahitte, na Francyę spada hańba jego czynu.

Dziękuję ci za pamięć o internowanych w Kutajah. Dembiński tu wraca, ale kiedyż wróci reszta? Na to jest jedna tylko odpowiedź i ty ją znasz: wrócą z chwilą, gdy lord Palmerston zechce.

Mimo niebywałych rozmiarów tego listu muszę dodać parę słów o «napaści papieskiej» (papal aggression)[1]. Boleśnie odczułem, że i ty z przekąsem o niej mówisz. A jednak, zdawałoby się, że ty właśnie, jako wielbiciel wolności, nie powinieneś brać za złe katolikom angielskim, że i oni z niej korzystać pragną, oni, nie papież, który tylko zadośćuczynił ich życzeniom. Nie ośmielam się ganić ciebie, bo rozumiem, że mogły tobą powodować względy sumienia ale niepodobna mi zamilczeć, jakiej stąd doznałem przykrości. Jestto potrzebą mego serca mieć twoje całkowite uznanie i módz ci dać moje.

Tu chaos. Zerwanie stosunków między dwoma władzami (izbą i prezydentem) tę przyniosło korzyść, że uwydatniło konieczność zmian w konstytucyi. 1-go maja wejdzie ta sprawa na porządek dzienny (izby); z jakim wynikiem, niewiadomo. Urok prezydenta w kraju rośnie, ale interesa w zawieszeniu i ta właśnie okoliczność podtrzymuje kurs papierów publicznych, ściągając doń najdrobniejsze nawet kapitały z przemysłu i roli.

Ależ sążnisty list, życzę ci, żebyś nieczęsto odbierał podobne. Bóg z tobą, drogi Dudley. Twój WZ.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Heidelberg, 8 kwietnia 1851.

Drogi Władysławie!... Z Czayką źle robisz, że absolutnie nie zrywasz, w razie takich olbrzymich przestępstw trza być nieubłaganym, inaczej polityka zamienia się w intrygę, a skoro się tak stanie, staje się ona tem właśnie, co wrogom naszym zarzucamy. Jakżeż więc możem przeciwko nim wobec świata i to chrześcijańskiego skutecznie walczyć? Rozważ te słowa. Ściskam cię z serca głębi Twój.»

---

[1]) W 1850 Pius IX wznowił hierarchię katolicką w Anglii, co wywołało wśród protestantów silny ruch antykatolicki.

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Heidelberg, 18 kwietnia 1851.

Mój drogi Władysławie! Twój list najsmutniejsze na mnie sprawił wrażenie, bo mi dowiódł, wistocie dowiódł, że niema polityki takiej, któraby nie zależała na pewnych folgach czynionych własnemu sumieniowi, że od lat 6000 nie doszli ludzie do polityki, któraby intrygą, czy na większą czy na mniejszą skalę, nie była.

Jeśli kto, to naród polski powinien był taką wynaleźć i uczynić. Nawet więcej powiem, to leży w jego losach, przez mękę jego Bóg mu właśnie to zapytanie zadał do rozwiązania i nie powstanie, zanim je rozwiąże! Przepadł, jeśli tego nie potrafi! Całe znaczenie męczeństwa Polski w stosunkach jego ze światem w tem się mieści, nie w czem innem.

Ale skądinąd, bardzoś mi rozsądnie i jak na dłoni wykazał szczegółowo, że absolutnie nie mogłeś zerwać z renegatem. Prawda, według ludzkiej mądrości i rachub, nie mogłeś. Trza było głupstwo zrobić, by tak uczynić, lecz możeby to głupstwo było mądrością u Boga, kiedy mówi Pismo, że nasze mądrości są głupstwem u niego, stultitia apud Deum. Może też na tem zależy właśnie różnica polityki ziemskiej i niebieskiej, że pierwsza tylko najbliższe, jutrzejsze i pojutrzejsze widzi swych czynów następstwa, — druga zaś na wieki wieków je przewiduje, zasadzając się na pewnych absolutnych prawach, w które wierzy, że rządzą wszechświatem...

Dyplomata tego niedostrzega, bo krótkowidz, chrześcijanin w to wierzy, ale czemże wiara? czyż ona nie jest podkreśloną sumą wszystkich rachunków rozumu bożego? Przy rachunkuś nie był, ale sumę ci dano jak prawidło. Bóg zaś widzi to wszystko jak najjaśniej i doskonale rozumie czemu od 6000 lat wszystkie państwa i społeczności tego planety poginęły marnie w krwi, łzach i błocie...

Przyszłość pokaże kto z nas w tem prawdę ma — i nie mówię tu już o absolutnej, bo oczywiście że ona

na mojej szali leży, lecz o doczesnej, o politycznej. Przepowiadam ci, że odtąd same tylko przykrości i utrapienia spadać na cię będą stamtąd, że Czayka jeszcze ci gorzej rozkrwawi serce, a w końcu wpadnie w otchłań bezdenną fałszu, kłamstw i nawet zdrady! Utinam sim falsus vates!

Chrzanowski postąpił jak ludzie, co z brody nie mogli nigdy włosów wydobyć, jak garbaci, jak niedołężni, słowem jak ludzie, co wiecznie stawić się chcą posągami siły, czując, że czegoś im natura odmówiła, a o siłę się ubiegając, do uporu tylko trafiają.

Nie pojmuję czemubym miał potępiać odezwę o składkę na dom dla Biblioteki? Jeżeli się ma zamienić Biblioteka w zakład oficyalnie przez rząd uznany, to i owszem. Co zaś do kościoła, myślę, że księża nasi mogli poczekać aż sami wewnętrzny kościół t. j. zgodę i spójność między sobą, w własnych sercach pobudują, bo stawiane z kamienia nie pomogą, gdy tamtego nie będzie.

... Ale dość kazania tego, mój drogi, nie byłbym go zdolen wczoraj nabazgrać, bo mój Adzio konał na zapalenie mózgu. Dziś lepiej, dziś jest nadzieja. Tę pierwszą chwilę nadziei użył do odpisania tobie...

Ściskam cię serdecznie i dzięki ci za list twój składam.

Demokracya tak Xawerego (Branickiego) jak Alexandra (Potockiego) jest tylko fanfaronadą, koniecznie chcą stać na wyżynie wieku owego! tak demagogują jak Chrzanowski nie poszedł na obiad [1]), — przez próżność!

P. S. Od kiedym pisał do ciebie przez Sołtana przeszedłem przez otchłanie rozpaczy. Lepiej patrzeć na bohatera konającego, niż na dziecko. Okropne to dni były i noce okropne. Jeszczem tej na ziemi nie znał boleści, choć wiele jej gatunków już byłem zaznał. A wiesz, kiedyśmy z matką jego na się patrzali, milcząc i lękając się każden wypowiedzieć co w sercu tkwiło, wiesz wreszcie

[1]) Wydany dla niego i Dembińskiego za powrotem do Paryża, pierwszego z Włoch, drugiego z Azyi Mniejszej.

jaką pociechą wspólnie, ja i ona, ojciec i matka — pocieszaliśmy się? Oto taką: ciałka się tego czystego i szlachetnego nigdy ani knut moskiewski ani nóż gilotyn czerwonych nie dotknie; nie zginie jak przeor Sieroczyński pod siedmiu tysiącami kijów. A więc, święta wola boża, niech idzie do Boga!!! Tylko Polakom może taka zdarzyć się w takiej chwili pociecha.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:
Wielkanoc, 20 kwietnia 1851. Heidelberg.

Drogi mój Władysławie! Dzięki ci za serce twoje i list z 18. Sołtan i Wojewoda (Stan. Małachowski) ci opowiedzą jakim na pozór szalonym ale wistocie głęboko genialnym sposobem ocalił życie Adziowi Chelius[1])...

Niezawodnie takich jak Sołtan mało; z żelaza kuty a oblany łzami.

Zapomniałem był w ostatnim liście dodać tę uwagę: po Napoleonie geniuszów dawno świat się spodziewa; nie będzie już ich, a takich przynajmniej, coby dorównali olbrzymiości klęsk nadchodzących, rozstroju odbywającego się we wnętrzach społeczeństw. Teraz jedyną genialnością jest w polityce cnota — jedyną! Że zaś coraz jej mniej a więcej zepsucia i przewrotności, nabiera ona wspólnej cechy z geniuszem tj. rzadkości, niespodzianności, a zatem i wrażenie coraz większe sprawiać będzie, co wszystko ją doprowadzi właśnie do tego, iż z niej a nie z czego innego będzie ostatnia możliwa genialność na świecie naszym tym.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:
Heidelberg, 8 maja 1851.

Mój drogi Władysławie! Wiem, wiem, tak samo jak ty sam w głębi sumienia, twoje pobudki zawsze bywały niepokalane, twoje cele święte, twoje środki czyste, gdyś

---

[1]) Maxymilian Józef Chelius (1794—1878) słynny optyk i chirurg.

sam je przeprowadzał, ale jako sam mówisz, działacze, przez których los cię zmusił pośrednio sprawę prowadzić, czasem wykraczali poza karby szlachetności i dobra. Oczywiście, żeś nie winien temu moralnie, jednak, twierdzę, że mógłbyś był, lepiej znając się od samego początku na nich i naturę ich serc specyficzną na szali swego własnego zważywszy, uniknąć, nie wszystkich, ale przynajmniej niektórych klęsk z tego powodu na samą sprawę spadłych. Patrz na ludzi tych. Walewski wyszedł na rodzaj Kotzebua lub Szaniawskiego, Budzyński głupstwa szalone popełnił, Czaykowski zbrodnię, nad którą gorszej nie znam, Bystrz. podobnejże bardzo był i, przekonanym, że jest w każdej chwili blizki. Powtarzam ci, w należytej ryzie ich nie trzymałeś; co do szczegółów nieraz bywałeś za despotyczny; co do ogółu, co do całości ducha, którym winni byli być natchniętymi, zdaje mi się, że za miękki i pobłażający. Z Czayką, że dotychczas Kościelski ma związki, i że ty dotychczas od Czayki biuletyny zwykłe otrzymywasz, tego nie mogę chwalić, może to być pożytecznem na dziś, na jutro jeszcze, ale, ręczę, że nie będzie na pojutrze. — W końcu z tego wyniknie wielkie zło!

Wiem, wiem, drogi mój Władysławie, co za trudności olbrzymie w każdem działaniu praktycznem; zatem wszystko, co mówię, nie rości pretensyi, by miało być wykonanem. Absolutna czystość i niepokalaność jest zasadą, a jak wszelkie ideały i zasady, traci na swej bieli, gdy się wciela. Jednakowoż na nią wiecznie pamiętać trza i starać się, o ile sił, by jak najmniej różnił się rozwój w czynie od jej założenia w myśli i pomyśle.

Przeczytałem odezwę[1]), — dobra. Uśmiechnąłem się, widząc, że Mickiewicz ma ciebie prezesem a współczłonkiem wojewodę. Z Aarona spadł na sekretarza komisyi składkowej. Mówią, że wyrozsądniał. Ja nie ufam naturom takim, ogólnie mówiąc, a bywają wyjątki naprzykład Dante, Milton, Byron.

[1]) O składki na dom Biblioteki.

24

Poeci to hetki — pentelki. Im tkliwiej za pomocą rozdraźni nerwowej przejmują wrażenia zewnętrznego świata i w dźwiękach wydają je nazad przemelodyzowane i uharmoniowane, tem też lekkomyślniej w czynie z ostateczności jednej w drugą wiecznie gotowi się rzucać, jak kobiety i dzieci.

Wszystka na tym świecie cnota ma obok zaraz należącą do siebie i sobie właściwą przywarę; piękność wszelka lub to, co dotyka sfer piękności, ma nakłon jakiś ku lekkomyślności i próżności; wielkość i prawda ku pysze; świętość zaś ku podstępowi. W niebie tak nie jest, ale tak jest na ziemi! Bo natura ludzka mdła, biedna, krucha i mnóstwem podobnych ją otaczających istot zmuszona ciągle do zboczeń z ideału swego.

Piękność wymaga miłości nadzwyczajnej, wrażliwości niesłychanej, stąd natychmiast rodzi się niebezpieczeństwo lekkomyślności i zmienności.

Wielkość i prawda gdy w kim osiądą, on zaraz marzy, że nadeń niema już w uniwersum wyższych prawd ni wielkości, stąd pycha.

Świętość zaś, by się utrzymać i wpływ wywrzeć na nieświętym świecie, musi mnóstwa używać polubownych z tymże światem ugód i umów cochwilnych; by ludzi zbawić, musi ludzi nie odrażać i wolno, bardzo wolno, niejako się wkradać w nich, by im wykraść ich dusze, stąd dla śmiertelnej natury wielka już blizkość do podstępu! — i tak wszystko. Skąd wypada, że wszystko smętnem i niedopełnionem jest!

Wracam do odezwy. Nie chcę sumy znaczniejszej bezpośrednio kazać przez bankiera oddawać tobie lub wojewodzie, zatem muszę czekać na przyjazd pani Delfiny; 12-go ma stanąć w 12, rue des Elysées. Tobie wtedy ona złoży do rąk, lub wojewodzie, od Elizy 2000 fr., odemnie tyleż, czyli razem 4000 fr.

Będziesz pamiętał, żem na kwitach waszych, tak jak byłbym na Sybirze, zupełnie tak samo, tylko numerem bez nazwiska.

Powiedz mi, co myślisz o rozruchu wiszącym nad Francyą? czy się urwie i spadnie jeszcze przed 52 rokiem[1])?»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 15 czerwca 1851.

Mój drogi Władysławie! Odebrałem wczoraj z rąk stalowego przyjaciela (Sołtana) twój list podyktowan w ostatniej chwili jego odjazdu. Nie pojmuję, żeby cokolwiek miano przeciwko bibliotece. Może tylko kto, licznemi przykłady nauczony, nie wierzy zupełnie w dokończenie zamiaru. Mojem zdaniem, zamiar tak piękny i tak z natury samej rzeczy wszelkiego ducha stronniczego nie dopuszczający do stanowiska swego, że za to samo jedno, choćby miał spełznąć na niczem, uważałbym go jeszcze za błogosławiony i wszelkiemi mu dopomagał sposoby. Zarzut o ubogich żadnym zarzutem. Naród jest wyższem pojęciem, niż choćby najnieszczęśliwsze w nim indywidua, bo naród nie tylko jest liczebnym zbiorem onychże, ale jeszcze prócz tego ideą-matką, skąd one wyszły i za którą giną i dla której żyją. Ta idea narodowa zatem ma święte prawo, choćby wobec nędzy szczegółowych i pojedyńczych, stawiać sobie pomniki, mające teraźniejszości i przyszłości przypominać przeszłość i całą godność i świętość narodowego rozwoju. Naród, któryby już nie pojmował takich ofiar i pomników i zakładów, przestałby tem samem być sobą samym; mógłby jeszcze bardzo filantropiczną być zbieraniną ubogich i dobrodziejów, — ale nie byłby narodem.

Dopóty żyje jako naród, dopóki się w takich zakładach upostacia, wyraża, stawia i objawia na ziemi oczom i duszom patrzących. Dla idei narodowej tem one, czem obrządki i kościoły dla Boga, tem, czem dla Chrystusa balsam wylan na jego stopy przez Magdalenę, o którym także szemrali uczniowie, a między nimi Judasz, że lepiej

[1]) W tym roku przypadała, według konstytucyi, zmiana prezydenta we Francyi.

go było sprzedać i grosz wzięty rozdać ubogim, ale Chrystus temu zaprzeczył i rzekł: «Mnie nie zawsze, ubogich zawsze mieć z sobą będziecie». Są na świecie rzeczy i czyny i zdarzenia wyższe nad wszelki pożytek materyalny, doraźny, chwilowy. Są idealne rzeczywistości tak samo potrzebne życiu ludzkości, jak chleb dla łaknących chleba, — chleb to duchów i chleb przeznaczony duchom na to, by umiały szlachetnie i godnie dźwigać szatę ciała! Zatem głosuję za biblioteką.

O stosunkach z Czayką zawszem tego samego przekonania i smutnych przeczuciów. Czayka nie raz, ale milion razy na dzień oszuka, okpi, zawiedzie Kościelskiego. Szatan pychy i ambicyi jeden już wrzeć musi w nim na gruzach dawnych bogów i miłości. Niebezpieczna to rzecz mieć takiego sługę, bo to samo, jakby tyrana sobie kupić.

Anglia, jak świat, nad otchłanią. Katolicyzm ją rozstraja, rozbiera, rewolucyonizuje w tej samej chwili, w której protestantyzm, filozofia, deizm rozstraja, rozbiera, rewolucyonizuje Romę. Dziwne ironie losu ulotnego wszędzie ponad tym odmętem zepsutych cywilizacyi i przegniłego barbarzyństwa, nad Europą i Moskwą, z których się epoka nasza składa!

Dostań i przeczytaj dzieło: Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i Rosyi, w 1850 roku, u Żupańskiego w Poznaniu. Anonyme. Nie mówię o książce Tomasza Potockiego, także w Poznaniu wyszłej, a noszącej tytuł: O urządzeniu stosunków rolnych w Polsce i Rosyi, ale o tej pierwszej, arcy tam są ważne rzeczy i osobliwie doskonałe wyłuszczenie położenia włościan w Polsce i w Moskwie, z czego się ostatecznie pokazuje, że Moskwa jest składem dwóch najpiekielniejszych żywiołów niszczycielskich świata: bezwzględnego socyalizmu w dole, absolutyzmu w górze! Wistocie tylko naród, żyjący socyalistycznie, tj. bez wyobrażenia o własności, mógł się dać tak rządzić absolutnie. Jedno drugie pociąga. Własność albowiem niczem innem, jedno przeciągnieniem nazewnątrz

wewnętrznej osobistości ducha ludzkiego. Gdzie niema pojęcia własności, tam i osobistości ludzkich niema, a gdzie tych brak, tam musi istnieć absolutyzm pochłaniający wszystkich w jednego człowieka. Przeczytaj, a nie pożałujesz. Tomaszam jeszcze nie przejrzał, więc nie wiem, co tam w nim. Głoszą, że bardzo ważne dzieło i głębokie; obaczę później. Istotnie ta kwestya jest teraz dla nas wagi niezmiernej, nieskończonej, na niej się kręci, jak na osi, przyszłość nasza!

Niech tylko Polska, uniknąwszy zmoskwiczenia się w dzieciach i w czynach, nie ulegnie zmoskwiczeniu przez teorye włościańskie i nie przyjmie, pod pozorem postępu, barbarzyństw moskiewskich, wydających się niektórym badaczom wielkiemi rzeczami, bo są co do joty spełnieniem teoryi zachodniego socyalizmu. Cywilizacye konające marzą to samo, co już się odbyło w poczynających. Trumna ma sny podobne do kolebki, ale to nie życie: u jednych to śmierć, u drugich to było dziecińswem. W Rosyi stan dzieciństwa się przechował, na Zachodzie chwila konania nadchodzi; stąd zgodność wyobrażeń i podziw wielu. Niema czemu się dziwić, ale jest nad czem płakać i co przeklinać!

Kto, powiedz mi, wydrukował w Paryżu, La Russie considerée au point de vue européen, broszurkę w odpowiedzi na ten przesławny artykuł moskiewski w Revue des deux mondes, o kościele greckim. Czytając, sądziłem zrazu, że ktoś się dobrał do niektórych moich papierów, co są u ciebie, i powybierał swoje zdania i myśli z nich. Lecz później, widząc, że pewne tam są zarzuty na xięcia, przestałem tak myśleć. Podobieństwo myśli ogromne, znać, że te same krążą po wielu ludziach...

O ile umiem rozpoznawać oznaki na widnokręgach usposobień ludzkich pokazujące się, o tyle myślę, że w tych dniach szturm gwałtowny przypuszczon zostanie o otrzymanie ręki N. N. — Zatem, strzeż się i strzeż jej... Gdy ci powiedzą, że się poprawił, rozśmiej się. Z pijaństwa,

z kart, z wszelkich zbytków, ekscesów i namiętności można się poprawić, wierzę w poprawę, w zwycięstwo sobą nad sobą — ale z gminnej i nikczemnej przyrodzonej natury nikt się nie poprawi, bo czemże siebie zwycięży, kiedy niema tego drugiego siebie, tego zwycięzcy? Chłop przeciw chłopu, a skądże wezmie się szlachcic? Zresztą, stań się wola boża!

Nasłyszałem się w ostatnich czasach wielu dowodzeń zmierzających do pewnika, że Towiański wyprawion był przez Moskwę na zwiedzenie, uwiedzenie i wydanie do rąk carskich Mickiewicza. Wiesz, że wistocie kazał mu iść na granicę dać się okuć w kajdany i tylko jednej godziny żądać za to rozmowy z carem, a kiedy sił do tego nie czuł w sobie, powiedział mu mistrz, że jest słabym i małowiernym i odtąd zaczęli się między sobą różnić i odchylać się. Nie przytaczam ci tego w takiem znaczeniu, jakobym sam był przystąpił do tego zdania i w ten pewnik uwierzył. Mam Towiańskiego dotąd za istotę zanadto potężną, by chciało się jej ajentować Moskwie na ziemi. Może straszliwy pan, pan samej Moskwy nim rządzi, lecz stąd wynika, że oboje, on i Moskwa, temu samemu panu służąc, jednakowe wykonywują zamiary. On nie Moskwy ajentem, ale wraz z Moskwą piekła! Zresztą taką chmurą umyślną tajemniczości osłania się, że trudno wydać sąd o nim pewny. Niezawodnem to, że oś, na której wszystkie jego kręcą się rewelacye jest, iż tylko Moskwa dobro Polsce przyniesie. Ja zaś żyłem i umrę w wierze gorącej, iż samo zło z niej jedynie na Polskę spłynąć może i to zarówno czy z niej carskiej, czy z niej ludowej! Innych albowiem stanów przypuścić dla Moskwy nie mogę; musi być albo w kształcie caratu, albo też w kształcie najwścieklejszego socyalizmu, najdzikszej rzeczypospolitej, jaką świat oglądał. Środka dla niej niema, równowagi niema, zestrojenia harmonii niema, i jej misyą piekielną jest wiecznie być dla całej Europy tem samem zupełnie, czem we wnętrzu

każdego państwa europejskiego jest demagogia, pierwiastkiem niszczącym, otruwającym, rozspołeczniającym! My dalej, jako niegdyś, świat od tego pierwiastka bronimy, bo to naszem było od wieków i pozostawa na wieki posłannictwem!

Król pruski pełno pochlebstw podłych złożył u stóp cara teraz w Warszawie. Mówił mu, że byłby, gdyby nie wpływ grozy moskiewskiej, działającej nawet z daleka, stracił panowanie swe. Lecz skoro wykoleił za granicę Królestwa, zaczął się przed swoimi skarżyć na nieznośność moskiewskich musztr i na obrzydzenie doznane podczas pobytu warszawskiego. Jak zwykle, hetka pentelka, ukoronowany Henryk Rzewuski, beletrysta a nikczemnik!

Ja byłem niedawno aż na samej granicy, w Szczakowie, skąd widać o wiorstę Maczki, rząd dworców i koszar na piasku takim, jak w Saharze i na onym piasku, nagle wylęgłym z pośród łąk zielonych i świeżych borów śląskich, nic po widnokręg nie napotyka oko prócz kilku sosnowych pniaków. Nicość, — znać, że się zaczyna w tem miejscu królestwo złego, które w końcu końców tem samem, co królestwo nicości. Tam na tym punkcie, w tej pustyni, wiecznie się na dwóch szynach czarnych, podobnych do dwóch złożonych na piasku, a w nieskończoność idących knutów, krzyżują pociągi trzech rozbiorców, parowozy pruskie, austryackie, rosyjskie, stąd zawsze tam słyszysz gadających po niemiecku, po rosyjsku i po polsku, a że polskie jednak przeważa, bo to ziemia polska, to i jenerał lub pułkownik moskiewski tam zdarzony co chwila, to i dyrektory Eisenbahnów pruskich lub krakowskich odzywają się najczęściej mową polską, ale jakąż, jakżeż poćwiartowaną, aż rozpacz chwyta słuchać. Taki rozbiór języka, jak kraju!

Tam zdaleka, widząc szlaban moskiewski Królestwa i pikę kozacką nad granicą, tam pod ręką przywłaszczycieli a jednak tylko o trzy godziny od Królowej Polskiej, bo od Częstochowy, przebyłem cały wieczór jeden, czekając

na pociąg krakowski, co miał mię znów ku Europie porwać, na gorzkiem rozpamiętywaniu, na męczarni ducha, na łzach wewnętrznych a na zewnętrznem milczeniu. Było to nazajutrz po przejeździe parowym, piorunnym potęg świata, — co nas rozdeptują, — tamtędy ku Ołomuńcowi.

O! Władysławie mój, czuć się synem dziesięciu wieków polskich a przytem czuć się poniżeńcem i wygnańcem na własnej ziemi swej polskiej! Z kończyn Europy przy kolei do siebie usiąść na progu ojczyzny i tam spotkać się tylko z Moskalem i Niemcem i nie być u siebie — jeno u nich — i milczeć wśród nich głośno mównych i pijących wino i palących tytuń i rozmawiających o Ich Najjaśniejszościach, co wczoraj przejechały lub pojutrze wrócą; nie chcieć, i nie módz się po polsku odezwać, boby się może zapytali o paszport lub zaraz na uwagę wzięli, zatem milcząc udawać Niemca lub Anglika w Polsce, pod Krakowem, pod Częstochową!!! Oto masz w drobnym rysie, w potocznej zdarzenności, odbicie wszystkich losów naszych! Biada zwyciężonym!!! — Lecz Bóg mówi: «To tylko do czasu i przyjdzie dzień a idzie już, w którym mówić będą: «Biada zwycięzcom!!».

Mikołaj teraz podparł politykę pruską, nie chciał, by Austrya zanadto przeważyła.

Wypowiedziawszy wszystko, co miałem, kończę, z głębi serca i duszy cię ściskając i kochając jak zawsze na zawsze. Twój.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 11 lipca 1851.

Mój drogi Władysławie. Tysiąc najserdeczniejszych dzięków ci składam za ten olbrzymi rozmiarami list, gdzie tyle serca twego bije i myśli twej krąży. Słuchaj mnie uważnie. Gdybyś ziścił zamiar swój, 3-go tu zmrokiem zajechał do mnie, patrz, coby się stało. Właściciel domu, pod prawem doraźnem, co miesiąc tu odnawianem od dwóch lat, pozostający, natychmiastby przyszedł domagać

się o twoje imię i natychmiast teżby je oddał do listy cudzoziemców a nazajutrz raniuteńko, drukiem ogłoszone, opowiedziałoby samo xiężnie Leuchtenberskiej, posłowi moskiewskiemu i 300 Moskalom tu siedzącym i adorującym ową xiężnę, żeś przybył i że stoisz w domu ci znanym. Stąd zaraz raportby poszedł i już nie o związki duchowne, ale o bardzo świeckie i daleko od duchownych ważniejsze, by mnie oskarżono; z czegoby wypadło nadal odmówienie paszportu, a za powrotem mnóstwo przykrości. Przyznasz, że nie warto się narażać na esklandrę taką, o kochanku mój, — bom ci oddawna powiedział, że uważaj się zawsze w stosunku do nas z kraju za don Juana, który co chwila nas, kochanki swe, przyprawić może o utratę czci i sławy przed piekłem, do którego ciała nasze należą, kiedy jak najłatwiej nam się widzieć w Heidelbergu lub Sztrasburgu, lub gdziebądź na tej drodze zechcesz, naprzykład w Achern, o godzinę od Badenu, pomiędzy Kehlem a Badenem, lub w samem Kehl. Gdzie tylko zechcesz i obierzesz z tych miejsc dopiero co wyliczonych, tam będę dnia, który mi naznaczysz. W Heidelbergu dobrzeby ci było Cheliusa widzieć, ale tam siedzi Butieniew od miesiąca, i już tej zimy gadały miłe contessy niemieckie, tam osiadłe, żem dużo sypnął pieniędzy podczas Mierosławszczyzny badeńskim rokoszanom!!! Zatem mnie lepiej tam z tobą nie być; jednak gotów jestem, jeśli Butieniew wyjedzie, o czem wiedzieć będę w tych dniach. Nikomu w Paryżu nie wspominaj, że mamy się widzieć. Strzeż się języków ludzkich, o don Juanie, bo zgubisz kochankę... Z gadulstwa znajomych bardzo już krótka odległość do wiedzy krążących po świecie szpiegów. Tego nigdy dość wam się nie napowtórzę. W tem miejcie przebiegłość, której wymaga polityka, bo będzie zbawienną, dobrą, świętą, przez Boga samego nie za podstęp ale za cnotę uważaną.

Co do kwestyi włościańskiej, nikt dotąd ani Gołuchowski ani Krysztopor ani inni żadni nie podali rozwiązania zagadki, ale dopiero się zaczyna ruch umysłów

koło tego. Dzieło zaś Gołuchowskiego nie rozwiązaniem słynne, ale walką przeciwko komunizmowi, ale porównaniem stanu Moskwy z stanem Polski, ale wymową z serca płynną, ale tym stylem tak niewymuszonym, tak familijnym, pod którym jednak ogrom jest głębi i poezyi, pod którym wszystka naszych nieszczęść epopea odzywa się do świata całego. Dziwne to dzieło. Gawędzi wciąż a mimo gawędy tej łzy ci z ócz, krzyk ci z duszy wyrywa jakby poemat, a to dlatego, że tam serce jest i prawda jest! Prawda zaś połączona z sercem, wyrażona przez serce, to poezya! wyrażona zaś przez sam rozum, to proza.

... Mowa Bibikowa jest arcydziełem brutalstwa, bezczelności i tonu mongolskiego; tylko czy istotna? czy miała miejsce? W takim razie wartoby ją ogłosić drukiem. Niech zna Zachód, jakim głosem Wschód się odzywa do tych, których mu wydała niezgoda i rozpad społeczny. Niech czyta w tej mowie mowy, mające być miane do niego samego, jeśli się nie powstrzyma i powściągnie w swoich szaleństwach a nie pojmie, że trzeba na nowo mur obalony polskiej ojczyzny postawić między Wschodem a sobą. Takie pisma czytając, krew zwyciężonym ledwie że czaszki nie rozsadzi apopleksyą. Żeby też nazajutrz po potrzebie byczyńskiej, jaki wróżbita był wielkiemu antenatowi twemu dał do przeczytania tę odezwę z przyszłości? Nie chciałby był wierzyć i w gniewieby może złotym łańcuchem, którym okręcał stół Maxymiliana, samotnie jedzącego po arcyxięsku, wróżbicie czaszkę roztrzaskał!...

Jeśli możesz, dowiedz się, w jakiej to misyi wyprawion do Paryża dyrektor kancelaryi Orłowa, Sagatyński, jeden z najprzebieglejszych i najdziwniejszych filarów policyi tamtejszej?

Odpisz tu do Gaszyńskiego. Ściskam cię z głębi najgłębszej serca i na wieki kocham.

P. S. Car więcej dba widać o Witołda (Czartoryskiego), niż jego świekra[1]), kiedy nic nie odpowiedział na żądane

[1]) Xawera z Brzozowskich Henrykowa Grocholska.

pozwolenie przyjazdu jego do kraju. Mojem zdaniem, Witołdowi nogą tam stąpić nie godzi się, a jeśli tak uczyni, zbłaźni się. Są położenia, z któremi igrać niesposób. Trza je przyjąć jako nałożone od Boga i święcie przestrzegać ich warunków, jak księża winni kapłańskich obowiązków.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 21 lipca 1851.

Drogi Władysławie ... Za kilka dni wyjeżdżam za interesami do Frankfurtu, lecz 1-go będę nazad w Baden. Niech parę słów od ciebie zastanę, oznajmujących mi, jakiego dnia mam się z tobą spotkać. Powtarzam, że w Badenie niesposób; byłoby tem samem, co wydrukować po wszystkich gazetach Europy, wszystkiemi językami świata chrześcijańskiego, że się doskonale znamy i widujem. Właśnie to, co z łaski Opatrzności dotąd niedocieczonem pozostało przez owych, których tu pełno, knutopodwładnych, knutochwalców, — a o czem im później się dowiedzą, tem lepiej będzie dla zagrożonej już i tak niepomału niżej podpisanej lub niepodpisanej skóry...

Tłum tutaj nieprzeliczony. Jest Leuchtenberska i mąż jej, niebotyczny błazen, co orła napoleońskiego schował do kieszeni munduru swego moskiewskiego. Jest pani de Sagan, Kisielew, Olga Naryszkin, xiężna i xiążę pruski, Krapotkinów, Dymdykonomów i Krotowów mnóstwo, a takie miejsce ścieśnione i plotkom babskim na pastwę oddane, że cokolwiek staje się na jednym końcu jego, natychmiast jak błyskawica przenosi się na drugi za pomocą najelektryczniejszego z telegrafów, to jest języka ludzkiego. Nie mając co robić, patrzą tylko wszyscy w stronę kolei, nuż kto przyjedzie świeży i listy drukowane przybyłych źrą nieustannie oczyma.

Do Małachowskiego pisałem, by cię zaprosił do karety, którą dla mnie w tych dniach miał kupić, a sam tu przywieźć. Wygodniej ci będzie, niż w malle — poczcie

od Bar-le-Duc do Sarrebourg. Zatem do odzobaczenia mój drogi, a pamiętaj ostrzedz mnie parą słówmi do Konstantego Gaszyńskiego o dniu twego przyjazdu. Twój.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 7 sierpnia 1851.

Mój drogi. Wiem, że nie wątpisz o tem, że jedną z najboleśniejszych i najgorzkniejszych ujm życiu własnemu uczynionych było niepojechanie do ciebie. Ale, powtarzam ci, koniecznie tego wymagała odemnie ostrożność. Nie chciałem cząstce poświęcić całości stosunków z tobą, obecnemu dniowi całej przyszłości. A przypadkiem zdarzyło się znowu, że mnie tego dnia właśnie samego tak rozdrażniły były wody, krwią mózg i oczy zalały, że na żaden sposób nie byłbym zdołał stawić się w Heidelbergu, nietylko już z powodów wyrozumowanych, ale prosto z niemocy cielesnej, która coraz częściej mnie teraz napada i wątli. Mimo te wszystkie niemożności i to własne przeświadczenie sumienia mojego o nich, gorzkie mi nazawsze zostanie wrażenie, żem nie mógł dobiedz do ciebie, kiedyś czuł się smutnym i żem niejako zawiódł twoje oczekiwanie i serce twoje, wymagające mojej przytomności, zwiódł. Powtarzam z tobą: takie nasze życie, takie nasze losy! Wszystko w sferze piekielnej, w której jesteśmy, ruszamy się i żyjemy, nawet przyjaźń, dziać się musi pokątnie i to co najwyższego i najlepszego w nas, przybierać barw od tych płomieni, które, miasto słońca, ciemnościom naszym przyświecają. Nieraz tem właśnie, że nam Polakami być nie wolno, nie wolno być i ludźmi, bo jedno z drugiem nierozłącznie się trzyma.

Polak albowiem nie może być człowiekiem, gdy się odpolszcza, a z drugiej strony, ilekroć los złowrogi zmusza go nie być Polakiem lub takim nie okazywać się, w tejże samej chwili i człowiekiem okazać się nie może. Wszystkie te uwagi stanowią, że tak powiem, naszych piekielnych losów filozofię. Jednych ona przywodzi do buntu przeciw

samemu nawet Bogu, ale nas powinna owszem napełniać nadzieją, otuchą i wiarą; zło albowiem takie, że naturze rzeczy stworzonych od Boga bezwzględnie przeciwne, utrzymuje się tylko na ziemi, jak mietelnik na linie, chwilowem wyprężeniem i przełamaniem tych samych nóg i tego samego...[1]), które takich sztuk dokazują, a zatem za ich ponowieniem bliższe są upadku i karkowego złamania.

Litość mnie bierze, gdy spoglądam na tych trzech tancerzy i to wiem napewno, że ich powrozy pękną i że sami, z wysoka zleciawszy, legną na ostatni spoczynek w niezrównanem błocie.

Teraz, wracając do twoich ostrożności, odpowiem ci, że choć paszport w tłumoku, musisz go wydobywać ilekroć w mieście, stanem oblężenia zobowiązanem, gospodarz lub kelner przyjdzie się oń zapytać. Powtóre, mylisz się ogromnie jeśli sądzisz, że każde twoje wyruszenie, gdziebądź natychmiast pilnowanem i strzeżonem nie jest; masz albowiem ten przywilej, żeś obudził niespożytą nienawiść tych, którzy pełno sług mają niewidzialnych i naród prawie cały złożony z samych donosicieli. Bądź więc pewien, że prawie zawsze gdzie jesteś, tam i duch zły przebywa koło ciebie; jak Pismo św. mówi, obchodzi cię, rycząc jak lew!...

Ten ajent, o którym ci pisałem, prosząc, byś się wywiedział, w jakim celu do Paryża wyprawion, wcale nie był wyprawion do Paryża, tylko tamtędy przejeżdżał ze szczególnem poruczeniem do Anglii i zważ, co się też dzieje na świecie! Nazajutrz przybycia do Londynu, zaproszono go zaraz na wieczór do królowej, na którym był tylko the royal consort i dwie czy trzy osoby i tam sama królowa nalała mu i podała filiżankę herbaty. Przyznasz, że trudno o uniżeńszą grzeczność. Na czem zaś zależało dane mu zlecenie, zupełnie nie wiem.

---

[1]) Wyraz wydarty.

Józef (Sobolewski) już stąd wyjechał i serdecznie kazał cię uściskać... O mnie wiesz, że cię kocham na zawsze. Twój.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«10 septembra 1851, Baden.

Mój drogi... Wyobraź sobie, że w Krakowie jednego z tych poranków policya i żandarmy weszli nagle do leżącego jeszcze Adama (Potockiego) i przetrząśli do ostatniej nitki cały dom jego, biurko, szkatułki, wszystkie papiery czytając, wszystkie listy od matki i żony itd. itd. i oskarżając go o jakieś zmowy z czerwonymi. Nic nie znaleźli, więc oddalili się jak zmyci. Adam do Wiednia pojechał żądać zadośćuczynienia od wyższych władz. Więcej nic nowego nie wiem... Ściskam cię z głębi serca. Siostrze najbratniejsze, ciotce najsynowsze moje złóż uszanowania. Twój.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 14 septembra 1851.

Mój drogi!... Bibikow nie umarł, żyw i cały!!! Trudniej jednemu złemu umrzeć, niż całej cywilizacyi, niż wiekom kilkunastu! Car ma być niezadługo, koło 25-go, w Warszawie, a potem jechać i dalej. Co to dalej znaczy, nie rozumiem, chyba znów gdzie jaki kongresiczek. Zapewnie układać będą obronę przeciwko przypadkowościom 52 roku[1]), by ich nie zmiotły jak 48. Nie można się im nawet dziwić, że dbają o skórę własną, ale, zaślepieni! wszystkiem, co przedsięwezmą, tylko przyspieszą koniec swój, bo same przedsięwezmą krzywdy, uciski i niesprawiedliwości; może o godzinę go opóźnią w historyi, ale za to, kiedy ta godzina minie, ruina ich ostateczną będzie a co niewinnych i zacnych przytem poginie!!! Zdaje mi się, żem ci już donosił, że Adama Potockiego dom przetrząśli w Krakowie żandarmy, szukając śladów związków

[1]) Koniec prezydentury Ludwika Napoleona miał być hasłem do czynnego wystąpienia stronnictwa czerwonych.

jego z Daraszem[1])!!! Wściekły jest i do Wiednia pojechał po zadośćuczynienie. My tak przywykli do podobnych zdarzeń w Warszawie, że to prawie już na nas nie wywiera wrażenia żadnego podziwu. Wiemy się Polakami czyli ludźmi, na których polują zwierzęta dzikie, rządcy nasi. Oni zaś w Krakowie jeszcze się dziwią!! Bóg cię strzeż, chowaj, zewsząd, zawsze i wszędzie obłogosławiaj. Przypomnij mnie pamięci siostry i sercu ciotki, u której domagam się znów o błogosławieństwo, tak jak w chwili wyjazdu. Twój.»

Michał Czaykowski do żony:

«Stambuł, 28 września 1851.

... Otrzymałem od sułtana w dożywocie bardzo ładny majątek pod Stambułem. Tego roku muszę robić wkłady, ale na przyszły rok, da Bóg, spodziewam się dochodów. Gdybym tu miał synów z sobą, byłbym dostał tę majętność, wartości 150 000 fr., dziedzicznie, a wtedy twój byt i naszych dzieci, jako też ich przyszłość, nie zależałyby jedynie od mego życia... Ale na to, trzebaby mi synów przysłać, o ile można jeszcze przed zimą, póki pora sprzyja; im prędzej tem lepiej. Nie bój się dla nich zmuzułmanienia, umieszczę ich w dobrych szkołach; niezależnie od majątku, który otrzymają, będą mogli zrobić świetną karyerę, godną nazwiska, jakie noszą, a ty będziesz zabezpieczona od biedy i szczęśliwa widokiem ich powodzenia. Pomyśl nad tem, nie kieruj się fanatyzmem, ale rozsądkiem i miłością macierzyńską; działaj w imię twych praw matki. Córki niech pozostaną przy tobie, a ja za rok spróbuję zacząć odkładać dla nich na posagi. Z niecierpliwością oczekuję odpowiedzi od ciebie i pozostaję z serdeczną przyjaźnią.

Twój oddany M.»

---

[1]) Paweł Darasz (1809—1871), lekarz wojskowy w 1831, na emigracyi członek Towarzystwa Demokratycznego, należał do tajnych związków w Galicyi 1848 roku.

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 30 septembra 1851.

Mój drogi! Donoszę ci, że zaaresztowano Adama Potockiego w Krakowie. Wiesz, że przetrząs w Krzeszowicach odbyty, nic nie był znalazł, bo jakżeż znaleźć co, tam gdzie nic niema. Otóż zaraz potem chciał do Wiednia, paszportu mu biurokracya krakowska odmówiła. Napisał list do Schwarzenberga, prosząc o zadośćuczynienie, nawet o śledztwo, by prędzej wyjaśniła się sprawa cała. 25 septembra zrana pokoleił z Krzeszowic do Krakowa, bawił dzień cały, w wieczór chciał wracać, ale w dworcu kolei zastał żandarmów, którzy go przytrzymali, komisarza policyi, który mu oświadczył, że musi pójść za nim i zawiódł na zamek krakowski, kędy do więzienia go wtrącono. Możesz sobie wystawić boleść matki i żony... Mówią, że oskarżon o związki z Xawerym (Branickim) i Daraszem!!! Poprostu to zemsta czerwonej biurokracyi przeciwko wielkiemu panu. Co z tego się wywinie, nie wiem. Jużci będą go musieli wypuścić, a wagi większej nabierze jeszcze w kraju. Lecz, że łowy rozpoczęły się na nas wszystkich, to pewna; polują, a w końcu upolują samych siebie, nie nas. Ściskam cię z głębi ducha. Twój.»

Władysław Zamoyski do x. Adama:

«Dieppe, 8 października 1851.

... Wyborny w Gońcu (poznańskim) list o Adamie Potockim takżeby należało zamieścić w Debatach. Przypuścić nie można, by zarzut jaki był wistocie na Adama Potockiego, więc odgłos gazet nie może mu zaszkodzić. Owszem, dobrze zawstydzić rząd austryacki, że konserwatora tak traktuje i przypomnieć, że żadne umiarkowanie ani rezygnacya Polaka nie zasłania, owszem potępia go tem bardziej w oczach wrogów, zaciekłych w nienawiści.

Załączam list drugi, od Stuarta. Niemiłe wezwanie, a przecież stawić się muszę. Nie przydam się na nic,

skompromitować się mogę z Kossuthem, ale Stuartby nie zrozumiał mnie, gdybym nie stawił się na tak gorące wezwanie. Racz Wuj napisać mi swoją radę, jak się mam znaleźć. Myli się Stuart, że mogę wpłynąć na Kossutha. Próbować mogę i jakbym z przypadku był w Anglii. Urquhart to ma bardzo cennego, że bronić będzie Kossutha od nędznych z demagogami umizgów. Zdaje mi się, że go przekonam, iż Kossuth na dudka odrazu wyjdzie, jeżeli na kogokolwiek, a tem samem na Palmerstona w Anglii gadać lub pisać będzie, tem bardziej, że przecież nie kto inny, tylko Palmerston wydobył go na wolność.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 13 października 1851.

Mój drogi! Tysiąc najserdeczniejszych podzięk ci, ale dotąd nic nie doniesiono znikąd[1]). Kalerdżowej w Paryżu nie masz, gdzieś nad Renem, a gdzie, nie wiem. Dziś w Gońcu, że z powodu pak broni, odkrytych w Hamburgu pod jego adresem i tam leżących od 48 r., schwytali go. To być może. Tymczasem żona 7-go powiła mu córkę, córkę więźnia, prawdziwą Polkę! Smolkę we Lwowie wzięto i zawieziono do Brünn. To wszystko pachnie mi długim korowodem, smutną procedurą. Biedny Ad! Ja teraz całem sercem, całą duszą go kocham. Póki człowiek tryumfuje, zwykle mi nic lub mało doń, lecz skoro przestąpi próg nieszczęścia, natychmiast zakochuję się w nim, jak w piękności jakiej! Zawszem czuł w nieszczęściu najprzedziwniejszą piękność tego świata, któremu Bogiem nieszczęścia ideał! bo Bóg, a zarazem ukrzyżowany!

I N. N. piękna taką pięknością, choć i na żadnej innej jej nie brak. Biedna, biedna. Jeszczebym wolał los męski prześladowan i więzion, niż taki żeński, co najtragiczniejsze musi cierpieć bóle, a codzień, cochwila, potocznie, bez słowy, lica maską spokoju i uśmiechu

---

[1]) O powodach aresztowania Ad. Potockiego.

przydławiając pod pięścią furyata! Biedna, biedna i nie winna sobie w niczem, bo nie własną wolą zaprowadzona na tory takowego męczeństwa.

Lekarze mi koniecznie każą do Włoch, zatem powędruję, ale chcę wprzód jeszcze z tobą pomówić o Piusie. Będę albowiem niezadługo u stóp jego. Koło 25 wpadnę na dni pięć lub sześć i w 12, rue des Champs Elysées, znów się z tobą będę widział. Pamiętaj więc, nie bądź o tej porze w Londynie. Nie dziw się, mój drogi, że zawsze jednym postępuję obyczajem, gdy wpadam do Babilonu. Ten obyczaj, który może się wielom dziwny wydawać, ochronił mię dotąd od położenia podobnego dzisiejszemu Adamowemu. Gdybym z wielą ludźmi się widywał, wiódł z nimi głośne na hucznych obiadach dyskusye, oddawnabym już nie mógł tak dyskutować ni tych obiadów wydawać. Gdybym, przybywszy do Babilonu, zaczął obchodzić wszystkich Babilończyków, nawet mi pokrewnych, hałasu tyleby z tego się narobiło, a marnego, na nic istotnie niezdatnego, tylko mnie samemu na szkodę, że w końcu przeciętoby mi drogę moją; pojmij więc, że czynię jako czynić trzeba, a jeśli się dziwią ludzie, to wolę, by temu się dziwili, niż tamtemu tj. konfiskacie mojej osobistości! Proszę cię więc nikomu nie wspominaj o mnie, a dowiaduj się w 12 o mnie. Brat twój Jan ma być w Paryżu w tych dniach. Ciekawy byłbym posłyszeć go. Dobrze nam będzie we trzech, jeśli tak wypadnie ze zbiegu naszych przyjazdów...

Z głębi serca cię ściskam. Do odzobaczenia. Twój.»

Władysław Zamoyski do lorda Dudley Stuart:

«Paryż, 29 października 1851.

Jutro ślub Witołda[1]), w domu zamęt, chwytam jednak pierwszą chwilę wolną, by z tobą pomówić.

Widziałem p. Batthyani, przekonałem się, że zerwał zupełnie z Kossuthem, choć narazie tego nie głosi.

[1]) Czartoryskiego z Maryą Grocholską.

Nie jest on bynajmniej pod urokiem krasomówstwa, jakiem Kossuth popisywał się w Londynie; zresztą mnie samemu Kossuth powiedział, że to co mówi ma jedynie na celu oczarować słuchaczy, zaś jego samego nic nie obowiązuje. Uważa się on dziś za przedstawiciela wszystkich spraw uciemiężonych i głosi, że trzeba być albo z nim albo przeciw niemu; albo mu się poddać, albo jego sobie poddać. Jaka szkoda, że przy takiem pojęciu o władzy, brak mu potrzebnej mądrości i umiejętności do przekonywania ludzi i pociągania ich za sobą. Byłby wówczas istotnie tym człowiekiem wyższym, za jakiego się ma. Niestety, przy swej próżności i przy braku rozeznania, które sprawia, że zaufał takiemu L . . . . . [1]) i sądzi, że może dowolnie zmieniać swe mowy ze zmianą słuchaczy, zapominając, iż jego mównicą świat cały, niedaleko zajdzie i urok jego wnet pryśnie.

Jakiż wobec tego ma być twój udział w uroczystościach powitalnych na cześć Kossutha? Mojem zdaniem, cokolwiekby sądzić o jego wartości, jest on niezaprzeczenie przedstawicielem Węgier, walczących z Moskwą i Austryą. Z tego tytułu zasługuje na twe poparcie. Dlaczego? Bo sam przed laty dwudziestu zaciągnąłeś się w służbę innego narodu, który również mężnie się zmaga z tąż Austryą i Moskwą; bo, wobec obojętności twych rodaków na sprawy zewnętrzne, wziąłeś sobie za zadanie, budzić ich szlachetne uczucia na korzyść narodów, które w walce o niepodległość zwracają swe oczy ku wolnej i potężnej Anglii.

Słowem, witając Kossutha, przypomnij Anglikom, kim jesteś, a nie spadaj do roli ślepego wielbiciela tej znikomej wielkości. Wykaż, że sprawie służysz, nie człowiekowi.

30 października. — Ślub odbył się dziś; wszyscy uradowani, Witołd nie najmniej. Kościół parafialny wypełniony był po brzegi ludźmi wszelkich stanów; zwłaszcza

---

[1]) Szpieg austryacki, nazwisko niewyraźne.

skromnej publiczności było dużo. Wszyscy przyszli dla okazania swej życzliwości xięciu i xiężnie. Cały dom żałował, że ciebie między nami niema, a najbardziej ubolewała nad tem ciocia Wirtemberska.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«10 listopada 1851.

Mój drogi, drogi Władysławie! Smutniej mi niż kiedybądź było się żegnać z tobą i serce każe choć kilką słówmi jeszcze raz się pożegnać i przycisnąć się do twego serca. Gdzie i jak i wśród czego się odzobaczym, nie wiem. Nikt przewidzieć idącej na świat godziny nie potrafi. Wszystko opuszcza dokoła, nic nie podpiera, nic z ziemi nie pomaga. Jedyna pomoc z góry, z nieba, od Boga, zpoza grobu. Odczytaj, proszę cię, rozdział w Donozie Kortez[1]) o boleści. Ma on prawdę; wielkością jedyną człowieka przyjęcie przezeń wiecznie go zewsząd i wszędzie ścigającej boleści, tak z krwią jego zlanej, że uderza mu w piersi za każdem serca uderzeniem, tak z jego losami spokrewnionej, że stanowi całą ich treść od urodzenia po trumnę.. Od niej uciec, nikt nie uciecze. Więc owszem, naprzeciwko niej iść samemu naprzód trzeba i oburącz ją schwycić i tak schwytaną wznieść ku niebu i zawołać: «Boże, w imieniu twojem zaślubiam się z nią, z nieprzyjaciółką moją póki jej nie łączę z sobą przez ciebie, a siostrą anielską, skoro tak uczynię, bo wtedy doprowadzi mnie do serca twego, a serce twoje, o Panie, nie jak owe, co z prochu tu biją, lecz jak ty sam niespożyte, wiekuiście żywe i kochające na wieki». O mój drogi, drogi, Władysławie, chciałbym cię jeszcze raz widocznie przycisnąć do piersi, a muszę jechać. Do odzobaczenia. Bóg bądź z tobą a nie wątp nigdy, że, o ile mi sił w duszy, kocham ciebie. Twój.»

---

[1]) Filozof chrześcijański i mąż stanu, Hiszpan, żył w początkach XIX wieku.

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Niedziela, 23 listopada 1851.

Brat twój, Stanisław, odwiedził mnie tu wczoraj. Dał mi łaskawie 500 fr. na Assocyacyę, czem byłby sobie niezawodnie mą łaskę zaskarbił, gdyby jej już oddawna nie posiadał, bo jest wistocie jednym z najmilszych ludzi, jakich znam. Nic dziwnego, że ma wszędzie takie powodzenie. A i to coś znaczy, widzieć człowieka, który ci oświadcza: jestem szczęśliwy, jestem zupełnie szczęśliwy, nie przypuszczałem, żeby można być tak szczęśliwym, i którego cały wygląd to potwierdza. Z głębi duszy mówię: voto perpetua.

Nie pojmuję, jak możesz uważać Kossutha za człowieka «zbyt małej wagi, aby ci warto było oburzać się na to, co on robi» i jak możesz twierdzić, że «im prędzej straci na znaczeniu, tem lepiej». Nie takie moje zdanie. I wierzyć nie mogę, żeby twoje słowa były owocem dojrzałej myśli, sądzę, że trzeba je raczej policzyć na karb chwilowego złego humoru. Kossuthowi nawet przeciwnik nie może odmówić znaczenia politycznego; w razie ponownego powstania na Węgrzech i we Włoszech miałby wielki wpływ na dobre lub złe; jest on niezawodnie zaciętym i poważnym przeciwnikiem Austryi i Moskwy. Odkąd do Anglii przybył, w niejednem postąpił wbrew moim radom np. głosząc zasady republikańskie i sojusz z Mazzinim, ale ani w tych ani w innych jego krokach nie widzę niczego, coby niezgodnem było z drogą, jakiej się trzymam a zatem nie dozwalało mi popierać go, co też czynię, mimo, że jestem prawie sam jeden w swoim rodzaju.

Poślę ci kilka moich mów, choć wiem, że są słabe, a do tego nielitościwie obcięte przez reporterów, bo Kossuth, skoro tylko usta otworzy, nas wszystkich w cień usuwa i reporterzy, raz uchwyciwszy jego słowa, o mniejsze figury mało dbają. Usiłowałem podnieść w moich przemowach zasługi, jakie Polska położyła dla Węgier i może jeszcze położyć nietylko na polu bitew, ale łagodząc spory

między różnorodnemi szczepami, które ten kraj zamieszkują; wykazywałem, że x. Czartoryski uśmierzał ich zobopólne drażliwości za pośrednictwem swych ajentów i że jak Austrya zawsze siała niezgodę, społeczną i plemienną, tak zadaniem Polski było i jest pracować dla dobra ludzkości przez jednoczenie. Muszę dodać, że Węgrzy, z którymi rozmawiałem, nie wyłączając Kossutha, są przekonani, iż xiążę odmiennej trzymał się drogi. Gdy raz w prywatnej rozmowie napomknąłem Kossuthowi, że Polacy wszystkich stronnictw pomagali Węgrom, odrzekł: «X. Czartoryski mniej od innych; gdy hr. Zamoyski przybył na Węgry, powiedziałem mu, iż przybywa za późno». Innym razem słyszałem, nie pamiętam, czy z ust samego Kossutha, czy od kogoś z jego otoczenia, że xiążę z początku mylnie ocenił położenie, że wyczekiwał ogromnego ruchu wśród Słowian. Wogóle węgierscy stronnicy Kossutha i Anglicy obeznani z wypadkami twierdzą ustawicznie, że xiążę popierał Serbów przeciw Madziarom. Może dostarczyłbyś mi sprawozdania o tych wypadkach, ale przejrzyj je sam, abym mógł na niem bezpiecznie polegać.

Z rozmów moich z Kossuthem wyniosłem wrażenie, że on nie podziela twych zapatrywań co do potrzeby nadania samorządu narodom niewęgierskim, przeciwnie odzywa się z tem, iż w całem państwie ma być zaprowadzona jednolita administracya, z wyjątkiem Kroacyi; tej chce zostawić wybór między samorządem pod Węgrami, a odłączeniem się od Węgier. Radbym przeczytać twoje zapiski z rozmów z Kossuthem (w Widyniu), prosiłbym też o wiarogodny odpis listów sułtana do cesarzy (rosyjskiego i austryackiego).

Kossuth bardzo nierad z odpowiedzi Palmerstona na odezwę mieszkańców Finsbury, zarzuca mu przekręcanie faktów, mówi, że on nic dla Węgrów nie uczynił, nawet nie protestował przeciw interwencyi rosyjskiej, że Porta tylko na słowo od niego czekała, żeby internowanych wypuścić, a on tego słowa nie wyrzekł, że skrócenie swej

niewoli zawdzięczają jedynie Stanom Zjednoczonym, które przysłały po nich okręt Mississipi. Powiedziałem mu wręcz, że jestem innego zdania.

Po pierwsze, jakiekolwiek było poprzednie zachowanie się Palmerstona, nie powinien na niego narzekać, skoro obecnem swem wystąpieniem może przynieść korzyść.

Po drugie, sądzę, że mylnie przedstawia bieg wypadków. Oto, co zaszło: Austrya i Rosya zagroziły Porcie odwetem, wrazie gdyby wychodźców nie wydała. Flota (angielska) pojawiła się (na wodach tureckich); nikt nie został wydany; pogróżki spełzły na niczem. Zapytałem Kossutha, poco, myśli, flota się zjawiła, jeśli nie dla poparcia Turków. Nie umiał mi na to odpowiedzieć.

Zarzut, że Palmerston nie przyspieszył uwolnienia internowanych, jest całkiem bezpodstawny. Sam słyszałem, jak Kossuth zapewniał, że tylko wielkodusznemu wstawiennictwu angielskiego narodu zawdzięcza, że Mississipi nie przyjechała napróżno. A w tym wypadku naród angielski, to Palmerston...

O naczelnictwie Kossutha rozstrzygnie ostatecznie nie emigracya węgierska, ale naród węgierski. Niejaki W. Pashley, adwokat, który świeżo czas swego wypoczynku spędził na objeżdżaniu Węgier, twierdzi, że dotychczas wszyscy tam oddani są Kossuthowi ciałem i duszą.»

Karol Szulczewski do Władysława Zamoyskiego:

«10, Duke st., St. James's, 27 listopada 1851.

Lord słaby po mękach i trudach węgierskich, bo nie opuścił Kossutha i ciągle mu towarzyszy. My zaś tu pracujemy dla Węgier, jak pracowaliśmy dla Serbów i Polaków. Lord ma tę cnotę, że zawsze temi samemi końmi jeździ, nie zważając na to, że i zwierzęta starzeją, męczą się, potrzebują wypoczynku. A jednakże między Węgrami, których tu jest dosyć, znalazłoby się jakie źrebię, któreby pracować mogło...»

XI

OD ZAMACHU STANU DO CESARSTWA

GRUDZIEŃ 1851 — GRUDZIEŃ 1852

Władysław Zamoyski do brata, Stanisława:

«Paryż, 3 grudnia 1851.

Kiedym wczoraj pisał spokojnie do twojej żony, nie wiedziałem, że się w Paryżu odbywa jeden z najśmielszych i jak dotąd najpomyślniej dokonanych zamachów stanu[1]. Nie piszę szczegółów, bo je daje «La Patrie», jedyny wczoraj wypuszczony na jaw dziennik. Ranne dzienniki wyszły podczas aresztowania, ale w zupełnej niewiadomości wypadków. Jest to rewolucya zupełnie wojskiem dokonana. Musiał się prezydent czuć bardzo zagrożonym, kiedy się chwycił tego środka, palącego rękę, która go używa. Paryż jest, a przynajmniej był wczoraj do późnej nocy spokojny. Nie mógł być obojętny, boć to nie koniec, a rząd wszedł na drogę ostateczności, zmuszony odtąd używać największego gwałtu, by się mógł

---

[1]) W nocy z 1 na 2 grudnia 1851 x. Ludwik Napoleon kazał aresztować nieprzychylnych sobie deputowanych, obsadzić izbę wojskiem i wydał proklamacyę, której główne punkty były: 1. izba rozwiązana; 2. głosowanie powszechne przywrócone; 3. plebiscyt rozstrzygnie o tem, czy kraj chce przedłużyć xięciu prezydentowi władzę na następne dziesięciolecie i upoważnić go do opracowania nowej konstytucyi.

utrzymać. Ale rozpędzenie izby nikogo w ludności nie roznamiętnia, a masa ludu kontenta, że na tem zdobywa głosowanie powszechne. Jednak, ile słyszałem, przyjęcie prezydenta, tak przez wojsko jak przez ludność, gdy objeżdżał miasto pod tęgą eskortą, było obojętne. Sala zgromadzenia, którą znasz, już wczoraj leżała w gruzach.

Ja dziś odprowadzam siostrę (x. Leonową Sapieżynę) do Kolonii. Spodziewam się, że przejedzie przed ruchem jakimkolwiek, po ruchu tutejszym nastąpić mogącym. Ale śniegi tam straszne.

O godzinie trzeciej. — Masy ludu na bulwarach, ale wojsko panuje. Gwardya narodowa spoczywa i podobno po większej części rada, że nie powołana.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:
«(z Rzymu) grudzień 12, 1851.

Donoszą mi z Paryża, że istotni robotnicy nie ruszyli się, pozostali w swoich fabrykach i przez wszystek ciąg walki[1]) nie porzucili roboty. Lecz z jednej strony dobrze ubrani wykwintnisie strzelali z sutych dubeltówek przez okna najdroższych kawiarni na najbardziej eleganckich ulicach; a z drugiej galernicy i najdziksi ze stronnictwa najczerwieńszego. Oczywiście, że się legitymiści, orleaniści i najwścieklejsi demagodzy razem byli połączyli przeciwko człowiekowi, przychodzącemu niszczyć ich stronnicze nadzieje. Czerwonych, mojem zdaniem, wplątał w fałsz przeciwko sobie samym najnielogiczniejszy, bo zmusił ich, wiecznie utrzymujących, że im tylko idzie o głosowanie powszechne, do walczenia na zabój przeciw tegoż głosowania przywrócicielowi, a zatem do zrzucenia maski i jakoby publicznego wyznania, że im tylko wistocie chodzi o mord, rabunek i grabież cudzej własności. Tem więcej osłabił to stronnictwo, zdaniem mojem, niż ofiarami z niego wybranemi podczas tygodniowej bójki. Osłabił

[1]) Która zakrwawiła ulice Paryża między 3 a 5 grudnia i przeniosła się następnie do kilku departamentów.

też niepomału i tamtych, których przywiódł do pobratania się z najdzikszą anarchią, choć sami wiecznie głosili się najprzykładniejszymi konserwatorami. Słowem, udało mu się zupełnie rozbić i zbeszcześcić, że tak powiem, na czas jakiś, wszystkich sobie przeciwnych, czy to z prawej czy lewej strony. Rzadko kiedy spisek w dziejach zręczniej poprowadzono i świetniej doprowadzono do celu. Sam Napoleon nie tak zręcznie, nie tak energicznie 18 go Brumaire'a umiał sobie postąpić. Prezydent nie potrzebował, by żaden Lucyan pchnął go zwątpiałego do izby pięciuset, ni też go stamtąd zemdlałym żadne nie wynosiły grenadyery; lecz to się łatwo pojmuje: większym duchom trudniej spiskować, niż mniejszym. Zdaje się, iż na teraz pierwszy akt tego dramatu skończony i że Francya cała uzna zwycięzcę paryskiego swoim panem. Uwięzienie Thiersa przez człowieka, którego ten sam Thiers niegdyś był na sześć lat więzienia odesłał do Ham, przewyborną jest ironią. Wyobrażam sobie nieskończone pomieszanie ducha Thiersowego, który nigdy odwagą nie słynął. Changarnier zaś musi być zajadły i wściekły, Bedeau i Lamoricière głęboko upokorzeni, ale sprawiedliwie się z nimi stało. Z obrońców ojczyzny w ostatnich czasach byli się przemienili na intrygantów samolubnych, szukających własnego wyniesienia w nieszczęściach i stopniowem coraz większem osłabieniu się potęgi tejże ojczyzny. Sprawiedliwie więc, że znalazł się taki, który w imieniu tego, co najbardziej kochał Francyę na ziemi po Joannie d'Arc, to jest Napoleona, ich pokarcił i ukarał. Jednak przytem z największemi kazał obchodzić się względami, przygotować im największe i najlepsze pokoje w Ham i niezawodnie po dwudziestym pierwszym [1]) ich na wolność wypuści; ukłoni się im najgrzeczniej i powie: «Odegrana sztuka, przepraszam, że podczas niej musiałem was ze sceny poza kulisy wtrącić, teraz zgódźcie się na

---

[1]) Ostatni dzień plebiscytu.

śpiewanie w chórach, a mnie zostawcie pierwszej roli odegranie.»

Prezydent wyrwał czynem swoim Francyę czerwonym, idącym na jej splądrowanie i nasuwającym się z miesiącem majem 1852 roku[1], a świat wyrwał wpływowi tych, co zamordowali Polskę. Jakżeż inaczej miał postąpić, chcąc ratować ojczyznę, chcąc nazad ją unapoleonić, to jest w nastrój i siłę opatrzyć na to, by przestała być igraszką stronnictw i pośmiewiskiem Europy?

1250 ludzi zginęło ze strony powstańców, prawda, okropnie, ale dzieje ludzkie takie: wiecznie albo błoto, albo krew, czasem zaś błoto i krew pomieszane razem. Ludwik Filip błota reprezentantem; krwi czystej Napoleon; błota i krwi razem pomieszanych Robespierre. Teraz wybierajcie; ja głosuję za Napoleonem.

Wszystkie spiski dotąd odbywały się z dołu w górę. Prości obywatele lub wojsk jenerały targali się na naczelnika państwa lub na wszechwładne zgromadzenia, tak Katylina, Brutus, Fiesko, Kromwel, Napoleon. Tu wręcz przeciwnie. Tu naczelnik państwa z góry na dół spiskuje przeciwko czterem stronnictwom kraj rozszarpującym w izbie jednej, — i przeciwko motłochowi. Jeden tylko Marino Faliero coś podobnego zamyśliwał, ale schwytan i ścięty. Co także godnem uwagi, że cały spisek niejako tkwi i leży i rozwija się w charakterze jednego człowieka, że ten człowiek, milczący wśród krzykałów, odważny wśród bojaźliwych, energiczny wśród słabych, niedocieczony wśród zdradzających się, zimny wśród zapamiętałych, przypominający włoskich wielkich mężów przymioty wśród francuskich lekkomyślności; nigdy próżnością nie dający się żadną uwieść, ale głęboko chciwy panowania i z najgorętszą w swoje losy wiarą idący do celu, składa sam sobą, sam w sobie całe sprzysiężenie! Że samolubny, że ambitny, nikt nie zaprzecza, lecz z drugiej strony nie-

[1]) Koniec prezydentury Ludwika Napoleona, według prawa z 1848 roku.

podobna nie uznać, że wyświadczył ojczyźnie największą przysługę. Znużenie chorowite Francyi wzmagało się codzień, strach od lat trzech trwający przed nadciągającemi klęskami socyalizmu gotową ją czynił do rzucenia się w ręce jednego człowieka. Gdyby prezydent po amerykańsku był postąpił, do żadnego praw przełamania się nie udał, w niedalekiej przyszłości kraj wszystek wyborami 52 roku rozdarty i rozwichrzony, oddany na pastwę tajnych towarzystw, w wojnę zapadał domową, społeczną. Po kilku miesiącach klęsk takowych, można śmiało twierdzić, że jużby nie w ręce jednego człowieka, ale pod stopy Austryi i Moskwy się rzucił, wołając ratunku na gruzach i zgliszczach, popalonych, krwią zbroczonych miast i wiosek swoich! Od tej hańby wiekuistej, niechybnej, bo społeczne bratobójcze walki doprowadzają zawsze w końcu narody do zaprzedania czci własnej za chwil kilka wytchnienia, uwolnił Ludwik Napoleon Francyę, pod tym ją względem ocalił w tej samej chwili, w której sam się zbawiał i wynosił! Tego zdarzenia mierzyć inną miarą nie sposób. Kwestya moralności czczą kwestyą w narodzie tak dalece zepsutym i zestronniczonym. Konstytucya obalona przed kilką dniami była także bezprawiem na kark Francyi wtłoczonem przez rozbój zdarzon w izbie na dniu 24 lutego. Kto w nią wierzył? Każde stronnictwo, tak legitymiści, jak orleaniści, jak socyaliści, pragnęło nieskończenie jej zgwałcenia i zniesienia. Co dzień, co noc, przygotowywali do tego zasoby i siły. On ich ubiegł. Sam jeden przeciwko czterem, w obliczu czterech, mimo czterech, dokonał śmiałością i sztuką, czego oni nie śmieli. Teraz, jeśli się upoi tryumfem, bo tak zwycięstwo i władza, jak przegrana i niewola ludzi zezwierzęca, — biada mu! Lecz wierzę w gwiazdę jego; to gwiazda napoleońska, a nienadarmo Bóg był Napoleona światu objawił. Dopełnić się musi ten wielki, a przerwany i przecięty od siebie samego pod Waterloo, czyn, dokonać się musi posłannictwo dane!

Chciałem ci przesłać te moje dorywcze nad tem wszystkiem uwagi. Tysiąc ci dzięków, żeś o mnie pamiętał wśród tak dzikich i ważnych okoliczności...

Roma zamieniła się na jaskinię wszelkiej zdrady, fałszu i łotrostwa. Wstrząśnienie, które półwyspu nie wydobyło z niewoli, miało jedynie ten skutek, że rozbiło, rozłamało i do błota wtrąciło wszystkie charaktery, do jakichbądź stronnictw one należały... Ojciec św. we wnętrzach ducha pozostał, czem był, ale na zewnątrz uchyla się od wszelkiej roboty, od wszelkiego wdawania się w jakiebądź działanie, wszystko pozostawia plenipotentowi (kard. Antonelli), który go tak sztucznie umiał obejść, otoczyć, i jakby w kole zaczarowanem na klucz zamknąć, że sam stał się wszystkiem, a jego na nic przemienił... Przypomnij sobie stan Wenecyi w XVII wieku i tę miłą paszczę lwią z najbielszego karraryjskiego marmuru, co dniem i nocą czyhała na odbieranie jadowitych karteczek, będziesz miał wyobrażenie dokładne tutejszego obecnego stanu. Strzeżonych Pan Bóg strzeże.

Czy też pamiętasz, mój drogi, ową naszą wieczerzę u Frères Provençeaux, kiedyś ty, przyniósłszy orędzie prezydenta, nam je przeczytał, a ja się zerwał w podrzucie przeczucia i krzyknął: «Ten człowiek będzie panem Francyi», tyś zaś dodał: «od dziś dnia głosuję za nim». Wojewoda zaś gniewny ofuknął się na nas i zaczął się sprzeczać i podobno o 10 fr. się ze mną założył. Proszę cię, za karę list ten mu cały każ przeczytać i powiedz, że, skoro tu zjedzie, będę nieubłaganie o pół napoleona się u niego upominał, za udanie się sprawy również pół Napoleona.

Bóg cię strzeż i obłogosławiaj. Kończę jeszcze jednem spostrzeżeniem: zwycięzcy wczorajszego nawet interesem samolubnym będzie postawić tradycyę napoleońską naprzekór chcącym go zrzucić stronnictwom. Tą zaś tradycyą jest przewaga Francyi w Europie, ale przewaga zasadzona nie na wściekłości wszystko niszczącej, jak u czerwonych,

jedno na organizacyi wyższej, wszystko pokonywującej. Stąd rokuję, że i nam może stać się znośniej. Słaba to nadzieja, jednak żadne z tamtych stronnictw podobnej mi nie daje. Jedynie z tego już powodu powinienby każden z nas szczęścia prezydentowi życzyć.

20 grudnia. — Papież po przeczytaniu listu prezydenta, co w tych dniach nadszedł pełen synowskich uczuć i, jak mówią, niezmiernie stylem znakomity, rzekł te również znakomite słowa. «La France a sauvé l'Eglise, l'Eglise a prié pour la France, Dieu a payé la dette de l'Eglise[1])». Zatem i w ojca świętego rozumieniu prezydent Francyę ocalił. Tutaj wszyscy sekciarze, którzy spodziewali się niechybnie zwycięstwa swoich, ogromnie źli i ze spuszczonemi chodzą głowami. Twój.»

Władysław Zamoyski do siostry, Elizy Brzozowskiej:

«Wronki pod Poznaniem, 19 grudnia 1851.

Jadwisia (x. L. Sapieżyna) miała już siadać na kolej (w Paryżu) w sam dzień 4, kiedy się na ulicach bito; ludzie jej nie mogli za nią zdążyć. Miałem ją odprowadzić do granicy; samej z chorą córką puszczać jej nie mogłem, więc ją odwiózłem do Poznania i tam otrzymałem od władzy a bill of indemnity. Jak było miło po dwudziestu latach być na swojej ziemi, słyszeć lud prosty, widzieć te stroje, być z nim w kościołach, odwiedzić arcybiskupa itp., to możesz pojąć. Zabawiwszy dni kilkanaście wracam i Bogu dziękuję!! Wszyscy, których widziałem, rozmaici, dziwnie uprzejmo witali, po sercu głaskali. Dodali mi sił, zdawało się na drugie lat dwadzieścia. Działyńscy niewymownie mnie poczciwie gościli. Zwiedziliśmy Kórnik i inną wieś ich, Trzebaw; jedno i drugie nadspodziewanie w tej płaskiej okolicy ładne i wdzięczne. Całe ich koło obrazem szczęścia i spokoju i powiedzieć można cnoty. Działyński dopiero

[1]) Francya wyratowała Kościół, Kościół modlił się za Francyę, Bóg uiścił dług Kościoła.

nabył bibliotekę po Ogińskich od żyda w Królestwie, który ją wziął za długi. Uradowany nowem bogactwem, choć nie wie jeszcze sam dokładnie, co nabył. Miło mi było bardzo widzieć, jak oboje są szanowani i kochani i zasłużenie.

Wstąpię po drodze do moich dzieci w Tirlemont, tam pewno będę na wilii[1]).»

Władysław Zamoyski do brata, Jana:

«Paryż, 1 stycznia 1852.

Powszechne, można powiedzieć, jest tu w ludzie ukontentowanie. Nawet o jednym, niby czerwonym, o Xawerym Branickim, powiedział ktoś wybornie: kontent jest, bo ma dwie rzeczy, które lubi: republikę i bat. Prezydent, jak się pokazuje, rady nie potrzebuje — jednak jabym mu radził stanowczo się oprzeć podszeptom, może i pokusie cesarstwa. Zarazby w narodzie nastąpił przesyt, kiedy owszem narodowi temu potrzeba ciągle być w oczekiwaniu, przecie i to trudności nie rozwiąże. Dziś jest do 15 000 ludzi za kratami i druk wszelki ustał. Jak znowu tych ludzi wszystkich wypuścić? Jak oznaczyć granicę drukowi? Zobaczymy; będę u niego zaraz. Szalona tu wściekłość w wyższem towarzystwie przeciw uzurpatorowi. Wprawdzie są liczne w tem wyjątki, ale tem większa z tego powodu zaciekłość, że aż niektóre damy zamknęły swe salony dla uniknienia kłótni. I to, jak wszystko, policzyć można do działania Opatrzności.

«Oportet haereses esse» mówił już św. Paweł; tu nieżyczliwość klasy wyższej powiększa urok prezydenta w niższej, zyskuje mu przebaczenie nieprawnego czynu.

Czy też napisałem ci z Berlina, jak mnie uszczęśliwiło i nową siłą i cierpliwością uzbroiło dotknięcie się ziemi naszej? Z bytności w Poznaniu powziąłem mnie-

---

[1]) Zamoyski założył w Tirlemont mały internat dla chłopców polskich, pobierających nauki w tamecznej szkole Józefitów. Kierunek internatu objął Ignacy Szczepanowski. Między wychowankami byli obaj synowie Czaykowskiego i Stefan Zamoyski, syn Zdzisława.

manie, że tam w roku bieżącym dadzą się z wielką korzyścią nabywać dobra. Rok 1848 zrujnował wielu, którzy, właśnie dopiero zaciągnąwszy długi z nowej landszafty, strwonili te kapitały na uzbrojenia; dziś te majątki idą na subhastę i pójdą tanio w ręce żydów i Niemców. Sprzedałem teraz moje francuskie papiery i kupuję dobra w Poznańskiem.»

Karol Sienkiewicz do Władysława Zamoyskiego:

«11 stycznia 1852.

... Filipa (Ludwika Filipa) nie adorowałem, a jednak była za niego rara felicitas temporum. Nie był nabożnym, a jednak puste kościoły w oczach naszych zapełniały się pod koniec jego panowania. Wygnańcy z wszystkich krajów znajdowali pod jego berłem przytułek, chleb, swobodę i trybunę szlachetnie się odzywającą za nami. X. Orleanu i x. Helena (jego żona) poważali Polskę. Zacne dzieci rokowały lepszą przyszłość Francyi. Nie, to nie błoto z przeproszeniem nawet Mickiewicza, który pod temże berłem używał i nadużywał swobody. Gwiazdy napoleońskiej nie rozumiem, zostawiam ją Towiańszczyźnie.»

Władysław Zamoyski do brata, Jana:

«Paryż, 12 stycznia 1852.

Przejeżdżając przez Bruxellę, odwiedziłem Thiersa; rzekł do mnie: «Otóż i ja wyszedłem na Polaka[1])». Dość jest spokojny w porównaniu ze swemi damami, które są wściekłe i którym pozwala haniebnie bluźnić.

Wczoraj na giełdzie wielki był strach o wojnę z Anglią; myślę, że daremnie. Prezydent w sprawach zagranicznych dotąd niedocieczony, tak jak był w wewnętrznych, kiedy koło siebie pozwalał robić projekty zamachów stanu; długo milczał. Mówią, że on w duszy pragnie wojny i wierzę temu. Ale jaka mu wypadnie,

[1]) Wygnańca; wygnanie to dzieliło z Thiersem ogółem osiemdziesięciu posłów, między nimi Wiktor Hugo.

tego sam pewno jeszcze nie wie. Dekret wygnania onegdajszy zasmucił i zastraszył. Ale kraj ten objawia niezdolność do używania wolności; mniej widać zgrozy, jak strachu. A co gorsza, można napotkać takich, co skrycie cieszą się ciosem zadanym ludziom i stronnictwom, które nienawidzą — nie pomni, że «hodie tibi, cras mihi». Czy możebna jest wolność polityczna, gdzie takie są pojęcia o sprawiedliwości? Niemniej przecież zupełnie zgadzam się z tobą. Wolnością tylko, nie bezwględnym despotyzmem, rany takie goić można. Ale jak tę wolność przywracać społeczności nad wszystko brzydzącej się nierównością, to znowu zagadka!»

Eustachy Januszkiewicz do Władysława Zamoyskiego:

«Paryż, 26 stycznia 1852.

Przebacz Pan, że śmiem mu się narzucać, lecz kiedy idzie o rzecz, którą się pragnie osiągnąć w sposób szlachetny, do kogóż się udać?

Chodzi o p. Kalinkę, młodego człowieka, któremu, zdaje się, okazałeś Pan już pewną życzliwość i oceniłeś jego niezwykłe zdolności, a który, co więcej, posiada tę dziś rzadką zasługę, że umie szanować i oddać sprawiedliwość ludziom wyższym, nawet kiedy mają antenatów, tytuły i mienie. Jego zasady polityczne są zacne i roztropne, a jego zdolność i łatwość w pracy godne uwagi.

Otóż ten młodzieniec znajduje się w bardzo przykrem położeniu, z którego nie wiedzieć jak go wyprowadzić. Umyśliłem sobie, że Pan umiałby mu pomóc radą najpierw, a następnie polecając go. Piszę bez jego wiedzy, bo on kryje się ze swemi troskami, które ja odgaduję. Boleśnie widzieć, jak się niszczą dusze i umysły młodych ludzi w walce z życiem[1])».

[1]) Zamoyski należycie ocenił młodego krakowianina; od tej pory do jego zgonu był mu Kalinka gorliwym współpracownikiem i wiernym przyjacielem. Jednym z punktów umowy między nimi było, że Kalinka zaprzestanie karciarstwa, co też uczynił, nie bez ciężkiej walki z samym sobą.

Władysław Zamoyski do Zygmunta Krasińskiego:

«Paryż, 27 stycznia 1852.

Domyślisz się, jak myślałem o tobie, kiedy mi Bóg nieocenioną sprawił ulgę i dał wypoczynek na naszej ziemi! Opisać tego nie zdołam, a nikomubym się tak nie zwierzył, nie wyznał całej głębokości wzruszenia, jakiego doznałem, jak tobie, bo ty rozumiesz. Dość ci powiedzieć, żem odżył, takie dotknięcie się odnawia siły, utwierdza w wytrwałości i godzi z losem, jaki nam jest naznaczony i niemal zaspakaja to pragnienie, od którego usychamy, mniemając nieraz, że daremne nasze usiłowania, że wszystko stracone, że niema co robić. Widok tego biednego, a kochanego kraju, obudził we mnie inne wcale uczucia. Widząc to życie, to pasowanie się, przejąłem się na nowo przekonaniem, że ten naród ma w sobie głęboko zakorzenione żywioły istnienia i odrębności swojej, że sam sobie wiele poradzić może pomimo całej wrogów zawziętości, że trzebaby mu tylko cnoty i wytrwania kilku cnotliwych, żeby tę odrębność utrzymali, utrwalili i przez ciężkie próby do lepszej doprowadzili przyszłości...

Cała dyplomacya go (prezydenta) pieści. Xiężna Lieven wynosi go pod niebiosa. Czy on postrzeże odrazu, jakie w tych pieszczotach dla niego sidła? Francyi i jemu potrzeba wielkości, tej dostąpić może tylko przez wyższego i czystszego ducha, a więc przez antagonizm z najnieczystszym. — Zobaczymy.»

Władysław Zamoyski do Jadwigi Działyńskiej:

«Paryż, 9 lutego 1852.

Prezydent nie chroni się od pospolitych i niskich pokus osobistości, coraz przeto bardziej od ludzi zacnych opuszczony, sam sobie i lichym pomocnikom zostawiony, własną niemocą drażniony, niecną konfiskatą[1]) dziś już

[1]) Dóbr rodziny Orleanów; ponieważ ta konfiskata nastąpiła wkrótce po przywróceniu orłów napoleońskich, nazwano ją: le premier vol de l'aigle.

w oczach powszechności poniżony, ma po sobie niecne tylko żywioły, albo ślepe, zobojętniałe, długim bezrządem, a mianowicie też negacyą wiary zwątpiałe o wszystkiem.

Niebawem, jeżeli nie ze zgromadzeniami politycznemi, to z sądami mieć będzie sprzeczki i starcia. Zmuszony będzie, już i mimowoli, do gwałtów bez końca i bez miary! Chyba znowu koniec będzie gwałtowny, a ja znowu do tych należeć będę, co ten gwałt przypiszą rodzicom 1789, bo gwałt taki nic nie naprawi. Naprawićby raczej można było szczerem, ale poważnem otoczeniem władzy, — tego, co Bóg dopuszcza, — tak przed, jak po 2 grudnia, przez co jedynie możnaby go na pożytek istotny takiem poparciem ujarzmić. Ale tego nie dokaże żadna rachuba ani zręczność, tegoby dokonała jedna tylko cnota, rzetelna, chrześcijańska cnota; nie wystarczy sam stoicyzm. On tylko uczy z dumą i pewną godnością ulegać i umierać. Jeden tylko chrześcijanin przez pojęcie miłości, której prócz chrześcijan nie zrozumiała żadna inna religia ani filozofia, jeden chrześcijanin może pogodzić prawdziwą, nie pozorną godność duszy z uległością dla władzy, a uległość dla władzy z niezłamanem obstawaniem za sprawiedliwą wolnością.

Ale przepraszam za tę rozprawę. Zdało mi się na chwilę, że jeszcze siedzę na zielonej kanapie, za dużym stołem staroświeckim, a kiedy mi się ten czas przypomni, to się łatwo zapominam, — bo ten czas był mi jedną z najmilszych chwil w życiu.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 4 marca 1852.

... Od konfiskaty spuściłem głowę, — pomyślałem: może to nie duch, tylko trup galwanizowany cesarza. Zawsześ jednak pozostanie najoryginalniejszą figurą historyczną. Duszą don Juan, a z powierzchowności posąg komandora, bo zuchwały, namiętny, nieubłaganie odważny jak pierwszy. do tego gracz, co gotów na zielonym stoliku

czasów w czarne i czerwone wieku naszego przegrać lub wygrać losy świata, a ruchy jak u umarłego, a wyraz ócz jak u posągu, a niedocieczon i nieporuszon, jak przeznaczenie! Zawszeż zeń więcej się spodziewam, niż z rzeczypospolitej. Lecz dekret ten, to wielka plama! To najsmutniejszem za dni naszych, że wszystko, cobądź się wyniesie, niezmiernie prędko się brudzi i szarza.

Źle, żeś dotąd nie był (u Ludwika Napoleona). Jeżeli Stefania[1]) przyjedzie, to przez nią pukaj, ona cię kocha, wciąż mi wspominała o tobie, podziękuj jej za tę pamięć i każ przez nią sobie otworzyć drzwi przywarte.

Kardynalić ludzi odległych mi lub nam każesz; łatwo to wyrzec, lecz tu niełatwo z czembądź wystąpić, a dopieroż z żądaniem takiej purpury. Synowiec (hr. Luigi Mastai) ani się zjawił przez ciąg zimy całej, musi być w niełasce. Stryjam (Piusa IX) nie widział, bo na krok z domu nie wychodzę... Krok mój wszelki dniem czy nocą śledzon i wiedzian, o czem znów ja wiem doskonale. Moskwa wraz z siostrą rakuską ścigają, prześladują Święto-Klaudyanów[2]). Radziby ich zupełnie poniszczyć, obalić, wyrugować. Jednak stryj nie daje ich na pastwę. Makryna im także gorzką solą w oku, nie żałowaliby miliona, by się jej pozbyć. Nawet z tem głos mongolski się słyszeć dał. Mongolski ton tu górą, przed nim tarzają się w pyle Italowie tutejsi, prócz stryja! Lecz ten ostatni ręce opuścił i nie działa nic. Memoryał podany mu przez Butkiewicza[3]) czytałem, nikomu nie wspomnij, proszę cię; wypis z niego o 1830 r. i xięciu ci tu łączę osobno. Cel główny wykazać, że nie rząd moskiewski szkodził kiedybądź katolicyzmowi w Polsce, ale sami Polacy bezprzerwnie, ciągle, pod wszystkiemi rządu tego kształtami, czy za Królestwa, czy później. Najdziwniejsze tam intrygi

---

[1]) W. x. Badeńska, z domu Beauharnais.

[2]) Zmartwychwstańców, osiedlonych przy kościele św. Klaudyusza.

[3]) Ksiądz Butkiewicz, ajent moskiewski.

w duchowieństwie wyłożone, wykryte, podłość porewolucyjna duchownych i nieduchownych przed rządem strasznemi farby malowana, społeczeństwo nasze całe wystawione jako rzecz w gniciu, zepsuciu, bezwierze i najszkaradniejszem błocie. Choć te czasy sam przeżyłem, nie domyśliwałem się o tylu plugawych charakterach, czynach obrzydliwych i nieskończonej uniżoności. Wiele tam prawdy, bo myliłby się, ktoby sądził, że szatan prawdy nie mówi, zawsze prawdę owszem powiada, ale stara się tak ją nakręcić, by słuchający z niej użytek kłamstwa sam zrobił tj. ją zbrodniczo lub na opak zastosował do swych czynów. Tak i Butkiewicz prawdziwie opiewa podłości wielu osób, lecz stara się niemi przekonać, że rząd aniołami, a my dyabłami; wiadomo zaś, że zupełnie przeciwnie tj. że kusicielem on, a my nieraz padamy ofiarą pokus czy strachu, czy wyniesienia i dóbr ziemskich przeciwko nam z bezprzykładną sztuką wywieranych! O tem wszystkiem kładę na cię obowiązek nie wspominania nikomu, ale wiedz sam. Snać to na stryju nie wywarło wrażenia, bo prałat z kwitkiem odchodzi, nigdy mu tu nominacyi nie dadzą.

5 marca. — ... Drogi mój, drogi mój! Podłości na świecie tym więcej, niż czego, podłości i niemocy. Dwie to cechy charakterystyczne rodu człowieczego, chcemy a nie możem, — i staczamy się w błoto! tam albowiem możem wszystko, czego się nam zechce, — tameśmy potężni potęgami nicości. Oto tajemnica natur wielu i ukryta ich upadków przyczyna. Tem jednem stoją wszystkie obrzydłe świata tego przemoce i tem samem tworzą się ohydne tego świata chorobne rozruchy. Czarni i czerwoni z tej samej serca zgnilizny się wylęgają! Ah! czas, czas już zmiłowania się Pańskiego nad światem i nad nami. Czas, czas wielki, o Boże, bo żyć jak żyjem i przed śmiercią nie ujrzeć dobra choć trochę, byłoby to szkaradnie przeżyć życie i z gorzkiem uczuciem pójść do grobu.

Do końca kwietnia tu będę, potem ku Badenowi. Ściskam cię i kocham in aeternum. Twój.»

Władysław Zamoyski do niewiadomej osoby[1]):

«Paryż, 14 marca 1852.

Dziwny niesmak czuję do stosunków, jakieby dziś na nowo zawierać z tym rządem. Jest to po części przywiązane do takiego kształtu władzy gdzie jeden wszystkiem rządzi dowolnie, gdzie tak jest samowolny, że mu służą i pomagają same tylko niewolniki, tak iż w żadnym niemal żadna myśl własna nie może się ostać; taki brak niepodległości charakteru pociąga za sobą brak wyższości wszelkiej, a nawet zacności. Jakże ma Polak mieć przystęp do takich? Oprócz jednego władcy — niema jak tylko przedpokój. A dość powiedzieć, że w nim Morny[2]) wytrzymać nie mógł, ani Flahaut. Montalembert, inny rodzaj człowieka, pomimo przekonania, że tę władzę przyjąć i popierać trzeba, zostaje nieczynny, radą nawet nie służy. Jest na wszystko zrezygnowany, widzi w tem zło mniejsze, jak to, co było i co groziło. Ale nie widzi zapewne, bo podobno niktby nie dojrzał, jakby to zło, jakkolwiek mniejsze, przemienić na lepsze. Wiemy, my, z doświadczenia, że despotyzm nie usposabia do wolności, a bez wolności pewnej i roztropnej niema życia. Wiemy, że despotyzm truje i tępi same źródła społecznego życia niemal gorzej od anarchii, bo ona nie trwa nigdy, on zaś może przez wieki i nad zgnilizną panować. Jest nawet właściwym nad zgnilizną rządem. Ale pytanie, jak wrócić społeczności zdrowie? — Nie wróci ono nigdy, jeżeli społeczność sama go z siebie nie wydobędzie przez cnotę i wybujanie pojedyńczych, przez arystów.

---

[1]) Oryginał pisany ręką Niedźwieckiego znajduje się w archiwum księży Zmartwychwstańców we Lwowie.

[2]) Karol August Morny (1811—1865), syn królowej Hortensyi, główny wykonawca zamachu stanu 2 grudnia 1851, za drugiego cesarstwa poseł w Petersburgu i prezydent ciała prawodawczego.

Daleko do tego! To w położeniu dzisiejszem i świata i naszem najboleśniejsze, że arystów niema i długo może nie będzie! Prezydent może dlatego właśnie jest zbawieniem dla kraju tego. Na samowładcę okazuje rzadką zdolność. Na niego narzekać nie mogę. On swoje robi. Żeby podobnie inni robili! Zakończona rzecz z Szwajcaryą, zaniechane chętki, chrapki na Belgię i Piemont, jak słyszę, zostawiły mu złość skrytą na rządy, które mu odmówiły poparcia, tak iż się odzywa z innemi znowu, przeciwnemi, chętkami, aż do przebąkiwania o nas! i o podobnych!

Anglii dziś pochlebia, ale mu Anglia nie wierzy, choć gotowa wzajem mu pochlebiać, a zwłaszcza Francyi, której próżność Anglicy znają, i menażować umieją starannie. Reszta dyplomacyi nietyle ostrożna, drwią z niego głośno, nie brak też przedmiotów, bo drobnostek dużo i lichych rozpust prezydent sobie nie żałuje. Nie wspominam, — bo oni z tego nie szydzą, — o widocznej w tym szczęśliwym władcy zdolności chwytania się wszelkich środków dla dojścia do celu. Między śmiesznościami jest ta mania mundurowa, co szczególniej przedpokojem, liberyą trąci. Jużem się musiał znowu ubrać w cywilny złoty haft, który przez zapomnienie tylko pozostał w mojem posiadaniu, bo 1848 przeznaczyłem go był na jaką darowiznę, tę jedną przecie upatrując korzyść w republice. Jeszczem go nie żałował do zamku, ależ p. p. ministrowie, co niedawno nie mieli o czem kupić prostego tużurka, chcieliby nas skłonić do ubierania się do nich w mundury i dokażą tego. Ta maskarada, wyznaję, jest mi nieznośna. Nie miałem nigdy demokratycznych instynktów, ale wyznaję, żem zarażony przykładem surowej, nieco purytańskiej, prostoty Anglików, od której wprawdzie wyrodziła się przez małpowanie demokracya. Poseł angielski, zapytany przez Anglika, czy się może bezpiecznie tu sadowić na rok lub na miesiące, radził mu raczej na dnie najmować, bo pewności na dzień jeden niema. W rzeczy samej,

wszystkie postanowienia prezydenta jawią się najniespodzianiej. Własnych ministrów niemi z a d z i w i a; daje do podpisania bez namysłu; najmniej się ich radzi. W tem mu trzeba oddać sprawiedliwość, że i czynny jest i śmiały i prócz nędznej konfiskaty dotąd jego postanowienia nie zawstydziłyby najkonstytucyjniejszego rządu i parlamentu... Dzisiejsza konwersya renty np. i ustanowienie Towarzystw Kredytowych zostaną pamiętnemi dziełami jego dyktatury. Xawery (Branicki) podobno się grubo w Towarzystwo Kredytowe zaciąga. Mają być i inni w tem Polacy i Wołowski ma być dyrektorem.

O naszych belgijskich oficerach, po usunięciu Kruszewskiego w sposób podobny acz mniej szczery jak z Breańskim się stało[1]), ucichło do czasu. Pogłoska była, że prezydent się ujął za nimi, widząc w tej koncesyi dla Moskwy ubliżenie sobie. Co pewna, to, że tych oficerów prawo krajowe ubezpiecza, a w Belgii takie prawo pominąć niełatwo. Więc minister, jeżeli nie król, wziął się na inny sposób: odmawia naszym zupełnie awansu. Linowskiego używa wciąż jako szefa sztabu dywizyi, a pominął dopiero w awansie. Pisałem do niego, najmocniej namawiając, żeby głosił, że go to nie obraża, bo wynika z jego charakteru Polaka.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Rzym, 10 kwietnia 1852.

Mój drogi. List twój z 14 marca odebrałem; dzięków serdecznych zań tysiąc, — ale nie mogę ci tyle ich złożyć za to, co było przyłączone[2]). To mnie martwi, gryzie, niepokoi szkaradnie. Bez dołożenia się, bez pozwolenia, bez odniesienia się, wziąłeś na się dziwnie śmiało odpo-

[1]) Breański został usunięty z czynnej służby sardyńskiej na nalegание posła moskiewskiego w 1851 z pełną pensyą.

[2]) Resurrecturis, wydrukowany staraniem Zamoyskiego w Paryżu, z dołączeniem uwiadomienia, że zysk ze sprzedaży przeznaczony jest na dom biblioteki polskiej w tem mieście.

wiedzialność rzeczy, która może gromem zwalić się na głowę ci jednak drogą, osobliwie za przyczepieniem tej podłużnej karteczki, na której cel sprzedaży wydrukowan. Niech gwiazda twoja szczęści się tobie i innym w tym przypadku. Lecz nie pojmuję takiej dorywczości i lekkiego ważenia możebnych skutków; oczywiście, że w tem nic osobistego nie mam, mówię dla Stasia Koźmiana, bo zapewne wiesz, że to jego jest[1])...

Proszę cię, zmiłuj się, bądź na przyszłość oględniejszym; dla tych, co cię kochają, miłosierniejszym. Jest czasem w tobie dla nich pewien brak litości, postępujesz z nimi, jak z martwemi istotami, jak z żelazem lub kamieniem do machiny jakiej zdatnem. Wielki Tydzień teraz, muszę ci dać absolucyę, ale pokutę nakładam. Zatem prawdę oświadczaj komu możesz. Wszem wobec i każdemu z osobna twierdź, że to Stasia Koźmiana. Ściskam cię z serca. Twój.

Francuskie rzeczy zanoszą się na bój z Europą. To jest prawem ich logicznem; wcześniej czy później do tego przyjść musi.

Śmierć Schwarzenberga[2]) jest nader ważną nowiną; jedynie żelazna wola tego człowieka była na chwilę jeszcze spoiła rozchodzące się deski strzaskanego okrętu. Teraz znów się zaczną rozłazić. Niecierpiał on osobiście Adama (Potockiego). Dziwnie kończą ministrowie tego państwa, jakgdyby jego utrzymanie było sprzecznem z widokami bożemi, Stadion[3]) w szaleństwie, ten śmiercią piorunowo nagłą. Prezydentowi wszystko zdaje się sprzyjać; w grze

---

[1]) Jak wiadomo, Krasiński lubił autorstwo swych utworów przypisywać przyjaciołom dla zmylenia policyi rosyjskiej.

[2]) Felix hr. Schwarzenberg (1800—1852) austryacki dyplomata i mąż stanu. Jako prezes ministrów zawezwał Rosyę na pomoc Austryi przeciw Węgrom i stawił czoło Prusom podczas zatargu o przodownictwo w Związku niemieckim; politykę wewnętrzną prowadził w duchu skrajnego biurokratyzmu.

[3]) Franciszek hr. Stadion (1806—1852), namiestnik Galicyi 1846—1847, minister spraw wewnętrznych 1848—1849.

dotąd jego wena niesłychana szczęścia; będzie jeszcze z tego wszystkiego coś...»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Genua, 15 maja 1852.

Mój drogi! Przechodzi moje pojęcie, że ty tego pojąć nie możesz, iż ta podłużna karteczka, przyczepiona do domysłu gadatliwych bliźnich, rozgłaszających stokroć bardziej po wyjściu piękno-papierowej edycyi bezimie pisarza, zamienia natychmiast rzecz w zbrodnię zelżonego majestatu. Nie o legalność chodzi w rządach despotycznych, ale o fakta, i podejrzenie gorzej szkodzi, niż zbrodnia, jak mówi Montesquieu. Karteczka ta podłużna jest jakby rękawicy rzuceniem, bo wytłumaczyć im trudno, że nie sam pisarz tak chciał i tak siebie sam wydał, uważasz wyraz wydał w tem miejscu podwójneby mógł mieć znaczenie. Pojąć nie mogę więc, drogi mój, że ty nie pojmujesz, iż ma prawo podziwu właściciel, gdy bez dołożenia się jego rozrządzają drudzy jego własnością, ale dajmy temu pokój. Powtarzam, gwieździe ufać trza, jednak na drugi raz strzeż się tak jej ufać nieskończenie, osobliwie biorąc na się odpowiedzialność losu drugich. Gwiazda każda tylko na jednego człowieka, na tego, któremu świeci. Zmiłuj się, na drugi raz bądź oględniejszy i podobniejszy do Opatrzności dla tych, których kochasz!

Dziś dłużej o tem mówić serca nie mam, gdy mi donosisz o tak uroczystem twem postanowieniu i o chwili szczęśliwej, która zda się bliską ciebie[1])! Nic już innego nie czuję prócz błogosławieństwa, które chciałbym z serca niem przepełnionego, wylać w twoją stronę, by cię niem otoczyć, owidnokrężnić, obłogosławić, na teraz, na dal, na zawsze!

Pamiętasz przed Nowarą naszą rozmowę wieczorną długą w domu badeńskim? Kiedyś się mię pytał, czy

[1]) Dzień ślubu.

masz jeszcze ufać w serca niewieściego nakłanność ku sobie, odpowiadałem ci: «ufaj», a więc wywróżyłem ci wtedy, choć sam, jeśli pomnisz, w najgłębszej melancholii pogrążon, szczęścia jeszcze umizg na ziemi. Nie omyliło mię przeczucie, nie omyliła serc dziewiczych znajomość czy pojęcie, słowem, odgadłem sercem, co czekało ciebie! Dumnym w tej chwili, żem odgadł, że się sprawdziło. Bądź mi więc szczęsny, miej odpoczynek i wytchnienie. Znajdź duszę siostrzaną duszy twej, która świeżyć się będzie i rozkwitać przy tobie. Ocieniaj konarami ramion tego kwiecia rozkwit. Bądź dębem ponad lilją polną! ale, pamiętaj, w pewnych rzeczach nie naśladuj N. N., nie przytłumiaj, raczej rozwijaj ku górze, ku niebu, ku błękitom staraj się wznosić młodocianego ducha, nie żądaj, by się pochylił, by opuścił listki kielicha i stał się po ziemi wijącą rośliną. Nic łatwiejszego, jak zabić ducha niewieściego, lecz z jego śmierci pożytku niema; — owszem niech żyje i żyje wiosennie, niech jak bluszcz rośnie i obwija ciebie, niech dorośnie aż do twego wierzchołka, o dębie strzaskany piorunem, a wtedy w zieloną koronę się rozwinie i odda ci wiosny wszystkie twoje, własnemi wiosnami! Powtarzam więc — bądź mi obłogosławion, bądź mi szczęśliwy jeszcze.

Za parę tygodni będę w Badenie i tam do septembra zabawię, potem wrócę do kraju. Co ze mną wtedy się stanie, nie wiem. Czy śmiercią ciała czy ducha przyjdzie konać i umierać, nie wiem. Smutno mi. Lecz mam nadzieję, że te orły pozawczoraj przywrócone wyrwą mię lotem swoim koniecznym z kłopotu! Bóg je popędzi ku stronom naszym. Kocham cię na zawsze i sercem obłogosławiam.

O Czayce wszystko, com przeczuwał, wszystko, com ci mówił i czem ci groziłem nadal, pokazuje się dziś być prawdą. Ślubem tureckim się spoił z tą waryatką niegodną, sześćdziesięcioletnią przeszło (Ludwiką Śniadecką); majątek uzyskał zaprzański wartości półtora miliona;

wrogiem Polski się stanie niedługo, stawszy się wrogiem Boga Polski oddawna. Widzisz, że mię mój zmysł nie myli...

Xiąże prezydent szlachetnie się spisał, pisząc (do cesarza austryackiego) o męża tej, która go odmówiła (Adamowa Potocka). Wolała pójść za Polaka, niż za cudzoziemca. Mogła być cesarzową! dziś jest więźniową. Takie losy polskie. Ale duch, co nią kierował w wyborze, zasługuje na uwielbienie. Jeśli ten sam xiążę prezydent będzie się wdawał w kłótnie z Anglią, to przepadnie marnie. Jedynie bratnia zgoda Francyi z Anglią może świat z rozstroju wywieść i odnowić i wskrzesić. Wszystko inne hasłem tylko będzie zgonu tej epoki! Ale Bóg jakoś to wszystko urządzi, jeśli w myśli Boga, żeby ta epoka jeszcze nie umarła śmiercią. Raz jeszcze, mój Władysławie, powierzam cię Bogu i modlę się do niego o twoje szczęście. Ja zresztą codzień się modlę o ciebie do niego.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 17 czerwca 1852.

... Za spotkaniem o wielu rzeczach pomówimy! Noc jakaś okropna zewsząd koło losów naszych się obwija. Nikt a nikt nie pojmuje, że od nas, jak od filaru pękniętego, co całą budowę sklepioną rzeczy europejskich podpierał, zależy tychże rzeczy zdrowie, — całość, odnowa, — że bez nas tylko śmierć i nasza i innych, nic innego od śmierci na świecie tym szerokim być nie może i nie będzie! Ślepi i głusi nie widzą, choć to przed okiem ich, nie czują, choć to pod palcami ich! Skarzą się na chorobę, toczącą ich organizm od Kadyksu po Dynaburg, — a nie znają jej, a nie wiedzą nazwiska tego raka w swej uczoności i mędrkowaniu! Rak ten, to niesprawiedliwość, a niesprawiedliwości tej główne imię zwie się imieniem krzywdy naszej! Patrzają w gwiazdy, a wpadną w studnię, wielcy i mali, źli i dobrzy, winni i niewinni, wszyscy razem.

Do odzobaczenia, mój najdroższy. Smutną cię piersią żegnam, powitam też smutną, bo wszystko, wszystko smutnem.

Tylko to jedno mi pociechą i wielką będzie, że cię ujrzę na drodze ku jednemu z lepszych dni twojego żywota. Bóg ci szczęść i błogosławieństwem niebieskiem ten dzień dla ciebie naznacz. Odpocznij i wytchnij, a może jeszcze kiedyś ujrzysz dzień wesela powszechnego, zaczerpnąwszy w owym dniu własnego (wesela) sił do wytrzymania dni wszystkich, co jeszcze rozdzielają ten drugi od tego pierwszego!»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 18 septembra 1852.

Mój drogi i bardzo drogi! Smutno mi, że morowa zaraza polityczna[1]) naprzód stanęła oporem, nie dozwalając ślubu na własnej ziemicy, a następnie materyalna[2]), rozdzieliła was.

Z duszy bym sobie życzył stanąć za filarem katedry[3]), ale widzisz sam, losy mnie moje niedobre porywają. Kiedy wstępować będziesz w wiosnę szczęścia, ja zaczynać będę zimę smutku i rozmaitych cierpień niepojętych przez tych, którzy nie patrzą własnemi oczyma na citta dolente.

Na chwilę więc zapomnij o niej, zapomnij o nas, zapomnij o mnie i bądź szczęśliwy! bądź szczęśliwy! bądź szczęśliwy!

Ściskam cię i oplatam tem życzeniem jakby pierścieniem jakim, jeszcze raz, bądź szczęśliwy! Twój.»

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«(Londyn) 6, Stratford place,
poniedziałek, 27 września 1852.

Cieszę się, że mimo rządu pruskiego i cholery ślub twój niedługo się odbędzie, ale znając twoje uczucia, mocno

---

1) Zakaz rządu pruskiego.
2) Cholera.
3) Podczas obrzędu ślubnego.

żałuję, że nie dają ci ślubu brać na polskiej ziemi i pojąć wprost nie mogę, by ci tego pozwolenia odmówiono. Jakkolwiekbądź, niech ten związek będzie ci źródłem takiego szczęścia, by wszelkie przykrości stały ci się lżejsze do znoszenia, wszelkie nieszczęście mniej gorzkie, wszelka radość radośniejsza.

Przedstawiłem xięciu opłakany stan Assocyacyi; odpisał mi krótko «trzeba trwać». Te słowa z jego ust, wystarczają mi, ale będzie ciężko! Tyleśmy przyjaciół stracili. Wspomnienia polskiej wojny już należą do przeszłości; teraźniejszemu pokoleniu są one obce.

Pewien jestem, żeś odczuł na równi ze mną śmierć x. Welligtona. Mimo swych wad i słabostek był to prawdziwy gentleman, zawsze życzliwy w obejściu, nieraz i w czynie. Wszyscy inni dukowie znikli z naszej pamięci wobec wielkiego, żelaznego duka. Cały naród opłakuje go z jednomyślnością, która mu zaszczyt przynosi. O balu w Guildhall, wobec tego wielkiego pogrzebu i przygotowań doń, ani myśleć nie można. W latach 1853/54 będziemy mieli nieprzychylnego nam burmistrza, ławnika Sydney. Obawiam się, że szereg naszych balów zamknie się z tym, na którym był Kossuth. Pisałem do Xawerego Branickiego i dałem mu do zrozumienia, że 200 fs. bardzoby się nam przydało.

Wielkiej doznałem radości z poznania Massima d'Azeglio, przedewszystkiem dlatego, że to twój przyjaciel. Jestto szlachcic w każdym calu, o ujmującej powierzchowności, ale jakoś nie wieleśmy się do siebie zbliżyli. Wszakże nie zawiodłem się na nim co do sposobu, w jaki się o tobie wyraża, a jak mi powiedział, że mu się zawsze zdaje, że duch Sobieskiego powrócił na ziemię i w ciebie się wcielił, czułem, że moją własną myśl wypowiada.»

Władysław Zamoyski do x. Alex. Sapieżyny:

«Lipsk, 5 października 1852.

Moja Ciociu kochana! Przyjechali nareszcie Działyńscy; kiedy oni wcześnie się do spoczynku udali, ja,

niezmęczony, jak oni, drogą, mogę odpisać na list Cioci kochanej z Paryża dziś odebrany. Mogłoby kogo zadziwić, że dziś znajduję czas na to. Ja rad jestem, że choć tem dam jeden dowód więcej, czy czuły jestem na usługi i cnoty i zdolności nieporównane xięcia. List mój bowiem z Ostendy do Władzia pisany taką, widzę, o mnie nawet! obudził wątpliwość. Więc, powtarzam, rad jestem, że mogę okazać, że wśród zajęć najżywszych i najmilszych nietrudno mi całem sercem drgnąć na każde odezwanie się myśli o tym, który od lat trzydziestu, bez przerwy, bez wahania żadnego kiedykolwiek z mojej strony, był mi i jest po dziś dzień, nie tylko wzorem i przewodnikiem, nie tylko naczelnikiem politycznym, ale niejako uosobieniem samejże ojczyzny i środkiem, przez który służby moje nieść jej usiłuję. Wyznam nawet, że aż mi się to dziwnem wydaje, że mogłem dać powód do ostrzeżeń i wymówek zawartych w liście Cioci. Wiem, że nie wszystkie do mnie się stosują, ale twierdzę, że w żadnej cząstce mnie się nie należą. A twierdzę, prócz tego, że się i krajowi nie należą w takiej mierze, w jakiej są wyrażone. Piszę to bez żalu żadnego, bo znam i kocham i wielbię źródło, z którego wyszedł sąd jakkolwiek niesprawiedliwy o mnie. Piszę z uczuciem wzruszonem, to prawda, ale bez żadnej drażliwości. Piszę, żeby być lepiej zrozumianym i z życzenia też, aby się najbliżsi xięcia sprawiedliwie na położenie jego względem kraju zapatrywali. Najprzód, co do kraju, przeczę najsolenniej i od dwudziestu lat ciągle, acz bezskutecznie w domu zaprzeczam, aby xiążę był opuszczony od wszystkich, odrzucony od wszystkich w każdem swojem najczystszem przedsięwzięciu. Twierdzeniu temu wprost przeczy najoczywistsze przez garstkę lepszych poparcie materyalne czynności jego. W kraju zaś dla osoby jego uwielbienie, życzliwość najpowszechniejsze, acz niedość zapewne czynami i zasiłkami stwierdzone. Niedosyć, to prawda! Ale czy xiążę jeden, zwłaszcza za dni naszych, służąc najprzykładniej krajowi,

doznał podobnego niedostatku? Czy prócz nader rzadkich wyjątków, nie wszyscy ludzie polityczni podobnego doznają losu? Czy Jan Zamoyski nie pisał sobie nagrobku: «Tu leży J. Z., kóry wiele dla ojczyzny, a więcej od ojczyzny ucierpiał». Czy Andrzej Zamoyski nie był od sejmu za projekt nowego kodeksu prawie o mało nie wyklęty? Że nie powiem o tylu innych, żyjących lub niedawnych. Czy Wellington nie był zagrożony w życiu od londyńskiego motłochu w samą rocznicę zwycięstwa pod Waterloo? Czy, kiedy walczył o egzystencyę Anglii lat kilka w Hiszpanii, nie doznał tyle prawie przeszkód od stronnictwa sobie w Anglii przeciwnego, ile od wojsk Napoleona? Xiążę też nie zwykł narzekać na kraj swój. Umie rozróżniać, pamięta doznanego od lepszych poparcia, poświęcenia, zachęty, choć ubolewa dla sprawy nad ociężałością i zaślepieniem wielu. A kto narzeka? Oto, przyznajmy prawdę, ci, którzy znajdują, że xiążę zanadto się ojczyźnie poświęcał, ci, co zdają się mniemać, iż mierzyć należy ofiary według ocenienia, jakie znajdują, albo też według skutku bezpośredniego, jaki po nich się okazuje. Dawno się takie uczucie krzewi koło xięcia. Daremniem sam usiłował je powściągać. Zaczęto od ubolewania nad ofiarami, potem nad niewdzięcznem owych ocenieniem. A kto wie, ile to pierwsze uczucie przyczyniło się do owego właśnie mniej dokładnego i mniej sprawiedliwego ocenienia zasług i zdolności xięcia. Naród nasz ubogi jest w pewne cnoty i zdolności polityczne. Nic oczywistszego. Ale od wieków żył i ratował się znamienitemi cnotami pojedyńczych. Życie to po dziś dzień trwa cnotami niewielu. Biada nam, jeżeli w tych niewielu ostygnie wiara i miłość dla kraju z powodu, że kraj niedosyć odpowiedniej okazuje cnoty. Odwrotnego trzymać się należy kierunku. W miarę takiego niedostatku, nie mniej, ale więcej poświęcać się muszą nieliczni, wyjątkowi, wyższą łaską bożą udarowani. Był czas, w którym powoływałem xięcia i rodzinę jego do ofiary najwyższej (myśl

Trzeciego Maja). Nazwano to szaleństwem, wręcz odmówiono tej ofiary. Ci, którzy naówczas znaleźli, że taka ofiara byłaby za wielką, czy mają dziś prawo narzekać, że mniejsze poświęcenie zamało napotyka uznania i poparcia? Pisząc o odmówieniu najwyższej ofiary, nie użalam się na nieprzyjęcie ówczesnego pomysłu, bo to inna sprawa. Przypominam tylko, że jeżeli inne w dodatku powody przemawiały za nieprzyjęciem go, to niezaprzeczenie w rodzinie xięcia najsilniej się opierano przyjęciu z powodu ofiar bez końca i miary koniecznie dla rodziny wynikających ze stanowiska naczelnego w tej sprawie. Powtarzam, można było jak chcieć sądzić o systemacie całym ówczesnego «Trzeciego Maja», ale jedno zostawało oczywistem, koniecznem, xiążę musiał sprawie przewodzić albo, gdy i gdzie nie przewodził, koniecznie musiał przestać być czynnym. Głośne mniej więcej najbliższych jego zapieranie się tak pretensyi, jak i ochoty do najwyższego stanowiska, które pociągało najwyższe za sobą ofiary, mogło niejednego usposobić do zwracania ufności i nadziei w inną jaką stronę. Tłumaczę, nie oskarżam, a tłumacząc, radbym i żale uśmierzyć i wskazać drogę jedynie dla rodziny godną i jedynie zbawienną, drogę najwyższych i najzupełniejszych ofiar dla sprawy...

Radbym bardzo, żeby list ten był czytany przez Wuja. Ufam w sąd jego tak o mnie w tej okoliczności, jak w cnotę i wysoką roztropność jego, które mi przez całe życie były jak gwiazdą kierującą i jak ideał doskonałości.»

Władysław Zamoyski do Zygmunta Krasińskiego:

«Halle, 14 października 1852.

Kochany Zygmuncie. Kiedym twój i kiedyś ty pragnął «z za słupa» nam błogosławić, donoszę więc ci, żeśmy tu dziś rano ślub wzięli. W Lipsku, w sam dzień do ślubu obrany, przyszedł z góry, ale nie z nieba, rozkaz niedopuszczenia ślubu i wydalenia mnie niezwłocznego z królestwa (saskiego). Wczoraj tu przybywszy, trafiliśmy

na łebskiego i zacnego proboszcza (ks. Klahold), który nam dziś ślub dał[1]). W kwadrans potem, zapytany od policyi, czy ja nie żądam od niego ślubu, proboszcz odpowiedział, że nie żądam, bo już dostałem. Działyńscy dziś wracają do siebie. Za dni około dziesięć znajdować się będę w bliskości twojej i dam ci wiedzieć. Pisz do Frankfurtu. Ja nad Renem będę. Ściskam cię z duszy.

P. S. Policya tutejsza z wielką grzecznością rozkazuje mi w dwadzieścia cztery godzin stąd ruszyć i powiada, że z Berlina dany rozkaz na całą monarchię, żeby się żaden ksiądz nie ważył dać mi ślubu!! ma troppo tardi.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 23 octobra 1852.

Dopierocom wrócił z Paryża. Tu list twój zastałem... Zachowam do śmierci wdzięczną tobie pamięć, żeś do mnie, drogi mój, pisał dnia, który był zarazem i dniem szczęścia i dniem prześladowania dla ciebie. Lecz to harmonijnie wypadło w twych losach. Nie mogłeś inaczej być szczęśliwym. Trzeba było, by i do takiej godziny wmieszało się prześladowanie, — w tem leży znamię twe przed Bogiem i ludźmi, — cześć twoja!

Bóg cię strzeż i ciebie i ją obłogosławiaj. Czekam słóweczka od ciebie. Tysiąc życzeń od tej, która ze mną.

Twój.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«(Baden), 24 października 1852.

Mój najdroższy!... Co wolisz, czy żebym przyjechał do Heidelberga, czy żebyś ty tu przybył? Tu już nikogo

---

[1]) Na zasadzie, że w Halli sobór trydencki nigdy nie został ogłoszony, a zatem proboszcz tamtejszy nie podlega przepisom tego soboru, zabraniającym dawania ślubów osobom z innych parafii bez upoważnienia ich duszpasterza. Gdy Zamoyski dziękował ks. Klahold za wyświadczoną mu przysługę, tenże odrzekł, że czuje się poniekąd

niema; poseł moskiewski w Karlsruhe już. Jest zaś tu Małachowski, Komierowski, Gaszyński i z Moskali Kutuzowowie i Muchanowy. Chcesz tu na kilka dni przybyć? możebyś nająć sobie stancyę kazał? Jak zechcesz i co zechcesz, każ, a jeśli ci lepiej w Heidelbergu, to tam z Elizą pokoleim do ciebie. Twój.

Prezydenta Babilon zimno przyjął 16[1]); byłem tam. Lecz to cesarstwu nie przeszkadza, w decembrze je ujrzysz, a następnie wojnę!

Żonie złóż moje najgłębsze a najserdeczniejsze uszanowanie.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«Baden, 31 października 1852.

Drogi mój! Die Kriegsgerichtliche Section des K. K. Militärgouvernement in Wien macht bekannt, dass Ad. Graf Potocki rechtlich überwiesen sey, sich an den Unternehmungen und Anschlaegen einer revolutionären Partei zur Wiederherstellung Polens betheiligt zu haben, daher er wegen Mitschuld am Hochverrathe mit sechsjährigen Festungsarreste in Eisen zu bestrafen sey. Se. K. K. Apost. Majestät haben denselben jedoch zu begnadigen geruht[2]) etc. etc. etc. etc.

Niesposób kogoś z śliczniejszym patentem wypuścić. Tak jak gdzieindziej legii honorowej lub podwiązki dostać.»

Zygmunt Krasiński do Władysława Zamoyskiego:

«20 listopada 1852.

Drogi mój! ...Chwila ta smutną mi chwilą, chwilą bowiem rozdziału z tobą i pożegnania. Szczęśliwy byłem,

w obowiązku służenia Polakom, gdyż kaplica katolicka w Halle i istniejąca przy niej szkółka były założone przez ich rodaków, Helenę i Ignacego Ogińskich w XVII w.

[1]) Po powrocie z objazdu departamentów, podczas którego wyrzekł te słowa: l'empire c'est la paix.

[2]) C. K. sekcya sądowo-wojenna zarządu wojskowego m. Wiednia, obwieszcza, że Adamowi hr. Potockiemu sądownie udowodniono, że

żem cię oglądał szczęśliwym[1]). Szczęśliwy jestem, że z tej strony grobu, do którego jadę, zostawuję cię szczęśliwym. Z wielu innych powodów i uczuć zaś smutnym na śmierć być muszę. Dziękuję zatem tobie i twoim losom, Władysławie, że z ich przyczyny wśród tej czarnej nocy ducha mojego kilka jeszcze świeci lepszych mi promieni, — promieni radości twojej! Niech ona trwa, wzmacnia się i nigdy się mgłą nie pokryje, ni burzami wstrząsa.

Masz przy sobie istotę, której przeznaczeniem codzień róść duchowo i dzielniej się rozwijać. Wielka w niej jest postępu moc i w górę iścia możebność. Myślę, że Opatrzność to ci właśnie zesłała, co najskładniej mogło się z twoim duchem i losami zespolić i ujednić. Ta myśl mi spokojem błogim w chwili, kiedy cię porzucam i nieraz będzie mi pociechą, kiedy się o tobie zdaleka zamarzę wśród śniegów natury i podłości ludzi. Bo, darmo, jadę tam, kędy tyle ucisku i tyle podłości, co śniegu i lodu. I z tego wyprowadzi, nie mnie może, ale Polskę, Bóg! Nie zginęła i nie zginie, my pomrzem, a ona będzie, bo jest Pan ponad nią, a Pana tego imię — Wszechsprawiedliwy! Twój.»

Lord Dudley Stuart do Władysława Zamoyskiego:

«Londyn, 21 listopada 1852.

Dowiaduję się, żeś przyjechał do Paryża z żoną. Mam nadzieję, że ją dobrze ku mnie usposobisz, jako dla człowieka całem sercem oddanego jej ojczyźnie. My tu zaledwie przychodzim do siebie po pogrzebie x. Wellington. Ten tydzień rozstrzygnie zapewne o losach ministeryum Derby, ale choćby się na razie i utrzymało, żywot jego

---

brał udział w przedsięwzięciach i zamiarach pewnej partyi rewolucyjnej ku przywróceniu państwa polskiego, przeto za wspólnictwo w zbrodni zdrady głównej sześcioletniem więzieniem fortecznem w kajdanach ukaranym być ma. J. C. K. Ap. Mość raczył jednak ułaskawić go etc.

[1]) Krasińscy odwiedzili Zamoyskich w Heidelbergu, następnie Zamoyscy Krasińskich w Badenie.

będzie krótki, bo zaufania nie wzbudza. Okazało brak wszelkich zasad, to też nie zapuściło korzenia w opinii publicznej i musi upaść; dziwić się tylko trzeba, że można je było znosić. Pytanie, kto je zastąpi. Przypuszczam, że lord John (Russell), Palmerston, Graham, Gladstone, ale żaden z nich nie będzie premierem, lecz ktoś inny, najprawdopodobniej Lansdowne[1]).

We Francyi można wkrótce oczekiwać cesarstwa. Na razie wszystko zdaje się Ludwikowi Napoleonowi sprzyjać. Jeżeli pożyjemy, zobaczymy prawdopodobnie i jego upadek.»

Waleryan Kalinka do Władysława Zamoyskiego[2]):

«24 listopada 1852.

Broszura «O upadku majątków w W. X. Poznańskiem» nasunęła mi myśl odpowiedzi. Na nią samą odpowiadać nie warto, ale z nią łączy się wiele faktów bolesnych: oto, że nie było ani jednego człowieka dość odważnego, coby za emigracyą przemówił, jakby wszyscy jednakie z autorem jej o emigracyi mieli zdanie.

Przyczyny takiego zjawiska łatwe do ujęcia. Narody, jak ludzie, z jednej ostateczności wpadają w drugą. Po roku 1831, kiedy najprzedniejsza krew Polski wyszła za kraj, naród w naczelnikach i uczestnikach powstania widział swoich przywódców, na nich zdał wyłącznie ster ogólnej sprawy, ich kierunkowi poddał się z zupełną woli swej abnegacyą. Dzisiaj, kiedy dwudziestoletni wpływ czasu i nowe, dawniej nieistniejące prowincyi polskich interesy, uczyniły przodownictwo tułaczy w sprawach tych

---

[1]) Po odmowie lorda Lansdowne, został nim lord Aberdeen. Ministeryum to otrzymało nazwę «wszystkich talentów», z powodu znakomitych mężów stanu, z jakich się składało. Ono to rządziło Anglią w czasie pierwszej części wojny krymskiej i musiało ustąpić wskutek powszechnego niezadowolenia, wywołanego niedość sprężystym sposobem prowadzenia wojny.

[2]) W streszczeniu.

niemożliwem, kiedy nadto rezerwanie i nacisk interesów prowincyonalnych rozcząstkowały ster narodowej sprawy i każda niemal prowincya, na drugą nie oglądając się, w domowych troskach utonęła, dzisiaj, powtarzam, prowincye polskie odrzucają interwencyę emigracyi bodaj czy nie tak nierozważnie, jak nierozważnie ją bez granic przyjmowały poprzednio.

Lecz choćby stosunki krajowe istniały też same, co w epoce 1831—1846, to naród w dziełach, które całej emigracyi przypisuje, znajduje dostateczny powód wspomnianego wstrętu ku emigracyi. Czem ona dała się u nas poznać do 1846 i w 1848? Lekceważeniem interesów ogólnych i indywidualnych, podkopaniem tradycyi narodowych, odarciem z imienia ludzi zasłużonych, osłabieniem siły moralnej mieszkańców, a w końcu exploatacyą rzeczy publicznej na korzyść własnej ambicyi lub podlejszych jeszcze celów. Emisaryusze centralizacyi, czynni i przedsiębiorczy, rozgłaszając jej potęgę, znajdowali łatwowiernych i był czas, że mało kto w kraju przypuszczał, aby poza Towarzystwem Demokratycznem coś żywotnego w emigracyi istniało.

Rzecz zbyteczna, iżbym tutaj rozwodził się nad ważnością wychodźtwa polskiego dla kraju aż do odzyskania niepodległości naszej. Im głębsze szczeliny między jedną a drugą prowincyą otworzą się, im mocniej w stosunki krajowe i w umysły mieszkańców wciśnie się podział Polski, tem konieczniejsza potrzeba, aby gdzieś reprezentowana była idea całej Polski, tem większa ważność owego kitu, łączącego rozerwane prowincye polskie. Wielkopolanin, Galicyanin dosyć ma dziś zasługi, jeżeli boleć będzie za swoją prowincyę, zasługa emigranta w tem, aby w sercu swojem jednoczył boleść wszystkich prowincyi polskich.

Obowiązek względem emigracyi i obowiązek względem prawdy powinien nas nakłonić do postawienia zdrowej części emigracyi w oczach narodu i w oczach potomności na szczeblu, do którego się twardą służbą dokupiła;

milczeć o jej rzetelnych zasługach, puszczać w niepamięć tyle prac i poświęceń niegodzi się.

Gdyby Bóg uwieńczył był szczęśliwym rezultatem x. Czartoryskiego, toby same rezultaty o działaniu świadczyły. Ale, że jedne usiłowania w niwecz poszły, drugich skutek mniej widoczny, albo na długo zakryty, tem większa potrzeba dokładnego opisania, co zamierzono i co zrobiono.

Te powody nasuwają mi propozycyę, aby się zająć ułożeniem historyi emigracyi, a raczej na jej tle opisaniem działań x. Czartoryskiego. Szczęście to wielkie, że takie imię i takie zasługi przeciw owej niechęci ku emigracyi postawić możemy. Jeśli zwykli ludzie robią dla ojczyzny ofiarę ze swojej próżności, niechaj xiążę zrobi poświęcenie, które może najwięcej kosztować go będzie, poświęcenie swego nałogu milczenia o sobie.

Autor musi mieć na ciągłem baczeniu, iż sprawa, która nie ma uznanych i słuchanych przodowników, jest sprawą upadłą. Nie masz porządnego działania bez organizacyi nie masz porządnej organizacyi bez hierarchii. Prawdy te dla nikogo nie są tak ważne, jak dla Polaków, a nigdzie tak mało, jak w Polsce, nie są wyznawane.

Redagując przez lat trzy dziennik polityczny, przekonałem się, jak wiele jest w usposobieniu naszem anarchii, jak głęboko umysły Polaków przesiąknięte są zasadą przeczenia wszelkiej władzy, druzgotania wszelkiej wyższości, jak dalece wady te sprzyjają nieprzyjaciołom naszego kraju, rozdrabniając wszystkie nasze czynności na zabiegi indywidualne.

Z tego stanowiska musiałby autor zapatrywać się na działania ludzi, którzy chcieli przeprowadzić teoryę pewnej organizacyi politycznej między nami, którzy zapobiegali szerzeniu się zasad destrukcyjnych, niwelujących którzy chcieli ugruntować w opinii naszą przyszłą budowę socyalną na naturalnych i tradycyonalnych warunkach.

Obok tego przychodzą prace na polu naukowem, historycznem, edukacyjnem, humanitarnem, stosunki z rządami zachodniemi i prace polityczne w Turcyi i Słowiańszczyźnie.

Taki jest ogólny zakres dzieła. Wskazać drogę prawdziwej służby narodowej, podnieść emigracyę w oczach narodu i uratować jej pozycyę dla narodu, przekazać narodowi dwadzieścia lat doświadczenia emigracyjnego w sferze politycznej, wyświecić zasługi xięcia i tych, co z nim pracowali, — te są cele, które pracy mej zakładam[1]).»

Władysław Zamoyski do Karola Sienkiewicza:

«8 grudnia 1852.

... Niewielu nas jest wiernych i czynnych. Bądźmyż zgodni. Łączmy siły nasze, nie rozrywajmy[2]). Przypominam sobie nieraz parabolę z Ksiąg Pielgrzymstwa Mickiewicza o żołnierzach, spychających się z drabiny przy szturmie, a o jednym, co rannego przed sobą na drabinie wyniósł aż na szczyt wału, — i sam za nim się dostał. Może się Pan dziś uważasz jako ranny moją propozycyą. Ja za to gotówbym Pana przed sobą nieść i donieść i na czwartem piętrze nad biblioteką osadzić. A jakżeby wielu niedobrych zgoda nasza zawstydziła, a dobrychby pocieszyła.»

J. z Działyńskich Zamoyska do ojca:

«rue st. Honoré 339, Paris, 5 grudnia 1852.

Tutaj tylko o nowym cesarzu mowa. Widzieliśmy wjazd jego do Tuilleries, nieźle wyglądał na koniu

---

[1]) Praca ta, zaledwie rozpoczęta, przerwana została przez wojnę krymską i nie doczekała się dokończenia. Ustępy z niej przytoczone są w t. III tego dzieła, str. 130—137.

[2]) Sienkiewicz był przeciwny kupnu na bibliotekę polską domu przy Quai d'Orléans 6, według projektu Zamoyskiego (ob. r. X); wolał czekać choćby długie lata na fundusze, byle wystawić w pięknej dzielnicy miasta gmach pomnikowy; umieszczenie biblioteki w domu prywatnym wydawało mu się z ujmą dla godności instytucyi.

i w jeneralskim mundurze sam na przedzie, a o kilka kroków za nim z jakich czterdziestu jenerałów konno, a potem wojska ogrom. Tłum cisnął się wkoło niego, ale chociaż Moniteur donosi, że okrzyki de vive l'empereur głuszyły huk armat, wyznać muszę, że nie słyszałam ani jednego takiego, ani innego powitania. Wrażenie, jakie na mnie zrobił widok tego natłoku ludzi, było, że się patrzą jak na występ nowego aktora na scenie, ale grającego w sztuce obojętnej i już dobrze znanej, — tylko jedno się słyszy zapytanie, jak też to długo trwać będzie. W dzień wjazdu jego miało całe miasto być iluminowane, przejechaliśmy się wieczór po główniejszych ulicach, ale oprócz rządowych gmachów, teatrów i traktjerni, to ledwo gdzieniegdzie parę lampek się świeciło.

Ale ja piszę o tem wszystkiem, o czem każdy pewno już wie, a nie mówię o sobie, że mi tu dobrze i swobodnie i że gdyby nie to, że oprócz Poznania i Kórnika o mało co mi się dbać chce, tobym powiedziała, że Bóg mnie nad wyraz wielkiem szczęściem darzy, a prawdziwie nie moja w tem zasługa.»

Po długich obradach przyjęto ostatecznie na posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego projekt Zamoyskiego, podczas gdy sam wnioskodawca przebywał na Wschodzie; na decyzyę wpłynęło, zdaje się, przeświadczenie członków, że im się nie uda zebrać ogromnych funduszów, potrzebnych dla urzeczywistnienia pomysłu Sienkiewicza.

Kustoszem biblioteki został Ordyniec, o którym Niedźwiecki pisał do Zamoyskiego (23 lipca 1854): «Jest perłą biblioteki».

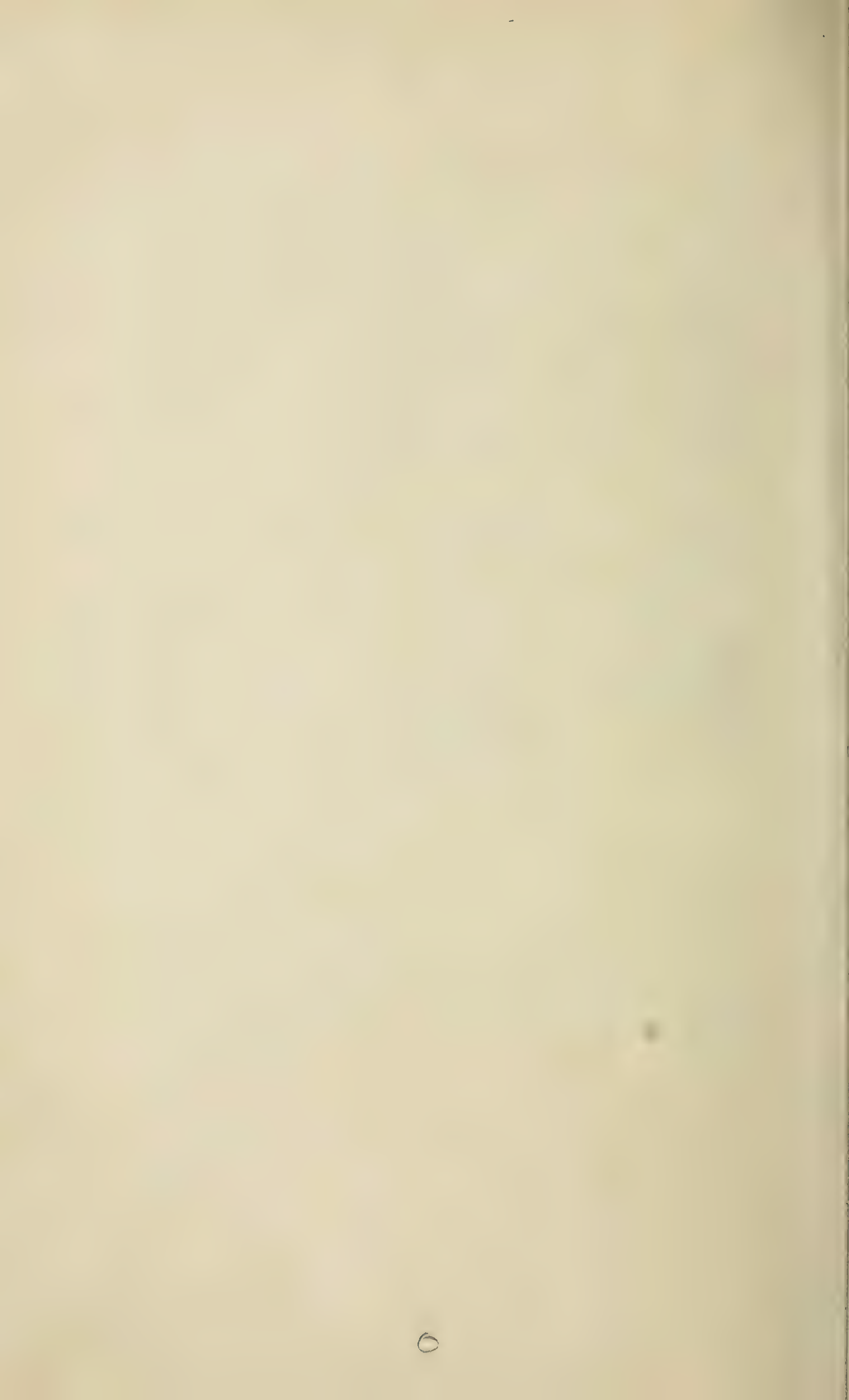
KONIEC TOMU PIĄTEGO

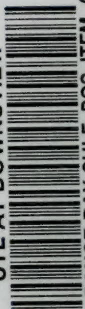
SKOROWIDZ

SPIS RZECZY

ERRATA

str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
35	8 od d.	Prokesch-Ostein	Prokesch-Osten
89	4 od d.	odsył. z str. 90	na str. 89
126	12 od d.	de Alexis	d'Alexis
140	14 od g.	najuprzyjmiej	najuprzejmiej
192	1 od d.	wróci	wróci (z Gaety)
211	7 od d.	23 marca	24 marca
227	4 od g.	Zamconi	Zanconi
233	8 od g.	Romcie	Romie
337	15 od d.	Krasińki	Krasiński




UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 13 11 10 018 4